

KRYSTYNA CÓRKA LAVRANSA

TOM TRZECI

KRZYŻ

Z języka niemieckiego przełożyła
WANDA KRAGEN

I

Krewni

1

W drugim roku pobytu Erlenda syna Mikołaja i Krystyny córki Lavransa na dworze Jörund postanowiła gospodyni spędzić lato na hali.

Już od zimy nosiła się z tą myślą. Na Skjenne był stary zwyczaj, że pani domu udawała się sama na halę, ponieważ kiedyś, w dawnych czasach, córka właściciela dworu została zwabiona w głąb gór. Ale tam, na Skjenne, kierowali się w wielu okolicznościach własnym obyczajem; ludzie w gminie przywykli do tego i uważali, że tak być musi.

Gdzie indziej jednak nie było w zwyczaju, żeby dziedziczki wielkich dworów udawały się same na hale. I Krystyną wiedziała, że ludzie będą o niej gadać i wielce się dziwować. W imię Boże, a niechże sobie gadają! Już i tak mówili niejedno o niej i jej rodzinie.

Audun syn Torberga nie posiadał nic więcej prócz przyodziewku na ciele i broni, kiedy się żenił z Ingebjörgą córką Mikołaja, pana na Lopt. Był on masztalerzem biskupa z Hamaru; swego czasu, kiedy biskup przebywał tu, na północy, by poświęcić nowy kościół, przydarzyło się Ingebjördze owo nieszczęście. Mikołaj syn Sigurda wziął je sobie zrazu bardzo do serca, zaklinał się na Boga i wszystkich świętych, że ów koniuch przenigdy nie zostanie jego zięciem. Lecz kiedy Ingebjörga powiła bliźnięta, wówczas Mikołaj uznał, że zbyt ciężko będzie jej samej wyżywić oboje – tak mówili śmiejąc się ludzie. Dał więc Audunowi córkę za żonę.

Zdarzyło się to dwa lata po ślubie Krystyny. Historia ta nie poszła w zapomnienie i dotychczas pamiętano, że Audun był w gminie człowiekiem nienaskim, przybył z Hadlandii, pochodził z zacnej, ale zupełnie zubożałej rodziny. Nie lubiano go w Sil. Uparty i zawzięty, nieprędko zapominał zarówno o dobrem, jak i o złem, które mu wyrządzono, ale był to chłop dzielny i dosyć biegły w prawie; cieszył się nawet teraz w dolinie pewnego rodzaju poważaniem i niechętnie wszczynano z nim zwadę.

Krystyna przypominała sobie szerokie, brązowe oblicze chłopca Auduna, w otoku gęstych, zwichrzonych, rudawych kudłów, jego klujące, małe, niebieskie oczka. Nie różnił się wcale od wielu ludzi, których spotykała, podobne twarze widywała wśród czeladzi na Husaby, pośród pacholków i załogi statków Erlenda.

Gospodyni westchnęła. Takiemu chłopu łatwiej było żyć na dzieciznym dworze swojej żony. Nigdy przecież nie posiadał nic innego.

Przez całą zimę i wiosnę omawiała wszystko z Fridą córką Stykara, która wraz z nią opuściła Tröndelag, a teraz sprawowała zwierzchność nad dziewczkami dworskimi. Nieustannie pouczała Krystyna dziewczynę, że taki, a nie inny jest tu na dworze w lecie obyczaj; do tego a tego są przyzwyczajeni ludzie podczas sianokosów, to a to zaś należy robić podczas żniw – Frida na pewno pamiętała, jak ona, Krystyna, postępowała zeszłego roku. Chciała bowiem, aby na dworze wszystko odbywało się tak jak za życia Ragnfridy córki Ivara.

Ale trudno jej było powiedzieć wprost, że tego lata nie będzie w dworze. Już dwie zimy i jedno lato przebywała na Jörund i wiedziała dobrze, że jeśli teraz uda się na halę, będzie to równoznaczne z ucieczką.

Rozumiała, jak trudne jest stanowisko Erlenda. Zawsze, od najwcześniejszej młodości, kiedy siedział jeszcze na kolanach mamki, uczono go, że jest stworzony na to, by władać i panować nad wszystkim i wszystkimi dokoła. A jeśli kiedykolwiek panowali i rządzą nim inni, to w każdym razie nigdy nie zdawał sobie z tego w pełni sprawy.

Było niemożliwe, aby naprawdę czuł się tak, jak wyglądał. Przecież musiał być tutaj nieszczęśliwy. Wszak i ona sama... Ojcowski dwór na dnie cichej, zewsząd zamkniętej doliny, płaskie pola wzdłuż lśniących poprzez olszynę skrętów rzeki, dwory rozrzucone na uprawnej roli niziutko u stóp gór, nad nimi strome, poznaczone szarymi zlebaniami, niebosiężne stoki gór z opadającymi gwałtownie w dół jasnymi piargami, z iglastym i liściastym lasem, pnącym się w górę po zboczach – nie, i jej samej ta dolina nie wydawała się już teraz najpiękniejsza i najprzytulniejsza w świecie. Tu był zastój. Erlend musiał z pewnością myśleć, że tu jest brzydko, ciasno, nie do zniesienia.

Ale niepodobna było poznać po nim, że nie czuje się zupełnie dobrze.

W dniu, kiedy na Jörund wypuszczono bydło z obór na pastwiska, Krystyna odważyła się wreszcie oznajmić swój zamiar – wieczorem, kiedy siedzieli przy posiłku. Erlend wyławiał właśnie jakiś dobry kęs z misy; ze zdumienia zapomniał wyjąć palce z naczynia i tylko wytrzeszczył oczy na żonę. Krystyna rzekła śpiesznie, że czyni to przede wszystkim z powodu panującej wśród dzieci w dolinie choroby gardła. Munan jest taki wątpliwy, chce więc jego i Lavransa wziąć z sobą w góry.

Aha – zauważył Erlend – w takim razie byłoby wskazane, aby zabrała również Ivara i Skulego.

Bliźniacy aż podskoczyli z radości. I do końca wieczery rozprawiali o tym z zapałem; chcieli koniecznie towarzyszyć Erlingowi, który miał paść owce na północy w Górach Szarych. Trzy lata temu juhasi z Sil wytropili złodzieja owiec i zabili go przed jego kamiennym szałasem w głębi Gór Dzikich; był to jakiś wywołaniec z doliny Oester. Gdy tylko czeladź wstała od stołu, Ivar i Skule przynieśli całą swoją broń do izby i zaczęli koło niej majstrować.

Nieco później wieczorem Krystyna szła doliną z córkami Szymona oraz z Lavransem i Gautem. Arngjerda spędziła większą część tej zimy na Jörund. Dziewczyna miała teraz lat piętnaście i kiedyś podczas świątecznych godów na Formo Szymon wyraził życzenie, by

Arngjerda nauczyła się czegoś więcej prócz tego, co widzi w domu; tyle co dziewczki już umie. Wtedy Krystyna ofiarowała się wziąć dziewczynę do siebie i wychować ją, wiedziała bowiem, że Szymon miłuje serdecznie tę córkę i wiele myśli o jej przyszłości. A mogło się jej istotnie przydać, by nauczyła się innej gospodarki niż taka, jaką widziała na Formo. Szymon był obecnie, po śmierci rodziców swej żony, jednym z najzamożniejszych ludzi w dolinie. Zarządzał rozumnie i zapobiegliwie swymi włościami, z zapałem i umiejętnością prowadził gospodarstwo na Formo. Ale w samym domu szło wszystko bez ładu i składu – dziewczki rządziły się same. A kiedy Szymon spozstrzegał, że nieporządek i opieszałość przechodzą wszelkie granice, przyjmował jeszcze jedną albo dwie dziewczki, ale z żoną nigdy o tym nie mówił i zdawał się nie oczekiwać ani nawet nie życzyć sobie, by Ramborga poświęcała się obowiązkom pani dom. Wydawało się, jak gdyby uważał ją jeszcze za niezupełnie dorosłą, ale był niezwykle troskliwy i czuł wobec niej i – w porę czy nie w porę – obsypywał ją i dzieci ustawicznie różnymi podarunkami.

Krystyna po bliższym poznaniu polubiła bardzo Arngjerdę. Nie była ona ładna, ale za to mądra, łagodnego usposobienia, poczciwa, a ręce miała silne i zręczne. Kiedy dziewczyna chodziła z nią razem po domu albo kiedy wieczorami siedziała obok niej nad krosnami, Krystyna nieraz myślała, jak bardzo pragnęłaby, by jedno z jej dzieci było córką. Córka przebywałaby na pewno więcej z matką.

Myślała o tym także i tego wieczora prowadząc Lavransa za rękę, podczas gdy Gaute z Arngjerdą rozmawiając szli przodem. Ulvhilda biegła to tu, to tam, małymi nóżkami kruszyła cienką powłokę lodową na kałużach, udawała, że jest zwierzątkiem, i wdziała na lewą stronę swój czerwony płaszczyk, tak że podbicie z białych zajęczych skórek było na wierzchu.

Nad nagimi brunatnymi polami na dnie doliny cienie gęstniały w zmierzch. Lecz wiosenne powietrze było jakby przesycone światłem. Pierwsze gwiazdy migotały niewyraźnie i błado na firmamencie, tam gdzie przejrzysta zieleń niebios stapiała się z granatową ciemnością nocy. Jednak ponad czarną krawędzią gór po drugiej stronie doliny błyszczał jeszcze pas złocistej poświaty i w jego odbłasku połyskiwało piarżysko na stromym zboczu, poniżej którego szli.

Wysoko w górze, gdzie zwieszały się śnieżne zwały na graniach, błyszczał śnieg i lśniły lodowe pola, schodzące nisko w dół i dające początek szumiącym, rwącym potokom. Wszędzie dokoła słychać było plusk wody, z samego dna doliny rozbrzmiewał potężny szum rzeki. Ze wszystkich gajów brzoźowych i zarośli, ze wszystkich lasów dokoła niósł się śpiew ptasząt.

Raz Ulvhilda zatrzymała się, podniosła kamyk i rzuciła nim w stronę, skąd dochodził świergot. Ale starsza siostra chwyciła ją za ramię; szła więc chwilę spokojnie, wkrótce jednak wyrwała się znowu i pobiegła w dół zboczem, aż Gaute musiał na nią wołać.

Byli tuż obok miejsca, gdzie droga skręcała w świerkowy bór; z gęstwiny doszedł ich dźwięk jakby stalowego łuku. Leżał tu jeszcze śnieg i pachniało świeżością i zimnem. Nieco dalej, na małej polance, stał Erlend z Ivar'em i Skulem.

Ivar wymierzył do wiewiórki, ale strzała utkwiała wysoko w pniu świerka i chłopak chciał ją strącić. Ciskał więc jeden kamień po drugim. A potężne drzewo jęczało pod ciosami, kiedy trafiał w pień.

– Czekał chwilę, spróbuję, czy nie uda mi się jej zestrzelić – powiedział ojciec. Odrzucił okrycie, położył strzałę na cięciwie i wycelował dość nieuważnie w niepewnym świetle między drzewami. Zaśpiewała cięciwa, strzała świsnęła i utkwiała w pniu tuż obok strzały chłopca. Erlend wziął drugą i znów wystrzelił; teraz jedna ze strzał osunęła się z szelestem między konarami. Brzechwa drugiej była wprawdzie strzaskana, ale bełt wciąż jeszcze tkwił mocno w drzewie.

Skule pobiegł w śnieg po obie strzały. Ivar stał i wpatrywał się w wierzchołek drzewa.

– Moja strzała siedzi mocno! Siedzi aż po brzechwę! Ale to był strzał, ojcze! – Zaczął wyjaśniać Gautemu, dlaczego nie zestrzelił wiewiórki.

Erlend śmiał się z cicha i naciągał okrycie.

– Pójdziemy teraz do domu, Krystyno? Muszę wracać. Jutro przed świtem wybieramy się z Naakkvem na głuszce.

Krystyna powiedziała prędko, że chce jeszcze odprowadzić dziewczynki na Formo; ma pomówić z siostrą.

– W takim razie Ivar i Skule mogą iść z matką i odprowadzić ją potem do domu. Czy pozwolicie mi iść z wami, ojcze? – prosił Gaute.

Erlend podniósł na pożegnanie małą Ulvhildę. A że była taka ładna i świeża, z brązowymi puklami pod białą czapeczką, ucałował ją, po czym postawił na ziemi, odwrócił się i wraz z Gautem poszedł w stronę dworu.

Teraz kiedy Erlend nie miał nic do roboty, przebywał zawsze z jednym ze swych synów... Ulvhilda podała ciotce rękę i szła przez chwilę spokojnie obok niej, potem jednak odbiegła i rzuciła się między Ivara i Skulego. Tak, była milutkim dzieckiem, ale niesfornym i krnąbrnym. Gdyby mieli córkę, na pewno Erlend bawiłby się z nią i broił.

Kiedy weszli na Formo do izby, zastali Szymona samego z małym synkiem. Siedział na podwyższeniu za długim stołem i przyglądał się Andrzejowi; dziecko klęczało na ławie i bawiło się starymi drewnianymi gwoździami usiłując postawić je na główkach. Ulvhilda zobaczywszy to zapomniała nawet przywitać się z ojcem, tylko usiadła tuż obok braciszka na ławie, chwyciła go za kark i przycisnęła mu głowę do stołu krzycząc z całych sił, że to jej gwoździe, ojciec dał je przecież jej.

Szymon wstał i chciał rozdzielić dzieci; przy tym trącił łokciem glinianą misę na stole, która spadła na ziemię i rozbiła się.

Arngjerda weszła pod stół i pozbierała skorupy. Szymon wziął je od niej, wyglądał przy tym bardzo nieszczęśliwie. – No, matka na pewno będzie zła! – powiedział. Była to mała miska z lśniącej, białej glinki, pięknie malowana w kwiaty, którą pan Andrzej Darre przywiózł niegdyś z Francji; od niego dostała ją Helga, ta zaś podarowała ją Rambordze, objaśniał Szymon; kobiety uważały ową misę za bardzo cenną. Posłyszawszy w tej chwili głos żony w przedsiönku, ukrył ręce z odłamkami za plecy.

Ramborga weszła do izby, powitała siostrę i siostrzeńców; zdjęła płaszczyk Ulvhildzie, a mała podbiegła do ojca i przytuliła się do niego.

– Aleś dziś ładna, Ulvhildo, i nosisz swój srebrny pasek w zwykły dzień, jak widzę – rzekł; nie mógł jednak uścisnąć dziecka, ponieważ trzymał w rękach skorupy.

Ulvhilda wytłumaczyła, że była przecież dzisiaj u ciotki Krystyny na Jörund, dlatego matka tak ją przystroiła.

– Tak, twoja matka zawsze tak pięknie cię stroi, można by cię prawie postawić za szkłem w kościele – rzekł Szymon z uśmiechem. Jediną robotą, jaką Ramborga się zajmowała, było szycie sukienek dla córki. Ulvhilda była zawsze ślicznie ubrana.

– A ty czemu tu tak stoisz? – zwróciła się Ramborga do męża.

Szymon wskazał resztki stłuczonej misy:

– Nie wiem, co powiesz na to.

Ramborga wyjęła mu je z rąk:

– Z tego powodu nie potrzebujesz chyba tak głupio tu stać.

Krystyna była niemile dotknięta. Prawda, Szymon wyglądał nieco głupio, kiedy tak stał chowając skorupy za sobą i zachowując się dziecinnie. Ale Ramborga niepotrzebnie to powiedziała.

– Sądziłem, że się zmartwisz, bo stłukła się twoja miska – rzekł mąż.

– Ty zawsze udajesz, że się boisz, bym się nie martwiła, kiedy chodzi o drobnostki – odparła Ramborga. Oboje, Szymon i Krystyna, ujrzeni, że bliska jest płaczu.

– Wiesz dobrze, Ramborgo, że nie tylko udaję – powiedział Szymon. – A poza tym nie są to zawsze głupstwa.

– Nie wiem – odparła. – Nigdy nie było twoim zwyczajem, Szymonie, mówić ze mną o rzeczach ważnych.

Odwróciła się szybko i wyszła do przedśionka. Szymon stał chwilę i patrzył za nią. Kiedy usiadł, zbliżył się do niego mały Andrzej i chciał się wspierać na kolana ojca. Szymon podniósł go i siedział dalej w milczeniu oparłszy brodę na główce chłopczyny; ale zdawał się nie słuchać jego paplania.

Po chwili Krystyna odezwała się z wahaniem:

– Ramborga nie jest już taka młoda, Szymonie. Wasze starsze dziecko ma siedem zim.

– Co masz na myśli? – spytał Szymon niepotrzebnie szorstko, tak się jej przynajmniej zdawało.

– Nic innego, jak... Może moja siostra uważa, że mało się z nią liczysz. Czy nie mógłbyś jej pozwolić, by trochę więcej rządziła tu we dworze razem z tobą?

– M o j a żona rządzi, ile się jej żywnie podoba – odparł Szymon podniecony. – Nie żądam od niej, aby robiła coś więcej aniżeli to, na co sama ma ochotę, nigdy jednak nie broniłem Rambordze tutaj na dworze rządzić, jak chce. Jeśli jesteś innego zdania, to dlatego, że nie wiesz...

– Tak, tak – rzekła Krystyna – ale czasami wydaje mi się, szwagrze, jak gdybyś zapominał, iż Ramborga jest teraz dojrzalsza niż wówczas, kiedyś ją pojął za żonę. Musisz o tym pamiętać, Szymonie.

– Pamiętaj ty sama – posadził dziecko obok i skoczył na równe nogi – że ja i Ramborga doszliśmy ze sobą do porozumienia, ty zaś i ja nie mogliśmy dojść nigdy. – W tej chwili wróciła gospodyni niosąc piwo dla gości. Szymon szybko zbliżył się ku niej i położył rękę na jej ramieniu. – Słyszałaś coś takiego, Ramborgo? Oto twoja siostra twierdzi, jakobyś nie była zadowolona z tego, co masz – roześmiał się. Ramborga podniosła wzrok, jej wielkie czarne oczy błysnęły dziwnie.

– Jak to? Przecież mam to, czego chciałam, zarówno ja, jak i ty, Krystyno. Jeśli my obie, siostry, nie jesteśmy zadowolone, to już doprawdy nie wiem... – roześmiała się również.

Krystyna stała zarumieniona i gniewna. Nie wzięła podanego jej dzbanu z piwem.

– Nie będę piła, późno już, wielki czas na mnie – rozejrzała się za synami.

– Ach nie, Krystyno! – Szymon wziął dzban z rąk żony i przepił do Krystyny. – Nie gniewaj się. Nie można tak poważnie brać słów, jakie padają między najbliższymi. Usiądź trochę i odpocznij. Nie gniewaj się na mnie; zapomnij o tym, że odpowiedziałem ci inaczej, niż powinienem był... Zmęczony jestem – rzekł po chwili, przeciągnął się i ziewnął. Po czym zapytał, jak daleko są z robotami polnymi na Jörund; tutaj zorali już wszystek grunt powyżej dworu.

Krystyna podniosła się, skoro tylko uznała to za właściwe. Nie, Szymon nie potrzebuje jej odprowadzać, rzekła, kiedy wziął okrycie z kapturem i topór; idą z nią przecież dorośli synowie. Ale chciał koniecznie towarzyszyć im, prosił też Ramborgę, by ich odprowadziła. Na ogół nie robiła tego nigdy, tego wieczora jednak poszła z nimi aż do gościńca.

Na dworze była czarna noc, na niebie iskrzyły się migotliwe

gwiazdy. Delikatny, ciepły zapach świeżo nawożonych pól parował wiosennie w nocnym przymrozku. Dokoła słychać było w ciemności szmer płynącej wody.

Szymon i Krystyna szli w górę doliny, chłopcy pobiegli przodem. Czuli, że człowiek idący obok niej chce coś powiedzieć, ale nie miała ochoty ułatwiać mu tego, wciąż jeszcze była zagniewana. Mimo że bardzo lubiła swego szwagra, to jednak w końcu wszystko ma granice, niech nie sądzi, że może mówić, co zechce, a potem po prostu odwoływać – że to niby tylko między krewnymi. Musiał wreszcie zrozumieć, że właśnie dlatego, iż tak wiernie wspierał ich w nieszczęściu, niełatwo jej znieść jego porywczosć i grubiaństwo, i że ciężko by jej było odplacić mu pięknym za nadobne. Przyszła jej na myśl pierwsza zima po ich przybyciu w dolinę; Ramborga posłała po nią, bo Szymon leżał z obrzmiałym gardłem i okrutnie cierpiał. Od czasu do czasu zapadał na tę dolegliwość. Kiedy jednak przybyła na Formo i weszła do szwagra, nie mógł znieść, by go dotknęła, ba, nawet, by patrzyła na niego; był taki rozgniewany, że nieszczęsna Ramborga prosiła siostrę o przebaczenie, iż ją tu sprowadziła. Szymon i wobec niej samej nie zachował się lepiej, gdy pierwszy raz po ślubie zachorował, a ona chciała go pielęgnować. Ilekroć dostawał owych wrzodów w gardle, krył się w starym domostwie na Formo, zwanym izbą Saemunda, i nie dopuszczał do siebie nikogo prócz obrzydliwego, brudnego i zawszonego starca, Gunsteina, który jeszcze przed urodzeniem Szymona służył we dworze. Gdy choroba minie, Szymon przyjdzie na pewno sam do szwagierki i przeprosi ją; nie może tylko ścierpieć, by go ktoś widział leżącego, uważa to za upokarzające dla dorosłego człowieka. Krystyna odparła dość gwałtownie, że nie może tego zrozumieć. Przecież nie jest grzechem ani hańbą mieć wrzody w gardle.

Szymon odprowadził ją aż do mostu, po drodze zamienili tylko parę słów o pogodzie i robotach gospodarskich, powtarzali to samo, co już przedtem mówili w izbie. Szymon życzył jej dobrej nocy, a potem nagle zapytał:

– Nie wiesz przypadkiem, Krystyno, co takiego mogłem zrobić Gautemu? Chłopak jest zły na mnie.

– Gaute? – spytała zdziwiona.

– Tak, nie zauważyłaś tego? Unika mnie wprost, a jeśli już koniecznie musi się ze mną spotkać, to ledwo usta otwiera, kiedy mówię do niego.

Krystyna potrząsnęła głową; nie zauważyła tego zupełnie.

– Chyba żeś w żarcie powiedział jakieś słowo, które chłopak źle zrozumiał, przecież to dzieciak. – Z głosu jej wywnioskował, że się uśmiechnęła; i on się więc roześmiał:

– Nie mogę sobie nic takiego przypomnieć.

Raz jeszcze życzył jej dobrej nocy i zawrócił.

Na Jörund panowała głęboka cisza. W izbie było ciemno, ogień na palenisku nakryty był popiołem. Björgulf nie spał i powiedział, że ojciec i bracia przed chwilą odeszli.

W małżeńskim łóżu leżał Munan i spał. Krystyna położyła się i przytuliła go do siebie.

Tak trudno było mówić z Erlendem, skoro sam nie zdawał sobie sprawy z tego, iż nie powinien zabierać dorosłych chłopców do lasu, gdy na dworze jest po uszy roboty.

Tego, że Erlend sam będzie chodził za pługiem, nie spodziewała się po nim zgoła. Nie umiałby może nawet zaorać prosto ani jednej skiby. Ulfowi także nie byłoby w smak, gdyby Erlend mieszał się do gospodarki. Ale synowie nie mogli w żaden sposób wyrastać tak jak ich ojciec: ćwiczyć się jedynie we władaniu bronią, polować i harcować na koniach, pochylać się nad szachownicą razem z księdzem, który miał za zadanie sztuczki i wybiegami wbić synom rycerza do głowy nieco łaciny i pisania, śpiewu i gry na lutni. Krystyna trzymała niewiele czeladzi we dworze, ponieważ sądziła, że jej synowie od małości winni się wdrażać do chłopskiej pracy. Synowie Erlenda nie mieli teraz żadnych widoków na wejście do rycerskiego stanu.

Spośród chłopców jedyny Gaute okazywał zamiłowanie do takiej roboty. Gaute był pracowity, ale miał dopiero trzynaście lat; trudno więc było spodziewać się, że będzie wolał pracować niż towarzyszyć Erlendowi, kiedy ojciec zabierał go z sobą.

Ale ciężko było mówić o tych sprawach z Erlendem. Powzięła bowiem niezłomne postanowienie, że od niej nie usłyszy nigdy ani

jednego słowa, z którego by mógł wywnioskować, że bierze mu za złe jego postępowanie, albo też że żali się na los, jaki zgotował sobie i synom. Wskutek tego jednak niełatwo było zwrócić uwagę ojca na to, że synowie muszą się zawczasu przyzwyczajać do pracy we dworze. „Gdyby Ulf chciał z nim o tym pomówić” – myślała.

Kiedy pognano trzodę z wiosennego pastwiska na Hövringen, Krystyna wyruszyła wraz z nią na hale. Bliźniaków jednak nie zabrała ze sobą. Mieli już prawie jedenaście lat i byli najbardziej krnąbrni i uparci ze wszystkich jej dzieci; rzadko kiedy udawało się Krystynie poskromić ich, gdyż było ich dwóch i zawsze trzymali się razem. Jeśli zdarzało się niekiedy, że mogła być sama z Iwarem, wówczas był on zupełnie inny, łagodny i posłuszny. Skule jednak był w gorącej wodzie kąpany i kłótlivy, a kiedy byli razem, Ivar mówił i robił wszystko, co chciał brat.

2

Wczesną jesienią w porze niesporów Krystyna wyszła pewnego dnia z szałas, dowiedziała się bowiem od pastucha, że nieco niżej na zboczu, w stronę potoku, rośnie na polance mnóstwo dziewanny.

Krystyna szybko znalazła owo miejsce – strome zbocze, zalane słonecznym blaskiem; była to właśnie najlepsza pora do zbierania tych kwiatów. Moc ich tu rosła wśród wielkich, skalnych głazów i wokół szarych korzeni – wysokie, jasnożółte łodygi, gęsto obsypane rozwartymi gwiazdkami kwiecica. Krystyna zaprowadziła Munana w krzaki, gdzie mógł zbierać maliny i skąd bez jej pomocy nie mógł się wydostać. Psu nakazała pozostać przy dziecku i strzec go. Po czym wyciągnęła nóż i zaczęła ciąć dziewanny spoglądając od czasu do czasu na chłopczyka. Lavrans trzymał się przy niej i również ścinał kwiaty.

Tu w górach obawiała się zawsze o tych dwóch najmłodszych. Większość hal opustoszała już, lecz Krystyna zamierzała pozostać aż do ostatniego święta Najświętszej Maryi Panny w jesieni, chociaż

noce były zupełnie czarne i ponure, a wicher huczał, aż straszno było wyjść późnym wieczorem. Lecz piękna pogoda utrzymywała się dotąd, a w dolinie była tego roku posucha i brak paszy. Parobcy mieli więc aż do późnej jesieni, a nawet do zimy pozostać w górach; ojciec mówił przecież nieraz, że nie zauważył, by na hali zimą straszylesię.

Krystyna stanęła pod samotnym świerkiem i skrzyżowała ramiona podtrzymując ciężką naręcz kwiatów. Roztaczał się stąd piękny widok w górę doliny, na część gminy Dovre. W wielu miejscach zboże na polach stało już w snopach. Tam również łąki były żółte, spalone od słońca. Tak naprawdę zielono, jak w Trondhjemskiem, nie było tutaj w dolinie nigdy.

Tak jest, tęskniła za ową siedzibą, którą tam mieli – za dworem leżącym wysoko, isticie po książęcemu, na rozłożystej piersi góry, tęskniła za łąkami i polami, ciągnącymi się daleko jak okiem sięgnąć, aż po liściasty bór, zstępujący nad samo jezioro na dnie doliny. I tęskniła za rozległym widokiem, otwierającym się poza niskimi lesistymi wzgórzami, które niby fale biegły na południe w stronę gór Dovre. I za łąką pokrytą w lecie bujną runią, szkarłatną od kwiecica w purpurze wieczornego nieba, za soczyście zielonym potrawem jesiennym.

Tak jest, zdarzało się nawet, że tęskniła za samym fiordem. Za ujściem rzeki w Birgsi, za przystanią z łodziami i statkami, za chatami rybaków, zapachem smoły, sieci i wody morskiej – za tym wszystkim, czego tak serdecznie nie cierpiała, kiedy po raz pierwszy przybyła na północ.

Erlend... on musiał chyba szalenie tęsknić za morzem i wichrem morskim.

Brak jej było teraz wszystkiego, co dawniej ją tak męczyło: wielkiego gospodarstwa dworskiego, ciżby sług, wrzawy, z jaką Erlendowa drużyna wśród szczęku broni i chrzęstu uprząży wjeżdżała na dziedziniec, obcych, ustawicznie przybywających i odchodzących, przynoszących na dwór wielkie nowiny z całego kraju oraz małe ploteczki o mieszkańcach dolin i miast. Teraz dopiero czuła, jak ciche stało się jej życie, odkąd to wszystko zamilkło.

A miasto z kościołami i klasztorami, biesiady na miejskich dworach bogaczy... Tęskniła za tym, by chodzić znowu przez ulice z własnym

pachołkiem i dziewczką, odwiedzać kramy kupców, wybierać i odrzucać towary, podjeżdżać łódką na pokłady szkut, kupować angielskie kapelusze płócienne, delikatne szale, drewniane koniki z rycerzami na siodłach, którzy za pociągnięciem sznurka uderzali na siebie włóczyniami. Myślała o łące za miastem na Nidareid, gdzie chodziła z dziećmi i przyglądała się tresowanym psom i niedźwiedzim kuglarzy, kupowała chleb świętojański i włoskie orzechy.

I taką straszną odczuwała tęsknotę, aby się znowu kiedyś wystroić. Włożyć jedwabną koszulę i cienką chustkę na głowę, *syrkottę* bez rękawów z modrego aksamitu, którą Erlend kupił jej przed owym nieszczęściem; była ona obramowana gronostajowym futerkiem koło wycięcia przy szyi i pach, sięgających tak nisko, że spod sukni widać było pas.

A wśród tego wszystkiego tęskniła także... ach nie, musi przecież nabrać rozsądku i cieszyć się, dopóki jest jej oszczędzone dalsze rodzenie dzieci. Kiedy zeszłego roku w jesieni po wielkim uboju była zachorowała, było przecież najlepiej, że się tak stało. Mimo to płakała z żalu przez kilka pierwszych nocy.

Tak nieskończenie odległy zdawał się jej czas, kiedy tuliła do siebie niemowlę. Munan miał wprawdzie dopiero cztery zimy, ale musiała go oddać w obce ręce, zanim skończył rok. A kiedy go na powrót odebrała, umiał już chodzić i mówić i nie znał jej zupełnie.

Erlend. O Erlend! Wiedziała dobrze, w najskrytszej głębi serca, że nie jest on taki obojętny, na jakiego wygląda. On, wiecznie niespokojny, teraz zachowywał się tak, jak gdyby był zawsze spokojny. Niby bystry potok, który w pędzie uderza w końcu o skalną ścianę, musi skrócić w bok i rozlać się na mokradłach w cichy staw z torfowiskiem dokoła, tak żył obecnie Erlend na Jörund; nic nie robił i zezwalał łaskawie raz temu, raz tamtemu synowi towarzyszyć sobie w nieróbstwie. Albo też wybierał się z nimi na łowy; czasami zdarzało się, że smołował i naprawiał jedną z łodzi, jakie posiadali na rybnych rzekach w górach. Albo zajmował się poskramianiem młodych żrebców. Ale nie bardzo mu się to udawało – był zbyt niecierpliwy.

Żył samotnie i na wszelki wypadek udawał, iż nie dostrzega, że nikt nie szuka jego towarzystwa. Synowie zaś postępowali jak ojciec. Nie byli lubiani ci obcy przybysze, których nieszczęsny losagnał w doli-

nę i którzy musieli tu teraz przebywać, zawsze tak samo dumni i obcy, nie zważający zgoła na obyczaje w dolinie ani na tamtejszych ludzi. Ulf syn Haldora był wprost znienawidzony. Pokpiwał zupełnie jawnie z chłopów, zwał ich głupimi i nieobytymi w świecie; dla niego ludzie, którzy nie wyrosli na morskim wybrzeżu, nie b y l i w ogóle ludźmi.

A ona sama... Wiedziała doskonale, że teraz niewielu posiada przyjaciół w swej ojczystej dolinie – ona także.

Przeciągnęła się w swej prostej fryzowej szacie koloru mchu, ocieeniła dłonią oczy przed złotym blaskiem popołudniowego słońca.

Jak przez szparę ujrzała kawał doliny ciągnącej się wzdłuż zielonkawej wstęgi rzeki, a dalej spiętrzone cielska gór, jedno za drugim, złociste i szare od piargów i porostów, biegnące hen, daleko, aż do linii, gdzie lodowce i chmury stapiały się razem we wrębach skał i rozpadlinach. Prawie naprzeciw niej grzebień Rostu wysuwał swe potężne kolano i zamykał dolinę. Rzeka omijała go tworząc zakręt; aż tutaj słysząc było daleki jej grzmot, gdy przedzierając się między skałami spadała, spieniona i rwąca, z progu na próg. Tuż obok okrytej porostami góry piętrzyły się ponad jej grzbietem dwa ogromne szczyty, które Lavrans porównywał do kobiecych piersi.

Erlend musiał niechybnie odnosić wrażenie, że ciasno tu jest i brzydko, że trudno tu oddychać.

Nieco dalej na tym samym zboczcu ukazała się jej ongi rusałka, wtedy gdy była jeszcze małym dzieckiem.

Tak. Piękna, łagodna, delikatna dziewczyna z bujnymi, jedwabnymi włosami wokół krągłej, różowomlecznej twarzy. Krystyna zamknęła oczy, zwróciła ogorzałą twarz ku światłu. Młoda matka z nabrzmiętą mlekiem piersią i sercem odmłodzonym i żyznym jak świeżo zaorane pole... tak. Ale kobiecie takiej jak ona nie groziło z pewnością żadne niebezpieczeństwo; nikt chyba nie chciałby zwabić jej do siebie. Król gór uważałby pewnie, że jego ślubne klejnoty źle by wyglądały na takiej wychudłej, nędznej kobiecie. Huldra¹ nie pragnęłaby wcale przyłożyć swego dziecka do jej wyschniętej piersi. Czuła się taka twarda i sucha jak ten oto korzeń u jej

¹ Boginka leśna w mitologii skandynawskiej, rusałka.

stóp, wijący się wokół kamienia i wczepiający się weń rozpaczliwie. Uderzyła w niego nienawistnie obcasem.

Obaj malcy, którzy właśnie nadbiegali, uczynili tak samo; z całych sił deptali korzeń pytając przy tym na wyścigi:

– Czemu czynicie tak, matko?

Krystyna usiadła, położyła kwiaty na kolanach, po czym zaczęła obrywać i rzucać do kosza rozkwitłe już kwiecie.

– Bo mnie trzewik w piętę uwiera – odparła długą chwilę potem, kiedy chłopcy zapomnieli już zupełnie, o co ją pytali. Ale nie zwrócili na to uwagi, przyzwyczajeni widać do tego, że matka zdaje się nie słyszeć, co do niej mówią, albo też budzi się i daje odpowiedź dopiero wtedy, kiedy sami nie pamiętali już pytania.

Lavrans pomagał odrywać kwiaty od łodyg, Munan chciał również pomagać, ale targał przy tym również i kwiaty. Wówczas matka bez jednego słowa, bez gniewu, zatopiona całkowicie w swych myślach, odebrała mu łodygi. Po chwili chłopcy zaczęli się bawić i okładać łodygami, które Krystyna odrzucała.

Dokazywali tak tuż u jej kolan. Krystyna spoglądała na dwie małe dziecięce główki. Jeszcze wciąż byli obaj bardzo podobni do siebie, włosy ich miały prawie ten sam jasnobrązowy odcień, ale matka mogła już po pewnych, nieznaczących na pozór znakach poznać, że z czasem będą się bardzo różnili. Z Munana będzie zapewne wykapany ojciec: miał jego błękitne oczy i jedwabiste lekko falujące włosy, układające się miękko i bujnie na wąskiej głowie; z czasem szernieją jak sadza. Jego mała twarzyczka z tak okrągłym jeszcze podbródkiem i puciołowatymi policzkami, że rozkoszą było dotknąć jej pulchnej świeżości, stanie się potem, gdy Munan nieco podrośnie, szczupłą i wydłużą się; i on będzie miał owo wysokie, wąskie czoło z zapadniętymi skroniami i ów prosty, wystający trójkąt nosa o ostrym i wąskim grzbiecie, o cienkich, niespokojnych nozdrzach, jaki już miał Naakkve i jaki wyraźnie zarysowywał się u bliźniaków.

Lavrans miał jako małe dziecko włosy jasne jak len, jedwabiste i kędzierzawe. Teraz przybrały one barwę orzechów łaskowych, ale w słońcu lśniły jak złoto. Wygładziły się też zupełnie, a choć nadal były bardzo miękkie, to jednak stały się sztywniejsze i bardziej bujne. Lavrans podobny był do niej, miał takie same szare oczy i okrągłą

twarz z szerokim czołem oraz kształtną brodę; cerę jak krew z mlekiem zachowa na pewno aż po dojrzały, męski wiek.

Gaute także miał świeżą cerę; przypominał zupełnie jej ojca owymi wydłużonymi nieco rysami pełnej twarzy, szarymi niby stal oczyma i jasnymi, żółtymi włosami.

Trudno było tylko powiedzieć, do kogo jest podobny Björgulf. Był on najroślejszy z jej synów, barczysty, o silnych, krzepkich członkach. Mocno kręcone, kruczoczarne włosy zachodziły głęboko na białe, szerokie czoło; oczy były aż niebieskie od czerni, ale dziwnie bez połysku; mrugał gwałtownie, kiedy je podnosił. Nie wiedziała dokładnie, kiedy się to zaczęło, gdyż zawsze najmniej zajmowała się tym dzieckiem. Wkrótce po urodzeniu odebrano jej niemowlę i oddano mamce, w jedenaście zaś miesięcy potem powiła Gautego, który był chorowity przez pierwsze cztery lata. Po urodzeniu bliźniąt, jeszcze chora i cierpiąca na bóle w krzyżach, musiała znowu zająć się Gautem, nosić i pielęgnować go, tak że nie miała prawie czasu oglądać się na niemowlęta, chyba gdy Frida przykładła jej do piersi krzyczącego, wiecznie głodnego Ivara; a nawet wtedy, gdy go karmiła, Gaute leżał obok i darł się. Było to ponad jej siły. – „Najświętsza Pańlenko, Ty wiesz dobrze, n i e m o g ł a m się lepiej zająć Björgulfem”. – Poza tym miał on taką naturę, że najchętniej przebywał sam i sam sobie radził. Zawsze był z niego dziwak i milczek; nie lubił, żeby mu okazywała czułość. Sądziła, że jest najsilniejszy z jej chłopców, Björgulf przypominał jej małego, mocnego, czarnego byczka.

Z czasem przekonała się, że oczy jego nie są w porządku. Kiedy wraz z Naakkvem przebywał na Tautra, mnisi próbowali pomóc mu, ale nadaremnie.

Pozostał nadal skryty; jej usiłowania, aby zjednać go sobie, nie odnosiły skutku. Ojcu wiodło się z nim tak samo; widziała to; Björgulf, jedyne z jej synów, nie jaśniał na widok Erlenda jak łąka, gdy na nią padnie słoneczny promień. Tylko wobec Naakkvego Björgulf był inny, gdy jednak próbowała mówić z Naakkvem o bracie, dawał jej zawsze wymijające odpowiedzi. Nie wiedziała, czy Erlendowi udało się lepiej, chociaż Naakkve tak bardzo kochał ojca.

Po potomkach Erlenda można było od razu poznać, kto jest ich

ojcem. Widziała však owo dziecko z Lensviken podczas ostatniego swego pobytu w Nidaros. Spotkała pana Baarda na cmentarzu przy katedrze. Szedł w otoczeniu kilku mężczyzn, kobiet i służby; jedna z dziewczek niosła niemowlę w powijakach. Pan Baard powitał ją skinieniem głowy, spokojnie i dwornie, kiedy przechodził mimo niej. Jego żony nie było.

Przez mgnienie oka widziała twarz dziecka. Ale to wystarczyło. Podobna ona była zupełnie do tych twarzyczek, które przy jej piersi leżały.

Arne syn Gjavvalda towarzyszył jej wówczas i nie mógł się powstrzymać od gadania; taki już był. Spadkobiercy pana Baarda nie byli bynajmniej zachwyceni, gdy ubiegłej zimy dziecko przyszło na świat. Baard kazał je ochrzcić imieniem Aasulf. Pomiędzy Erlendem a panią Sunnivą nic więcej nie istniało jak wszystkim wiadoma przyjaźń. Pan Baard zdawał się o tym nigdy nie wątpić. Nieroztropny i lekkomyślnie szczerzy jak zawsze, powiedział Erlend w żarcie więcej, aniżeli był winien, a pani Sunniva spełniła jedynie swój obowiązek ostrzegając mężów zaufania króla, skoro powzięła podejrzenie. Gdyby jednak byli z b y t dobrymi przyjaciółmi, wówczas Sunniva musiałaby niechybnie wiedzieć, że i jej własny brat był uwikłany w sprzysiężenie Erlenda. Kiedy Haftor Graut zabił się w więzieniu skazując duszę swą na wieczyste potępienie, Sunniva omal zmysłów nie postradała – nikt nie mógł brać poważnie tego, o co się wtedy sama oskarżała. Pan Baard kładł dłoń na rękojeści miecza i spozierał po ludziach, kiedy o tym mówił, jak opowiadał Arne.

Arne mówił o tym również z Erlendem. Pewnego razu, kiedy Krystyna była na poddaszu, rozmawiali obaj przed gankiem nie wiedząc, że ich ktoś słucha. Rycerz z Lensviken wyraził ogromną radość z powodu syna, którego mu żona powiła zesłej zimy, nie wątpił ani przez chwilę, iż sam jest ojcem dziecka, mówił Arne.

– Tak, Baard musi to chyba najlepiej wiedzieć – odparł Erlend. Znała ten jego głos; stał tam pewnie ze spuszczoneymi oczyma uśmiechając się lekko kącikami ust.

Pan Baard żywił taką nienawiść do swych spadkobierców, którzy dziedziczyliby po nim w razie, gdyby umarł bezdzietny. Ale ludzie byli zdania, że to przecie niesłuszne.

- Mąż musi to chyba najlepiej wiedzieć – rzekł Erlend powtórnie.
- Tak, tak, Erlendzie. Ten chłopak sam jeden odziedziczył więcej aniżeli tych siedmiu synów, których spodziłeś ze swoją żoną.
- O m o i c h siedmiu synów już ja sam dbać będę, Arne.

Wtedy Krystyna zeszła na dół; nie chciała, by dalej o tym mówili. Erlend stropił się nieco, gdy ją ujrzął. Potem podszedł do niej, ujął jej rękę i stanął za nią tak, że dotknął jej pleców. Pojęła, że stojąc tak i patrząc na nią powtarza raz jeszcze bez słów dane przed chwilą zapewnienie, pragnie ją jak gdyby pokrzepić na duchu.

Krystyna spostrzegła, że Munan wpatruje się w nią nieco przestraszony. Pewnie uśmiechnęła się nieładnie. Ale gdy matka spojrzała na niego, odpowiedział jej zaraz uśmiechem, niepewnym i drżącym.

Przyciągnęła go gwałtownie ku sobie i objęła. Był jeszcze maleńki, ten jej synek najmłodszy – nie za duży, by go móc całować i pieścić. Mrugnęła do niego jednym okiem. Chłopaczek wysiłał się i chciał odpowiedzieć tak samo, ale zawsze przymykały mu się oba oczka; matka roześmiała się głośno, tedy i Munan zaczął się śmiać w jej ramionach.

Lavrans siedział niedaleko z psem na kolanach. Obaj nasłuchiwali czegoś z lasu na dole.

- To ojciec! – I pies przodem, za nim zaś chłopiec zbiegli w wielkich susach po stromym zboczku.

Krystyna siedziała jeszcze chwilkę. Potem podniosła się i zeszła na skraj polany. Na ścieżkę wiodącą w górę wchodzili właśnie Erlend, Naakkve, Ivar i Skule. Witali ją z dołu hałaśliwie i radośnie.

Krystyna odpowiedziała pozdrowieniem. Czy przybyli po konie? – Nie – odrzekł Erlend. – Ulf ma podobno zamiar przysłać po nie dziś wieczór Sveinbjórna. On sam i Naakkve idą dalej, wybrali się na reny, a bliźniacy mieli ochotę pójść razem z nimi i odwiedzić matkę.

Krystyna nie odpowiedziała. Zrozumiała wszystko, zanim jeszcze zaczęła pytać. Naakkve prowadził na smyczy psa; on i ojciec odziani byli w krótkie kaftany bajowe o szarym i czarnym wzorze, które nieznacznie tylko odbijały od piargów. Wszyscy czterej nieśli łuki.

Krystyna pytała o nowiny na dworze i Erlend opowiadał o wszystkim wchodząc na górę; Ulf miał po uszy roboty ze żniwami, był dość zadowolony, chociaż żdźbła były krótkie, zboże zaś na wyżej położo-

nych polach dojrzało przedwcześnie z powodu posuchy i ziarno sypało się już z kłosów. Owies również będzie wkrótce dojrzały. Mieli teraz sporo roboty, mówił Ulf. Krystyna szła obok Erlenda, kiwała głową i milczała.

Sama była w oborze i doiła krowy. Lubiła tę szarą godzinę, kiedy mogła siedzieć w mroku, z głową opartą o wypukły brzuch krowy, i wdychać słodki zapach mleka. Z ciemności obok, gdzie doiła dziewczka stajenna i pasterz, dochodziło śpiewne sączenie. Dobry spokój leżał w ciepłym, mocnym odorze stajni, w trzeszczeniu wiklinowych przegród, w stukocie uderzających o drzewo rogów którejs z krów, deptającej po rozmiękłej podściółce i wywijającej ogonem przed muchami. Pliszki, które latem miały tu swoje gniazdo, odleciały już na południe.

Krowy były dziwnie niespokojne tego wieczora. Blaasida wdepnęła nogą do kadzi z mlekiem; Krystyna uderzyła ją i zła ją. Inna znowu krowa zachowywała się jak opętana, kiedy Krystyna do niej podeszła; miała obolałe wymię. Krystyna zdjęła z palca ślubną obrączkę i przepuściła przez nią pierwszą strugę mleka.

Z dołu, z pastwiska, doleciały ją głosy Ivara i Skulego; krzyczeli co sił i obrzucali kamieniami obcego byka, który każdego wieczora błąkał się koło ich trzody. Ofiarowali się sami pomóc Finnowi w dojeniu kóz, ale teraz stracili do tego ochotę.

Kiedy Krystyna trochę później wyszła z obory, chłopcy bili właśnie ślicznego białego byczka, którego podarowała niedawno Lavransowi, malec zaś stał obok bezsilny i tylko płakał cichutko. Matka odstawiła wiadra z udojem; złapała obydwóch za ramiona i odepchnęła; niech zostawią ciele brata w spokoju, jeśli Lavrans tak sobie życzy.

Erlend i Naakkve siedzieli na progu. Między nimi leżał świeży ser, z którego brali po kawałku karmiąc zarazem Munana stojącego obok Naakkvego. Naakkve wpakował braciszкови włosiane sito na głowę i mówił, że teraz Munan jest niewidzialny, bo to nie sito, lecz czapka niewidka. Śmiali się wszyscy trzej do rozpuku, ale zaledwie Naakkve

zobaczył matkę, podał jej natychmiast sito, zerwał się i wziął od niej wiadro.

Krystyna zwlekała dobrą chwilę w komorze. Górna połowa drzwi była uchylona i przez szparę widać było leżącą obok izbę. Na palenisku płonął duży ogień. W gorącym migotliwym blasku siedzieli wszyscy dokoła ogniska i posilali się: Erlend, dzieci, dziewczka i trzech pasterze.

Kiedy Krystyna weszła do izby, wszyscy byli już po wieczerzy. Zobaczyła, że obu najmłodszych ułożono na ławie – spali już. Erlend leżał w łożu. Potknęła się o jego kaftan i trzewiki, podniosła przechodząc rozrzucone rzeczy i wyszła na dwór.

Niebo było jeszcze jasne, ponad górami, na zachodzie, różowo obrzeżone; kilka ciemnych chmurków sunęło w przejrzystym powietrzu. Na jutro również zapowiadała się piękna pogoda, tak cicho i przenikliwie chłodno było teraz – ani tchnienia wiatru, tylko lodowaty powiew z północy, niby równomierny oddech podniebnych skalnych szczytów. Tam zaś, spoza niskich wzgórz na południowym wschodzie, wypływał księżyc prawie że w pełni, olbrzymi i jasnoczerwony, okolony delikatnym oparem, unoszącym się zawsze nad bagnami.

Gdzieś w pobliżu błakał się obcy byk i ryczał głośno. Poza tym była zupełna, aż bolesna cisza; tylko oddalony huk rzeki u stóp góry, mruczenie potoku na łące w dole i senny poszum boru. Jakiś niepokój budził się między drzewami, trwał chwilę i wędrował dalej.

Uporządkowała misy i dzieże oparte o ścianę, Naakkve i bliźniacy wyszli w tej chwili z domu; zapytała, dokąd idą.

Chcą się położyć w stodołę, powietrze w komorze jest aż gęste, tyle tam serów i masła, no i pasterze tam śpią.

Naakkve nie od razu udał się do stodoły. Matka długo jeszcze widziała jego jasną postać na ciemnym tle skoszonej łąki pod lasem. Po chwili stanęła w drzwiach dziewczka i wzdrygnęła się ujrzawszy gospodynię pod ścianą.

– Nie idziesz jeszcze spać, Astrido? Późno już.

Dziewcka bąknęła coś; idzie tylko za stajnię. Krystyna poczekała, aż wróci do domu. Naakkve rozpoczynał teraz szesnasty rok; już od

pewnego czasu matka zwracała pilną uwagę na dziewczuchy dworskie, kiedy żartowały i broiły z urodziwym, żywym chłopakiem.

Krystyna zeszła na dół nad potok i uklękła na wchodzącym w wodę skalnym występie. Przed nią w głębokim łożysku płynęła niemal czarna woda, zaledwie kilka kręgów znaczyło prąd; ale nieco wyżej huczała głośno spadając białą, lodowatą kaskadą. Teraz miesiąc żeglował już tak wysoko, że rzucał światło na ziemię, tu i ówdzie błyskał zroszony liść albo zapalała się iskra na zmarszczonej powierzchni wody.

Tuż za nią wymówił Erlend jej imię – nie słyszała, jak szedł przez łąkę. Krystyna zanurzyła ramiona w zimnej wodzie i wydobyła kilka mis do mleka; obciążone kamieniami leżały na dnie, by je woda wymyła. Po czym wyprostowała się i niosąc naczynia szła wraz z mężem w stronę domu. Idąc nie przemówili do siebie ani słowa.

Wszedłszy do izby Erlend rozebrał się zupełnie i wyciągnął w łożu.

– Nie kładziesz się jeszcze, Krystyno?

– Muszę najpierw coś zjeść. – Usiadła na drewnianym zydlu obok paleniska, z kawałkiem chleba i sera na kolanach, jadła powoli, wpatrzona w żar coraz bardziej ciemniejący w kamiennym zagłębieniu paleniska.

– Czy śpisz, Erlendzie? – szepnęła podnosząc się i strzepując okrucy.

– Nie. – Krystyna poszła w kąt izby i wypila pełny czerpak zsiadłego mleka. Potem zbliżyła się znowu do ognia, podniosła wielki, płaski kamień, nakryła nim żar i rozsypała zebrane kwiaty do suszenia.

Teraz jednak nie mogła już znaleźć sobie żadnej roboty. Rozebrała się po ciemku i położyła obok Erlenda. Kiedy otoczył ją ramieniem, poczuła ogromne znużenie niby zimna fala rozlewające się po całym ciele; głowa jej stała się pusta i ciężka, jak gdyby wszystko w niej opadło i skupiło się w bolesną bryłę gdzieś w karku. Kiedy jednak Erlend szepnął jej coś na ucho, posłusznie objęła rękami jego szyję.

Obudziła się wśród nocy. Nie wiedziała, jaka może być pora, ale przez dymnik nad paleniskiem dostrzegła, że księżyc stoi wysoko.

Łoże było wąskie i krótkie, tak że musieli leżeć zupełnie przytuleni do siebie. Erlend spał, oddychał spokojnie i miarowo, pierś jego wznosiła się i opadała wolno we śnie. Dawniej garnęła się mocno do jego zdrowego ciała, gdy budząc się w nocy czuła lęk, że tak niedosłyszalnie oddycha; wtedy słodko jej było czuć tuż obok wznoszenie się i opadanie jego piersi.

Po chwili wstała, ubrała się i po omacku dotarła do drzwi.

Księżyc płynął wysoko nad ziemią. Błyszczały w jasnej poświacie kałuże na bagnach i skaliste zbocza, po których dniem sączyła się woda, a teraz osadzał się lód. Światło padało na liściasty i jodłowy las, cała łąka skrzyła się od rosy. Mróz był przejmujący. Krystyna skrzyżowała ręce na piersiach i przystanąła.

Potem poszła na górę wzdłuż strumienia. Kruche, małe igły lodowe pod jej stopami wydawały, trzaskając, cichy dźwięk.

Na samym wierzchołku wzgórza sterczał z ziemi potężny złom skalny. Żaden człowiek nie miał odwagi przechodzić obok niego, chyba gdy musiał, a wtedy czynił znak krzyża. Wiosną, kiedy ludzie przychodzili na hale, oraz jesienią, gdy ciągnęli z powrotem, zwykli byli lać śmietaną na ziemię u stóp owego głazu. Poza tym Krystyna nigdy nie słyszała, by ktokolwiek ujrzał tam coś niezwykłego, ale taki był już prastary na hali obyczaj.

Sama nie wiedziała, co ją naszło, by tak nocą wyjść z domu. Przy skale zatrzymała się i oparła jedną stopę na występie. Żołądek jej kurczył się wprost ze strachu, czuła zimno i pustkę w całym ciele, ale nie chciała się przeżegnać. Potem wspięła się na górę i usiadła na skale.

Daleki był stąd widok, daleki: na przerażające, nagie szczyty skąpane w księżycowym blasku. Potężny grzbiet górski w paśmie Dovre wznosił się ogromny i blady na tle jasnych przestworzy; szreń na wyżu Graa połyskiwała białą, Góry Dzikie błyszczały świeżym śniegiem i lśniły niebiesko; w świetle księżycy były okropniejsze, niż mogła sobie wyobrazić – tu i ówdzie zaledwie jarzyła się gwiazda na niezmiernych, mroźnych niebiosach. Krystyna przemarzła do szpi-ku kości; przerażenie i zimno rzuciły się na nią ze wszech stron. Ale mimo to pozostała dalej na skale na przekór wszystkiemu.

Nie chciała zejść na dół i położyć się w czarnej ciemności obok

ciepłego, śpiącego męża. Czuli, że sama na pewno nie zaśnie tej nocy.

Było to tak pewne jak to, że jest córką swego ojca: jej małżonek nie posłuszy od niej nigdy wyrzutu z powodu swego postępowania. Pamiętała bowiem dobrze swój własny ślub uczyniony wówczas, kiedy Boga Wszechmocnego i wszystkich Świętych Królestwa Niebieskiego błagała o ocalenie Erlenda.

Musiała więc wyjść w tę niesamowitą noc i zaczerpnąć powietrza, zdawało jej się, że inaczej się udusi.

Siedziała i niby dobrym znajomym pozwalała wracać dawnym, goryczą zaprawionym myślom. Łączyła je z innymi dawnymi i dobrze znanymi myślami o rzekomej poprawie Erlenda.

Oczywiście, on nie żądał tego od niej. Nie złożył na jej barkach żadnego z tych ciężarów, które sama wzięła na siebie. Spłodził z nią tylko siedmiu synów. „O moich siedmiu synów już ja sam dbać będę, Arne”. Bóg raczy wiedzieć, co chciał przez to wyrazić. Prawdopodobnie nic – powiedział to ot tak sobie.

Erlend nie prosił jej nigdy, by podźwignęła z upadku Husaby. Nie prosił jej, by na śmierć i życie walczyła o jego wolność. Po księżęcemu znosił to, że życie jego wisiało na włosku, że stracił to, co posiadał. Pozbawiony wszystkiego, z iście księżęcą wyniosłością i spokojem zachował się w nieszczęściu i z księżęcym spokojem i godnością niby obcy gość przestąpił próg dworu jej ojca.

Lecz jej synowie mieli pełne prawo do wszystkiego, co posiadała ona. Mieli pełne prawo do jej potu, do jej krwi i wszystkich sił, które dla nich poświęciła. Dlatego dwór i ona sama mieli w zamian prawo użyć ich do pracy dla siebie.

Nie musiała bynajmniej jak prosta chałupnica udawać się na hale. Ale doszło do tego, że w domu u siebie czuła się osaczona i skrapowana – wprost nie mogła już oddychać. A prócz tego czuła potrzebę pokazania samej sobie, że potrafi spełniać ciężką chłopską robotę. Walczyła i harowała każdego dnia, każdej godziny, odkąd jako żona Erlenda przybyła na jego dwór, odkąd ujrzała, że konieczny był tam człowiek, który by walczył o to, by ratować dziedzictwo dla noszonego pod sercem potomka. Jeśli ojciec tego nie potrafił – ona to zrobić musiała. Teraz jednak powstała konieczność upewnienia

samej siebie, że jeśli do tego dojdzie, nie będzie takiej roboty, której by nie wykonała własnymi rękami, chociaż przedtem zwykła była powierzać ją swym dziewczkom i czeladzi. Ten dzień tu na hali, kiedy poczuła, że po wyrabianiu masła nie bołą ją plecy, był dobrym dniem. Cieszyła się, kiedy rankiem sama pomagała puszczać bydło na paszę; każda sztuka zaokrągliła się i rozrosła przez lato; ciężar na jej piersi stawał się lżejszy, kiedy o zachodzie słońca nawoływała krowy powracające z pastwiska. Chciała widzieć rosnące pod jej dłońmi zapasy, zdawało się jej, jakby sięgała aż do kamieni węglanych, na których opierała się przyszłość jej synów.

Jörund to był dobry dwór, ale nie taki dobry, jak sądziła, Ulf zaś obcy był w tej dolinie; zdarzało się, że popełniał błędy i niecierpliwił się. Wedle doświadczenia ludzkiego można było zawsze liczyć na dobry zbiór siana na Jörund; do dworu należały mokre łąki wzdłuż rzeki oraz na wysepkach. Ale nie było to znowu t a k i e dobre siano, do jakiego Ulf był przyzwyczajony w Tröndelag. Nie przywykł do zbierania zamiast dodatkowej paszy takiej ilości porostów i mchu, wrzosów i liści, jaka tutaj była konieczna.

Jej ojciec znał każdą piędź swej posiadłości, opanował w pełni ową chłopską wiedzę o kaprysach pór roku, potrafił radzić sobie z każdą glebą, czy podczas słońca, czy suszy, w wietrzne czy gorące lata; znał doskonale swe zwierzęta, które sam nabywał i sprzedawał, hodował i krzyżował przez całe pokolenia, słowem, miał wszystkie wiadomości, które tu były nieodzowne. Tak dobrze nie była obeznana ze swym dworem. Ale i to przyjdzie z czasem, a jej synowie powinni się tego uczyć.

Lecz Erlend nigdy tego od niej nie żądał. Nie ożenił się z nią po to, aby narzucić jej troski i pracę, lecz aby spała w jego ramionach. A potem, kiedy czas nastawał, dziecię leżało u jej boku i żądało dla siebie starunku i miejsca przy jej piersi.

Krystyna jęczała zaciskając zęby. Dygotała z gniewu i zimna.

„*Pactum serva!*”, czyli w naszej mowie: „Dochowaj wiary!”

Było to wówczas, kiedy Arne syn Gjavvalda oraz braciszek Leif z Holmu byli na Husaby, aby zająć się przewiezieniem ruchomego majątku jej i dzieci do Nidaros. I tę troskę Erlend jej pozostawił, on sam odpoczywał w klasztorze w Holmie. Krystyna mieszkała w mies-

cie, w domu należącym obecnie do mnichów. Arne był z nią razem przez cały czas i pomagał jej, jak tylko mógł, radą i czynem; Szymon przesłał do niego w tej sprawie pismo.

Arne nie mógł gorliwiej zająć się wszystkim, gdyby nawet chodziło o jego własny majątek i dobro. Pierwszego zaraz wieczora, zaledwie przyjechał do miasta, poprosił, aby Krystyna i pani Gunna z Raasvold, która przybyła z dwojgiem najmłodszych dzieci, zeszły do stajni. Stało tu siedem doborowych, najlepszych koni z Erlendowej stadniny. Ludzie chcieli być sprawiedliwi wobec byłego wójta i zgodzili się, gdy Arne przypomniał, że pięciu starszych synów musi mieć własne wierzchowce, tak samo Krystyna i jej pacholek. Arne może postawić świadków na to, że Erlend – chociaż półżartem – podarował kastylijczyka, swego hiszpańskiego ogiera, najstarszemu synowi Mikołajowi. Arne nie był wcale zachwycony długonogim zwierzęciem, ale wiedział, że Erlend kocha nade wszystko tego właśnie rumaka.

Ciężko było wyrzec się wspaniałej zbroi z wielkim szyszakiem i mieczem zdobnym w złoto, tłumaczył Arne, a choć te rzeczy nadawały się jedynie na turniej, to jednak warte były moc pieniędzy. Ale tarczę Erlenda z czerwonym lwem udało mu się zatrzymać. Zażądał także dla Naakkvego angielskiej zbroi ojca. Arne uważał ją za tak wspaniałą, iż wątpił, czy w całej Norwegii znajdzie się podobna, naturalnie jeśli się ktoś na tym rozumie. Przyniszczona była już dobrze, Erlend używał swej zbroi znacznie częściej aniżeli większość synów znakomitych rodów. Arne pieścił każdy kawałek z osobna – hełm i naramienniki, i nagolenniki, i rękawice ze stalowych, giętkich płytek, leciutki pancerz i kolczugę z pierścieni, sprężystą i miłą w dotyku, a przecież tak mocną. A ten miecz – miał wprawdzie jeno zwykłą, prostą rękojeść ze stali, a skóra była wytarta – ale taki brzeszczot nie co dzień się widzi.

Krystyna siedziała wówczas z mieczem na kolanach. Wiedziała, że Erlend przyjmie go jak ukochaną oblubienicę; ze wszystkich posiadanych mieczy tego jednego tylko używał. We wczesnej młodości dostał go od Zygmunta syna Torolfa zaraz po wstąpieniu do królewskiej świątyni. Raz jeden tylko wspomniał przed nią Erlend o swym przyjacielu: „Gdyby Bóg nie zabrał tak rychło Zygmunta z tego świata, wszystko zupełnie inaczej by się ułożyło. Po jego śmierci

jednak nie mogłem dłużej wytrzymać na królewskim dworze i w końcu wybłągałem u króla Haakona, aby mi zezwolił udać się na północ z Gisurem Galle. Wtedy jednak nigdy bym cię nie dostał, moja luba, byłbym już dawno żonatym człowiekiem, długo przedtem, zanim byś ty wyrosła”.

Krystyna słyszała od Munana syna Baarda, że Erlend pielęgnował przyjaciela dniem i nocą jak matka dziecko, że nie kładł się zupełnie spać i drzemał tylko od czasu do czasu z otwartymi oczami przy łożu chorego – tej ostatniej zimy, podczas której Zygmunt ciągle leżał i pluł krwią i kawałkami płuc. A kiedy pochowano Zygmunta w kościele Św. Halvarda, Erlend chodził co dzień na jego grób, leżał krzyżem na kamiennej płycie, pogrążony w ciężkiej żałobie. Z nią jednak ani razu nie rozmawiał o Zygmuncie, chociaż owej grzesznej zimy w Oslo spotkali się kilkakrotnie w kościele Św. Halvarda. Nie wspomniał nigdy, że leży tam jego najmilszy przyjaciel z lat młodości. I tak samo martwił się z powodu swej matki, wiedziała o tym; kiedy Orm umarł, odchodził niemal od zmysłów z żalości. Ale nie mówił o nich nigdy. Wiedziała, że jeździł do miasta i dowiadywał się o Małgorzatę, ale nie wymawiał nigdy imienia córki.

U góry miecza, tuż pod rękojeścią, ujrzała jakieś znaki ponacinane na ostrzu. Większość z nich to były runy, nie umiała ich przeczytać, podobnie Arne, ale mnich wziął miecz i oglądał go przez chwilę.

„*Pactum serva!*” – rzekł w końcu. – Znaczy to po naszemu: Docho-
waj wiary.

Arne i brat Leif mówili wtedy o tym, że większa część jej własnych dóbr tu, na północy, stanowiących jej wiano, została również zastawiona i roztrwoniona. Czy nie ma możliwości uratowania czegoś? Ale Krystyna nie chciała; przede wszystkim należało ratować dobre imię, nie chciała słyszeć żadnych spornych roztrząsań nad tym, czy postępowanie jej małżonka było zgodne z prawem, czy też nie. Tak więc gadanie Arnego, choć mówił to w najlepszej wierze, zadreśla ją nieomal na śmierć. Kiedy on i mnich pod wieczór życzyli jej dobrej nocy i odeszli do domostwa dla nich przeznaczanego, Krystyna rzuciła się przed panią Gunną na kolana i ukryła twarz na jej łonie.

Po długiej chwili starucha podniosła jej głowę. Krystyna spojrzała ku niej; oblicze pani Gunny było żółte, ciężkie, nalane, jakby z wo-

sku, pełne bladych piegów; trzy grube poprzeczne bruzdy przecinały czoło, niebieskie oczy patrzyły surowo, lecz życzliwie, zapadnięte, bezzębne usta okalała siwa szczerć brody. Krystyna widziała tę twarz w niejednej ciężkiej godzinie życia: zawsze gdy rodziła dziecko, pani Gunna była przy niej, brakło jej tylko przy narodzinach Lavransa, kiedy Krystyna bawiła w rodzinnym domu u łóża śmiertelnie chorego ojca.

– Tak, tak, moja córko – rzekła Gunna kładąc dłoń na czole Krystyny. – Niejeden raz byłam ci pomocna, kiedy twoja godzina przychodziła, ale w tej walce, moja Krystyno, musisz się zwrócić chyba tylko do Matki Bożej i Ją błagać, aby ci pomogła.

Ach, Krystynie zdawało się, że już to uczyniła. Odmawiała wszak pacierze, a każdej soboty urywki z psalterza, przestrzegała postów, które jej przy spowiedzi nałożył arcybiskup Eilif, rozdawała jałmużnę i sama ugaszczała każdego wędrowca szukającego schronienia, którokolwiek by to był. Ale teraz, kiedy to czyniła, nie czuła w sobie tego wewnętrznego światła co wprzód. Wiedziała, iż światłość jest z zewnątrz, ale miała wrażenie, że dławiące gęste opary zagradzają dostęp do jej serca. To było z pewnością to, o czym mówił Gunnulf: duchowa posucha. Z tego powodu jednak żadna dusza nie powinna tracić odwagi, mawiał sira Eilif; należy tylko wiernie trwać przy modlitwie i dobrych uczynkach, przecie i chłop orze i nawozi, i sieje, a Bóg zsyła deszcz, kiedy czas przyjdzie. Ale cóż – sira Eilif nigdy w życiu nie władał własnym dworem.

Gunnulfa nie widziała tym razem zupełnie. Wędrował gdzieś na północy po Helgolandii, wygłaszał kazania i zbierał datki na klasztor. Och tak, to był jeden z synów rycerza na Husaby, a drugi...

Natomiast Małgorzata córka Erlenda odwiedziła Krystynę kilkakrotnie. Dwie dziewczki towarzyszyły zawsze żonie kupca. Była pięknie ubrana i aż błyszcziała od klejnotów; jej teść był złotnikiem, takich rzeczy nie brak więc było w domu. Robiła wrażenie zadowolonej i szczęśliwej, choć nie miała dzieci. Należną jej ojcowiznę dostała na czas. Bóg jeden wiedział, czy myśli jej biegnąć kiedykolwiek ku nieszczęsnemu kalece, Haakonowi na Gimsarze; Krystyna słyszała, że o dwu kulach z trudem tylko może wlec się przez dziedziniec.

Ale nawet i wówczas nie żywiła goryczy ani urazy do Erlenda, tak

się jej przynajmniej zdawało. Pojmowała, że Erlend przeszedł naj-szoższą mękę, kiedy go wypuszczono z więzienia. Ukrywał się wtedy poza miastem u opata Olafa. Doglądać samemu przewodniczki, pokazywać się w mieście – to było ponad jego siły.

Potem przyszedł dzień, kiedy płynęli przez fiord trondhjemski – na tym samym statku, na którym Erlend przewiózł ongi skrzynie z jej wyprawą na północ, wówczas kiedy otrzymali zezwolenie ojca na zawarcie małżeństwa.

Był cichy dzień późnej jesieni. Na fiordzie drżał blady, ołowiany błysk, świat cały był zimny, niespokojny, spowity zbrudzoną bielą: na zamarzniętych polach wiatr ponawiewał śniegu w zasy, także na sinych górach ponowa ułożyła się w białe smugi. Chmury płynące wysoko pod błękitnym sklepieniem niebios wyglądały jak tuman rozprószonej wiatrem mąki. Statek posuwał się ciężko i z trudem wzdłuż brzegów okrążając półwysep. Krystyna stała na pokładzie, patrzyła na białą pianę opłukującą nadbrzeżne skały i pytała się w duchu, czy znowu zachoruje tak ciężko, gdy wypłyną dalej na fiord.

Erlend stał przy burcie na samym dziobie statku, obok niego dwaj najstarsi synowie. Wiatr igrał w ich włosach i wydymał okrycia.

Teraz można już było dojrzeć Korsfiord, Gaularos i ujście rzeki koło Birgsi. Promień rozświetlił właśnie brunatne i białe zbocze nad wybrzeżem.

Erlend mówił coś do chłopców. Björgulf odwrócił się nagle i poszedł na tył okrętu. Idąc macał przed sobą włócznią, którą stale nosił i której używał teraz jako laski w przejściu między pustymi ławkami wioślarzy. Przeszedł tuż obok matki ze zwieszoną nisko na piersi kędzierzawą głową; mrugał oczami tak silnie, że zdawały się prawie zamknięte, usta miał zaciśnięte. Poszedł na górny pomost.

Matka spojrzała w stronę tamtych dwóch. Nagle Naakkve przykłęknął na jedno kolano jak paż witający swego króla, ujął rękę ojca i ucałował ją.

Erlend wyrwał natychmiast rękę, Krystyna widziała przez mgnienie oka jego twarz śmiertelnie bladą i drżącą; potem odwrócił się od chłopca i szybko zniknął za wielkim żaglem.

Na noc zatrzymali się w porcie koło Möre. Morze było teraz wzburzone. Statek szarpał linę kotwiczną, podnosił się i opadał

Krystyna znajdowała się w pomieszczeniu na dole, gdzie miała spać z Erlendem i dwojgiem najmłodszych dzieci. Gzuła się straszliwie źle, nie mogła w żaden sposób utrzymać równowagi na chwiejnych deskach statku, które pod jej stópami podnosiły się i opadały; latarnia, obciążona przezroczywą skórą, huśtała się nad jej głową rzucając mdłe, migotliwe światelko, ona zaś biedziła się chcąc zmusić Munana, by się wysiłował między deski. Zdarzało się bowiem nieraz, że gdy się budził rozespany wśród nocy, moczył jej łożę, wrzeszczał, rzucał się i nie pozwalał, by obca kobieta, jego matka, dotykała go i wysadzała. W tej chwili Erlend zeszedł na dół.

Nie mogła dojrzeć jego twarzy. Bardzo cicho zapytał:

– Czy widziałaś Naakkvego? Miał zupełnie twoje oczy, Krystyno – Erlend odetchnął krótko i gwałtownie. – Takie były twoje oczy w ów ranek przed ogrodem zakonnicy, gdyś się dowiedziała tego najgorszego o mnie, a jednak ślubowałaś mi wierność.

Wówczas to poczuła pierwszą kroplę goryczy sącząca się w jej serce. Oby Bóg strzegł chłopca! Oby nigdy nie musiał dożyć dnia, w którym pozna, że złożył swą wierność w ręce, przez które przecieka wszystko niby woda i suchy piach.

Już od dłuższej chwili zdawało się jej, że słyszy od strony gór na południu tętent. Teraz zabrzmiał znowu daleko bliżej; nie były to luźno pasące się konie, tylko jakiś jeździec jadący kłusem przez piargi poniżej zbocza.

Krystynę opadł straszliwy, krew w żyłach ścinający lęk; kto może być w drodze o tej porze? Umarli chyba jadą na północ w blasku ubywającego miesiąca – czy nie słyszy całego orszaku jadącego z tyłu za pierwszym jeźdźcem? Mimo to siedziała dalej; sama nie wiedziała, czy dlatego, że zupełnie zeszytniała, czy też z zawziętości i uporu.

Ów jeździec zmierzał w jej stronę, teraz przejeżdżał bród poniżej pastwiska, ujrzała ponad wikliną połyskujące ostrze włóczni. Zsunęła się z kamienia, chciała biec do chaty, ale jeździec zeskokczył już z konia, uwiązał go do płotu i narzucił na niego swoje okrycie. Szedł w górę przez łąkę, barczysty i wielki. Teraz poznała go: był to Szymon Darre.

Gdy ją dostrzegł zbliżającą się w blasku księżyca, wydawał się tak samo przerażony jak ona.

– Jezu, Krystyno, czy to ty naprawdę? Dlaczegoż to przebywasz sama o tej porze tutaj, na łące? Oczekiwałaś mnie? – spytał nagle jakby w ogromnej trwodze. – Może otrzymałaś jakąś zapowiedź, że przybędę?

Krystyna potrząsnęła głową.

– Nie mogłam spać. Szwagrze, co się z tobą dzieje?

– Andrzej jest bardzo chory, Krystyno, boimy się o jego życie. Przyszło nam więc na myśl... Wiemy przecież, że w takich rzeczach ty masz największe doświadczenie. Musisz pamiętać, że to syn twojej rodzonej siostry. Chceszli oddać nam tę przysługę i udać się wraz ze mną do dziecka? Wiesz, że nie nachodziłbym cię tu nocą, gdybym nie był pewien, że życie chłopca jest zagrożone – rzekł błagalnie.

Te same słowa powtórzył w izbie do Erlenda, który jeszcze na wpol rozespany i wielce zdumiony siedział w łożu. Erlend usiłował pocieszyć szwagra, mówił jak doświadczony mąż: takie maleństwa łatwo dostają gorączki i majaczą, jeśli są tylko trochę zaziębione; może choroba nie jest wcale taka niebezpieczna, jak wygląda.

– Możesz mi wierzyć, Erlendzie, nie przyszedłbym wśród nocy do Krystyny, gdybym nie widział, że dziecko walczy ze śmiercią.

Krystyna rozdmuchała tymczasem żar i przyłożyła dREW; Szymon siedział wpatrzony w ogień i pił łapczywie mleko, które mu podała, ale jeść nie chciał. Najchętniej pojechałby zaraz z powrotem, gdy tylko jego pachołkowie przybędą. „Jeślibyś chciała jechać ze mną, Krystyno?” Jeden z jego pachołków ma przyprowadzić na górę pewną wdowę służącą na Formo, dzielną niewiastę, która tymczasem zajmie się gospodarstwem na hali. – Bardzo dzielna jest Aasbjörga – powtórzył raz jeszcze.

Pomagając jej dosiąść konia Szymon powiedział:

– Najchętniej wracałbym najkrótszą drogą na południe, jeśli nie masz nic przeciw temu.

Krystyna nigdy jeszcze nie była w tej części gór, ale wiedziała, że tamtędy prowadzi stroma ścieżka w dolinę, prosto z górskiego zbocza na Formo. Odpowiedziała więc, że pojedzie, ale w takim razie któryś z pachołków musi skoczyć na Jörund po jej szkatułkę i woreczki

z lekami i ziołami. Niech zbudzi Gautego, chłopiec wie najlepiej, gdzie tych rzeczy szukać.

Na skraju wielkiego bagniska mogli jechać strzebię w strzebię i Krystyna kazała sobie raz jeszcze opowiedzieć o chorobie chłopaka. Dzieci na Formo przechodziły około świętego Olafa lekkie zapalenie gardła. Ta nowa historia z Andrzejem zaczęła się zupełnie niespodziewanie przed paru dniami, kiedy wydawał się najzupełniej zdrowy. Szymon zabrał go ze sobą na przechadzkę, pozwolił mu nawet jechać na wozie ze zbożem przez pola i nagle mały zaczął się skarżyć, że mu zimno. Kiedy Szymon uważnie mu się przyjrzał, zobaczył, że dzieckiem wstrząsały silne dreszcze, aż szczekało zębami. Potem przyszła wysoka gorączka i kaszel, odpluwał paskudną brązową flegmę; odczuwał silne bóle w całej piersi, ale maleństwo nie bardzo dokładnie mogło wskazać, gdzie najsilniej boli.

Krystyna dodawała Szymonowi odwagi, jak mogła, potem znowu musiała jechać z tyłu za nim. Raz odwrócił się ku niej pytając, czy nie marznie; chciał, by narzuciła jego okrycie na swoje.

Potem znów mówił o swym synku. Zauważył już przedtem, że chłopak nie bardzo jest silny. Ale tego lata i jesienią znacznie się wzmocnił, jego matka również tak twierdziła. Tak, w ciągu ostatnich dni przed chorobą był nieco dziwny i lękliwy. „Boję się” – mówił, gdy go psy obskakiwały chcąc z nim pobaraszkować. W dniu, kiedy Andrzej zachorował, Szymon przyniósł pod wieczór do domu kilka dzikich kaczek. Andrzej zwykle bawił się ubitymi ptakami, wtedy jednak krzyknął głośno, gdy ojciec podsunął mu pęk związanych ptaków. Potem zbliżył się wprawdzie i dotknął kaczek, ale gdy zawałał się krwią, przestraszył się okropnie. Dziś wieczór leżał i jęczał boleśnie nie mogąc znaleźć ulgi ani snu – nagle zerwał się i krzyknął coś o jastrzębiu, który go prześladowuje.

– Pamiętasz jeszcze ten dzień, w którym wieść o urodzeniu syna doszła do mnie w Oslo? „Tak więc twoi potomkowie będą żyli po tobie na Formo”, rzekłś.

– Nie mów tak, Szymonie, jak gdybyś myślał, że umrzesz bez dziedzica. Bóg i Jego miłosierna Matka dopomogą. Zupełnie do ciebie nie pasuje, szwagrze, popadać w takie zwątpienie.

– Halfrida, moja pierwsza żona, powiedziała do mnie to samo,

kiedy urodziła naszego syna. Czy wiedziałaś, Krystyno, że miałem syna z Halfridą?

– Tak. Ale Andrzej ma już przecież trzy lata, najtrudniej zaś utrzymać dzieci przy życiu przez pierwsze dwa lata. – Lecz Krystyna czuła, że jej słowa niewiele tu mogą pomóc. Jechali i jechali, konie wspinały się na jakieś wzgórze, kiwały głowami i otrząsały się, uprząż dzwoniła; żadnego głosu nie było słycać wśród mroźnej nocy prócz stapania koni i szumu wody, kiedy przejeżdżali potoki, a ponad wszystkim świecił księżyc. Piarżyska i nagie skały błyszcząły martwo niby śmierć.

Wreszcie dojechali do miejsca, skąd można już było widzieć z góry dolinę. Leżała zalana miesięczną jasnością; rzeka, bagniska i małe jezioro w dali lśniły srebrzyście, pola i łąki były białe...

– Tej nocy także i w dolinie zamarzło – rzekł Szymon.

Kiedy mieli zjeżdżać na dół, Szymon zeskoczył z konia i poprowadził wierzchowca Krystyny za uzdę. Ścieżka była w wielu miejscach tak stroma, że Krystyna nie śmiała patrzeć przed siebie. Szymon podpierał plecami jej kolana, jedną ręką trzymała się mocno końskiego grzbietu. Od czasu do czasu odrywał się pod kopytami kamień, spadał w dół, zatrzymywał się i znów toczył dalej porywając inne za sobą.

W końcu stanęli na dole. Jechali teraz przez jęczmienne pola na północ od dworu, między zeszywniałymi od zimna snopami. Nad ich głowami w osikach szeleściło i szemrało niesamowicie wśród cichej, jasnej nocy.

– Czy to prawda – zapytał Szymon ocierając rękawem twarz – że nie otrzymałaś żadnej zapowiedzi o moim przybyciu? – Krystyna odpowiedziała, że nie. Szymon mówił dalej:

– Zdarza się, iż człowiek może mieć taką zapowiedź, jeśli ktoś tęskni za nim. Ramborga i ja niejednokrotnie mówiliśmy, że gdybyś ty była u nas, zanalazłabyś jakąś radę.

– Żadne z was nie przyszło mi na myśl w ostatnich dniach – odrzekła Krystyna. – Możesz mi wierzyć, Szymonie. – Ale nie wiedziała wcale, aby go to pocieszyło.

Na dziedzińcu przyskoczyło natychmiast kilku parobków i zajęło się końmi. – Ma się tak samo jak wówczas, kiedyś odjeżdżał, Szymo-

nie. Gorzej nie jest – rzekł szybko jeden patrząc w twarz pana. Szymon skinął głową i poszedł przed Krystyną ku niewieściej izbie.

Krystyna spostrzegła natychmiast, że stan chorego jest groźny. Malec leżał w wielkim, pięknym łożu, jęczał głośno i dyszał bez przerwy rzucając głową. Był cały rozpalony i purpurowy na twarzy, leżał z półotwartymi, błyszczącymi oczami i oddychał z trudem. Szymon trzymał rękę Ramborgi w swojej, a wszystkie kobiety dworskie, zebrane w izbie, obstały Krystynę, kiedy podeszła do dziecka i głaskała je.

Mówiła możliwie spokojnie i pocieszała rodziców, jak tylko mogła. Jest to zapewne zapalenie płuc, ale noc ma się już ku końcowi, a w stanie chorego nie nastąpiło pogorszenie; leży zaś w naturze tej choroby, że w trzecią, szóstą albo też siódmą noc przed pianiem kura następuje przesilenie. Prosiła Ramborgę, by odesłała na spoczynek wszystkie sługi oprócz dwu, tak aby miała zawsze do pomocy wypożyczone dziewczki. A kiedy pacholek posłany na Jörund przywiózł jej leki, przygotowała chłopcu napój na poty i puściła mu krew z nogi, by złe soki szybciej odciągnąć z płuc.

Ramborga zbladła przeraźliwie ujrawszy krew dziecka. Szymon objął ją ramieniem, ale odtrąciła go, usiadła na zydlu u stóp łoża i pozostała tam wpatrując się w Krystynę wielkimi, czarnymi oczyma, podczas gdy ta krzątała się cicho koło chłopca.

W ciągu dnia, kiedy dziecko miało się nieco lepiej, Krystyna nakłoniła Ramborgę, by się położyła na ławie. Podesłała siostrze poduszki i nakrycia, usiadła przy niej i głaskała ją leciutko po twarzy. Ramborga chwyciła rękę siostry.

– Ty chyba dobrze nam zyczysz? – odezwała się z głośnym jękiem.

– Jakże mogłoby być inaczej, sestro? Przecież z naszego rodu tylko my dwie mieszkamy w tej dolinie.

Ramborga jęczała głośno, zagryzając z całych sił wargi; nagle załkała cichym, zduszonym płaczem. Krystyna widziała raz tylko swą młodszą siostrę płaczącą: kiedy stała przy śmiertelnym łożu ojca.

Teraz z oczu Ramborgi trysnęło kilka łez i stoczyło się prędko po licach. Podniosła dłoń Krystyny i przyjrzała się jej uważnie. Dłoń ta była długa i wąska, ale popękana i ciemna.

– A mimo to twoja ręka ładniejsza jest od mojej – powiedziała.

Ręce Ramborgi były małe i białe, ale palce krótkie, a paznokcie czworokątne.

– Tak, na pewno – mówiła prawie gniewnie, bo Krystyna potrząsała głową i śmiała się cicho. – I piękniejsza jesteś, niż ja byłam kiedykolwiek. I ojciec, i matka miłowali cię zawsze bardziej ode mnie. Ty przysporzyłaś im cierpienia i niesławy, ja zaś byłam posłuszną i powolną; zwróciłam swoje uczucie ku temu mężowi, za którego najchętniej chcieli mnie wydać, a jednak ciebie kochali bardziej.

– Nie, siostrzo. Ciebie tak samo kochali. Bądź szczęśliwa, Ramborgo, żeś im nie zgotowała nigdy nic innego prócz radości, nie wiesz, jak ciężko jest znosić to drugie. Byli tylko po prostu młodsi wtedy, kiedy ja byłam młoda, i dlatego może więcej ze mną mówili.

– Pewnie, zdaje mi się nieomal, jakoby wszyscy byli młodsi wówczas, kiedyś ty była młoda – odparła Ramborga z westchnieniem.

Wkrótce potem zasnęła. Krystyna siedziała obok i przyglądała się jej. Tak mało знаła swoją siostrę; Ramborga była niemal dzieckiem, kiedy ona wyszła za męża, i zdawało jej się, że w pewnym stopniu dzieckiem pozostała. Kiedy siedziała pochylona nad chorym synem, wyglądała zupełnie jak blade, strwożone dziecko, walczące o to, by się nie poddać lękowi i strapieniu.

Zdarza się niekiedy, że zwierzęta przestają się rozwijać, skoro zbyt wcześnie wydadzą na świat młode. Ramborga nie miała pełnych pięciu lat, kiedy powiła córkę, i od tego czasu nie rozwinęła się niemal wcale. Pozostała dalej mała i drobna, pozbawiona kobiecej bujności i płodności. Potem wydała na świat swego jedynaka, który był zawsze dziwnie słabowity. Twarzyczkę miał piękną, jasną i delikatną, ale maleńką i drobną, bardzo późno nauczył się chodzić, a z takim trudem mówił jeszcze i teraz, że tylko ci, którzy z nim stale przebywali, mogli zrozumieć jego szczebiot. Był też lękliwy wobec obcych, Krystyna ledwie śmiała go dotknąć. Jeśli Bóg i święty Olaf użyczą jej tego szczęścia, że uratuje to biedne maleństwo – och, wówczas każdego dnia będzie im dziękowała. Takie dziecko jak ta

oto matka nie mogłoby przeżyć tej straty. I Krystyna zrozumiała, że i Szymonowi Darre byłoby ogromnie ciężko pogodzić się z losem, jeśliby jego jedyny syn odszedł od niego.

Teraz, kiedy widziała okrutną twogę i cierpienie Szymona, zrozumiała dopiero, jak bardzo stał się jej bliski. Pojmowała dobrze miłość swego ojca do Szymona. Mimo to pytała się w duchu, czy Lavrans postąpił słusznie wobec Ramborgi dążąc tak bardzo do tego małżeństwa. Bo gdy patrzyła na swoją małą siostrzyczkę, zdawało jej się, że Szymon jest nie tylko stary, ale także zbyt ociężały i niezdarny na męża tego dziecka.

3

Dnie mijały, a mały Andrzej leżał dalej chory; nie nastąpiła żadna widoczna zmiana ani na lepsze, ani na gorsze. Najbardziej męczące było jednak to, że nie mógł zupełnie zasnąć. Z półprzymkniętymi oczami leżał i zdawał się nikogo nie poznawać, kaszel i duszności dręczyły bez przerwy jego wyniszczone ciało, a gorączka podnosiła się od czasu do czasu. Pewnego wieczoru, kiedy Krystyna dała mu do wypicia jakiś środek nasenny, uspokoił się wreszcie, ale po chwili ujrzała, że dziecko zasnęło zupełnie, a skóra jego stała się wilgotna i zimna. Natychmiast wlała mu trochę ciepłego mleka do ust i podłożyła pod nóżki grzane kamienie, odtąd nie śmiała jednak dawać mu niczego na sen; zrozumiała, że jest za słaby, by znieść taki napój.

Sira Solmund przyszedł do dziecka z wiatykiem. Szymon i Ramborga ślubowali msze, posty i szczodłą jałmużnę, jeśli ich Bóg wysłucha i utrzyma syna przy życiu.

Pewnego dnia przejeżdżał przez Formo Erlend; nie chciał zsiąść z konia i wejść do domu, Szymon i Krystyna rozmawiali więc z nim na dziedzińcu. Patrzył na nich szczerze zmartwiony. A jednak ten właśnie wyraz jego twarzy zawsze dziwnie niechętnie usposabiał Krystynę. Na pewno sprawiało mu ból, gdy widział czyjąś chorobę i smutek, ale czynił wrażenie zakłopotanego i zmieszanego; wyglądał całkiem bezradnie, ilekroć było mu kogoś żal.

Potem co dnia przychodził na Formo Naakkve albo bliźniacy i pytali o zdrowie małego Andrzeja.

Szósta noc również nie przyniosła zmiany, ale w ciągu dnia zdawało się, że chłopcu jest trochę lepiej: nie był taki rozpalony. W południe Szymon i Krystyna sami czuwali przy nim. Ojciec wyciągnął złoty medalion, który nosił stale na sznurku na szyi. Pochylił się nad chłopcem, poruszał medalionem przed jego oczyma, wsunął mu go w rękę i zamknął paluszki, lecz Andrzej nie czuł tego zupełnie.

Szymon dostał ten medalion jako małe dziecko i od tego czasu nosił go zawsze; ojciec jego przywiózł go aż z Francji. Był on poświęcony w klasztorze zwanym Górą Świętego Michała¹ i zawierał obrazek tego świętego z wielkimi skrzydłami. – Andrzej zawsze chętnie oglądał ten medalion – mówił Szymon cicho. Ale dziecko sądziło, że wizerunek wyobraża koguta, i nazywało wodza aniołów kogutem. Z czasem Szymon nauczył je wymawiać słowo „anioł”. Ale raz, kiedy stali na dziedzińcu, Andrzej widział, jak kogut poskramia jedną z kwok. – „Teraz anioł jest zły, ojczu” – powiedział.

Krystyna spojrzała błagalnie na Szymona, serce jej pękało, gdy go słuchała, chociaż mówił zupełnie spokojnie i cicho. Była ostatecznie wyczerpana po tych wszystkich nie przespanych nocach, ale czuła, że nie wolno jej się teraz rozpląkać.

Szymon wsunął medalion z powrotem pod koszulę.

– Pragnę przez całe życie rok w rok ofiarowywać kościołowi w dzień świętego Michała trzyletniego byka, jeśli ów święty zechce trochę poczekać, zanim wezwie do siebie tę duszę. Toż leżałby jak oskubane pisklątko na szali, ten mój maleńki Andrzej. – Kiedy Szymon usiłował się roześmiać, głos mu się załamał.

– Szymonie, Szymonie – prosiła Krystyna.

– Stanie się, co się stać musi, Krystyno. Bóg sam kieruje wszystkim. On z pewnością wie najlepiej. – Nie powiedział nic więcej, stał tylko i patrzył na syna.

¹ Mont-Saint-Michel, skalista wyseпка u zachodnich wybrzeży Francji oraz znajdująca się na tej wysepce opactwo benedyktyńskie, założone w 709 r.

W ósmą noc Szymon i jedna z dziewczek czuwali przy łożu chorego, Krystyna zaś zdrzemnęła się nieco. Kiedy się obudziła, służebna spała, Szymon siedział tak samo jak przez te wszystkie noce na ławie obok wezglowia chorego, z głową pochyloną nad dzieckiem.

– Śpi? – szepnęła Krystyna zbliżając się.

Szymon uniósł głowę i przesunął ręką po twarzy; ujrzała że policzki ma mokre. Ale odpowiedział cicho i spokojnie:

– Widzi mi się, Krystyno, że Andrzej nie wcześniej zazna snu, aż dopiero, gdy znajdzie się w poświęconej ziemi.

Krystyna stała przed nim; miała wrażenie, że cała drętwieje. Powoli bladła pod ogorzałością, stała się biała aż po wargi.

Potem poszła w kąt izby i wzięła swoje okrycie.

– Musisz tak urządzić – mówiła z trudem, jak gdyby gardło i usta miała wyschnięte – byś tu był zupełnie sam, kiedy powrócę. Zostań tu przy nim. A kiedy zobaczysz mnie wchodzącą, nie mów ani słowa, także i później nie mów nigdy słowa o tym ani do mnie, ani do nikogo, nawet do swego spowiednika.

Szymon podniósł się, z wolna zbliżył się do niej. On także był bardzo blady.

– Nie, Krystyno! – wymówił ledwie dosłyszalnie. – Ja... nie odważę się na to, żebyś tam poszła.

Krystyna zarzuciła na siebie okrycie, ze skrzyni stojącej w kącie wyciągnęła płócienną szmatkę, złożyła ją i ukryła na piersiach.

– Ale ja się odważę. Wiesz, że nikt nie może zbliżyć się potem do nas, dopóki nie zawołam. Nikt nie może przemówić do nas, zanim się chory nie zbudzi i sam nie przemówi.

– Co pomyślałby o tym twój ojciec? – szepnęła słabo. – Krystyno, nie czyń tego!

– I pierwiej robiłam to, co memu ojcu wydawało się niesłuszne, i to jedynie dlatego, aby przeprowadzić swoją wolę. Andrzej jest również jego ciałem i krwią, moim własnym ciałem, Szymonie, synem mojej jedynej siostry.

Szymon oddychał ciężko, drżał cały; oczy wbił w ziemię.

– Jeśli jednak nie chcesz, bym się ważyła na tę ostatnią próbę...

Szymon stał jak przedtem ze zwieszoną głową, nie odpowiadał. Powtórzyła tedy raz jeszcze pytanie, sama nie wiedząc, że

słaby, dziwny, prawie szyderczy uśmiech wybiegł na jej poblądłe wargi.

– Czy nie chcesz, abym szła?

Odwrócił głowę, ona zaś przeszła mimo niego, w milczeniu przestąpiła próg i cicho zawarła za sobą drzwi.

Na dworze była przerażająca ciemność; od czasu do czasu powiał leciutki wiatr z południa, wtedy gwiazdy iskrzyły się silniej i migotały niespokojnie.

Nie uszła jeszcze dalej jak do dróżki między opłotkami, a już zdawało jej się, że idzie wieczność całą. Nieskończona droga leżała za nią i przed nią – jak gdyby Krystyna nigdy już nie miała ujść temu, na co się odważyła w chwili, kiedy wyszła w tę noc.

Ciemność dokoła stała się jakąś samoistną mocą, przez którą Krystyna brnęła naprzód. Droga była śliska i rozorana przez liczne jeżdżące tędy wozy z gnojem, a obecnie tajała pod tchnieniem ciepłego wiatru. Za każdym krokiem musiała się Krystyna na nowo wydierać nocy i zimnej wilgoci czepiającej się jej nóg, pełzającej po całym ciele i obciążającej niemiłosiernie jej szaty. Chwilami tuż koło niej spadał z szelestem liść, jakby żywa istota dotykała jej w ciemności, ostrożnie, pewna swej przewagi: „Zawróć, Krystyno”.

Gdy wyszła na gościniec, chód jej stał się lżejszy. Droga była tu porośnięta trawą, nogi nie grzęzły w błocie. Czuła, że twarz jej stężała jak kamień, a ciało jest napięte i sztywne: każdy krok zbliżał ją nieubłaganie do małego lasku, który musiała przejść. Rosła w niej obezwładniająca pewność: za żadną cenę nie odważy się przejść tego obszaru zupełnej ciemności. Ale nie myślała o powrocie. Ze strachu zatraciła poczucie własnej cielesności, mimo to szła wciąż dalej, niby we śnie kroczyła po wykrotach, kamieniach i wybojach, z nieświadomą ostrożnością, by się tylko nie potknąć, nie dać się wytrącić z miarowego stąpania, nie dać się opanować przerażeniu.

Teraz świerki szumiały coraz to bliżej i bliżej; weszła między drzewa, z nieomylną pewnością lunatyczki szła pośród nich. Słyszała najmniejszy szmer, ale nie śmiała podnieść powiek w otaczającej ją czerni. Szum rzeki, głębokie westchnienia w gałęziach, szmer potoku na kamieniach – wszystkiemu szła naprzeciw, przechodziła mimo

i szła dalej. Naraz w górze na zboczu oderwał się kamyk i stoczył się w dół, jakby się coś żywego tam poruszyło; zimny pot oblał jej ciało, ale nie śmiała przyspieszyć ani zwolnić kroku.

Kiedy wyszła z lasu, oczy jej tak dalece przywykły do ciemności, że mogła coś niecoś rozeznąć. Ślubiutkie lśnienie słało się na wstędze rzeki i na mokradłach nabrzeżnych. Z ciemności wyłaniały się pola, skupiska zabudowań wyglądały jak zwały ziemi. Niebo nad nią także zdawało się rozjaśniać, czuła to, nie miała jednak odwagi spojrzeć w górę, ku niebosiężnym, czarnym szczytom.

Wiedziała, że wkrótce już wzejdzie księżyc. Usiłowała uprzytomnić sobie, że za cztery godziny będzie dniało. Ludzie po wszystkich dworach w dolinie udadzą się do zwykłej roboty, szary brzask rozjaśni wyżej. Wtedy droga ta nie jest wcale długa, w słonecznym świetle niedaleko jest z Formo do kościoła. A do tej pory ona już dawno będzie z powrotem. Ale miała wrażenie, że będzie zupełnie inna aniżeli wówczas, kiedy wychodziła.

Wiedziała: gdyby chodziło o jedno z jej własnych dzieci, przenigdy nie odważyłaby się na tę ostateczną próbę. Jakże to? Bogu zagrozić drogę, gdy wyciąga dłoń po żyjącą duszę? Dawniej, kiedy nieraz siedziała nad łóżem swoich chorych dzieci, kiedy była jeszcze młoda, a serce miała miękkie i nieodporne, złamana męką i serdeczną trwogą, usiłowała powtarzać: „Panie, Ty miłujesz je bardziej ode mnie, dziej się wola Twoja”.

Teraz jednak wyszła w czarną noc przewyciężając dławiącą bojaźń. Chciała ratować dziecko, które nie było jej dzieckiem, bez względu na to, jakikolwiek los będzie mu potem przeznaczony.

...Albowiem i ty, Szymonie Darre, przyjąłeś pomoc wówczas, gdy chodziło o najdroższe, co posiadasz na ziemi, przyjąłeś więcęj, niż przyjąć może człowiek bez uszczerbku na czci.

„Nie chcesz, bym szła, Szymonie?” – Nie zdobył się na odpowiedź, nie miał serca odpowiedzieć. W najgłębszym swym wnętrzu wiedziała: gdyby dziecko umarło, Szymon i to potrafiłby znieść. Ale w tej jednej, jedynej chwili, w której ujrzała, że bliski jest zupełnego załamania, ofiarowała się sama – pochwyciła tę chwilę i wzięła ją z sobą. Tę tajemnicę chciała mieć wspólną z nim, aby wiedział, że i ona widziała go kiedyś w chwili słabości.

Bo on zbyt wiele już wiedział o niej. Od tego męża niegdyś przez nią wzgardzonego, przyjmowała pomoc za każdym razem, gdy chodziło o ocalenie człowieka, którego wybrała. Odtrącony zalotnik był człowiekiem, do którego zwracała się zawsze, ilekroć trzeba jej było oparcia, by swoją miłość ratować. I nigdy nie prosiła Szymona nadaremnie. Zawsze nieustannie gotów był na nowo stanąć u jej boku, gotów był swą dobrocią i siłą ją wesprzeć.

Tak więc podjęła ową nocną wyprawę, by choć trochę zmniejszyć brzemień swego długu, którego przytłaczający ciężar nie był jej nigdy tak w pełni świadomy jak tej godziny.

Szymon zmusił ją w końcu do zrozumienia, że jest silniejszy – silniejszy od niej samej i od owego człowieka, którego wybrała i któremu była powolna. Wiedziała o tym niemal od chwili, kiedy we troje stali naprzeciw siebie w komorze na poddaszu Brynhildy, chociaż wówczas jeszcze nie chciała widzieć tego, iż ten krągłolicy, grubawy, pocziwy młodzieńczyk silniejszy jest niż...

Tak więc szła, nie mając odwagi przyzwać imienia żadnego świętego; wzięła ten grzech na siebie, aby... nie wiedziała sama – może, aby się pomścić, pomścić za to, że musiała uznać, iż on jest bardziej wspaniałomyślny od nich obojga.

„Teraz jednak widzisz i ty, Szymonie, że kiedy idzie o życie tego, kto miłszy ci jest nad twoje własne serce, to biedny człek czepia się wszystkiego, wszystkiego...”

Kiedy wchodziła na kościelne wzgórze, miesiąc wychynął właśnie zza gór. I po raz wtóry zdawało się jej, że zalewa ją fala przerażenia. Światło księżyca niby przejrzysta pajęczyna osnuwało smołowane ściany, kościół stał okropny i groźny pod tą cienką zasłoną. Ujrzała stojący wśród murawy krzyż i po raz pierwszy w życiu nie śmiała zbliżyć się i ucałować świętego drzewa. Chyłkiem prześliznęła się w stronę, gdzie cmentarny mur z torfu i kamienia był najniższy i najłatwiejszy do przejścia.

Gdzeniegdzie wśród wysokiej zroszonej trawy błysnęła jak woda grobowa płyta. Krystyna szła przez cmentarz ku grobom najuboższych, pod mur od strony południowej.

Szła tam, gdzie został pochowany pewien biedny, obcy w dolinie przybysz. Przed wielu laty zamarzył on w górach; jego dwie córki

trzymało z łaski po kolei na dworach, aż Lavrans syn Björgulfa ofiarował się dla miłości Chrystusa zatrzymać je i wychować u siebie. Kiedy zaś wyrosły na dzielne dziewczęta, ojciec Krystyny rozejrzał się za porządnymi, pracowitymi mężami, wyprawił im wesele i wyposażył każdą z nich w żywność, od Ragnfridy zaś otrzymały pościel i statki kuchenne; były teraz zamożnymi kobietami. Jedna z nich służyła dawniej u Ramborgi i pani sama trzymała jej dziecko do chrztu.

– Teraz zaś ty musisz użyczyć mi trochę darni z twego grobu, Bjarne, dla syna Ramborgi. – Krystyna przyklękała i wyciągnęła sztylet.

Lodowato zimny pot perlił się na jej czole i górnej wardze, kiedy zanurzyła palce w wilgotnej ziemi. Szło to niezupełnie łatwo, coś jakby trzymało darń na uwięzi – o, to tylko korzonki. Przecięła je sztyletem.

W zamian musiał zmarły dostać złoto lub srebro dziedziczne w rodzie od trzech pokoleń. Krystyna ściągnęła z palca mały złoty pierścionek z rubinami – zaręczynowy pierścionek swej babki; „Chore dziecko jest potomkiem mego ojca” – myślała. Wetknęła pierścionek głęboko w ziemię, zawiązała darń w płótno, a puste miejsce na grobie nakryła starannie mchem i liśćmi.

Kiedy się podniosła, nogi jej drżały tak strasznie, że musiała stać sporą chwilę, zanim się zdołała odwrócić. Jeśli teraz spojrzy poza siebie pod zgiętym w łokciu ramieniem, ujrzy ich, umarłych.

Ciągnęło ją i targało tak okrutnie, jak gdyby chcieli ją zmusić, aby to uczyniła. Wszyscy ci umarli, których znała za życia. „Czy to ty, Krystyno córko Lavransa? Po cóżeś tu do nas przyszła?” Arne syn Gyrda tam w grobie przed furtą zachodnią... „Tak, Arne, ty na pewno masz prawo dziwić się, nie byłam taka w owym czasie, kiedyśmy się znali”.

Potem wspięła się znowu na mur i zeskoczyła na dół.

Księżyc zalewał teraz całą dolinę bladą poświatą. Daleko wśród łąk leżał dwór Jörund, rosa błyszczała w trawie porastającej dachy. Krystyna spojrzała w tamtą stronę prawie obojętnie. Miała uczucie, że umarła dla ojczyzny i dla wszystkich tam pozostałych; drzwi jego były na zawsze zamknięte przed nią, która tutaj po nocy wędrowała.

Cień góry padał na całą niemal drogę powrotną. Teraz dęło silnie, jeden podmuch wiatru za drugim uderzał w nią, zwiędłe listowie trzepotało wokoło niej i chciało ją zawrócić tam, skąd właśnie szła.

Czuła, że nie idzie sama. Wciąż, nieustannie jakies lekkie, skradające się kroki szeleściły za nią. „Czy to ty, Arne?” „Obejrzyj się, Krystyno, spójrz przez ramię” – kusilo ją.

A jednak teraz nie czuła już właściwie strachu, tylko ponuro i ciężko było jej na duszy; chora była z pragnienia, by poddać się i upaść. Po tej nocy chyba już nigdy na tym świecie nie zazna trwogi.

Kiedy Krystyna weszła do izby, Szymon siedział na zwykłym miejscu u wezglowia łoża, pochylony nad dzieckiem. Na mgnienie oka podniósł głowę – Krystyna pytała siebie samą, czy ona także przez tę godzinę tak się postarzała i zmieniła. Potem Szymon zwiesił głowę i ukrył ją w ramionach.

Powstał nieco chwiejnie, a przechodząc obok niej do drzwi odwrócił oczy i pochylił się.

Krystyna zapaliła dwie świece i postawiła je na stole. Andrzej otworzył oczy, spojrzał dokoła dziwnie nieprzytomnie i usiłował odwrócić główkę od światła. Kiedy ułożyła go na wznak, tak jak się kładzie zwłoki, nie uczynił nawet najmniejszego wysiłku, aby zmienić położenie; był widać za słaby, by się poruszyć.

Potem nakryła twarz i piersi dziecka płótnem, na nim zaś położyła w poprzek darń przyniesioną z grobu.

Strach przewalił się przez nią znowu burzliwą falą.

Musiała siedzieć obok łoża. Okno było tuż nad ławą. Nie śmiała odwrócić się do niego tyłem, lepiej już spojrzeć prosto w ślepią, jeśli ktoś stoi na dworze i zaziera do wnętrza. Przysunęła krzesło poręczą do łoża i usiadła w nim zwrócona twarzą ku oknu. Niema czerń nocy napływała do izby; jedna z płonących świec odbijała się w szklanej szybie. Krystyna wpatrzyła się nieruchomo w okno, ręce zacisnęła tak silnie wokół poręczy, że palce jej zbieleły, a ramiona drżały. Nie czuła zupełnie nóg, tak były mokre i zimne; siedziała szcękając zębami z chłodu i przerażenia, a pot spływał jej ciurkiem po twarzy i plecach

jak lodowato zimna woda. Tak trwała bez ruchu, od czasu do czasu rzucała ukradkiem spojrzenie na białe płótno leciutko się wznoszące, to znów opadające wraz z oddechem dziecka.

Wreszcie za szybą zaczęło szarzeć. Pianie kogutów przerwało ciszę, potem posłyszano kroki na dziedzińcu – ludzie szli do stajni.

Wyczerpana do ostateczności opadła bezwładnie na krzesło, dygotała konwulsyjnie i usiłowała tak usiąść, by nogi nie trzęsły się ustawicznie wraz z drżącym ciałem.

Nagle poruszyło się coś gwałtownie pod płótnem – Andrzej odrzucił je z twarzy i jęknął gniewnie. Przychodził widać do siebie, bo mruknął, gdy się zerwała i nachyliła nad nim.

Chwyciła darń i płótno, odbiegła od łoża, napchała chrustu i polan do pieca i wrzuciła czary w świeżo rozpalony, trzeszczący ogień. Potem jednak musiała przystanąć na chwilę i oprzeć się o ścianę, łzy spływały jej po twarzy.

Zaczerpnęła mleka z małej misy koło ognia i zaniosiła je dziecku, ale Andrzej zasnął już znowu. Zdawało się, że teraz śpi zdrowo.

Wypiła więc mleko sama. Tak bardzo jej smakowało, że prędko wypiła jeszcze dwa czy trzy czerpaki ciepłego napoju.

Wciąż jeszcze nie śmiała się odezwać – chłopiec nie wymówił dotąd ani jednego zrozumiałego słowa. Ale u stóp łoża osunęła się na kolana i modliła się w duchu bezgłośnie:

„Convertere, Domine, aliquantulum; et deprecare super servos tuos. Ne ultra memineris iniquitatis nostrae: ecce respice, populus tuus omnes nos”¹.

Tak, tak, tak. To, co uczyniła, było okropne.

Ale chodziło przecież o ich jedyne go syna. Ona... ona miała ich siedmiu. Czyż nie musiała wypróbować w s z y s t k i e g o dla ratowania jedyne go syna swojej siostry?

Wszystko, o czym myślała tej nocy, to były tylko nocne przywidzenia. Nie zrobiła tego z żadnego innego powodu, po prostu nie mogła patrzeć, jak dziecko ginie w jej rękach.

¹ Nawróćże się, Panie! dokądże? A daj się ubłagać sługom Twoim (Psalm LXXXIX, 13). – Nie gniewaj się, Panie, bardzo, a nie pomnij więcej nieprawości naszej: oto wejrzyj, myśmy wszyscy Twój lud (Izajasz LXIV, 9).

Szymon, który jej nigdy w potrzebie nie opuścił, który był zawsze dobry i wierny wobec każdego człowieka, a najlepszy dla niej i jej rodziny... A teraz ten oto jego synek, którego strzegł bardziej niż własnej żrenicy... Czyż nie musiała użyć wszelkiego sposobu, by ratować życie chłopca? Choćby nawet przez grzech?

„Pewnie, grzech to był ciężki, ale, Boże, ku mnie zwróć karę! Małe, piękne, niewinne dzieciątko Szymona i Ramborgi! Bóg nie ukarze Andrzeja”.

Podeszła do łoża i pochyliła się nad dzieckiem. Chuchała na małą, miękką jak wosk rączynę. Całować jej nie śmiała, dziecka nie wolno teraz budzić.

Taki był jasny i niewinny... W owe straszne noce na Haugen, kiedy została tam sama, opowiadała jej pani Aashilda, jak szła po nocy na cmentarz w Konungaheli: „Zaprawdę, Krystyno, to była najcięższa sprawa, jaką kiedykolwiek podjęłam”. Ale Björn syn Gunnara nie był bynajmniej niewinnym dzieckiem, kiedy miecze krewnych Aashildy sięgnęły po jego serce. Jednego z nich zabił, zanim sam runął na ziemię, drugi zaś od czasu, kiedy skrzyżował miecz z panem Björnem, nie ozdrowiał nigdy zupełnie.

Krystyna stanęła przy oknie i wyjrzała na dwór. Ludzie krzatali się jak co dnia, zajęci zwykłą pracą. Kilka małych cielaków skakało po dziedzińcu; były takie śliczne.

W ciemności nocy wyrastają różne myśli, podobne owym przejrzystym wodorostom, które unoszą się na dnie morza i kołyszają tak cudnie; kryje się w nich dziwny czar, wabiący i zarazem napawający lękiem, dopóki żyją w swoim własnym płynnym żywiole. Ale skoro dzieci wyciągną je z wody, pozostaje z nich tylko oślizła, brunatna masa. Tak samo w nocy nawiedzają człowieka dziwaczne myśli, które odpychają i wabią. Toż przecie brat Edwin powiedział kiedyś, że skazańcy w piekle nie chcą się rozstać ze swoją męką: nienawiść i żal jest ich rozkoszą, dlatego Chrystus nie może ich wybawić. Wtedy, kiedy tak mówił, wydało się jej to bałamutną gadaniną. Dreszcz nią wstrząsnął, teraz zaczęła pojmować, co mnich miał na myśli.

Znowu pochyliła się nad łożem i wdychała woń płynącą od śpiącego dziecka. Szymon i Ramborga nie tracą swego synka. A jeśli nawet

było dla niej wewnętrzną potrzebą oczyścić się w oczach Szymona, pokazać mu, że potrafi zdziałać coś więcej niż tylko ciągle przyjmować od niego, to zarazem czuła konieczność narażenia siebie dla niego.

Uklękała i powtarzała po wielokroć wszystko, co umiała na pamięć z psalmów.

Tego rana Szymon wyszedł z domu i obsiewał żytem świeże karczowisko w brzozowym lasku na południe od dworu. Czuł, że musi tak robić i udawać, jakby było zupełnie w porządku, że praca na dworze idzie zwykłym trybem. Dziewki były bardzo zdumione, gdy w nocy przyszedł do nich i oświadczył, iż Krystyna chce pozostać sama przy chłopcu, póki ich nie zawoła. Rambordze również powtórzył to samo, kiedy się obudziła; Krystyna prosiła, aby nikt dziś nie zaglądał do izby niewieściej.

– Ty także nie? – spytała żona szybko, a Szymon odpowiedział: nie. Wyszedł, by przynieść dzieżę z ziarnem.

Ale po południowym posiłku pozostał we dworze, nie mógł przewyciężyć się na tyle, by oddalić się od zabudowań. Oczywiście Ramborgi nie podobały mu się. W istocie wkrótce potem stało się. Znajdował się właśnie obok gumna, gdy nagle dostrzegł żonę biegnącą bez tchu przez dziedziniec. Skoczył za nią, Ramborga rzuciła się na drzwi izby niewieściej, waliła w nie zaciśniętą pięścią i krzyczała z całych sił, by jej Krystyna otworzyła.

Szymon chwycił ją za ramiona i przekonywał łagodnie. Nagle z szybkością błyskawicy schyliła się i ugryzła go w rękę; widział, że jest opętana jak wściekły zwierzę.

– To m o j e dziecko! Coście zrobili z moim dzieckiem?

– Wiesz przecie, że twoja siostra jedynie dobro Andrzeja ma na względzie. – Gdy ją znów przytrzymał, broniła się i wydzieriała z krzykiem. – Chodź teraz, Ramborgo – rzekł szorstko – nie wstyd ci ludzi?

Ale ona nie przestawała krzyczeć:

– Andrzej należy do mnie. Pewnie, tyś nie był przy nas, Szymonie, kiedy go rodziłam. Myśmy nie byli ci tacy drodzy.

– Sama wiesz, jakie sprawy ważyły się wówczas – odpowiedział wyczerpany. Zawłókł ją przemocą do izby.

Odtąd nie śmiał ani na chwilę zostawić jej samej. Ramborga uspokoiła się z wolna, a kiedy się ściemniło, pozwoliła dziewczkom rozebrać się.

Szymon nie od razu się położył. Córki spały obok w drugim łożu, służebne odesłał. Potem, kiedy podniósł się i chodził tam i z powrotem, Ramborga zapytała, dokąd idzie, a głos jej brzmiał zupełnie trzeźwo.

– Chciałem się właśnie położyć przy tobie – odparł po chwili. Zdjął kaftan i trzewiki, wsunął się pomiędzy skórę a wełniane okrycie. Potem podsunął rękę pod szyję żony: – Rozumiem dobrze, Ramborgo, że ten dzień jest długi i ciężki dla ciebie.

– Serce twoje bije tak mocno, Szymonie.

– Wiesz przecie, że i ja boję się o chłopca. Lecz musimy cierpliwie czekać, aż Krystyna sama nas zawoła.

Podniósł się w łożu, oparł na łokciach i zmieszany wpatrzył się w białe oblicze Krystyny pochylone tuż nad jego twarzą, błyszczące od łez w blasku świecy; ręka jej leżała na jego piersi. Przez chwilę myślał, że tym razem chyba nie śni. Potem rzucił się z powrotem na poduszki i ze zduszonym, bolesnym jękiem ukrył twarz w dłoniach. Był wprost chory, tak szybko i twardo tłukło się w nim serce.

– Szymonie, zbudź się! – Krystyna potrząsnęła nim znowu. – Andrzej woła ojca, słyszysz? To było pierwsze słowo, jakie wymówił. – Twarz jej promieniała uśmiechem mimo niepowstrzymanie płynących łez.

Szymon usiadł, parokrotnie przesunął dłonią po twarzy. Chyba nie powiedział nic we śnie, kiedy go budziła. Spoglądał na Krystynę, która ze świecą w ręku stała przed łożem.

Cicho, by nie obudzić Ramborgi, wymknęli się z izby. Jeszcze ciągle odczuwał chorobliwe obrzydzenie. Było mu tak na duszy, jak gdyby coś złamało się w nim; czemu, czemu nie zostają mu oszczędzone sny tak okropne? Jemu, który przecież na jawie zmagął się i zmagął bez końca, by tylko trzymać z dala od siebie takie myśli.

A kiedy leżał i spał bezwolny i bezbronny, miewał sny, które chyba sam diabeł mu podsuwał; nawet i teraz, tej nocy, gdy ona czuwała przy jego śmiertelnie chorym synku, śnił jak potwór.

Deszcz padał, i Krystyna nie wiedziała dokładnie, jaka jest pora. Chłopiec był najpierw w półprzytomny, ale nic nie mówił. Dopiero w ciągu nocy, widząc go śpiącego zdrowo i spokojnie, położyła się sama obok niego i wzięła go w ramiona. Tak zasnęła.

Andrzej wyglądał bardzo drobno w wielkim łożu; był przeraźliwie blady, ale oczy miał przytomne i twarzyczka jego rozjaśniła się uśmiechem, kiedy ujrzał ojca. Szymon uklęknął przed łożem, gdy jednak chciał wziąć chłopca na ręce, Krystyna schwyciła go za ramię.

– Nie, nie, Szymonie, dziecko poci się, a tu jest chłodno – nakryła lepiej Andrzeja. – Połóż się raczej obok niego. Przyślę tu którąś z kobiet, by czuwała. Ja sama pójdę do izby i położę się obok Ramborgi.

Szymon wśliznął się pod nakrycie. Poczł ciepłe zagłębienie wygniecione przez Krystynę i słaby, słodki zapach jej włosów na poduszce. Jęknął cicho. Potem przytulił do siebie synka i przycisnął twarz do delikatnych, wilgotnych włosów. Taki stał się maleńki ten jego Andrzej, prawie nie czuło się go w ramionach, ale leżał zupełnie zadowolony i od czasu do czasu szczebiotał.

Potem zaczął szukać czegoś pod ojcowską koszulą, wsunął małą wilgotną rączkę na gołą pierś i wyciągnął medalion.

– Kogut – szepnął zadowolony. – Jest tutaj.

W dniu, w którym Krystyna przygotowywała się do odjazdu, Szymon wszedł do izby niewieściej i wręczył jej małą, drewnianą, rzeźbioną szkatułkę:

– Sądziłem, że to cię może uraduje.

Krystyna poznała po robocie rzeźbę swego ojca. W środku, owinięta w miękką skórę, leżała mała złota zapona¹, wysadzana pięciu szmaragdami. Poznała ją natychmiast: Lavrans spinał nią nieraz koszulę, kiedy chciał się szczególnie wystroić.

¹ Rodzaj spinki lub sprzączki.

Podziękowała Szymonowi, potem jednak stanęła cała w płomieniach, bo przypomniała sobie, że od czasu swego powrotu z klasztoru w Oslo nie widziała u ojca tego klejnotu.

– Kiedy ojciec darował ci tę klamrę? – Pożałowała natychmiast swego pytania.

– Dostałem ją od niego kiedyś na pożegnanie, gdym odjeżdżał.

– To zbyt wielki dar dla mnie – rzekła cicho, spuszczać oczy.

Szymon uśmiechnął się i odparł:

– Tobie przecież przyda się wiele takich rzeczy, kiedy czas przyjdzie, że będziesz wyprawiała swoich synów z upominkami zaręczynowymi.

Krystyna spojrzała na niego i rzekła:

– Myślę, Szymonie, że rzeczy, któreś od niego otrzymał... Wiesz, że miłuję cię tak, jak gdybyś był jego rodzonym synem.

– Czy to prawda, Krystyno? – Przelotnie położył dłoń na jej policzku, pogłaskał ją i uśmiechnął się dziwnie, mówiąc do niej jak do małego dziecka: – Tak, tak, Krystyno, zauważyłem to.

4

Nieco później, jesienią, Szymon miał coś do załatwienia u swego brata na Dyrinie. Wówczas to nadarzył mu się załotnik do ręki Arngjerdy.

Rzecz nie została ostatecznie załatwiona i Szymon z lekkim niepokojem wracał na północ. Może powinien był jednak sprawę przypieczętować; Arngjerda byłaby zabezpieczona, a on wolny od wszelkiej troski o jej przyszłość. Może Gyrd i Helga mieli słuszność; nierozumnie było z jego strony nie łapać oburącz takiej okazji dla córki. Eiken było dworem obszerniejszym od Formo, a do Aasmunda należała więcej niż trzecia część; nigdy by mu nawet na myśl nie przyszło starać się dla swego syna o dziewicę takiego pochodzenia jak Arngjerda, której matka była niskiego stanu i która nie miała krewnych z jej strony, gdyby nie to, że znaczną część jego włości Szymon miał w zastawie. Ludzie z Eiken musieli swego czasu pożyczyć sporo pieniędzy zarówno u mniszek w Oslo, jak też na Dyrinie, wówczas

kiedy to Grunde syn Aasmunda po raz drugi popełnił zabójstwo. Grunde po pijanemu stawał się złośliwy, poza tym jednak był to człowiek prawy i miły, i zdaniem Gyrdy na pewno dałby się kierować przez kobietę tak roztrofną i łagodną jak Arngjerda.

Ale sprawa wyglądała tak, że Grunde był zaledwie o parę lat młodszy od Szymona, Arngjerda zaś w kwiecie wieku. A ludzie na Eiken chcieli jeszcze w tym roku obchodzić wesele.

Niby wspomnienie czegoś złego tkwiło to w Szymonie – nie myślał o tym, jeśli tylko mógł. Odkąd jednak była mowa o ślubie Arngjerdy, stawało to znów przed nim. Ciężko mu było na duszy owęgo pierwszego ranka, kiedy się zbudził u boku Ramborgi. Nie był bardziej zakłopotany ani też bardziej swawolny, niż przystało na narzeczonego, kiedy szedł w ślubne łóżce, choć tak mocno i boleśnie wzruszał go widok Krystyny pośród niewiast prowadzących oblubienicę oraz Erlenda, jego nowego szwagra, wśród mężów, którzy mu towarzyszyli do ślubnej komory. A kiedy obudził się nazajutrz i spojrzął na swą młodą, śpiącą jeszcze żonę, odczuł jakby ranę i piekący wstyd w sercu, zupełnie jak gdyby skrzywdził dziecko.

Choć wiedział, że tej zgryzoty mógł sobie oszczędzić.

Ona bowiem śmiała się, gdy otworzyła swoje wielkie oczy.

– Teraz jesteś mój, Szymonie – pieszczotliwie głaskała jego pierś.
– Mój ojciec jest twoim ojcem i moja siostra twoją siostrą – on zaś struchlał z trwogi, że poczuła, jak przy tych słowach serce stanęło mu w piersi.

Poza tym jednak był przez cały czas bardzo zadowolony ze swego małżeństwa, mocno przy tym obstawał. Żona jego była bogata, z zacnego rodu, młoda i zdrowa, ładna i uprzejma. Obdarzyła go córką i synem, a dla takich rzeczy musi mieć zrozumienie człowiek, który zakosztował już, co to znaczy żyć w dostatku i nie mieć dzieci, którym by mógł przekazać swój majątek. Dwoje dzieci: powodzenie ich było zabezpieczone, a przecież wciąż był tak zamożny, iż mógł myśleć o dobrym małżeństwie dla Arngjerdy.

Chciałby bardzo mieć jeszcze jednego syna; owszem, nie gniewałby się wcale, żeby jeszcze jedno albo dwoje dzieci przybyło na Formo. Ale Ramborga była zadowolona, że dotąd tego uniknęła. Tak więc i to miało swoją dobrą stronę. Nie mógł bowiem zaprzeczyć, że dobry

humor Ramborgi przyczyniał się wielce do miłego spokoju w domu. Szymon życzył sobie nieraz, żeby była bardziej zrównoważona; nie zawsze wiedział, czego się może po niej spodziewać. Wreszcie i gospodarstwo mogłoby iść nieco składniej. Ale wszak nikt nie ma prawa oczekiwać, aby wszystkie kielichy były pełne po brzegi, jak mówi przysłowie; Szymon wciąż powtarzał to sobie wracając do domu.

Na tydzień przed świętym Klemensem Ramborga miała udać się na Kruke; odświeżało ją to zawsze i cieszyło, gdy jakiś czas spędzała poza domem.

Chociaż Bogu tylko wiadomo, jak tam tym razem pójdzie. Sigrída oczekiwała już ósmego dziecka i Szymon przeraził się bardzo, kiedy w drodze powrotnej wstąpił do siostry; nie wyglądało na to, że może jeszcze wiele przetrzymać.

Szymon obiecał cztery grube świece i hojne dary staremu wizerunkowi Panny Maryi w Eyabu, słynnemu z cudów, jeśli Sigrída tym razem wyjdzie z życiem i zdrowo... Jakżeby dał sobie radę Geirmund i ich wszystkie dzieci, gdyby matki nie stało? Nie, nie mógł nawet myśleć o tym.

Sigrída i Geirmund żyli też bardzo dobrze z sobą; nigdy nie powiedział jej jednego niezyczliwego słowa i zawsze czynił to, co mogło jej sprawić radość. Gdy zauważył, że Sigridę pożera tęsknota za dzieckiem, które miała z Gjavvaldem, sam nakłonił Szymona, by przywiozł chłopca do matki, żeby choć jakiś czas miała go przy sobie. Lecz Sigridzie spotkanie z rozpieszczonym, bogatym chłopcem przyniosło jedynie zgryzotę i rozczarowanie. Od tego czasu przyłgnęła całą duszą do męża i dzieci, które z nim miała, podobnie jak biedny grzesznik czepia się księdza i spowiedzi.

Ostatnio wydawała się całkiem szczęśliwa – w pewien przynajmniej sposób. I Szymon sam zauważył, że mało tylko zna mężów, z którymi by równie chętnie przebywał jak z Geirmundem. Miał on głos tak piękny, że choćby nie mówił o niczym innym, tylko o niemrawym koniu, którego mu wmówiono, to słowa jego brzmiały niby dźwięk harfy.

Geirmund miał zawsze brzydką, dziwaczną twarz, ale dawniej był rosły i krzepkiej budowy, najlepszy łucznik i łowca, pierwszy do

wszelkich cielesnych ćwiczeń. Lecz przed trzema laty został kaleką; przyczołgał się z polowania do domu na rękach i jednym kolanie, drugą nogę zupełnie strzaskaną powłóczył za sobą. Teraz chadzał po izbie tylko o kiju i nie mógł ani wsiąść na konia, ani bez pomocy obchodzić swych stromo położonych pól. Niepowodzenie prześladowało go ustawicznie, był bowiem upartym dziwakiem, niezbyt zdolnym gospodarzem, a w kupnie i zamianie każdy, kto miał ochotę, mógł go okpić. Był za to biegły we wszelkim rzemiośle, umiał pięknie obrabiać żelazo i drzewo, mowa jego była mądra i szczerą. A kiedy brał harfę, wówczas słuchacze musieli się śmiać i płakać na przemian, zależnie od tego, co Geirmund grał i śpiewał. Tak, kiedy Geirmund śpiewał piosenkę o rycerzu, który swoim czarownym graniem ograbił lipę z listowia, a krowę z rogów, to zdawało się nieomal, że ów rycerz sam śpiewa.

A potem schodziły się dzieci i najstarsze śpiewały wraz z ojcem; brzmiało to piękniej niż dźwięk dzwonów w biskupim Hamarze. Przedostatnie dziecko, Inga, musiało się jeszcze trzymać ławy podczas chodzenia, mówić też jeszcze nie umiało, ale za to cały Boży dzień nuciło, a jego głosik był jasny i dźwięczny jak srebrny dzwonek.

Mieszkali wszyscy w kupie, ciasno i niewygodnie, w poczemialej od starości izbie z paleniskiem: rodzice, dzieci i czeladź. Poddasza, o którego nadbudowie Geirmund wciąż prawił, nie postawił nigdy – i tak z trudem tylko udało mu się wybudować nową stodołę na miejsce starej, która ubiegłego roku spłonęła. Ale mimo to rodzice nie chcieli się rozstać z żadnym z dzieci. Ilekroć Szymon bawił na Kruke, zawsze ofiarował się wziąć parę z nich do siebie na wychowanie, lecz Geirmund i Sigrida dziękowali pięknie i uporczywie odmawiali.

Może być, że właśnie ona trafiła najlepiej z całego rodzeństwa, myślał nieraz Szymon w duchu. Tak, Gyrd mówił wprawdzie, że i Astrida jest bardzo zadowolona ze swego powtórnego małżeństwa; mieszkała teraz daleko w Ryfylke i Szymon nie widział jej od dnia ślubu. Lecz synowie Torgrima darli ustawicznie koty z ojczymem, opowiadał Gyrd.

I Gudmund był bardzo zadowolony i szczęśliwy. Ale Szymon sądził, że jeśli to ma być szczęście, to można nie popełniając grzechu dziękować Bogu, że ojciec tego nie dożył. Tak rychło po śmierci ojca,

jak tylko można. to było uczynić nie uchybiwszy przyzwoitości, poślubił Gudmund ową wdowę, o której pan Andrzej za życia ani słyszeć nie chciał. Rycerz z Dyfrina wybrał dla swoich obu starszych synów urodziwe, zamożne i młode, o nieskazitelnym zawołaniu dziewice ze znakomitych rodów, ale mierne tylko szczęście przyniosło to Szymonowi i Gyrdowi; dlatego też sądził, że dla Gudmunda będzie już wprost strasznym nieszczęściem, jeśli on, ojciec, zezwoli mu postąpić wedle jego własnej nierozsądnej woli. Tordis córka Berga była dużo starsza od Gudmunda, dość bogata, a z pierwszego małżeństwa nie posiadała dzieci. Za to jednak potem miała dziecko z pewnym proboszczem przy kościele Mariackim w Oslo, poza tym zaś krążyły wieści, że była w ogóle zbyt uprzejma dla mężczyzn – nie wyłączając oczywiście Gudmunda Darre, ledwie go tylko poznała. Była okropnie szpetna, niedworna i zbyt swobodna w mowie jak na kobietę, sądził Szymon, ale obrotna i dowcipna, rozumna i pocziwa; czuł, że sam polubiłby bardzo Tordis, gdyby tylko nie weszła w jego ród. Lecz Gudmundowi wiodło się przy niej nadspodziewanie dobrze; już teraz był prawie tak otyły i ocięzany jak Szymon, choć nie miał wrodzonej skłonności do tycia. Jako młody człowiek był smukły i przystojny; teraz zrobił się taki leniwy i ocięzany, że Szymon miał ochotę go bić, ilekroć go spotkał. Całe życie był Gudmund półgłówkiem, trudno by temu zaprzeczyć; jeszcze szczęście w nieszczęściu, że dzieci odziedziczyły po matce rozum, a po nim wygląd zewnętrzny. Ale Gudmund kwitnął.

Szymon nie miał więc bynajmniej potrzeby tak serdecznie martwić się z powodu tego brata. I właściwie niepotrzebnie także trapił się o Gyrdę. Ale ilekroć przybywał na ojcowski dwór i widział, jak się tam teraz wszystko dzieje, gryzł się tym tak, że serce go bolało, kiedy wracał stamtąd.

Zasobność, owszem, wzrastała; ów szwagier brata, Ulf syn Saksego, zażywał teraz w pełni łałki i przychylności króla i wciągnął Gyrdę w krąg tych mężów, którzy obecnie dzierżyli najwyższą władzę i największe mieli korzyści. Ale Szymon nie lubił tego młodzieńca i czuł, że i Gyrdę go nie lubi. Niechętnie i nieradośnie, żeby tylko mieć w domu trochę upragnionego spokoju, szedł Gyrdę z Dyfrina drogą, którą mu wyznaczyła żona i jej brat.

Helga córka Saksego była po prostu czarownicą. Przede wszystkim jednak synowie Gyrdy ponosili winę za to, że ich ojciec był taki znekany. Starszy, Sakse, liczył teraz około szesnastu lat. Ale nie było wieczora, aby własny pacholek nie musiał go zanosić całkiem spitego do łóża; zmarnował już zupełnie rozum i zdrowie – pewnie zapije się na śmierć, zanim dojdzie do lat męskich. Co prawda nie będzie to wielka strata; już teraz, mimo że był taki młody, opowiadano sobie głośno o jego brutalności i pysze. Był ulubieńcem matki, Gyrd zaś wolał młodszego, Jona. Ten może byłby bardziej udany i mógłby nawet przysporzyć chwały swemu rodowi, gdyby nie to, że był trochę ułomny, miał wysokie łopatki i krzywe plecy. Poza tym zaś cierpiał ciągle na jakąś chorobę żołądka, nie znosił innego jada prócz mlecznej zupy i pszennych placków.

W poczuciu wspólnoty ze swym rodem znajdował Szymon zawsze tajemną ostoję, ilekroć jego własne życie zdawało mu się zbyt ciężkie. Łatwiej mu było znosić przeciwności, kiedy myślał o szczęściu i powodzeniu rodzeństwa. Gdyby teraz na Dyfrinie było tak jak za życia ojca – kiedy na dworze panował spokój, zadowolenie i radość – złagodziłoby to może jego własną rozterkę. Miał wrażenie, jak gdyby jakieś życiodajne korzenie łączące go z rodzeństwem były zrosnięte gdzieś głęboko w ciemności pod ziemią. Każdy cios, który godził w jednego z nich, każde zło, które trafiało jednego, czuli wszyscy jednocześnie.

Tak w każdym razie było z Gyrdem i z nim, przynajmniej w dawnych latach. Teraz nie był już pewien, czy Gyrd tak to odczuwa.

Szymon najbardziej miłował najstarszego brata i Sigridę. Przypominał sobie z czasów chłopięcych, że nieraz siedział cicho, patrzył na siostrę i kochał ją coraz bardziej, tak że musiał w końcu coś uczynić, by jej to okazać. Wtedy zbliżał się do niej, droczył się z nią i przekomarzał, ciągnął ją za warkocze, szczypał po rękach, bo zdawało mu się, że nie może jej inaczej okazać swej miłości bez zawstyżenia. Owe żarty były konieczne, aby mógł jej potem bez zakłopotania darować odłożone dla niej smakołyki lub zabrać ją do swych zabaw, kiedy budował młyny nad ruczajem

albo dwory lub niekiedy z wiosną strugał dla niej piszczałki z wi-
kliny.

Niby wypalone piętno tkwiło w nim wspomnienie dnia, w którym dowiedział się o nieszczęściu siostry. Przez całą zimę widział, że Sigrida śmiertelnie się smuci utratą narzeczonego, ale więcej nie pojmował. Potem przyszła owa pamiętna niedziela wczesną wiosną; stał na ganku w Mandvik i gniewał się na kobiety, że ich wciąż jeszcze nie widać; na dziedzińcu czekały już osiodłane konie i pachotkowie, wszyscy mieli ruszyć do kościoła. Wreszcie rozgniewał się całkiem i sam poszedł do izby niewieściej. Sigrida leżała jeszcze, zdziwiony spytał, czy nie chora. Żona jego siedziała na brzegu łoża, drzenie przebiegło jej łagodną, zwiędłą twarz, kiedy podniosła oczy: „Oczywiście, jest chora, biedna dziecina. Ale sądzę, że bardziej jeszcze boi się, jak wy, ty i wasi krewni, przyjmiecie tę wiadomość”.

Siostra krzyknęła głośno, rzuciła się w przód i ukryła głowę na łonie Halfridy czepiając się jej z całych sił chudymi, nagimi ramionami. Krzyk jej ugodził Szymona w samo serce, zdawało mu się, że krew przestaje w nim krążyć. Jej ból i hańba wżarły się weń tak silnie, że był całkiem oszołomiony, a potem zdjął go lęk i pot wystąpił mu na czoło. Ojciec... co ojciec pocnie teraz z Sigridą?

Z taką trwogą jechał przez wyboiste, rozmiękłe drogi na Raumarike, że w końcu towarzyszący mu pachotek, nie pojmując niczego, zaczął się śmiać, iż pan tak często złazi z konia i idzie na stronę. Wprawdzie Szymon był od dawna już dorosły i żonaty, kiedy jednak myślał o spotkaniu z ojcem, ogarniał go taki paniczny strach, że dostawał bólu brzucha.

A potem nie powiedział ojciec ani słowa. Ale był zupełnie złamany – jak podcięte drzewo. Jeszcze dziś się zdarzało, że Szymon zasypiając widział nagle przed sobą ten obraz... i natychmiast trzeźwiał zupełnie. Ojciec siedział i kołysał się tam i z powrotem, z głową zwieszoną na piersi, obok niego zaś stał Gyrd, opierając rękę o poręcz poczesnego miejsca, nieco bledszy niż zazwyczaj, ze spuszczoneymi oczyma.

– Bogu dzięki, iż nie była tutaj, kiedy to wyszło na jaw. Jak dobrze, że była u ciebie i Halfridy – powiedział Gyrd, gdy zostali sami.

Jedyny to raz słyszał Szymon Gyrdę mówiącego w ten sposób, że

mógł wywnioskować, iż brat nie uważa swej żony za najdoskonalszą z niewiast.

Musiał patrzeć na to, jak Gyrd marniał, jak gdyby coraz mniej sam znaczył, odkąd był żonaty z Helgą córką Saksego.

W czasie kiedy byli ze sobą zaręczeni, Gyrd nigdy wiele nie mówił, ale ilekroć patrzył na swoją narzeczoną, jego oblicze rozjaśniało się w szczególny sposób, aż Szymonowi ciepło się robiło na duszy. Już dawniej, opowiadał brat, widywał nieraz Helgę, ale nigdy nie zamienił z nią słowa i nawet nie śmiał przypuszczać, iż jej krewni dadzą mu taką nadobną i bogatą dziewczycę za żonę.

Szymon odczuwał niezwykłą piękność brata za młodu jako zaszczyt dla siebie. Gyrd Darre był szczególnie ujmującej powierzchowności; wszyscy czuli, że w tym człowieku mieszka dobroć, wspaniałość i dzielne, szlachetne serce. Potem ożenił się z Helgą i odtąd wyglądało tak, jakby już nic z niego miało nie być.

Zawsze był małowówny, ale obaj bracia przebywali wiecznie razem i Szymonowi nie było wcale trudno mówić za obu. Szymon był gadatliwy, uchodził za mądrąłę, był towarzyski, dobry do wypitki i do wybitki, do łowów i zabawy, przy wszelkiej uciesze miał dokoła siebie tuzin przyjaciół, równie miłych jak on sam. Starszy brat brał udział w zabawie, mówił mało, ale miał za to piękny, poważny uśmiech, a jego słowa, choć nieliczne, robiły zawsze wrażenie.

Teraz Gyrd syn Andrzeja milczał jak zaklęty.

Kiedy Szymon owego lata wrócił do domu i oświadczył ojcu, że on i Krystyna zgodni są co do tego, by zerwać zrękowiny, wiedział, iż Gyrd odgadł przyczynę tego kroku: że Szymon kocha swoją narzeczoną, że wyrzeka się swego prawa z jakiejś nieokreślonej przyczyny, że jednak w sercu cierpi i boleje nad tym. Gyrd po cichu radził ojcu zezwolić na zerwanie, Szymonowi jednak nie dał nigdy słowem poznać, że cośkolwiek rozumie. I Szymon czuł, iż gdyby mógł jeszcze bardziej kochać brata, niż to przez całe życie czynił, stałoby się to właśnie wówczas za jego milczenie.

Szymon chciał być wesoły w drodze powrotnej. W całej dolinie miał licznych przyjaciół, odwiedzał ich więc, witał, pił wraz z nimi,

a przyjaciele kulbaczyli konie i odprowadzali go dalej na sąsiedni dwór, gdzie mieszkali inni przyjaciele. Łatwa i przyjemna była ta podróż podczas beśniewnych przymrozków.

Ostatnią część drogi przebył o zmierzchu. Piwo wywietrzało mu już z głowy. Ludzie jego zachowywali się głośno i byli rozochoceni, ale panu odeszła zupełnie ochota do śmiechu i żartów, pewnie był zmęczony.

A potem przybył do domu. Andrzej dreptał krok w krok za ojcem, gdzie się tylko ruszył. Ulvhilda kręciła się koło podróźnej sakwy – może przywiózł jej jakiś gościniec? Arngjerda przyniosła piwo i jadło, żona przysiadła się do niego, wypytywała o nowiny. Kiedy dzieci pokładły się spać, Szymon wziął Ramborgę na kolana, oddał jej pozdrowienia od krewnych i znajomych i opowiadał o swej podróży.

Czuł sam: byłoby to podłe i nikczemne z jego strony, gdyby nie był zadowolony; przecież wiodło mu się tak dobrze.

Nazajutrz, kiedy Szymon siedział w izbie Saemunda, Arngjerda przyniosła mu posiłek. Pomyślał, że najlepiej będzie rozmówić się z nią od razu w cztery oczy, opowiedział więc córce o rozmowie z ludźmi z Eiken.

„Naprawdę nie jest ładna” – myślał ojciec przyglądając się stojącej przed nim dziewczynie. Była barczysta i krępa, twarz miała krótką, pospolitą i bladą, szarozółte, gdzieniegdzie spłowiałe włosy, w dwu grubych warkoczach zwisały na plecach, ale z przodu opadały w kosmykach na oczy; z przyzwyczajenia ciągle je odgarniała.

– Musicie postanowić według waszej woli, ojciec – rzekła, gdy skończył.

– Wiem, żeś posłuszne dziecko, ale chciałbym się dowiedzieć, co sama o tym sądzisz?

– Ja? Ja nic nie sądzę. Wy tu musicie postanowić, ojciec.

– Sprawa wygląda tak, Arngjerdo. Chętnie dałbym ci jeszcze parę lat swobody, wolnych od ciężaru dzieci, trosk i odpowiedzialności, słowem, od tego wszystkiego, co musi znosić kobieta, kiedy już wyjdzie za mąż. Ale myślę sobie tak: może ty sama tęsknisz za tym, aby być na własnym gospodarstwie?

– Jeśli o mnie chodzi, nie ma pośpiechu – odparła dziewczyna z uśmiechem.

– I wiesz także, że jeśli dostaniesz się na Eiken, będziesz miała bogatych krewnych w najbliższym sąsiedztwie. Nagi jest tyłek samotnego człeka. – Ujrzał leciutki błysk w oczach Arngjerdy i skryty uśmieszek. – Miałem na myśli Gyrda, twego stryja – dodał szybko, trochę zmieszany.

– Rozumiem, że nie krewniaczkę Helgę – roześmiali się oboje.

Szymonowi aż ciepło się zrobiło na sercu z wdzięczności dla Boga i Panny Maryi oraz dla Halfridy, która go nakłoniła do tego, by uznał swą córkę. Kiedy śmiali się tak razem, on i Arngjerda, nie potrzebował doprawdy innego dowodu swego ojcostwa.

Powstał, strzepnął nieco mąki z jej rękawa.

– A konkurent jak ci się podoba? – spytał.

– Niczego sobie. Owszem, jest mi miły, jakkolwiek bardzo mało go znam; nie można przecie dowierzać wszelkiemu ludzkiemu gadaniu. Ale wy musicie tu rozstrzygać, ojcze.

– W takim razie będzie tak, jak rzekłem. Aasmund i Grunde muszą jeszcze jakiś czas zaczekać i obaczyć, czy też ich zamiar nie ulegnie zmianie, kiedy będziesz starsza. Poza tym wiesz przecie, moja córko, że sama masz prawo postanowić o swym małżeństwie, gdy tylko będziesz na tyle rozumna, by móc ocenić to, co dobre. Rozsądku nie brak ci przecie.

Uścisnął ją. Pokraśniała, gdy ją ojciec ucałował, a Szymon pomyślał, że sporo lat już minęło, odkąd to czynił. Nie należał wprawdzie do mężów, którzy boją się za dnia objąć żonę albo pobroić z dziećmi. Ale czynił to zawsze jakby żartem. Arngjerda zaś... Szymon zdał sobie nagle sprawę, że ta jego młoda córka jest jedynym człowiekiem na Formo, z którym od czasu do czasu mógł mówić poważnie.

Przeszedł przez izbę, wyciągnął zatyczkę z wyzierki w południowej ścianie. Przez mały otwór spozjrzał w dolinę. Wiatr dął z południa, daleko zaś, gdzie schodzące się szczyty zamykały widok, kłębiły się wielkie, szare chmury. Gdy chwilami przebijał przez nie promyk słońca, ziemia ożywiała się i migotała wszystkimi barwami. Odwilż

spłukała doszczętnie biel szronu; pola były brunatne, iglasty bór czernił się niebieskawo, a w górze, na skalnych turniach, pokrytych mchem i porostami, kładło się światło złocistą smugą.

Szymonowi zdało się nagle, że z tego jesiennego wichru i z tego niespokojnego lśnienia nad doliną można by czerpać cudowne siły. O ile jeszcze na Wszystkich Świętych nastanie ciepło, to będzie dosyć wody w potokach na obracanie młynów aż prawie do Bożego Narodzenia. Mógłby też wysłać ludzi w góry dla zbierania porostów. Jesień była dotychczas taka sucha – rzeka płynęła wąska i mała między łąwicami żółtego piasku i białych kamieni.

Tutaj, w górze doliny, jedynie dwór Jörund i probostwo posiadały młyny nad rzeką. Szymon niechętnie prosiłby o pozwolenie zmielenia swego ziarna na Jörund, już i tak pewnie cała dolina przyjdzie tam ze zbożem. Sira Eirik bowiem kazał sobie płacić; ludziska sądzili przeto, że wiedziałby zbyt dokładnie, ile zboża ma każdy, a surowy był bardzo w pobieraniu dziesięciny. Lavrans jednak pozwalał w swym młynie mleć wszystkim za darmo, więc i Krystyna życzyła sobie, aby ten zwyczaj zachowano.

Zaledwie przelotnie dotkną jej myślą, jego biedne serce zaczęło zaraz chorobliwie drżeć.

Była właśnie wigilia świętego Szymona; tego dnia udawał się zawsze do spowiedzi. Dlatego i dzisiaj siedział samotny w izbie Saemunda, by się do głębi wybaść, pościć i modlić się, podczas gdy parobcy młócili w stodole.

Swoje grzechy przypominał sobie z łatwością; kłął, wystrychiwał ludzi na dudków, kiedy go pytali o rzeczy, które ich nie obchodziły; potem ów ren, którego zastrzelił, mimo że mógł wymiarkować po słońcu, iż jest już sobotni wieczór, a potem to, że wyruszył w drogę w niedzielę rano, kiedy mieszkańcy doliny byli na mszy.

O tym, co wydarzyło się niedawno podczas choroby dziecka, nie wolno mu było wspominać, nie śmiałby zresztą. Ale po raz pierwszy w życiu miał przemilczeć, wbrew swej woli, grzech przed spowiednikiem.

Rozmyślał nad tym wiele i cierpiał bardzo. Był to na pewno jeden z grzechów głównych – bez względu na to, czy sam uprawiał czary, czy też zezwolił innemu człowiekowi, aby to czynił.

Lecz nie mógł tego żałować, gdy tylko uprzytamniał sobie, że bez tych czarów jego syn leżałby już dawno pod ziemią. Chodził jednak trwożny i zgnębiony po domu i ciągle śledził, czy dziecko nie zmieniło się od tego czasu. Nie znajdował w nim jednak nic niezwykłego.

Wiedział, że wiele ptaków i dzikich zwierząt odwraca się od swego potomstwa, nie chce go znać więcej, jeśli ręka ludzka dotknie jaj albo i samych młodych; człowiek, któremu Pan Bóg użyczył łaski rozumu, nie może tak postępować – przeciwnie. Kiedy Szymon brał dziecko na kolana, nie chciał wprost puścić go od siebie, tak bardzo lękał się o nie. Jednocześnie jednak pojmował, czemu nierozumne, bezduszne zwierzęta żywią taki wstręt do swych młodych, gdy ich ktoś dotknie. I on również odczuwał to tak, jakby jego dziecię było w jakiś sposób zakażone.

Ale nie żałował. Nie chciałby za nic w świecie, aby się to nie było stało. Pragnął jedynie, by kto inny to uczynił, nie Krystyna. Już i tak dosyć ciężko mu było mieszkać z tymi ludźmi o miedzę.

Arngjerda weszła powtórnie i zapytała o jakiś klucz. Rambordze zdawało się, że mąż nie oddał go jej, kiedy go po raz ostatni używał.

Hm, rozgardiasz na jego dworze panował coraz większy. Szymon przypominał sobie dokładnie, że wręczył ów klucz żonie, i to jeszcze przed podróżą. – No, już go jakoś znajdę – rzekła Arngjerda.

„Ma taki miły uśmiech i takie rozropne oczy; nie jest wcale taka brzydka. A jej włosy są ładne, jasne i bujne, kiedy w święta i niedziele nosi je rozpuszczone”.

Pewnie, nieślubna córka Erlenda była piękna. Ale nie wynikło z tego nic, tylko nieszczęście.

Lecz Erlend spłodził swą córkę z piękną kobietą z dostojnego rodu. Erlend na pewno nie obejrzałby się nawet na taką dziewczkę jak matka Arngjerdy. Zadowolony paradował po świecie, a nadobne i dumne kobiety i dziewice czekały tylko na to, by mu ofiarować miłość i miłosne przygody.

Jego własny jedyny grzech – nie licząc młodzieńczych wybryków na królewskim dworze – musiałby z pewnością być wytworniejszy, jeśli już chciał nim dokuczyć swej czcigodnej, dobrej żonie. Zaledwie zwracał uwagę na Jorunnę, sam już nawet nie wiedział, jak to się

stało, że się do niej zbyt zbliżył. Owej zimy bywał nieraz na przeciągających się do późnej nocy biesiadach u przyjaciół i znajomych, a kiedy wracał potem na dwór żony, Jorunna czekała na niego i uważała, by spokojnie się położył i nie spowodował wypadku z ogniem lub światłem.

Wspanialsza nie była ta przygoda wcale.

Tym mniej zasłużył sobie na to, aby dziecko było takie miłe i tyle mu sprawiało radości. Zresztą nie powinien się teraz zajmować takimi myślami, powinien raczej myśleć o spowiedzi.

Kiedy Szymon wracał w ciemności z Romund na przełaj przez pola, mżył deszcz. W ostatnim, dogasającym świetle dnia blade połyskiwały wilgotne ścierniska. Pod ścianą starej łaźni leżało coś białawego i małego błyszcząc z daleka. Zbliżył się i spojrzął w tę stronę. Poznał okruchy francuskiej misy, którą stłukł na wiosnę; dzieci urządziły sobie tu stół z deski opartej na dwu kamieniach, a ze skorup – zastawę. Szymon wyrznął w to wszystko toporem i zwałił na ziemię.

Natychmiast pożałował swego czynu. Ale nie mógł znieść w żaden sposób wspomnienia tego wieczora.

Jakby naznaczając sobie pokutę za przemilczenie tamtego grzechu, mówił z sirą Eirikiem o swych snach. Pewnie mówił również i dlatego, że chciał koniecznie przynajmniej od tej rzeczy oswobodzić serce. Miał właśnie odejść, gdy nagle naszło go coś – musiał o tym powiedzieć. Przecież ten stary, na wpół oślepy kapłan był już od lat dwunastu jego duchowym ojcem.

Wrócił więc i powtórnie ukląkł przed sirą Eirikiem.

Ksiądz siedział bez ruchu, aż Szymon skończył mówić. Potem jego potężny głos zabrzmiał starczo i niewyraźnie z wieczystego mroku: to nie jest grzech. Każdy członek Kościoła wojującego musi zostać wypróbowany w walce z wrogiem, dlatego Bóg dopuszcza, by szatan kusił człowieka w wieloraki sposób. Dopóki jednak człowiek nie odrzuca broni, dopóki nie zdradza chorągwi swego Króla i nie zezwala świadomie i na trzeźwo na owe majaki, którymi duch nieczysty chciałby go urzec, dopóty grzeszne myśli, które go opadają, nie są grzechem.

– Nie! – Szymon był pełen wstydu posłyszawszy swój własny głos. Zezwolić – nie zezwolił n i g d y . Dręczyły go owe zwidy, dręczyły, dręczyły. Kiedy budził się po takich grzesznych snach, miał zawsze uczucie, jak gdyby jemu samemu zadano we śnie gwałt.

Gdy wszedł na dziedziniec, spostrzegł dwa obce konie uwiązane u płota. Był to Erlendowy Soten oraz wierzchowiec Krystyny. Szymon przywołał parobka i spytał, czemu nie zaprowadził koni do stajni. – Bo goście rzekli, że nie trza – odparł parobek mrukliwie.

Był to młody chłopak, który dopiero co przyjechał z Szymonem z Dyfrina, gdzie dotychczas służył. Ale teraz na Dyfrinie wszystko szło rycerskim obyczajem, tak życzyła sobie Helga. Jeśli jednak ten głupiec Sigurd sądzi, iż Szymon pozwoli na to, by tu, na Formo, któryś z jego ludzi śmiał mu się stawiać, dlatego tylko, że sam chętnie gadał i żartował ze swoimi ludźmi i nie obruszał się na śmiałe odpowiedzi służących – to do licha z nim! Właśnie miał porządnie zmyć głowę chłopakowi, ale się powstrzymał: wszak wracał od spowiedzi. Już Jon Daalk zajmie się tym młokosem i pouczy go, że stary chłopski zwyczaj ma takie same prawidła jak dworne obejście na Dyfrinie.

Całkiem spokojnie zapytał więc, czy Sigurd spadł z księżycą, i kazał mu zaprowadzić konie do stajni. Ale był gniewny.

Wchodząc do izby spostrzegł najpierw roześmianą twarz Erlenda. Światło świecy padało wprost na niego. Siedział z Ulvhildą na ławie i wyrywał się dziewczynce, która, klęcząc obok, usiłowała go łaskotać; obu rączkami trzymała wuja i śmiała się do rozpuku. Erlend zerwał się, chciał odsunąć małą, ale uczepiła się z całej siły jego rękawa i uwiesiła na ręce, kiedy szedł przez izbę na powitanie szwagra, wyprostowany, lekki, sprężysty. Przy tym Ulvhilda mówiła dalej tak głośno, że Erlend i Szymon nie mogli dojść do słowa.

Ojciec ostro nakazał jej iść do kuchni między dziewczki, które uporały się właśnie z nakryciem stołu. A kiedy dziecko sprzeciwiło mu się, chwycił je szorstko za ramię i odciągnął od Erlenda.

– Masz! – wuj wyjął kawałek żywicy z ust i wepchnął Ulvhildzie między wargi. – Weź to, Ulvhildo gładkolica! Ta twoja córka, Szymo-

nie – rzekł ze śmiechem spoglądając za dziewczeczką – nie będzie na pewno taka posłuszna jak Arngrjerda.

Szymon nie mógł się powstrzymać od opowiedzenia żonie, jak ładnie zachowała się Arngrjerda wobec konkurów z Eiken. Wcale jednak nie po to, aby powtórzyła, co słyszała, ludziom z Jörund. Nie wyglądało to zgoła na Ramborgę: wiedział dobrze, iż nie cierpi ona Erlenda. Nie był rad ani temu, że Ramborga była taka nieobliczalna i mówiła o tej sprawie z nimi, ani temu, że Ulvhilda taka mała, a już lubiła Erlenda, podobnie jak wszystko, co nosiło kieckę.

Podszedł do Krystyny i przywitał się z nią; siedziała w kącie przy piecu z Andrzejem na kolanach. Chłopczyk bardzo pokochał ciotkę ubiegłej jesieni, kiedy go pielęgnowała po chorobie.

Szymon domyślił się od razu, że odwiedzili go w jakimś określonym celu, ponieważ Erlend przyjechał. Nie wydeptywał on zbyt często progów na Formo. Szymon nie mógł zaprzeczyć, że Erlend umiał się doskonale znaleźć w obecnym trudnym położeniu, skoro tak się już ułożyły stosunki między nimi. Erlend unikał go, jeśli się tylko dało, ale spotykali się tak często, jak to było konieczne, by nie dopuścić do gadania o niechęci między krewnymi; podczas tych spotkań odnosili się do siebie wzajemnie z największą przyjaźnią. Erlend zachowywał się w takich razach cicho i powściągliwie; mimo to jego obejście było swobodne i niewymuszone.

Kiedy sprzątnięto ze stołu i wniesiono dzbany z piwem, Erlend odezwał się:

– Sądzę, że będziesz zdumiony, Szymonie, poznawszy przyczynę naszych odwiedzin; przybyliśmy bowiem, aby zaprosić ciebie i Ramborgę do nas na wesele.

– Zartujesz chyba? Nie wiadomo mi nic o tym, że są u ciebie na dworze ludzie w stosownym do ożenku wieku.

– Jak kto uważa, szwagrze. Idzie o Ulfa syna Haldora.

Szymon trzepnął się w udo.

– Widzi mi się, że równie dobrze mogłyby się ocielić moje woły robocze!

– Nie powinienes nazywać Ulfa wołem roboczym – rzekł ze śmiechem Erlend. – Przeciwnie, nieszczęście chciało, że zbyt był swawolny.

Szymon zagwizdał z cicha. Erlend znów się roześmiał i rzekł:

– Tak, możesz być pewien, że własnym uszom nie wierzyłem, kiedy synowie Herbranda z Medalheim przybyli dziś na mój dwór i zażądali, by Ulf poślubił ich siostrę.

– Herbranda Rembas? Ależ przecie to jeszcze młodziki, ich siostra nie może być w tym wieku, by Ulf...

– Ma dwadzieścia lat. A Ulf bliski jest pięćdziesiątki. – Erlend spoważniał. – Pojmujesz, szwagrze, liczą się oni z tym, że Jardtruda niezbyt wspaniały zawarze związek; ale z dwojga złego mniejsze będzie to, jeśli wyjdzie za mąż. Ulf jest synem rycerza i człowiekiem zamożnym, nie ma bynajmniej potrzeby szukać chleba na obcym dworze. Jednakże przybył z nami tutaj w dolinę, gdyż wołał raczej żyć ze swymi krewnymi niż siedzieć na własnym dworze w Skaun po tym, co się wydarzyło.

Erlend umilkł na chwilę. Twarz jego była piękna i wzruszona. Potem ciągnął dalej:

– Otóż Krystyna i ja chcielibyśmy wyprawić mu takie wesele, jak gdyby był naszym bratem. Omówiono, że w przyszłym tygodniu Ulf i ja mamy wybrać się do doliny Musu i przedłożyć naszą prośbę o rękę dziewicy w Medalheim. Oczywiście dla pozorów, rozumiesz chyba. Miałbym jednak prośbę do ciebie, szwagrze. Wiem, Szymonie, że już po uszy jestem u ciebie zadłużony, ale Ulf nie jest lubiany tutaj w dolinie, ty zaś cieszysz się takim poważaniem, że niewielu tylko mężów może się z tobą równać. Ja sam... – wzruszył ramionami i roześmiał się. – Czy nie zechciałbyś wyświadczyć nam tej przysługi, Szymonie, by pojechać z nami i wstawić się za Ulfem? On i ja byliśmy od dziecka zawsze razem – rzekł Erlend z prośbą.

– Chętnie to zrobię, szwagrze! – Szymon poczerwieniał, poczuł się dziwnie zakłopotany i wzruszony otwartymi słowami Erlenda. – Uczynię chętnie wszystko, co mogę, by uczcić Ulfa syna Haldora.

Krystyna siedziała dotychczas w ciemnym kącie izby z Andrzejem; chłopaczek chciał koniecznie, aby go ciotka rozebrała. Teraz weszła w krąg światła, dziecko siedziało półnagie na jej ramieniu obejmując ją mocno za szyję.

– To pięknie z twojej strony, Szymonie! – rzekła cicho i wyciągnęła do niego rękę. – Dzięki ci za to.

Szymon ujął ją lekko i na moment zatrzymał w swojej dłoni.

– Ależ nie, Krystyno. Przecież zawsze lubilem Ulfa. Chyba wiesz, że czynię to z całego serca. – Wyciągnął rękę do chłopca, ale Andrzej odepchnął go, wierzgnął nóżką kopiąc ojca, ze śmiechem garnął się do Krystyny.

Szymon wciąż jeszcze patrzył w stronę tamtych dwojga omawiając z Erlendem sprawy majątkowe Ulfa. Andrzej wybuchał co chwila śmiechem. Krystyna знаła tyle piosenek i melodii, śmiała się wraz z nim wabiąco, łagodnie i przymilnie jakimś głębokim, gardłowym tonem. Raz, gdy spojrział w ich stronę, zrobiła właśnie ze swych palców rodzaj krętych schodów, a paluszki Andrzeja niby ludzie pięły się na te stopnie. Wreszcie chłopczyna pozwolił się położyć do kołyski, po czym Krystyna usiadła obok Ramborgi i rozmawiały szeptem.

To prawda – rozmyślał wieczorem Szymon kładąc się spać – lubilem zawsze tego Ulfa. A od owej zimy w Oslo, kiedy obaj wspólnie walczyli, by pomóc Krystynie, czuł się z nim związany rodzajem przyjacielskich więzów. Zawsze myślał, że Ulf równy mu jest stanem jako syn dostojnego pana, a jego wątpliwe stanowisko wśród członków ojcowskiego rodu – był wszak zrodzony w nierządzie – sprawiało, że Szymon był wobec Ulfa jeszcze bardziej delikatny; gdzieś na dnie jego serca żyła wiecznie tajemna prośba o pomyślność dla Arngjerdy. Sprawa jednak, w którą został wciągnięty, nie była wcale zbyt chwalebna – starszy mąż i młodziutkie dziewczę. No, ostatecznie nie obchodziło go to zupełnie, że Jardtruda pozwoliła sobie za wiele, kiedy bawiła latem na zjeździe; nie był przecież spokrewniony z tymi ludźmi, natomiast Ulf był bliskim krewnym jego szwagra.

Ramborga, nie proszona, ofiarowała się Krystynie z pomocą przy poczęstunku gości weselnych. Pięknie to z jej strony, przyznał Szymon. Kiedy zachodziła potrzeba, Ramborga zawsze umiała pokazać, od jakich ludzi pochodzi. Tak, tak, Ramborga jest dobra i miła.

W dzień po świętej Katarzynie Erlend syn Mikołaja wyprawił swemu krewnemu nader uroczyste i wspaniałe wesele. Zjechało się wielu poważanych gości. Postarał się o to Szymon Darre: on i jego żona byli niezwykle lubiani. Obaj księża z kościoła Św. Olafa byli obecni, a sira Eirik własnoręcznie poświęcił dom i łoże; uważano to za szczególny zaszczyt, ponieważ starzec odprawiał teraz mszę jedynie podczas bardzo wielkich świąt, duszpasterzem zaś pozostał dla niewielu tylko ludzi, którzy z dawien dawna spowiadali się u niego. Szymon Darre odczytał głośno dokument o wianie i darowiźnie Ulfa dla oblubienicy, Erlend przemawiał przy stole bardzo pięknie do swego krewnego, Ramborga doglądała wraz z siostrą poczęstunku i pomagała stroić narzeczoną w komorze na górze.

Mimo to wesele nie było radosne. Panna młoda pochodziła z poważanego, starego rodu wolnych chłopów, jej krewni i swojacy żadną miarą nie mogli uważać, że wychodzi za mąż odpowiednio do swego stanu; musiała się bowiem zadowolić obcym przybyszem, w dodatku służącym na dworze innego męża, choć swego krewnego. Synowie Herbranda nie uważali zgoła za zaszczyt ani pochodzenia Ulfa – był przecież synem rycerza i dziewczki – ani też jego pokrewieństwa z Erlendem.

Narzeczoną zaś na pewno nie była zadowolona z tego piwa, które sobie sama nawarzyła. Krystyna była wprost zrozpaczona, kiedy mówiła o tym z Szymonem w kilka tygodni po weselu. Jardtruda zamęczała męża, by się przeniósł na własny dwór w Skaun; z płaczem mówiła, iż najgorszą hańbą byłoby dla niej, gdyby jej dziecko zwano synem parobka. Ulf nic na to nie odpowiadał. Nowożeńcy mieszkali w domostwie nazywanym izbą rządcy, tam bowiem mieszkał Jon syn Einara, nim Lavrans kupił folwark Laugarbru i osadził go na nim. Jardtrudzie jednak nie podobała się ta nazwa. I drażniło ją również to, że musi swoje krowy trzymać w oborze Krystyny – pewnie bała się, iż ktoś mógłby ją wziąć za dziewczkę. To zrozumiałe, uważała gospodyni; trzeba będzie istotnie wybudować dla nich stajnię, jeśli Ulf nie przeniesie się z żoną do Skaun. To byłoby może najroztropniejsze, sądziła Krystyna; Ulf jest już nie pierwszej młodości i trudno mu

nagiąć się do zmienionych warunków życia; może tam, w nowym otoczeniu, łatwiej mu to przyjdzie.

Szymon przyznawał jej w duchu słuszość. W dodatku Ulf mało był lubiany w okolicy, wyrażał się bowiem z przekąsem o wszystkim i o wszystkich. Dzielny i sprężysty był z niego gospodarz, to prawda, ale nie obeznany z wielu rzeczami w dolinie. I tak w jesieni pozostawał więcej bydła, aniżeli mógł przez zimę wykarmić; a kiedy potem zwierzęta zdychały w oborach albo kiedy z wiosną musiał ubić część wyniszczonych sztuk, wówczas martwił się okropnie i zwał winę na to, że nienawykły jest do tej chałupniczej gospodarki w dolinie, gdzie już około świętego Paala musi się dodawać skrobanej kory do paszy dla bydła.

A potem była jeszcze jedna sprawa: w Tröndelag utarł się zwyczaj pomiędzy dziedzicem i dzierżawcami, że pan wybierał sobie dziesięcinę w towarach, których najbardziej potrzebował, jako to 'siano, skóry, mąkę, masło lub wełnę, i to nawet wtedy, kiedy przy zawieraniu umowy dzierżawnej ustalona była jakaś kwota pieniężna albo pewien określony czynsz w naturze. I właśnie sam pan lub jego pełnomocnicy obliczali wartość rozmaitych towarów wedle swego widzimisię. Kiedy jednak Ulf przyszedł z tym żądaniem do dzierżawców Krystyny, ludzie nazwali to bezprawiem i srogim przekroczeniem ustawy – czym w istocie było – i chłopci poszli do pani na skargę. Krystyna ostro skarciła Ulfa, lecz Szymon wiedział, że ludzie winią nie tylko Ulfa, ale i ją samą. Szymon zadawał sobie wiele trudu, aby wszędzie, gdzie o tym posłyszał, sprostować, iż Krystyna nie wie nic o żądaniach Ulfa i że są one zgodne ze zwyczajami w okolicy, skąd Ulf pochodzi. Ale obawiał się, iż słowa jego niewielki odnoszą skutek, choć nikt mu otwarcie nie zaprzeczał.

Tak więc sam nie wiedział, czy ma sobie życzyć, aby Ulf pozostał, czy też aby odszedł. Nie mógł sobie wyobrazić, jak Krystyna obejdzie się bez tego wiernego i dzielnego pomocnika. Erlend był zupełnie niezdolny do kierowania dworem, a synowie byli nieletni. Ale z drugiej strony Ulf zdołał już rozjątrzyć całą gminę przeciw Krystynie, a teraz na domiar złego dołączyło się jeszcze i to, że uwiódł młodą dziewczynę z możnego, poważanego rodu. Jeden Bóg wie, jak ciężko musiała Krystyna walczyć w obecnych warunkach.

I z innych względów także trudne było położenie mieszkańców dworu Jörund. Erlend z pewnością nie był bardziej lubiany od Ulfa. A jeśli pełnomocnik i krewny Erlenda drażnił ludzi swą dumą, to sam pan złościł ich jeszcze bardziej swym przyjaznym, nieco ospałym zachowaniem. Erlendowi nigdy ani przez myśl nie przeszło, że drażni ludzi; zdawał się sądzić jedynie, że biedny czy bogaty, jest zawsze tym, kim był, i nawet mu się nie śniło, że można mu dlatego zarzucać pychę. Knuł plany skupienia dokoła siebie zastępu buntowników przeciw królowi, mimo iż był krewnym i lennikiem pana Magnusa i zaprzysiął mu wierność, potem przez własną lekkomyślność spowodował zniweczenie tych planów; ale z pewnością nie myślał nigdy, że z tej przyczyny może w oczach ludzi uchodzić za zdrajcę. Szymon w ogóle nie mógł zrozumieć, co Erlend myśli.

Niełatwo było go przejrzeć. Gdy się z nim rozmawiało, wydawał się człowiekiem na pewno niegłupim, ale zarazem miał Szymon wrażenie, że Erlendowi ani w głowie wprowadzić kiedyś w czyn owe piękne i mądre pomysły, o których często mawiał. Niemożliwe było wyobrazić sobie, że ten człowiek jest już w dojrzałym wieku, że już od dawna mógłby mieć wnuki. Przyjrawszy się baczniej dostrzegało się zmarszczki na jego twarzy i siwiznę we włosach, mimo to można było jego i Mikołaja wziąć raczej za dwóch braci aniżeli za ojca i syna. Wciąż jeszcze był tak samo strzelisty i smukły jak wówczas, kiedy go Szymon po raz pierwszy zobaczył, głos jego brzmiał tak samo młodzieńczo i dźwięcznie, wciąż jeszcze poruszał się tak samo swobodnie i dostojnie, z owym nieco opieszalym wdziękiem w każdym ruchu. Zawsze wśród obcych zachowywał się spokojnie i powściągliwie, pozwalał raczej, aby do niego się zbliżano zamiast samemu szukać towarzystwa, i to zarówno w szczęściu, jak w nieszczęściu. Teraz zdawał się nawet nie odczuwać, że nikt nie szuka jego towarzystwa. A cały krąg panów i wielkich chłopów wokoło, wszyscy, jak długa i szeroka dolina, związani i spowinowaceni z sobą ożenkami i przyjacielskim współzyciem, oburzali się na tego Trondhjemczyka, którego nieszczęście rzuciło między nich, a który mimo to pysznił się swym pochodzeniem i zadzierał nosa zamiast starać się o ich przychyłność.

Przed wszystkim jednak napsuło ludziom krwi to, że z winy Erlenda popadli w nieszczęście mężowie z Sundbu. Guttorm i Borgar

synowie Tronda zostali wygnani z Norwegii, należna zaś im część wielkich dóbr Gjeslingów oraz połowa dziedzicznych włości przypadły koronie. Ivar z Sundbu musiał drogo okupić pojednanie z królem Magnusem. Skoro zaś król darował otrzymane w ten sposób dobra – nie za darmo, jak wieść niósła – rycerzowi Sigurdowi synowi Erlenda Eldjarna, Ivar i Haavard, najmłodszy z synów Tronda, nie uwikłani zupełnie w tę sprawę, sprzedali również swe prawa do włości w Vaage panu Sigurdowi, który był krewnym ich oraz córek Lavransa: jego matka bowiem, Gudruna córka Ivara, była siostrą Tronda Gjeslinga i Ragnfridy z Jörund. Ivar Gjesling udał się do Toten na dwór, który mu żona wniosła w posagu. W ten sposób zabezpieczył swym dzieciom rodzinny dom tam, gdzie była ojcowizna i dziedzictwo matki. Haavard miał prócz tego wielką posiadłość, ta jednak leżała w Valdres, przez swój ożenek zaś otrzymał również spore obszary w okręgu Borge. Ale mieszkańcom Vaage oraz dworów położonych dalej na północ zdawało się okropnym nieszczęściem, iż stary ród lennych panów, zasiedziały i rządzący doliną Vaage odkąd pamięć ludzka sięgała, opuścił Sundbu.

Krótko tylko pozostawało Sundbu w rękach Erlenda Eldjarna z Gotaland w Agder, wiernego lennika króla Haakona. Gjeslingowie nie byli nigdy przyjaciółmi króla Sverrego i jego rodu i przyłączyli się do księcia Skulego, kiedy ten ze swoją drużyną podniósł bunt przeciw Haakonowi. Lecz Ivar Młodszy otrzymał z powrotem Sundbu przy podziale dziedzictwa z Erlendem Eldjarnem i wydał za niego swą najstarszą córkę, Gudrunę. Syn Ivara Trond nie przyniósł zaszczytu swemu rodowi. Ale jego synowie byli piękni, mili i odważni, toteż ludzie wielce żałowali, iż przyszło im utracić ojcowski dwór.

Zanim jeszcze Ivar opuścił dolinę, wydarzyło się nieszczęście, z powodu którego ubolewano jeszcze bardziej nad niepowodzeniem Gjeslingów. Guttorm nie był żonaty, ale młoda małżonka Borgara żyła po wygnaniu męża nadal na Sundbu. Dagny córka Bjarnego była zawsze trochę nieporadna i okazywała jawnie, że ponad miarę miłuje swego męża – Borgar był piękny, ale nieco lekkich obyczajów. Zimą po jego wygnaniu Dagny utonąła w przeręb!u zamrzniętego jeziora. Mówiono o nieszczęśliwym wypadku. Ale ludzie wiedzieli doskonale, że ze smutku i tęsknoty pomieszał się jej rozum, i wszystkim serdecz-

nie żał było poczcérwej, miłej i pięknej kobiety, która tak straszną poniosła śmierć. Wskutek tego jeszcze bardziej wzrosła złość na Erlenda, bo to on przecież wszystkiemu był winien, to on w takie nieszczęście wepchnął najlepsze rodziny z okolicy. Zaczęto znowu odgrzebywać stare historie, przypominano sobie, jak Erlend postąpił wówczas, kiedy miał poślubić córkę Lavransa. Tak, tak, wszak i ona sama pochodziła również z Gjeslingów przez matkę.

Nowy pan na Sundbu nie był lubiany, choć nic nie można było zarzucić Sigurdowi; lecz pochodził z południa Norwegii, a jego ojciec, Erlend Eldjarn, ściągnął na siebie w tej części kraju nienawiść każdego, z kim miał do czynienia. Krystyna i Ramborga nie znały wcale tego krewnego. Szymon znał pana Sigurda z Raumarike, był on bowiem blisko spokrewniony z synami Haftora, ci zaś byli spokrewnieni z żoną Gyrdą Darre. Że jednak sprawy wzięły teraz taki obrót, Szymon unikał, jak mógł, spotkania z rycerzem. Nie miał teraz bynajmniej ochoty zaglądać na Sundbu: synowie Tronda byli miłymi przyjaciółmi, Ramborga i żony Ivara i Borgara odwiedzały się co roku. Poza tym Sigurd był o wiele starszy od Szymona, był to człowiek blisko sześćdziesięcioletni.

W trudnym położeniu, w jakim już i tak znajdowali się Erlend i Krystyna, wystarczyło owo małżeństwo rządcy, chociaż samo przez się bez większego znaczenia, aby pogorszyć ich sytuację – tak zdawało się Szymonowi. Zazwyczaj nie zwracał się do żony mając do pokonania jakieś trudności lub przeszkody. Teraz jednak nie mógł się powstrzymać od mówienia z nią o tych rzeczach. Ze zdumieniem, ale zarazem z radością zobaczył, jak rozumnie mówi Ramborga o tym i jak pięknie stara się wszelkimi siłami pomóc, gdzie się tylko da.

Przebywała obecnie znacznie częściej niż dotąd u siostry na Jö-rund, nie odnosiła się do Erlenda z taką niechęcią jak przedtem. W dzień Bożego Narodzenia, kiedy po mszy spotkali się wszyscy na wzgórzu kościelnym, Ramborga ucałowała nie tylko Krystynę ale i szwagra. A przecież dawniej wyrażała się zawsze z takim przekąsem o tych cudzoziemskich manierach, o tym, że Erlend całował na powitanie świekrę i o podobnych zwyczajach.

Kiedy Szymon ujrzał, jak Ramborga zarzuca Erlendowi ręce na szyję, wstrząsnęła nim myśl, że i on mógłby tak samo uczynić z Krystyną. Ale czuł zarazem, że nie mógłby tego zrobić. Nie przejął przecież nigdy zwyczaju całowania krewniaczek; zaraz przy pierwszej próbie, gdy był jeszcze królewskim paziem, matka i siostry wyśmiały go.

Podczas biesiady świątecznej na Formo Ramborga wyznaczyła młodej żonie Ulfa poczesne i zaszczytne miejsce i okazywała zarówno jemu, jak też i jej wszelkie należne młodożeńcom honory. Potem sama przybyła na Jörund i pomagała przy porodzie Jartrudy.

Było to w miesiąc po Bożym Narodzeniu, dwa miesiące przed czasem, i chłopak urodził się nieżywy. Jartruda zachowywała się teraz jak opętana; gdyby przypuszczała, że sprawa weźmie taki obrót, nigdy w życiu nie poślubiłaby Ulfa. Ale już się stało i odstać się nie mogło.

Co sądził Ulf o tym wszystkim, nie wiedział nikt, nic bowiem nie mówił.

Na tydzień przed śródpociem Erlend syn Mikołaja i Szymon syn Andrzeja udali się konno na południe do Kvam. Lavrans do spółki z paru innymi chłopami zakupił tam na kilka lat przed śmiercią niewielki dwór. Poprzedni właściciele chcieli teraz odkupić dwór z powrotem, powstała jednak pewna niejasność co do tego, jak załatwiono swego czasu sprawę prawnego zastrzeżenia odkupu oraz czy krewni sprzedawców udowodnili dostatecznie swe prawa. Przy podziale spuścizny po Lavransie wydzielono jego część z tego dworu wraz z paru innymi małymi posiadłościami, przy których mogłyby powstać jakieś wątpliwości, i siostry dzieliły się tylko dochodami z tych dóbr. Dla uregulowania owych spraw pojechali teraz obaj zięciowie Lavransa zamiast swych żon do Kvam.

Ludzi zebrano się sporo, a ponieważ żona i dzieci dzierżawcy chorowały, musieli przeto zadowolić się szopą, w której odbyło się zebranie. Szopa była zrujnowana i nieszczelna, siedzieli więc wszyscy w futrach. Każdy miał broń pod ręką i miecz u pasa, nie zamierzali bowiem pozostać tu ani chwili dłużej, aniżeli wymagała potrzeba. Ale

musieli przecież coś zjeść przed odjazdem do domu, koło południa zatem, kiedy ukończyli właściwe obrady, każdy wydobyl swą sakwę z zapasami i posilali się w pośpiechu, gdzie popadło, stołu bowiem nie było w szopie.

Zamiast proboszcza z Kvam zjawił się jego syn, Holmgeir syn Mojżesza. Był to człek młody, zaniedbany, ogólnie nie lubiany, w zupełności nie zasługujący na zaufanie. Jego ojciec jednak był wielce szanowany, a matka wywodziła się z zacnego rodu; poza tym Holmgeir był chłopem silnym i krewkim, w gorącej wodzie kąpanym, dlatego nikt nie ważył się zadzierać z nim, a niektórzy uważali, że jest dowcipny i ma obrotny język.

Szymon znał go pobieżnie, jego wygląd nie podobał mu się zgoła. Holmgeir miał długą, wąską twarz, bladą i piegowatą, a górna warga była tak krótka, że odsłaniała przednie zęby, wielkie i żółte niby u szczura. Lecz sira Mojżesz był dobrym przyjacielem Lavransa, sam Holmgeir zaś, zanim go ojciec przyjął do swego rodu, żył przez dłuższy czas na dworze Jörund ni to jako pacholek, ni to jako wychowanek; Szymon więc odnosił się do niego zawsze uprzejmie.

Holmgeir zatoczył jakiś pniak do ognia, usiadł na nim, nabijał na swój sztylet pieczone drozdy ze słoniną, w które się zaopatrzył na drogę, i odgrzewał jednego po drugim nad ogniskiem. Był niedawno chory i dlatego na czternaście dni został zwolniony od postu; opowiadał to innym, którzy siedzieli i żuli suchy chleb z zamarznąłą rybą, podczas gdy rozkoszna woń smakołyków Holmgeira łechtała im podniebienie.

Szymon był w złym humorze, nie tyle gniewny, ile raczej w markotnym usposobieniu. Cała sprawa dotycząca owych posiadłości była bardzo trudna i zawiła, a listy, które miał od teścia, nie były bynajmniej jasne; na wyjezdnym z domu sądził niemal, że doszedł ostatecznie do ładu porównując inne dokumenty z tymi listami. Skoro jednak tu na zgromadzeniu posłyszał zeznania świadków i kiedy przedłożono znów inne pisma, musiał dojść do wniosku, iż jego pogląd nie da się utrzymać. W każdym razie żaden z zebranych mężów nie rozeznawał się lepiej w tej gmatwaninie, nie wyłączając lennika wójta, który był również obecny. Mówiono już o tym, że

trzeba będzie sprawę tę przedłożyć na thingu, gdy nagle Erlend zabrał głos i prosił, by mu pokazano listy.

Dotychczas siedział tylko i słuchał, zupełnie jakby go ta cała rzecz nie obchodziła. Teraz dopiero zdawał się budzić. Uważnie przeczytał wszystkie listy, niektóre nawet po kilkakroć. Potem dał wyjaśnienie, krótko i węzłowato: tak a tak brzmią słowa ustawy i tak a tak są zazwyczaj wykładane; niejasne i zawile zwroty w listach muszą znaczyć to lub tamto; o ile sprawa przedstawiona zostanie na thingu, będzie rozsądzona tak albo owak. Potem przedstawił rozwiązanie, które mogło zadowolić dawnych właścicieli, a zarazem nie było niekorzystne dla obecnych.

Mówiąc podniósł się, oparł lekko lewą rękę na rękojeści miecza, w prawej zaś trzymał dość nieuważnie zwój listów. Zachowywał się tak, jak gdyby on przewodniczył zebraniu, ale Szymon wiedział, że Erlend czyni to nieświadomie. Był przecież przywykły powstawać tak i przemawiać, kiedy prowadził któreś z wójtowskich zebrań w swym okręgu, i teraz zwracając się do jednego lub drugiego z pytaniem, czy sprawa tak wygląda, czy pojmują, co im objaśnia, stawiał pytania tak, jak gdyby przesłuchiwał świadków – wprawdzie grzecznie, ale w taki sposób, jakby jego rzeczą było pytać, a rzeczą innych odpowiadać. Kiedy skończył, wręczył listy lennikowi wójta, zupełnie jakby ten był jego podwładnym, po czym usiadł i przysłuchiwał się, kiedy inni, między nimi także Szymon, zabierali głos i wypowiadali swoje poglądy, ale ciągle tak, jakby jego samego to nie dotyczyło. Gdy któryś z mężów zwrócił się do niego wprost, odpowiadał krótko, jasno, dobitnie, w przerwach zaś zeskrobywał paznokciem tłuste plamy ze swego kaftana, poprawiał pas, bawił się rękawicami i zdawał się z niecierpliwością czekać, rychło zebranie się skończy.

Inni przyjęli porządek podany przez Erlenda i Szymon mógł być ostatecznie z tego zadowolony; wnosząc skargę na thingu nie użyła nic więcej.

Ale humor mu się zepsuł. Jemu samemu wydawało się dziecinne gniewać się o to, że szwagier, a nie on, utrafił w sedno rzeczy. Było wszak zrozumiałe, że Erlend lepiej wykladał ustawy i lepiej rozeznawał się w niejasnych pismach, gdyż przez całe lata urząd jego polegał właśnie na tym, aby ludziom objaśniać prawo i roztrząsać zawile

spory. Ten obrót rzeczy był jednak zgoła niespodziewany dla Szymona: nie dalej jak wczoraj wieczór, kiedy na Jörund mówił z Erlendem i Krystyną o tym zebraniu, Erlend nie wyraził żadnego zdania; słuchał ledwie jednym uchem. Pewnie, Erlend musiał być biegłyjszy w prawie aniżeli zwykli chłopci, ale kiedy tak siedział i z obojętną życzliwością udzielał innym wyjaśnień, miało się niemal wrażenie, że jego samego prawo nie dotyczy w najmniejszym stopniu; Szymon zaczął niejasno uświadamiać sobie, iż Erlend nigdy, w najmniejszym stopniu nie kształtował własnego życia na modłę prawa.

A potem również osobliwe było to, że bez żadnego zakłopotania powstał i przemawiał. Musiał przecież zdawać sobie sprawę, że to skieruje myśli wszystkich obecnych na to, kim był niegdyś i jakie zajmuje dziś stanowisko. Szymon czuł, że wszyscy myślą o tym; wielu gniewnych było na tego człowieka, który zupełnie jawnie nie dbał o to, co o nim sądzono. Ale nikt się nie odezwał. A gdy siny z zimną pisarz, którego lennik wójta przywiódł ze sobą, usiadł i wziął pulpit na kolana, zwracał się wciąż do Erlenda, a on dyktował mu, co ma pisać, bawiąc się jednocześnie źdźbłami słomy i okręcając je na kształt pierścienia wokół swych długich palców. Kiedy pisarz skończył, podał Erlendowi pergamin; ten wrzucił słomiany pierścień w ogień, wziął dokument i czytał półgłosem:

– „Wszystkim mężom, którzy by widzieli lub którym by odczytywano to pismo, ślą Szymon syn Andrzeja z Formo, Erlend syn Mikołaja z Jörund, Vidar syn Steina z Klaufastad, Ingemund i Toralde synowie Björna, Björn syn Ingemunda z Lundar, Alf syn Einara, Holmgeir syn Mojżesza pozdrowienie Boże oraz własne”. Macie tam wosk w pogotowiu? – rzucił w stronę pisarza chuchającego w skostniałe palce. – „Niechaj wam będzie wiadomo, iż my wszyscy w roku Pańskim tysięcznym trzechsetnym trzydziestym ósmym zeszedliśmy się w piątek przed niedzielą śródpodną na Granheim w parafii Kvam...”

– Możemy użyć skrzyni stojącej w komorze zamiast stołu, Alfie – zwrócił się do lennika i wręczył list z powrotem pisarzowi.

Szymon przypomniał sobie, jaki Erlend był dawniej, kiedy żył pośród równych mu stanem. Zawsze pewny siebie i swobodny, dowcipny i zaczepny w gadaniu, a przecież ujmujący w obejściu; nie było mu wcale obojętne, co myślą o nim ludzie, których uważał za

równych sobie i za swoich krewnych. Przeciwnie, przywiązywał wielką wagę do tego, by zyskać dobre imię.

Z dziwną goryczą poczuł się nagle Szymon związany z tymi chłopami z doliny, których Erlend nie szanował nawet na tyle, by się zastanowić, co o nim sądzą. Przez wzgląd na Erlenda on sam, Szymon, poniżył się tak bardzo, przez niego zerwał z szanowanymi, bogatymi ludźmi. Owszem, miło być bogatym dziedzicem na Formo – ale nie mógł zapomnieć, że odwrócił się od swych towarzyszy, krewnych i przyjaciół młodości, ponieważ zniżył się do tak błagalnej prośby wobec nich, iż nie mógł teraz obcować z nimi nadal, nie mógł wprost myśleć o tym. Przez tego szwagra wypowiedział służbę samemu królowi i właściwie wystąpił z królewskiej świty. Ale na domiar złego zdradził się sam wobec Erlenda: wspomnienie o tym gorsze było dla niego od śmierci. Erlend zaś zachowywał się wobec niego zawsze tak, jakby nic nie pojmował i o niczym nie wiedział. Mało go obchodziło to, że zburzył doszczętnie życie drugiego człowieka.

W tej chwili Erlend zagadnął Szymona:

– Musimy się już sposobić do drogi, Szymonie, jeśli chcemy jeszcze dziś wieczór powrócić do domu. Idę się rozejrzeć za końmi.

Szymon podniósł oczy i dziwna, chorobliwa niechęć ogarnęła go na widok pięknej, wyniosłej postaci szwagra. Erlend miał pod kapturem małą, czarną, jedwabną czapeczkę, opinającą szczelnie głowę i zapiętą pod brodą: w tym obramowaniu jego pociągła, smągła twarz z wielkimi, modrymi oczami głęboko w cieniu sklepionego czoła wyglądała jeszcze młodziej i delikatniej.

– Zawiąż tymczasem moją sakwę – rzucił jeszcze od drzwi, po czym wyszedł.

Pozostali rozmawiali dalej o sprawie, dla której się tutaj zeszli. Mimo wszystko to dziwne, mówili niektórzy, jak nieopatrny był Lavrans w tym wypadku; zwykle przecie wiedział dobrze, czego chce, był najbardziej doświadczonym chłopem, jeśli chodziło o kupno lub sprzedaż gruntów.

– Z pewnością mój ojciec ponosi tutaj winę – przypuszczał Holmgeir syn proboszcza. – Sam powiedział dzisiaj rano, że gdyby był wówczas posłuchał Lavransa, wszystko byłoby w największym porządku. Ale wiecie przecie, jaki był Lavrans w tych rzeczach;

w stosunku do księży był zawsze potulny i posłuszny niczym jagniątko.

– Jednak o swoje korzyści na Jörund umiał dbać bardzo dobrze – wtrącili niektórzy.

– Pewnie, bo mógł to czynić także idąc za księżą radą – rzekł Holmgeir ze śmiechem. – Bardzo to roztropnie nawet w doczesnych rzeczach, dopóki nie ma się ochoty na ten sam kasek, na który i Kościół jest łasy.

– Lavrans był niezwykle pobożny – oświadczył Vidar. – Nigdy nie szczędził bydła ani gruntu, kiedy szło o Kościół lub biedaków.

– Rzeczywiście – potwierdził Holmgeir w zamyśleniu. – Tak, gdybym był taki bogaty, miałbym i ja ochotę okupić sobie w ten sposób choć w części spokój duszy. Ale nigdy nie postąpiłbym tak jak on, nie rzucałbym oburącz mojego mienia i nie chodziłbym potem jeszcze z czerwonymi ślepiami i bladym licem do proboszcza, aby spowiadać się z grzechów; a Lavrans spowiadał się co miesiąc.

– Łzy skruchy są błogim darem łaski Ducha Świętego, Holmgeirze – odezwał się sędziwy Ingemund syn Björna. – Błogosławiony ten, który tu na ziemi płacze z powodu swych grzechów; tym łatwiej dostanie się na tamten świat.

– W takim razie Lavrans musi już od dawna być w niebie – odrzekł Holmgeir. – Pościł i umartwiał swe ciało, a w Wielki Piątek zamykał się pono na poddaszu i biczował do krwi.

– Stul pysk – rzekł Szymon trzęsąc się z oburzenia; krew uderzyła mu do głowy. Nie wiedział, czy prawdą jest to, co mówi Holmgeir. Kiedy porządkował sekretne schowki po śmierci teścia, zauważył na dnie skrzyni z książkami małą, podłużną drewnianą szkatułkę. Wewnątrz zaś leżał bicz, jaki w klasztorach zowią dyscypliną. Splecione rzemienie nosiły ślady ciemnych plam, mogła to być zaschnięta krew. Szymon spalił własnoręcznie owo biczysko, czuł przy tym trwożny szacunek i zmieszanie; zrozumiał, iż odkrył coś w życiu Lavransa, czego ten strzegł bacznie przed czymkolwiek okiem.

– Na pewno nie rozmawiał o tym ze swoimi parobkami – rzekł Szymon, kiedy wreszcie mógł się zdobyć na odpowiedź.

– Nie, to z pewnością tylko ludzki wymysł – potwierdził ustępliwie Holmgeir. – Jego grzechy chyba nie były tego rodzaju, by za nie aż tak

srogo miał pokutować – Holmgeir skrzywił się drwiąco. – Gdybym żył tak obyczajnie i po chrześcijańsku jak Lavrans syn Björgulfa i gdybym był ożeniony z tą wiecznie smętną niewiastą, Ragnfridą, to raczej płakałbym z powodu grzechów, których nie popełniłem.

Szymon zerwał się i uderzył Holmgeira w twarz, aż chłopak zatoczył się w tył ku ognisku. Sztylet wypadł mu przy tym zza pasa. Holmgeir błyskawicznie schylił się i podniósł go, po czym natarł na Szymona. Szymon zasłaniając się ramieniem, przez które miał przewieszzone okrycie, chwycił napięstek Holmgeira i usiłował mu wytrącić sztylet z dłoni, synowi proboszcza udało się jednak uderzyć go parokrotnie pięścią w twarz. Wtedy Szymon chwycił obie ręce napastnika, ale młodzieniec z całej siły wbił zęby w jego dłoń.

– A, gryziesz, ty psie! – Szymon puścił go, cofnął się o parę kroków, wyrwał miecz z pochwy. Rzucił się na Holmgeira – ciało chłopca wygięło się w tył, żelazo na kilka cali głęboko utkwilo mu w piersi. Po chwili opadł ciężko i bezwładnie wprost w ogień.

Szymon cisnął miecz i chciał wyciągnąć Holmgeira z płomieni. Nagle ujrzał wzniesiony do ciosu tuż nad swoją głową topór Vidara. Schylił się raptownie i, uskoczywszy w bok, porwał znowu miecz; udało mu się właśnie wytrącić oręż z ręki Alfa syna Einara, błyskawicznie obrócił się, by osłonić się powtórnie przed toporem Vidara, lecz jednocześnie ujrzał, że z boku, od strony paleniska, szykują się do natarcia synowie Björna i Björn z Lunde z nastawionymi oszczepami. Pchnął tedy Alfa przed siebie na przeciwległą ścianę, ale w tej chwili dostrzegł, że Vidar skrada się ku niemu – wyciągnął on tymczasem Holmgeira, swego stryjecznego brata, z płomieni – zaś dwóch mężów z Lunde nacierało z drugiej strony paleniska. Stał więc w środku, z wszystkich stron osaczony i wśród tego strasznego zamieszania, w którym dosyć miał zajęcia, by chronić własne życie, odczuł nagle bolesne, dziwaczne zdumienie, iż wszyscy są przeciw niemu.

W następnej chwili miecz Erlenda błysnął pomiędzy nim a mężami z Lunde. Toralde zatoczył się i oparł o ścianę. Z szybkością błyskawicy Erlend przerzucił miecz do drugiej ręki i wytrącił broń Alfowi, tak że z brzękiem upadła na ziemię; jednocześnie chwycił prawicą drzewce oszczepu Björna i zgiał ostrze.

– Wychodź – rzekł zdyszany do Szymona broniąc szwagra przed

- Vidarem. Szymon zgrzytnął zębami, pobiegł na środek izby, by natrzeć na Bjórna i Ingemunda. Erlend nie odstępował go. Pośród zgiełku i szczęku broni wołał – Precz, na dwór, ty głupcze! Marsz, ku drzwiom, musimy wyjść!

Kiedy Szymon zrozumiał, że Erlend chce wyjść razem z nim, zaczął się cofać tyłem ku drzwiom wciąż odpierając napastników. Przebiegli w ten sposób przedsionek i wreszcie stanęli na podwórzu: Szymon oddalony o kilka kroków od domu, Erlend tuż przed drzwiami, z mieczem do połowy wzniesionym, twarzą zwrócony ku nacierającym.

Przez chwilę Szymon był jakby oślepiony. Mroźny dzień lśnił od światła i blasku, pod błękitnym niebem piętrzyły się w ostatnich promieniach zachodu złociste góry, a bór stał biały od mrozu i śniegu. Pola błyszczały i migotały, jakby rozsypano po nich drogie kamienie.

Posłyszał głos Erlenda:

– Przez to, że jeszcze więcej ludzi straci życie, nieszczęście się nie odstanie. Musimy teraz wziąć się w garść, zacni ludzie, i położyć koniec rozlewowi krwi. Już i tak źle się stało, że mój szwagier zabił człowieka.

Szymon stanął u boku Erlenda.

– Bez powodu zabiłeś mojego krewniaka, Szymonie – rzekł Vidar z Klaufastad; stał on na czele gromady.

– Nie zginął on znowu tak całkiem bez przyczyny. Ale wiesz dobrze, Vidarze, że wam nie zbiegnę. Gotów jestem zapłacić za nieszczęście, które na was sprowadziłem. Wiecie wszyscy, gdzie mnie macie szukać.

Erlend rozmawiał jeszcze chwilę z chłopami:

– A jak się ma Alf? – Wszedł z innymi do izby.

Szymon pozostał na dworze dziwnie zmieszany. Po chwili Erlend wrócił.

– No, teraz odjeżdżamy – rzekł i poszedł w stronę stajni.

– Nie żyje? – zapytał Szymon.

– Nie. Alf, Toralde i Vidar są ranni, ale niezbyt ciężko. Holmgeir ma spalone włosy z tyłu głowy. – Erlend mówił dotąd poważnie, nagle wybuchnął głośnym śmiechem: – T e r a z pachnie w szopie spalonym drożdżem sadłem, możesz mi wierzyć! Ale, do diaska, jak się to

stało, że przez tę krótką chwilę takeście się poczubili? – spytał zdumiony.

Jakiś wyrostek przyprowadził im konie, żaden z nich bowiem nie wziął z sobą pachołka.

Jeszcze ciągle trzymali obydwaj miecze w ręku. Erlend wziął pęk trawy i otarł krew z ostrza. Szymon uczynił tak samo i z grubsza obtarłszy miecz wsunął go do pochwy. Erlend oczyścił swój bardzo starannie, w końcu przejechał po nim połą swej szaty. Potem wywinął nim parę młynków w powietrzu – z uśmiechem, jakby sobie coś przypomniał, wyrzucił miecz wysoko w górę i chwyciwszy go za rękojeść wsunął do pochwy.

– Ale twoje rany... Musimy najpierw pójść do izby, to ci je opatrzę.

– Szymon odrzekł, że nie ma o czym mówić.

– Ty też krwawisz, Erlendzie!

– E, o mnie nie ma strachu! Moje rany goją się prędko. U tęgich ludzi trwa to, jak zauważyłem, znacznie dłużej. I w dodatku ten mróz... A spory szmat drogi przed nami.

Erlend kazał dzierżawcy podać maść i płótno i przewiązał starannie rany Szymona. Były to dwie rany cięte na lewej piersi; krwawiły zrazu silnie, ale nie były groźne. Erlend został draśnięty oszczepem Björna w udo; ciężko mu będzie jechać konno, przypuszczał Szymon, ale Erlend roześmiał się: wszak ostrze ledwie przecięło skórnie. Przyłożył sobie trochę maści i owinał ranę starannie ze względu na zimno.

Mróz był siarczysty. Zanim jeszcze zjechali z pagórka, na którym stał dwór, szron osiadł na koniach, a futrzane obramowania płaszczy były zupełnie białe.

– Brr! – Erlend wzdrygnął się. – Obyśmy już byli w domu! Musimy zajechać na ten dwór w dole i donieść, żeś zabił człowieka.

– Czy to konieczne? – spytał Szymon. – Mówiłem przecie z Vidarem i innymi.

– Lepiej, żebyś to uczynił – przerwał Erlend. – Zgłosisz się sam nie dając sposobności do obgadywania cię.

Słońce skryło się teraz za wzgórzem, nastał szarawy, ale jasny wieczór. Jechali wzdłuż potoku pod okrytymi szronem brzożami.

Gruba warstwa ostrej, mroźnej mgły rozpostarła się w dole zapierając wprost dech. Erlend mruzczał niecierpliwie pod nosem wyrzekając na długotrwałe zimno i niemiłą jazdę, jaka ich czeka.

– Nfę odmroziłeś sobie chyba twarzy, szwagrze? – zaniepokojony zajrzał mu pod kaptur. Tamten rozcierał sobie policzki. Nie były jeszcze odmrożone, ale podczas jazdy Szymon pobladł nieco. Wyglądał wskutek tego brzydko; jego duża, nalana twarz była jakby zwietrzała i pokrywały ją czerwone plamy, wśród których rozpościerała się szarymi wysepkami bladość, co sprawiało wrażenie, że skóra jest brudna.

– A widziałeś już kiedy człowieka rozrzucającego mieczem gnój? – spytał Erlend; na samo wspomnienie wybuchnął grzmiącym śmiechem, pochylił się w siodle i naśladował ruchy chłopów. – Choćby ten Alf, to mi dopiero lenny pan! Gdybyś kiedy zobaczył Ulfa syna Haldora bawiącego się mieczem... Jezus Maryja!

Bawiącego się... Tak, widział przecie Erlenda przy tej zabawie. Wciąż i wciąż stawał mu przed oczyma ten obraz: on sam i tamci ludzie koło paleniska, machający mieczami jak chłopci rąbiący drzewo albo przewracający siano – a między nimi zgrabna, ruchliwa jak iskra postać Erlenda, jego szybkie spojrzenie, pewna ręka, kiedy wirował wśród nich, zaprawiony do broni, nie tracący ani na chwilę przytomności umysłu.

Minęło już dobrych dwadzieścia lat od czasu, kiedy on sam pośród młodych ludzi na królewskim dworze uchodził za jednego z najlepszych szermierzy. Odtąd jednak nieczęsto nadarzała się sposobność wypróbowania rycerskiej sprawności.

Jechał i czuł się do głębi serca chory, ponieważ zdarzyło mu się nieszczęście, że zabił człowieka: wciąż jeszcze widział wygięte ciało Holmgeira zsuwające się z miecza w ogień, wciąż jeszcze brzmiały mu w uszach jego krótkie, charczące jęki śmiertelne, bez ustanku wracały poszczególne obrazy krótkiej, ale zażartej walki. Czuł się zgębiony i zmieszany: w mgnieniu oka rzucili się na niego wszyscy – wszyscy ci ludzie, z którymi się szczerze żył i całą duszą był związany; obronił go jeden Erlend.

Nigdy nie uważał się za tchórza. Sześć niedźwiedzi położył od czasu, gdy mieszkał na Formo, dwukrotnie narażając przy tym nieo-

patrznie życie. Naprzeciw niego, oddzielona jedynie cienkim świerkiem, stała rozjuszona ranna niedźwiedzica, on zaś nie miał przy sobie innej broni prócz ostrza włóczni z długim na szerokość dłoni ułamkiem rękojeści; a jednak ogromne napięcie nie umniejszyło pewności jego myśli, ruchów ani zmysłów. Teraz zaś w tej szopie – nie wiedział – byli to strach, co odczuł? W każdym razie był tak zmieszany, iż stracił całą przytomność umysłu.

Wówczas, kiedy po owych łowach na niedźwiedzia siedział w domu, niedbale przyodziany, z ręką na temblaku, płonący od gorączki, z poszarpanym, obolałym ramieniem, odczuwał jedynie zuchwałą radość: mogło się skończyć jeszcze gorzej. Jak? – tym nie głowił się wcale. Teraz jednak musiał o tym ustawicznie myśleć, jakby się to zajęcie skończyło, gdyby Erlend nie zjawił się na czas z odsieczą. I czuł nie trwogę, ale dziwny ucisk duszy. Pewnie wyraz twarzy tamtych był tego powodem – no, i zwłoki Holmgeira.

Szymon nigdy dotąd jeszcze nie był zabójcą.

...Ów szwedzki rycerz, którego zabił... Wydarzyło się to wówczas, kiedy król Haakon wtargnął ze swym wojskiem do Szwecji, by pomścić wymordowanie książąt. Szymon został wysłany na zwiady z trzema ludźmi, którymi dowodził; był zuchwały i wielce z tego dumny. Przypomniawszy sobie, jak jego miecz utkwiał w stalowym szyszaku rycerza, tak że musiał porządnie targać i szarpać, zanim go oswobodził. Kiedy nazajutrz obejrzał ostrze, odkrył w nim szczerbę. Zawsze z lubością wspominał tę przygodę. Szwedów było ośmiu, wtedy popróbowował przynajmniej, co to znaczy prowadzić wojnę. Nie wszystkim mężom znajdującym się wówczas w królewskiej drużynie było to dane. Kiedy się zupełnie rozjaśniło, ujrzał, że koszula, którą nosił pod pancerzem, była spryskana krwią i mózgiem i kosztowało go wiele trudu, by wyglądać przyzwoicie i godnie, gdy ją prał.

Nic jednak nie pomogło wspomnienie tego biedaka. Nie, tamta historia nie była podobna do dzisiejszej. Nie mógł się uwolnić od okropnego żalu z powodu zabójstwa Holmgeira.

A na domiar jeszcze i to, że Erlendowi zawdzięczał życie. Nie wiedział, jakie następstwa z tego wynikną, ale miał wrażenie, że teraz, odkąd są skwitowani, wszystko musi się odmienić.

W tym względzie wyrównaliby więc swoje porachunki.

Obaj jechali w milczeniu. Erlend tylko raz się odezwał:

– Głupio było jednak z twojej strony, Szymonie, żeś nie pomyślał przede wszystkim o tym, aby dostać się do drzwi.

– Jak to? – spytał Szymon krótko. – Dlatego, żeś ty był na dworze?

– Nie – w głosie Erlenda zadźwięczał śmiech. – Owszem, dlatego także, ale nie to miałem na myśli. Przez ciasne drzwi mógłby przejść najwyżej jeden człowiek na raz. A zdumiewające jest wprost, jak prędko ludzie odzyskują rozsądek, skoro tylko dostaną się pod gołe niebo. Wydaje mi się nieomal cudem, że tylko jeden stracił życie.

Parę razy pytał też Szymona o jego rany, ale ów odpowiadał, że nie bardzo dają mu się we znaki, chociaż piekły go porządnie.

Przyjechali na Formo późnym wieczorem i Erlend wszedł ze szwagrem do izby. Radził mu zaraz nazajutrz posłać do wójta pismo z doniesieniem o wypadku, aby jak najrychlej otrzymać list żelazny. Erlend chciał natychmiast ułożyć owo pismo, Szymonowi będzie ciężko to zrobić z powodu ran na piersiach.

– A jutro musisz pozostać w łóżu i leżeć spokojnie, na pewno będziesz miał trochę gorączki – dodał.

Ramborga i Arngjerda nie spały jeszcze, obie czekały na Szymona. Usadowały się dla ciepła na ławie obok komina i nogi podciągnęły pod siebie; między nimi leżała szachownica. Wyglądały jak dwoje dzieci.

Zaledwie Szymon zaczął opowiadać, co zaszło, żona podbiegła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Nachyliła jego głowę ku swojej, przytuliła policzek do jego twarzy i ścisnęła tak mocno dłoń Erlenda, że śmiejąc się rzekł, iż nie przypuszczał nigdy, by Ramborga miała taką siłę w rękach.

Za wszelką cenę chciała zatrzymać męża na noc w izbie; sama będzie przy nim czuwać. Z płaczem niemal błagała o to. Potem Erlend ofiarował się pozostać i spać z Szymonem, jeśli pošlą kogoś z wieścią na Jörund. Już i tak za późno jechać do domu: – A szkoda, aby Krystyna na ten ziąb tak długo nie kładła się spać. Ona także czeka zawsze na mnie. Wy, córki Lavransa, jesteście dobrymi gospodyniami.

Kiedy mężczyźni posilali się i pili, Ramborga siedziała przytulona do męża. Szymon głaskał od czasu do czasu jej rękę i ramię, nieco zakłopotany, ale zarazem wzruszony jej miłością i obawą o niego. Szymon sypiał w czasie wielkiego postu w izbie Saemunda i kiedy mężowie się tam udali, Ramborga poszła z nimi i postawiła im wielką konew z miodnym piwem na płytach paleniska.

Izba Saemunda była niewielką komnatą z paleniskiem, ciepłą i zaciszną. Pnie użyte na jej budowę były tak olbrzymie, że cztery zaledwie tworzyły ścianę. Teraz było tu porządnie zimno, lecz Szymon przyrzucił spory pęk szczap na ogień i zagnał psa do łoża, by tam poleżał i zagrzał je. Przyciągnęli do ognia nie ciosany pniak oraz ławę z oparciem i rozsiedli się wygodnie, przemarzli bowiem do szpiku kości podczas długiej jazdy, a w wielkiej izbie przy posiłku niezupełnie jeszcze odtajali.

Erlend napisał list w imieniu Szymona. Potem zaczęli się rozbierać. Kiedy Szymon poruszył gwałtownie ramię, rany znowu zaczęły krwawić; Erlend pomógł mu ściągnąć przez głowę kaftan i zzuć trzewiki. Erlend sam powłóczył z lekka zranioną nogą; jest trochę sztywna i wrażliwa po jeździe, mówił, ale to rychło minie. Potem na pół rozebrani usiedli znowu na ławie przy ogniu; w izbie było teraz ciepło i miło, a w konwi pozostało jeszcze sporo piwa.

– Wydaje mi się, że bierzesz sobie tę sprawę zbyt do serca, Szymonie – odezwał się Erlend. Siedzieli przez chwilę w milczeniu spoglądając w ogień. – Świat naprawdę nie poniesie wielkiego uszczerbku przez śmierć tego Holmgeira.

– Sira Mojżesz innego będzie zdania – rzekł cicho Szymon. – To starowina i zacny proboszcz.

Erlend kiwał poważnie głową.

– Niemilo mieć wroga w takim człowieku, zwłaszcza że to najbliższy sąsiad. A poza tym wiesz przecież, że mam często wiele spraw tam w gminie – dodał Szymon.

– Ach, coś takiego może się przecie łatwo wydarzyć każdemu z nas. Na pewno nałożą ci okup w wysokości dziesięciu do dwunastu marek w złocie. Pewnie, pewnie, z biskupem Halvardem nie ma żartów, gdy spowiada zabójcę, a ojciec młodzieńca jest jednym z jego księży, ale przetrzymasz i to.

Szymon nic nie mówił. Erlend zaczął więc znowu:

– I ja też pewnie będę musiał płacić jakąś grzywnę – uśmiechnął się słabo – a nie posiadam na norweskiej ziemi nic poza tym dworem na Dovre.

– Jak wielki jest dwór Haugen? – zapytał Szymon.

– Nie pamiętam już dobrze, podane jest w dokumentach. Ale ludzie uprawiający tam rolę zbierają zaledwie trochę siana. Nikt nie chce tam mieszkać, domy po prostu wałają się. Wiesz przecie, ludziska bają, że moja ciotka i pan Björn straszą tam po śmierci.

Wiem zresztą, że za ten dzisiejszy mój czyn otrzymam piękną podziękę od żony. Krystyna miłuje cię tak bardzo, Szymonie, jak gdybyś był jej rodzonym bratem.

Szymon siedzący w cieniu uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Cofnął nieco pniak, na którym siedział, i osłaniał oczy przed bijącym żarem. Erlend jednak cieszył się z gorąca jak kot; siedział tuż obok ogniska wcisnąwszy się w kąt ławy, rękę oparł o poręcz, a ranną nogę wyciągnął przed siebie.

– Kiedyś w jesieni tak pięknie o tym mówiła – odezwał się Szymon po chwili; coś jakby drwina zabrzmiała w jego głosie. – A że jest nam wierną siostrą, okazała dowodnie ubiegłej jesieni, kiedy nasz syn zaniemógł – ciągnął poważnie, ale potem znowu szyderczym tonem dodał: – Teraz, Erlendzie, dotrzyaliśmy sobie wzajem wiary, jak przysięgliśmy wówczas, kiedy złożyliśmy prawice w rękę Lavransa i ślubowaliśmy po bratersku strzec się wzajemnie.

– Tak – odparł Erlend wzruszony. – I ja, ja również, Szymonie, cieszę się z tego dnia. – Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Potem Erlend jakby badawczo wyciągnął rękę. Szymon ujął ją i palce ich splotły się w twardym uścisku. Cofnęli się i usiedli nieco zakłopotani na swoich miejscach.

Po długim czasie Erlend przełamał milczenie. Dobłą chwilę siedział wsparłszy brodę na dłoni i wpatrywał się w ogień; teraz tylko od czasu do czasu rozżarzał się mały płomyk i pełgał po zwęglonych bierwionach, które z cichym, łamliwym westchnieniem pękały i rozsypywały się. Wkrótce na palenisku pozostał tylko czarny węgiel i ciemny, spopielały żar.

Erlend rzekł cicho:

– Tak wielkodusznie postąpiłeś wobec mnie, Szymonie Darre, że sądzę, iż niewielu tylko mężów mogłoby się równać z tobą. Ja... ja... nie zapomniałem.

– Zamilcz, Erlendzie, nie wiesz... Tylko Bóg jeden wie – szepnął z udręką i lękiem – o wszystkim, co żyje w myślach człowieka.

– Tak jest – rzekł Erlend równie cicho i poważnie. – Nam wszystkim bardzo potrzeba, aby nas sądził miłosiernie. Ale mąż winien sądzić drugiego męża po c z y n a c h . A ja... ja... Bóg niechaj ci wynagrodzi, szwagrze!

Odtąd siedzieli zupełnie cicho nie mając odwagi nawet się porużyć, aby ich wstyd nie zmiażdżył.

Aż Erlend gwałtownie opuścił rękę na kolano; rozbłysnął nagle gorącym niebieskim migotem kamień w pierścieniu na wskazującym palcu. Szymon wiedział, że pierścień ten dostał Erlend, od Krystyny, kiedy go wypuszczono z więzienia.

– Lecz nie zapominaj, Szymonie – powiedział cicho – o tym, co mówi stara prawda: niejednemu przypada w udziale to, co przeznaczone było drugiemu, ale nikomu los drugiego.

Szymon gwałtownym podrzutem podniósł głowę. Krew napływała mu do twarzy, żyły na skroniach nabrzmiały niby węzłaste powrozy.

Erlend przyglądał mu się przez chwilę, potem prędko spuścił oczy. I on się zaczerwienił; dziwnie delikatny, dziewczęcy rumieniec rozlał się pod smagłością cery. Siedział cichy, nieśmiały, zmieszany, z otwartymi nieco dzieciennie ustami.

Szymon podniósł się raptownie, podszedł do łóża.

– Sądzę, że najlepiej ci będzie po stronie zewnętrznej – usiłował mówić spokojnie i obojętnie, ale głos mu drżał.

– Nie, połóż się, jak chcesz – rzekł Erlend bezdzwięcznie. Wstał. – A ogień? – spytał zakłopotany. – Czy mam go nakryć popiołem? – Chwył się pogrzebacz.

– Pośpiesz się i kładź się spać – rzekł Szymon jak poprzednio. Serce tłukło mu się w piersi tak głośno, że prawie mówić nie mógł.

W ciemności wczuł się Erlend bez szmeru jak cień pomiędzy skóry i położył się całkiem na brzegu łóża cicho niby leśny zwierz. Szymonowi zdawało się, że się udusi, gdy poczuł tamtego w swym łóżu.

Co roku na Wielkanoc Szymon wyprawiał wielką biesiadę na Formo dla mieszkańców doliny. Trzeciego dnia po mszy zjeżdżali się sąsiedzi tłumnie na dwór i pozostawali aż do czwartku.

Krystyna nigdy nie lubiła tych biesiad. Im większy wrzask i hałas panował podczas uczyty, tym bardziej radzi byli Szymon i Ramborga. Szymon prosił zawsze gości, aby przywozili dzieci, czeladź oraz dzieci czeladzi, słowem, wszystko, co mogło ruszyć się z domu. Pierwszego dnia było jeszcze cicho i spokojnie; jedynie starsi i poważni chłopcy zabierali głos, młodzież przysłuchiwała się, jadła i piła, małe dzieci zaś znajdowały się w innym domostwie. Ale już drugiego dnia pan domu obchodził dwór i zachęcał młodzież i dzieci do picia i zabawy, niebawem też żarty stawały się tak dzikie i zuchwałe, że niewiasty i dziewczuchy kryły się po kątach, cisnęły się do siebie i parskały śmiechem, każdej chwili gotowe do ucieczki; co zaciejsze gospodynie chroniły się do izby Ramborgi, gdzie matki już poprzednio ułożyły dzieci, wyprowadziwszy je ze zgiełku wielkiej izby.

Zabawa, którą mężczyźni najbardziej lubili, polegała na naśladowaniu thingu; odczytywano pozwy, występowano ze skargami i obwieszczano ustawy i wyroki, przy czym jednak przekręcano słowa i mówiono wszystko na opak. Audun syn Torberga odczytał pismo króla Haakona do kupców w Björgwinie, określające, ile mogą żądać za męskie skórznie, a ile za przednią skórę na ciżmy niewieście, dalej o rzemieślnikach wyrabiających miecze oraz małe i wielkie tarcze – ale mieszał wyrazy tak, że wynikało z tego tylko śmieszne i dwuznaczne gadanie. Zabawa kończyła się zwykle w ten sposób, że nikt już nie zwracał uwagi na to, co mówił. Krystyna przypominała sobie z czasów dzieciństwa, że ojciec nie znosił nigdy żartów, które przemieniały się w kpiny z Kościoła lub służby Bożej, wiele natomiast miał uciechy, kiedy on sam i jego goście skakali po stołach i ławach wykrzykując przy tym wśród śmiechu najrozmaitsze, bynajmniej nie dworne głupstwa.

Poza tym Szymon lubił najbardziej takie zabawy, podczas których ktoś z zawiązanymi oczyma musiał szukać noża w popiele albo też dwóch ludzi miało ustami wyławiać kawałki miodownika z wielkiej

kadzi piwnej. Goście stojący naokoło usiłovali pobudzić ich do śmiechu, tak że piwo tryskało na wszystkie strony. Albo też mieli zębami wydobyć pierścień ze skrzyni z mąką. Nie dziwota, że izba wyglądała wkrótce jak chlew.

Tego roku na Wielkanoc zrobiła się przepiękna wiosenna pogoda. We środę od wczesnego rana słońce grzało mocno i świeciło, zaraz więc po rannym posiłku wylegli wszyscy na dziedziniec. Zamiast jednak owych głupich swawoli i żartów młodzież zaczęła grać w piłkę, strzelać do tarczy i przeciągać linę, potem bawiono się w ślepą babkę; wreszcie nakłoniono Geirmunda z Kruke, aby zaśpiewał i zagrał na harfie, i wtedy wszyscy, starzy i młodzi, puścili się w tany. Na polach leżał jeszcze śnieg, ale olszyna brązowiła się już od rozkwitających pąków, a prątnie słoneczne ogrzewały każdy wolny od śniegu szmat ziemi. Kiedy po wieczery wyszli na dwór, w powietrzu unosił się świergot ptaków; rozpalili wielki stos chrustu przed kuźnią, śpiewali i tańczyli do późnej nocy. Nazajutrz goście spali dłużej; później też niżli zazwyczaj opuścili Formo. Ludzie z Jörund odjeżdżali zwykle ostatni, tym razem jednak Szymon namówił Erlenda i Krystynę, aby pozostali jeszcze do następnego dnia. Ludzie z Kruke mieli również pozostać na Formo do końca tygodnia.

Szymon odprowadził właśnie ostatnią gromadę gości na drogę; zachodzące słońce złoćiło dwór położony na zboczu góry. Trunek i gwar biesiady sprawiły, że Szymon był wesół i rozbawiony, i kiedy wracał między opłotkami, by znaleźć się w kręgu cichej, miłej swojskości, jaka wytwarza się zawsze w gronie najbliższych krewnych po wielkiej zabawie, czuł się tak lekki i radosny, jak już od dawna nie był.

Na dole obok kuźni synowie Erlenda, starsze dzieci Sigridy, synowie Jona Daalk i jego własne córki rozniecali tymczasem ognisko. Szymon oparł się o płot i chwilę przyglądał się dzieciom. Odświętna sukienka Ulvhildy błyszczała w słońcu, dziecko biegło szybko i tam i z powrotem, znosząc suche gałęzie na stos; nagle bęc! wyrwała się jak długa na ziemię! Ojciec zawołał coś ze śmiechem, ale rozbawione dzieciaki nie słyszały wcale.

Na dziedzińcu siedziały dwie dziewczki i pilnowały najmłodszych dzieci, oparte o ścianę izby niewieściej grzały się w ostatnich promie-

niach słońca, a nad ich głowami, w szklanej szybie, odbijało się światło zachodu niby roztopione złoto. Szymon podniósł wysoko małą Inge córkę Geirmunda i posadził ją sobie na ramieniu. – Zaśpiewajże coś wujowi, ślicznotko! – Brat jej i mały Andrzej oblegli go zaraz i chcieli koniecznie, aby ich także podrzucił w górę.

Pogwizdując z cicha wszedł po schodach do izby biesiadnej. Tutaj także świeciło słońce, drzwi były na oścież otwarte. Ludzie siedzieli wygodnie obok siebie. W górnym końcu stołu Erlend i Geirmund pochylali się nad harfą i naciągali nowe struny, przed nimi stał róg z miodem, Sigrida leżała w łożu i karmiła niemowlę; Krystyna i Ramborga siedziały przy niej, na stopniu łoża między siostrami stał srebrny dzban.

Szymon napełnił winem pozłacany kubek, zbliżył się do łoża i przepił do Sigrídy:

– Każdy tu może, jak widzę, ugasić pragnienie, tylko nie ty, siostrzo!

Ze śmiechem oparła się na łokciu i chwyciła kubek. Niemowlę zaczęło wrzeszczeć rozgniewane.

Szymon usiadł na ławie, gwizdał dalej cicho, od niechcienia i przysłuchiwał się drugim. Sigrida i Krystyna rozmawiały o dzieciach. Ramborga milczała i bawiła się wiatraczkiem Andrzeja. Mężczyźni nad stołem brzdąkali na harfie, Erlend nucił cicho jakąś piosenkę, Geirmund dobierał na poczekaniu melodię i wtórował mu; obydwa mieli piękne głosy.

Po chwili Szymon wyszedł na ganek i oparł się o rzeźbiony słup. Ze stajni dochodził ryk wiecznie głodnego bydła. Jeśli tylko taka pogoda dopisze, nie będzie może tak ciężko z paszą na przednówku.

Ktoś się zbliżał – Krystyną! Nie miał potrzeby oglądać się, znał dobrze jej lekki krok. Podeszła i stanęła obok niego w łunie zachodu.

Taka była nadobna i urocza, że nigdy nie wydała mu się piękniejsza. Niespodzianie przywidziało mu się, że sam jest jak gdyby wyniesiony i płynie w złocistej poświacie. Odetchnął głęboko: poczuł naraz, jak piękne jest życie. Bogata, promienna szczęśliwość ogarnęła go całego.

Była przecież jego słodką przyjaciółką i wszystkie ciężkie, gorzkie myśli, jakie mu kiedykolwiek przeszły przez głowę, stały się teraz na wpół zapomnianymi błahostkami. „Biedna przyjaciółko! Obym ci

mógł zawsze tylko dobrze czynić. Obyś tylko znowu mogła być wesoła. Jak chętnie oddałbym życie, gdyby ci to pomóc mogło”.

Widział doskonale, że jej kochana twarz jest postarzała i sterana, pod oczami miała tysiące drobniutkich zmarszczek, cera jej straciła swój jasny połysk, zgrubiała bardzo i ogorzała, ale pod opalenizną twarz była blada. Jemu jednak zawsze wydawała się jednakowo piękna, bo jej wielkie szare oczy i łagodne, delikatne usta, mały krągły podbródek, a nade wszystko jej pełen spokoju i opanowania sposób bycia zdawały się czymś najpiękniejszym, co znał na świecie.

A potem tak miło było widzieć ją znowu wystrojoną, jak przystało na kobietę szlachtetnego rodu. Niewielka, cienka jedwabna chustka niezupełnie zakrywała jej bujne, złotobrazowe włosy. Warkocze miała tak upięte, że wysuwały się koło uszu; widać było srebrne nitki wśród nich, ale to nie miało znaczenia. Ubrana była we wspaniałą błękitną, aksamitną szatę obramowaną gronostajami; z przodu i pod pachami była ona tak głęboko wycięta, że na piersiach i barkach tworzyła coś na kształt podpiersieni¹; wyglądało to ślicznie. Pod nią zaś żółtawa suknia spodnia spływała obciśle wzdłuż ciała, w górze sięgając szyi, na rękach aż po napiętki. Ta suknia zapięta była na wiele maleńkich guziczków; wzruszyło go to bardzo – niechaj mu Bóg wybaczy, ale te wszystkie małe złote guziczki ucieszyły go niby widok zastępu anielskiego.

Czuł mocne, spokojne bicie własnego serca. Coś nieokreślonego ześliznęło się i opadło z niego jak więzy. Bolesne, znieprawdzone sny były jedynie nocnym mamidłem, teraz zaś ujrzał swą miłość do niej w świetle dnia, w pełnym słońcu.

– Tak dziwnie patrzysz na mnie, Szymonie. Czemu się uśmiechasz?

Mężczyzna roześmiał się cicho i swawolnie, ale nie odpowiedział. Przed nimi rozciągała się dolina rozświetlona złotym blaskiem zachodu, całe chmary ptactwa ćwierkały i śpiew ich dzwonił metalicznie na skraju lasu, potem gdzieś w głębi boru zabrzmiał pełny, czysty głos drozda. A ona stała obok niego, aż ciepła od słońca, promienista w swej bogatej szacie, wydobywszy się wreszcie z ponurych, zimnych

¹ Rzemień uprząży przechodzący pod piersiami konia.

izb i roboczych grubych sukien, przesiąkniętych wonią potu i pracy.
„Krystyno moja, jak dobrze widzieć cię taką znowu!”

Ujął jej dłoń opartą o poręcz, podniósł ją ku swojej twarzy. – Jaki piękny pierścień nosisz! – Obrócił go parę razy i położył jej rękę. Była ona teraz szorstka i czerwona, i nie wiedział doprawdy, co by mógł dla niej zrobić – takie piękne miała dawniej ręce, długie i wąskie.

– Aha, Arngjerda i Gaute – powiedziała Krystyna. – Już znowu kłóć się z sobą.

Posłyszał przed gankiem podniesione i gniewne głosy. Dziewczyna wołała z wściekłością:

– Tak, przypominaj mi tylko o tym, ty! Większym zaszczytem widzi mi się zwać się bękartem mego ojca aniżeli prawym synem twojego!

Krystyna odwróciła się szybko i zbiegła na dół. Szymon idąc za nią posłyszał dwa czy trzy głośne policzki. Gdy zeszedł, Krystyna stała pod gankiem i trzymała syna mocno za ramię.

Dzieci stały ze spuszczoneymi oczyma, milczące i zawzięte; policzki ich płonęły.

– Widzę, że nie umiesz się zachować, jak przystało na gościa. Doprawdy, wstyd nam tylko przynosisz, ojcu i mnie!

Gaute wbił wzrok uporczywie w ziemię. Cicho, ze złością rzucił:

– Powiedziała coś takiego... Nie, nie chcę tego powtórzyć.

Szymon ujął dziewczynę pod brodę i zmusił ją do podniesienia głowy. Arngjerda rumieniła się coraz silniej pod spojrzeniem ojca i mrużyła oczy.

– Tak jest! – krzyknęła wrywając mu się z rąk. – Przypomniałam Gautemu o tym, że skazano jego ojca jako zdrajcę króla i łotra, ale przedtem on mówił o was, ojczy. Wy, mówił, wyście byli zdrajcą, a Erlendowi macie do zawdzięczenia to, że siedzicie teraz wolni i w dostatku na waszym dworze.

– Sądziłem, że jesteś już dorosłą dziewczyną. Czyżbyś pozwoliła tak się unieść dziecinnemu gadaniu, że zapomniałaś o dobrych obyczajach i miłości do krewnych? – Gniewnie odepchnął od siebie córkę, zwrócił się do Gautego i bardzo spokojnie spytał:

– Dlaczego myślisz, Gaute, przyjacielu, że zdradziłem twojego ojca? Już od dawna zauważyłem, że żywisz do mnie urazę. Teraz musisz mi wytłumaczyć, co to znaczy.

– Wy sami wiecie to najlepiej!

Szymon potrząsnął głową. Wtedy chłopak, dygocąc z oburzenia, wybuchnął:

– Ów list, za który torturowali mojego ojca, aby wyznał, czyje pieczęcie na nim wisiały... Ja widziałem ów list! Ja to właśnie wyniosłem go i spaliłem!

– Milcz! – Erlend wcisnął się między nich. Był blady jak opłatek aż po wargi. Oczy mu gorzały.

– Nie, Erlendzie! Teraz będzie lepiej wyjaśnić całą tę sprawę. Czy moje imię było wymienione w tym liście?

– Milcz! – Erlend wściekły chwycił Gautego za ramiona. – Tobie zaufałem, tobie, swemu synowi! Zasługujesz na to, by cię zabić.

Krystyna podbiegła, Szymon również. Chłopak wyrwał się ojcu i schronił do matki. Nieprzytomny z podniecenia wykrzykiwał pośpiesznie, kryjąc się za jej plecami:

– Obejrzałem dobrze pieczęcie, zanim je spaliłem, ojcze! Sądziłem, że może nadejść dzień, w którym będę wam mógł się przysłużyć.

– Oby cię Bóg pokarał! – Ciałem Erlenda wstrząsnął krótki, suchy szloch.

Szymon również zbladł, potem jednak spurpurowiał ze wstydu z powodu Erlenda. Nie śmiał spojrzeć w jego stronę, zdawało mu się, że dusi go wprost upokorzenie tego człowieka.

Krystyna stała jak wryta, wciąż jeszcze obejmując syna. Lecz w głowie jej jedna myśl sprzęgała się błyskawicznie z drugą:

Owej wiosny Erlend miał przez krótki czas pieczęć Szymona w przechowaniu, szwagrowie sprzedawali bowiem wówczas rybacki szalas Lavransa na Veöy klasztorowi w Holmie. Erlend sam uważał, że nie jest całkiem w porządku z tą pieczęcią, ale przecie nikt nie będzie o to pytał. Pokazał ją Krystynie mówiąc, że Szymon mógłby sobie pozwolić na sprawienie ładniejszej: wszyscy trzej bracia dali sobie sporządzić pieczęcie na wzór ojcowskiej, jedynie napis był inny na każdej. Ale pieczęć Gyrda jest dużo misterniejszej roboty, dodał Erlend.

Gyrd Darre?... Od niego oddał jej przecie pozdrowienia, kiedy dwukrotnie powracał z południa. Przypomniała sobie teraz, iż zdumiona była wielce, skąd Erlend wziął się u Gyrda na Dyfrinie, wszak

widzieli się tylko jeden jedyny raz na weselu Ramborgi. Ulf syn Saksego był szwagrem Gyrdy Darre, Ulf zaś brał udział w owym spisku.

– Źle widziałeś, Gaute – przemówił w końcu Szymon cicho i z naciśnięciem.

– Szymonie! – Krystyna mimo woli chwyciła rękę swego męża. – Zastanów się. Są jeszcze inni mężowie prócz ciebie, którzy mają to samo godło w swej pieczęci.

– Milcz! I ty także? – Erlend z okrzykiem bólu wyrwał się żonie i pobiegł pędem do stajni. Szymon biegł za nim.

– Erlendzie, czy to był mój brat?

– Niech chłopcy wracają natychmiast do domu, a wy chodźcie ze mną – zawołał Erlend do żony.

Szymon dogonił go w drzwiach stajni, uczepił się jego ramienia.

– Erlendzie, czy to był Gyrd?

Erlend nie odpowiadał, usiłował odepchnąć szwagra. Policzki jego były dziwnie zapadnięte i śmiertelnie blade.

– Erlendzie! Odpowiedz mi, czy mój brat brał udział w tej sprawie?

– Może chcesz potykać się ze mną? – warknął Erlend mocując się z nim. Szymon zauważył, że tamten drży na całym ciele.

– Wiesz dobrze, że nie. – Szymon puścił go i oparł się o futrynę. – Erlendzie, jak prawdą jest, iż Chrystus poniósł dla nas śmierć, powiedz, czy tak było?

Erlend wyprowadził swego konia i Szymon musiał się usunąć. Jakiś usłużny parobek przyniósł siodło i uprzęż. Szymon wziął je, odesłał człowieka i sam podał je Erlendowi.

– Erlendzie, t e r a z możesz przecie powiedzieć! M n i e możesz powiedzieć! – Nie wiedział sam, czemu żebrze tak strasznie, jak gdyby chodziło o życie. – Erlendzie! Odpowiedz, zaklinam cię na rany Chrystusowe, człowieku, powiedz!

– Możesz i nadal myśleć tak, jak myślałeś – rzekł Erlend cicho i ostro.

– Erlendzie, nic nie myślałem.

– W i e m , o czym myślałeś – Erlend skoczył na konia. Szymon chwycił za uzdę, rumak tańczył i kręcił się niespokojnie.

- Puszczaj, bo cię przejadę! – rzekł Erlend.
- Więc zapytam Gyrdę. Zaraz jutro pojedę na południe. Na Boga, Erlendzie, musisz mi powiedzieć!
- Tak, on ci na pewno powie – roześmiał się Erlend szyderczo, wparł ostrogi w brzuch ogiera i Szymon musiał uskoczyć w bok. Erlend cwałem opuszczał dwór.

Na środku dziedzińca Szymon spotkał Krystynę już w okryciu. Gaute siedł obok niej i niósł jej tobolek z sukniami. Ramborga biegła za siostrą.

Chłopiec szybko podniósł oczy, zmieszany i strwożony. Potem opuścił je znowu, ale Krystyna spojrzała szczerze i prosto w twarz Szymona, wzrok jej był ściemniały ze smutku i gniewu.

- I tyś mógł pomyśleć coś takiego o Erlendzie, że tak cię zdradził!
- Nic nie myślałem – odparł gorąco Szymon. – Myślałem, że chłopak wygaduje głupie, niestworzone brednie.
- Nie, Szymonie, nie chcę, abyś mnie odprowadzał – zatrzymała go. Widział, że jest bardzo zmartwiona i dotknięta.

Wieczorem, kiedy był sam na sam z żoną w wielkiej izbie – rozdzielali się właśnie, a córki spały już w drugim łożu – Ramborga spytała nagle:

- Nie wiedziałeś nic o tym, Szymonie?
- Nie. A ty wiedziałaś? – spytał w napięciu.

Ramborga zbliżyła się i stanęła przy stole w świetle świecy. Była na wpół rozebrana, tylko w koszuli i spódnicy; rozpuszczone włosy spływały w lokach wokół jej twarzy.

- Czy wiedziałam? Niejedno sobie myślałam. Helga była taka dziwna – usta jej ściągnęły się w szczególnym uśmiechu, wyglądała, jak gdyby marzła. – Mówiła o tym, że obecnie nastaną inne czasy w Norwegii, że dostojni panowie – usta Ramborgi zadrgały kurczowo – mają otrzymać te same prawa tutaj co w innych krajach. Mają się znowu zwać rycerzami lub baronami. Później, gdy widziałam, jak gorliwie zajmujesz się ich sprawą... byłeś przecie niemal cały rok poza domem i nie miałeś czasu przyjechać do mnie na Ringheim, kiedy tam, na dworze obcego człowieka, rodziłam twoje dziecko,

wówczas sądziłam, że może ci jednak wiadomo, iż chodzi o coś więcej aniżeli tylko o Erlenda.

– He, he! Rycerze i barony! – Szymon roześmiał się krótko i gniewnie.

– Czyś czynił to wszystko jedynie przez wzgląd na Krystynę?

Ujrzał, że policzki jej są białe jak od mrozu; nie mógł w żaden sposób udać, iż nie rozumie jej pytania. Wybuchnął rozpaczliwie i przekornie:

– Tak!

Potem zdawało mu się, że Ramborga oszalała – i on sam jest szalony. Erlend jest szalony – wszyscy stracili chyba do cna rozum dzisiaj. Ale teraz musi się skończyć.

– Zrobiłem to przez wzgląd na twoją siostrę, tak jest – powiedział z rozmysłem – i przez wzgląd na dzieci; nikt inny spośród krewnych i powinowatych nie był tak zobowiązany do opieki nad nimi jak ja. I ze względu na Erlenda, ponieważ mieliśmy przecie być sobie wierni jak bracia. A teraz nie zaczynaj ty znowu z jakimiś głupstwami; miałem tego już dziś powyżej uszu! – krzyknął z pasją i cisnął o ścianę trzewikiem, który właśnie ściągnął.

Ramborga podniosła go i przyjrzała się uważnie belce, w którą trafił trzewik.

– Wstyd doprawdy, że Torbjörga sama nie pomyślała o tym. Trzeba było obmyć tu sadzę przed uczcią, zapomniałam jej to powiedzieć. – Obtarła starannie trzewik; była to najlepsza Szymonowa para z długimi nosami i czerwonymi obcasami. Podniosła też drugi trzewik i oba włożyła do skrzyni. Ale Szymon dostrzegł, że ręce jej drżą silnie.

Podszedł więc do niej i objął ją. Delikatne jej ciało wiło się i drżało w jego ramionach, a usta wśród zduszonego jęku szeptały, że jest tak bardzo zmęczona.

W siedem dni potem Szymon z pachołkiem przejeżdżali w drodze na północ przez Kvam. Z trudem przebijali się przez mokrą śnieżną zamieć. Koło południa dotarli do małego dworu przy drodze, w którym mieściła się gospoda.

Gospodyni wyszła i prosiła Szymona, aby wszedł do jej własnej

izby; do zajazdu wprowadzano tylko ludzi pośledniego stanu. Strząsnęła jego mokre okrycie i rozwiesiła nad ogniem mówiąc: – Paskudna plucha, szkoda po prostu koni. – Zapewne Szymon musiał nałożyć drogi, nie można chyba teraz przejechać konno przez jezioro Mjös?

– Ach, jeśli komuś życie zbrzydło, to i owszem.

Kobieta i stojące obok dzieci roześmiały się wesoło. Starsze zakrzętały się żwawo koło ognia i przyniosły piwo, młodsze zaś skupiły się przy drzwiach. Zwykle dostawały od Szymona, bogatego chłopca na Formo, parę groszy, a kiedy z Hamaru wioził smakołyki dla swoich dzieci, wówczas i im oberwał się niejeden dobry kąsek. Ale tym razem zdawał się ich w ogóle nie dostrzegać.

Siedział pochylony na ławie, ręce zwiesił na kolana, oczy wlepił w ogień i tylko od czasu do czasu odpowiadał półgębkiem na potok słów gospodyni. Nagle powiedziała, iż Erlend syn Mikołaja bawi dziś na Granheim; jest to bowiem dzień, w którym ma wręczyć pierwszą część okupu. Czy ma posłać jedno z dzieci do szwagra i zawiadomić go, że Szymon jest tutaj, aby mogli razem wracać do domu?

– Nie – odrzekł Szymon. Niech mu da coś do zjedzenia; chce się położyć i przespać trochę. Z Erlendem spotka się jeszcze na czas. To, co miał do powiedzenia, chciał powiedzieć w obecności Gautego. Pragnął za wszelką cenę uniknąć mówienia więcej niż jeden raz o tej sprawie.

Pachołek jego, Sigurd, rozsiadł się wygodnie w kuchni, gdzie kobieta przygotowywała posiłek. Tak, uciążliwa to była podróż, poza tym jego pan zachowywał się przez cały czas niczym wściekły byk. Szymon słuchał zazwyczaj chętnie wszelakich nowinek z rodzinnego dworu, jakie tylko jego służdy mogli wyłowić podczas pobytu na Dyfrinie. Miewa on przecież zwykle jednego albo więcej służących z Raumarike pośród swej czeladzi; ile razy bawił w ojcowskim domu, zgłaszali się ludzie do niego na służbę; znany był bowiem jako ludzki, hojny pan, nie zadzierający nosa wobec sług. Ale tym razem na wszystko, co pacholek mówił, Szymon odpowiadał: „Stul pysk!”

Z pewnością poważnił się na dobre ze swoimi braćmi, nawet nie nocował na Dyfrinie; poszukali sobie schronienia nieco dalej, na dworze dzierzawcy. Pan Gyrd – tak, teraz na Boże Narodzenie król zamianował brata jego pana rycerzem – otóż pan Gyrd wyszedł sam

na dziedziniec i serdecznie prosił Szymona, by pozostał, ale Szymon nie raczył mu nawet odpowiedzieć. A przedtem na górze, na piętrze, panowie wrzeszczeli, hałasowali i kłócili się, aż strach człeka oblatywał. Ten pan Ulf syn Saksego oraz Gudmund syn Andrzeja byli również obecni. Bóg raczy wiedzieć, o co wszczęli taką zwadę.

Szymon przeszedł obok drzwi kuchni, przystanął na chwilę i zajrzał do wnętrza. Sigurd oświadczył szybko, że szuka dratwy i obcęgów, by doprowadzić do ładu podartą uprząż.

– Aha, to tutaj przechowują takie rzeczy w kuchni? – rzucił Szymon ostro i odszedł. Pacholek potrząsnął głową i mrugnął znacząco w stronę gospodyni.

Szymon odsunął misę z jadem i siedział bez ruchu. Był taki zmęczony, że z trudem tylko się podniósł. Tak jak stał, w butach z ostrogami, rzucił się na łoże; ale po chwili zrobiło mu się żal – było czyste i wygodne. Usiadł więc i ściągnął buty. Był taki wyczerpany, jakby zbity, zdawało mu się, że wnet zaśnie; poza tym przemókł i zmarzł, lecz twarz go paliła po długiej jeździe w czasie burzy.

Wsunął się pod skóry, układał i odwracał poduszki na wszystkie strony – było je dziwnie czuć ryba. Wreszcie pozostał w półleżącej pozycji, wsparty na łokciu.

Myśli jego zaczęły znowu kołować. Całymi dniami krążyły i krążyły ciągle wokół tego samego niby zwierzę, które uwiązane do pala biega wciąż w kółko.

Nawet gdyby Erling syn Vidkuna wiedział, że życie Gyrd i Gudmunda Darre było zagrożone, jeśli torturą zmuszono Erlenda do mówienia – nawet i w takim wypadku nie było hańbą, iż on, Szymon, wszelkimi środkami starał się uzyskać pomoc rycerza. Owszem, raczej przeciwnie: przecież swoim braciom musi człowiek służyć pomocą, choćby przyszło głową nałożyć, jeśli będzie trzeba. Ale pragnął wiedzieć, czy Erling wiedział. Szymon rozważał wszystkie za i przeciw: Erling nie mógł być zupełnie nieświadomy tego, że gotuje się spisek. Ale c o właściwie Erling wiedział? Gyrd i Ulf w każdym razie nie mieli pojęcia, czy Erlingowi wiadomy był ich udział w sprzyśnięciu. Lecz Szymon przypomniał sobie, że Erling mówił o synach

Haftora, radził mu zwrócić się do nich o pomoc, ponieważ to raczej ich przyjaciele muszą się obawiać. Synowie Haftora byli przecież ciętymi braćmi Ulfa i Helgi. Niedaleko leży nos od gęby.

Ale nawet gdyby Erling przypuszczał, iż Szymon myślał także o swych braciach, to ostatecznie tamto, co uczynił, nie stało się w skutek tego gorsze. Z drugiej strony Erling mógł równie dobrze sądzić, że Szymon nie wie nic o niebezpieczeństwie grożącym jego braciom. Poza tym zaś powiedział do Stiga, iż nie wierzy, by torturami zmuszono Erlenda do gadania.

Mimo to musieli się jednak obawiać języka Erlenda. Choć milczał podczas karni i na mękach, to jednak on właśnie wskutek swojej lekkomyślności mógł się potem łatwo zdradzić. Było to zupełnie do niego podobne.

Chociaż... Szymonowi wydawało się pewne, że Erlend nie uczyniłby tego. Milczał przecie jak głaz, ilekroć mówiono o tej sprawie, właśnie dlatego, że lękał się powiedzieć więcej, niżby chciał, gdyby raz zaczął mówić. Szymon pojął, iż Erlend odczuwa dziką, wprost dziecinną obawę przed złamaniem danego słowa – dziecinną zaiste, bo to, że on sam zdradził cały plan wobec swej nałożnicy, nie było snadź według jego własnego mniemania niczym hańbiącym. Coś takiego, sądził, może się i najlepszemu wydarzyć. Dopóki sam nie puścił pary z gęby, uważał, że nie skałał swej tarczy i nie złamał wiary; a Szymon widział, jak bardzo Erlend jest wrażliwy na swoją cześć, oczywiście, o ile rozumiał, co to cześć i honor. Popadł przecież nieomal w szal z rozpacz i wściekłości na samą myśl o tym, iż jeden ze współwinnych mógłby zostać zdradzony, i to teraz, po tak długim czasie, a do tego w taki sposób, że stanowczo nie mogło to zaszkodzić żadnemu z mężów, których krył swym życiem, swą sławą i majątkiem: przez gadanie nieletniego dziecka wobec niego, najbliższego krewniaka owych mężów.

Chciał tak poprowadzić sprawę, aby na wypadek złego jej obrotu on sam pokutował za wszystkich, zaprzysiął to na krzyż owym mężom, którzy przystąpili do spisku. Ale że dorośli, rozumni ludzie mogli się zadowolić taką przysięgą? Erlend nie miał przecież wszystkiego w swym ręku. Obecnie, kiedy Szymon dowiedział się dokładnie o całym sprzysiężeniu, zdawało mu się, że było to istne szaleń-

stwo. Erlend był gotów dać sobie łamać członek po członku, by tylko dotrzymać danego słowa. Tymczasem zaś tajemnica spoczywała w rękach dziesięcioletniego chłopca, Erlend sam się o to postarał. I nie było również jego zasługą, jeśli Sunniva nie wiedziała więcej, aniżeli w istocie wiedziała. I zrozum tu takiego!

Jeśli zatem na mgnienie oka przyszło mu do głowy owo podejrzenie, to Bóg świadkiem, że kiedy Gaute wyjechał z tym, iż widział jego pieczęć pod owym zdradzieckim listem, najprostsze było takie wytłumaczenie sprawy. I oboje winni byli wziąć pod uwagę to, że Szymon wiedział niejedno o Erlendzie i mniej od innych miał doprawdy powodu, by zawsze tylko dobrze myśleć o swym szwagrze. Ale z pewnością dawno już zapomnieli o tym, jak ich ongi przyłapał na gorącym uczynku i jak wówczas mógł zajrzeć aż na dno ich bezwstydu.

Nie miało tedy najmniejszego sensu leżeć jak zбитy pies i wstydzić się, ponieważ w myśli skrzywdził Erlenda. Bóg świadkiem, nie stało się to dlatego, że chętnie myślał coś złego o swym szwagrze – dość się czuł nieszczęśliwy, kiedy mu ta myśl do głowy strzeliła. Ale wiedział, że było to potwornie głupie podejrzenie. I bez słów Krystyny wpadłby także na to, że taki związek nie mógł istnieć. Tak samo, jak przyszło owo podejrzenie, że Erlend nadużył jego pieczęci, tak samo poczuł, że to niemożliwe, że Erlend nie mógł zrobić czegoś takiego. Erlend nigdy w życiu nie popełnił niegodnego czynu, który by był spowodowany jakąś ukrytą myślą, który by w ogóle miał jakąś myśl.

Szymon rzucał się na łożu i jęczał. Był niemal obłąkany z powodu tych wszystkich szaleństw. Dręczyło go to, że Gaute przez te wszystkie lata żywił ku niemu taką urazę, ale ostatecznie nierozsądnie było tak strasznie martwić się o to. Choćby nawet kochał Gautego, choćby kochał wszystkich synów Krystyny, były to przecież jeszcze dzieci, nie miał chyba potrzeby brać sobie tak bardzo do serca tego, co o nim sądzą.

Wściekły był z oburzenia, kiedy myślał o mężach, którzy położyli prawice na rękojeści Erlendowego miecza i ślubowali iść za swym przywódcą. Jeśli byli takimi osłami, że dali się olśnić wymową Erlenda i jego męstwem, jeśli mogli sądzić, że człowiek ten posiada zalety wodza, to trudno było oczekiwać czego innego niż tego, że

zachowali się jak strwożone owce, kiedy cały zamiar spełził na niczym. Mimo to ciemniało mu przed oczyma z wściekłości, gdy myślał o tym, o czym dowiedział się teraz na Dyfrinie: t a k wielu mężów odważyło się złożyć pokój kraju i swe własne dobro w ręce Erlenda – także Haftor syn Olafa i Borgar syn Tronda! A nie znalazł się ani jeden, który by miał odwagę wystąpić i zażądać od króla, by zapewnił Erlendowi honorową ugodę i pozostawił mu jego dziedziczne dobra. Było ich tylu, że gdyby zebrali się razem, mogliby to z łatwością przeprowadzić. Mniej zaiste było rozumu i męstwa wśród szlachty Norwegii, niż sądził.

Wściekły był także, że jego samego trzymano z dala od tych wszystkich zamierzeń. Nie, żeby go mogli nakłonić do poparcia planu sprzecznego z wszelkim zdrowym rozsądkiem, ale że zarówno Erlend, jak i Gyrd byli w porozumieniu poza jego plecami i kryli się przed nim... Był przecie tak samo dobrym szlachcicem jak każdy inny i nie mało znaczył w tych gminach, gdzie go ludzie znali.

W jednym tylko przyznawał Gyrdowi słuszność. Erlend okazał się taki niegodny roli przywódcy, że nie miał chyba prawa oczekiwać ni żądać, aby uczestnicy spisku ujawnili się i sami się przyznali. Szymon wiedział, że gdyby zastał w domu tylko Gyrd, nigdy by nie doszło do tego, żeby w taki sposób rozstał się z braćmi. Ale był tam ów rycerz Ulf, który wyciągał swoje długie nożyska i wyśmiewał głupotę Erlenda – teraz po wszystkim! A potem i Gudmund zabrał głos. Ani Gyrd, ani on sam nie pozwalali dotąd nigdy, by najmłodszy brat sprzeciwiał się ich sądom. Odkąd jednak Gudmund ożenił się z ową księżą nałożnicą, z którą sam żył w nierządzie, stał się taki nadęty, butny i zadufany w sobie. Szymon siedział i patrzył na niego, a ten widok potęgował coraz bardziej jego pasję. Gudmund puszył się jak indor, a jego czerwona, okrągła gęba przypominała tak bardzo dziecięcy tyłek, że Szymona swędziała wprost ręka, by go w nią trzepnąć. W końcu Gudmund sam już nie wiedział, co gada.

Teraz więc doszło do zerwania pomiędzy nim a braćmi. Kiedy myślał o tym, miał uczucie, że upływa z niego wszystka krew, że zostały przecięte więzy ciała i krwi. Zubożał przez to: człowiek bez braci jest sam jak palec.

Ale jakkolwiek było, podczas najgwałtowniejszej zwady poznał

nagle, sam nie wiedząc w jaki sposób: zgaszone, sztywne zachowanie Gyrdy nie pochodziło jedynie stąd, iż brat w swym domu nie zaznał spokoju. Gyrd kochał Hęlgę wciąż jeszcze, to Szymon spostrzegł natychmiast i to właśnie czyniło go tak dziwnie skrepowanym i bezsilnym, i budziło w Szymonie w niepojęty, tajemniczy sposób wściekłość – tak, wściekłość na całe życie.

Szymon ukrył twarz w dłoniach. Tak, obaj byli dobrymi, posłusznymi synami. Jemu i Gyrdowi nie było trudno pokochać te dziewczęta, które im ojciec sam przyprowadził i które dla nich wybrał. Ojciec przez cały wieczór przemawiał do nich wzniośle, tak że wreszcie siedzieli zupełnie onieśmieleni, mówił o małżeństwie, przyjaźni i wierności pomiędzy godnymi, szlachetnymi małżonkami, przy końcu wspominał nawet coś o orędownictwie i mszach. Żle było tylko, że nie znał jakiejś rady na zapomnienie, kiedy przyjaźń jest zerwana, cześć zdeptana, a dochowanie wiary – grzechem i skrytą, haniebną męką; i kiedy po zerwaniu pozostaje jeno krwawiąca rana, która nigdy nie może się zabiścić.

Gdy Erlend został uwolniony, na Szymona spłynęło jakby ukojenie – pewnie dlatego, że człowiek nie może znieść tyle cierpienia, ile on zniósł wtedy w Oslo. Albo coś musi się stać, albo też po prostu z niczego robi się lepiej.

Odkąd Krystyna z mężem i dziećmi przeniosła się na Jörund, odkąd musiał się z nimi spotykać, przyjaźnić się i utrzymywać stosunki rodzinne, nie czuł się nigdy dobrze. Ale pocieszał się; stokroć gorzej było przecie wówczas, kiedy musiał z nią mieszkać pod jednym dachem, w jednej izbie, co jest nie do wytrzymania dla mężczyzny z kobietą, którą kocha, o ile nie jest jego żoną albo rodzoną siostrą. To zaś, co zaszło pomiędzy Erlendem a nim w ten wieczór, kiedy święcono uwolnienie szwagra, wymazał ze swej pamięci. Erlend na pewno tylko na pół to zrozumiał i nie łamał sobie tym zbytnio głowy. Erlend miał osobliwy dar prędkiego zapomnienia. A on sam posiadał przecie swój własny dwór, żonę, którą lubił, i swoje dzieci.

Tak więc uspokajał się z wolna. Nie był winien, że miłował siostrę swej żony. Była niegdyś jego narzeczoną i nie on złamał dane słowo. Wtedy kiedy pokochał Krystynę, był to tylko jego obowiązek, bo wierzył, iż ona jest mu za żonę przeznaczona. A że potem dostał

siostrę – była to wola Ramborgi i jej ojca. Lavransowi, jakkolwiek był bardzo mądry, ani na myśl nie przyszło zapytać go, czy zapomniał. Zresztą Szymon wiedział, że nawet ze strony Lavransa nie zniosłby podobnego pytania.

Nie umiał zapominać. Nie była to jego wina. I nigdy nie wypowiedział ani jednego słowa, które powinien był przemilczeć. Nie mógł nic na to poradzić, że diabeł nawiedzał go wspomnieniami i dręczył snami kalającymi węzły krwi – dobrowolnie nie oddał się nigdy grzesznym, pożądlivym myślom, a w swoich *c z y n a c h* był zawsze wobec niej i jej rodziny jak brat. O tym sam dobrze wiedział.

Wreszcie udało mu się pogodzić nieco ze swoim losem.

Pokąd wiedział, że to on tamtym dwojgu wyświadczył przysługi: Krystynie i temu mężowi, którego nad niego przełożyła. Zawsze musiała przyjmować jego pomocną dłoń.

Teraz odmieniło się do gruntownie. Krystyna naraziła życie i zbawienie duszy dla ratowania jego syna. I zdawało mu się, że wszystkie stare rany krwawią na nowo, odkąd pozwolił, aby się to stało.

A teraz doszło do tego, że on sam zawdzięczał życie Erlendowi. A w podziękę za to obraził go – wbrew woli, w myśli jedynie – ale jednak obraził!

*...et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos dimittimus debitoribus nostris*¹. Dziwne tylko, że Pan nie uczył nas także modlić się: *Sicut et nos dimittimus creditoribus nostris*². Nie był pewien, czy to jest dobrze po łacinie, nigdy nie był mocny w tym języku, ale wiedział, że zawsze dotąd było dlań możliwe przebaczyć swoim winowajcom. J e m u wydawało się o wiele trudniej przebaczyć tym, względem których on sam zawinił.

I teraz, odkąd rachunki ich, jego i tamtych obojga, były wyrównane, czuł, jak każdy stary ból, który tłumiał gwałtem przez te lata, budzi się i ożywa na nowo.

Nie mógł teraz nie myśleć o Erlendzie, nie mógł uważać go nadal za człowieka niemądrego, który ani nie widzi, ani się niczego nie uczy,

¹ ...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

² ...jako i my odpuszczamy tym, względem których przewiniliśmy.

ani nie pamięta, ani nie myśli. Stał się on teraz dręczącą duszę Szymona zmorą właśnie dlatego, że nikt nie mógł wiedzieć, co Erlend myśli i o c z y m pamięta – był on całkowicie nieobliczalny.

„Niejednemu człowiekowi przypada w udziale to, co przeznaczone było drugiemu, ale nikomu los drugiego”.

To prawdziwe słowa.

On, Szymon, miłował swoją młodą narzeczoną. Gdyby ją dostał, byłby na pewno człowiekiem zadowolonym, na pewno żyłoby dobrze z sobą. A ona jeszcze dziś była taka sama jak wówczas, kiedy się po raz pierwszy spotkali. Łagodna i skromna, a tak rozsądna, że każdy mąż chętnie i w poważnych sprawach pytałby ją o radę, nieco uparta, gdy chodziło o drobnostki, ale na ogół uległa, przyzwyczajona przez ojca do tego, by dać się prowadzić, wspierać i ochraniać. Ale potem zyskał nad nią władzę człowiek, który nigdy nie umiał sam sobą pokierować, który nigdy nikogo nie otaczał opieką. Pogwałcił jej słodką dziewiczość, złamał jej dumny spokój, zniszczył jej niewieścią słodycz i zmusił ją, by wszystkie dary, dane jej przez naturę, wykorzystywała do ostateczności. Ona to musiała stanąć w obronie ukochanego, jak drobna ptaszyna broniąca gniazdko drżącym ciałem i rozpaczliwym świergotem, kiedy się ktoś doń zbliża.

Jej smukłe, wiotkie ciało zdawało się stworzone na to, by spoczywać w ramionach mężczyzny i być serdecznie chronione, a Szymon widział je napięte w dzikiej woli wytrwania, podczas gdy serce tłukło w niej młotem z odwagi, trwogi i woli walki; rozpaczliwie walczyła o męża i dzieci, podobnie jak gołębica, która staje się dzika i nieustraszona, kiedy idzie o pisklęta.

Gdyby on został jej mężem, gdyby przez piętnaście lat współżyła z nim, który miał tyle dobrej woli – wówczas, wiedziała, stanęłaby i przy nim, gdyby przyszło na niego nieszczęście. Odważnie i dzielnie stanęłaby u jego boku. Ale nigdy nie widziałaby tej skamieniałej twarzy, jaką miała wówczas, w ten wieczór w Oslo, kiedy opowiadała, jak poszła i obejrzała sobie ów dom... I nigdy nie usłyszałby swojego imienia wołanego w takiej męce i w takim dzikim cierpieniu. I do prawdy, nie była to zacna, uczciwa miłość pierwszej młodości, która na to wołanie odezwała się w jego sercu. Owa dzikość, która się w nim wzbudziła i odpowiedziała jej dzikiej żądzy: nigdy by się nie dowie-

dział, że coś takiego może istnieć w jego duszy, gdyby z nimi obojgiem stało się tak, jak ich ojcowie sobie życzyli.

Jej twarz w tę noc, kiedy przeszła obok niego, aby szukać pomocy dla jego dziecka... Nie odważyłaby się nigdy na to, gdyby nie była żoną Erlenda, przywykłą postępować bez lęku, choć serce z trwogi zamiera. Jej łzami zalana twarz, kiedy go zbudziła i powiedziała, że chłopak woła ojca... Z taką rozrywającą serce słodyczą uśmiecha się jedynie ten, kto wie, co znaczy przegrać bitwę, ale wie również, co znaczy ją wygrać.

Kochał żonę Erlenda – tak, kochał ją. Ale w takim razie jego miłość jest grzeszna i musi tak być, jak jest: musi się czuć nieszczęśliwym. Bo był tak strasznie nieszczęśliwy, że niekiedy odczuwał ogromne zdumienie, iż właśnie jego to spotyka i że nie widzi żadnego wybawienia z tego nieszczęścia.

Zaprawdę, nie dla braci ani dla krewnych uczynił to, że podeptał honor szlachecki i obyczaj przypominając Erlingowi rzeczy, o których nie godzi się mówić uczciwemu człowiekowi; uczynił to j e d y n i e dla niej. Jedynie dla niej przemógł się na tyle, iż zebrał u tamtego, jak trędowaci w miastach żebrzą pod wrotami kościelnymi obnażając swe wstrętne rany.

Myślał w duchu: kiedyś dowie się ona o tym. Nie o wszystkim, nie o tym, jak głęboko się poniżył. Ale kiedy postarzeją się oboje, wówczas powie Krystynie: pomagałem ci, jak mogłem, bo pamiętałem, jak serdecznie miłowałem cię w tym czasie, kiedy byliśmy sobie przyrzeczeni.

Było coś, czego nie śmiał nawet dotknąć myślą. Czy Erlend powiedział coś Krystynie? Tak, kiedyś dowie się ona o tym z jego własnych ust: „Nie zapomniałem nigdy, że cię w młodości miłowałem”. Jeśli jednak już wiedziała, jeśli słyszała o tym od własnego męża, w takim razie nie będzie mógł już nigdy powiedzieć jej tego.

Chciał wyznać to jej samej kiedyś, dużo później. Gdy myślał o tej godzinie, w której wydał swą tajemnicę, gdy myślał o tym, jak Erlend ujrzał to, co kryło się głęboko w jego najtajniejszym wnętrzu... I Ramborga również wiedziała – choć nie mógł pojąć, jak mogła to spostrzec.

Jego własna żona i jej mąż – oboje wiedzieli.

Szymon wydał okrzyk dziki i zduszony, odwrócił się gwałtownie na drugą stronę.

– Boże, dopomóż mi! – Teraz oto on sam leżał odarty i nagi, zgwałcony, krwawiący z udręki, drżący ze wstydu.

Gospodyni zajrzała ostrożnie przez drzwi; spotkała gorące, suche, rozpalone spojrzenie Szymona: – Czy nie możecie zasnąć? Właśnie przejeżdżał tędy samotrzeć Erlend syn Mikołaja, zapewne z dwoma synami. – Szymon bąknął coś w rodzaju odpowiedzi, gniewnie i niezrozumiale.

Chciał, aby go tamci wyprzedzili o spory kawał drogi. Zresztą i on sam wkrótce będzie musiał myśleć o powrocie.

...Gdy tylko wejdzie do izby i zdejmie okrycie, Andrzej weźmie futrzaną czapę ojca i wsadzi ją sobie na głowę, potem usiądzie okrakiem na ławie i będzie jechał do stryja na Dyfrinie, a wielka czapa zsuwać mu się będzie raz w przód na mały nosek, to znowu w tył, na piękne, jasne pukle. Ale niewiele pomogło, że starał się myśleć o tym. Bóg jeden tylko wie, kiedy chłopak odwiedzi teraz stryja na Dyfrinie.

Zamiast tego naszło go wspomnienie jego drugiego syna, dziecka Halfridy. Erling... Nieczęsto się zdarzało, że myślał o nim. Małeńki sinoblady trupek – bo przez te dni, kiedy dziecko jeszcze żyło, nie widział go prawie, wtedy musiał czuwać przy umierającej matce. Gdyby dziecko pozostało przy życiu albo gdyby przeżyło matkę, Mandvik przypadłoby Szymonowi. Wówczas zapewne tam, na południu kraju, poszukałby sobie drugiej żony. I tylko od czasu do czasu przybywałby tutaj, w dolinę, dla rozejrzenia się na swym dworze. W takim wypadku nie zapomnieliby również Krystyny; w zbyt dziwny sposób wciągnęła go ona taniec, aby mógł kiedykolwiek zapomnieć. Do diaska! Przecież mężczyzna musi pamiętać jak o osobliwej przygodzie o tym, że swoją narzeczoną, dziewicę z dostojnego rodu, wychowaną w chrześcijańskich cnotach, wyciągał z domu rozpusty, z łoża obcego mężczyzny! Tam jednak nie musiałby pamiętać o niej w ten

dręczący sposób, psujący smak wszystkiego dobrego, co przynosiło mu życie.

Erling miałby teraz już czternaście lat. Kiedy Andrzej wyrośnie na męża, Szymon sam będzie stary i do niczego.

„Ach, Halfrido, nie najlepiej wiodło ci się przy mnie. Mój los nie jest znowu tak całkiem niezastężony”.

Erlend mógłby równie dobrze przypłacić życiem swoją lekkomyślność. I Krystyna żyłaby teraz jako wdowa na Jörund.

A on sam żałowałby może, że jest żonaty. Nie było zaprawdę takiego szaleństwa, jakiego by sobie nie przypisał.

Kiedy Szymon opuszczał gospodę, wiatr ustał wprawdzie, ale padały wielkie, mokre płyty wiosennego śniegu. Jakby na przekór zawiei ptaki zaczęły teraz znowu śpiewać i ćwierkać w lesie.

Jak nieznaczne nacięcie skóry rozwiera się przy gwałtownym ruchu i boli, tak zabolą go pewne wspomnienie. Niedawno, podczas wielkanocnej biesiady na Formo, gromada gości stała na dziedzińcu grzejąc się w słońcu; wysoko na brzozie siedział rudzik i rzucał donośne trele w ciepły niebieski przestwór. Geirmund utykając wyszedł zza węgła domu i przywłókł się do nich o lasce, wsparty na barkach najstarszego syna. Spojrzał w górę, zatrzymał się i zaczął naśladować ptaszka. Chłopak również ściągnął wargi i zagwizdał; obaj umieli naśladować głosy prawie wszystkich ptaków. Krystyna stała nieco na uboczu w gromadzie innych kobiet. Zastłuchana uśmiechała się tak ładnie.

Pod wieczór chmury na zachodzie przerzedziły się trochę; skłębiły się teraz złociście ponad białymi zboczami, a szarawa mgła wypełniła jary i małe dolinki. Rzeka lśniła matowo niby mosiądz; wolna od lodów ciemną falą toczyła się po kamieniach, na sterzczących z nurtu głazach leżały małe, białe poduszki świeżego śniegu.

Wolno posuwali się naprzód; drogi były rozmokłe, a konie zmęczone. Noc była mlecznobiała od poświaty miesiąca, którego pełna tarcza wyjrzała spośród chmur, kiedy Szymon zjeżdżał zboczami w dół nad rzekę Ulę. Przejechał most i dostał się na płaskie, porośnięte sosnami dno doliny, przez które prowadziła dobra droga; ko-

nie stąpały teraz raźniej, poczuły, że zbliżają się do stajni. Szymon klepał rumaka po dymiącej, mokrej szyi. Był rad mimo wszystko, że się ta jazda wkrótce skończy. Ramborga pewnie spała już dawno.

W miejscu, gdzie droga raptem skręcała i wychodziła z lasu, stała mała chata. Szymon podjechał już niemal do niej, gdy wtem zauważył, że paru ludzi na koniach zatrzymało się przed drzwiami. Posłyszał głos Erlenda:

– A więc ułożone, że przyjedziesz zaraz po niedzieli. Czy mogę powiedzieć to żonie?

Szymon przywitał ich głośno: zbyt dziwnie wyglądałoby, gdyby się nie zatrzymał i nie pojechał dalej razem z nimi; ale Sigurdowi polecił jechać od razu naprzód. Potem zbliżył się do tamtych. Byli to Naakkve i Gaute. Erlend wyszedł przed drzwi.

Przywitali się raz jeszcze, tamci trzej trochę z przymusem. Szymon widział ich twarze, choć nie całkiem wyraźnie w szarym świetle; miał wrażenie, że miny mają niepewne i niechętne zarazem. Rzekł natychmiast:

– Wracam z Dyfrina, szwagrze.

– Słyszałem, żeś udał się na południe – Erlend położył dłoń na kulbace i wzrok wbił w ziemię. – Aleś pędził – dodał jak gdyby chcąc przerwać przykre milczenie.

– Nie, nie, poczekać chwilę – odezwał się Szymon do chłopców, którzy już chcieli puścić się w dalszą drogę. – Wy też powinniście to słyszeć. Pieczęć, którą widziałeś na liście, Gaute, była pieczęcią mojego brata. I rozumiem, że musiałeś sądzić, iż źle dotrzymali słowa twemu ojcu on i ci wszyscy panowie, którzy położyli swoje pieczęcie na owym piśmie do kawalera Haakona, które twój ojciec miał zawieźć do Danii.

Chłopak patrzył w ziemię i milczał. Erlend rzekł:

– O jednym nie pomyślałeś, Szymonie, kiedy jechałeś do twego brata. Drogo okupiłem bezpieczeństwo Gyrdy i innych towarzyszy – wszystkim, co posiadałem, oprócz jednego: imienia męża, który dochowuje słowa i wiary. Teraz Gyrd Darre sądzi na pewno, że nawet i ciebie postradałem.

Szymon zawstydzony pochylił głowę. Istotnie, o tym nie myślał.

– Powinieneś być mi to powiedzieć wtedy, Erlendzie, kiedy mówiłem, że chcę jechać na Dyfrin.

– Sam chyba widziałeś, jaki byłem wówczas wściekły i rozszluszczony. Nie mogłem ani myśleć, ani radzić, gdy odjeżdżałem z twego dworu.

– I ja byłem niespełna zmysłów, Erlendzie.

– Tak, ale zdaje mi się, że miałaś czas ochłonąć nieco przez tę długą drogę. Ostatecznie ja właśnie nie mogłem cię prosić, abyś poniechał tego pytania; bez zdradzenia przy tym rzeczy, o których milczeć przysiągłem na wszystkie świętości.

Szymon milczał przez chwilę; z początku wydało mu się, że tamten ma słuszność. Potem jednak uświadomił sobie, że Erlend jest całkiem niesprawiedliwy. Czy miał pozwolić na to, by Krystyna i jej synowie nadal mieli o nim tak złe mniemanie? – zapytał dość gwałtownie.

– Nigdy ani słowa nie powiedziałem o tym nikomu, ani matce, ani braciom – rzekł Gaute zwracając ku wujowi piękną, jasną twarz.

– Ale i tak się w końcu dowiedzieli – odparł z uporem Szymon. – Myślę, że po wszystkim, co się tego dnia u mnie wydarzyło, musieliśmy wyjaśnić tę sprawę. I nie rozumiem, że dla twojego ojca mogło to być tak nieoczekiwane; przecież jeszcze dzisiaj jesteś dzieckiem, Gaute, a cóż dopiero wówczas, kiedy ci powierzono tę tajemnicę.

– Miałem chyba prawo sądzić, iż rodzonego syna mogę obdarzyć zaufaniem – odparł Erlend gwałtownie. – Wtedy, kiedy musiałem ratować ten list, nie miałem innego wyjścia: albo musiałem go powierzyć Gautemu, albo pozwolić, by wpadł w ręce wójta.

Szymonowi wydało się bezcelowe mówić jeszcze dłużej o tej sprawie. Lecz nie mógł się powstrzymać od uwagi:

– Nie bardzo się uradowałem, kiedy zrozumiałem, co chłopak sądził o mnie przez te cztery lata. Ja zawsze cię lubiłem, Gaute.

Chłopiec podjechał bliżej i wyciągnął rękę; Szymon spostrzegł, że twarz mu pociemniała jakby od rumieńca.

– Wybaczcie mi, Szymonie!

Szymon uściśnął rękę chłopca. Gaute był chwilami tak łudzaco podobny do swego dziada Lavransa, że Szymonowi aż dziwnie robiło się na duszy. Nogi miał trochę krzywe, a tułów krępy, ale był

doskonałym jeźdźcem i na koniu wyglądał jak najpiękniejszy młodzieniec, jakim kiedykolwiek radowało się ojcowskie serce.

Wszyscy razem jechali dalej w górę doliny, chłopcy wysunęli się naprzód. Kiedy oddalili się na tyle, że nie mogli go słyszeć, Szymon zaczął mówić:

– Rozumiesz przecie, Erlendzie – nie masz prawa czynić mi zarzutu z tego, iż odwiedziłem brata i prosiłem go, by mi powiedział prawdę. Lecz wiem, że oboje, ty i Krystyna, mieliście wszelkie przyczyny po temu, by się rozgniewać na mnie. Bo zaraz w pierwszej chwili, kiedy owe – szukał stosownych słów – owe osobliwe nowości wyszły na jaw... to, co Gaute powiedział o mojej pieczęci... nie mogę zaprzeczyć, że pomyślałem... właśnie to, co po rozwadze było nie do pomyślenia. Muszę więc przyznać, iż masz powód po temu, by się gniewać na mnie – powtórzył raz jeszcze.

Konie ich człapały po rozmiękłym śniegu. Minęła chwila, nim Erlend odpowiedział, a głos jego brzmiał zupełnie spokojnie i przyjaźnie:

– Nie wiem doprawdy, co mógłbyś innego pomyśleć. Najprostsze było takie właśnie przypuszczenie.

– Ach nie, powinienem był zrozumieć, że to niemożliwe – przerwał mu Szymon z udręką. Po chwili spytał: – Czy sądziłeś, że już przedtem wiedziałem coś o udziale moich braci w spisku i że ze względu na nich starałem się ci pomóc?

– Nie! – rzekł Erlend zdziwiony. – Nie mogłeś przecież o tym wiedzieć. Byłem pewien, że ja nie powiedziałem niczego. A mogłem liczyć na to, że i twoi bracia też się nie wygadają – roześmiał się cicho. Potem spoważniał. – Wiedziałem dobrze – rzekł miękko – że uczyniłeś to ze względu na naszego świekra... i dlatego że jesteś dobrym człowiekiem.

Szymon jechał pewien czas nic nie mówiąc.

– Mogę sobie wyobrazić, jaki byłeś wściekły – zagadnął po chwili.

– No, kiedy potem w spokoju tę rzecz rozważyłem, widziałem, że nie mogłeś sobie tego w ogóle inaczej tłumaczyć.

– A Krystyna? – spytał Szymon jeszcze ciszej.

– Ona! – Erlend roześmiał się jak poprzednio. – Wiesz przecie, ona nie cierpi, kiedy kto inny mi coś wytyka prócz niej samej. Myśli

pewnie, że ona jedna może dojść ze mną do ładu. Taka sama historia jest z naszymi dziećmi. Bóg mi świadkiem, czym choć jednym słowem ważył się je kiedyś ganić. Ale bądź pewien, że ją przekonywałem.

– Ty?

– Tak. Z czasem doprowadzę do tego, że i ona zrozumie. Wiesz, jaka jest Krystyna, należy jej tylko pozostawić czas do namysłu, a ona sama sobie przypomni, jak wielką przyjaźń nam okazałeś.

Szymon czuł, że serce jego drży z napięcia i oburzenia. Zdawało mu się to nie do wytrzymania; Erlend najwidoczniej sądził, iż teraz mogą sobie wybić z głowy całą tę sprawę. Twarz szwagra w bladym świetle księżycy była tak szczerze pogodna. Głos Szymona drżał ze wzburzenia.

– Wybacz, Erlendzie, po prostu nie mogę pojąć, jak mogłem myśleć...

– Słyszysz przecież – przerwał Erlend nieco niecierpliwie – że rozumiem. Wydaje mi się, żeś nie mógł wpaść na inny domysł.

– Dałby Bóg, aby tych dwoje nierozumnych dzieciaków w ogóle nie zaczęło mówić – rzekł Szymon gwałtownie.

– Tak. Gaute jeszcze nigdy w życiu nie dostał takich cięgów. A wszystko zaczęło się od tego, że posprzeczali się o swych pradziadków, o Reidara Birkebeina, króla Skulego i biskupa Mikołaja – Erlend potrząsnął głową. – Ale nie myśl o tym więcej, szwagrze, najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej puścimy całą tę rzecz w niepamięć.

– Nie mogę!

– Ależ, Szymonie! – Erlend wyrzekł to prawie z wyrzutem, lekko zdumiony. – Nie warto tak bardzo się tym przejmować.

– Nie mogę, słyszysz, nie jestem takim dobrym człowiekiem jak ty!

Erlend spojrział na niego zmieszany.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Nie jestem tak dobrym człowiekiem jak ty! Nie mogę tak łatwo wybaczyć temu, komu wyrządziłem krzywdę.

– Nie rozumiem, co masz na myśli – powtórzył tamten.

– Myślę – twarz Szymona wykrzywiła się pod wpływem bólu i wściekłości; mówił cicho, jakby tłumiąc chęć krzyczenia na cały głos. – Myślę... Słyszałem ciebie pięknie mówiącego o lagmanie

Sigurdzie na Steigen, owym starcu, któremu ukradłeś żonę. Widziałem i czułem, jak pokochałeś Lavransa prawdziwą, synowską miłością. I nigdy nie zauważyłem, abyś czuł ku mnie niechęć za to, żeś mi uwiódł narzeczoną. Ja nie jestem taki wspaniałomyślny, jak sądzisz, Erlendzie, nie jestem taki wspaniałomyślny jak ty, ja... ja czuję urazę do człowieka, któremu wyrządziłem krzywdę!

Z napięcia jego policzki pokryły się białawymi plamami, oczy wlepił w tamtego. Erlend słuchał go z wpółotwartymi ustami.

– Dopiero dziś po raz pierwszy to spostrzegam! Czy ty mnie nie n a w i d z i s z , Szymonie? – spytał złamany.

– A nie wydaje ci się, że miałbym po temu przyczynę?

Mimo woli wstrzymali obaj konie, siedzieli w siodłach i wpatrywali się w siebie; małe oczy Szymona błyszcząły jak stal. W mglisto białym świetle nocy dojrzał jakieś natężenie w pięknych rysach Erlenda, jak gdyby w tamtym coś się rozwarło, jak gdyby się budził. Spojrzał spod na wpół opuszczonych powiek, zagryzł drżącą wargę dolną.

– Nie chcę dłużej obcować z tobą!

– Człowieku! Dwadzieścia lat minęło od tej pory! – zawołał Erlend zmieszany i wstrząśnięty.

– Tak. A nie zdaje ci się, że ona... że ona warta tego, by i dwadzieścia lat o niej pamiętać?

Erlend uniósł się w kulbace, spojrzał mocno i pewnie Szymonowi w twarz. Blask miesiąca rozpałił w jego wielkich, jasnych oczach zielonkawe ogniki.

– Owszem. Bóg... Bóg niech ją błogosławi!

Przez mgnienie oka tak pozostał. Potem wparł w wierzchowca ostrogi i pognął przez kałuże, aż woda przyskała spod kopyt. Szymon wstrzymał swego Digerbeina – o mało nie wyleciał z siodła, tak gwałtownie ściągnął wodze. Na skraju lasu zaczekał, jeździł tam i z powrotem, aż klaskanie kopyt na rozmokłej drodze ucichło zupełnie.

Ledwie to wypowiedział, natychmiast ogarnął go żal. Wstydił się i żałował, jak gdyby w bezsensownej złości uderzył kogoś bezbronnego, dziecko albo delikatne, dobroduszne, nierozumne zwierzę. Jego nienawiść wydała mu się teraz niby strzaskana włócznia; on sam był zdruzgotany przez to starcie z niepojętą niewinnością tamtego. Ten

nieszczęśnik Erlend tak mało rozumiał, że wydawał się nieomal równie bezbronny jak niewinny.

Szymon kłął i wymyślał półgłosem, jadąc dalej. Niewinny! Ależ ten człowiek miał już grubo ponad czterdziestkę; musiał wreszcie uświadomić sobie, że mówi się z nim jak z dojrzałym mężczyzną. A jeśli nawet zranił siebie samego, to, do stu diabłów, nie powinien się tym przejmować, jeśli choć raz ugodził Erlenda.

Teraz Erlend jechał do niej. „Niech ją Bóg błogosławi...” Szymon skrzywił się drwiąco. Nareszcie będzie koniec i nie trzeba będzie nadal męczyć się tą siostrzaną miłością pomiędzy tymi dwojgiem a nim i jego rodziną. Uniknie spotkań z Krystyną córką Lavransa.

Dech mu zapało na tę myśl. A niechże i tak będzie, do diabła! Jeśli gorszy cię oko twoje, wyłup je, mówią księża. Najchętniej zrobiłby to, by uciec od tej bratersko-siostrzanej miłości z Krystyną – nie mógł już dłużej wytrzymać.

Miał teraz jedno życzenie: aby Ramborga już spała, kiedy powróci do domu.

Ale gdy między opłotkami wjeżdżał na dziedziniec, ujrzał jakąś postać w ciemnym okryciu stojącą pod osikami. Biało jaśniała chustka żony.

Stała tu i czekała na niego od powrotu Sigurda, jak się okazało. Dziewki pokładły się już, więc Ramborga sama nałożyła na talerz kaszy z garnka stojącego na piecu, postawiła na stole słoninę i chleb, i przyniosła świeżo utoczonego piwa.

– Nie kładziesz się jeszcze, Ramborgo? – spytał Szymon posilając się.

Ramborga nie odpowiedziała. Zbliżyła się do krosien i zaczęła przerzucać małe barwne kłębuszki. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem wzięła się do tkania dywanu, ale robota szła jej niesporo.

– Erlend przejeżdżał tędy przed chwilą – powiedziała odwracając się do męża plecami. – Sądziłam po tym, co Sigurd mówił, że wrócicie razem.

– Nie, jakoś inaczej wypadło.

– Czyżby Erlend tęsknił bardziej do domu i łoża niż ty? – roześmia-

ła się słabo. Nie otrzymawszy odpowiedzi dodała: – On zawsze bardzo tęskni za Krystyną, ilekroć wyjeżdża na dłużej.

Szymon milczał chwilę, wreszcie odparł:

– Erlend i ja nie rozstaliśmy się w zgodzie. – Ramborga odwróciła się gwałtownie; wtedy opowiedział, co posłyszał na Dyfrinie, i powtórzył pierwszą część swej rozmowy z Erlendem i jego synami.

– Nie wydaje mi się rozsądne, abyście się stać mieli nieprzyjaciółmi z powodu tej sprawy, jeśli do dziś żyliście w przyjaźni.

– Być może, ale tak się jakoś stało. Za długo byłoby dziś wieczór mówić o wszystkim.

Ramborga odwróciła się znowu do krosien i udawała, że tka.

– Szymonie – zapytała niespodziewanie – pamiętasz może tę przypowieść, którą nam pewnego razu czytał z Biblii sira Eirik o owej dziewczycy zwanej Abisagą Sunamitką?

– Nie.

– W owym czasie, kiedy król Dawid się zestarzał i zanikały jego siły żywotne i męskość... – zaczęła, ale Szymon przerwał jej:

– Droga Ramborgo, noc już późna i pora niestosowna do opowiadania przypowieści. Przypominam sobie zresztą teraz, co było z ową Abisagą.

Ramborga odrzuciła czótenko, chwilę milczała, potem odezwała się znowu:

– A może pamiętasz tę opowieść, którą znał mój ojciec: o Tristanie Pięknym, o Izoldzie Jasnowłosej i Izoldzie Czarnowłosej?

– Pewnie, pamiętam ją dobrze – Szymon odsunął misę, otarł usta wierzchem dłoni i podniósł się. Stał pod piecem, oparł jedną stopę o brzeg, rękę zwiesił przez kolano i stał tak bez ruchu wpatrując się w ogień wygasający z wolna w czeluści paleniska. Z kąta izby, od krosien, płynął głos Ramborgi, urywany, bliski płaczu:

– Zawsze, ilekroć słuchałam owych opowieści, myślałam sobie, że tacy mężowie jak ten król Dawid i pan Tristan... wydawało mi się niepojętym okrucieństwem to, iż nie miłowali swoich młodziutkich oblubienic, oddających im swoją niepokalaną dziewiczość i miłość serdeczną, z godnością i skromnie, lecz kochali bardziej takie kobiety, jak pani Betsabee albo Izolda Jasnowłosa, które oddały się innym

mężom. Myślałam sobie w duchu, że gdybym była mężczyzną, nie mogłabym mieć tak mało dumy i serca – zamilkła wzruszona. – I zawsze za najśroźszy los uważałam ten, jaki przypadł w udziale Abisadze albo biednej Izoldzie z Brytanii – odwróciła się nagle, przeszła szybko izbę i stanęła przed mężem.

– Co się z tobą dzieje, Ramborgo? – Szymon mówił cicho i niechętnie. – Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Owszem, rozumiesz – rzekła gwałtownie. – Ty jesteś zupełnie taki sam jak ów Tristan.

– Nie mogę w to uwierzyć – usiłował się roześmiać – abym miał być podobny do pięknego Tristana. O ile sobie przypominam, obie kobiety, o których mówiłaś, żyły przecież i zmarły jako czyste, nie tknięte przez swych mężów, dziewice. – Spojrzał na żonę. Jej mała trójkątna twarz była blada, wargi zaciśnięte.

Szymon spuścił nogę na ziemię, wyprostował się, obie ręce oparł na jej ramionach.

– Moja Ramborgo, mamy przecież dwoje dzieci z sobą – rzekł cicho.

Nie dała odpowiedzi.

– Zawsze starałem się okazać, jak bardzo ci jestem wdzięczny za ten dar. Wierzyłem, że jestem dla ciebie dobrym mężem.

Kiedy dalej milczała, puścił ją i usiadł obok na ławie. Ramborga poszła za nim, stanęła przed Szymonem i patrzyła na niego, na jego szerokie, spryskane błotem uda, potężny tułów, ciężką, brązową twarz. Niechętnie odęła wargi.

– Szpetny też stałeś się z wiekiem, Szymonie.

– Pewnie, ja sam nie uważałem się nigdy za pięknego – odparł spokojnie.

– A ja jestem przecie młoda i ładna – usiadła na jego kolanach i łzy popłynęły jej z oczu, kiedy obu dłońmi objęła jego głowę. – Szymonie, patrz na mnie, czemu nie możesz mi tego odpłacić? Nikomu nie pozwoliłam, aby mnie posiadał, prócz ciebie; umyśliłam to sobie już jako mała dziewczynka, że taki jak ty musi być kiedyś mój mąż. Przypominasz sobie, my obie, Ulvhilda i ja, miałyśmy cię pewnego razu prowadzić, szedłeś z ojcem na pastwisko oglądać jego żrebce. Ulvhildę przeniósłeś przez strumyk, a mnie ojciec chciał podnieść,

lecz zaczęłam krzyczeć, abyś mnie wziął na ręce. Przypominasz sobie?

Szymon skinął głową. Pamiętał, że wiele przebywał z Ulvhildą, bo było mu żal słodkiego, wątłego dziecka. O najmłodszej siostrze nie pozostało mu żadne wspomnienie, chyba tylko to, że było jeszcze drugie dziecko, młodsze od Ulvhildy.

– Miałaś najpiękniejsze włosy na świecie – zanurzyła palce w kasztanowatej czuprynie, opadającej Szymonowi na czoło. – I teraz nie masz jeszcze ani jednego siwego włosa, a Erlend ma prawie tyle białych co czarnych. A potem tak bardzo mi się podobało, że robiły ci się głębokie dołki na policzkach, ilekroć się śmiałaś, i że byłeś zawsze taki wesoły.

– Tak, wtedy wyglądałem nieco lepiej niż dzisiaj.

– Nieprawda – szepnęła wzburzona – i dziś, kiedy patrzysz na mnie tak łagodnie... Pamiętasz jeszcze, kiedy po raz pierwszy spałam w twoich ramionach? Leżałam i jęczałam, bo bolały mnie zęby. Ojciec i matka spali, było zupełnie ciemno na poddaszu, ale ty zbliżyłeś się do ławy, na której leżałyśmy ja i Ulvhilda, i zapytałeś, czemu płaczę. Prosiłeś mnie, abym była cicho i nie budziła innych, a potem wziąłeś mnie na ręce, zaświeciłeś świecę, zastrugałeś drzazgę i nakłuwałeś nią moje dziąsło wokół bolącego zęba, aż się krew pokazała. Potem wyrzekłeś jakieś zaklęcie nad drzazgą i nic mnie już nie bolało, spałam obok ciebie w łożu, a ty trzymałeś mnie w ramionach.

Szymon położył rękę na jej głowie i przycisnął ją do piersi. Teraz, w miarę jak opowiadała, przypomniał sobie: było to wówczas, kiedy przybył na Jörund, by oświadczyć Lavransowi, że będzie lepiej, jeśli umowa między nim a Krystyną zostanie zerwana. Mało spał owej nocy i teraz przypomniał sobie, że w istocie wstał i zajął się małą Ramborgą, która płakała, bo ją bolał ząb.

– Czy kiedykolwiek postąpiłem tak wobec ciebie, Ramborgo, że możesz powiedzieć, iż cię nie kocham?

– Szymonie, czy nie wydaje ci się, że jestem bardziej warta twego kochania niż Krystyna? Była zła i fałszywa wobec ciebie, a ja przez te wszystkie lata biegałam za tobą jak piesek.

Szymon postawił ją ostrożnie na ziemi, podniósł się i wziął ją za ręce.

– Nie mówże o swojej siostrze w ten sposób. Nie wiem, czy chociaż przeczuwasz, coś powiedziała. Jak możesz nie pamiętać o bojaźni Bożej i sądzić o mnie, że ja tak mało obawiałbym się hańby i najcięższego grzechu albo że nie myślałbym o moich dzieciach, o wszystkich krewnych i przyjaciółach? Przecież jestem twoim mężem, Ramborgo, pamiętaj o tym i nie mów tak do mnie.

– Wiem, że nigdy nie przekroczyłeś Bożych przykazań, nie podeptałeś prawa ani honoru.

– Nigdy ani jednym słowem nie odezwałem się do twojej siostry ani też nie dotknąłem jej tak, że nie mógłbym w dzień sądu ostatecznego za to odpowiadać, mogę przysiąc to przed Bogiem i świętym Szymonem, Jego apostołem.

Ramborga przytakiwała milcząc.

– Sądzisz, że twoja siostra spotykałaby się ze mną przez te wszystkie lata, gdyby myślała tak jak ty, że ją miłuję w grzesznym pożądaniu? Tedy nie znasz Krystyny.

– Och, ona zaprawdę nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy inny mężczyzna prócz Erlenda jej pożąda. Ledwie czuła, że my także jesteśmy z krwi i kości.

– Teraz powiedziałaś prawdę, Ramborgo – rzekł spokojnie Szymon. – Ale w takim razie rozumiesz sama, jak niesłusznie jest dręczyć mnie zazdrością.

Ramborga wyciągnęła rękę z jego dłoni.

– Nie myślałam w ten sposób, Szymonie! Ale nigdy mnie tak nie miłowałeś, jak ją miłujesz. Ona wciąż jeszcze żyje w twoim sercu, o mnie zaś prawie nie myślisz, ledwie ci z oczu zejde.

– Nie jestem winien, Ramborgo, że serce męża jest tak ukształtowane, iż to, co zapisano w nim za młodu, póki jest czyste i młodzieńcze, głębiej jest wryte aniżeli wszystkie runy, które się później w nim znaczą.

– Nie słyszałeś nigdy tego przysłowia, które powiada, że serce męża pierwsze budzi się do życia w łonie matki i ostatnie w człowieku umiera? – rzekła Ramborga cicho.

– Nie. Czy naprawdę jest takie przysłowie? Tak, to chyba prawda. – Głaskał z lekka jej bladą twarz. – Ale jeśli chcemy tej nocy jeszcze spać, musimy się już położyć – rzekł zmęczony.

Ramborga zasnęła po chwili. Szymon ostrożnie wyciągnął ramię spod jej pleców, odsunął się na brzeg łoża i podciągnął sobie skórę aż pod brodę. Jego koszula była na piersi całkiem mokra od łez żony. Było mu jej serdecznie żal, a jednocześnie czuł z rodzącą się na nowo rozpaczą, iż nie może dalej żyć z nią tak, jakby była niewidzącym, niedoświadczonym dzieckiem. Musiał teraz w pełni sobie uświadomić, że Ramborga jest dojrzałą kobietą.

Za szybą już szarzało, majowa noc mijała. Szymon był taki znużony, a jutro święto. Nie pojedzie do kościoła, chociaż bardzo by mu się to przydało. Obiecał kiedyś Lavransowi nie opuścić nigdy mszy bez ważnego powodu; niewiele mu to jednak pomogło, że przez te wszystkie lata był wierny swemu przyrzeczeniu, myślał z goryczą. Jutro nie pojedzie do kościoła.

II

Winowajcy

1

Krystyna nie dowiedziała się wszystkiego, co zaszło między Erlendem a Szymonem. Erlend opowiedział jej i Björgulfowi, co mówił Szymon o swej wyprawie do Dyfrina i że potem wybuchła między nimi kłótnia, która skończyła się tym, iż się rozstali w niezgodzie. „Nic więcej nie mogę ci o tym powiedzieć”.

Erlend był nieco blady, twarz jego wyrażała zaciętość i zdecydowanie. Rzadko kiedy za czasów swego małżeństwa widywała go takim. Toteż wiedziała, że chodzi o sprawy, o których nie chciał więcej mówić.

Nie mogła znieść, kiedy Erlend odpowiadał na jej pytania z taką miną. Bóg wie, że nie pragnęła bynajmniej uchodzić za coś więcej niż za prostą kobietę, najchętniej zrzuciłaby z siebie odpowiedzialność za wszystko inne prócz dzieci i obowiązków gospodyni. Ale musiała zajmować się tylu rzeczami, którymi, jej zdaniem, winien się zajmować raczej mąż: Erlendowi wydawało się to całkiem naturalne i składał wszystko na jej barki. Nie pasowała więc do niego owa duma i zbywanie jej, kiedy chciała, aby zdał sprawę z czegoś, co podjął na własną rękę, a co dotyczyło dobra ich wszystkich.

Wzięła sobie też bardzo do serca ową nieprzyjaźń między Erlendem a Szymonem Darre. Ramborga była jej jedyną siostrą. A gdy myślała, że nie będzie więcej widywała Szymona, to dopiero uświadamiała sobie w pełni, jak bardzo polubiła tego człowieka i ile mu

zawdzięcza; najpewniejszą dla niej ostoją w jej trudnym położeniu była jego wierna przyjaźń.

I wiedziała, że teraz ludzie będą mieli o czym gadać w całej dolinie – aha, ci z Jörund powaśnili się również i z Szymonem na Formo. Szymon i Ramborga byli przez wszystkich lubiani i poważani. Na nią samą, na jej męża i synów patrzano nieufnie i niechętnie, dostrzegła to już dawno. Teraz pozostaną zupełnie osamotnieni.

W najbliższą niedzielę, kiedy Krystyna przysła na plac przed kościołem i ujrzała Szymona stojącego nieco na uboczu w gromadzie chłopów, miała wrażenie, że zapadnie się pod ziemię ze wstydu i bólu. Pozdrowił ją i dzieci skinieniem głowy, ale po raz pierwszy nie podszedł do nich, nie podał im ręki i nie wdał się z nimi w pogawędkę.

Ramborga jednak zbliżyła się do siostry i ujęła ją za rękę.

– Źle się stało, siostrzo, że nasi mężowie powaśnili się, ale ty i ja nie poróżnimy się z tego powodu – uniosła się na palcach i pocałowała Krystynę, tak aby ludzie na cmentarzu mogli widzieć. Krystyna jednak w niepojęty dla niej sposób wyczuła, że Ramborga mimo wszystko nie jest tak bardzo zmartwiona. Nigdy nie lubiła ona Erlenda; Bóg raczy wiedzieć, czy to nie ona właśnie – z rozmysłem albo i bez rozmysłu – podmówiła swego męża przeciw niemu?

Ale ilekroć spotykały się przed kościołem, Ramborga podchodziła zawsze i witała się z siostrą. Ulvhilda pytała głośno, dlaczego ciotka do nich nie przychodzi, po czym biegła do Erlenda, wieszła się u ramion wuja lub najstarszych synów. Arngjerda stała cicho u boku macóchy, z zakłopotaniem podawała Krystynie rękę. Szymon oraz Erlend i jego synowie w miarę możliwości unikali się nawzajem.

Krystynie brak było szczególnie siostrzeńców, tak bardzo lubiła obie dziewczynki. Pewnego dnia, kiedy Ramborga przyprowadziła syna na mszę, Krystyna po skończonym nabożeństwie ucałowała Andrzeja i wybuchnęła nagle płaczem. Bardzo kochała tego wątłego, szczupłego chłopczykę, nic na to poradzić nie mogła, a teraz, kiedy sama nie miała już żadnego maleństwa, było dla niej pociechą, gdy mogła się opiekować małym siostrzeńcem i pieścić go, kiedy rodzice przywozili go z sobą na Jörund.

Od Gautego dowiedziała się trochę więcej o tej sprawie, powiedział jej bowiem, o czym rozmawiali Erlend i Szymon owej nocy, kiedy spotkali się przy chacie starej Gudruny. Im więcej rozmyślała nad tą sprawą, tym bardziej była pewna, że Erlend nie miał słuszności. Była rozgoryczona także na Szymona: powinien był znać na tyle swego szwagra, by wiedzieć, że Erlend nigdy nie zdradziłby i nie oszukał jego brata w niegodny sposób, a choć przez wrodzoną nierozwagę i porywczosć mógł postępować nader cudacko, to jednak gdy widział, co nabroił, stawał się jak spłoszony koń, który się wyrwał, a potem szaleje ze strachu, przerażony tym, co wlecze za sobą.

Erlend nie rozumiał nigdy, że inni ludzie muszą czasem strzec swego dobra przed nieszczęściem, które potrafił sprowadzać z jakimś szczególnym darem. Nie dbał wtedy o to, co mówi, ani jak się zachowuje. Pamiętała przecież sama dobrze jeszcze z tych czasów, kiedy jej serce było młode i nieodporne – raz po raz miała uczucie, że depce on po nim swym bezmyślnym postępowaniem. Rozstał się ze swym jedynym bratem. Zanim jeszcze Gunnulf wstąpił do klasztoru, odsunął się od niego i Krystyna zrozumiała, że Erlend ponosił tu winę; zbyt często ranił swego pobożnego i czcigodnego brata, choć Gunnulf – o tym Krystyna wiedziała – świadczył Erlendowi jedynie dobro. Teraz zaś odtrącił od siebie Szymona, a kiedy chciała dowiedzieć się, co było przyczyną zerwania między nim a ich jedynym przyjacielem, przybierał nieprzystępny wyraz twarzy i odpowiadał, że nie może jej tego powiedzieć.

Domyśliła się, iż Naakkvemu powiedział więcej.

Matka czuła się dotknięta i niespokojna, ilekroć zauważyła, że Erlend i najstarszy syn milkną nagle albo też zaczynają mówić o czym innym, gdy się do nich zbliżała; a zdarzało się to nierzadko.

Zarówno Gaute, jak Lavrans i Munan garnęli się do matki bardziej niż Mikołaj kiedykolwiek i zawsze więcej rozmawiała z nimi niż z tamtym. Mimo to czuła zawsze, że pierworodny był jakoś bliższy jej sercu niż reszta dzieci. A odkąd znowu mieszkała na Jörund, wspomnienia z czasów, kiedy dźwigała go pod sercem, odżyły w niej

z dziwną wyrazistością. Wiele bowiem miała okazji, aby się przekonać, że tu, w Sil, ludzie nie zapomnieli o jej młodzieńczym grzechu. Wyglądało niemal na to, iż wszyscy są zdania, że ona – córka tego męża, którego uważali za najgodniejszego – schodząc na manowce splamiła dobre imię całej gminy ojczystej. Nie wybaczyli jej tego, a także i tego, że wraz z Erlendem naraziła ojca nie tylko na hańbę i zgryzotę, ale jeszcze i na pośmiewisko, pozwalając mu na wyprawienie uwiedzionej dziewczynie najwspanialszego wesela, jakie ludzie w dolinie pamiętali.

Krystyna nie wiedziała, czy Erlend zdaje sobie sprawę, że ludzie odgrzebują te stare historie. Ale jeśli nawet zdawał sobie sprawę, to i tak było mu to obojętne. Wszystkich współmieszkańców gminy uważał za szaraków i chałupników; synów uczył również tak myśleć. Ją jednak paliło w duszy, że ci sami ludzie, którzy byli tacy przychylni i życzliwi wówczas, kiedy zwano ją piękną córką Lavransa i różą północnej doliny, osądzali teraz surowo i z pogardą Erlenda syna Mikołaja i jego żonę. Nie błagała o ich przychylność, nie płakała nad tym, że stała się im obca. Ale bolało ją to. I miała wrażenie, że nawet strrome stoki gór wokół doliny, strzegące jej dzieciństwa, inaczej spozierają teraz na nią i jej dom – czarne od groźby, stalowe twardą wolą ugięcia jej.

Kiedyś płakała gorzko; Erlend wiedział o tym i nie był wówczas względem niej cierpliwy. Gdy dowiedział się, jak w zupełnej samotności przez wiele miesięcy dźwigała jego dziecię pod strwożonym, przepełnionym smutkiem sercem, nie wziął jej w ramiona, nie pocieszył łagodnymi, czułymi słowami. Był rozgoryczony i zawstydzony, kiedy ujrzał, że zbliża się dzień, w którym jego niegodny postępek wobec Lavransa wyjdzie na jaw, ale nawet na myśl mu nie przyszło, że jej będzie o wiele trudniej dożyć dnia, w którym stanie okryta hańbą przed swym dumnym, a tak miłującym ją ojcem.

I niezbyt radośnie powitał Erlend syna, gdy ujrzał on wreszcie światło dzienne. Kiedy wyzwolona z nieskończonej męki i grozy, ujrzała, jak nędzny, bezkształtny owoc grzechu ożywa na skutek usilnych modłów księdza stając się ukochanym, zupełnie zdrowym dzieckiem, miała uczucie, że serce jej rozplywa się w pokornej radości i że nawet gorąca, oporna krew w jej ciele zamienia się

w słodkie białe, niewinne mleko. „Tak, z Bożą pomocą wyrosnie z niego człowiek”, mówił Erlend, gdy pragnęła, aby i on radował się wraz z nią tym bezcennym skarbem, którego nie chciała wypuścić z rąk nawet na tę krótką chwilę, kiedy kobiety się nim zajmowały. Erlend kochał dzieci, które miał z Eliną córką Orma, to widziała i czuła. Ale kiedy przynosiła Naakkvego i chciała go złożyć w jego ramionach, kręcił nosem i pytał, co ma począć z tym malcem, który pod spodem i z wierzchu jest mokry. Przez długie lata Erlend niechętnie spoglądał na swego najstarszego ślubnego syna. Nie mógł zapomnieć, że Naakkve przyszedł za wcześnie na świat, chociaż chłopak był takim pięknym, miłym i obiecującym dzieckiem, że każdy ojciec musiałby się cieszyć takim potomkiem. /

A Naakkve od samego początku, od maleńkości, kochał tak bardzo swego ojca, aż dziw brał. Jąk słońce jaśniała jego mała śliczna twarzyczka, kiedy ojciec brał go na chwilę na kolana i przemawiał do niego albo kiedy mógł trzymać ojca za rękę, gdy szli przez dziedzińiec. Naakkve niestrudzenie starał się pozyskać łaskę ojca wtedy, kiedy Erlend kochał innych swoich synów bardziej niż jego. Dopóki chłopcy byli mali, ulubieńcem ojca był Björgulf; Erlend zabierał wówczas nieraz synków do zbrojowni, gdzie przechowywano wszystką broń, której nie używano codziennie na dworze. I gdy ojciec rozmawiał i żartował z Björgulfem, Naakkve siedział cichutko na skrzyni i sapał z uciechy, że wolno mu przebywać wraz z nimi.

Ale z biegiem lat, w miarę jak pogarszał się wzrok Björgulfa, gdy nie mógł on jak inni synowie wyjeżdżać z ojcem, i stawał się milczący i zamknięty w sobie, nastąpiła zmiana. Teraz Erlend zdawał się jakby onieśmielony wobec tego syna. I Krystyna zadawała sobie nieraz pytanie, czy Björgulf w głębi serca nie czuje żalu do ojca za to, iż zaprzepaścił ich dobrobyt i własnym upadkiem zniszczył także przyszłość synów, a również, czy Erlend o tym wie albo to przeczuwa. Bądź co bądź, ze wszystkich synów Erlenda jeden Björgulf zdawał się nie patrzeć na niego ze ślepą miłością i bezgraniczną dumą dlatego, że go zowie swoim ojcem.

Pewnego dnia dwaj młodszy synowie zauważyli, że ojciec czyta rano psalterz i pości tylko o suchym chlebie i wodzie. Pytali, czemu to czyni – przecież nie ma postu. Erlend odparł, że robi to z powodu swych

grzechów. Krystyna wiedziała, że owe dni postne stanowiły część pokuty nałożonej na Erlenda za jego cudzołóstwo z Sunnivą córką Olafa i że w każdym razie najstarsi synowie również o tym wiedzą. Zdawało się, że Naakkve i Gaute nie myślą o tym więcej, ale w tej chwili wzrok Krystyny padł na Björgulfa; chłopak grzebał niedowidząc w swej misce i uśmiechał się. Tak czasami uśmiechał się Gunnulf, kiedy Erlend się przechwalał. Zabolało to matkę.

Teraz ojciec pragnął mieć ustawicznie Naakkvego przy sobie, chłopiec zaś całą duszą oddany był ojcu. Naakkve służył Erlendowi niby młody giermek swemu panu i księciu; zawsze sam oporządzał ojcowskiego konia, czyścił uprzęż i broń, przypinał ojcu ostrogi, przynosił kapelusz i okrycie, kiedy Erlend miał zamiar wyjechać. Napełniał kubek ojca i krajał mu przy stole mięso, siedział bowiem tuż obok niego, po jego prawej ręce. Erlend żartował wprawdzie nieco z kurtuazji i dwornych manier chłopca, ale dogadzało mu to i coraz bardziej przyciągało do siebie Naakkvego.

Krystyna widziała, że Erlend zupełnie zapomniał, jak bardzo musiała swego czasu walczyć i prosić o trochę ojcowskiej miłości dla tego właśnie dziecka. Naakkve zaś zdawał się zupełnie nie pamiętać czasów, kiedy jeszcze jako małe dziecko przychodził u niej szukać pociechy w każdym smutku i rady we wszystkich trudnościach. Był zawsze dla matki kochającym synem i został nim poniekąd nadal, ale czuła, że z latami oddała się coraz bardziej od niej i wszystkiego, co jej dotyczyło. Naakkve nie miał zupełnie zrozumienia dla gnębiących ją zgrzyzot. Wprawdzie ilekroć powierzyła mu jakąś robotę, nigdy się od niej nie wymawiał, ale był dziwnie niezaradny i niezgrabny w każdej gospodarskiej pracy, wykonywał ją opieszale i bez upodobania, bardzo powolnie. Matka uważała, że Naakkve jest pod wielu względami podobny do zmarłego przyrodniego brata, Orma, zewnętrznie także go przypominał. Lecz Naakkve był silny i zdrowy, zręczny w tańcu i we wszelkich ćwiczeniach, celny łucznik, nieźle też władający inną bronią, świetny jeździec i doskonały narciarz. Krystyna rozmawiała pewnego razu o nim z Ulfem, jego opiekunem. Ulf powiedział:

– Nikt doprawdy nie stracił tyle, co ten chłopak, wskutek głupoty Erlenda. W całej bowiem Norwegii nie ma dziś drugiego mło-

dzieńca, który by się bardziej nadawał na rycerza i pana niż Naakkve.

Matka jednak wiedziała, że Naakkve nigdy nie myślał o tym, jaką wspaniałą przyszłość ojciec mu zaprzepaścił.

W owym czasie panowało znowu wielkie wzburzenie w Norwegii; różne pogłoski krążyły po dolinach, niektóre wiarygodne, inne zupełnie nieprawdopodobne. Wielmoże z południa i zachodu państwa oraz w Oplandii byli niezadowoleni z rządów króla Magnusa, opowiadano nawet, iż całkiem jawnie grozili, że chwycą za broń, skrzykną naród i zmuszą pana Magnusa syna Eirika, aby rządził według ich myśli i woli, w przeciwnym bowiem razie obwołają królem jego ciotecznego brata, młodego Jona syna Haftora ze Sudrheim, którego matka, pani Agnes, była córką świętej pamięci króla Haakona Haalegga. O samym Jonie niewiele wiadano, natomiast jego brat Sigurd miał rzekomo stać na czele spisku, do którego należał także Bjarne, młody syn Erlinga. Ludzie gadali, że Sigurd obiecał podobno, iż gdyby Jon został królem, pojmie on jedną z siostr Bjarnego za żonę, dziewicę z Giske bowiem wywodziły się również ze starego rodu królów norweskich. Pan Ivar syn Ogmunda, przedtem najęższa podpora króla Magnusa, miał przejść obecnie także do obozu młodych przywódców, z nim zaś wielu spośród najbogatszych i najznamienitszych mężów; o samym Erlingu synu Vidkuna oraz o biskupie z Björgvinu ludzie powiadali, że cichaczem sprawę tę popierają.

Krystyna niewiele zwracała uwagi na te pogłoski; z goryczą myślała, że Erlend i ona są teraz nic nie znaczącymi ludźmi i sprawy państwa nic ich nie obchodzą. Minionej jesieni rozmawiała jednak o tym z Szymonem i wiedziała, iż Szymon rozmawiał z Erlendem. Zrozumiała wówczas, że Szymon niechętnie wspomina o tym, po części dlatego, że nie chciał, aby jego bracia mieszcali się w tak niebezpieczne sprawy; zresztą Gyrd był w zupełności powolny krewnym swej żony. Z drugiej strony Szymon obawiał się, że Erlendowi niemiło jest słuchać o takich rzeczach, gdyż z urodzenia powinien był zasiadać pośród mężów radzących o sprawach Norwegii, a tylko

wskutek nieszczęścia znalazł się poza kręgiem równych mu towarzyszy.

Ale Krystyna zauważyła, że Erlend mówił o tym z synami. Pewnego dnia posłyszała, jak Naakkve mówił:

– Gdy jednak ci panowie przeprowadzą swe żądania u króla Magnusa, wówczas nie będą chyba tak podli, ojczy, by na nowo nie zajęli się waszą sprawą i nie zmusili króla do naprawienia wyrządzonej wam krzywdy.

Erlend roześmiał się, a syn ciągnął dalej:

– Wyście, ojczy, pierwsi wskazali drogę tym panom i przypomnieli im, że nie było zwyczajem norweskich wielmożów siedzieć cicho i znosić cierpliwie bezprawie królów. To kosztowało was dziedziczny dwór i dobra lenne; ci mężowie, którzy z wami brali udział w sprzysiężeniu, uszli cało i zdrowo, wy jeden odpokutowaliście za nich wszystkich.

– Tak, i to właśnie jest najważniejszy powód, by zapomnieć o mnie – odparł Erlend ze śmiechem. – Husaby przypadło jako zastaw biskupowi. Nie wierzę, by panowie z rady zmusili biednego króla Magnusa do wykupienia go.

– Król jest waszym krewnym, tak samo Sigurd syn Haftora i większość innych – odrzekł popędliwie Naakkve. – Nie mogą bez hańby opuścić norweskiego szlachcica, który okrył chwałą swą tarczę na północnych krańcach Norwegii i wyparł z Finmarken i wybrzeży morza Gandvik wrogów Boga i króla. Musieliby chyba być nędznymi łotrami!

Erlend gwizdnął z cicha.

– Synu, mogę ci jedno powiedzieć: nie wiem, co wyjdzie z planów synów Haftora, lecz głowę daję, iż nie ośmielą się oni pokazać panu Magnusowi choćby jednego obnażonego norweskiego miecza. Sądzę, że będzie wielkie gadanie i mnogie zjazdy, ale nie wierzę, by wystrzelono choćby jedną strzałę. I ci mężowie nie zadrą z mojego powodu z królem, znają mnie bowiem i wiedzą, że nie boję się łaskotania szlifowanej stali jak niektórzy z nich.

Powiadasz: krewni; istotnie, są oni w czwartym stopniu z tobą spokrewnieni, i Magnus, i owi synowie Haftora. Pamiętam ich dobrze z czasów, kiedy służyłem na dworze króla Haakona; szczęście, że

moja krewniaczka, pani Agnes, była królewską córką, inaczej z pewnością musiałaby iść na przystań patroszyć ryby, gdyby nie to, że taka kobieta jak twoja babka wzięła ją z dobrego serca i litości do pomocy w oborze. Nieraz wycierałem nosy owym synom Haftora, kiedy mieli stanąć przed swoim dziadem i wpadali do świetlicy zasmarkani, tak jak zleźli z matczynych kolan; a kiedy z krewniczkiej miłości dałem każdemu z nich po parę policzków, aby ich jakich takich obyczajów nauczyć, kwiczeli jak zarzynane prosięta. Słyszałem, jak mówiono, że z tych odmieńców ze Sudrheim przecie w końcu wyrosli ludzie. Ale jeśli z tej strony oczekujesz pomocy ze względu na pokrewieństwo, możesz jej równie dobrze szukać u psa pod ogonem.

Nieco później Krystyna odezwała się do Erlenda:

– Naakkve jest jeszcze zbyt młody, drogi mężu. Czy wydaje ci się słuszne mówić z nim tak otwarcie o tych sprawach?

– A ty przemawiasz do mnie tak słodko, droga żono – odparł z uśmiechem Erlend. – Domyślam się, że chcesz mnie skarcić. Kiedy byłem w wieku Naakkvego, pojechałem po raz pierwszy na północ, do Vargöy. Gdyby pani Ingebjörga była mi nadal przychylna i dotrzymała wiary – wybuchnął gwałtownie – posłałbym teraz na jej dwór Naakkvego i Gautego. Tam, w Danii, otworem stałaby droga dla dwóch zrzęcnych, do miecza zaprawionych śmiałków o gorących łbach.

– Kiedy rodziłam te dzieci – rzekła Krystyna z goryczą – nie myślałam, że nasi synowie będą musieli szukać chleba w obcych krajach.

– Wiesz przecie, że i ja tak nie myślałem. Ale człowiek mierzy, a Bóg strzałę nosi.

Krystynę bolało serce nie tylko dlatego, ponieważ zauważyła, iż Erlend i synowie tak się zachowują, jak gdyby ich sprawy przekraczały jej możliwość rozumienia; była także pełna obawy z powodu nierozważnego gadania Erlenda. Nigdy nie pomyślał on o tym, że synowie dopiero co wyrosli z dzieciństwa.

Do tego dołączyło się i to, iż trzej najstarsi, mimo że jeszcze tak młodzi – Mikołaj miał teraz siedemnaście lat, Björgulf skończył

w jesieni szesnaście, Gaute zaś piętnaście – mieli już pewien sposób odnoszenia się do kobiet, który niepokoił matkę.

Wprawdzie nie zaszło dotąd nic takiego, o czym warto by mówić. Nie uganiali się za dziewczętami, w rozmowach nie byli nigdy brutalni czy nieprzyzwoici, nie podobały im się rubaszne żarty i ordynarne gadki, jakie opowiadali parobcy na dworze. Ale Erlend był także zawsze dworny i obyczajny, czerwienił się słuchając opowiadań, z których zarówno jej ojciec, jak i Szymon śmiali się serdecznie. Jednak Krystyna wyczuwała niejasno, że tamci dwaj śmieli się, jak śmieją się chłopci z bajd o głupim diable, podczas gdy ludzie uczeni, znający lepiej jego szatańską chytryść, nie lubią takich żartów.

Erlend wolny był również od grzechu nastawiania na niewieścią cnotę; tylko ludzie nie znający jej męża mogli sądzić, że był taki rozwiązły, ażeby zwabiać do siebie kobiety z zamiarem ich uwiedzenia. Nie wypierała się przed sobą samą, że Erlend osiągnął u niej swą wolę bez jakichkolwiek kusicielskich sztuczek, bez podstępu czy przemocy. I była mocno przekonana, że nie uwiódł i tych dwu zameźnych kobiet, z którymi zgrzeszył. Jeśli jednak spotykał lekkomyślne niewiasty, zachowujące się swobodnie i wyzywająco, stawał się podobny do zaciekawionego młodego lisa i zaraz tworzyła się wokół niego atmosfera przyczapajonej, lecz zuchwałej lekkomyślności.

Pełna trwogi, widziała, że synowie Erlenda podobni są pod tym względem do ojca; zanim coś uczynili, nigdy nie myśleli o ludzkim osądzie, potem zaś bardzo się martwili tym, co mówiono. A kiedy kobiety zwracały się do nich z uśmiechem i przymilaniem, nie byli bynajmniej wstydliwi, oporni i nieśmiali jak przeważnie chłopcy w ich wieku, lecz odpowiadali lekko i swobodnie, jakby byli wychowani na królewskim dworze i znali obyczaje dworaków. Krystyna obawiała się, że wskutek swej prostoduszności mogą łącno popaść w nieszczęście albo kłopoty; zdawało się matce, że zarówno bogate kobiety i ich córki, jak też i biedne dziewczki zachowują się zbyt uprzejmie w stosunku do tych ładnych chłopców. Ale chłopcy gniewali się, zupełnie jak inni młodzieńcy, jeśli dokuczano im imieniem jakiejś kobiety. Frida córka Styrkaara – kobieta dość głupia, choć w dojrzałym wieku, bo niewiele młodsza od gospodyni – robiła to

często. Miała dwóch bękartów – ojca drugiego z nich trudno jej nawet było odnaleźć. Ale Krystyna otoczyła czułą opieką biedne maleństwo, a ponieważ Frida z wielką miłością i staraniem wychowała Björgulfa i Skulego, pani domu była pełna pobożania dla tej dziewczki, chociaż gniewało ją, iż stara baba plecie chłopcom wciąż o młodych dziewczętach.

Krystyna uważała, że najlepiej byłoby ożenić młodo synów. Ale wiedziała, iż łatwo to nie pójdzie; ludzie, których córki były równie stanem i rodem Naakkvemu i Björgulfowi, sądzić będą na pewno, iż jej synowie nie są dość zamożni. A jeśliby chłopcy zechcieli dorabiać się majątku w służbie u któregoś z książąt, to pewnie wyrok i wrogość króla, którą ich ojciec ściągnął na siebie, stanęłyby im na zawadzie. Z goryczą wspominała czasy, kiedy Erlend omawiał z Erlingiem synem Vidkuna małżeństwo Mikołaja z jedną z córek namiestnika.

Wprawdzie znała w okolicy niejedną dorastającą dziewczicę, która by jej odpowiadała, zamożną i z dobrego rodu; ojcowie ich jednak przez szereg pokoleń trzymali się z dala od dworskiej służby i siedzieli u siebie w dolinach. Lecz Krystyna nie mogła znieść myśli, że ona i Erlend mogliby otrzymać odmowną odpowiedź od któregoś z tych bogatych chłopów. Tu Szymon Darre byłby najlepszym orędownikiem; teraz zaś Erlend poróżnił się z nim.

Do służby Bożej żaden z jej synów, prócz może Gautego lub Lavransa, nie wydawał się skóry. Ale Lavrans był jeszcze tak młody, Gaute zaś był jedynym spośród jej synów, w którym miała rzeczywście wyrękę w pracy.

Tego roku burze i śniegi uszkodziły w wielu miejscach ogrodzenia, a zawieja około Świętego Krzyża opóźniła roboty i ludzie musieli dobrze się uwijać chcąc skończyć wszystko we właściwym czasie. Dlatego Krystyna posłała pewnego dnia Naakkvego i Björgulfa, aby naprawili płot na polu przylegającym do gościńca.

W ciągu przedpołudnia matka wyszła popatrzeć, jak chłopcy dają sobie radę z tą niezwykłą dla nich robotą. Björgulf pracował od strony dworu, przystanął na chwilę i rozmawiała z nim. Potem poszła dalej. Nagle dojrzała, że Naakkve, oparty o płot, rozmawia z jakąś siedzącą

na koniu kobietą, która zatrzymała się tuż przy płocie na skraju drogi. Głaskał jej konia, potem objął nogę dziewczyny w kostce i niby w roztargnieniu przesunął rękę wyżej aż pod spódnicę.

Dziewczyna pierwsza spostrzegła gospodynię, pokraśniała i powiedziała coś do Naakkvego. Cofnął rękę, wydawał się nieco zmieszany. Dziewczyna chciała jechać dalej, ale Krystyna przywitała ją głośno, zaczęła z nią rozmawiać i wypytywać o krewnych; dziewczę było siostrzenicą pani na Ulvsvoldene i dopiero od niedawna bawiło w gościnie w tych stronach. Krystyna nie dała poznać po sobie, że zauważyła cokolwiek, a po odjeździe dziewczyny rozmawiała jeszcze z Naakkvem o naprawie płotu.

Niedługo potem zdarzyło się, że Krystyna musiała przez dwa tygodnie przebywać na Ulvsvoldene, gospodyni tam bowiem ciężko zaniemogła po porodzie, Krystyna zaś nie tylko była jej sąsiadką, lecz także uchodziła w całej okolicy za najbieglejszą położną. Naakkve nieraz w tym czasie przychodził do matki z pozdrowieniami i wiadomościami z domu, a owa siostrzenica, Eyvor córka Haakona, znalazła zawsze sposobność, by się z nim widzieć i porozmawiać. Krystynie się to wcale nie podobało, nie bardzo lubiła dziewczynę i nie uważała Eyvor za tak ładną, jak twierdziła większość mężczyzn. Ucieszyła się też, gdy pewnego dnia usłyszała, że Eyvor udała się z powrotem do domu do Raum.

Nie sądziła jednak, by Naakkve za wiele się nią zajmował, tym bardziej że Frida ciągle mówiła o Aaście córce Auduna z Lopt i drażniła nią chłopca.

Krystyna stała pewnego dnia w warzelni gotując odwar jałowcowy, gdy wtem posłyszała, że Frida znowu zaczyna pleść swoje. Naakkve z Gautem i ojcem znajdowali się na dziedzińcu, zajęci budowaniem łodzi, którą mieli przewieźć na jezioro w górach; Erlend umiał znakomicie budować łodzie. Naakkve był wściekły, mimo to i Gaute zaczął go drażnić: Aasta byłaby przecież w sam raz żoną dla niego.

– Bierz ją sam, jeśli tak sądzisz – rzekł brat z wściekłością.

– Nie, ja jej nie chcę – odparł Gaute – bom słyszał, że rude włosy i las sosnowy na chudej rosną glebie, ale tobie podobają się rude włosy.

– To przysłowie nie stosuje się do kobiet, synu – rzekł Erlend ze śmiechem. – Rude kobiety mają przeważnie białą i delikatną skórę.

Frida zaniósła się od śmiechu, ale Krystynę ogarnęła złość. Było wielką lekkomyślnością prowadzić takie rozmowy z młodymi chłopcami. Przypomniała sobie, że Sunniva córka Olafa miała rude włosy, choć jej przyjaciele zwali je złotymi. Nagle Gaute powiedział:

– Bądź rad, że ja trzymam język za zębami. Nie śmiem mówić, żeby nie zgrzeszyć. Ale w wigilię białej niedzieli siedziałeś przecie cały czas z Aastą w szopie, kiedyśmy tańczyli na kościelnym wzgórzu, więc chyba nie jest ci taka niemila.

Naakkve chciał się rzucić na brata; w tej chwili ukazała się Krystyna. Gdy Gaute odszedł, spytała najstarszego syna:

– Co to Gaute opowiadał o tobie i Aaście córce Auduna?

– Nie sądzę, by powiedziano tu coś, czego byście nie słyszeli, matko – odparł chłopiec czerwieniąc się i marszcząc czoło.

Matka odrzekła z gniewem:

– Wstyd, że wy młodzi nie umiecie święcić wigilijnych nocy bez uganiania się i tańców między nabożeństwami. Za moich dziewczęcych lat nie robiliśmy tego.

– Przecież sami opowiadaliście, matko, że wasz ojciec, kiedy byliście dzieckiem, zwykł był zawsze śpiewać, gdy ludzie tańczyli na kościelnym wzgórzu.

– Tak, ale nie były to takie piosenki i tak swawolne tańce – odrzekła matka – a my młodzi trzymaliśmy się spokojnie, każde koło swoich rodziców, nie oddalaliśmy się we dwoje ani też nie siedzieliśmy w stodole.

Naakkve zamierzał właśnie ostro odpowiedzieć. W tej chwili wzrok Krystyny padł na Erlenda. Uśmiechał się cicho, spoglądając z ukosa na deskę, którą miał obrobić. Rozgoryczona i stroskana poszła z powrotem do warzelni.

Ale myślała o tym, co usłyszała. Małżeństwo z Aastą córką Auduna nie byłoby znowu takie złe: na Lopt panował dostatek, były tam tylko trzy córki, ani jednego syna, Ingebjörga zaś, matka Aasty, wywodziła się z dobrego rodu.

Krystynie nigdy nie przyśniło się nawet, że na Jörund mogliby pewnego dnia powitać Auduna syna Torberga jako krewnego. Ale

zimą miał on ciężki atak mózgowy i ludzie sądzili, że długo już nie pociągnie. Córka zaś była urodziwa, o miłym usposobieniu i dzielna według tego, co Krystyna słyszała. Jeśli Naakkve w istocie tak bardzo polubił dziewczynę, niemądrze byłoby sprzeciwiać się temu małżeństwu. Z weselem musieliby wprawdzie jeszcze poczekać ze dwa lata; potem jednak chętnie przyjęłaby Aastę jako synową.

Pewnego dnia w środku lata siostra siry Solmunda przyszła do Krystyny, aby coś od niej pożyczyć. Kiedy obie kobiety zegnały się przed spichrzem, siostra księdza powiedziała: – Ach, ta Eyvor córka Haakona! Ojciec wypędził ją ze dworu, bo spodziewa się dziecka, powróciła więc na Ulvsvoldene.

Naakkve majstrował coś na stryszku spichrza. Przystanął na najniższym stopniu schodów. Kiedy matka dostrzegła wyraz jego twarzy, jej samej zrobiło się tak słabo, że ledwie mogła ustać na nogach. Chłopak był pąsowy po białka oczu, gdy wracał do domu.

Ale z opowiadania tamtej zrozumiała Krystyna, że Eyvor już na długi czas przed pierwszym przybyciem w dolinę na wiosnę była brzemienna. „Mój biedny, niewinny chłopak – myślała Krystyna oddychając z ulgą – wstydzi się teraz pewnie, bo tak dobre miał o dziewczynie mniemanie”.

W parę nocy potem Krystyna spała sama, ponieważ Erlend udał się na połów ryb. Była pewna, że Naakkve i Gaute są razem z nim. Nagle obudziła się; Naakkve stał nad nią i szeptał, że musi z nią pomówić. Wsunął się do łóża i przykucnął u jej stóp.

– Matko, byłem tam dziś w nocy i rozmawiałem z tą nieszczęsną kobietą, z Eyvor; wiedziałem, że to, co o niej mówiono, to kłamstwo, byłem tego tak pewien, że dałbym głowę za to, że ta sroka z Romund lże.

Matka leżała cicho i czekała. Naakkve starał się mówić spokojnie, lecz głos łamał mu się z oburzenia i podniecenia.

– Pod koniec Wielkanocy wybrała się na jutrznię. Szła sama, a droga z dworu prowadzi przeważnie przez las. Spotkała dwóch mężczyzn, było jeszcze ciemno, nie wie, co to za jedni, może wywołający z głębi gór. Ostatecznie nie mogła się sama długo bronić,

biedne, wątłe dziecko. Nikomu nie śmiała się poskarżyć, a kiedy matka i ojciec odkryli nieszczęście, wygnali ją bijąc i wyklinając z domu. Opowiadając mi to płakała, matko, tak że głąz by się wzruszył. – Naakkve umilkł i ciężko dyszał.

Krystyna osądziła, że największym nieszczęściem jest to, iż ci łajdacy uciekli. Ma jednak nadzieję, że Boska sprawiedliwość dosięże ich w końcu i że na szubienicy znajdą godną zapłatę za swój haniebnny czyn.

Naakkve zaczął wówczas mówić o ojcu Eyvor, że jest bogaty i spokrewniony z niejednym starym rodem. Eyvor chce oddać dziecko na wychowanie do innej gminy. Żona Gudmunda Darre także przecie miała nieślubne dziecko z księdzem, a i Sigrida córka Andrzeja żyje na Kruke czczona i poważana. Tylko niesprawiedliwy, twardego serca człowiek mógłby sądzić, że Eyvor jest bezwstydną, ponieważ wbrew jej woli spadła na nią taka hańba i takie nieszczęście; mimo to może jeszcze zostać żoną godnego człowieka.

Krystyna ubolewała nad dziewczyną i złorzeczyła przestępcom, a w głębi serca radowała się szczerze, iż Naakkve dopiero za trzy lata będzie pełnoletni. Potem możliwie oględnie prosiła go, aby był bardzo ostrożny wobec Eyvor i nie odwiedzał jej późnym wieczorem w komorze, tak jak tej nocy, by nie pokazywał się na Ulvsvoldene nie mając jakiejś sprawy do ludzi we dworze; inaczej mimo woli może dać powód do tego, że jeszcze gorzej będą oczerniać biedną młodziutką dziewczynę. Tak, powie zapewne, że ci, którzy wątpią w szczerość Eyvor i nie wierzą, iż dziewczyna bez własnej winy wpadła w nieszczęście, mogą się przekonać, że posiada on silne pięści; mimo to będzie źle dla biedaczki, jeśli powstanie jeszcze więcej plotek.

W trzy tygodnie potem przybył ojciec Eyvor i zabrał córkę do domu na zrękowiny i wesele. Pewien zacny chłopski syn z doliny chciał ją pojąć za żonę; z początku obaj ojcowie sprzeciwili się małżeństwu, bo sprzeczali się z sobą z powodu paru gruntów. Tej zimy porozumieli się i dwoje młodych miało się zaręczyć, kiedy Eyvor oświadczyła nieoczekiwanie, że nie chce; zwróciła swe uczucia ku innemu. Potem jednak zrozumiała, że za późno było odrzucać swego pierwszego przyjaciela. Udała się wówczas w odwiedziny do ciotki w Sil sądząc pewnie, że tu znajdzie pomoc w ukryciu swego stanu, bo teraz

koniecznie chciała mieć tego drugiego za męża. Kiedy jednak Hillebjörga na Ulvsvoldene spostrzegła, jak ma się sprawa z dziewczyną, odesłała ją do rodziców. Prawdą było, że ojciec wpadł w wściekłość i kilkakrotnie uderzył córkę i że Eyvor uciekła powtórnie na Ulvsvoldene. Teraz ojciec pogodził się z pierwszym zalotnikiem, a Eyvor musiała się nim zadowolić, chociaż nie miała na to ochoty.

Krystyna widziała, jak ciężkie było to przejście dla Naakkvego. Przez wiele dni chodził nie odzywając się do nikogo; matce było go tak żal, że po prostu nie śmiała spojrzeć w jego stronę; bo ilekroć spotkały się ich oczy, tak bardzo się czerwienił i mieszał, że Krystynę bolało serce.

Ile razy służba na Jörund zaczynała rozmowę o tym wydarzeniu, gospodyni nakazywała surowo trzymać język za zębami; nie wolno mówić u niej w domu o tej brudnej historii i o tej nędznicy. Frida była wielce zdumiona. Słyszała przecież tyle razy, jak łagodnie osądza Krystyna podobne wypadki, i widziała, jak usilnie pomaga każdej dziewczce, która wpadła w podobne nieszczęście; przecież sama Frida dwukrotnie znalazła życzliwą pomoc u gospodyni. Ale o Eyvor córce Haakona Krystyna wyraziła się tak szkaradnymi słowami, jakich tylko jedna kobieta o drugiej może użyć.

Erlend śmiał się, kiedy mu opowiedziała, jak dotkliwie został Naakkve wystrychnięty na dudka; było to wieczorem, Krystyna siedziała na murawie i przędła, a Erlend wyciągnął się na trawie obok niej.

– Nie stało się żadne nieszczęście – oświadczył ojciec. – Widzi mi się raczej, iż chłopak dość tanio opłacił naukę, że mężczyzna nie może ufać kobietom.

– I ty to mówisz? – spytała żona; głos jej drżał hamowanym oburzeniem.

– Tak – Erlend uśmiechał się. – Gdy cię po raz pierwszy ujrzałem, sądziłem, że jesteś taka tkliwa i łagodna, iż nie potrafisz ugryźć sera. Podatna jak jedwabna wstążka, czuła jak gołąbek. Aleś mnie pięknie wystrychnęła na dudka, Krystyno.

– Jak myślisz, co by się stało z nami wszystkimi – odpowiedziała – gdybym była taka słodka i łagodna?

Erlend ujął jej rękę, tak że musiała zaprzestać roboty. Uśmiechnął się do niej promiennie, potem złożył głowę na jej kolanach.

– Nie, doprawdy, nie wiedziałem wtedy, moja miła, jak i m szczęściem Bóg mnie darzy zsyłając mi ciebie, Krystyno!

Ponieważ bezustannie musiała sobie zadawać gwałt, by ukryć rozpacz z powodu niepoprawnej beztroski Erlenda, zdarzało się, że gniew jej wybuchał ze wzmoczoną siłą, kiedy karała swych synów; wówczas ręka jej stawała się twarda, a słowa gwałtowne. Ivar i Skule doświadczali tego najczęściej na własnej skórze.

Przechodzili teraz najgorszy wiek; mieli lat trzynaście i byli tak rozhułkami i knąbrni, że Krystyna nieraz z rozpaczą myślała, czy zdarzyło się jeszcze jakiejś matce w Norwegii wydać na świat takich dwóch gałganów. Byli piękni jak wszystkie jej dzieci; mieli czarne, jedwabiste i kędzierzawe włosy, błękitne oczy pod czarnymi brwiami, szczupłe, smagłe twarze. Byli wysocy na swój wiek, ale jeszcze szczupli w ramionach, o długich, chudych kończynach, kości stawów sterczały jak kolanka w żdźble trawy; byli do siebie tak podobni, że nikt oprócz ludzi dworskich nie umiał ich rozróżnić, i w całej gminie przezywano ich mieczami z Jörund, a nie był to wcale przydomek zaszczytny. Szymon żartując ochrzcił ich tak po raz pierwszy, kiedy Erlend darował każdemu z nich mały mieczyk; chłopcy nie wypuszczali ich z rąk, chyba wtedy, gdy szli do kościoła. Krystyna nie była zadowolona z podarunku, jak również z tego, że ciągle bawili się toporami, włóczniami lub łukami; lękała się, że krewkie dzieciaki mogą wyrządzić sobie krzywdę. Erlend jednak oświadczył krótko, iż są dość dorośli na to, by przywykać do obchodzenia się z bronią.

Matka żyła w nieustannej trwodze o bliźniaków. Ilekroć nie wiedziała, gdzie się znajdują, załamywała skrycie ręce i modliła się do Panny Maryi i świętego Olafa, aby synowie wrócili do domu żywi i zdrowi. Chłopcy łazili w górach po źlebach i urwiskach, na których nigdy dotąd nie powstała ludzka stopa, pładrowali orle gniazda i przyносили do domu pod kaftanami szkaradne, zółtookie, skrzeczące pi-

skłęta; podczas połowu ryb wdrapywali się na niedostępne skały na północ od wąwozu Rost, gdzie rzeka toczyła się z hukiem po kamiennych progach. Raz Ivar omal nie zginął wleczony przez półdzikiego żrebca, którego próbował dosiąść; Bogu jednemu tylko wiadomo, w jaki sposób bliźniacy nałożyli na niego siodło. Bez potrzeby, z prostej ciekawości, odważyli się pójść do lapońskiej ziemianki w lesie na Toldstad; od ojca znali kilka słów w tym narzeczu, a kiedy pozdrowili nimi starą lapońską czarownicę, ugościła ich obficie jadłem i pićciem; objedli się po uszy, mimo że dzień był postny. A Krystyna zawsze pilnie przestrzegała, by dzieci w dni postne zadawały się niewielką ilością jedła, i to takiego, którego nie lubiły; ją też tak chowano od dziecka. Wówczas nawet Erlend poważnie skarcił synów, odebrał i spalił smakołyki dane im przez Laponkę na drogę i ostro zabronił przekroczyć kiedykolwiek granice lasu zamieszkałego przez Lapończyków. Mimo to jednak ubawiła go przygoda chłopaków; od tego czasu często opowiadał Ivarovi i Skulemu o swoich wyprawach na północ, o obyczajach tamtejszych ludzi i rozmawiał z chłopcami w brzydkiej, pogańskiej mowie tego ludu.

Poza tym Erlend niemal nigdy nie karał swych dzieci i zazwyczaj żartował, ilekroć Krystyna zaliła się na niesforność bliźniaków. W domu, we dworze, robili niemało psot, chociaż gdy zachodziła potrzeba, umieli być użyteczni; nie byli niezgrabni jak Naakkve. Lecz zdarzało się, że kiedy matka zleciła im jakąś robotę, a potem przychodziła sprawdzić, jak im idzie, znajdowała porzucone narzędzia, chłopców zaś stojących obok ojca, który pokazywał im, jak marynarze wiążą liny lub inne tym podobne rzeczy.

Lavrans syn Björgulfa zwykł był malując smołą krzyż nad wrotami stajni lub innych zabudowań dodać jeszcze parę pociągnięć pędzlem: otoczyć krzyż kołem albo każde ramię przeciąć jeszcze linią. Pewnego dnia bliźniacy wpadli na pomysł, by strzelać z huku do jednego z owych starych znaków. Krystyna była wprost nieprzytomna z rozpaczy i gniewu wobec tak pogańskiego postępowania, ale Erlend ujął się za chłopcami; są jeszcze tak młodzi, nie można po nich oczekiwać, że będą zawsze pamiętać o świętości krzyża, ile razy zobaczą go nad drzwiami stajni albo na krowim grzbiecie. Chłopcy mają za karę iść pod krzyż na wzgórze kościelne, uklęknąć, ucałować go i odmówić

pięć *Pater noster* i piętnaście *Ave...* „I żebyś z tego powodu nie sprowadzała na dwór siry Solmunda!” Jednak w tym wypadku matka znalazła poparcie u Naakkvego i Björgulfa, sprowadzono księdza, który pokropił ścianę święconą wodą i bardzo surowo skarcił obu winowajców.

Karmili byki i kozły Krystyny głowami węży, aby stały się dzikie i bodły. Drażnili Munana, że wciąż jeszcze trzyma się matczynej kiecki, oraz Gautego, bo z nim byli najczęściej na wojennej stopie. Poza tym synów Erlenda łączyła najpiękniejsza braterska miłość. Ale zdarzało się czasami, że gdy przekraczali miarę, Gaute łapał ich i tłukł. Słowa do nich skierowane odnosiły ten sam skutek, co rzucanie grochem o ścianę; a kiedy matka unosiła się, stali sztywno, z zaciśniętymi pięściami i patrzyli na nią spode łba płonącymi oczyma, ze ściągniętymi brwami, purpurowi ze złości. Krystyna przypominała sobie, co Gunnulf opowiadał o Erlendzie – gdy był dzieckiem, rzucił nożem w ojca i nieraz podniósł na niego rękę. Biła więc bliźnięta, i biła mocno, bo lękała się, co wyrosnie z tych dzieci, jeśli w porę nie zostaną poskromione.

Jeden Szymon Darre miał trochę władzy nad dwoma dzikusami; miłowali oni wuja serdecznie i okazywali posłuch, ilekroć upominał ich łagodnie i z humorem. Teraz jednak, gdy go nie widywali, wydawało się matce, że nie brakowało im jego obecności. Ze smutkiem rozmyślała Krystyna, jak bardzo niestałe są serca dziecięce.

A jednak w głębi serca była najbardziej dumna właśnie z tych dwóch synów. Wierzyła, że jeśliby udało się jej przełamać ich złośliwy upór i niesforność, natenczas żaden z braci nie byłby tak udany jak ci dwaj. Byli zdrowi, dobrze rozwinięci, nieustraszeni, prawdomówni, hojni, życzliwi dla biednych; wiele razy już okazali bystrość i przytomność umysłu w daleko wyższym stopniu, niż można się było spodziewać po tak młodych chłopcach.

Pewnego razu podczas sianokosów Krystyna znajdowała się późnym wieczorem w kuchni, kiedy wpadł Munan z krzykiem, że pali się stara owczarnia. Ani jednego mężczyzny nie było w domu, niektórzy ostrzyli kosy w kuźni, inni poszli na most od północnej strony, gdzie w letnie wieczory zwykle zbierała się młodzież. Gospodyni chwyciła kilka wiader i wybiegła wołając na dziewczki, aby szły za nią.

Owczarnia była niską starą chałupą, dach jej wspierał się o leżące z tyłu wzgórze; stała w wąskim przejściu między dziedzińcem a placem przed stajnią, z obu stron stykając się niemal z resztą zabudowań. Krystyna wbiegła do przedsionka otaczającego izbę po topór i osek; kiedy jednak wyszła z za węgla stajni, nie ujrzała ognia, tylko kłęby dymu wydobywające się z otworu w dachu obory. Ivar siedział na szczycie dachu i rąbał go, a Skule i Lavrans byli w środku i zrywali wielkie płaty poszycia, deptali je stopami i gasili. Wnet nadbiegł też Erlend, Ulf i inni ludzie zajęci w kuźni – Munan pobiegł tam po nich. Wkrótce ogień został ugaszony. Ale łatwo mogło się zdarzyć najgorsze nieszczęście; wieczór był wprawdzie cichy i ciepły, od czasu do czasu jednak wiał lekki wiatr z południa i gdyby natychmiast nie stłumiono ognia w owczarni, wszystkie domy stojące naokoło po północnej stronie dziedzińca, stajnie, spichlerze i budynki mieszkalne padłyby niechybnie pastwą płomieni.

Ivar i Skule znajdowali się w chwili wybuchu ognia na dachu stajni; złapali w sidła jastrzębia i mieli zamiar powiesić go na kalenicy, gdy nagle poczuli swąd spalenizny i ujrzeni dym wydobywający się z dachu obory. Zeskoczyli natychmiast i małymi toporkami, które mieli przy sobie, zaczęli rąbać płonąca dach; jednocześnie posłali bawiących się w pobliżu Lavransa i Munana, jednego po osekę, drugiego po matkę. Na szczęście krokwie i wiązadła dachu były przegniłe. Niewątpliwie jednak tym razem bliźniacy uratowali dwór matczyny zrywając natychmiast płonący dach i nie tracąc czasu na wołanie dorosłych.

W jaki sposób ogień wybuchnął, trudno było dociec. Najprawdopodobniej powodem było to, że Gaute jakiś czas przedtem prznosił tędy żar do kuchni; sam przyznał, że naczynie nie było szczelnie zamknięte, pewnie więc iskra padła na wysuszoną strzechę.

Potem jednak, kiedy Ulf pilnował dymiącej obory i cała czeladź mu towarzyszyła, a Krystyna wyniosła im piwo i miód, rozprawiano mniej o przyczynie pożaru aniżeli o odwadze bliźniaków i Lavransa. Wszyscy trzej mieli poparzone ręce i nogi, a trzewiki ich rozgrzały się do tego stopnia, że popękały w kawałki. Mały Lavrans miał dopiero dziewięć lat i trudno mu przychodziło przez czas dłuższy cierpliwie

znosić ból; ale on właśnie z największą dumą pokazywał obwiązane ręce i słuchał pochwał czeladzi.

Tej nocy, kiedy ułożyli się na spoczynek, Erlend przytulił mocno żonę.

– Krystyno, moja Krystyno, nie narzekajże tak na swoje dzieci, czyż nie widzisz, kochana, jakie dobre zarodki tkwią w naszych synach? Zawsze mówisz o tych dwóch dzikusach tak, jakbyś się spodziewała, że nie minie ich szubienica albo topór. Wydaje mi się raczej, że powinnaś teraz radować się w nagrodę za cały ból, cierpienie i trud owych lat, kiedy nosiłaś jedno dziecko pod sercem, drugie przy piersi, a trzecie na ręku. Wtedy nie umiałaś mówić o niczym innym, tylko o tych twoich smarkaczach, teraz zaś, odkąd wyrosli i zmeźnieli, chodzisz wśród nich, jakbyś była głucha i niema, ledwie raczysz im odpowiedzieć, kiedy mówią do ciebie. Niech mi Bóg wybaczy, ale wydaje się nieońal, że mniej miłujesz swoje dzieci teraz, kiedy nie dręczą cię już tak okropnie, kiedy wyrosły piękne i dorodne ku twemu pożytkowi i radości.

Krystyna nie miała siły odpowiedzieć.

Leżała i nie mogła zasnąć. Nad ranem wysunęła się cichutko z łoża ponad śpiącym mężem, zbliżyła się boso do wyzierki i otworzyła ją.

Niebo było zasnute chmurami i powietrze chłodne; daleko na południu, gdzie góry zbiegały się i zamykały dolinę, deszcz lał strumieniami. Gospodyni stała chwilę przy wyzierce; zawsze tak gorąco i duszno było na poddaszu, gdzie sypiali latem. Z podwórza płynęła ku niej wilgoć, którą przesycone było powietrze, a wraz z nią mocny, słodki zapach siana. Od czasu do czasu ptaszek zaćwierkał przez sen.

Krystyna wydobyła krzesiwo i zapaliła ogarek świecy. Podeszła do ławy, gdzie spali Ivar i Skule, oświetliła ich i dotknęła wierzchem dłoni ich policzków; mieli nieco gorączki. Cicho odmówiła Ave Maria i uczyniła nad oboma znak krzyża. Szubienica i topór: jak Erlend mógł żartować w podobny sposób – on, który sam był tak bliski śmierci.

Lavrans jęczał i mruczał przez sen. Matka pochyliła się nad dwojgiem najmłodszych; postanie ich znajdowało się na małej ławie

u stóp rodzicielskiego łoża. Lavrans rozplómienny rzucał się niespokojnie, lecz nie obudził się, gdy go dotknęła.

Gaute skrzyżował młecznobiałe ramiona na karku pod długimi, żółtymi jak len włosami, zrzucił z siebie nakrycie. Krew miał tak gorącą, że zawsze sypiał nago, skóra jego lśniła biało, ogorzała twarz, ręce i szyja odbijały ostro. Matka podciągnęła mu nakrycie do pasa.

Trudno jej było gniewać się na Gautego, taki był podobny do jej ojca. Niewiele też rozmawiała z nim o nieszczęściu, którego o mały włos nie sprowadził na nich wszystkich. Ten chłopiec był na tyle mądry i rozważny, że na pewno weźmie tę naukę do serca i prędko jej nie zapomni.

Naakkve i Björgulf spali w drugim łożu na poddaszu. Przy nich zatrzymała się matka najdłużej. Czarny meszek ocieniał już ich czerwone delikatne usta. Noga Naakkvego wysunęła się spod nakrycia: szczupła, wąska i zgrabna w kostce, mocno sklepiona na podbiciu i niezupełnie czysta. A przecież zdało się matce, że niezbyt odległe to czasy, kiedy owa stopa mężczyzny była taka mała, że znikała całkiem w jej dłoni, kiedy tuliła ją do piersi i podnosiła do ust całując kolejno każdy małe paluszek, ponieważ wszystkie były tak jasne, różowe i słodkie jak kwietne dzwoneczki jeżyny.

Zapewne tak było, nie umiała dostatecznie ocenić tego, czym Bóg ją obdarzył. Wspomnienie tych dni, kiedy oczekiwała Naakkvego, dręczące ją wtedy przeraźliwe majaki, to wszystko jeszcze i teraz z oślepiającą jasnością stawało jej przed oczyma; gdy powiła to dziecko, miała takie uczucie jak człowiek budzący się ze strasznych snów, z gniołającej go zmory do błogosławionej światłości dnia. A przecież niejedna kobieta musiała się ocknąć i przekonać, że rzeczywiste nieszczęście jest okropniejsze niż najgorsza mara senną. Mimo to ilekroć Krystyna ujrzała kalekę albo jakiegoś niewydarzonego człowieka, czuła się głęboko nieszczęśliwa na samo wspomnienie swej twogi o nie narodzone dziecko. Wówczas korzyła się żarliwie przed Bogiem i świętym Olafem, usiłowała czynić dobrze, zadawała sobie trud, by wycisnąć z oczu podczas modlitwy łzy szczerzej skruchy. Ale zawsze czuła w duszy jakieś szarpiące ją niezadowolenie, przelotne podniecenie znikało, łzy wysychały i wsiąkały z powrotem w duszę, jak woda w piasek. Potem uspokajała się: nie posiadała widać daru

pobożności, chociaż niegdyś sądziła, że będzie on jej dziedzictwem po ojcu. Była grzeszna i oporna, ale nie gorsza od innych i podobnie jak inni musiała się ośwoić z myślą, iż duszy jej trzeba gorejących ogni w drugiej ojczyźnie, aby się przetopiała i oczyściła.

Mimo to chwilami pragnęła być inną... kiedy spoglądała na swoich siedmiu urodziwych synów, siedzących przy stole, lub kiedy w świąteczne dni szła rankiem do kościoła, podczas gdy dzwony były nawołując do pokoju i radości, i patrzyła na gromadkę smukłych, dostatnio odzianych młodzieńców, jej synów, wspinających się przodem na wzgórze. Nie знаła drugiej kobiety, która by urodziła tyle dzieci, i nigdy nie poznała, co znaczy stracić choćby jedno z nich. A wszystkie były zdrowe i piękne, bez skazy na ciele i duszy; jeden tylko Björgulf był trochę krótkowzroczny. Pragnęła zapomnieć o swych troskach, być łagodną i wdzięczną i kochać Boga tak jak jej ojciec. Pamiętała, jak mówił, że ten, kto z pokorą wspomina swoje grzechy i chyli głowę przed krzyżem Pana, nie ma nigdy potrzeby uginać karku przed jakimś doczesnym nieszczęściem lub bezprawiem.

Krystyna zdmuchnęła światło, skrzyła w palcach żarzący się knot i postawiła ogarek na swoje miejsce, w górze pod belką. Znowu zbliżyła się do wyzierki; na dworze było teraz jasno jak w dzień, ale szaro i martwo; na dachach niższych domostw za każdym powiewem kołysała się leciutko spalona słońcem trawa, a cichy szeleszczący szmer przebiegał listeczki brzoź stojących naprzeciwko.

Spójrzała na swoje ręce oparte o futrynę okienną. Były szorstkie i zniszczone, ramiona aż po łokcie ogorzale, a mięśnie nabrzmiałe, twarde jak drzewo. W młodości dzieci wysały z niej krew i mleko, aż zniknął wszelki ślad gładkiej, zdrowej, dziewiczej krągłości. Teraz zaś codzienny trud pozbawiał ją resztek piękności, wyróżniającej ją jako córkę, żonę, matkę mężów szlchetnego rodu. Wąskie, białe ręce, jasne delikatne ramiona, olśniewająca pleć, którą starannie osłaniała płócienną chustką przed słońcem i pielęgnowała myjąc warzonymi kunsztownie płynami – teraz od dawna już było Krystynie obojętne, czy słońce pada wprost na jej spotniałą od trudu twarz i opala ją na brąz jak biedną chłopkę.

Włosy – to jedyne pozostało jej dotąd z urody dziewczęcych lat.

Były jeszcze ciągle tak samo bujne i brązowe, chociaż rzadko miała czas myć je i pielęgnować. Ciężki, rozczochrany warkocz, spadający na plecy, nie był już od trzech dni rozplątany.

Krystyna przerzuciła go do przodu, rozplotła i potrząsnęła głową: wciąż jeszcze włosy okrywały ją całą, niby płaszcz spływający aż poza kolana. Wyszukała w skrzyni grzebień i drząc lekko z zimna – siedziała bowiem w samej koszuli w chłodzie przenikającym przez otwarte okienko – ostrożnie rozczesała skłębioną gęstwę.

Kiedy skończyła i zaplotła włosy z powrotem w gruby, ścisły warkocz, poczuła się nieco lepiej. Potem ostrożnie podniosła Munana i ułożyła go w małżeńskim łóżu pod ścianą, a sama wsunęła się między niego a męża. Objęła najmłodszego, oparła jego główkę na swym ramieniu i tak zasnęła.

Nazajutrz rano zasnęła; kiedy się obudziła, Erlend i chłopcy byli już na nogach. – Byłem pewny, że ssiesz jeszcze matczyną pierś, gdy nikt nie widzi – rzekł Erlend widząc Munana leżącego u boku matki. Chłopak rozgniewał się, wybiegł na dwór i chcąc okazać swą męskość wdrapał się na wyrzeźbioną głowę na jednym ze słupów podtrzymujących ganek. – Zeskocz – zawołał Naakkve z dołu, złapał braciszka w ramiona, obrócił go i rzucił Björgulfowi, i tak bawili się nim niby piłką, aż zaczął krzyczeć i śmiać się.

Lecz następnego dnia, gdy Munan beczał, bo cięciwa łuku odska-kując uderzyła go w palce, bliźniacy owinęli go w chustę, zanieśli do łóża matki i wetknęli mu w usta kawał chleba tak wielki, że omal się nie udusił.

2

Kapelan Erlenda na Husaby uczył pisać trzech najstarszych synów. Nie byli bardzo pilnymi uczniami, ale za to wszyscy trzej byli zdolni, a matka, którą niegdyś także uczono tych rzeczy, pilnowała ich, tak że ostatecznie nabyte przez nich wiadomości były wcale nie małe.

W ciągu roku zaś, który Björgulf i Mikołaj spędzili z sirą Eilifem w klasztorze na Tautra, pili chciwie z krynicy wiedzy, jak mawiał

ksiądz. Nauczycielem ich był tam pewien sędziwy mnich, który przez całe życie ze skrzętnością pszczoły gromadził mądrość z wszystkich dostępnych mu ksiąg, łacińskich i norweskich. Sam sira Eilif był również gorącym wielbicielem wiedzy, lecz w latach spędzonych na Husaby niewiele miał sposobności do zaspokajania swego pędu do książek. Współżycie z lektorem, bratem Aslakiem, było dla niego tym, czym hala dla wygłodniałego bydła. A dwaj młodzi chłopcy, którzy w klasztorze trzymali się przeważnie u boku kapelana, przysłuchiwali się z otwartymi ustami uczonej rozmowie dwóch mężów. Brat Aslak i sira Eilif znajdowali więc prawdziwą radość w tym, by żywić dwa młode umysły najprzedniejszym miodem z pisanego skarbu klasztoru, pomnożonego jeszcze przez brata Aslaka odpisami i wyciągami z najpiękniejszych ksiąg. Wkrótce chłopcy nauczyli się tyle, że mnisi rzadko tylko mówili z nimi po norwesku; kiedy zaś rodzice przybyli po nich, obydwaj umieli odpowiadać księdzu płynnie i bezbłędnie po łacinie.

Zdobyte w ten sposób wiadomości bracia starali się zachować. Na Jörund było sporo książek; pięć posiadał Lavrans, dwie z nich przypadły wprawdzie przy podziale spuścizny Rambordze, ale ona nigdy nie chciała się uczyć czytać, a i Szymon nie był obznajmiony na tyle z literami, by miał czytać dla przyjemności, chociaż umiał zarówno przeczytać, jak też napisać list. Prosił więc Krystynę, by przechowała księgi, aż jego dzieci podrosną. Trzy księgi należące do rodziców Erlenda podarował on żonie w jakiś czas po ślubie, jedną zaś otrzymała Krystyna w upominku od Gunnulfa syna Mikołaja. Polecił ją wypisać dla swojej szwagierki z księgi o świętym Olafie i jego cudach, z innych legend o świętych oraz z pisma o Edwinie synu Ryszarda, które, aby uzyskać jego kanonizację, przestali franciszkanie z Oslo papieżowi. Wreszcie Naakkve dostał na pożegnanie od siry Eilifa książkę do nabożeństwa. Tak więc Naakkve czytał często bratu na głos, a czytał płynnie i ładnie, trochę śpiewnym głosem, tak jak go nauczył brat Aslak; najbardziej lubił księgi łacińskie, swój modlitewnik i jedną z ksiąg należących do Lavransa. W największym jednak pośzanowaniu miał wielką, prawdziwie pięknie napisaną księgę, dziedziczną w ich rodzie od czasu słynnego przodka, biskupa Mikołaja.

Krystyna życzyła sobie, aby również trzej młodszy synowie zdobyli nieco wykształcenia, jak przystało na mężów szlacheckiego rodu. Ale nie było to rzeczą łatwą do przeprowadzenia; sira Eirik był za stary, a sira Solmund umiał czytać jedynie z tych ksiąg, których używał podczas mszy; bardzo wielu rzeczy, które czytał, sam nie rozumiał. Lavrans lubił czasami przysiąc się wieczorem do Naakkvego i prosił brata, by mu kreślił litery na woskowej tabliczce, ale trzej pozostali nie okazywali bynajmniej chęci do zdobywania takich wiadomości. Pewnego dnia Krystyna wzięła norweską książkę i prosiła Gautego, by spróbował, czy pamięta coś z tego, czego w dzieciństwie nauczył się u siry Eilifa. Ale Gaute z trudem przebrnął przez trzy słowa, a kiedy natknął się na pierwszą złożoną zgłoskę, śmiejąc się zamknął księgę i oświadczył, że nie ma najmniejszej ochoty do takiej zabawy.

Pewnego wieczora późnym latem zjawił się na Jörund sira Solmund i prosił Mikołaja, aby udał się z nim na probostwo. Jakiś cudzoziemski rycerz, wracający z uroczystości świętego Olafa w Nidaros, stanął na Romund, ale ani on, ani jego giermek i służba nie znają norweskiego, przewodnik, który go tam przyprowadził, rozumie zaledwie parę słów z ich mowy, a sira Eirik leży chory; może by więc Naakkve poszedł i rozmówił się z obcym po łacinie.

Naakkve wydawał się zadowolony, że posyłano po niego jako tłumacza, nie dał jednak niczego po sobie poznać i poszedł z księdzem. Wrócił bardzo późno, rozochocony i nieco pijany; dano mu wina, które przywiózł obcy i którym hojnie częstował proboszcza, diakona i jego. Pan ów zwał się Alland czy też Allart z Bekelar, pochodził z Flandrii, a obecnie odbywał pielgrzymkę do wszystkich cudownych miejsc w północnych krajach. Był niezwykle uprzejmy i rozmawiało się z nim gładko. I teraz Naakkve przedłożył ojcu swą prośbę: ów rycerz ma się stąd udać do Oslo, potem zaś do wszystkich miejsc pątniczych w Danii i w Niemczech i chce koniecznie zabrać ze sobą Mikołaja jako tłumacza przynajmniej na czas, póki pozostanie tu w kraju. Ponadto wspomniał, iż jeśli młodzieniec zechce mu towarzyszyć i jechać w świat, to on, pan Allart, zatroszczy się o jego los; z tego, co mówił, wynikało, że tam, skąd on pochodzi, złote ostrogi i łańcuchy, nabite monetą sakwy i wspaniałe zbroje leżą i czekają, rychło się zjawi mąż taki jak młody Mikołaj syn Erlenda, żeby je zabrać.

Naakkve odparł na to, że nie jest jeszcze pełnoletni i musi uzyskać zezwolenie ojca. Mimo to pan Allart ofiarował mu podarunek zastrzegając się wyraźnie, że go to zgoła nie wiąże: półdługi jedwabny kaftan śliwkowego koloru ze srebrnymi dzwoneczkami u rękawów.

Erlend wysłuchał syna w milczeniu, ze szczególnie natężoną uwagą. Gdy Naakkve skończył, Erlend polecił Gautemu przynieść skrzynię z przyborami do pisania i natychmiast zabrał się do ułożenia listu po łacinie; Björgulf musiał mu pomóc, gdyż Naakkve w tym stanie nie na wiele by się przydał, i ojciec odesłał go do łóża. List opiewał, iż Erlend prosi do siebie rycerza nazajutrz po prymarii, aby mógł z nim wspólnie omówić sprawę przyjęcia do jego służby młodzieńca Mikołaja. Równocześnie prosił pana Allarta o wybaczenie, iż odsyła z powrotem jego dar, aby go raczył chwilowo zachować aż do czasu, kiedy Mikołaj za zgodą ojca, wedle obowiązującego we wszystkich krajach zwyczaju, przez złożenie przysięgi wstąpi w jego służbę.

Erlend nakapał trochę wosku na list i odcisnął starannie swoją małą pieczęć, tę, którą miał na sygnecie. Po czym bez zwłoki pchnął gońca z piśmem i jedwabnym kaftanem na Romund.

– Chyba nie masz zamiaru posyłać swego młodego syna z tym nieznanym cudzoziemcem w obce kraje? – odezwała się drżąc Krystyna.

– Zobaczymy – Erlend uśmiechnął się dziwnie. – Ale nie sądzę, by do tego doszło – dodał widząc jej wzburzenie; uśmiechnął się raz jeszcze i pogłaskał ją po twarzy.

Na polecenie Erlenda Krystyna wysypała podłogę w górnej izbie jałowcem i kwiatami, na ławach rozłożyła najlepsze poduszki, nakryła stół lnianym obrusem i wniosła smaczne potrawy w pięknych misach, a napoje w osobliwych, okutych srebrem rogach, które z czasów Lavransa pozostały na dworze. Erlend ogolił się starannie, utrefił włosy i wdział długą, czarną, bogato haftowaną szatę z zagranicznego sukna. Wyszedł naprzeciw gościa aż do wrót; a kiedy obaj kroczyli przez dziedziniec, Krystyna nie mogła pozbyć się myśli, że to raczej jej mąż wygląda na jakiegoś włoskiego rycerza ze starych opowieści aniżeli ów tłusty, jasnowłosy cudzoziemiec w pstrych i kosztownych sukniach z aksamitu i jedwabiu. Stała na ganku pięknie ubrana, w jedwabnej chustce na głowie; Flamandczyk ucało-

wał jej rękę, kiedy go powitała francuskim *bien venu*, potem już nie zamieniła z nim ani słowa przez cały czas, kiedy bawił u nich. Nie rozumiała nic z rozmowy panów, podobnie jak towarzyszący gościowi sira Solmund. Za to ksiądz rozmawiał z gospodynią o tym, że to on zapewni Mikołajowi szczęście. Nic na to nie odrzekła.

Erlend umiał trochę po francusku i płynnie władał ową niemczyzną, jaką mówią najemni żołnierze, rozmowa więc między nim a obcym rycerzem toczyła się gładko i dwornie. Ale Krystyna zauważyła, że pod koniec rozmowy Flamandczyk nie był bynajmniej zadowolony, chociaż starał się to ukryć. Erlend przykazał synom czekać na poddaszu spichrza, aż ich wezwie, ale wcale po nich nie posłał.

Erlend wraz z małżonką odprowadzili rycerza i proboszcza aż do ogrodzenia. Gdy goście zniknęli wśród pól, Erlend zwrócił się do Krystyny i rzekł z uśmiechem, jakiego nie lubiła:

– Z tym człowiekiem nie pozwoliłbym Naakkvemu pojechać nawet do Breidina.

Ulf syn Haldora zbliżył się do nich. Mówił z Erlendem o czymś, czego Krystyna nie dosłyszała, ale Ulf kłął ohydnie i pluł. Erlend roześmiał się i uderzył go w plecy.

– Pewnie, gdybym był równie zasiedziałym chłopem, jak ci ludzie tutaj... Ale przecież niejedno widziałem; nie sprzedam diabłu mego pięknego młodego sokoła. A ten sira Solmund, naiwna owieczka, nic nie zrozumiał.

Krystyna stała z opuszczonymi ramionami płonąca i blednąca na przemian. Przestraszona i wstyd ogarnęła ją do tego stopnia, że zrobiło się jej słabo; nogi ugięły się pod nią. Słyszała coś niecoś o takich rzeczach – jak o czymś nieskończenie dalekim – ale że to coś, co trudno było nazwać, ośmieliło się podejść aż pod próg jej własnego domu! Miała wrażenie, że ta ostatnia fala grozi wywróceniem jej przeładowanej, zmagającej się z odmętami burzy łodzi. Święta Maryjo, czyżby i z powodu t a k i c h rzeczy musiała się obawiać o swych synów?

Erlend rzekł z tym samym brzydkiem uśmiechem:

– Już wczoraj wieczór sobie myślałem... Ten pan Allart wydał mi się stanowczo zbyt uprzejmy wnosząc z tego, co opowiadał Naakkve. Wiem przecież, że nigdzie na świecie nie ma takiego obyczaju

rycerskiego, by ścisnąć i całować w usta chłopca, którego się chce wziąć na giermka, albo obdarzać go kosztownym upominkiem, zanim się jeszcze wystawiło na próbę jego dzielność.

Drżąc na całym ciele Krystyna zapytała:

– Czemużeś tedy kazał mi zasiać podłogę różami, a stół lnianym obrusem dla takiego... – wymówiła najohydniejsze słowo.

Erlend ściągnął brwi. Podniósł kamyk z ziemi, wycelował w rudego kota Munana, który czołgał się na brzuchu chyłkiem przez wysoką trawę pod ścianą domu do kurcząt koło wrót stajni. – Huź go! – cisnął kamieniem, kot tylko mignął koło węgła, a gromada kur rozproszyła się na wszystkie strony. Erlend zwrócił się do żony.

– Zdawało mi się, że powinienem sobie o b e j r z e ć człowieka. Gdyby był mężem budzącym zaufanie, wtedy... Musiałem go jednak ugościć dwornie, nie ja jestem spowiednikiem pana Allarta. A po wtóre, słyszałaś przecie, że zamierza on jechać do Oslo – Erlend roześmiał się znowu. – Niektórzy z moich wiernych druhów i drogich krewniaków z dawnych lat chętnie się chyba dowiedzą, że my tutaj, na Jörund, nie zawsze ходzimy w łachmanach i nie zawsze jadamy śledzie i owsiane placki.

Kiedy matka przed wieczorem udała się do izby na piętrze, Björgulf miał silny ból głowy i leżał już, a Naakkve oświadczył, że nie zejdzie na wieczerzę.

– Wydaje mi się, że jesteś dzisiaj w złym humorze, mój synu – rzekła.

– Wcale nie, matko – Naakkve uśmiechnął się drwiąco. – To, że uważa się mnie za większego głupca od innych i sądzi, iż mnie łatwiej sypać piaskiem w oczy, to jeszcze nie powód, żeby być w złym humorze.

– Pocziesz się – rzekł ojciec, gdy zasiedli do stołu i Naakkve wciąż milczał. – Jeszcze na czas pójdziesz w świat i spróbujesz poszukać szczęścia.

– To zależy do tego, ojczu – odparł Naakkve cicho, jak gdyby chciał być tylko przez ojca słyszany – czy Björgulf będzie mi mógł towarzyszyć. – Potem roześmiał się cicho. – Ale pomówcie z Ivarem

i Skulem o tej sprawie, oni czekają tylko na to, by dorosnąć i pociągnąć w świat.

Krystyna wstała i wzięła okrycie z kapturem. Chce dziś odwiedzić żebraka w chacie Ingebjörgi, w górze doliny – odparła, gdy zapytano, dokąd idzie. Bliźniacy ofiarowali się towarzyszyć jej i nieść sakwę, ale ona chciała iść sama.

Wieczory bywały już ciemne, droga zaś na północ od kościoła prowadziła przez las w cieniu skalistych gór. Płynął tu zawsze mroźny wiew z wąwozu Rost, a z szumem rzeki przychodziło wspomnienie wilgotnego powietrza. Roje wielkich białych ciem wirowały pod drzewami, chwilami muskały w przelocie Krystynę; prawdopodobnie przyciągała je błyszcząca biel chustki na głowie i piersiach Krystyny. Odpędzała je ręką i śpieszyła dalej, ślizgając się na gładkim dywanie opadłych szpilek i potykając się o pokręcone, sterzące na ścieżce korzenie.

...Od lat już prześladował Krystynę pewien sen. Po raz pierwszy śnił jej się w nocy przed urodzeniem Gautego, ale jeszcze i teraz zdarzało się, że budziła się obłana potem, z sercem walącym tak mocno, jak gdyby miało wyskoczyć z piersi – i wówczas zawsze był to ten sam sen.

Widziała kwiecistą łąkę, strome zbocze w głębi jodłowego lasu okalającego je z trzech stron ciemną, zbitą gęstwiną; u stóp zbocza w małym stawie odbijał się ciemny bór i zielona, barwna polanka. Słońce świeciło zza drzew; przez najwyższe gałęzie sączyły się ostatnie jego błyski, a na dnie stawu między grzybieniami pływały obłoki, połyskujące zorzą zachodu.

W środku polanki wśród smólek, kaczeńców i chmury białozielonego kwiecia dzięgieli widziała swoje dziecię. Kiedy po raz pierwszy jej się to śniło, był to chyba Naakkve, wtedy miała tylko dwóch najstarszych synów, a Björgulf był jeszcze w kołysce. Później nigdy nie była pewna, które z jej dzieci mogło to być: mała, okrągła i opalona twarzą pod obciętymi dokoła brunatnozłotymi włosami wydawała się jej podobna do tego, to znowu do tamtego z jej synów, ale zawsze było to dziecko w wieku dwóch do trzech lat, ubrane w ciem-

nożółty, obramowany czerwoną wstążką kitelek, z samodziąłu barwionego porostami, jakie zwykła szyć dla swoich chłopców na co dzień.

Ona sama stała czasami po drugiej stronie stawu. Albo nie było jej zupełnie w miejscu, gdzie się to działo; mimo to widziała wszystko.

Widziała, jak jej małeńki synek kręci się tu i tam po łące i zrywając kwiaty spogląda to w prawo, to w lewo. I chociaż serce jej ściśnięte było jakimś lękiem, przecuciem nieszczęścia, które miało przyjść, to jednak we śnie zawsze ogarniała ją bolesna przemożna słodycz, gdy patrzyła na rozkoszne dziecię na łące.

Potem widziała, jak z ciemności na skraju lasu wysuwa się żyjący kosmaty stwór. Porusza się bezszelestnie, małe oczka skrzą się złowrogo. Niedźwiedź zbliża się do skraju łąki, staje, porusza głową i karkiem, wietrzy dokoła. Potem skacze. Krystyna nigdy nie widziała żywego niedźwiedzia, ale wie, że one tak nie skaczą; to nie jest prawdziwy niedźwiedź. Ten biegnie jak kot – w tej samej chwili staje się szary – jak jasny, puchaty, ogromny kot bieży w miękkich wydłużonych susach zбочem na dół.

Matkę ogarnia śmiertelna trwoga: nie może dostać się tam, gdzie jest mały, by go ratować, i nie może przestrzec go krzykiem. Nagle dziecko dostrzega, że dzieje się coś, obraca się i patrzy przez ramię. Z przeraźliwym okrzykiem strachu usiłuje biec w dół, przy tym na sposób małych dzieci podnosi nóżki wysoko w bujnej trawie; matka słyszy wyraźnie, jak z lekkim trzaskiem łamią się soczyste łądygi. Potem potyka się o coś w trawie, upada jak długie – i w następnej chwili potwór leży na nim, z wygiętym grzbietem, z łbem ukrytym między przednimi łapami. Wtedy Krystyna budzi się...

Za każdym razem leżała Krystyna całymi godzinami bezsennie, zanim zdołała uprzytomnić sobie, że to przecież tylko sen! Potem tuliła mocno do siebie najmłodsze dziecię, leżące między nią a ścianą, rozmyślając, co by zrobiła, gdyby naprawdę tak było, jak odpędzała-by zwierzę krzykiem i biciem, i że u jej pasa wisi zawsze ostry, długi sztylet.

I podczas gdy starała się tak uspokoić, spadała na nią znowu owa męka nie do zniesienia, kiedy to we śnie stała bezsilnie i patrzyła na

daremna ucieczkę swego dziecka przed nieubłaganie okrutnym, silnym, zwinnym zwierzęciem. Miała uczucie, że krew w niej wrze i syczy, że całe jej ciało napina się, a serce pęka nie mogąc znieść tak potwornego ciśnienia.

Chata Ingebjörgi leżała wysoko na górze, nieco w bok od gościńca. Przez długie lata stała pustką, a pola dokoła tego miejsca wydzierżawiono jakiemś człowiekowi, który tuż obok wykarczował sobie grunt pod dwór. Obecnie jakiś chory biedak, porzucony przez przeciągającą gromadę żebraków, znalazł w niej przytułek. Krystyna dowiedziawszy się o tym posłała odzież, żywność i leki na górę, sama jednak nie miała dotąd czasu udać się tam.

Natychmiast ujrzała, że chwile biedaka są policzone. Wręczyła przyniesioną sakwę żebracze, która pozostała z nim tutaj, a sama zajęła się chorym, choć niewiele mogła mu pomóc. Gdy się dowiedziała, że posłano po księdza, umyła żebrakowi twarz, ręce i nogi, aby były czyste na przyjęcie ostatniego namaszczenia.

Mała izba była zadymiona i cuchnęło w niej ohydnie stęchlizną. Kiedy nadeszły dwie kobiety służące na sąsiednim dworze, Krystyna prosiła je, aby poszły na Jörund po wszystko, co może im być potrzebne, po czym pożegnała się z nimi i wyszła. Ogarnęła ją jakaś dziwna, chorobliwa trwoga przed spotkaniem z kapłanem niosącym *Corpus Domini*; zeszła więc na pierwszą boczną ścieżkę, jaka się nadarzyła.

Była to – jak zauważyła po chwili – perć, którą przepędzano bydło; zawiodła ona Krystynę na bezdroże. Obalone wichurą, korzeniami sterzące ku niebu wiatrołomy wyglądały upiornie. Często musiała przełazić przez nie. Kawałki mchu wyslizgiwały się jej spod nóg, kiedy schodziła w dół między olbrzymimi głazami. Pajęczce nici osnuwały jej twarz, gałęzie smagały ją i czeptały się szat. Ilekroć musiała przejść potok albo leśne bajoro, z największym trudem wyszukiwała miejsce, gdzie mogła się przesliznąć przez mokre, gęste zarośla. A wszędzie pełno było ohydnych białych ciem, krążyły w ciemności wśród drzew i całymi chmurami roily się po wrzosowiskach.

W końcu jednak zeszła na płaskie skały nad Laagen. Rósł tu rzadki las sosnowy, drzewa musiały szeroko rozpościerać korzenie na suchej skale, podszycie zaś stanowił niemal wyłącznie suchy, białawoszary reni mech, trzeszczący pod stopami; tylko tu i ówdzie ciemniała kępa wrzosu. Zapach igliwia był gorętszy, suchszy i ostrzejszy aniżeli na górze – tutaj las już od wiosny wyglądał zawsze jak zgorzały. Białe śmy prześladowały ją nadal.

Szum rzeki pociągnął ją. Podeszła na skraj jaru i spojrzała w dół. W wielkiej głębi połyskiwała białą wodą spadająca z hukiem po skalnych progach.

Przez napięte do kresu wytrzymałości ciało i duszę drżał jednostajny huk wodospadu. Przypominał i przypominał coś z bardzo dawnych czasów. Już wtedy pojęła, że nie potrafi udźwignąć losu, który sobie sama wybrała. Swoją łagodną, czujnie strzeżoną dziewiczość wydała na łup niszczącej cielesnej miłości i odtąd musiała żyć w trwodze, wciąż w trwodze, bezwolna od pierwszej chwili, kiedy poczuła się matką. W młodości wybrała świat, a teraz czuła, że im bardziej szamota się w jego więzach, im silniej się szarpie, tym okrutniej pęta on ją i przyniewala. Synów swych trzymała przy sobie, by ich chronić skrzydłami, podciętymi przez mus doczesnych trosk. Usiłowała ukryć swój lęk, swoją niewypowiedzianą słabość przed wszystkimi ludźmi, chodziła nieugięta i ze spokojną twarzą, milczała i walczyła, aby tylko we wszelki możliwy sposób zabezpieczyć dobro dzieci.

Lecz zawsze towarzyszyła jej tajemna, zapierająca dech trwoga: jeśli kiedyś źle się im powiedzie, nie wytrzymam tego. I w największej skrytości ducha rozpaczała wspominając ojca i matkę. W jakiej oni żyli trwodze i niepokoju o swe dzieci – dzień po dniu – aż do śmierci, a jednak dźwigali brzemię, i to nie dlatego, że mniej kochali swoje dzieci, ale że je lepszą kochali miłością.

A teraz jej walka tak się miała zakończyć? Czyżby na swym łonie wyhodowała tylko gromadę młodych, niespokojnych jastrzębi, przy czajonych w gnieździe i czekających niecierpliwie godziny, w której skrzydła poniosą ich za najdalsze góry? A ich ojciec klaskał w dłonie i śmiał się! Lećcie, lećcie, moje młode pisklęta!

Kiedy odleca, wyrwą krwawe kawały z jej serca nie uświadamiając

sobie tego nawet. A ona pozostanie samotna: stargała przecież wszystkie więzy, które łączyły ją ongi ze starą ojcowizną. Musiało do tego dojść, że nie mogła ani umrzeć, ani żyć.

Zawróciła i potykając się szła śpiesznie przez blade, suchy dywan porostów, owinąwszy się szczelnie okryciem, które nieznośnie czepiało się gałęzi. Dotarła wreszcie do małych łąk, leżących nieco na północ od hali bractwa i kościoła. Nagle spostrzegła na drodze jakiegoś człowieka, który zawołał:

– Czy to ty, Krystyno? – Poznała męża.

– Długo jakoś nie wracałaś – rzekł Erlend. – Już noc. Bałem się o ciebie.

– Doprawdy, bałeś się o mnie? – Głos jej brzmiał ostrzej i bardziej wyniośle, niż chciała.

– Nie bałem się. Ale wolałem ci wyjść naprzeciw.

Nie mówili do siebie idąc w dół doliny. Na dziedzińcu dworu panowała zupełna cisza. Kilka koni pasło się między zabudowaniami, ale wszyscy ludzie już spali.

Erlend skierował się ku domostwu, w którym sypiali, lecz Krystyna zawróciła w stronę kuchni. Ma jeszcze coś do roboty, powiedziała.

Stał na górze oparty o poręcz ganku i czekał na żonę, potem ujrzał ją wychodzącą z kuchni z płonącym łuczywem w ręku; szła w stronę izby z paleniskiem. Erlend czekał jeszcze chwilę, po czym zbiegł po schodach i poszedł za nią.

Zapaliła świecę i postawiła ją na stole. Erlend poczuł jakiś dziwny lęk, ujrawszy ją stojącą samotnie przy świecy w pustym domu. W tej izbie pozostały jedynie sprzęty na stałe umocowane w ziemi; ich nagie, wytarte drzewo lśniło martwo w blasku świecy. Palenisko było zimne i wymiecione, tylko rzucone przez Krystynę łuczywo żarzyło się jeszcze. Erlend i Krystyna nie używali tej izby i już przeszło pół roku nie płonął w niej ogień. Powietrze było dziwnie ciężkie; brakowało owej mieszaniny licznych zapachów, jakie przynosi ze sobą ludzkie życie i krzątania. Dymnik i drzwi nie były otwierane przez ten cały czas, woniało więc wełną i skórami. Na pustym łożu,

używanym niegdyś przez Lavransa i Ragnfridę, leżał stos zwiniętych futer i worów, które Krystyna wydzieliła z zapasów w spichrzu.

Stół zajmowała masa małych kłębuszków: przędza, lniane i wełniane nici, które Krystyna odłożyła tu po barwieniu. Stała i przekładała je.

Erlend usiadł na poczesnym miejscu za stołem. Wydawało się dziwnie obszerne dla szczupłego mężczyzny, zwłaszcza że brak było poduszek i tkanin. Dwaj woje św. Olafa z ozdobionymi krzyżem hełmami i tarczami, wyrzeźbieni przez Lavransa jako podpora poczesnego miejsca, zerkali krzywo i niechętnie spod smagłych, wąskich rąk Erlenda. Nikt nie umiał piękniej od Lavransa rzeźbić liści i zwierząt, ale wizerunki ludzkie nieszczególnie mu się udawały.

Przez długi czas zachowywali się tak cicho, że nie słyhać było nic prócz głuchych uderzeń kopyt koni pasących się na łące.

– Nie idziesz jeszcze spać, Krystyno? – zapytał wreszcie.

– A ty?

– Chciałem poczekać na ciebie – rzekł mąż.

– Nie mam jeszcze ochoty iść na górę, nie mogę spać.

– Cóż to cię tak dręczy, Krystyno, że nie możesz spać? – spytał po chwili.

Krystyna wyprostowała się. Trzymała w rękach małe motowidło z jasnozieloną wełną, ścisnęła je i obracała w palcach.

– O czym mówiłeś dzisiaj z Naakkvem? – przełknęła parę razy ślinę, gardło jej było zaschnięte. – Jakaś rada, z której, jak mówił, nic mu nie przyjdzie, ale rozmawialiście o tym, że Ivar i Skule...

– Ach, o to ci chodzi! – Erlend uśmiechnął się słabo. – Powiedziałem tylko chłopakom... Przecież mam jeszcze zięcia, o ile mi wiadomo. Choć Gerlak nie będzie teraz na pewno tak gorliwie całował mnie po rękach i nosił za mną płaszcz i miecza jak przedtem. Ale posiada statki na morzu oraz bogatych krewnych w Bremie i Lynn. Musi więc zrozumieć, że jego obowiązkiem jest pomóc braciom swej żony; i ja również nie żałowałem niczego, gdy byłem bogatym człowiekiem i wydawałem córkę za Gerlaka syna Tiedekena.

Krystyna nie odzywała się. Wreszcie Erlend rzekł trochę gwałtownie:

– Jezu, Krystyno, nie stójże tak i nie patrz jak skamieniała!

– Wtedy, kiedyśmy się po raz pierwszy spotkali, ani mi na myśl nie przyszło, że nasze dzieci będą musiały wędrować kiedyś po świecie i wypraszać sobie chleb po obcych dworach.

– Tam do licha, i ja nie myślałem, że mają prosić! Ale jeśli twoje dwory, Krystyno, mają wyżywić wszystkich siedmiu, to będą musieli zadowolić się chłopską strawą, a sądzę, że moi synowie nie bardzo się do tego nadają. Ivar i Skule mają w sobie żyłkę awanturników, a w świecie dosyć jest pszennego chleba i placków dla tego, kto chce sobie mieczem zdobyć jadło.

– Chcesz zatem, by twoi synowie zostali najemnymi żołdakami?

– Sam niegdyś brałem żołd, gdy byłem jeszcze młody i służyłem u hrabiego Jakuba, świeć, Panie, nad jego duszą. Nauczyłem się wówczas niejednego, czego człowiek tu w kraju nigdy nawet na oczy nie ujrzy, czy siedzi rozparty na poczesnym miejscu ze srebrnym pasem na brzuchu i chleje piwo, czy też chodzi za pługiem i wdycha końskie smrody. Wesole życie prowadziłem w służbie hrabiego, mimo że miałem tę kulę, Elinę, u nogi od czasu, kiedy byłem zaledwie w wieku Naakkvego. Mogłem przynajmniej użyć młodości.

– Milcz! – Oczy Krystyny pociemniały. – Czy nie byłoby dla ciebie najokrutniejszą męką, gdybyś ujrzął twoich synów pogrążonych w grzechu i nieszczęściu?

– Niech ich Bóg strzeże od tego, ale przecież nie jest wcale konieczne, aby naśladowali wszystkie głupstwa rodzica. Można przecież wstąpić w służbę pańską, Krystyno, nie obarczając się takim dodatkiem.

– Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, tak jest napisane, Erlendzie.

– A tak, słyszałem i ja o tym, moja droga. Pomimo to wielu moich i twoich przodków zmarło w swoich własnych łóżach spokojnie i po chrześcijańsku, opatrzonych ostatnim namaszczeniem i wszelką pomocą duchową. Wystarczy, byś wspomniała własnego ojca, przecież i on pokazał za młodu, że jest zdatnym do miecza mężem.

– To było podczas wojny, Erlendzie, na rozkaz króla, któremu wierność zaprzysiął, i w obronie ojczyzny. Tak, wówczas ojciec i inni chwycili za broń. Mimo to ojciec sam mówił, że Bóg nie chce, abyśmy podnosili przeciw sobie broń, my, ludzie ochrzczeni, chrześcijanie.

– Tak, wiem o tym. Ale świat jest już taki, odkąd Adam i Ewa zakosztowali z onego drzewa, a było to długo przede mną; nie mogę nic na to poradzić, że rodzimy się już z grzechem w duszy.

– Haniebne jest to, co mówisz!

Erlend przerwał jej gwałtownie:

– Krystyno, wiesz doskonale, że nie wzbraniałem się nigdy przed pokutą i zadośćuczynieniem za swoje winy. Prawda, nie jestem pobożnym człowiekiem. Za wiele widziałem za mych dziecięcych i pacholecych lat. Mój ojciec był ulubionym druhem dostojników z kapituły, ciągle kręcili się u niego po domu: pan Eilif w owym czasie, kiedy był proboszczem, i pan Sigvat Lande, i cała drużyna, a z nimi wchodziły w dom tylko waśnie i kłótnie. Okazali się okrutni i nieustępliwi nawet w stosunku do własnego biskupa, nie byli bynajmniej bardziej święci i bogobojni, chociaż co dnia trzymali w ręku największą świętość i ofiarowywali samego Boga pod postacią chleba i wina.

– Nie nam godzi się potępiać księży. Ojciec mój mawiał zawsze, że naszą powinnością jest ugiąć się przed kapłaństwem i słuchać ich, jako ludzie natomiast podlegają oni jedynie osądowi wszechmocnego Boga.

– Wiem, że tak mówił, tyś to też już nieraz mówiła. Wiem, że jesteś pobożniejsza, niż ja bym w ogóle potrafił, mimo to, Krystyno, nie zdaje mi się, że jest to słuszne pojmowanie słów Bożych, gdy wiecznie chodzisz zgnębiona i wszystko zachowujesz w pamięci, niczego nie zapominając. Lavrans miał także doskonałą pamięć – nie, nie, nic innego przecież nie mówię o twym ojcu, prócz tego, że był pobożny i szlachetny, i ty też taka jesteś, wiem o tym, ale często, kiedy tak słodko i łagodnie przemawiasz do mnie, jakbyś miała usta pełne miodu, obawiam się, że myślisz przede wszystkim o starej krzywdzie, i Bóg raczy wiedzieć, czy istotnie twoje serce jest takie pobożne jak mowa.

Nagle Krystyna osunęła się, głowa jej opadła na stół; z twarzą ukrytą w dłoniach zaczęła głośno szlochać. Erlend zerwał się. Leżała i płakała głośno z rozdzierającą żałością, łkanie wstrząsało nią. Erlend objął jej ramiona.

– Krystyno, co tobie? Co się stało? – powtórzył, siadł przy niej na

ławie i usiłował podnieść jej głowę. – Krystyno, nie płacz tak, czyś zupełnie straciła rozum?

– Boję się! – Usiadła wyprostowana załamując ręce na kolanach. – Boję się tak strasznie, słodka Panno Maryjo, wspomóż nas wszystkich, boję się tak okropnie tego, co się stanie z moimi synami!

– Krystyno, musisz się wreszcie oswoić z myślą, że nie możesz z ich dłużej nakrywać swoimi skrzydłami; nasi synowie będą wkrótce dorosłymi ludźmi. A ty postępujesz wciąż jak ta kwoka – Erlend siedział założywszy nogę na nogę, ze skrzyżowanymi na kolanach dłońmi i spoglądał na żonę znużony. – Bijesz ślepo w przyjaciela i wroga, kiedy idzie o twoje potomstwo.

Podniosła się nagle, przez chwilę stała w milczeniu i łała ręce. Potem zaczęła szybko chodzić po izbie tam i z powrotem. Nie mówiła ani słowa, a Erlend siedział w milczeniu i patrzył na nią.

– Skule... – zatrzymała się przed mężem. – Nieszczęsne imię dałeś swemu synowi. Aleś chciał tego, c h c i a ł e ś , aby księżę zmartwychwstał w twym dziecku.

– To dobre imię, Krystyno. Nieszczęście... Z tym jest rozmaicie. Kiedy w moim synu chciałem ożywić znowu ojca mej babki, pamiętałem dobrze o tym, że szczęście go opuściło. Mimo to był zawsze królem – i to lepszym prawem aniżeli potomek grzebieniarsza¹.

– O tak, dostatecznie chełpiliście się tym, ty i Munan syn Baarda, że byliście bliskimi krewnymi króla Haakona Haalegga.

– Wiesz przecież, że ród Sverrego przez ciotkę mego ojca, Małgorzatę, ma w sobie krew królewską.

Długi czas mąż i żona stali nieruchomo, patrząc sobie w oczy.

– Wiem, o czym myślisz, moja piękna żono – Erlend odszedł i zasiadł znowu na poczesnym miejscu. Oparł ręce o rzeźbione głowy i pochylił się nieco w przód; uśmiechnął się zimno i drażniąco: – Widzisz jednak, Krystyno moja, mnie nie zламаło to, że stałem się człowiekiem biednym i opuszczonym przez przyjaciół. Nie obawiam się wcale, wiedz o tym, że przeze mnie ród moich ojców stracił po wieczne czasy szacunek i znaczenie. Mnie opuściło szczęście; gdyby mi się jednak udało doprowadzić moje zamierzenie do końca, sie-

¹ Haakon Stary.

dzielibyśmy teraz, ja i moi synowie, po prawicy króla i zajmowalibyśmy miejsce należne nam jako jego bliskim krewnym. Dla mnie gra się skończyła, ale widzę po moich synach, Krystyno, że oni znajdują się kiedyś w tych warunkach, które im się z urodzenia należą. Nie masz potrzeby łamać rąk nad nimi i zastanawiać się tak bardzo, jak ich zatrzymać tu, w tej ustronnej dolinie. Pozwól im wypróbować swe siły, a może jeszcze przed śmiercią dożyjesz dnia, w którym stopa ich stanie w dziedzicznych dobrach ojca.

– Ach, mówić to ty umiesz! – Gorzkie, gorące łzy gniewu cisnęły się do oczu kobiety, ale powstrzymała je i roześmiała się drwiąco. – Wydaje mi się, że jesteś jeszcze bardziej dziecinny od chłopaków, Erlendzie! Siedzisz i pleciesz od rzeczy, a nie tak dawno temu, bo dziś jeszcze, gdyby nas Bóg przed tym nie ustrzegł, Naakkve znalazłby szczęście, o jakim nie godzi się mówić chrześcijaninowi.

– Tak, w tym wypadku dane mi było być Boskim narzędziem. – Erlend wzruszył ramionami, lecz po chwili powiedział bardzo poważnie: – Takich rzeczy nie powinnaś się lękać, Krystyno. Czy z tej przyczyny prawie od zmysłów odchodzisz, biedactwo? – Spuścił oczy i rzekł nieśmiało: – Nie zapominaj, Krystyno, że twój zmarły ojciec modlił się za nasze dzieci, tak jak rano i wieczorem modlił się za nas wszystkich. I wierzę mocno, że wstawiennictwo tak dobrego człowieka ratować może przed niejednym, przed najgorszym nawet.

Krystyna zobaczyła, jak mąż ukradkiem kreśli na piersiach kciukiem znak krzyża. Ale nie panując już zupełnie nad sobą wybuchnęła z jeszcze większą pasją:

– To więc ma być dla ciebie pociechą, Erlendzie, teraz, kiedy siedzisz na poczesnym miejscu mego ojca! Że twoich synów mają bronić jego modły, podobnie jak jego dwory ich żywią!

Erlend zbladł.

– Czy naprawdę tak myślisz, Krystyno, że nie jestem godzien zajmować poczesnego miejsca po Lavransie synu Björgulfa?

Krystyna poruszyła wargami, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Erlend podniósł się, stanął przed nią.

– Czy naprawdę tak myślisz? W takim razie powiadam ci: jak Bóg w niebiesiech, nigdy więcej tu nie zasiądę!

– Odpowiedz – rzekł powtórnie, gdy stała nieruchomo.

Przez ciało kobiety przebiegł długi dreszcz.

– Był... lepszym człowiekiem ten... kto przed tobą tu siedział. –
Wyrzekła te słowa prawie niedosłyszalnie.

– Strzeż swego języka, Krystyno! – Erlend postąpił kilka kroków
w jej stronę.

Wyprostowała się nagle.

– Tak, uderz mnie, już dawniej musiałam to znieść – ścierpię i tym
razem.

– Uderzyć cię... przez myśl mi to nie przeszło:

Stał wsparty rękami o stół, znowu patrzyli na siebie i znowu na jego
obliczu leżał ów dziwny, obcy spokój, jaki tylko bardzo rzadko
u niego dostrzegała. Ten spokój doprowadzał ją nieraz do szaleństwa.
Wiedziała, że tylko ona ma słuszność, że słowa Erlenda są czczym,
nieodpowiedzialnym gadaniem, ale wyraz jego twarzy wywołał
w niej uczucie, jak gdyby cała wina leżała po jej stronie.

Spojrzała mu w oczy i słaba ze strachu, że to mówi, wybełkota-
ła:

– Obawiam się, że nie przez m o i c h synów twój ród w Trøndelag
odzyska znaczenie.

Erlend zarumienił się.

– A, rozumiem, nie możesz odmówić sobie wypominania mi Sun-
nivy córki Olafa.

– Nie ja wymówiłam jej imię, tylko ty.

Jeszcze ciemniejszy rumieniec pokrył twarz Erlenda.

– Czy nie pomyślałaś nigdy o tym, Krystyno, że ty nie byłaś tak
całkiem bez winy w owym nieszczęściu? Przypominasz sobie ów
wieczór w Nidaros, kiedy przyszedłem do ciebie i stawałem przy
twoim łożu. Byłem bardzo smutny i zmartwiony, że sprawiłem ci ból,
moja żono, przyszedłem, by cię prosić o przebaczenie za moją winę.
A ty mi odpowiedziałaś, że prosisz mnie, abym poszedł spać tam,
gdzie spałem poprzedniej nocy.

– Czy mogłam przypuszczać, żeś spał z żoną swego krewne-
go?

Erlend zatrzymał się chwilę. Zbladł i znowu się zaczerwienił. Po
czym odwrócił się i bez słowa wyszedł z izby.

Krystyna nie poruszyła się, długo stała bez ruchu, z podbródkiem wspartym o zaciśnięte pięści, wpatrzona w światło.

Potem podniosła gwałtownie głowę i odetchnęła głęboko. Musiał przecież raz wreszcie to usłyszeć.

Nagle dobiegł jej uszu stuk kopyt na dziedzińcu i poznała po odgłosie, że to koń prowadzony przez pachołka. Wyśliznęła się do przedSIONKA, stanęła za filarem i wyjrzała na dwór.

Szarzało. Na dziedzińcu stali Erlend i Ulf syn Haldora. Erlend trzymał, jak Krystyna zauważyła, osiodłanego konia, sam był odziany w podróżny strój. Rozmawiał z Ulfem przez chwilę, nie dosłyszała jednak ani słowa. Potem wskoczył na siodło i jechał stępa w stronę ogrodzenia; nie spoglądał za siebie, choć zdawało jej się, że rozmawia dalej z Ulfem idącym obok konia.

Gdy zniknęli między opłótkami, Krystyna wysunęła się bez szmeru na dziedzińiec, pobiegła ku ogrodzeniu, przystanąła i nasłuchiwała: posłyszała, że Soten biegnie klusem po gościńcu.

Wkrótce potem Ulf wrócił. Stanął jak wryty ujrawszy gospodynię przy płocie. Przez chwilę stali w milczeniu i patrzyli na siebie w szarości świtu. Ulf wsunął na bosc nogi trzewiki, pod okryciem miał tylko płócienną koszulę.

– Co to ma znaczyć? – spytała gwałtownie Krystyna.

– Tyś to powinna wiedzieć, ja nie wiem.

– Dokąd pojechał? – spytała znowu.

– Na Haugen – Ulf milczał chwilę. – Erlend wszedł do mojej izby i obudził mnie; powiedział, że jeszcze tej nocy musi tam pojechać, zdawał się śpieszyć. Prosił mnie jeszcze, bym mu posłał niektóre rzeczy.

Krystyna milczała długo.

– Więc był rozgniewany?

– Był spokojny. – Po chwili Ulf dodał cicho: – Obawiam się, Krystyno, czy nie powiedziałaś czegoś, co raczej powinnaś była zamilczeć.

– Raz wreszcie musiał Erlend ścierpieć to, że mówiłam do niego jak do rozumnego człowieka – odparła ostro.

Szli powoli dalej. Ulf skierował się w stronę swej izby; Krystyna poszła za nim.

– Ulfie, krewniaku – prosiła pełna niepokoju – dawniej ty właśnie bezustannie przekonywałeś mnie, że dla dobra synów powinnam być surowa i rozmówić się z Erlendem.

– Tak, ale z biegiem lat zmądrzałem, Krystyno, a ty nie – odparł jak przedtem.

– Dobrze mnie pocieszasz – rzekła z goryczą.

Położył ciężką rękę na ramieniu kobiety, ale zrazu nic nie powiedział. I tak stali – w ciszy tak ogromnej, że oboje słyszeli odwieczny szum rzeki, nie dochodzący nigdy ich uszu. Daleko w dolinie piał koguty; kogut Krystyny odpowiadał głośno ze stajni.

– Tak, nauczyłem się, że trzeba być ostrożnym w pocieszaniu, Krystyno; w ostatnich latach potrzebowaliśmy wiele tego towaru. Teraz należy go oszczędzać, bo nigdy nie wiemy, na jak długo jeszcze musi starczyć.

Wywinęła się spod jego dłoni, zacisnęła z całej siły zęby, odwróciła twarz i szybko pobiegła z powrotem do izby z paleniskiem.

Ranek był lodowato zimny, otuliła się więc szczelnie okryciem i naciągnęła kaptur na głowę. Skulona, z podciągniętymi pod siebie, mokrymi od rosy nogami, z rękami splecionymi na kolanach, siedziała na obrzeżeniu zimnego paleniska i dumiała. Chwilami skurcz przebiegał jej twarz, ale nie płakała.

Musiała zasnąć, bo nagle wyprostowała się z bólem w plecach, przemarznięta i zdrętwiała. Drzwi były uchylone, widziała blask słońca na dziedzińcu.

Krystyna wyszła do przedsionka, słońce stało już wysoko; z dołu, z pastwiska, postyszała dzwonek kulawego konia. Rzuciła okiem ku nowemu domostwu. Ujrzała, że Munan stoi na ganku i wygląda pomiędzy słupów.

Synowie – przemknęło jej przez myśl. – Co pomyśleli, gdy obudzili się i zobaczyli nie tknięte łoże rodziców?

Pobiegła przez dziedziniec na górę do dziecka; Munan miał na sobie tylko koszulkę. Zaledwie matka zbliżyła się do niego, wsunął rączkę w jej dłoń, jakby się bał.

Na poddaszu żaden z chłopców nie był jeszcze całkiem ubrany.

„Nikt ich dziś wcześniej nie budził” – pomyślała. Podnieśli oczy na matkę, potem szybko spuścili je ku ziemi. Chwyliła pończochy Munana, żeby mu je włożyć.

– Gdzie ojciec? – spytał zdziwiony Lavrans.

– Ojciec pojechał o świcie na północ, na Haugen – odpowiedziała. Zauważyła, że starsi synowie nadśledzają, dodała więc: – Wiesz, że już od dawna mówił, iż musi się kiedyś rozejrzeć na swym dworze.

Obaj malcy wpatrzyli się w matkę szeroko otwartymi, zdumionymi oczyma, ale pięciu starszych braci nie patrząc na nią opuściło izbę.

3

Dnie mijały. Zrazu, Krystyna wcale się nie lękała. Nie chciała łamać sobie głowy nad tym, do czego zmierzało postępowanie. Erlenda, owa ucieczka z domu po nocy i w gniewie, ani też nad tym, jak długo zamysła pozostać tam na północy w swoim dworze, aby ją ukarać swą nieobecnością. Kipiało w niej wszystko ze złości na męża, ale nade wszystko dlatego, że sama wobec siebie musiała przyznać, iż nie miała słuszności wypowiadając słowa, które teraz z całej duszy pragnęłaby cofnąć.

Zapewne, często nie miała słuszności i często, podniecona kłótnią, mówiła do męża brzydkie, złe słowa. Ale najmocniej bolało ją to, że Erlend nigdy sam nie przebaczał i nie zapominał, tylko czekał, by go pięknie i pokornie o to poprosiła. Przecież znowu nie tak często się zapominała; czyż nie mógł zrozumieć, że działo się to tylko wówczas, kiedy była zmęczona i wyczerpana troskami i obawą, które starała się znosić w cichości – wtedy najłatwiej traciła nad sobą panowanie. Zdawało się jej, iż Erlend powinien był pamiętać o tym, jak dniami i latami troskała się o przyszłość synów, jaką okropną trwogę przeżyła dwa razy tego lata z powodu Naakkvego. Teraz dopiero spostrzegła, że po trudach i utrapieniach młodej matki przychodzą nowe troski i lęki starzejącej się matki. Jego bez troskie gadanie, że nie lęka się o przyszłość synów, wzburzyło ją do tego stopnia, iż stała się podobna rozjuszonej niedźwiedzicy albo suce ze szczeniętami; Erlend mógł śmiało powiedzieć, że jak kwoka czuwa nad swymi dziećmi. Tak,

~~chciała~~ być czujna i strzec ich niby zwierzę, póki choć iskra życia ~~była~~ się w niej tliła.

A jeśli nie chciał pamiętać, że stawała u jego boku, ilekroć zachodziła potrzeba, że mimo gniewu zachowała się rozsądnie i sprawiedliwie, kiedy ją uderzył, nawet wówczas, gdy ją zdradził z tą zniechęconą, lekkomyślną panią na Lensvik, to niech sobie zapomina! Nawet i teraz nie czuła tak głębokiej złości i goryczy z powodu owego najgorszego przewinienia Erlenda w stosunku do niej; jeśli zaś na to właśnie skarżyła się przed nim, to dlatego, ponieważ wiedziała, że sam tego żałował i że w tym wypadku rozumiał, jak źle postąpił. Nigdy jednak, nawet i teraz nie była taka zła na Erlenda, aby wspomnienie jego niewierności i wszystkich jej następstw nie sprawiło jej największego cierpienia przede wszystkim ze względu na niego – czuła zawsze, że tym wybuchem swej niepostrzeżonej natury zgrzeszył bardziej przeciw sobie i zbawieniu swej duszy ~~aniżeli przeciw niej~~.

A potem bolały ją te wszystkie małe rany, które jej zadawał swą nieżyczliwą obojętnością, swym dziecięcym brakiem cierpliwości i nawet bezmyślnością, gdy okazywał, że kocha ją mimo wszystko. W czasach kiedy była jeszcze młoda i serce jej było tklliwe, czuła ciągle, jak zdrowie i hart duszy zanikają w niej z wolna, kiedy siedziała otoczona gromadą drobnych, bezbronnych dzieci, a ojciec, mąż, nie okazywał niczym, że posiada nie tylko siłę, ale i miłość potrzebną, by strzec jej i małych synków. Było męką nie do zniesienia czuć się samej słabą, niedoświadczoną i nieroztropną, a przy tym ~~nie mieć~~ oparcia w rozumie i sile męża; wtedy to serce jej zostało zranione i rany te już nigdy zasklepić się nie mogły. I nawet ta najśłodsza rozkosz, gdy podnosiła niemowlę, przykładając ukochane usteczka do piersi i czuła ciepłe, delikatne ciało w ramionach, nawet i to zaprawione było goryczą i niepokojem; „takiś malutki, takiś bezbronny, a twój ojciec nie myśli wcale o tym, że przede wszystkim powinien cię strzec”.

A teraz, kiedy jej małe dzieci wyrosły, kiedy były już duże i silne, ~~ale~~ nie miały jeszcze dość rozumu – teraz odciągał je od niej. Wymykali się jej, cała gromada, mąż i synowie, w ów dziwnie dziecięcy, igrający sposób, z którego coś, jak się jej zdawało, dostrze-

gała u wszystkich spotykanych mężczyzn, a którego nie mogła naśladować ociężała, stroskana niewiasta.

Była więc smutna i zła na samą siebie, kiedy myślała o Erlendzie. Ale trwoga ogarniała ją dopiero wówczas, gdy zastanawiała się nad tym, co pomyśla synowie.

Ulf był na Dovre z dwoma jucznymi końmi, zawiózł Erlendowi rzeczy, o które prosił: odzież i sporo broni, wszystkie cztery łuki, kołczany ze strzałami oraz trzy psy. Munan i Lavrans płakali gorzko, kiedy Ulf zabrał im małą suczkę o lśniącej sierści, z jedwabistymi zwieszonymi uszami; było to śliczne zagraniczne zwierzę, które Erlend dostał od opata z Holmu. To, że ojciec posiada tak niezwykle go psa, wywyższało go w oczach malców ponad wszystkich innych ludzi. Prócz tego ojciec obiecał im, że gdy suka będzie miała znów młode, każdy z nich będzie mógł wybrać sobie szczeniaka.

Gdy Ulf syn Haldora powrócił, Krystyna zapytała go, czy Erlend nie wspomniał nic o swym powrocie.

– Nie – rzekł Ulf. – Wydaje mi się, że ma zamiar tam pozostać.

Ulf nie dodał od siebie nic więcej o swym wyjeździe na Haugen, a Krystyna nie miała ochoty pytać dalej.

Kiedy w jesieni Krystyna wyprowadziła się z dziećmi z nowej izby, starsi synowie oświadczyli, że tej zimy chcieliby spać na poddaszu. Krystyna pozwoliła im na to, została więc tylko z dwójgiem najmłodszych w wielkiej izbie na dole. Pierwszego wieczora oświadczyła, że i Lavrans może teraz spać w jej łóżu.

Chłopak zwinął się w kłębek i z lubością zakopał w miękkie poduszki. Dla najmłodszych dzieci przygotowywano na ławie posłanie ze skórzanych worów wypchanych słomą, miały one również futra, którymi mogły się okryć. Ale w łóżach leżało się na puszystych poduszkach, a prócz skór były tu jeszcze miękkie derki, rodzice zaś mieli płócienne białe powłoczki na poduszkach.

– Ale tutaj mogę pewnie spać tylko tak długo, dopóki ojciec nie wróci – spytał Lavrans – potem będziemy musieli znowu przenieść się na ławę, matko?

– Potem będziecie mogli spać w łóżu Naakkvego i Björgulfa –

odpowiedziała matka – chyba że chłopcy się rozmyślą i zejść z powrotem na dół, kiedy im mróz dokuczy. – Wprawdzie na poddaszu stał też mały murowany piec, ale dawał więcej dymu niż ciepła, wicher i słońce zaś mocniej dawały się we znaki na górze.

W miarę jak jesień zbliżała się ku końcowi, coraz silniejszy, dziwnie nieokreślony lęk owładnął Krystyną; lęk ten potęgował się z dnia na dzień i coraz trudniej było żyć w tym napięciu. O Erlendzie nie było ni widu, ni słyhu.

W długie, ciemne jesienne noce leżała bezsennie, nasłuchując równomiernego oddechu dzieci i wycia wichru wokół węglów domu i myślała o Erlendzie. Gdybyż przynajmniej nie przebywał na tamtym dworze!

Niechętnie zawsze słuchała, kiedy krewni mówili o Haugen. Munan syn Baarda odwiedził ich jednego z ostatnich wieczorów przed ich odjazdem z Oslo. Był wówczas jedynym właścicielem małego dworu swej matki. Obydwaj, Munan i Erlend, byli trochę pijani i rozbawieni, i gdy Krystyna martwiła się, że znowu zaczęli rozmawiać o owym miejscu tak nieszczęsnych wydarzeń, Munan podarował ów dwór Erlendowi, aby ten posiadał chociaż piędź norweskiej ziemi. Odbyło się to wśród żartów i śmiechu; kpili nawet z pogłosek, jakoby na Haugen straszło. Strach, jaki ogarnął Munana syna Baarda po nieszczęsnej śmierci matki i jej męża, widocznie osłabł już.

Istotnie wręczył Erlendowi dokument zawierający zrzeczenie się Haugen. Krystyna nie mogła ukryć niezadowolenia z tego, iż Erlend został właścicielem tej niesamowitej posiadłości. Erlend jednak obrócił całą rzecz w żart.

– Jest mało prawdopodobne, abyśmy, ty albo ja, kiedykolwiek przekroczyli próg tego dworu, o ile zabudowania w ogóle jeszcze się tam nie zawaliły. Pani Aashilda zaś ani pan Björn na pewno nie przyniosą nam sami dziesięciny. Nic nam to nie zaszkodzi, jeśli nawet prawdą jest, co gadają ludzie, że oni chodzą tam po śmierci.

Rok dobiegał kresu, a myśli Krystyny krążyły nieprzerwanie dokoła tego, jak wiedzie się Erlendowi tam na północy, w Haugen. Wskutek tego stała się taka milcząca, że nie odzywała się niemal

zupełnie do dzieci i czeladzi, chyba gdy musiała odpowiadać na pytania; nie miano jednak śmiałości zwracać się do gospodyni, jeśli to nie było konieczne, bo dawała krótkie, niecierpliwe odpowiedzi, gdy ją nachodzono i przeszkadzano w jej niespokojnym, natężonym rozmyślaniu. Sama nie uświadamiała sobie tego nawet, a kiedy wreszcie zauważyła, że dwoje najmłodszych przestało zupełnie pytać o ojca i mówić z nią o nim, westchnęła i pomyślała, że dzieci prędko zapominają. Ale nie zdawała sobie sprawy z tego, że często odstraszała malców opryskliwą odpowiedzią, nakazując im zachować się cicho i nie dręczyć jej.

Ze starszymi synami rozmawiała bardzo mało.

Dopóki trwał suchy mroz, mogła mówić obcym przybywającym na dwór i pytającym o gospodarza, że wybrał się w góry na łowy. Potem jednak w pierwszym tygodniu adwentu spadł wielki śnieg w dolinie i w górach.

Wczesnym rankiem w dzień świętej Łucji, na długo przed świtaniem, kiedy noc była jeszcze czarna i roziskrzona gwiazdami, Krystyna wyszła z obory. W blasku smolnego łuczywa wetkniętego w śnieżną zaspę dojrzała trzech synów stojących przed domem i przypinających narty. Nieco dalej stał wałach Gautego z jukami na grzbiecie i przymocowanymi do podków karplami. Krystyna odgadła natychmiast, dokąd się wybierają. Nie miała odwagi odezwać się; zapytała tylko widząc wśród nich Björgulfa – dwaj pozostali byli to Naakkve i Gaute:

– Jedziesz na nartach, Björgulfie? Dziś będzie na pewno pogodny dzień, synu!

– Przecież widzicie, matko!

– Może wróćcie jeszcze na południe? – spytała bezradnie.

Björgulf był bardzo kiepskim narciarzem, oczy jego nie znosiły bieli śniegu, dlatego w zimie przebywał najchętniej w domu. Lecz Naakkve odparł, że może przez kilka dni będą poza domem.

Krystyna weszła do domu niespokojna i strwożona. Bliźniacy byli krnąbrni i w złych humorach. Krystyna domyśliła się, że chcieli również jechać, ale dorośli bracia nie chcieli ich zabrać.

Trzej bracia powrócili piątego dnia w porze rannego posiłku. Ze względu na Björgulfa wyruszyli na długo przed brzaskiem, opowiadał Naakkve, aby, zanim jeszcze słońce wzejdzie, być w domu. Obaj udali się natychmiast na poddasze; Björgulf upadał niemal ze zmęczenia. Gaute wnosił tymczasem do izby toboły i juki. Dla małych przywiózł dwa piękne szczeniaki; dzieci zapomniały teraz o wszelkich pytaniach. Gaute wydawał się zmieszany, ale silił się, by nie dać tego poznać po sobie.

– A to, matko – rzekł wyciągając coś z tobołka – kazał mi ojciec wam wręczyć.

Było to czternaście niezwykle pięknych skórek gronostajowych. Matka wzięła je ogromnie zakłopotana, nie mogła wydobyć z siebie ani jednego słowa. Tyle było rzeczy, o które chciała pytać, bała się jednak stracić panowanie nad sobą, jeśli choć w najmniejszym stopniu zdradzi, co dzieje się w jej sercu; Gaute był taki młody. Rzekła więc tylko:

– Są już białe, jak widzę, tak, tak, przecież to już głęboka zima.

Kiedy Naakkve zszedł na dół i wraz z Gautem zabrał się do jedzenia, Krystyna szybko zwróciła się do Fridy, że sama zanieśe Björgulfowi jedzenie na poddasze. Nagle wydało się jej, że z tym małomównym chłopakiem, który, jak przeczuwała, był o wiele dojrzalszy od braci, będzie mogła pomówić swobodnie.

Björgulf położył się i nakrył chustką oczy. Matka zawiesiła kociołek z wodą nad ogniem i gdy syn podparłszy się na łokciu jadł w łożu, zaparzała suszone kwiaty jaskółczego ziela i rumianku.

Gdy skończył, zabrała pustą misę, przemyła odwarem czerwone, zapuchnięte oczy i położyła na nie mokrą chustkę; wreszcie zdobyła się na odwagę i zapytała:

– Czy ojciec nic nie wspominał, kiedy zamierza do nas wrócić?

– Nie.

– Jesteś zawsze taki małomówny, Björgulfie – rzekła matka po chwili.

– To widocznie jest u nas we krwi, matko. Spotkaliśmy Szymona i jego ludzi na północ od wąwozu Rost. Jechali z naładowanymi saniami w górę doliny – dodał po krótkim czasie.

– Rozmawialiście ze sobą? – spytała Krystyna.

– Nie – roześmiał się jak poprzednio. – Widocznie jakaś zaraza panuje wśród nas, krewnych i powinowatych, że nie umiemy żyć ze sobą w przyjaźni.

– Czy chcesz mnie o to oskarżać? – zachnęła się matka. – Przed chwilą skarżyłeś się na to, że jesteśmy zanedo milczący, a teraz znów mówisz, że nie potrafimy zachować przyjaźni.

Björgulf zaśmiał się znowu. Potem uniósł się na łokciu, jak gdyby nasłuchiwał oddechu matki.

– Na miłość Boską, matko, nie zaczynajcież teraz płakać. Jestem zmęczony, nie przywykłem do nart, nie zważajcie na to, co powiedziałem; wiem przecież, że nie jesteście kłótniwą kobietą.

Krystyna wnet potem zeszła na dół. Teraz za nic w świecie nie śmiała już pytać tego syna, co młodzi myślą o tych sprawach.

I tak leżała co wieczór, kiedy chłopcy udawali się już na poddasze, czuwała i nasłuchiwała, czy rozmawiają swobodnie, kiedy są sami na górze. Z łoskotem padały ciskane na ziemię buty, dźwięczały metalnym wybijane pasy; słyszała głosy braci, lecz słów rozróżnić nie mogła; chłopcy mówili coś gwałtownie, coraz hałaśliwiej, jakby na poły się kłócili, na poły żartowali. Jeden z bliźniaków krzyczał głośno, potem coś upadło na podłogę, że aż kurz posypał się w dół przez powałę, drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem, słychać było tupot nóg na ganku. Ivar i Skule grozili i wrzeszczeli dobijając się do drzwi; rozróżniała głos Gautego, donośny, roześmiany. Stał w izbie za drzwiami, jak się domyślała, pewnie znowu wybuchnął spór między nim a bliźniakami, a koniec był taki, że Gaute wyrzucił ich za drzwi. Wreszcie posłyszała dojrzały, męski głos Naakkvego; godził ich, bliźniacy wracali do izby. Jeszcze przez chwilę słyszała rozmowy i śmiech na poddaszu, potem bracia kładli się spać. Zalegała zupełna cisza. Po chwili dochodził jej uszu równomierny, chwilami tylko przerywany pomruk, podobny grzmotowi huczącemu w głębi gór.

Matka uśmiechała się w ciemności. Gaute chrapał, kiedy był bardzo zmęczony, zupełnie jak jej ojciec. Dziwne wprost było to

podobieństwo; ci spośród jej synów, którzy zewnątrznie wdali się w Erlenda, byli do niego i w tym podobni, że spali cicho jak ptaki. Kiedy tak leżała i rozpamiętywała owe wszystkie drobne rysy, które tak cudownie z pokolenia na pokolenie można rozpoznać w potomkach, musiała się uśmiechać. Bolesne napięcie w sercu matki rozprężyło się na chwilę; spływało na nią senne omroczenie, w którym wikłały się i plątały myśli i tak zasypiała, zrazu pełna ukojenia, potem zapominając o wszystkim.

„Są jeszcze tacy młodzi – pocieszała się. – Z pewnością nie biorą tego zbyt ciężko”.

Pewnego dnia tuż przed Nowym Rokiem przyszedł do Krystyny na Jörund sira Solmund, pomocnik proboszcza. Pierwszy raz przybywał nie proszony i Krystyna przyjęła go uprzejmie, choć przeczuwała coś złego. Chodziło o to, czego się spodziewała: ksiądz czuł się zobowiązany wy badać, czy ona i mąż rozeszli się samowolnie, w niedozwolony dla chrześcijan sposób, i jeśli tak było, to które z małżonków ponosi odpowiedzialność za owo przekroczenie.

Krystyna czuła, że wzrok jej błądzi niespokojnie, a język płacze się i miele za prędko, kiedy tłumaczyła księdzu, iż Erlend sądził, że musi sam dojrzeć swej posiadłości na Dovre; przez całe lata stała zaniebana, domy już na pewno się rozpadają, a przy tak licznym potomstwie musi się dawać pilne baczenie na swą majątność, i tak dalej. Stanowczo zbyt gadatliwie objaśniała to wszystko, nawet sira Solmund, choć bardzo mało przenikliwy, musiał dostrzec, że czuje się niepewnie; mówiła w kółko, że Erlend jest takim zapalonym myśliwym, chyba księdzu to wiadomo. Wydobyła i pokazała skórki gronostajów otrzymane od męża i w wielkim zmieszaniu podarowała je księdzu, zanim sobie to uświadomiła, zanim miała czas się zastanowić.

Kiedy sira Solmund odszedł, zła była na siebie. Jej mąż powinien był wiedzieć, że po jego odjeździe właśnie taki ksiądz jak ten, którego obecnie mieli, mógł wpaść na myśl wy badania, czy Erlend dla jakiejś istotnej przyczyny przebywa tak długo poza domem.

Sira Solmund był małym, niepozornym człeczyną; nie sposób było dokładnie określić jego wieku, prawdopodobnie miał koło czterdziestu zim. Nie był zbyt bystry i na pewno nie posiadał nazbyt rozległych wiadomości, ale zawsze był prawym, pobożnym i skromnym księdzem. Jego starzejąca się siostra, bezdzietna wdowa, szkadna plotkara, prowadziła mu małe gospodarstwo.

Pragnął koniecznie uchodzić za gorliwego sługę Kościoła, ale porywał się tylko na małe sprawy i nieznaczących ludzi; był bowiem trwożliwego ducha i bał się zadzierać z możnymi chłopami albo wtrącać się w zbyt zawile kwestie; gdy jednak się na to zdobył, stawał się zaciętrzewiony i zaciekły.

Mimo to był dosyć lubiany przez swoich parafian. Z jednej strony poważali go ludzie za spokojny, budzący szacunek tryb życia, z drugiej zaś nie był ani w przybliżeniu tak łapczywy na pieniądze i skory do zwady jak sira Eirik. Pochodziło to zapewne stąd, że nie był taki surowy i odważny jak stary kapłan.

Sira Eirik jednak był kochany i ceniony przez każdego człowieka, przez każde dziecko we wszystkich okolicznych gminach. Dawniej gorszyło ludzi, że z taką nieprzystojną chciwością starał się zabezpieczyć dzieci zrodzone w nierządzie ze swą gospodynią. Z początku, gdy zamieszkał w gminie, trudno było ludziom z Sil znosić jego władczą surowość wobec każdego, kto przekroczył choćby w najmniejszej mierze prawo kościelne. Zanim przyjął święcenia kapłańskie, był wojownikiem i należał za młodu do drużyny wodza korsarzy, Alfa z Tornbergu; widoczne to było jeszcze ciągle w jego sposobie bycia.

Ale nawet i wówczas ludzie byli dumni ze swego księdza, gdyż górował nad większością proboszczów w okolicy wielką wiedzą, uczonością, siłą fizyczną oraz pełnym dostojeństwem zachowaniem; miał też najpiękniejszy w świecie głos. A z biegiem lat oraz na skutek ciężkich doświadczeń, które Bóg prawdopodobnie zsyłał na swego sługę za grzechy młodości, sira Eirik syn Kaarego wzbogacił się tak dalece w mądrość, pobożność i prawość, że imię jego stało się znane i poważane w całej diecezji. Ilekroć był obecny na zebraniu proboszczów w Hamarze, inni księża odnosili się do niego z szacunkiem jak do ojca, mówiono nawet, iż biskup Halvard chętnie postarałby się dla

niego o parafię zapewniającą mu tytuł i miejsce kanonika w kapitule. Jednak sira Eirik miał podobno prosić, by go pozostawiono tam, gdzie jest, wymawiał się podeszłym wiekiem i słabym wzrokiem, który już od wielu lat mu nie dopisywał.

Przy gościńcu w Sil, nieco na południe od Formo, stał piękny krzyż z ciosanego kamienia; sira Eirik kazał go wznieść w miejscu, gdzie przed dwudziestu czterema laty lawina zmiotła jego dwóch młodych, rokujących piękne nadzieje synów. Dziś jeszcze starsi ludzie z doliny zatrzymywali się zawsze w przejeździe pod owym krzyżem i odmawiali *Pater Noster* oraz *Pozdrowienie Anielskie* za duszę Alfa i Kaarego.

Córkę swą wyposażył proboszcz hojnie w gospodarski sprzęt i bydło, i wydał za chłopskiego syna z zacnego i zamożnego rodu z Viken; istotnie każdy sądził, iż Jon Fis jest dobrym człowiekiem. W sześć lat potem wróciła do ojca wygłodzona, chora, obdarta i zawszona, z dwójkiem dzieci i trzecim pod sercem. Ludzie mieszkający wówczas w Sil wiedzieli dobrze, choć nie wspominali o tym nigdy, że ojciec tych dzieci został powieszony w Oslo za kradzież. Synowie Jona niezbyt byli udani, obecnie wszyscy trzech już nie żyli.

Jeszcze za życia swoich potomków sira Eirik gorliwie zabiegał o splendor i wyposażenie swego kościoła. Teraz miała przypaść parafii znaczna część majątku i cennych ksiąg proboszcza. Nowy kościół w Sil pod wezwaniem świętych Olafa i Tomasza był znacznie większy i okazalszy niż stary, który spłonął, a sira Eirik zaopatrzył go swoim kosztem w wiele wspaniałych i pięknych ozdób. Co dzień udawał się do kościoła, aby modlić się tam i rozmyślać, ale msze dla całej gminy odprawiał już jedynie podczas uroczystych świąt.

Również czynności kapłańskie spełniał obecnie przeważnie sira Solmund. Z ciężkimi jednak troskami lub dręczeni przez wyrzuty sumieniem udawali się ludzie najchętniej do starego proboszcza i wszystkim zdawało się, że spotkanie z sirą Eirikiem przynosi im ulgę.

Pewnego wieczora wczesną wiosną Krystyna wybrała się na dwór Romund i zapukała do drzwi siry Eirika. Lecz sama nie wiedziała

dobrze, jak przedłożyć swoją sprawę; przywitawszy go więc siedziała i rozmawiała o tym i owym. Wreszcie starzec przerwał jej niecierpliwie:

– Czy przyszedłeś jedynie po to, Krystyno, by mnie powitać i zobaczyć, jak mi się wiedzie? Ładnie to z twojej strony, jeśli tak jest, ale wydaje mi się, że coś ciąży ci na sercu, a skoro tak, to mów o tym i nie trać czasu na pustą gadaninę.

Krystyna złożyła ręce na kolanach i wbiła wzrok w ziemię.

– Tak niechętnie patrzę na to, siro Eiriku, że mój mążnek przebywa na Haugen.

– Droga tam nie jest tak daleka – rzekł ksiądz – abyś nie mogła z łatwością iść do niego, pomówić z nim i prosić go, by rychło wracał do domu. Chyba nie ma tak wiele do roboty na swym małym dworze, aby musiał tam jeszcze dłużej siedzieć.

– Straszno mi, gdy pomyślę, że w długie zimowe noce jest tam zupełnie sam – Krystyna wzdrygnęła się.

– Erlend syn Mikołaja jest na tyle dorosły i dzielny, że potrafi sam się upilnować.

– Siro Eiriku, wiesz przecież, co się tam w górze niegdyś przydarzyło – szepnęła ledwie dosłyszalnie Krystyna.

Ksiądz zwrócił ku niej starcze, przygasłe oczy; dawniej były one czarne jak węgiel, bystre i błyszczące. Milczał.

– Słyszałeś pewnie o tym, co ludzie opowiadają? – rzekła cicho. – Że... ci zmarli... chodzą tam.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że dlatego nie śmiesz udać się do niego, czy też obawiasz się, że zmarli mogą skrócić kark twemu mężowi? Droga Krystyno, jeśli nie uczynili tego dotąd, to na pewno i nadal ostawią go w spokoju – ksiądz roześmiał się szorstko. – Wszystko niemal, co ludzie plotą o zmarłych i duchach, które straszą, to głupstwo, przesąd i heretyckie gadanie. Obawiam się, iż tam, gdzie przebywają pan Björn i pani Aashilda, surowi odźwierni strzegą wrót.

– Siro Eiriku – wyszeptła drżąca – sądzisz, że dla ich biednych dusz nie ma zbawienia?

– Niech mnie Bóg broni, bym kiedykolwiek ośmielił się wyrokować o granicach Jego łaski. Ale nie mogę sobie wyobrazić, żeby tym dwojgu udało się tak prędko zakończyć porachunki. Jeszcze nie

zostały odczytane do końca tablice, na których oboje znaczyli swoje runy: dzieci, które Aashilda porzuciła, wy dwoje, którzyście do tej mądrej niewiasty szli po naukę. Gdybym wierzył, że to coś pomoże, że choć część krzywd, jakie wyrządziła, zostanie przez to naprawiona... Ale ponieważ Erlend siedzi tam w górach, więc widocznie Bóg nie sądzi, że mogłoby to coś pomóc, gdyby ciotka mu się ukazała. Wiemy bowiem, że przez miłosierdzie Boże i litość Jego Matki oraz orędownictwo Kościoła może się zdarzyć, iż biedna dusza dostanie się z czyścowego ognia na drugi świat, o ile grzech jej był tego rodzaju, że z pomocą żyjących może prędzej zostać odpokutowany, a czas cierpienia tej duszy skrócony. Tak się rzecz miała z duszą owego nieszczęśliwca, który za życia przesunął kamień graniczny pomiędzy Hov a Jarpstad, albo z owym chłopem w dolinie Musu, który sfałszował dokumenty dotyczące młyńskiego potoku. Ale bez tak ważkich powodów nie może dusza wydostać się z czyścca i wszystko, co lud prawi o duchach i widmach, jest pustym gadaniem lub szatańskim mamidłem, rozwiewającym się jak dym, skoro zbliżysz się do niego ze znakiem krzyża i z imieniem Pana na ustach.

– Lecz ci, którzy zbawieni są w Panu, siro Eiriku? – pytała dalej cicho.

– Wiesz przecież, że tych, którzy są błogosławieni w niebiesiech, może On sam przysłać z dobrymi darami i posłannictwem z rajy.

– Opowiadałam ci, że widziałam pewnego razu brata Edwina syna Ryszarda – ciągnęła tym samym tonem.

– Tak. Albo to był sen zesłany ci przez Boga lub twego anioła stróża, albo też mnich ów jest święty.

Drżąc na całym ciele szepnęła:

– A mój ojciec... Siro Eiriku, tak serdecznie błagałam, aby mi było dane choć raz jeden ujrzeć jego oblicze. Tak niewypowiedzianie tęsknię za tym, aby go zobaczyć, siro Eiriku... Może z wyrazu jego twarzy poznałabym, co chce, abym uczyniła. Jeślibym mogła otrzymać jakąś radę od ojca... – zagryzła wargi i końcem chustki otarła lzy płynące z oczu.

Książdz potrząsnął głową.

– Módl się za jego duszę, Krystyno, choć wierzę niezłomnie, że Lavrans i twoja matka zostali już od dawna pocieszeni przez Tego,

u którego tu na ziemi szukali ukojenia na wszelkie troski. I na pewno Lavrans miłuje cię tam jak dawniej, lecz twoje modły i msze za jego duszę zespalają silniej ciebie i nas wszystkich z nim. Tak, tak, ciężko jest w ten sposób pojmować owe święte sprawy, lecz bądź pewna, że lepiej jest tak postępować niż zakłócać spokój jego duszy, gdyby musiał tu zejść i ukazać ci się.

Krystyna siedziała chwilę w milczeniu, zanim opanowała się na tyle, że mogła dalej mówić. Wówczas opowiedziała księdzu wszystko, co zaszło tamtego wieczora pomiędzy nią a Erlendem w izbie z paleniskiem, i powtórzyła dokładnie każde słowo, które padło.

Kiedy skończyła, ksiądz siedział długo w milczeniu. Krystyna załamała gwałtownie rękę.

– Siro Eiriku! Czy wydaje ci się, że wcale nie miałam słuszności? Czy wydaje ci się, iż moja wina była tak wielka, że nie jest grzechem ze strony Erlenda odejść w ten sposób ode mnie i synów? Wydaje ci się słuszne, abym ja poszła do niego, rzuciła mu się do nóg i odwołała słowa, które wypowiedziałam w złości? *W i e m*, że nie wróci do nas wcześniej!

– A tobie, czy naprawdę wydaje się konieczne przywołać Lavransa z zaświatów, by ci radził w tej sprawie? – Kapłan podniósł się i położył rękę na ramionach kobiety: – Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, Krystyno, byłaś milutką, małą dziewczynką. Lavrans wziął cię między kolana, złożył ci rączki na piersiach i kazał odmówić *Pater Noster*. Płynnie i gładko mówiłaś pacierz, chociaż nie rozumiałaś ani *j e d n e g o* słowa; później pojęłaś znaczenie każdej modlitwy w naszym języku. Możliwe, żeś teraz znowu zapomniała.

Czyś zapomniała, jak twój ojciec uczył cię, szanował i kochał. Szanował on i tego człowieka, przed którym obecnie tak ciężko ci się ukorzyć. Albo czyś zapomniała, jak piękne wesele wyprawił wam ojciec? Potem niby złodzieje odjechaliście z jego dworu. Zabraliście z sobą cześć i godność Lavransa syna Björgulfa.

Krystyna łkając ukryła twarz w dłoniach.

– Pamiętasz jeszcze, Krystyno, czy ojciec żądał od was, byście padli przed nim na kolana, zanim was przyjął na powrót do swego miłującego serca? Wydaje ci się za wielką karą dla twej dumy, jeśli

teraz musisz się ugiąć przed człowiekiem, któremuś może nie wyrządziła tak wielkiej krzywdy jak twemu ojcu?

– Jezu – Krystyna płakała do głębi wstrząśnięta. – Jezu, zmiłuj się!

– Słyszę, żeś nie zapomniała jeszcze imienia Tego, za którym twój ojciec starał się iść i służyć Mu jak wierny rycerz i pachołek. – Dotknął małego krucyfiksę wiszącego na ścianie. – Niewinnie umarł na krzyżu Syn Boga, aby odpokutować to, cośmy przeciw Niemu zawiniłi.

Idź teraz do domu, Krystyno, i pomyśl o tym, co ci powiedziałem – rzekł sira Eirik, kiedy się trochę uspokoiła.

Lecz w tych dniach zaczęła się odwilż, zawieja, mokry śnieg i gwałtowne ulewy; chwilami zawierucha była tak okropna, iż ludzie nie wazyli się przechodzić przez własny dziedziniec z obawy, że wichur może ich ponieść ponad dachy zabudowań. Drogi w dolinie stały się nie do przebycia. Wiosenne powodzie były tak nagłe i gwałtowne, iż ludzie wynosili się z najbardziej zagrożonych dworów. Krystyna przeniosła znaczną część chudoby do nowej izby na poddaszu, bydło zaś pozwolono jej umieścić w oborze siry Eirika, obora używana z wiosną na Jörund znajdowała się bowiem po drugiej stronie rzeki. Mozolna to była praca w taką nie pogodę – na pastwiskach leżał śnieg miękkie jak topione masło, a zwierzęta były wynędzniałe po surowej zimie. Dwoje najładniejszych cieląt połamało nogi.

W dniu, w którym przeprowadzali bydło, spotkali niespodzianie Szymona Darre z czterema parobkami. Przyszli im oni natychmiast z pomocą. Wśród wichury i deszczu, ryku poganianych krów, beczenia owiec i jagniąt, które musiano przenosić na rękach, nie mieli krewniacy sposobności ani czasu do rozmowy. Kiedy jednak pod wieczór powrócili na Jörund i Krystyna zaprosiła do izby Szymona i jego ludzi – wszystkim bowiem po znojnym trudzie potrzebny był łyk ciepłego piwa – Szymon znalazł sposobność, by z nią pomówić. Prosił ją, aby wraz z kobietami i dziećmi przeniosła się na Formo, on zaś i dwaj jego ludzie pozostaną tutaj z Ulfem i parobkami. Krystyna podziękowała, lecz odparła, że chce zostać na swym dworze. Lavrans

i Munan byli już na Ulvsvoldene, a Jartruda schroniła się do siry Solmunda; zaprzyjaźniła się bardzo z siostrą księdza.

– Ludziom wydaje się dziwne – rzekł Szymon – że wy, siostry, nigdy się nie spotykacie. Ramborga nie ucieszy się, jeśli wrócę bez ciebie.

– Wiem, że to dziwnie wygląda – odpowiedziała Krystyna. – Ale sądzę, że jeszcze dziwniej by wyglądało, gdybyśmy stąd odeszli i bawili w gościnie u siostry, podczas gdy pan dworu jest nieobecny i wszyscy wiedzą, że między nim a tobą panuje niezgoda.

Szymon nie odezwał się więcej i wkrótce potem ruszył ze swymi ludźmi w drogę.

Przez całą oktawę Wniebowstąpienia szalały straszliwe burze; we wtorek rozniosła się wieść po dworach w północnej części doliny, że powódź zerwała most w wąwozie Rost, któredy chodzono zwykle na halę Hövring. Zaczęto się teraz obawiać o wielki most na południe od kościoła. Był on wprawdzie mocny, zbudowany z najgrubszych dyli, środkiem wysoko sklepiony i wsparty na potężnych palach wbitych w dno rzeki; ale teraz woda sięgała już do przyczółków, a pod łukiem mostu powstał zator ze szczątków naniesionych przez prąd z północy. Rzeka zalała już niżej położone łąki po obu brzegach, na polach należących do Jörund stała woda wciskając się niby zatoka pod same niemal domy; ponad wodą sterczał w kotlinie tylko dach kuźni i wierzchołki drzew na kształt małych wysepek. Stodoły na rzecznych wysepkach uniosła już woda.

Niewielu ludzi przybyło do kościoła z dworów na wschodnim brzegu rzeki. Obawiali się, że w czasie nabożeństwa może zostać zerwany most, a wtedy byłiby odcięci od domów. Ale po przeciwnej stronie, opodal stodoły na Laugarbru, pod zboczem dającym jaki taki schron przed zawieją, czerniała wśród śnieżnej zadymki gromada ludzi. Mówiono, że sira Eirik chce sam ponieść krzyż przez most i postawić go na wschodnim brzegu rzeki, chociażby nawet nikt nie odważył się mu towarzyszyć.

Zaledwie procesja wyszła z kościoła, zwała się na nią śnieżna zamieć. Szarymi tumanami nadlatywały śnieżne płatki zaciemniając

wszystko dokoła; chwilami można było dostrzec łożone jezioro, które rozlało się na łąkach, ponure chmury gnane wiatrem wzdłuż zboczy i lasów i wylaniające się spośród nich szczyty gór. W powietrzu rozbrzmiewał wzmagający się huk rzeki, szum lasu i wycie wichru, od czasu do czasu nadbiegał od strony gór głuchy ryk szalejącego wśród nich huraganu i łoskot toczących się lawin. Świece pogasły natychmiast. Wiatr targał niemiłosiernie białe komże ministrantów, w które poubierano młodzieńców; szli gromadą niosąc chorągiew, wczepili ręce w tkaninę, by jej wiatr nie poszarpał, podczas gdy procesja schodziła z boczem ku drodze. Lecz ponad wściekłym hukiem burzy rozbrzmiewał chwilami doniosły głos siry Eirika, który prąc z całych sił naprzód śpiewał:

*Venite, revertamur ad Dominum; quia ipse cepit et sanabit nos: percutiet, et curabit nos, et vivemus in conspectu eius. Sciemus sequemurque, ut cognoscamus Dominum, Alleluja.*¹

Gdy procesja dotarła do miejsca, gdzie droga była zalana, Krystyna wraz z innymi kobietami zatrzymała się. Ale białe odziani chłopcy, diakoni i księża wchodzili już na most i wszyscy mężczyźni szli za nimi; woda sięgała im niemal po kolana.

Most drżał i trząśił się; kobiety spostrzegły teraz, że od północy na falach rzeki pędzi ku niemu cały dom. Niesiony prądem w dół rzeki kręcił się wkoło; był na pół pęknięty i belki sterczały na wszystkie strony, ale jakoś się trzymał. Gospodyni z Ulvsvoldene wsparła się o Krystynę i głośno krzyknęła: pośród chłopców z chóru znajdowali się dwaj nieletni bracia jej męża. Krystyna modliła się bezgłośnie do Matki Boskiej, nie odrywając oczu od gromady stojącej na moście, gdzie pośród niosących chorągiew mężczyzn mogła dostrzec odzianego biało Naakkvego. Kobietom zdawało się, że mogą jeszcze wśród huku fal odróżnić ledwo dosłyszalny śpiew siry Eirika.

Kapłan zatrzymał się na samym środku łuku w najwyższym miejscu, a kiedy dom uderzył o most, podniósł krzyż w górę. Most zachwiał się i zakołysał, tłumom zebranym po obu brzegach zdawało się, że się

¹ Pójdźcie, a nawróćmy się do Pana; bo On pojmał i uleczy nas, ubije a uzdrowi nas i żyć będziemy przed obliczem Jego. Poznamy, a będziemy naśladować, abyśmy poznali Pana (Ozeasz, VI, 1–3).

pochylił lekko na bok. Potem pochód ruszył dalej, zniknął poza łukiem mostu i wynurzył się na przeciwnym brzegu. Szczątki domu rozpadły się i zaplątały pośród innego drewna zatrzymanego palami mostu.

I nagle stał się jakby cud: ze zwarte go kłębu pędzonych wiatrem chmur strzeliło srebrzyste światło, wezbrana rzeka załśniła, jak długa i szeroka, blado niby roztopiony ołów. Mgła i chmury rozstały się, słońce przebiło się przez nie i kiedy procesja wracała przez most, promienie jego złociły krucyfiks, a na mokrej albie kapłana błysnęła cudownym fioletem złożona na krzyż stuła. Dolina wyzłocona i migocząca od wilgoci leżała niby na dnie ciemnobłękitnej groty, a w górze, wokół wyniosłych krzesanic, przewalały się płonące od blasku słońca, nabrzmiałe burzą chmury powlekając góry czarnym cieniem; mgła rozwiewała się między wzgórzami i sponad mroków wznosił się jedynie, lśniąc oślepiającą bielą świeżo spadłego śniegu, olbrzymi szczyt górski nad Formo.

Krystyna ujrzała przechodzącego Naakkvego. Ociekające wodą szaty przylgnęły do ciał chłopców, śpiewających z pełnych piersi ku słońcu:

Salvator mundi, salva nos omnes. Kyrie eleison.

*Christe eleison, Christe audi nos.*¹

Przeszedł ksiądz, za nim niosący krzyż, a za nimi gromada chłopów przemoczonych do nitki, ale patrzących wkoło z radosnym zdumieniem, gdy powtarzali modlitewne wołanie: *Kyrie eleison!*

Nagle Krystyna ujrzała... przebóg, nie chciała wierzyć własnym oczom, teraz z kolej ona musiała wesprzeć się o sąsiadkę. Wszak to Erlend szedł tam w procesji! Miał na sobie zupełnie przemoczony kaftan z reniferowej skóry i naciągnął kaptur na głowę – ale to był on; usta miał na wpół otwarte i wraz z innymi wołał: *Kyrie eleison!* Właśnie mijał ją, spojrzał w jej stronę – nie mogła sobie dokładnie wytłumaczyć wyrazu jego twarzy, jakby cień uśmiechu przemknął przez nią.

¹ Zbawicielu świata, wybaw nas wszystkich. Panie, zmiłuj się. Chryste, zmiłuj się, Chryste, wysłuchaj nas.

Razem z innymi kobietami przyłączyła się do pochodu wstępującego na kościelne wzgórze, razem z innymi śpiewała litanie za młodymi chłopcami. Ale nie czuła nic, tylko dzikie bicie własnego serca.

Podczas mszy mignęła jej raz jego twarz. Nie miała odwagi stać na swym zwykłym miejscu, ukryła się w mroku północnej nawy.

Natychmiast po skończonym nabożeństwie wyszła pierwsza. Pozostawiła dziewczki, które wraz z nią były na mszy. Dolina parowała w słońcu. Bez zastanowienia pędziła do domu po zupełnie rozmałej drodze.

Nakryła obrusem stół i postawiła napełniony miodem róg przed poczesnym miejscem pana domu, później dopiero zmieniła mokre szaty na odświętny strój; wdziała granatową haftowaną suknię, srebrny pas, trzewiki z klamrami, a na głowę chustkę z niebieską obwódką. Potem uklękła obok w komorze. Nie mogła skupić myśli ani znaleźć słów, jakich pragnęła, tylko wciąż odmawiała Ave Maria. „Święta Pani, Jezu miłosierny, Synu Dziewicy, Ty znasz moje myśli”.

Czekała bardzo długo. Od wracających dziewczek dowiedziała się, że mężczyźni udali się z powrotem na most, usiłowali teraz toporami i żerdziami usunąć zator z nagromadzonego pod nim drzewa, to znaczy uratować most. Również księży zdjąwszy ornaty wzięli się do pracy.

Już dobrze po południu wrócili wreszcie mężczyźni. Synowie, Ulf syn Haldora oraz trzech pachółków, jeden stary i dwaj młodzi chłopcy, których Krystyna przyjęła na jakiś czas.

Naakkve zasiadł już na swoim miejscu, na prawo od poczesnego miejsca pana domu. Nagle wstał szybko, oddalił się od stołu i podszedł do drzwi.

Krystyna zawołała go półgłosem po imieniu.

Wrócił i usiadł z powrotem. Jego młoda twarz pąsowiała, to bladła na przemian; oczy miał spuszczone i od czasu do czasu z całej siły przygryzał dolną wargę. Matka widziała, jak ciężko walczy, by nie stracić panowania nad sobą, ale udało mu się to przecież.

Wreszcie i ten posiłek się skończył. Synowie siedzący na wewnętrznej ławie powstali, obeszlą stół koło pustego miejsca ojca, jakby z przyzwyczajenia poprawili pasy wtykając za nie noże i wyszli.

Gdy wszyscy opuścili izbę, Krystyna również wyszła. W słonecz-

nym blasku woda lała się strugami z dachu. Na dziedzińcu nie było żywej duszy prócz Ulfa; stał na kamiennym progu swej izby.

Twarz jego wyrażała dziwną bezradność, gdy pani podeszła do niego. Nie odezwał się, spytała więc cicho:

– Mówiłeś z nim?

– Niewiele. Naakkve z nim rozmawiał, widziałem.

Wkrótce potem rzekł:

– Bał się trochę o was wszystkich, kiedy powódź stała się groźna. Przyszło mu więc na myśl, żeby zejść w dolinę i rozejrzeć się, jak się wam powodzi. Naakkve opowiedział mu, jak się sama ze wszystkim uporałaś. Nie wiem, skąd się dowiedział o tym, że podarowałaś księdzu skórki posłane ci jesienią przez Gautego. Był zły o to. Także i o to, żeś natychmiast po mszy uciekła do domu; spodziewał się, że zaczekasz i porozmawiasz z nim.

Krystyna nic nie odpowiedziała, odwróciła się i poszła do domu.

Tego lata wybuchały ciągle niesnaski i kłótnie między Ulfem a jego żoną. Przyrodni bratanek Ulfa, Haldor syn Jona, przybył na wiosnę wraz z żoną do swego krewniaka; ożenił się przed rokiem. Wyłonił się więc pomysł, aby Haldor wydzierżawił dwór Ulfa w Skaun; Jartruda jednak sprzeciwiała się temu twierdząc, że Ulf stawia bratankowi zbyt dogodne warunki. Przejrzała zamiar męża, pragnącego zapewnić Haldorowi przez taki lub inny układ dziedzictwo tego dworu po stryju.

Haldor był na Husaby pachółkiem Krystyny. Spodziewała się wiele po tym młodym człowieku, polubiła też bardzo jego młodą żonę, cichą, miłą młodą kobietę. Wkrótce po letnim przesileniu urodził się młodym synek i wówczas Krystyna odstąpiła im tkalnię, gdzie zawsze rodziły gospodynie na Jörund. Jartrudzie jednak, chociaż była jeszcze młoda i niedoświadczona i nie umiała ani pomóc rodzącej, ani zająć się niemowlęciem, nie podobało się, że Krystyna sama kierowała niewiastami pomocnymi przy porodzie.

Krystyna została chrzestną matką chłopca, Ulf zaś wyprawił chrzciny. Jartruda znowu oświadczyła, że zbyt wielkie koszty łoży na to i zbyt drogocenne dary kładzie do kołyski i łoża matki.

Aby nieco udobruchać żonę, podarował jej Ulf uroczyście kilka z dawna posiadanych kosztowności: cenny krzyż z łańcuchem, podbite futrem okrycie zapinane na wielką srebrną pętlę, pierścień i klamrę. Lecz Jardtruda zrozumiała, że z włości, które posiada, nie da jej nigdy ani piędzi ponad to, co otrzymała od niego jako wiano; w razie braku potomków wszystko miało przejść na jego przyrodnie rodzeństwo. Ubolewała teraz gorzko, że wydała na świat nieżywe dziecko, a na drugie nie ma nadziei; w całej gminie stała się pośmiewiskiem, ponieważ z każdym o tym rozmawiała.

Po wywodzie młodej kobiety Ulf musiał prosić Krystynę, by pozwoliła Haldorowi i Audhildzie zamieszkać w izbie z paleniskiem. Krystyna zgodziła się chętnie. Unikała Haldora, rozmowa bowiem z byłym pachołkiem przywodziła jej na pamięć rzeczy, których wspomnienie było teraz bolesne. Lecz z żoną jego rozmawiała nieraz, gdyż Audhilda pragnęła koniecznie pomagać jej w miarę możliwości w gospodarstwie. Pod koniec lata dziecko zachorowało niebezpiecznie; Krystyna zajęła się nim i pielęgnowała je zastępując młodą, niedoświadczoną matkę.

Kiedy Haldor i Audhilda pociągnęli jesienią na północ, brak jej było obojga, ale najbardziej małego chłopaczka. Choć sama wiedziała, jakie to było niemądre, nie mogła jednak na to poradzić: w ostatnich latach dręczyło ją to, że – jak się jej zdawało – stała się bezpłodna; a przecież nie była jeszcze stara, nie miała nawet czterdziestu lat.

Zajęcie się młodziutką, dziecinną kobietą i jej niemowlęciem odwróciło nieco myśli Krystyny od bolesnych dla niej spraw. A chociaż ciężko jej było patrzeć, że Ulf nie znajduje szczęścia w pożyciu z żoną, to jednak i te tarcia w domu rządcy kierowały jej myśli na inne tory.

Zachowanie się bowiem Erlenda w dzień procesji spowodowało, że starała się nie myśleć o tym, jak się to wszystko skończy. To, że na oczach wszystkich zeszedł w dolinę i udał się do kościoła, po czym znowu wrócił na północ nie powitawszy ani jednym słowem żony, wydało jej się tak bez serca, iż sama wierzyła, że mąż stał się jej teraz zupełnie obojętny.

Z Szymonem Darre nie zamieniła ni słowa od tego dnia, kiedy podczas wiosennej powodzi przyszedł jej z pomocą. Pozdrowiała go przed kościołem i zamieniała parę słów z siostrą. Nie wiedziała, co myślą oboje o jej sprawach i o tym, że Erlend mieszka na Dovre.

Ale w niedzielę przed świętym Bartłomiejem razem z ludźmi z Formo przyszedł pan Gyrd z Dyfrina. Szymon wyglądał na bardzo uradowanego, kiedy u boku brata udawał się na mszę. Ramborga zaś podeszła po nabożeństwie do Krystyny i podniecona zwierzyła się jej szeptem, że jest znowu przy nadziei i że z wiosną spodziewa się dziecka.

– Krystyno, siostró, może poszłabyś dzisiaj z nami, by razem święcić niedzielę?

Krystyna potrząsnęła ze smutkiem głową, pogłaskała młodą kobietę po bladym policzku i prosiła Boga, aby dał rodzicom pociechę z dziecka. Ale na Formo pójść nie może, powiedziała.

Po zerwaniu ze szwagrem Szymon zmusił się sam do uwierzenia, że tak jest najlepiej. Był w takim położeniu, że nie musiał liczyć się we wszystkim z tym, co ludzie o nim i jego czynach sądzą. Pomagał Erlendowi i Krystynie, ilekroć zachodziła potrzeba, pomoc zaś, jaką mógł im służyć tutaj w dolinie nie miała takiej wartości, aby z tego powodu musiał zupełnie pówikłać swoje życie.

Kiedy się jednak dowiedział, że Erlend opuścił gminę, nie mógł dłużej zachować owego kamiennego, gwałtem narzuconego sobie spokoju. Niewiele pomagało powtarzanie sobie, że nie ma nikogo, kto by znał okoliczności tłumaczące nieobecność Erlenda – ludzie gadali tyle, a wiedzieli tak mało. On w każdym razie nie miał prawa mieszać się do tego. Mimo to był w głębi duszy mocno zaniepokojony. Ciągle wracała uparta myśl, czy nie powinien odszukać Erlenda na Haugen i odwołać słów wyrzeczonych przy rozstaniu; może znalazłby się wówczas sposób, aby doprowadzić do ładu sprawy szwagra i siostry swej żony. Ale skończyło się jedynie na rozważaniu.

Szymonowi zdawało się, że nikt nie może po nim poznać, jak bardzo jest niespokojny. Żył jak zawsze, gospodarował we dworze i zarządzał dobrami, był wesół i pił dzielnie z przyjaciółmi; kiedy miał

czas po temu, szedł w góry na łowy, pieścił dzieci, gdy przebywał w domu. Nigdy między nim a żoną nie padło nieprzyjazne słowo. Ludziom we dworze musiało się wydawać, że obecnie między nim a Ramborgą panuje przyjaźń większa niż kiedykolwiek, bo i żona stała się spokojniejsza i bardziej zrównoważona; nie miewała już napadów złego humoru, nie wybuchała dziecinną złością o lada drobnostkę. W głębi ducha czuł jednak Szymon w jej obecności niepokój i niepewność, nie mógł teraz traktować jej jak dziecko, które to drażni się, to pieści. Nie wiedział zupełnie, jak się ma właściwie wobec niej zachować.

Nie wiedział także, jak ma przyjąć to, co mu żona pewnego wieczora powiedziała: że znowu spodziewa się dziecka.

– Ty sama pewnie nie bardzo się tym cieszysz? – powiedział w końcu, głaszcząc jej rękę.

– Ale ty cieszysz się, prawda? – Ramborga przygarnęła się do niego na wpół z płaczem, na wpół ze śmiechem. Szymon roześmiał się z lekka zakłopotany i przytulił ją do siebie. – Tym razem będę rozsądniejsza, Szymonie, nie zachowam się tak jak dawniej. Ale ty musisz z o s t a ć przy mnie, słyszysz? Choćby nawet prowadzono wszystkich twoich szwagrów i wszystkich braci związanych razem na szubienicę, nie wolno ci mnie odbieżyć!

Szymon uśmiechnął się ze smutkiem.

– A dokąd bym miał jechać, Ramborgo? Biedny kaleka Geirmund nie zapłaci się z pewnością w żadną groźną sprawę, a jest on przecie jedynym z moich krewnych i powinowatych, z którym się jeszcze nie poróżniłem.

– Och! – Ramborga śmiała się również, ale łzy ciekły jej po twarzy. – Wasza nieprzyjaźń będzie trwać tylko dopóty, dopóki tamci nie będą potrzebowali twojej pomocy, a ty nie dojdiesz do przekonania, że możesz im jej udzielić. Znam cię dobrze, mój mężu.

W czternaście dni potem zawitał na dwór całkiem niespodzianie Gyrd syn Andrzeja. Rycerz z Dyfrina przybył z jednym tylko pachołkiem.

Przy powitaniu niewiele słów padło między braćmi. Pan Gyrd dał

do zrozumienia, że wybrał się na Kruke, aby odwiedzić siostrę i szwagra, których nie widział już tyle lat; Sigridzie przyszło jednak do głowy, że skoro bawi on w dolinie, powinien zająchać również i na Formo.

– Pomyślałem więc, bracie, że chyba nie jesteś na mnie taki zły, byś nie użył mi i memu pacholce gościny i schronienia do jutra.

– Chyba sam wiesz – rzekł Szymon; stał ze wzrokiem wbitym w ziemię, purpurowy na twarzy. – To ładnie z twojej strony, Gyrdzie, żeś zechciał przybyć do mnie.

Kiedy gość posilił się, bracia wyszli na dwór. Nad rzeką, na zwróconych ku słońcu zboczach, zboże już zaczynało się żółcić. Pogoda była piękna, w dole spoza olszyny błyskała srebrzyście spokojna rzeka. Wielkie, połyskliwe chmury sunęły po błękitnym niebie, blask słońca zalewał całą dolinę, pasmo gór naprzeciwko leżało niebieskie i zielone w drgającym od ciepła powietrzu i w cieniach przelotnych chmur.

Z ogrodzonego pastwiska dobiegał głuchy odgłos kopyt koni pędzących po suchej ziemi, całe stado rwało właśnie z kopyta przez olszynę. Szymon przechylił się przez płot: – *Foola, foola* – nawoływał. – Twój Bronsvein starzeje się, jak widzę? – Koń Gyrdy wyciągnął łeb ponad płotem i obwąchiwał ramię Szymona.

– Nie dziwota, ma osiemnaście zim – Gyrd głaskał zwierzę. – Wydaje mi się, że byłoby naprawdę źle, gdyby z powodu tej sprawy została zerwana nasza przyjaźń – mówił nie patrząc na brata.

– Dręczyło mnie to co dnia – odparł cicho Szymon. – I dzięki ci za to, żeś przybył, Gyrdzie.

Szli dalej wzdłuż płotu, Gyrd pierwszy, za nim Szymon. W końcu usiedli na skraju niewielkiej kamienistej polanki. Słodki, mocny zapach bił od małych kopek siana leżących tu i ówdzie, gdzie kosa zagarnęła spośród kamieni krótką trawę wraz z rosnącymi wśród niej kwiatami. Gyrd opowiadał o ugodzie zawartej między królem Magnusem a synami Haftora i ich drużyną. Po chwili Szymon zagadnął:

– Czy uważasz za całkiem niemożliwe, aby niektórzy z krewnych Erlenda próbowali pojednać go z królem i uzyskać dla niego na powrót łaskę pana Magnusa?

– Ja sam niewiele mogę tu zrobić – rzekł Gyrd Darre. – Ci zaś, Szymonie, którzy by mogli coś uczynić, rozsierzdzeni są na niego wielce. Nie, nie mam zgoła t e r a z ochoty na poruszanie tej sprawy. Mnie wydaje się on wspaniałym, dzielnym mężem, ale inni są zdania, że źle wykonał swój plan. Najchętniej jednak nie mówiłbym o tym; wiem, że cenisz wysoko swojego szwagra.

Szymon siedział wpatrzony w srebrzysty migot liści na zboczu i w świetliste lśnienie rzeki. Ze zdumieniem myślał, że przecież to, co mówi Gyrd, jest w znacznej mierze prawdą.

– Zresztą Erlend i ja jesteśmy obecnie poważnieni – rzekł. – Sporo już czasu minęło, odkąd po raz ostatni rozmawialiśmy z sobą.

– Zdaje mi się, Szymonie, że z latami stałeś się niezgodny – odparł Gyrd ze śmiechem.

– Czyś nigdy nie zamierzał – spytał po chwili – wynieść się z tej okolicy? My, krewni, łatwiej moglibyśmy wzajemnie się wspierać, gdybyśmy mieszkali bliżej siebie.

– Jak możesz myśleć o czymś podobnym? Formo jest moim dworem dziedzicznym.

– Aasmund na Eiken ma swój udział we dworze z prawem dziedziczenia. I wiem, iż nie miałby nic przeciw temu, by wymienić pomiędzy krewnymi jedno prawo dziedziczenia na drugie. Dotychczas nie wybił sobie tego z głowy, że dostanie twoją Arngjerdę dla Grundego na podanych przez siebie warunkach.

Szymon potrząsnął głową.

– Ród naszej babki po mieczu siedział tu, na tym dworze, od czasów, kiedy kraj był jeszcze pogański. I tutaj po mnie, tak myślałem, ma osiąść Andrzej. Chybaś niespełna rozumu, bracie, jeśli mówisz, że powinienem opuścić Formo.

– Pewnie, to jest zrozumiałe – Gyrd zaczerwienił się lekko. – Myślałem tylko, że może... Na Raumarike masz przecie prawie wszystkich swych krewnych i przyjaciół młodości; możliwe, że tam czułbyś się lepiej.

– Czuję się t u t a j dobrze – Szymon również poczerwieniał. – Tutaj jedynie mogę pozostawić chłopcu bezpieczną siedzibę. – Spojrzał na Gyrdę, którego delikatne, pokryte zmarszczkami oblicze było dziwnie zakłopotane. Włosy Gyrdę posiwiały, lecz był wciąż jeszcze

jak dawniej smukły i zgrabny. Poruszył się niespokojnie, kilka kamyczków osunęło się i potoczyło po zboczach prosto w zboże.

– Cóż to, chcesz może zwalić wszystek piarg na moje pole? – spytał śmiejąc się Szymon z udaną szorstkością w głosie. Gyrd skoczył lekko i zwinnie, podał rękę bratu, który był bardziej ociężały.

Szymon zatrzymał przez chwilę rękę brata w swojej. Potem położył dłoń na jego ramieniu. To samo uczynił Gyrd. I tak oparłszy sobie nawzajem dłonie na ramionach schodzili bracia powoli zboczem ku dworowi.

Wieczorem siedzieli razem w izbie Saemunda, Szymon chciał bowiem spać tu z bratem. Odmówili już wieczorne pacierze, ale przed udaniem się na spoczynek chcieli jeszcze opróżnić dzban piwa.

– *Benedictus tu in muliebris... mulieribus*¹, pamiętasz jeszcze? – zaśmiał się nagle Szymon.

– Pewnie, kosztowało mnie to wiele batów, zanim udało się sirze Magnusowi wypędzić ze mnie błędne nauki babki. – Gyrd uśmiechał się na samo wspomnienie. – Twardą miał rękę jak diabeł. A przypominasz sobie, bracie, jak kiedyś siedział i drapał się w łydki podnosząc przy tym poję swej sutanny? Szepnąłeś mi wówczas, że gdybyś miał równie szpetne nogi jak Magnus syn Ketila, na pewno zostałbyś też księdzem i chodził zawsze w długiej szacie.

Szymon uśmiechnął się. Zdało mu się nagle, że w i d z i przed sobą chłopięcą twarz brata, pękającego niemal z hamowanego śmiechu, i jego żałośnie wyglądające oczy; byli wówczas pacholętami, a sira Magnus nie żałował ręki, kiedy bił.

Bardzo mądry nie był Gyrd w dzieciństwie. Tak, Szymon kochał Gyrdę nie dlatego, że był on mądry. Ale płonął z wdzięczności i tklivości dla brata, kiedy teraz siedział przy nim, za każdy dzień ich braterskiej przyjaźni od blisko czterdziestu lat; bo Gyrd, cokolwiek by o nim można powiedzieć, był najwierniejszy, najbardziej godny zaufania ze wszystkich ludzi.

¹ Przekręcone słowa Pozdrowienia Anielskiego: *Benedicta tu in mulieribus*.

To, że odzyskał z powrotem swego brata Gyrda, dawało Szymonowi uczucie, jak gdyby przynajmniej jedną nogą stanął na pewnym gruncie. A przecież jego życie od długiego już czasu było niewiarygodnie powikłane i pogmatwane.

Kojące ciepło przenikało go na wskroś, ilekroć pomyślał, że oto Gyrd przybył, by naprawić to, co zawinił on sam odjeżdżając w gniewie i ze złymi słowami z dworu brata. Ogromna wdzięczność wzbierała w jego duszy: przecież raczej on miał za co dziękować aniżeli Gyrd.

Wiedział dobrze, jak człowiek taki jak Lavrans przyjąłby podobne wydarzenie. Szymon wzorował się na swym teściu we wszystkim, do czego sam był zdolny: w rozdawaniu jałmużny i tym podobnych rzeczach; lecz do zupełnej skruchy przy oglądaniu ran Zbawiciela nie doprowadził się nigdy – choćby nawet do utraty przytomności wpatrywał się w krucyfiks, a przecież nie o to chodziło Lavransowi. Nie umiał płakać łzami żalu; przez całe życie, odkąd wyrósł z dzieciństwa, płakał najwyżej dwa albo trzy razy i nigdy wówczas, kiedy powinien był to czynić: gdy będąc człowiekiem żonatym miał ciężkie kłopoty z matką Arngrjerdy, a potem z powodu owego zabójstwa zeszłego roku. Mimo to żałował głęboko; zdawało mu się, że żałuje swych grzechów z całego serca, że się z nich pilnie spowiada i pokutuje za nie według nakazu proboszcza. Odmawiał zawsze gorliwie pacierze, dbał o to, by płacić należną dziesięcinę, i rozdawał szczerze jałmużnę, szczególnie zaś hojną miał rękę, gdy chodziło o uczczenie świętego Szymona apostoła, świętego Olafa, świętego Michała i Najświętszej Panny. Zresztą zadowalał się tym, co mawiał sira Eirik – że jedynie w krzyżu leży zbawienie i że o tym, w jaki sposób człowiek ma stanąć do walki z wrogiem i zmagać się z nim, postanawia Bóg, a nie człowiek.

Teraz jednak odczuwał potrzebę okazania jeszcze serdeczniejszej wdzięczności świętym. Matka opowiadała mu, że przyszedł na świat w dzień Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, chciał więc koniecznie okazać Bożej Rodzicielce swój głęboki szacunek modlitwą, której na co dzień nie odmawiał. Swego czasu, kiedy przebywał na królewskim dworze, polecił przepisać dla siebie piękną modlitwę i teraz wyszukał w skrzyni ów mały pergaminowy zwój.

Obecnie jednak trwożyła go myśl, że wtedy, gdy był w królewskiej świątyni, raczej przez wzgląd na króla Haakona aniżeli na Boga i Jego Matkę sporządził sobie te małe listy z modlitwami, których uczył się na pamięć. Tak robili wszyscy młodzieńcy, bowiem król, kiedy leżał wieczorami bezsenne, miał zwyczaj wypytywać swych paziów, czego się z tych pożytecznych rzeczy nauczyli.

Ach, jakże to było dawno... Alkova króla w kamiennej hali królewskiego zamku w Oslo... Na małym stoliku koło łóżka paliła się jedyna świeca, blask jej padał na delikatne, bezbarwne, postarzałe oblicze męża spoczywające na czerwonych, jedwabnych poduszkach. Kiedy ksiądz ukończył czytanie i oddalał się, król brał nieraz sam księgę, leżał i czytał, oparłszy ciężki tom na podciągniętych kolanach. Opodal, przy wielkim murowanym kominie, siedzieli na zydlach dwaj paziowie. Szymon pełnił straż prawie zawsze razem z Gunsteinem synem Ingi. Zaciszenie było w komnacie, ogień płonął jasno i ciepło, bez dymu; przytulnie wyglądała izba z krzyżowym sklepieniem, ściany jej pokryte były zawsze dywanami. Ale gdy tak siedzieli, chciało im się spać. Naprzód musieli słuchać czytania księdza, potem zaś czekać, aż król zaśnie, a to nie następowało prawie nigdy przed północą. Kiedy zasnął, wolno im było luzować się w czuwaniu i po kolei spoczywać na ławie między kominem a drzwiami do rozmównicy. Siedzieli tak, czekali cierpliwie, kiedy to nastąpi, i tłumili, jak mogli, ziewanie.

Czasami król wszczynał z nimi rozmowę. Rzadko się to zdarzało, ale wtedy był pan Haakon niesłychanie ujmujący i życzliwy. Kiedy indziej czytał na głos z księgi jakąś sentencję lub parę linijek wiersza, którego słuchanie mogło wyjść młodemu na pożytek.

Pewnej nocy Szymon ocknął się nagle, słysząc, że król Haakon go woła. Było zupełnie ciemno, świeca wypaliła się. Zawstydzony rozdmuchał żar na kominie i zapalił nową świecę. Król leżał i uśmiechał się chytrze.

- Czy Gunstein zawsze tak okropnie chrapie?
- Tak, panie.
- A w gospodzie też z nim dzielisz łóżko, prawda? Mógłbyś słusznie żądać, aby na pewien czas dano ci innego towarzysza, który by nie spał tak hałaśliwie.

- Dzięki wam, panie, ale to nic nie szkodzi.
- Ale przecież musisz chyba wciąż się budzić, Szymonie, kiedy ten grzmot rozlega się tak blisko twoich uszu, nie?
- Pewnie, wasza królewska mość, ale wtedy daję mu porządnego szturchańca i obracam go na drugi bok.

Król roześmiał się.

- Chciałbym wiedzieć, czy też wy, młodzi, w pełni rozumiecie, jak wielkim darem Bożym jest zdrowy sen. Kiedy będziesz w moim wieku, Szymonie, przyjacielu, może wspomnisz moje słowa.

Wszystko to widział jakby w ogromnym oddaleniu, a jednak zupełnie wyraźnie, nie tak jednakże, jak gdyby on sam, który tu siedział, był owym młodym paziem.

Pewnego dnia z początkiem adwentu, gdy Krystyna była sama we dworze, synowie bowiem zwozili z lasu drzewo i porosty, ujrzała zaskoczona, że Szymon wjechał konno na dziedziniec. Przybył, aby zaprosić ją i synów na ucztę świąteczną do siebie.

- Rozumiesz chyba, Szymonie, że nie możemy tego zrobić – rzekła poważnie. – W sercu możemy żywić wzajem tę samą przyjaźń, ty, Ramborga i ja, ale nie zawsze można to czynić, co by się chciało. Pojmujesz to chyba.

- Nie zamierzasz posunąć się do tego, byś nie przybyła do swej jedynej siostry, kiedy przyjdzie jej godzina.

Krystyna życzyła mu, aby wszystko odbyło się jak najpomyślniej i ku radości obojga – ...ale czy będę mogła przybyć, tego dziś na pewno powiedzieć nie mogę.

- Wyda się to wszystkim bardzo dziwne – odparł porywczo Szymon. – Masz zawołanie najlepszej położnej w okolicy, a Ramborga jest twoją siostrą, obydwie zaś jesteście gospodyniami na dwu największych dworach w dolinie.

- W ostatnich latach urodziło się tu po wielkich dworach dosyć dzieci, a pomimo to nie wzywano mnie wcale. To już nie te czasy, Szymonie, kiedy izba rodzącej uchodziła za źle przysposobioną, jeśli pani z Jörund nie była obecna. – Spostrzegła, że słowa jej zmartwiły go bardzo, dodała więc: – Pozdrów Ramborgę i powiedz, że przybędę

do niej i będę pomocna, kiedy nadejdzie jej czas, ale na ucztę podczas Bożego Narodzenia pojechać nie mogę.

Jednakże w ósmy dzień świąt spotkała w kościele Szymona; przybył sam bez Ramborgi na nabożeństwo. Nie, żona ma się dobrze, rzekł, ale odpoczywa i zbiera siły, gdyż jutro wczesnym rankiem wyjeżdżają z dziećmi na południe do Dyfrina; sanna jest świetna, a że Gyrd ich zaprosił i Ramborga ma taką ochotę na ten wyjazd, więc...

4

W dzień po świętym Paalu Szymon Darre jechał konno z dwoma pachołkami na północ przez jezioro Mjös. Mróz chwycił tęgi, ale zdawało mu się, że nie wytrzyma już dłużej z dala od domu. Sanie z resztą ludzi miały wyruszyć w ślad za nim, skoro tylko mróz zelżeje.

W Hamarze spotkał przyjaciela, Vagleika syna Paala z Fagabergu, i dalszą drogę odbywali razem. W Lillehammer zatrzymali się dla odpoczynku na pewnym dworze, gdzie był szynk. Podczas gdy siedzieli i pili, kilku pijanych handlarzy skór wszczęło między sobą zwadę i jęło się bić w izbie; w końcu Szymon wstał, wmieszał się i rozdzielił walczących, sam jednak otrzymał przy tym pchnięcie nożem w prawe przedramię. Było to tylko draśnięcie, toteż nie zwracał na nie uwagi, choć gospodyni chciała koniecznie przewiązać mu ranę.

Pojechał z Vagleikiem na jego dwór i tu spędził noc. Spali razem w jednym łożu; przed świtem Szymon obudził się nagle, tamten bowiem rzucał się niespokojnie we śnie. Kilkakrotnie wołał go Vagleik po imieniu, Szymon więc zbudził go wreszcie i spytał, co mu jest.

Vagleik nie mógł sobie dokładnie przypomnieć swego snu.

– Ale był paskudny. I ty także mi się śniłeś. Jedno pamiętam: Szymon syn Reidara stał w tej oto izbie i kazał ci iść za sobą. Widziałem go tak wyraźnie, że mógłbym policzyć wszystkie piegi na jego twarzy.

– Może byś tak mógł odprzedać mi ten sen? – rzekł Szymon pół żartem, pół serio. Szymon syn Reidara był jego bratem stryjczym

i gdy byli wyrostkami, łączyła ich wielka zażyłość. Zmarł on mając trzynaście lat.

Kiedy zasiedli do rannego posiłku, Vagleik spostrzegł, że Szymon nie zapiął rękawa na przegubie prawej ręki. Skóra była czerwona, ramię spuchnięte aż po dłoń. Vagleik zwrócił na to uwagę, ale Szymon wyśmiał go. A kiedy nieco później przyjaciel prosił, aby pozostał u niego kilka dni i zaczekał na żonę – Vagleik nie mógł zapomnieć swego snu – Szymon powiedział niemal ze złością:

– Chyba ci się nie wyśniło nic tak złego, Vagleiku, bym się miał kłaść do łóża z powodu ukąszenia wszy?

O zachodzie słońca Szymon jechał ze swymi ludźmi w dół ku jezioru Losna. Dzień był przepiękny. Wymiosłe, błękitne i białe góry złociły się i czerwieniły w zorzy zachodu; nad rzeką w szarym cieniu stały kosmatę od szronu gaje. Konie mieli świetne i czekała ich rozkoszna jazda przez długie jezioro – ze srebrnym pobrzękiem pryskały pod kopytami małe drzazgi lodu. Silny wiatr bił im w twarz. Szymon marzył, ale w chwilę potem mimo mrozu fale duszącego gorąca przebiegały mu ciało, potem znowu lodowaty dreszcz przeni-kał go aż do szpiku kości. Chwilami czuł, że język mu puchnie i u nasady staje się dziwnie sztywny. Zanim jeszcze przejechali jezioro, musiał zatrzymać się i prosić jednego z pacholków o umocowanie okrycia w ten sposób, aby mógł wesprzeć na nim chore ramię.

Ludzie słyszeli, jak Vagleik opowiadał swój sen, chcieli więc koniecznie, aby pan pokazał im ranę. Lecz Szymon odparł, że nie warto o tym gadać. Trochę go tylko piecze. Może będzie musiał przez kilka dni być mańkutem.

Ale wieczorem, gdy księżyc wzeszedł i jechali przez wyżynę na północ od jeziora, Szymon zrozumiał, że z ramieniem może być kłopot. Spuchło ono aż po pachę, a rzucanie w siodle sprawiało silny ból, krew pulsowała nieustannie w chorej kończynie. I w głowie waliło niby młotem, a nieznośny ból rozchodził się od karku aż po wierzch głowy. Na przemian robiło mu się gorąco i zimno.

Ośnieżona droga wiodła tu wysoko zboczem, chwilami przez gęsty bór, potem znowu przez śnieżną równinę. Szymon dostrzegał wszystko: błyszczący księżyc w pełni żeglował po niebie przepłoszywszy wszystkie gwiazdy, tylko tu i ówdzie jedna lub druga wielka gwiazda

wędrowała po niebieskim stropie. Migotała i lśniła biała ziemia, krótkie i ostre cienie padały na śnieg. W lesie między ośnieżonymi jodłami kładło się nikiłymi plamami i smugami światło księżyca. Szymon widział to wszystko.

Jednocześnie widział z zupełną wyrazistością łąkę pełną nierówności, pokrytą wyblakłą trawą, oświetloną słońcem wczesnej wiosny. Tu i ówdzie parę młodych jodełek wśród pól połyskiwało w słońcu aksamitną zielenią. Znał tę okolicę: było to pastwisko w rodzinnym domu na Dyfrinie. W olchowym zagajniku za łąką stały szarobrunatne wiosenne pnie, a korony drzew brązowiły się od pączków; poza olszyną ciągnął się duży pas niewysokich wzgórz Raumarike, bielejących jeszcze tu i ówdzie śniegiem. Szymon syn Reidara i on schodzili w stronę olszyny, mieli przybory rybackie i oścień na szczupaki; szli łowić ryby nad błękitniejące w dali jezioro. Zmarły kuzyn szedł obok niego; widział kręcone włosy towarzysza, wymykające się spod czapki i lśniące rudo w słońcu, mógł rozróżnić każdy pieg na twarzy chłopca. Ów drugi Szymon wysuwał dolną wargę i prychał, ilekroć uważał, że przyjaciel gada od rzeczy. Przesadzali wąskie strugi wody, skakali z jednej kępy trawy na drugą ponad strumyczkami sączącymi się z topniejącego śniegu. Ziemia pokryta była zielonym mchem, poruszał się i kołysał tak ładnie pod wodą.

I chociaż zdawał sobie ze wszystkiego sprawę: widział przez cały czas drogę, którą jechali w górę i w dół przez las, patrzył na białe pola zalane blaskiem miesiąca i domy śpiące pod ośnieżonymi dachami i rzucające na ziemię cienie, rozpoznawał smugę mgły nad rzeką w głębi doliny i wiedział, że to Jon jedzie tuż za nim, a na otwartych przestrzeniach zbliża się i trzyma jego boku – to jednak parokrotnie zdarzyło się, że nazwał pachołka Szymonem. Wiedział, że to nie Szymon, ale nie mógł inaczej, mimo iż zauważył, jak przerazili się jego ludzie.

– Musimy starać się, chłopcy, jeszcze tej nocy zajechać do mnichów na Roaldstad – odezwał się wreszcie, kiedy udało mu się skupić myśli.

Pachołcy zaczęli go przekonywać: muszą raczej starać się jak najrychlej dostać pod dach, na najbliższe probostwo. Ale Szymon upierał się przy swoim.

– Będzie to zbyt męczące dla koni, Szymonie – pachołcy spojrzeli na siebie z ukosa.

Ale Szymon zaśmiał się krótko. Tym razem muszą wytrzymać. Pomyślał o ciężkich milach, które go czekały. Ból targał całym ciałem przy każdym stąpieniu konia, lecz Szymon spieszył do domu. Bo teraz wiedział, że śmierć położyła na nim swój znak.

I chociaż marzył do szpiku kości, a potem znowu przenikała go w tę lodowatą noc fala gorąca, to jednak równocześnie czuł ciepłe wiosenne słońce na pastwisku ojcowskiego dworu i widział zmarłego chłopca i siebie samego, idących ku olszynie.

Na mgnienie oka ustępowały majaki i wracała pełna przytomność, tylko przeraźliwy ból pozostawał. Szymon poprosił jednego z pachołków, by mu rozciął rękaw na chorym ramieniu. Zbladł i pot ściekał mu po twarzy, kiedy Jon Daalk ostrożnie ciął kaftan i koszulę od napięstka aż do barku, podczas gdy on sam lewą ręką podtrzymywał spuchniętą kończynę. Na chwilę sprawiło mu to ulgę.

Ludzie zaczęli mówić otwarcie, że z Roaldstadt trzeba będzie posłać gońca do Dyfrina. Szymon jednak sprzeciwił się temu. Nie chce niepokoić żony taką wiadomością, pewnie będzie to niepotrzebne; jazda saniami w taki mróz to nic miłego. Po przyjeździe na Formo zobaczą, co dalej robić. Usiłował uśmiechnąć się do Sigurda, by rozweselić trochę młodego chłopca, który wydawał się bardzo przestraszony i nieszczęśliwy.

– Ale gdy tylko wrócimy do domu, musicie natychmiast posłać na Jörund po Krystynę. Ona jest taka biegła w sztuce lekarskiej. – Kiedy to mówił, czuł, że język jego jest gruby i sztywny niby kawał drewna. „Pocałuj mnie, Krystyno, moja oblubienico!” – Pewnie pomyśli, że majaczy w gorączce. Nie, Krystyno. Ale się zadziwi.

Erlend zrozumiał to. Ramborga to zrozumiała. Ale Krystyna! Żyła w strapieniu i smutku, i choćby nie wiedzieć jak była gniewna i rozgoryczona na tego Erlenda, to przecież i wówczas nie myślała o nikim innym, tylko o nim. „Nigdy nie zależało ci tak bardzo na mnie, Krystyno ukochana, abys pomyślała o tym, czy mi nie ciężko być bratem tej kobiety, która mi była przeznaczona na małżonkę”.

Wtedy, kiedy rozstawał się z nią przed klasztorną furtą w Oslo, nie wiedział przecież, że i nadal będzie w ten sposób o niej myślał. Że

w końcu dojdzie do przekonania, iż nic, co mu życie odtąd przyniosło, nie jest pełnym zadośćuczynieniem za to, co stracił wówczas: za ową dziewicę, która była w młodości z nim zaręczona.

Powie jej to przed śmiercią. Niechże go choć raz jeden ucałuje.

„Jam jest, który cię miłowałem i który cię jeszcze wciąż miłuję”.

Słowa te posłyszał niegdyś i nie mógł ich odtąd zapomnieć. Pochodziły one z księgi o cudach Maryi; była to legenda o pewnej mniszce, która uciekła z rycerzem z klasztoru. Najświętsza Paniienka ocaliła w końcu oboje i przebaczyła im mimo ich grzechu. Jeśli jest grzechem uczynić przed śmiercią to wyznanie siostrze swej żony, to niechaj i jemu Matka Boża wyjedna przebaczenie. Nieczęsto męczył ją jakąś prośbą.

...Wtedy sam nie przypuszczałem, iż nigdy w życiu już nie będę prawdziwie wesół i szczęśliwy.

– Nie, Szymonie, zbyt ciężko będzie dla Sokki dźwigać nas obu, przecież przez całą noc musiała gnać – rzekł do pacholka, który usiadł z tyłu za nim, by go podtrzymać. – Widzę dobrze, że to ty, Sigurdzie, ale wydaje mi się, że to kto inny.

Nad ranem dotarli do gospody dla pielgrzymów i obaj gospodarzący tam mnisi zajęli się chorym. Skoro jednak pod ich opieką odzyskał nieco sił i gorączka opadła, Szymon nie ustąpił, póki mu nie pożyczono sań, żeby mógł jechać dalej na północ.

Drogi były dobre, parokrotnie zmieniali konie, jechali szparko całą noc i nazajutrz o świcie przybyli na Formo. Szymon leżał w saniach drzemiąc pod okryciami, którymi go otulono. Futra ciążyły mu okropnie, chwilami miał wrażenie, że leży pod ogromnym, miażdżącym go złomem skalnym; głowa bolała go bardzo. Od czasu do czasu tracił przytomność. Ale za chwilę ból zaczynał znów szaleć, zdawało mu się, że całe ciało pęcznieje, rozrasta się do potwornych rozmiarów iomal nie pęka w kawałki. W ramieniu pulsowało.

Usiłował sam wyjść z sań i wejść do domu wsparty zdrowym ramieniem na Jonie. Sigurd szedł za nim i podtrzymywał go. Szymon widział, że twarze obu są szare i wynędzniałe z przemęczenia – przez dwie noce z rzędu nie zsiadali z koni. Chciał im coś powiedzieć, ale

język odmówił mu posłuszeństwa. Na progu potknął się i upadł ze strasznym krzykiem bólu, gdyż uraził zniekształcone obrzmieniem ramię. Pot spływał mu po ciele, lecz usiłował stłumić jęk, kiedy go rozbierano i kładziono do łoża.

Niedługo potem ujrzał, że Krystyna stoi przy piecu i tłuczkiem rozciera coś w małej drewnianej misce. Dźwięk ten przeszył go na wylot. Z małego garnka wylała jakiś płyn do kubka, potem wsączyła do niego parę kropel ze szklanej flaszki, którą wyjęła ze swej szkatułki, dodała rozartą masę z miseczki i postawiła na ogniu. Jakże cicho i spokojnie się zachowywała.

Teraz z kubkiem w rękę podeszła do łoża. Stąpała tak lekko, była tak samo gibka i piękna jak wówczas, kiedy była dziewczyną: owa smukła pani o szczupłej, smutnej twarzy pod chustką. Szymon czuł, że teraz i kark ma spuchnięty. Bolało go, kiedy mu podsunęła rękę pod głowę i uniosła ją z lekka. Oparła jego głowę o swą pierś, lewą ręką podsuwając mu do ust kubek.

Szymon uśmiechnął się, a kiedy ostrożnie złożyła jego głowę z powrotem na poduszkach, zatrzymał w swej zdrowej ręce jej dłoń. Ta piękna, długa i wąska ręka kobieca nie była już teraz ani miękka, ani biała.

– Tymi palcami niełatwo ci chyba szyc jedwab – rzekł Szymon. – Ale są dobre i lekkie. Miła, chłodna jest twoja ręka, Krystyno! – Położył sobie jej dłoń na czole. Krystyna pozostawiła ją tak długo, aż poczuła, że się rozgrzewa, wówczas z kolei przycisnęła drugą rękę do jego rozpalonego czoła w miejscu, gdzie zaczynają się włosy.

– Twoje ramię brzydtko wygląda, Szymonie – rzekła. – Ale z Boską pomocą na pewno ozdrowiejesz.

– Obawiam się, Krystyno, że mnie nie zdołasz wyleczyć, choć jesteś biegłym lekarzem – odparł Szymon. Lecz wyraz jego twarzy był niemal wesoły. Napój zaczął działać; nie czuł tak mocno bólu, tylko z oczami działało się coś niezwykłego, nie miał nad nimi władzy; zdawało mu się, że leży i każdym okiem zezuje w inną stronę.

– Będzie ze mną tak, jak jest przeznaczone – dodał po chwili.

Krystyna podeszła do swoich kociołków, rozpostarła jakąś kleistą

masę na płócienną szmatce, po czym wróciła i gorącym okładem obwiązała całe ramię począwszy od palców aż do pleców oraz z przodu przez pierś, gdzie obrzmienie zaczynało się w czerwonych pręgach rozchodzić od pachy. Zrazu bolało go to, ale wkrótce przyniosło ulgę. Na to nałożyła jeszcze ciepłe wełniaki i podsunęła pod chore ramię miękkie poduszki. Szymon spytał, czego użyła na okład.

– Ach, przeróżnych rzeczy, przede wszystkim zaś żywokostu i jaskółczego ziele – odrzekła Krystyna. – Gdyby było lato, narwałabym tych ziół świeżo z mojego ogrodu, ale mam ich i tak pod dostatkiem w zapasie; Bogu dzięki, nikt z nas nie potrzebował tych rzeczy przez zimę.

– Co to takiego opowiadałaś kiedyś o jaskółczym ziele? Jakąś historię, którą posłyszałaś od księni w klasztorze... coś o tej nazwie...

– Czy masz na myśli, że roślina ta w mowie każdego ludu ma nazwę, która znaczy „jaskółcze ziele”; od dalekiego greckiego morza począwszy aż po nasze północne krainy?

– Tak, bo we wszystkich krajach kwiecie jej rozwija się wówczas, kiedy jaskółki budzą się z zimowego snu. – Szymon zacisnął mocno wargi. Do tego czasu on sam będzie dawno pod ziemią.

– Chcę zostać pochowany tutaj, obok kościoła, jeśli tak się stanie, że umrę – powiedział. – Jestem obecnie tak zamożny, że Andrzej prawdopodobnie będzie miał kiedyś wielkie znaczenie na Formo. Czy i to dziecię, które Ramborga na wiosnę, po mojej śmierci powije, będzie synem? Chętnie pożyłbym jeszcze tak długo, aby zobaczyć dwóch synów na swoim dworze.

Krystyna powiedziała, że Gaute pojechał dziś rano na Dyfrin z wiadomością o jego ciężkiej chorobie.

– Chyba nie puściłaś dzieciaka samego w tę drogę? – spytał przerażony Szymon.

Nie miała nikogo pod ręką, kto by dotrzymał kroku Gautemu na jego kasztanku, odparła. Szymon był zdania, że podróż dla Ramborgi będzie teraz ciężka. Oby się tylko bardziej nie spieszyła, niż jej siły na to pozwolą.

– Ale moje dzieci chciałbym bardzo zobaczyć.

Po chwili zaczął znowu mówić o swych dzieciach. Wymienił Arngjerdę – czy nie postąpił źle nie przyjmując owego przedłożenia

ludzi z Eiken? Ale mężczyzna ów wydał mu się zbyt stary, poza tym żywił obawy z tego powodu, że Grunde był przecież brutalny, kiedy sobie podpisał. Arngjerda – o, jak bardzo pragnął zapewnić jej jak najlepsze warunki.

– Teraz Gyrd i Gudmund będą postanawiali o jej małżeństwie. Powiedz mym braciom, Krystyno, że ich z serca pozdrawiam i żeby sobie tę sprawę dobrze rozważyli. Jeślibyś chciała zabrać Arngjerdę na pewien czas do siebie na Jörund, to jeszcze w grobie byłbym ci za to wdzięczny. A jeśliby Ramborga miała powtórnie wyjść za mąż, zanim los Arngjerdy będzie zapewniony, to musisz koniecznie wziąć dziewczynę do siebie, Krystyno; ale nie myśl, że Ramborga była dla niej kiedykolwiek niezyczliwa. Gdyby jednak miała mieć nie tylko macochę, ale i ojczyma, boję się, że uważano by ją raczej za dziewczkę służebną; pamiętasz przecie, byłem żonaty z Halfridą, kiedy zostałem ojcem Arngjerdy.

Krystyna położyła łagodnie rękę na rękę Szymona i przyrzekła, że uczyni dla dziewczyny, co tylko będzie mogła. Przypomniała sobie wszystko, co w życiu widziała; trudne było stanowisko dzieci mających pana za ojca, a spłodzonych w cudzołóstwie: Orm i Małgorzata, Ulf syn Haldora. Nie przestawała głaskać ręki Szymona.

– Ostatecznie nie jest wcale takie pewne, czy tak zaraz umrzesz, szwagrze – odezwała się i uśmiechnęła lekko. Cień dawnego dziewczęcego, łagodnego uśmiechu przemknął przez chudą, smutną twarz kobiety. Ty słodka, młoda Krystyno.

Tego wieczora Szymon nie miał tak wysokiej gorączki, bóle również się zmniejszyły, jak mówił. Kiedy Krystyna zmieniała okład, ramię nie było tak bardzo spuchnięte; zmiękło nieco, a przy ostrożnym dotyku odciski palców były dłużej widoczne.

Krystyna odesłała czeladź na spoczynek. Jonowi Daalk, który koniecznie chciał czuwać przy swoim panu, pozwoliła położyć się na ławie w izbie. Kazała przysunąć do łoża skrzynię z rzeźbionym oparciem i usiadła na niej wcisnąwszy się w kąt. Szymon drzemał i spał na przemian; kiedy się w nocy obudził, ujrzał, że Krystyna ma w rękach wrzeciono. Siedziała wyprostowana, pod lewą pachą trzy-

mała szpulkę z nawiniętą wełną, palce kręciły nić, wrzeczono obsuwało się coraz to niżej wzdłuż jej smukłego ciała, potem odwijają nić, kręciła znowu, wrzeczono opadało – uspiło go samo przyglądanie się.

Kiedy się powtórnie obudził, zaczynało już świtać, a ona wciąż jeszcze siedziała i przędła. Światło świecy, którą postawiła tak, aby nie przeszkadzała choremu, padało na jej twarz. Oblicze jej było dziwnie blade i spokojne; pełne, miękkie usta były teraz wąskie i mocno zaciśnięte, siedziała z opuszczonymi oczyma i przędła. Nie mogła widzieć, że Szymon nie śpi i leżąc w cieniu zasłony wpatruje się w nią. Zdawała się taka smutna, iż Szymon czuł, jak mu serce krwawi, gdy patrzył na nią.

Podniosła się i, podszedłszy do ognia, jęła się krzątać koło garnków zupełnie bez szelestu. Powracając zajrzała za zasłonę łoża i spotkała w ciemności jego otwarte oczy.

– Jak się czujesz, Szymonie? – spytała łagodnie.

– Dobrze mi teraz.

Ale mówiąc to miał wrażenie, że już i drugie ramię jest obolałe i że ból rozchodzi się aż do podbródka, kiedy porusza głową. E nie, pewnie mu się tak tylko przywidziało.

Ach, jej na pewno nigdy ani przez myśl nie przejdzie, że cośkolwiek w życiu straciła gardząc jego miłością, mógł więc rozmawiać z nią o tym. T o z pewnością nie przysporzy jej cierpienia. C h c i a ł, nim umrze, powiedzieć jej j e d e n j e d y n y raz: kochałem cię przez te wszystkie lata.

Gorączka znowu się podniosła. Czuł n a p r a w d ę ból w lewym ramieniu.

– Staraj się znowu zasnąć, Szymonie, może wkrótce będzie ci lepiej – odezwała się cicho.

– Dość się naspałem tej nocy. – Zaczął na nowo mówić o dzieciach, o trojgu, które miał i które tak bardzo miłował, i o tym nie narodzonym jeszcze. Potem nagle umilkł. Ból wrócił z ogromną siłą.

– Połóż się teraz trochę, Krystyno. Jon może posiedzieć chwilę przy mnie, jeśli uważasz, że to konieczne, aby ktoś czuwał.

Rano, kiedy Krystyna odwinęła bandaż, Szymon spojrzał spokojnie w jej zrozwężoną twarz:

– Ach nie, Krystyno, za dużo było jadu i brudu w ranie. No, i byłem na mrozie, zanim dostałem się w twoje ręce. Powiedziałem ci przecie, że mnie uleczyć nie zdołasz. Nie bądźże taka smutna z tego powodu, Krystyno.

– Nie powinieneś był odbywać tak dalekiej podróży – rzekła słabo.

– Żaden człowiek nie żyje dłużej, niż mu jest przeznaczone – odparł Szymon jak poprzednio. – Ciągnęło mnie do domu. Należało przecie omówić to i owo, jak tu ma być po mej śmierci. – Roześmiał się lekko. – Wszystkie ognie wypalają się z wolna.

Krystyna patrzyła na niego błyszczącymi od łez oczyma. Zawsze miał w pogotowiu taką moc przysłów. Spojrzała na jego pokryte czerwonymi plamami oblicze. Pełne policzki i fałdy pod brodą zapadły się i pokryły głębokimi bruzdami. Oczy chwilami matowiały i gasły, potem stawały się jasne i przytomne. Wpatrywał się w nią mocnym, badawczym spojrzeniem, właściwym zawsze jego małym stalowoszarym, bystrym oczom.

Gdy w izbie zrobiło się zupełnie jasno, Krystyna dostrzegła, że nos chorego ścieniał; biała smuga biegła po każdej stronie do kątów ust.

Zbliżyła się do małego okienka i stanęła przy nim tłumiąc łkanie. Gruby szron pokrywający szybę lśnił i błyszczał złociście. Pewnie będzie znowu taki cudny dzień jak już od tygodnia.

Wiedziała, że to znak śmierci.

Wróciła do łóża, wsunęła rękę pod nakrycie – nogi były obrzmiałe aż po łydki.

– Czy chcesz... chcesz może, byśmy posłali teraz po sirę Eirika? – spytała cichutko.

– Tak, dziś wieczór – odparł Szymon.

Musiał o tym mówić, z a n i m się wypowieda i przyjmie sakramenty. Potem będzie usiłował skierować swe myśli w inną stronę.

– Dziwnie, że właśnie ty będziesz musiała zająć się moim ciałem – odezwał się Szymon. – A boję się, że niepięknie wyglądać będzie mój zwłok.

Krystyna stłumiła szloch. Podeszła do pieca i przygotowała znowu napój nasenny. Ale Szymon rzekł:

– Nie chcę pić twoich napojów, Krystyno. Myśli się od nich mącą.

Lecz po chwili prosił, by mu jednak coś dała. – Ale nie dodawaj zbyt wiele tego środka, który oszałamia. Muszę mówić z tobą o pewnej sprawie.

Wypił i czekał, aż bóle przejdą na tyle, by mógł z nią jasno i spokojnie rozmawiać.

– Nie zyczysz sobie, abyśmy ci sprowadzili sirę Eirika, żeby przemówił do ciebie słowami, które przyniosą ci ulgę?

– Najpierw muszę ci coś powiedzieć.

Leżał chwilę w milczeniu. Potem zaczął:

– Powiedz Erlendowi synowi Mikołaja, że każdego dnia żałowałem słów, które wyrzekłem, gdyśmy się rozstawali. Nie po męsku i małodusznie postąpiłem ówej nocy wobec mojego szwagra. Pozdrow go i powiedz mu, że proszę, by mi przebaczył.

Krystyna siedziała z pochyloną głową. Szymon widział, że zarumieniła się aż po chustkę na głowie.

– Czy chcesz zanieść to zlecenie swemu małżonkowi? – spytał.

Skinęła lekko głową. Po chwili Szymon ciągnął dalej:

– Gdyby Erlend nie przybył na mój pogrzeb, musisz iść sama do niego i powiedzieć mu to.

Krystyna siedziała niema, purpurowa na twarzy.

– Chyba nie odmówisz mi wyświadczenia tej przysługi, skoro cię proszę w godzinie śmierci?

– Nie – szepnęła. – Uczynię to.

– To źle dla twoich synów, Krystyno, że między ich ojcem a matką nie ma zgody – zaczął Szymon po chwili. – Sam siebie pytam, czy nie widzisz, jak bardzo ich to dręczy. Ciężko tym żywym chłopakom, że obgadują ich rodziców w dolinie.

Krystyna odrzekła twardo i cicho:

– To Erlend, nie ja, opuścił swoich synów. Najpierw stracili wszelkie oparcie w gminach, gdzie się urodzili, skąd pochodził ich ród i dziedzictwo. Jeśli zaś teraz muszą znieść to, że gadanie o ich rodzicielskim domu roznosi się po tej dolinie, z której ja pochodzę, to naprawdę, nie ja jestem temu winna.

Szymon leżał chwilę milcząc. Potem przemówił:

– Nie zapominam, Krystyno, że masz powody, aby skarżyć się na niejedno; źle dbał Erlend o swoich najbliższych. Ale musisz pamiętać o tym, że gdyby się jego plan udał, jego synowie byłiby teraz zabezpieczeni, on zaś sam byłby jednym spośród najpotężniejszych rycerzy w tym państwie. Zdracą króla nazywa się człowieka, którego zamierzenia się nie powiodły, jeśli jednak uda mu się je przeprowadzić, wówczas ludzie mówią o nim całkiem inaczej. Pół Norwegii myślało tak samo jak Erlend, że źle na tym wychodzimy mając wspólnego króla ze Szwedami i że całkiem innym mężem byłby syn Knuta Porse aniżeli ten maminsynek – oczywiście gdyby się nam udało sprowadzić kawalera Haakona w młodzieńczym wieku. Wielu stało wówczas za Erlendem, ciągnęło za ten sam sznur, a kiedy sprawa wyszła na jaw, opuścili go i haniebnie się pochowali; tak uczynili moi własni bracia i wielu mężów, którzy uchodzą za dzielnych i prawych rycerzy. Erlend sam upadł. I wtedy, w tej sprawie, twój małżonek, Krystyno, pokazał, że jest dzielny i odważny, bez względu na to, jaki był przedtem i potem.

Krystyna siedziała cicho, cała drżąca.

– Sądzę, Krystyno, że jeśli z tego powodu rzuciłaś Erlendowi gorzkie słowa, to musisz je cofnąć. Chyba potrafisz to, Krystyno; dawniej tak mocno stałaś przy Erlendzie, nie znosiłaś nigdy słowa prawdy o jego zachowaniu wobec ciebie, nawet wówczas, kiedy postępował tak, jak według mnie nie powinien był nigdy postąpić uczciwy mąż, nie mówiąc już o panu z dostojnego rodu i dobrze wychowanym dworaku. Czy przypominasz sobie, jak was przytapałem w Oslo? To mogłaś Erlendowi przebaczyć już wtedy, a także i potem.

Krystyna rzekła cicho:

– Związałam przecież mój los z jego losem. Co by się stało wówczas ze mną, gdybym go opuściła?

– Spójrz mi w oczy, Krystyno – rzekł Szymon Darre – i odpowiedz prawdę. Gdybym upierał się przy słowie danym mi przez twego ojca, gdybym wolał cię wziąć taką, jaką byłaś, zapewnił cię, iż nigdy nie usłyszysz ode mnie o swej hańbie, ale zwolnić bym cię nie chciał – co byś wówczas uczyniła?

– Nie wiem.

Szymon zaśmiał się twardo.

– Gdybym groźbami zmusił cię do poślubienia mnie, na pewno nigdy nie wzięłabyś mnie dobrowolnie w ramiona, moja piękna Krystyno?

Krystyna zbladła przeraźliwie, siedziała nieruchomo, z oczyma wbitymi w ziemię, nie odpowiadając. Zaśmiał się znowu.

– Nie przypuszczam, abys mnie czule przyjęła, gdybym wstąpił w twą ślubną łóżnicę.

– Zdaje mi się, że wzięłabym sztylet z sobą do łóża – szepnęła zduszonym głosem.

– Widzę, że znasz piosenkę o Knucie, panu na Borg – Szymon uśmiechnął się szorstko. – Nigdy nie słyszałem, żeby coś takiego miało się zdarzyć naprawdę. Ale Bóg raczy wiedzieć, czy ty nie uczyniłaś tego, ty!

Po chwili dodał:

– To przecie zupełnie niesłychane między chrześcijanami, by małżonkowie w ten sposób, wedle własnego widzimisie, zrywali swe pożycie, jak wy to uczyniliście, bez prawnej przyczyny i bez zezwolenia biskupa. Czy wam nie wstyd? Wszystko podeptaliście, wszystkiemu stawiliście czoło, aby tylko siebie dostać. Wtedy, kiedy życie Erlenda było w niebezpieczeństwie, o niczym innym nie myślałaś, tylko o jego ocaleniu, a i on myślał raczej o tobie niż o waszych siedmiu synach, o swym dobrym imieniu i majątku. Kiedy jednak możecie żyć razem w pokoju, nie umiecie zachować zgody i przyzwoitości. Niepokój i niesnaski panowały między wami także na Husaby, widziałem to njeraz, Krystyno.

Powiadam ci, przez wzgląd na twoich synów musisz starać się pogodzić ze swym mężem. Jeśli mniejsza wina jest po twojej stronie, to łatwiej ci przyjdzie pierwszej wyciągnąć rękę do zgody – dodał łagodnie. – Łatwiej ci to przyjdzie niż Erlendowi synowi Mikołaja, który żyje tam, na Haugen w ubóstwie – rzekł z naciskiem Szymon.

– Niełatwo mi to będzie uczynić – szepnęła. – Wydaje mi się, że dałam dowód, jak wiele mogę zrobić dla swych dzieci. Walczyłam ciągle i walczyłam dla nich.

– To szczerą prawdą – powiedział Szymon. Potem spytał: – Może

pamiętasz dzień, kiedy spotkaliśmy się na gościńcu niedaleko Nidaros? Siedziałas w trawie i karmiłaś Naakkvego.

Krystyna pótaknęła.

– Czy uczyniłaabyś dla niemowlęcia to, co zrobiła moja siostra dla swego syna? Czy oddałabyś go ludziom, którzy by lepiej mogli się nim zaopiekować?

Krystyna potrząsnęła głową.

– Ale czy nie sądzisz, że ze względu na Naakkvego i pozostałych sześciu synów musisz przewyciężyć siebie i prosić ich ojca, aby puścił w niepamięć słowa wyrzeczone do niego w gniewie? Czy naprawdę nie potrafisz powiedzieć swemu mężowi, że dla dobra synów musi powrócić do nich i do swego dworu?

– Zrobię tak, jak sobie życzysz, Szymonie – odrzekła cicho Krystyna. – Twardych słów użyłeś, by mi to powiedzieć – dodała po chwili. – Już i dawniej karcieś mnie nieraz ostrzej aniżeli jakikolwiek inny świecki człowiek.

– Mogę cię zapewnić, iż dziś czynię to po raz ostatni. – Głos jego nabrał żywego, przekornego tonu z dawnych lat. – No, nie płaczże tak, Krystyno; ale nie zapomnij, siostrze, o tym, coś obiecała umierającemu. – Raz jeszcze zalsnił w jego oczach dawny swawolny błysk: – Wiesz przecież, Krystyno, musiałem kiedyś zrozumieć, że nie zawsze można na tobie polegać.

Uspokój się, najdroższa – prosił po chwili słysząc jej urywane bolesne łkanie. – Wierz mi, nie zapomnę nigdy, że byłaś dla mnie zawsze dobrą i wierną siostrą. Ostatecznie zostaliśmy przecie przyjaciółmi, moja Krystyno.

Pod wieczór prosił, aby posłali po księdza. Przybył sira Eirik, wypowiadał go, udzielił ostatniego namaszczenia i podał mu wiatyk. Szymon żegnał się z dworską służbą i synami Erlenda, z pięcioma, którzy byli w domu – Naakkvego posłała Krystyna na Kruke. Szymon chciał widzieć się z dziećmi Krystyny i pożegnać się z nimi.

Krystyna i tej nocy czuwała przy konającym. Nad ranem zdrzemnęła się na chwilę. Obudził ją jakiś dziwny głos: Szymon leżał i jęczał cichuteńko. Wstrząsnęło nią to głęboko, że słyszy S z y m o n a żałującego się cicho i boleśnie niby biedne opuszczone dziecko, kiedy

przypuszczał, że nikt nie słucha. Pochyliła się nad nim i całowała jego twarz wiele razy. Zauważyła przy tym, że oddech i ciało chorego czuć już trupem. Gdy jednak zaczęło dzień, ujrzała, że jego wzrok jest ciągle żywy, przytomny i mocny.

Gdy Jon i Sigurd podnieśli go na prześcieradle, a ona przetrząsnęła posłanie i ułożyła poduszki, jak tylko mogła najwygodniej i najmięcej, widziała, że cierpi straszne bóle. Już cały dzień nie chciał nic jeść, ale dręczyło go okrutne pragnienie.

Kiedy ułożyła chorego z powrotem, prosił, aby go przeżegnała.

– Teraz i lewym ramieniem nie mogę już poruszać.

...Ale kiedy czynimy ów znak nad nami samymi albo nad czymkolwiek, co byśmy pod krzyża opiekę oddać chcieli, wówczas powinniśmy przypomnieć sobie, dlaczego krzyż został uświęcony, jakie jest jego znaczenie, oraz pamiętać, że przez mękę i śmierć Pana otrzymał swe dostojeństwo i siłę.

Szymon przypomniał sobie, że słyszał niegdyś te słowa. Zwykle, kiedy się żegnał albo błogosławił znakiem krzyża swój dom i swoje włości, niewiele się nad tym zastanawiał. Czuł się nieprzygotowany i źle zaopatrzone na odejście z tego świata. Lecz pocieszał się tym, że o ile mu czasu starczyło, przygotował się spowiedzią i ostatnimi sakramentami. Ramborga... ona jest taka młoda, może weselsza będzie w pożyciu z innym mężem. A dzieci... Bóg weźmie je pod swą opiekę, Gyrd zaś będzie dbał o nie wiernie i rozumnie. Tak więc musiał się zdać na Boga, który nie sądzi człowieka wedle jego wartości, lecz wedle swej łaski.

W ciągu dnia przyjechała Sigrida i Geirmund z Kruke. Szymon chciał, aby Krystyna wyszła z izby i wypoczęła; już dość długo czuwała nad nim i pielęgnowała go. – Wkrótce będzie męczarnią przebywać obok mnie – rzekł ze słabym uśmiechem. Wówczas na moment wybuchnęła gwałtownym łkaniem, potem pochyliła się znowu i całowała biedne ciało, które już zaczęło się rozkładać. Szymon leżał cicho. Gorączka i cierpienie nie były teraz tak silne jak dotąd. Leżał i myślał, że niedługo zostanie już wyzwolony.

Dziwił się sam, że w ten sposób rozmawiał z Krystyną. Właściwie nie to przecie zamierzał jej powiedzieć. Ale nie mógł mówić inaczej. Był niemal zły na siebie.

Wkrótce już zimna zgorzel dosięgnie jego serca. Serce człowieka: pierwsze, co budzi się do życia w łonie matki, i ostatnie, co w człowieku umiera. Teraz już wkrótce uspokoi się w nim na wieki.

Wieczorem majaczył w gorączce. Parę razy jęknął tak boleśnie, że straszno było słuchać. Potem jednak leżał znowu cicho, uśmiechał się sam do siebie i wymawiał swoje własne imię, jak sądziła Krystyna; lecz Sigrida, która siedziała pochylona nad nim, szepnęła, że mówi o swym kuzynie, serdecznym przyjacielu lat chłopięcych. Około północy uspokoił się całkiem, zdawało się, że śpi. Wtedy udało się Sigridzie namówić Krystynę, by położyła się w drugim łożu.

Obudził ją niepokój w izbie, było na krótko przed świtem. Usłyszała, że zaczęło się konanie. Szymon stracił mowę, ale wciąż jeszcze poznawał Krystynę, widziała to po jego oczach. Potem jak gdyby załamał się nagle ich stalowy błysk, stanęły w ślup i znikły pod powiekami. Ale wciąż jeszcze leżał i charczał, i żył. Ksiądz przyszedł i czytał modlitwy za umierających; przy łożu siedziały obie kobiety, cała czeladź zebrana była w izbie. Wreszcie na godzinę przed południem Szymon oddał ducha.

W dzień potem Gyrd Darre wjechał na dziedziniec w Formo. Po drodze zegnał na śmierć konia. Już w dole na Breidinie dowiedział się o śmierci brata, tak że początkowo panował nad sobą. Ale kiedy siostra z płaczem rzuciła mu się na szyję, przygarnął ją do siebie i sam rozplakał się jak dziecko.

Ramborga córka Lavransa leży na Dyfrinie z nowo narodzonym synem, opowiadał. Zaraz po przybyciu Gautego krzyknęła przeraźliwie, iż wie, że Szymon umiera. Potem w bólach upadła na ziemię. Dziecko przyszło na świat o sześć tygodni za wcześniej, ale jest nadzieja, że będzie żyło.

Wyprawiono Szymonowi synowi Andrzeja wspaniały pogrzeb i piękną stypę, i pochowano go tuż przy prezbiterium obok kościoła Świętego Olafa. Ludzie w gminie byli bardzo zadowoleni, że tutaj wybrał sobie miejsce wiecznego odpoczynku. Stary ród na Formo, który po mieczu skończył się na Szymonie synu Saemunda, był potężny i poważany. Astrida córka Szymona wyszła bogato za mąż,

a jej synowie piastowali godność rycerzy i zasiadali w radzie królewskiej, lecz rzadko tylko zaglądali na dziedziczny dwór matki. Kiedy więc wnuk Astridy osiadł na Formo, zdawało się ludziom, że stary ród na nowo rozkwita; zapomnieli, że Szymon syn Andrzeja jest obcym przybyszem, i smucili się bardzo, że musiał umierać tak młodo, miał bowiem dopiero czterdzieści dwa lata.

5

Tydzień po tygodniu mijał i Krystyna przygotowywała się w duchu, aby zanieść Erlendowi zlecenie zmarłego. Zaprawdę chciała to uczynić, ale ciężko jej było się na to zdobyć. Tymczasem we dworze było tyle do roboty. Co dzień staczała z sobą walkę, czy wolno jej tak długo zwlekać.

Okolo białej niedzieli powróciła na Formo Ramborga córka Lavransa; dzieci pozostawiła na Dyfrinie. Jest im tam dobrze, odpowiedziała, gdy Krystyna o nie pytała. Obie córki płakały gorzko i smuciły się z powodu śmierci ojca; Andrzej był za młody, by cokolwiek rozumieć. Najmłodszy, Szymon syn Szymona, chowa się zdrowo i, zdaniem wszystkich, wyrośnie kiedyś na dużego, silnego chłopca.

Ramborga poszła parę razy do kościoła i na grób męża, poza tym nie opuszczała dworu. Krystyna jeździła do niej, ilekroć mogła. Teraz pragnęła gorąco poznać lepiej tę swoją młodą siostrę. Wdową wyglądała tak dziecinnie w żałobnych szatach, ciało jej robiło wrażenie wiotkiego i nierozwiniętego w ciężkim granatowym odzieniu. Spod płóciennej chustki wyzierała mała, trójkątna twarzyczka, żółta i szczupła pod czarnym, wełnianym welonem, spadającym w sztywnych fałdach aż prawie po rąbek sukni. Wielkie oczy podkrążone były ciemnymi kołami, a szeroko rozwarte źrenice czarne jak węgiel.

Podczas sianokosów przez cały tydzień nie miała Krystyna czasu odwiedzić siostry. Od czeladzi tylko posłyszała, że Ramborga gości u siebie na Formo Jammaelta syna Halvarda. Krystyna pamiętała, że Szymon wspominał o tym człowieku; miał on wielki dwór niedaleko Dyfrina i Szymon zaprzyjaźniony był z nim od dziecka.

Potem w czasie żniw przez cały tydzień padał deszcz, wybrała się więc konno do siostry. Siedziała i mówiła o niepokodzie i sianie, wy-

pytywała o gospodarke na Formo, gdy wtem Ramborga odezwała się:
– Teraz Jon musi się tu ze wszystkim uporać, za parę dni odjeżdżam na południe, Krystyno.

– Tęskno ci pewnie za dziećmi, biedaczko – zauważyła Krystyna.

Ramborga podniosła się i zaczęła chodzić tam i z powrotem po izbie.

– Dowiesz się o czymś, co cię zdziwi – powiedziała po chwili. – Ty i twoi synowie będziecie wkrótce zaproszeni do Dyfrina na zrękowiny; dałam Jammaeltowi słowo, zanim stąd odjechał, i Gyrd wyda mnie za mąż.

Krystyna siedziała w milczeniu. Siostra stanęła przed nią i utkwiała w niej czarne, szeroko rozwarłe oczy. Wreszcie starsza powiedziała:

– Widzę, że niedługo chcesz żyć we wdowieństwie. Sądziłam, że wielka jest twoja żalność po Szymonie. Ale przecież sama sobą rozporządzasz.

Ramborga nie odpowiedziała, więc Krystyna spytała po chwili:

– Czy Gyrd Darre wie, że tak prędko chcesz wyjść powtórnie za mąż?

– Tak. – Ramborga znów poczęła chodzić po izbie. – Helga mi doradzała. Jammaelt jest bogaty – roześmiała się. – A Gyrd jest mądrym człowiekiem, dawno już spostrzegł, że Szymon i ja nie żyliśmy dobrze ze sobą.

– Co też ty wygadujesz! Na pewno nikt nie mógł zauważyć, byście źle żyli ze sobą – powiedziała Krystyna. – Nie wiem, czy ktokolwiek widział między wami co innego prócz przyjaźni i dobrej woli. Szymon we wszystkim zostawiał ci swobodę, dawał ci wszystko, czego pragnęłaś, wciąż miał na uwadze twoją młodość i starał się, abyś jej mogła używać; oszczędzał ci wszelakiej pracy i trudu. Dzieci kochał i zawsze dawał ci dowody, jak bardzo ci jest wdzięczny, żeś mu tych dwoje urodziła.

Ramborga uśmiechnęła się szyderczo. Wówczas Krystyna rzekła popędliwie:

– Jeżeli istotnie sądzisz, że nie żyliście z sobą dobrze, to naprawdę nie Szymon ponosi tu winę.

– Nie – powiedziała Ramborga – ja biorę winę na siebie, jeśli ty się na to nie odważysz.

Krystyna siedziała zdumiona.

– Zdaje mi się, że nie wiesz, co mówisz, siostró – wybuchnęła.

– Wiem – odparła Ramborga. – Ale chętnie uwierzę, że ty nie wiesz. Tak mało myślałaś o Szymonie, wierzę, że to dla ciebie nowina. Był on ci dobry wtedy, gdy szukałaś schronienia, gdy potrzebowałaś przyjaciela, który dla ciebie z radością kładł rękę w ogień. Nigdy nie obchodził cię Szymon na tyle, byś zapytała, ile go to kosztuje. Ja mogłam się cieszyć swoją młodością, owszem, wesoło i chętnie sadzał mnie Szymon na siodło i słał w gościnę, abym się bawiła. Tak samo chętnie przyjmował mnie, gdym wracała, jak głąkał swoje psy i konie; nie brakowało mu mnie nigdy, gdziekolwiek byłam.

Krystyna podniosła się, stanęła cicho przy stole.

Ramborga załamywała ręce, aż trzeszczało w stawach, nieustannie chodziła po izbie.

– Jammaelt... – mówiła nieco spokojniej. – Już wiele lat temu zrozumiałam, co on o mnie myśli. Widziałam to jeszcze za życia jego żony. Nie sądz jednak, że zdradził się kiedykolwiek słowem lub ruchem. On sam tak bardzo boleje po stracie Szymona, często do mnie przychodził, by mnie pocieszyć, to prawda. I Helga powiedziała do nas obojga, że byłoby dobrze, abyśmy... I doprawdy nie wiem, na co mam czekać. Nic już nigdy nie pocieszy mnie bardziej lub mniej. Teraz mam ochotę spróbować, jak się żyje z człowiekiem, który od lat o m n i e myślał i milczał. Wiem już dobrze, co znaczy żyć z człowiekiem, który o innej myśli i milczy.

Krystyna stała nieruchomo.

Ramborga zatrzymała się przed nią z błyszczącymi oczyma.

– Wiesz dobrze, że to, co powiedziałam, jest prawdą.

Cicho, z pochyloną głową, wyszła Krystyna z izby. Kiedy w deszczu stała na dziedzińcu czekając, aż parobek przyprowadzi jej konia, Ramborga wyszła przed drzwi, utkwiała w starszej siostrze czarne, pełne nienawiści oczy.

Dopiero nazajutrz przypomniała sobie Krystyna o przyrzeczeniu danym Szymonowi na wypadek powtórnego małżeństwa Ramborgi. Po raz wtóry udała się na Formo, choć jej to lekko nie przyszło.

A najgorsza była świadomość, że nie może powiedzieć niczego, co by dla młodszej siostry było pomocą lub pociechą. To małżeństwo z Jammaeltem na Aelinie wydawało jej się nie dość przemyślane, z powodu nastroju, w jakim znajdowała się obecnie Ramborga. Ale Krystyna rozumiała, że wszelkie odradzanie byłoby bezskuteczne.

Ramborga była mrukliwa, w złym humorze i ledwie półgębkiem odpowiadała siostrze. Nie chciała się stanowczo zgodzić, aby jej pasierbica zamieszkała na Jörund.

– Na twoim dworze nie wszystko jest tak bardzo w porządku, abym uważała za wskazane posyłać tam młodą dziewczynę.

Krystyna odrzekła łagodnie, że Ramborga może mieć słuszność, ale ona przyrzekła Szymonowi ofiarować się z tym.

– Jeśli Szymon w szaleństwie gorączki nie rozumiał, że obraża mnie prosząc cię o tę przysługę, to przynajmniej ty powinnaś wiedzieć, że krzywdzisz mnie mówiąc o tym – powiedziała Ramborga i Krystyna musiała wrócić z niczym.

Następny ranek zapowiadał piękną pogodę. Gdy jednak synowie zeszli na ranny posiłek, powiedziała Krystyna, żeby siano zwieźli bez niej, ona bowiem zamierza udać się w podróż i możliwe, że nie będzie jej kilka dni.

– Chcę pojechać w góry, do Dovre, odwiedzić waszego ojca – powiedziała. – Postanowiłam prosić go, by zapomniał o nieporozumieniu między nami, i chcę go spytać, kiedy do nas powróci.

Synowie poczerwienieli i nie śmieli podnieść oczu, ale Krystyna widziała dobrze, jak bardzo są uradowani. Przyciągnęła do siebie Munana i pochyliła się nad nim.

– Pewnie nie bardzo pamiętasz swojego ojca, maleńki?

Chłopczek skinął głową milcząco, oczy mu rozblęły. Jeden po drugim spoglądali synowie na matkę; tak młodą miała twarz i taka była piękna, jak już od lat jej nie pamiętali.

Wkrótce potem wyszła już ubrana do drogi, w odświętnej szacie: w czarnej wełnianej sukni wyszywanej przy szyi i na rękawach niebieskim i srebrnym jedwabiem, w czarnym okryciu z kapuzą, bez rękawów, ponieważ było lato. Naakkve i Gaute osiodłali wierzchow-

ca matki i swoje; chcieli ją odprowadzić. Krystyna nie sprzeciwiała się temu. Lecz niewiele mówiła z synami podczas jazdy na północ przez Rost i w górę ku Dovre. Przez cały prawie czas była milcząca i zadumana, a gdy mówiła z nimi, to o innych zgoła rzeczach, nie o swojej wyprawie.

Gdy już zajechali tak daleko, że przez las zaczęły przeświecać na tle nieba dachy domostw na Haugen, kazała chłopcom zawrócić.

– Rozumiecie chyba, że ojciec i ja mamy wiele rzeczy do omówienia, o których najchętniej porozmawialibyśmy w cztery oczy.

Bracia skinęli, pokłornili się matce i zawrócili konie.

Świeży górski wiatr owiał chłodem gorące policzki Krystyny. Gdy dotarła na ostatni stopień płaskowyzu, słońce wyłączało małe, szare domy rzucając długie cienie na dziedziniec. Tu w górach zboże zaczynało dopiero się kłosić, stało bujne na małych półkach połyskując i kołysząc się na wietrze. Wokoło na zwałach piargów i wierzchołkach skał lśniła wysoka powiewna wierzbówka, cała w kwieciu; siano ułożone było w kopy. Ale cały dwór był jak wymarły, nawet pies nie zaszczekał.

Krystyna zdjęła siodło z konia i poprowadziła go do koryta z wodą. Bała się puszczać go wolno, zabrała go zatem do stajni. Słońce wpadało do wnętrza przez wielką dziurę w dachu, dani zwisła całymi kępami spośród belek; nic nie wskazywało na to, że stał tu ostatnio koń. Krystyna oporządziła zwierzę i wyszła z powrotem na dziedziniec.

Zajrzała do obory. Była ciemna i pusta. Po zapachu poznała, że już długi czas stoi próżna.

Na ścianie mieszkalnego domu suszyło się kilka rozciągniętych surowych skór; kiedy podeszła bliżej, zawirował z bzykiem rój niebieskich much. Na północną ścianę domu nałożone były warstwy darni i torfu aż pod sam okap. Pewnie Erlend zrobił to dla ochrony przed mrozem.

Krystyna spodziewała się, że izba będzie zamknięta. Ledwie jednak nacisnęła klamkę, drzwi się uchylły. Erlend nie zamknął nawet drzwi swego domu.

Niezdolny zaduch buchnął w nią, gdy wchodziła: gorzki, surowy zapach skór i stajni. Uczucie gryzącego żalu i współczucia – to było pierwsze, czego doznała stanąwszy w izbie. To mieszkanie wydało jej się raczej podobne do nory.

– Ach tak, tak, tak, Szymonie, miałeś słuszość!

Niewielka ta izba była dawniej ładna i wygodna. Piec miał mурowany komin, taki jak piec u nich w domu, aby dym nie szedł na izbę. Kiedy jednak chciała otworzyć dymnik, by wypuścić stęchłe powietrze, spostrzegła, że komin jest zamknięty paru płaskimi kamieniami. Szyba w oknie wychodzącym na przedsiónek była rozbita i zatkana szmatami. Drewniana podłoga w całej izbie pokryta była tak grubą warstwą brudu, że ledwie można było dojrzeć deski. Ani jednej poduszki nie było na ławach, wszędzie za to wisiała i poniewierała się broń, skóry i stare ubrania. Na brudnym stole ujrzała resztki pożywienia; nad wszystkim zaś bzykały roje much.

Nagle wzdrygnęła się i stanęła drżąca, bez tchu, z bijącym sercem. W stojącym w głębi łożu, tam gdzie to leżało wówczas, gdy tu była po raz ostatni, leżało teraz coś zakrytego zgrzebną płachtą. Nie wiedziała, co myśleć.

Potem zacisnęła zęby, zmusiła się, by podejść i podnieść płachtę. Ale tylko zbroja, hełm i tarcza Erlenda leżały na gołych deskach łoża.

Krystyna spojrziała na drugie łoże. W nim właśnie znaleziono Bjórna i Aashildę. Teraz sypiał tu Erlend. Tej nocy może ona sama będzie tutaj spała.

Jakże się musiał czuć Erlend w tym domu, jakże mógł mieszkać i sypiać tutaj? Znowu w litości zatraciły się wszystkie inne uczucia. Podeszła do łoża – już od długiego czasu nie było prześcierań. Siano pod skórzany prześcieradłem było ubite i twarde. Nie było w łożu nic oprócz paru owczych skór i poduszek obleczonek we fryzę. Gdy podniosła koce, buchnął tuman kurzu i pyłu. Łoże Erlenda nie lepsze było od barłogu koniucha w stajni.

Erlend, który nigdy nie miał dość wspaniałości wokół siebie, Erlend, który ubierał się w jedwabną koszulę, aksamity i kosztowne futra przy lada sposobności, który martwił się, że dzieci jego chodzą w powszedni dzień w samodziałach, i nie mógł znieść tego, że

Krystyna sama je karmiła i wraz z dziewczkami spełniała roboty domowe, niby żona chałupnika, jak zwykł był mawiać.

Jezu! Ale to przecie była jego własna wina.

„...Nie, nie powiem ani słowa, cofnę wszystko, co powiedziałam. Miałeś słuszość, Szymonie! Ojciec moich synów nie może tutaj pozostać. Podam mu rękę i usta i będę go błagała o przebaczenie. Nie przyjdzie mi to lekko, Szymonie, ale ty miałeś słuszość”.

Przyszły jej na myśl bystre szare oczy i spojrzenie, które niemal do końca pozostało jednakowo mocne. W biednym ciele, które już zaczęło się rozkładać, błyszczała w oczach Szymona jasna i czysta myśl, dopóki dusza nie została odwołana i nie znikła jak cofnięte ostrze. Wiedziała, że było tak, jak mówiła Ramborga. Ją jedną miłował przez te wszystkie lata.

Każdego dnia w ciągu wszystkich miesięcy od jego śmierci musiała myśleć o nim i teraz zdawało się jej, że wiedziała o tym, zanim jeszcze wypowiedziała to Ramborga. Była zmuszona w tym czasie przemyśleć ponownie wszystkie wspomnienia, które pozostały jej o Szymonie Darre, odkąd go znała. Przez tyle lat nosiła fałszywe wyobrażenie o człowieku, który był jej narzeczonym; obchodziła się ze wspomnieniami o nim, jak zły rządca kraju obchodzi się z monetą mieszając nieszlachetny kruszec ze srebrem. Kiedy Szymon zwrócił jej wolność, a winę zerwania wziął na siebie, wówczas wmówiła sobie i wierzyła w to, iż się odwrócił od niej z pogardą dlatego, że jest zhańbiona. Zapomniała, iż tego dnia, kiedy zwrócił jej wolność w ogrodzie klasztornym, z pewnością ani przez myśl mu nie przeszło, że nie jest czysta i niepokalana. Ale już wtedy był gotów wziąć na siebie winę za jej niestałość i nieposłuszeństwo; żądał jedynie, aby jej ojciec wiedział, że nie on złamał dane mu słowo.

I o t y m także teraz wiedziała. Gdy się dowiedział o najgorszym, odważnie wystąpił, aby uratować przed światem choćby cień jej czci. Gdyby wtedy mogła ku niemu zwrócić swą skłonność, pojąłby ją i wówczas jeszcze przed ołtarzem za żonę i próbowałby z nią żyć tak, aby nie odczuła nigdy, że pamięta o jej hańbie.

A mimo to wiedziała, że nigdy nie mogłaby go pokochać. Nigdy nie mogłaby pokochać Szymona syna Andrzeja, mimo że Szymon posiadał wszystkie te zalety, których nigdy ku jej największej rozpaczycy nie

miał Erlend. Ale w takim razie ona sama jest nędzną, politowania godną kobietą.

Bez końca dawał Szymon człowiekowi, którego miłował. A Krystyna sądziła, że i ona tak czyni.

Lecz gdy przyjmowała jego dary, bezmyślnie i bez podziękowań, uśmiechał się. Teraz zrozumiała, jak nieraz ciężko było mu na duszy, kiedy byli razem. Teraz wiedziała, że pod dziwnie nieruchomym obliczem kryło się cierpienie; wtedy rzucał zwykle kilka żartobliwych słów, ciskał wszystko i znów stawał gotów, by bronić, pomagać i dawać.

Ona jednak szalała i każdy ból przechowywała w pamięci, i pogłębiała go, gdy się zdarzało, że obdarowywała Erlenda, a on tego nie widział.

Tutaj w tej izbie stała i mówiła owe harde słowa: „Ja sama zesłam na bezdroża i nigdy nie oskarżę Erlenda, nawet gdyby mnie zawiódł w przepaść”. Te słowa wyrzekła do kobiety, którą popchnęła w śmierć, by zrobić miejsce swej miłości.

Jęknęła głośno, załamała na piersiach ręce, stała drżąca. Tak, przecież powiedziała dumnie, że nie oskarży Erlenda syna Mikołaja, choćby mu się sprzykrzyła, choćby ją zdradził, choćby ją nawet opuścił!

Tak – gdyby Erlend to uczynił – zdawało jej się, że mogła by dotrzymać słowa. Gdyby ją raz zdradził, i to tak, aby się wszystko skończyło. Ale on jej nie zdradził, tylko wciąż łudził zamieniając jej życie w ciągły lęk i niepewność. Nie, nie zdradził jej nigdy, ale też nigdy nie mogła żyć w spokoju i nie widziała temu końca: oto teraz znowu stoi gotowa błagać go, aby wrócił i co dnia na nowo napełniał ją niepewnością i niepokojem, pustymi obietnicami, tęsknotą, trwogą i zawodnymi nadziejami.

I miała uczucie, że jest zupełnie przez niego złamana. Nie miała tyle młodości ani sił, by żyć z nim dalej, a przecież nigdy nie będzie także dość stara, by Erlend nie mógł igrać jej miłością. Nie dość młoda, by móc z nim żyć, i nie dość stara, by mieć dla niego wyrozumienie. Stała się politowania godną kobietą, była nią zawsze. Szymon miał słuszność.

Szymon i ojciec. Obaj wytrwali w wiernej miłości do niej, chociaż

obydwu zdeptała dla tego człowieka, z którym teraz sama już dłużej żyć nie mogła.

O, Szymonie, wiem, że nigdy, ani przez chwilę nie pragnąłeś zemścić się na mnie, ale chciałabym wiedzieć, czy czujesz w grobie, jak bardzo zostałeś pomszczony!

Nie, nie mogła już dłużej wytrzymać, musiała się czymś zająć. Zastała łożę i szukała jakiegoś wiechcia lub miotły, ale takich rzeczy nie było w izbie. Zajrzała do komory i teraz zrozumiała, czemu w izbie tak cuchnęło stajnią: Erlend wyporządził tę komorę dla swego konia. Było w niej schludnie i czysto. Siodło i uprząż wiszące na ścianie utrzymane były w porządku i wysmarowane, zadarcia w skórze naprawione.

I znowu uczucie litości przegnało wszystkie inne myśli. Czy umieścił Sotena tutaj, aby nie być zupełnie samotnym w tym domu?

W tej chwili posłyszała, że ktoś wchodzi do przedsionka. Podeszła więc do okna; było pokryte grubą warstwą kurzu i pajęczyn, ale zdawało jej się, że dostrzega postać kobiecą. Wyciągnęła szmaty i spojrzała. Jakaś kobieta stawiała wiadro z mlekiem i kładła obok mały ser. Była stara, kulawa, brzydka i ubogo ubrana. Krystyna zaledwie uświadomiła sobie, z jaką ulgą odetchnęła.

Posprzątała izbę, jak mogła najlepiej. Na jednej z belek w podłużnej ścianie znalazła napis umieszczony tam przez Björna syna Gunna-
ra; był on po łacinie, zatem nie wszystko mogła odczytać, lecz Björn zwał tam siebie zarówno *Dominus*, jak *Miles* i wyczytała nazwę jego dworu rodzinnego w okręgu Elve, który stracił przez Aashildę córkę Gautego. Między delikatnymi rzeźbami poczesnego miejsca umiesz-
czony był jego herb: jednorożec wśród lilii wodnej.

W chwilę potem zdawało się Krystynie, że słyszy stąpanie konia. Wyszła do przedsionka i wyjrzała na dwór.

Z liściastego lasu leżącego powyżej dworu schodził duży, czarny ogier zaprzężony do ładu drzewa. Erlend szedł z boku i trzymał cugle. Na górze na pniach siedział pies, parę innych skakało wokół.

Soten kastylijczyk naprężył szleje i ciągnął płozy z drzewem przez trawę dziedzińca. Jeden z psów z głośnym ujadaniem pomknął przez murawę. Erlend zaczął wypręgać, ale zauważył z zachowania psów, że zaszło coś niezwykłego. Wziął więc topór i poszedł w stronę domu.

Krystyna uciekła z powrotem do izby i zatrzasnęła za sobą drzwi. Drżąc przywarła do pieca, stanęła i czekała.

Wszedł Erlend z toporem w rękę, a przed nim i za nim skoczyły przez próg psy. Natychmiast znalazły gościa i zaczęły głośno szczekać.

Pierwsze, co Krystyna ujrzała, to fala krwi, która zalała jego twarz, młoda i purpurowa. Żywe drganie delikatnych miękkich ust, wielkie oczy głęboko w cieniu brwi.

Na jego widok zabrakło jej tchu. Wprawdzie widziała dawno nie goleny zarost na jego twarzy, widziała, że nie pielęgnowane włosy są siwe jak stal, ale krew napływała i odpływała szybkimi falami z jego policzków jak wówczas, gdy byli młodzi. Był tak młody i piękny, jak gdyby nic go ugiąć nie mogło. Był nędznie ubrany. Niebieska kószula była brudna i podarta; na niej miał skórzany kubrak poszarpany i popękany, z poprzerewanymi dziurkami, lecz miękko i obciśle uwydatniający jego gibkie, sprężyste ciało. Opięte skórznie były na jednym kolanie rozdarte, na drugiej nodze pęknięte z tyłu w szwie. A mimo to nigdy bardziej nie wyglądał na potomka książąt i dostojników aniżeli w tej chwili. Spokojnie, z godnością poruszał się wysoce, smukły, o szerokich, nieco pochylonych barach i długich kształtnych członkach; stał wspierając lekko ciężar ciała na jednej nodze, jedną rękę zatknąwszy za pas, w drugiej dzierżąc opuszczony topór.

Zawołał psy do siebie i stał, spoglądał na Krystynę, rumienił się i bladł, i nie mówił słowa. Długą chwilę milczeli oboje. Wreszcie odezwał się trochę niepewnym głosem:

- Przybyłaś do mnie, Krystyno?
- Chciałam przecież zobaczyć, jak ci się tu wiedzie – odparła.
- No, teraz zobaczyłaś. – Przebiegł wzrokiem izbę. – Jak widzisz, jest mi tu znośnie. Dobrze się składa, że właśnie dziś przychodzisz, gdy u mnie ładnie posprzątane. – Spostrzegł ledwie dostrzegalny uśmiech na jej twarzy. – A może to ty posprzątałaś? – spytał śmiejąc się cichutko.

Odłożył topór i usiadł na zewnętrznej ławie oparty plecami o stół. Nagle spoważniał.

– Czemu tak stoisz?... Chyba nic złego nie wydarzyło się w domu... to znaczy na Jörund... z chłopcami?

– Nie. – Teraz miała sposobność powiedzieć, z czym przysła. – Nasi synowie są zdrowi i sprawują się dobrze, ale tęsknią za tobą, Erlendzie. Po to przybyłam, mój małżonku. Prosić, byś do nas powrócił. Brak ciebie bardzo nam wszystkim – spuściła oczy.

– Wyglądasz dobrze, Krystyno. – Patrzył na nią z uśmiechem.

Krystyna zarumieniała się, jak gdyby uderzył ją w twarz.

– To nie dlatego...

– Wiem, nie dlatego – ciągnął Erlend, gdy się zająknęła – żeś zbyt zdrowa i młoda, aby być jak wdowa. Nie sądzę jednak, aby coś dobrego wynikło z mojego powrotu do domu, Krystyno – mówił poważnie. – W twoich rękach udaje się wszystko na Jörund. Wiem o tym, masz szczęście we wszystkim, co przedsięweźmiesz. A ja zadowolony jestem z tego, co mam tutaj.

– Dla chłopców niedobrze jest, że żyjemy poróżnieni – odpowiedziała cicho.

– Są tacy młodzi; nie sądzę, by brali to zbyt do serca i nie zapomnieli o tym, gdy dorosną. A poza tym – dodał z uśmiechem – od czasu do czasu spotykam się z nimi.

Wiedziała o tym, ale słowa jego odczuła jak upokorzenie i jak gdyby mu właśnie na tym zależało. Sądził bowiem, że nie domyśla się niczego. Synowie również nie wiedzieli, że matka wie o tym. Lecz odpowiedziała poważnie:

– W takim razie wiesz także, że na Jörund nie wszystko idzie tak jak powinno.

– Nie rozmawiamy nigdy o takich sprawach – mówił śmiejąc się jak przedtem. – Chodzimy na polowania... Ale ty pewnie jesteś głodna i spragniona. – Zerwał się. – I wciąż jeszcze stoisz. Chodź, usiądź tu, na poczesnym miejscu, proszę cię, zrób to, moja kochana! Nie będzie nam tu za ciasno.

Przyniósł mleko i ser, postawił na stole chleb, masło i suszone mięso. Krystyna była głodna i przede wszystkim spragniona, mimo to z trudem przetykała jedzenie. Erlend jadł szybko i nie-

dbale jak zwykle, kiedy nie był między obcymi; ale szybko skończył.

Jedząc opowiadał o sobie. Ludzie ze stoków gór uprawiali mu rolę, przynosili mleko i trochę żywności, on spędzał czas przeważnie w górach na polowaniu i rybołówstwie. Zresztą zamierza opuścić kraj, powiedział nagle. Przyjmie służbę u jakiegoś zagranicznego rycerza.

– Och nie, Erlendzie!

Spojrzał na nią prędko i badawczo. Nie powiedziała jednak nic więcej. W izbie zapadał mrok, jej twarz i chustka na głowie jaśniały białą plamą na tle ciemnej ściany. Erlend podniósł się i rozniecił ogień, po czym usadowił się okrakiem na zewnętrznej ławie, zwrócony ku niej; czerwony, migotliwy blask pełgał po jego postaci.

Jak mógł nawet myśleć o czymś podobnym! Był prawie w tym wieku co jej ojciec, gdy umarł. A było zupełnie możliwe, że pewnego dnia zrobi to, wyjedzie na poszukiwanie nowych przygód.

– Czyż nie dość tego – zaczęła gwałtownie Krystyna – że opuściłeś dolinę, uciekłeś od swych synów i ode mnie. Chcesz jeszcze z kraju wyjechać!

– Gdybym wiedział, co o mnie myślisz, Krystyno – odparł Erlend poważnie – opuściłbym wcześniej t w ó j dwór. Ale teraz dopiero pojmuję, jak w i e l e musiałaś cierpieć z mojego powodu.

– Wiesz przecie dobrze, Erlendzie... mówisz, że t o m ó j dwór, ale jako małżonek masz prawo rozporządzać całym moim mieniem. – Czuła, że jej głos staje się miękki.

– Tak – rzekł Erlend. – Ale wiem równie dobrze, że byłem złym włodarzem swojego dobytku. – Milczał chwilę. – Przypominam sobie ów czas, kiedy miał się urodzić Naakkve; mówiłaś wtedy o tym synu, którego nosiłaś pod sercem, który miał zająć poczesne miejsce po mnie. Teraz rozumiem, Krystyno, jak ciężko ci nieraz było... Naprawdę, najlepiej, aby wszystko zostało, jak jest. Mnie dobrze tutaj – z tym życiem.

Z dreszczem rozejrzała się Krystyna po mrocznej izbie. Cienie zasnuwały teraz każdy kąt, płomień chybotał i tańczył.

– Nie rozumiem doprawdy – mówiła bliska zupełnie załamania – jak możesz znieść życie w tym domu. Nie masz czym zająć, jesteś zupełnie sam, myślę, że mógłbyś przynajmniej wziąć sobie parobka.

– Sądziś, że powinienem się zająć dworem – Erlend roześmiał się.
– O nie, Krystyno, wiesz przecież, jak mało nadają się na chłopca. Nie mogę usiedzieć w spokoju.

– W spokoju? Ależ tu chyba masz spokój całą długą zimę.

Erlend uśmiechał się, zapatrzony przed siebie dalekim, dziwnym spojrzeniem.

– Tak, w pewien sposób: kiedy nie potrzebuję myśleć o niczym innym prócz tego, co mi się właśnie przez głowę przewija, kiedy mogę chodzić, gdzie chcę, i robić, co mi się podoba. Poza tym wiesz, jak to u mnie bywa: gdy nie muszę czegoś robić, to mogę spać. Śpię też jak niedźwiedź w norze, gdy pogoda nie sprzyja włóczeniu się po górach.

– I nie boisz się nigdy być tu sam? – szepnęła Krystyna.

Spojrzał na nią jakby nie rozumiejąc, o co pyta. Potem roześmiał się.

– Ponieważ mówią, że tu straszy? Nigdy nic nie zauważyłem. Czasami pragnąłem nawet, by mnie odwiedził mój krewniak Björn. Pamiętasz, powiedział on kiedyś, że źle się spiszę mając nóż na gardle. Mam ochotę powiedzieć rycerzowi, że wcale mnie strach nie obleciał, kiedym poczuł postronek na szyi.

Długi dreszcz przebiegł ciałem kobiety. Siedziała w milczeniu.

Erlend podniósł się.

– Czas iść na spoczynek, Krystyno.

Sztywna, zdrętwiała patrzyła, jak Erlend rozpostarł na brudnych poduszkach płachtę, którą była nakryta zbroja.

– To najlepsze, co posiadam – rzekł.

– Erlendzie! – zacisnęła ręce pod piersią. Szukała słów, którymi by przemówić mogła, chciała zyskać na czasie, było jej straszno. Nagle przypomniała sobie zlecenie, z którym przybyła. – Erlendzie, mam zlecenie dla ciebie. Gdy Szymon leżał na łożu śmierci, prosił mnie, bym cię pozdrowiła od niego i powiedziała, że każdego dnia żałował słów, które powiedział, gdyście się po raz ostatni rozstawali. Nazwał je niemęskimi i błagał, byś mu przebaczyła.

– Szymon? – Erlend zatrzymał się, ręką objął słup łoża, patrzył w ziemię. – O tym człowieku wolałbym nigdy nie wspominać.

– Nie wiem, co zaszło między wami – rzekła Krystyna; słowa Erlenda wydały jej się dziwnie nieczułe. – Ale dziwne byłoby i nie

pasujące do Szymona, gdyby sprawa tak się miała, jak on ją przedstawił, i gdyby był naprawdę tak mało szlachetny wobec ciebie. Pewno nie cała wina była po jego stronie.

Erlend potrząsnął głową.

– Stał przy mnie jak brat, gdy byłem w potrzebie – mówił cicho. – A ja przyjmowałem jego pomoc i przyjaźń, i nie przeczuwałem, iż ciężko mu było znosić moją obecność. Zdaje mi się, że dawniej życie było lżejsze, kiedy dwóch takich młodzieńców jak on i ja wyzywało się na pojedynek, potykało się na samotnej wyspie i oręż rozstrzygał, do którego z nich ma należeć nadobne dziewczę.

Wziął z ławy stare okrycie, przerzucił je sobie przez ramię.

– Chcesz może, bym ci zostawił psy na noc w izbie?

Krystyna podniosła się.

– Dokąd idziesz, Erlendzie?

– Do stodoły. Tam będę spał.

– Nie! – Erlend zatrzymał się i stał, smukły, młody i gibki, w słabym, czerwonym blasku gasnącego ognia. – Nie mogę sama tu leżeć, w tej izbie. Boję się.

– A czy nie boisz się spać w moich ramionach? – W ciemności wyczuła jego uśmiech, ugięła się pod nim. – Czy nie boisz się, że na śmierć ci zaduszę, Krystyno?

– Gdybyś zechciał! – rzuciła mu się w ramiona.

Gdy się obudziła, dostrzegła przez okno, że dniaje. Na piersi poczuła coś ciężkiego, Erlend spał, głowę przytulił do niej, ramieniem mocno objął ją w pól.

Krystyna popatrzyła na stalowe, siwe włosy męża. Potem na swoje własne zapadnięte, małe piersi, ponad i pod którymi rysowały się wyraźnie pod cienką skórą łuki żeber. Jedno po drugim przesuwaly się przed nią wydarzenia tej nocy i dziwny strach nią owładnął. W tej izbie... w ich wieku. Przerażenie i wstyd przytłoczyły ją, gdy spojrzała na krwią nabiegłe znaki na wychudłych macierzyńskich ramionach, na wyschniętej piersi. Gwałtownie chwyciła skórę, by się nakryć.

Erlend obudził się, uniósł się na łokciach, wpatrzył się w jej twarz. Czy jego były po przebudzeniu czarne jak węgiel.

– Myślałem... – rzucił się znowu ku niej; w niej zaś zadrgało wszystko, gdy posłyszała jego triumfujący i trwożny głos. – Myślałem, że znowu śnię.

Rozchyliła wargi na jego ustach i zarzuciła mu ręce na szyję. Nigdy, nigdy nie było tak cudownie.

Po południu słońce przybrało już żółty odcień, a długie cienie kładły się na murawie. Wyszli, by nanieść wody z potoku. Erlend niósł dwie wielkie konwie, Krystyna szła obok niego, swobodna, gibka i szczupła. Chustka zsunęła się jej z głowy i opadła na ramiona, włosy połyskiwały w słońcu jak brąz. Gdy zamykała oczy i podnosiła twarz ku słońcu, czuła, że policzki jej stały się rumiane, a rysy twarzy złagodniały. A ilekroć spojrzała ukradkiem na Erlenda, spuszczała w onieśmieleniu oczy widząc, jaki jest młody.

Erlendowi zachciało się kąpać; podczas gdy wchodził głębiej w wodę, Krystyna siedziała na łące, plecami oparta o skałę. Jednostajny bulgot i szmer górskiego potoku usypiał ją chwilami; gdy komary i muchy dotykały jej twarzy, otwierała oczy i odganiała je ręką. W dole między wikliną przeświecało białe ciało Erlenda, oparł nogę na kamieniu i wycierał się wiązka trawy. Znowu zamykała oczy i uśmiechała się w błogim znużeniu. Wobec niego była zawsze jednakowo bezsilna.

Erlend przyszedł i wyciągnął się przed nią na trawie; włosy miał mokre, zimne od wody, czerwone usta przycisnął mocno do jej ręki. Ogolił się i włożył lepszą koszulę, ale zbyt piękna i ta nie była. Ze śmiechem włożył rękę pod pachę, *gdzie była rozdarta.*

– Mogłaś mi przynieść koszulę, kiedy się tu wybrałaś.

– Skoro tylko wrócę do domu, zaraz uszyję ci i wyhaftuję koszulę, Erlendzie – odrzekła z uśmiechem dotykając dłonią jego czoła. Uchwycił mocno jej rękę.

– Nie odjedziesz stąd nigdy, Krystyno moja.

Uśmiechnęła się tylko i nic nie odpowiedziała. Erlend odsunął się nieco i położył na brzuchu. Pod krzakami, w wilgotnym cieniu rośla kępka małych białych gwiazdnic. Ich płatki były niebiesko żółkowane niby pierś kobiety, w środku każdego kwiatu tkwił ma-

leńki niebiesko-brązowy guziczek, Erlend zrywał je jeden po drugim.

– Tyś taka uczona w tych rzeczach, Krystyno, pewnie wiesz, jak się nazywają te kwiaty?

– To ziele Friggi¹. Nie, Erlendzie. – Pokraśniała i odsunęła jego rękę, gdy chciał jej wsunąć kwiaty za stanik.

Erlend śmiał się i leciutko gryzł białe płatki. Potem wszystkie kwiaty złożył w jej otwartej dłoni i zacisnął palce.

– Pamiętasz jeszcze, jak spacerowaliśmy razem w ogrodzie szpitala Hofvin? Dałaś mi wówczas różę.

Krystyna potrząsnęła głową, uśmiechnęła się.

– Nie. Toś ty mi wziął różę z ręki.

– Ale tyś pozwoliła, bym ją wziął. I tak samo pozwoliłaś, bym wziął ciebie, Krystyno. Taka byłaś łagodna i skromna jak róża, a potem nieraz kłułaś mnie do krwi, moja miła. – Rzucił się w przód i objął ją mocno: – Tej nocy, Krystyno, nic ci nie pomogło, nie byłaś wcale spokojna i nie siedziałaś łagodnie i wyczekująco.

Krystyna pochyliła głowę i ukryła ją na jego ramieniu.

Czwartego dnia schronili się do brzozowego lasu wśród pagórków powyżej dworu, tego dnia bowiem dzierżawca miał znosić siano. A chociaż nie mówili o tym, postanowili zgodnie, by nikt nie wiedział, że Krystyna bawi u męża. Erlend schodził parę razy do domów w dole po żywność, ona jednak pozostawała w górze na wrzosowiskach między brzozami. Stamtąd też widziała teraz, jak dzierżawca i jego żona znoszą wielkie wiązki siana na plecach.

– Czy przypominasz sobie – zapytał Erlend – jak mi niegdyś przyrzekłaś, że przyjdiesz do mnie i będziesz mi prowadziła dom, kiedy osiadę w małym dworze w górach? Czy chcesz mieć tu ze dwie krowy i cielęta?

Krystyna uśmiechała się i bawiła jego włosami.

¹ Frigga – największa z germańskich bogiń, małżonka Odyna, opiekunka małżeństw.

– Co by pomysleli nasi synowie o tym, że matka w ten sposób od nich odeszła?

– Sądzę – odparł Erlend ze śmiechem – że bardzo by im się podobało, gdyby mogli sami rządzić na Jörund. Są dosyć dorośli. Gaute jest przecie gospodarzem na schwał mimo młodego wieku, a i Naakkve jest niemal mężczyzną.

– Ach nie – matka śmiała się cicho. – On sam wprowadzie tak myśli, oni wszyscy pięciu tak myślą; ale jeszcze wiele brakuje, by Naakkve doszedł do prawdziwie męskiego rozumu.

– A jeśli się wda w ojca, to może się zdarzyć, że późno dojdzie do niego albo i nigdy – odrzekł Erlend. Uśmiechnął się chytrze. – Ty myślisz, że wciąż jeszcze muszą się trzymać twojej kiecki, Krystyno. Naakkve tego lata został ojcem, o tym na pewno nie wiedziałaś?

– Nie! – poczerwieniała z przerażenia.

– Dziecko urodziło się nieżywe, a chłopak boi się tu więcej pokazywać; była to wdowa po synu Paala, stąd, z Haugsbrekken. Mówiła, że to jego dziecko, i całkiem niewinny nie był on w tej sprawie, choć nie wiadomo, jak się to tam stało. Tak, tacy starzy już jesteśmy oboje, ty i ja.

– I ty możesz tak spokojnie mówić o tym, że twój syn niesławę posiał i zmartwienie? – Dotknęło ją boleśnie, że mąż tak niefrasobliwie o tym mówi i że jakby go to bawiło, że o niczym nie wiedziała.

– Jakże mam mówić, na Boga? – zapytał Erlend. – Chłopiec ma osiemnaście zim; widzisz sama, niewiele pomaga, że chodzisz ciągle koło swych synów i strzeżesz ich, jakby byli niemowlętami. Skoro się do mnie sprowadzisz, pomyślimy, by go ożenić.

– Sądzisz, że łatwo będzie znaleźć dla Naakkwego równą mu stanem żonę? Nie, po tym, co usłyszałam, myślę, iż chyba sam rozumiesz, że musisz wrócić ze mną do domu i pomóc mi trzymać chłopaków w korbach.

Erlend uniósł się porywczo na łokciu.

– Tego nie uczynię, Krystyno. Obcy jestem i obcy pozostanę w twojej gminie, tam każdy człowiek pamięta jedynie, że zostałem skazany za zdradę króla i kraju. Czyś nie pomyślała nigdy w ciągu tych lat, kiedy przebywałem na Jörund, że się tam źle czułem? Byłem przyzwyczajony z domu, ze Skaun, posiadać inne znaczenie wśród

ludzi. Nawet wówczas, w młodości, kiedy obiegały pogłoski o moim złym prowadzeniu się, kiedy pozostawałem pod klątwą, to jednak zawsze byłem Erlendem synem Mikołaja na Husaby! Potem nadszedł czas, że miałem szczęście pokazać tym ludziom na północy, iż niezupełnie odrodziłem się od mych przodków. Nie, powiadam ci. Tutaj, na tym małym dworze, jestem wolnym człowiekiem. Nikt nie śledzi mych kroków ani nie obmawia mnie za plecami. Słyszysz, Krystyno, jedyna, kochana, zostań tu ze mną! Nigdy nie będziesz miała powodu żałować tego. Tu mieszka się lepiej niż kiedykolwiek na Husaby. Nie wiem, jak się to stało, Krystyno, ale tam nigdy nie było mi radośnie i lekko na sercu ani w dzieciństwie, ani potem. Piekło przeżyłem tam z Eliną, a również my oboje, ty i ja, nigdyśmy się tam z całego serca nie radowali... Choć Bóg wszechmocny wie, że cię kochałem każdego dnia, każdej godziny, odkąd cię poznałem. Myślę, że dwór był urzeczony, matka moja na śmierć się tam zadrczyła, a ojciec mój nigdy nie był wesołym człowiekiem. Tu nam dobrze będzie, jeśli tylko zechcesz pozostać przy mnie. Krystyno, jak prawdą jest, że Bóg dla nas śmierć poniósł na krzyżu, kocham cię dzisiaj jeszcze tak samo jak w ową noc, kiedyś spała pod moim okryciem, ową noc po świętej Małgorzacie. Siedziałem wtedy i patrzyłem na ciebie, byłaś tak czystym i świeżym, młodym i niezłamanym kwiatem.

– A czy pamiętasz, Erlendzie – odpowiedziała cicho Krystyna – jak modliłeś się owej nocy, abym nigdy nie wylała przez ciebie ani jednej łzy?

– Bóg i wszyscy święci w niebiesiech widzą, że szczerze to myślałem! Prawdą jest, że stało się inaczej. Pewnie tak być musiało – tak dzieje się zawsze, póki człowiek żyje tu na ziemi. Ale miłowałem cię, czy byłem zły dla ciebie, czy dobry. Zostań tu, Krystyno!

– Czy nie pomyślałeś nigdy o tym, że synom twoim byłoby ciężko, jeśliby o ich ojcu tak mówiono, jak rzekłeś. Przecież nie sposób, by wszyscy siedmiu przed ludzkim gadaniem schronili się w góry.

Erlend spuścił oczy.

– Oni są młodzi, są urodziwi i odważni. Dadzą sobie radę. My, Krystyno, nie mamy już tyłu lat przed sobą, zanim nadejdzie starość. Chcesz zmarnować ten czas, kiedy jeszcze jesteś zdrowa i piękna, i stworzona do radowania się życiem, Krystyno?

Opuściła wzrok pod blaskiem jego oczu. Po chwili odezwała się:

– Zapominasz, Erlendzie, że dwóch naszych synów to dzieci jeszcze... Jak sądzisz, co byłabym warta, gdybym opuściła Lavransa i Munana?

– No, to musisz wziąć ich tutaj ze sobą, o ile Lavrans nie zechce raczej pozostać przy braciach. Przecie to nie jest już mały chłopaczek. A Munan jeszcze wciąż taki śliczny? – zapytał z uśmiechem.

– Tak – odparła – jest pięknym dzieckiem.

Długo siedzieli w milczeniu. A gdy znów zaczęli rozmawiać, mówili o innych rzeczach.

Nazajutrz obudziła się o świtaniu, jak co rano tu w górach; leżała i nasłuchiwała tupotu koni w komorze obok. Tuliła mocno głowę Erlenda do piersi. W inne dni, ilekroć budziła się o szarej wczesnej godzinie, zawsze ogarniała ją ta sama trwoga i wstyd co za pierwszym razem i walczyła ze sobą, by stłumić te uczucia. Byli poważnymi małżonkami, obecnie zaś pogodzili się; dla dzieci wszakże najlepiej było, że ojciec i matka stali się znów przyjaciółmi.

Ale tego rana leżała i usiłowała myśleć o dzieciach. Bo była jakby zaczarowana: wprost z lasów na Gerdarud, gdzie ją po raz pierwszy uściskał, uniósł ją Erlend tutaj. Byli tacy młodzi, nie mogło być prawdą, że siedmiu synów urodziła już temu mężowi; że była matką dużych, dorosłych mężczyzn. Miała uczucie, że tu, w jego ramionach, śniła tylko o tych długich latach, które przeżyli razem na Husaby. Wszystkie jego lekkomyślne słowa wabiły ją i dźwięczały na nowo w jej uszach, z trwożnym drżeniem przeżywała uczucie, że Erlend zdejmuje z niej siedmiokrotne brzemię odpowiedzialności. Tak chyba musi się czuć młoda klacz, kiedy wyprężona stoi na błoniu; zdjęto z niej juki, siodło i uzdę, wicher i górskie powietrze owiewa ją. Stoi wolna i lekka, może skubać pachnącą trawę i biec wszędzie, dokąd zechce.

A jednocześnie tęskniła w słodkiej, pełnej oczekiwania gotowości za tym, by nosić nowe brzemię. Tęskniła już z tkliwym oszołomieniem za maleńką istotką, która przez dziewięć długich miesięcy będzie najbliższa jej sercu. Była tego zupełnie pewna od pierwsze-

go rana, kiedy zbudziła się tutaj w ramionach Erlenda, że wraz z zawziętą, przekorną oschłością serca ustąpiła bezpłodność. Nośiła dziecię Erlenda w łonie i z dziwnie łagodną niecierpliwością dusza jej wyczekiwała chwili, w której miało ono ujrzeć światło dzienne.

„Moi dorośli synowie nie potrzebują mnie już – myślała. – Uważają jedynie, że jestem nudna, że się zbytnio mieszam do ich spraw. Będziemy im teraz zawadzali, małeństwo i ja. Nie, nie mogę stąd odejść, musimy pozostać z Erlendem. Nie mogę odejść”.

Ale kiedy zasiedli do rannego posiłku, zaczęła jednak mówić o tym, że musi wracać do domu, do dzieci.

Myślała o Lavransie i Munanie. Obaj byli teraz na tyle dorośli, że wstyd ją ogarniał na myśl, aby ci synowie zamieszkali przy niej i Erlendzie; zdumionymi oczyma spoglądaliby może na odmłodzonych rodziców. A jednak ci dwaj nie mogli się jeszcze obejść bez matki.

Erlend siedział i wpatrywał się w nią uporczywie, gdy mówiła o powrocie do domu. W końcu przelotny uśmiech zaigrał na jego twarzy.

– Dobrze, skoro tak chcesz jechać, to jedź.

Chciał jej towarzyszyć w drodze. Zjechali więc razem na dół – przez Rost do Sil, do miejsca, gdzie przez wierzchołki sosen przeświecał szczyt wieży kościelnej. Tutaj pożegnał ją. Aż do ostatniej chwili uśmiechał się, dziwnie pewny siebie.

– Tak, teraz więc wiesz, Krystyno, czyli za dnia, czy też w nocy zawitasz do mnie – czy krótko, czy długo będę musiał na ciebie czekać – powitam cię tak, jakbyś była królową niebios, zstępującą spośród obłoków na mój dwór.

Roześmiała się.

– Tak pięknie nie umiem przemawiać. Ale teraz wiesz, przyjacielu, że wielka radość zapanuje w twoim domu, kiedy pan wróci na swój dwór.

Potrząsnął głową i zaśmiał się znowu. Z uśmiechem pożegnali się. Z uśmiechem pochylił się Erlend ku niej, konie ich ocierały się

o siebie; całował ją wiele, wiele razy, a między jednym pocałunkiem a drugim patrzył na nią roześmianymi oczyma.

– Zobaczymy – rzekł wreszcie – kto z nas dwojga jest bardziej uparty, Krystyno moja. Nie ostatni raz się spotykamy, wiemy o tym dobrze ty i ja.

Kiedy Krystyna przejeżdżała obok kościoła, wzdrygnęła się. Miała uczucie, że oto wraca z głębi gór, że Erlend sam jest królem gór i nie może przejechać koło kościoła i krzyża na wzgórzu. Ściągnęła mocniej cugle. Miała największą ochotę zawrócić i jechać za nim.

Potem spojrzała na zielone łąki i na swój piękny dwór, okolony pastwiskami i polami oraz srebrnymi zakrętami rzeki. Szczyty gór wznosiły się w błękitnej otchłani, po niebie gonily skłębione chmury. To było głupstwo! Tam, przy synach, był dom Erlenda. Nie był on żadnym królem gór, był chrześcijańskim mężem, choć głowę miał pełną dziwacznych zachcianek i nierozsądnych pomysłów. Był jej prawowitym małżonkiem, z którym przeżyła dobre i złe czasy, i kochała, kochała go, jakkolwiek dręczył ją nieraz swymi nieobliczalnymi humorami. Musiała wytrzymać z nim, ponieważ nie mogła żyć bez niego; musiała sobie zadać trud i znosić cicho i pokornie trwogę i niepewność u jego boku. Wierzyła, że niedługo już, a wróci do niej – teraz, kiedy znowu byli przez pewien czas razem.

6

Synom powiedziała, że ojciec ma jeszcze niejedno do załatwienia na Haugen, zanim wróci do domu. Należy go oczekiwać z początkiem jesieni.

Krzętała się po dworze, młoda, zarumieniona, z łagodnym, tkliwym wyrazem twarzy, zwinna i obrotna, ale robota nie szła jej tak sporo jak dawniej, kiedy zachowanie jej było spokojne i zrównoważone. Nie karciała teraz ostro synów, jak to było jej zwyczajem, ilekroć źle wykonali jakieś zlecenie albo coś przeszkrobali. Rzucała tylko żartobliwe słowo lub przepuszczała im milcząco przewinienie.

Lavrans chciał spać na poddaszu razem ze starszymi braćmi.

– Tak, ciebie można już zaliczyć do dorosłych chłopców, mój synu.

– Zanurzyła palce w bujnych, złotobrązowych włosach chłopca i przytuliła go do siebie; sięgał jej teraz do piersi. – Ale ty, Munanie, pozwoliłś chyba, że matka będzie cię jeszcze jakiś czas uważała za dziecko? – Wieczorami, kiedy chłopiec kładł się spać w izbie na dole, lubił, by matka siadała obok niego i pieściła go trochę. Leżał wtedy z głową wtuloną w jej łono i szczebiotał o wiele dziecinniej niż za dnia, kiedy go bracia mogli słyszeć. Rozmawiali o tym, kiedy ojciec powróci.

Potem usuwał się pod ścianę i matka przykrywała go. Zapalała świecę, brała przygotowaną do łątania odzież synów i zaczynała szyc.

Wyciągała klamrę z sukni i ręką dotykała piersi. Były krągłe i jędrne jak u młodziutkiej kobiety. Odsuwała rękaw aż po barki i oglądała przy świetle nagie ramię. I ono było bielsze i pełniejsze. Potem podnosiła się i przechadzała się po izbie. Czuła, jak lekko stąpa w miękkich ciżmach domowych; głaskała się po smukłych biodrach: nie były już takie kościste i suche jak biodra mężczyzny. Krew krążyła w jej ciele niby żywotne soki w drzewie na wiosnę. To młodość w niej rosła.

Poszła z Fridą do warzelni i lała ciepłą wodę na ziarno przeznaczone na świąteczny sład. Frida zapomniała zajrzeć we właściwym czasie, ziarno wyszło więc zupełnie. Ale Krystyna nie zląła dziewczyny, z łagodnym uśmiechem słuchała jej tłumaczeń. Po raz pierwszy zdarzyło się, że sama zapomniała dopilnować sładu.

Na Boże Narodzenie Erlend będzie już w domu. Musi powrócić natychmiast, skoro pošle mu tę wieść. Tak szalony przecie nie jest, aby nie ustąpić, musi zrozumieć, że ona nie może teraz, kiedy jest przy nadziei, przeprowadzić się na Haugen, z dala od wszystkich ludzi. Ale chociaż już była pewna, chciała jeszcze czas pewien poczekać z tą wiadomością, aż poczuje życie dziecka. Drugiej jesieni, jaką spędzali tutaj na Jörund, musiała – jak to powiadają ludzie – zawrócić z drogi. Wówczas jednak rychło się pocieszyła. Nie obawiała się, że tym razem mogłoby się tak stać – to b y ł o n i e m o ż l i w e . A jednak...

Czuła, jak gdyby musiała całą swą istotę pochylić czujnie nad małym, delikatnym życiem, które pod sercem nosiła – podobnie jak ręką osłania się nikiły, dopiero co rozpalony płomyk.

Pewnego dnia późną jesienią przyszli do matki Ivar i Skule i powiedzieli, że chcą jechać do ojca: w górach jest teraz tak pięknie. Chcieli go prosić, by ich zabrał podczas przymrozków jesiennych na łowy.

Naakkve i Björgulf siedzieli przy szachownicy, przestali grać i przysłuchiwali się.

– Nie wiem – rzekła Krystyna; nie pomyślała bowiem dotychczas; kogo ma posłać z tą wiadomością. Spojrzała na obu wyrostków. Jej samej zdawało się to głupie, ale nie mogła się zdobyć na powiedzenie im tego. Mogła im polecić, by zabrali ze sobą Lavransa, i prosić go, by mówił sam na sam z ojcem. On był taki młody, na pewno nie zadziwiłby się. A jednak...

– Wasz ojciec wnet tu przyjedzie – powiedziała wreszcie. – Zatrzymacie go tylko. Poza tym ja sama muszę mu wkrótce przesłać wiadomość.

Bliźniacy byli niezadowoleni. Wówczas Naakkve uniósł głowę znad szachownicy i rzekł krótko:

– Zróbcie, jak wam matka każe, chłopcy.

Na krótko przed Bożym Narodzeniem posłała Krystyna Naakkvego do Erlenda: – Musisz mu rzec, mój synu, że tęskno mi za nim bardzo – i wam wszystkim również. – O tym nowym, co się dołączyło, nie wspomniała: nieprawdopodobne jej się wydawało, by dorosły chłopak nic nie zmiarkował. Mógł sam postanowić, czy ma donieść o tym ojcu.

Naakkve powrócił nie zastawszy ojca. Erlend pojechał do doliny Raum, otrzymał bowiem wiadomość, że jego córka z mężem przeprowadza się do Björgvinu i chce się spotkać z ojcem na Veöy.

To było zrozumiałe. Krystyna leżała po nocach bezsennie, od czasu do czasu głaskała śpiącego obok niej Munana. Smuciła się bardzo, że Erlend nie przyjedzie na Boże Narodzenie. Lecz było zrozumiałe, że chciał się widzieć z córką, gdy się po temu nadarzała sposobność. Bez ustanku ocierała łzy toczące się po twarzy. Znowu płakała tak łatwo jak wówczas, kiedy była młoda.

Zaraz po Bożym Narodzeniu umarł sira Eirik. Jesienią Krystyna odwiedziła parokrotnie chorego na Romund. Była też obecna na jego pogrzebie. Poza tym jednak nie pokazywała się teraz nigdy między ludźmi. Śmierć starego proboszcza odczuła jako wielką stratę.

Na pogrzebie posłyszała, że paru ludzi spotkało Erlenda na Lezji: wracał więc na Haugen. A zatem wnet przyjedzie.

W następne dni siadywała na ławie pod małym oknem, chuchała na wydobyte z dna skrzyni zwierciadło, przecierała je wciąż i badawczo oglądała swoje odbicie.

W ostatnich latach była opalona jak chłopka, ale teraz śladu z tego nie zostało. Płeć jej była biała, a okrągłe policzki różowe niczym na malowanym obrazku. Taka piękna nie była od czasu swego panieństwa. Krystyna siedziała i aż jej dech zapierało ze zdumienia i szczęścia.

Nareszcie będą mieli córkę, której Erlend sobie tak gorąco życzył, o ile prawdą jest, co powiadają mądre kobiety. Magnhilda... Tym razem muszą zerwać ze zwyczajem i wziąć naprzód imię jego matki.

Majaczyło jej coś, jakby dawno zasłyszana baśń: siedmiu synów, którzy z powodu nie narodzonej siostrzyczki wygnani zostali w dziką puszcę i tam się błakali. Potem śmiała się sama z siebie, nie rozumiała, jak mogło jej coś takiego przyjść do głowy.

Wyjęła z koszyka koszulę z cieniutkiego, białego płótna, którą szyla tylko wtedy, gdy nikt nie widział. Wyciągała nitki z tkaniny i haftowała ptaki i zwierzęta na przezroczystej kratce; lata minęły już od czasu, kiedy robiła takie śliczne rzeczy. Ach, oby Erlend t e r a z wrócił, dopóki jest piękna z powodu swego stanu, młoda i smukła, kwitnąca i bujna.

Wkrótce po świętym Grzegorzu nastąpiła piękna, niemal wiosenna pogoda. Śnieg tajał i błyszczał niczym srebro, na zboczach zwróconych ku słońcu brunatniła się już gdzieś tam ziemia, a góry wznosiły się w oparach niebieskiej mgły.

Pewnego dnia Gaute stał na dziedzińcu i naprawiał złamane sianie. Naakkve oparty o ścianę domu przyglądał się robocie brata. Od strony

kuchni zbliżała się właśnie Krystyna, w obu rękach niosąc wielką dziecę ze świeżo upieczonym pszennym chlebem.

Gaute spojrział na matkę, położył siekiere i świder na saniach, pobiegł za nią i wzięwszy dziecę zaniósł ją do spichrza.

Krystyna przystanąła, zarumieniona. Kiedy Gaute powrócił, podeszła do synów.

– Sądzę, że w najbliższych dniach powinniście udać się do ojca i rzec mu, żeby koniecznie wrócił i przejął ode mnie nadzór nad dworem. Nie na wiele przydają się obecnie i prawdopodobnie w porze wiosennej siejby wypadnie mi pozostać w domu.

Młodzi chłopcy wysłuchali jej uważnie i zaczerwienili się również; ale matka widziała, że z serca są radzi. Naakkve oświadczył z udaną obojętnością:

– Możemy wyruszyć dziś po południu, jak myślisz, bracie?

Już nazajutrz koło południa posłyszała Krystyna tętent na dziedzińcu. Wyszła przed dom; Naakkve i Gaute wrócili sami. Stali obok koni ze spuszczoneymi oczyma i milczeli.

– Co odpowiedział wasz ojciec? – spytała matka.

Gaute stał wsparty na oszczepie, patrzył dalej w ziemię. Wreszcie Naakkve przemówił:

– Ojciec prosił nas, byśmy ci rzekli, że całą zimę co dnia oczekiwał cię u siebie. Powiedział, że nie mniej będzie ci rad aniżeli ostatnim razem, kiedyś bawiła u niego.

Krystyna bladła i czerwieniła się na przemian.

– Czy nie powiedzieliście ojcu, jak rzeczy stoją: że niedaleki jest czas, kiedy znowu zlegnę?

Gaute odparł nie podnosząc oczu:

– Ojciec zdawał się sądzić, iż to nie jest powodem, dla którego nie moglibyście sprowadzić się na Haugen.

Krystyna stała przez chwilę w milczeniu.

– Co powiedział? – spytała cicho i ostro.

Naakkve chciał odrzec, Gaute jednak zrobił lekki ruch ręką i spojrział prędko, błagalnie na brata. Mimo to starszy syn zaczął mówić:

– Ojciec kazał ci powiedzieć: kiedyś to dziecę poczęła, wiedziałaś

dobrze, jak bogatym jest człowiekiem. A jeśli od tego czasu nie stał się zamożniejszy, to i nie zbiedniał również.

Krystyna odwróciła się od synów i poszła z wolna do domu. Ciężko, z ogromnym znużeniem osunęła się na ławę pod oknem, na którym wiosenne słońce roztopiło już resztę lodu i szronu.

T a k było. Prosiła o to, by spać w jego ramionach – ona pierwsza. Ale niepięknie było z jego strony przypominać jej teraz o tym. Szkaradnie postąpił Erlend przesyłając jej taką odpowiedź przez synów.

Wiosenna pogoda utrzymywała się nadal. Potem przez tydzień dął południowy wiatr i lał deszcz, rzeka wezbrała, toczyła się potężna i hucząca. Szumiąc spływały potoki ze wszystkich zboczy dokoła, z gór spadały lawiny. Potem znowu zajaśniało słońce.

Pewnego wieczora stała Krystyna w szarogranatowym mroku za zabudowaniami dworskimi. W krzewach nisko na polach ptaki zносиły się śpiewem. Gaute i bliźniacy poszli na hale, chcieli zapolować na cietrzewie. Co rana ze wszystkich zboczy dokoła dworu słychać było ich tokowanie.

Przycisnęła rękę do piersi. Teraz krótki tylko pozostawał jej czas i musiała cierpliwie wytrwać do końca. Pewnie, nieraz było ciężko i niemiło żyć z nią... Nierozsądna była w swej ustawicznej trosce o dzieci – nudna, jak mówił Erlend. Mimo to zdawało jej się, że teraz zbyt jest nieustępliwy. Ale wnet przyjdzie czas, że będzie musiał powrócić do niej, sam wiedział o tym doskonale.

Słońce i słońca następowały na przemian. Pewnego popołudnia zawołali ją synowie. Wszyscy domownicy wylegli na dziedziniec. W poprzek ponad całą doliną zawisły trzy tęcze, najbliższa z nich opierała się o domy na Formo, jaśniała i mieniła się żywo barwami, dwie dalsze zaś były bledsze i rozplywały się w dali.

Gdy stali i oglądali przepiękne, dziwne zjawisko, nagle świat poszarzał i pociemniał. Z południa gnała śnieżna nawałnica. Śnieg padał tak gęsto, że w jednej chwili cały świat zbiełał.

Wieczorem opowiadała Krystyna Munanowi o królu Snjev i jego ślicznej śnieżnobiałej córce imieniem Mjöll, i o królu Haraldzie Luva,

który wychowywał się u olbrzymów w górach na północ od Dovre. Ze smutkiem i żalem myślała, że już lata minęły, kiedy tak siedziała i opowiadała bajki swoim dzieciom; szkoda, że nie zajęła się pilniej Lavransem i Munanem. Teraz wkrótce i oni będą dużymi chłopcami. Kiedy tamci byli mali w domu na Husaby, opowiadała wieczorami baśnie niejedną, niejedną raz.

Spostrzegła, iż dorośli synowie przysiedli i słuchają; zarumieniła się i urwała. Munan prosił ją, by opowiadała dalej. Naakkve powstał i zbliżył się do nich.

– Czy pamiętacie, matko, sagę o Torsteinie Uksafot i trollach z Wyźniego Boru? Opowiedzcie nam ją!

Podczas gdy opowiadała, naszły ją wspomnienia: siedzieli i odpoczywali przy posiłku w brzoźowym gaju nad rzeką, jej ojciec ze żniwiarzami, kobiety i mężczyźni. Ojciec leżał na brzuchu, ona siedziała okraciem na jego plecach i poganiała go piętami, dzień był upalny i pozwolono jej chodzić boso jak dorosłej kobiecie. Ojciec wyliczał właśnie rodowód trollów z Wyźniego Boru; Jernskjold miał za żonę Skjoldvor, ich córki, Skjoldis i Skjoldgerd, zostały zabite przez Torsteina Uksafot. Skjoldgerd była zamężna ze Skjoldketilem, synowie ich zwali się Skjoldbjörn i Skjoldhedin i Valskiold, który ożenił się ze Skjoldjessą, ta wydała na świat Skjoldulfa oraz Skjoldorma; Skjoldulf dostał za żonę Skjoldkatłę, z nią zaś spłodził Skjolda i Skjoldketila.

Aha, to imię już wymienił przecie, wołał ze śmiechem Kolbjörn, bo Lavrans chwalił się, że może wyliczyć dwa tuziny różnych imion trollów, tymczasem nie doszedł nawet do pierwszego. Lavrans śmiał się również: tak, ale pamiętajcie, że i trolle biorą imiona swych przodków. Lecz ludzie nie chcieli ustąpić; skazali go na postawienie wszystkim miodu. Oczywiście, dostaną miodu, rzekł gospodarz, wieczorem po powrocie do domu. Lecz ludzie chcieli pić miód zaraz, posłano zatem w końcu Tordis, by go przyniosła.

Ustawili się wszyscy wkoło i wielki róg krążył z ręki do ręki. Potem wzięli kosy i grabie i ruszyli na powrót do pracy. Krystynę odesłano do dworu z pustym rogiem. Trzymała go oburącz przed sobą i biegła boso zieloną miedzą ku dworowi. Od czasu do czasu, kiedy na dnie rogu zebrało się nieco miodu, przystawała, zbliżała go do malutkiej twa-

rzycki i oblizywała słodki napój ze złoczonego brzegu rogu, a także z palców.

Krystyna córka Lavransa siedziała cicho, wpatrzona przed siebie. Ojciec! Przypomniała sobie pewien osobliwy wyraz jego twarzy: zblednięcie, jak blednie las na zboczu, kiedy uderzenie burzy odwraca liście na drzewach – przypomniała sobie kłujące, zimne szyderstwo w jego głosie, błysk jego szarych oczu podobny błyskowi do połowy dobytego z pochwy miecza. Ale dopóki był młody, trwało to przez mgnienie oka za ledwie, potem nikło w żywym, pełnym humoru żarcie. Jednak z latami przychodziło coraz to częściej i częściej, tylko owiane łagodnym smutkiem. Coś innego jeszcze żyło w duszy Lavransa prócz głębokiej, czulej słodyczy. Z wiekiem nauczyła się rozumieć, iż przedziwna łagodność ojca nie pochodziła stąd, że nie dość jasno widział błędy i nędzę ludzkiej natury, lecz stąd, że ustawicznie badał przed Bogiem swe własne serce i zmiażdżony był skruchą z powodu własnych ułomności.

Nie, ojcze, nie będę niecierpliwa. I ja zgrzeszyłam wiele wobec mojego męża.

Wieczorem, w dzień Świętego Krzyża, zasiadła Krystyna jak zwykle ze służbą przy stole. Za ledwie jednak synowie udali się na spoczynek na poddasze, przywołała cicho Ulfa syna Haldora do siebie. Prosiła go, by poszedł po Isridę i sprowadził ją do starej tkalni.

Ulf rzekł:

– Musisz zawiadomić Ranveigę na Ulvsvolden i Haldis, siostrę proboszcza, Krystyno; przystojniej byłoby posłać po Astridę z Lopt oraz po Ingebjörgę, by objęły kierownictwo w izbie.

– Na to nie starczy czasu – powiedziała Krystyna. – Pierwsze bóle czułam już przed południem. Czyń tak, jak mówię, Ulfie, chcę mieć koło siebie tylko swoje dziewczki i Isridę.

– Krystyno – rzekł Ulf poważnie – czy nie rozumiesz, że mogą wyniknąć paskudne plotki, jeśli się tak skryjesz dziś w nocy?

Krystyna opuściła ciężko rękę na stół. Przymknęła oczy.

– A niechże sobie gada, kto chce! Nie ścierpię tej nocy widoku obcych kobiet koło siebie.

Nazajutrz rano starsi synowie siedzieli w milczeniu, z oczyma wlepionymi w ziemię, tylko jeden Munan paplał bez przerwy o małym braciszku, którego widział w tkalni w ramionach matki. Wreszcie Björgulf nakazał mu ostro, aby przestał już o tym mówić.

Krystyna leżała i nasłuchiwała. Miała wrażenie, że nigdy nie śpi teraz tak mocno, by jednocześnie nie nasłuchiwać i nie czekać.

Ósmego dnia wstała z łoża, ale kobiety będące przy niej zauważyły, że niezupełnie jest zdrowa. To marzła, to znowu gorący pot oblewał ją całą, raz mleko płynęło jej tak obficie z piersi, że szaty przemakały, na drugi znów dzień niemowlę nie miało dosyć pokarmu. Ale w żaden sposób nie chciała się położyć. Dziecięcia nie wypuszczała ani na chwilę z rąk, nie kładła go nigdy do kołyski, także i w nocy spało przy niej. Przez cały dzień chodziła po izbie i nosiła je, siadała z nim przy ognisku, siadała z nim na łożu, nasłuchiwała i czekała, i wpatrywała się w nie bez przerwy, choć chwilami zdawała się nie słyszeć ani nie widzieć, że płakało. Potem znowu jakby się budziła, podnosiła chłopca i chodziła z nim tam i z powrotem po izbie. Z policzkiem przytulonym do jego twarzyczki nuciła i nuciła cichutko, siadała i przykładła go sobie do piersi, i znowu siedziała, wpatrzona jak przedtem nieruchomo przed siebie, ze skamieniałym obliczem.

Kiedy chłopak miał już sześć tygodni, a matka nie przestąpiła jeszcze progu tkalni, weszli do niej pewnego dnia Ulf syn Haldora i Skule. Obaj byli w podróżnych strojach.

– Jedziemy na północ, na Haugen, Krystyno – ozwał się Ulf – to musi się wreszcie skończyć!

Krystyna siedziała milcząca i sztywna, z chłopaczkiem przy piersi. Początkowo zdawała się nie rozumieć. Nagle zerwała się z płonącej twarzą.

– Rób, co chcesz! Skoro tak bardzo tęsknisz za swym panem, nie będę cię zatrzymywała. Najlepiej będzie, jeśli od razu dostaniesz swą zapłatę, wtenczas nie będziesz potrzebował wracać do nas!

Ulf zaklął okropnie. Potem spojrzał na niewiastę tulącą dziecko do piersi. Zaciśnął wargi i milczał.

Ale Skule postąpił krok naprzód.

– Słuchajcie, matko, ja jadę do ojca. A jeśli zapomiecie, że Ulf był nam wszystkim opiekunem, to przynajmniej o tym pamiętać musicie, iż mnie nie macie prawa tak rozkazywać i rządzić mną, jakbym był pachołkiem lub niemowlęciem.

– Nie? – Matka wymierzyła mu policzek, aż chłopak się zatoczył. – Sądzę, że rozkazuje i rządzi wami wszystkimi dopóty, póki was żywię i odziewam. A teraz precz! – krzyknęła tupiąc nogami.

Skule był wściekły, lecz Ulf szepnął:

– Tak jest lepiej, mój chłopcze. Lepiej, że szaleje i ciska się, aniżeli przypatrywać się, jak ciągle siedzi i wpatruje się przed siebie, jak gdyby ze zgryzoty postradała zmysły.

Gunhilda, dziewczka, dogoniła ich po chwili. Mają natychmiast wracać do izby, pani chce pomówić z nimi oraz ze wszystkimi synami. Krótko i ostro nakazała Krystyna, by Ulf pojechał do Breidina i rozmówił się z chłopem, któremu pożyczyła dwie krowy. Ma zabrać z sobą bliźniaków i przed jutrem nie potrzebuje wracać do domu. Naakkvego i Gautego posłała w góry na hale; poleciała im rozejrzeć się, czy wszystko jest w porządku na pastwisku dla koni w dolinie Illmand, po drodze zaś mają wstąpić do smolarza Björna syna Isridy i prosić go, by jeszcze tego wieczora przyszedł na dwór. Nie pomogły sprzeciwy synów, że przecie jutro niedziela.

Następnego rana, kiedy dzwony bić poczęły, weszła pani na Jörund w towarzystwie Björna i Isridy niosącej dziecko. Krystyna odziała ich w dobre i ładne szaty, ale sama ustroiła się bogato w klejnoty i złoto, aby każdy mógł poznać, że jest panią, tamci zaś jej sługami.

Przekornie i wyniośle stawiała czoło pełnemu niechęci zdziwieniu, z którym spotykali ją ludzie przed kościołem. Ach pewnie, dawniej inne święciła wywody w towarzystwie najzacniejszych gospodyń. Sira Solmund spojrział na nią nieprzychylnie, kiedy stanęła przed kościelną bramą ze świecą w ręku. Ale przyjął ją w zwykły sposób.

Isrida nieco zdzienniała na starość, nie bardzo pojmowała, co się dzieje; Björn zaś był dziwaczny, małomówny człowiekiem, nie troszczącym się nigdy o sprawy drugich. Oni to ponieśli dziecko do chrztu.

Isrida wymieniła księdzu imię dziecka. Wzdrygnął się i zawahał, potem powtórzył je głośno, tak że zabrzmiało echem między ludźmi stojącymi w kościelnej nawie:

– Erlend. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Zdawało się, że dreszcz przeszedł wszystkich zebranych. Krystyna odczuła przy tym dziką, mściwą radość.

Dziecko po urodzeniu wydawało się dość silne. Ale już w pierwszym tygodniu zauważyła Krystyna, że nie rozwija się tak, jak powinno. Ona sama w momencie, kiedy nastąpiło rozwiązanie, miała uczucie, że oto w tej chwili zapada się jej serce niby wypalona głownia. A kiedy Isrida pokazała jej noworodka, wmawiała sobie, że tli się w nim zaledwie słaba iskierka życia. Ale wkrótce wybiła sobie tę myśl z głowy – tak niewypowiedzianie często już czuła, że serce jej łamie się. A dziecko było przecież duże i nie wyglądało na chore.

Potem jednak jej niepokój o chłopca rósł z dnia na dzień. Płakał ciągle i nigdy nie był głodny; nieraz całymi godzinami trudziła się, aby zmusić go do ssania. A kiedy wreszcie udawało jej się to, niemowlę zasypiało niemal natychmiast. Nie widziała, by rosło.

W niewymownej trwodze i serdecznej udręce zdawało jej się, że od dnia, w którym mały Erlend otrzymał przy chrzcie imię ojca, gasł jeszcze szybciej.

Żadnego, żadnego ze swych synów nie kochała tak jak tego maleńkiego nieszczęśnika. Żadnego nie poczęła w tak upojnym i dzikim szczęściu, żadnego nie nosiła pod sercem z tak radosnym oczekiwaniem. Myślą przebiegała wciąż minionych dziewięć miesięcy; w końcu walczyła na śmierć i życie, aby utrzymać chociaż resztkę nadziei i wiary. Nie mogła stracić tego dziecięcia – i nie mogła go też uratować.

Wszechmocny Boże, Królowo Miłosierdzia, święty Olafie: czuła sama, iż tym razem nie pomoże rzucać się przed nimi na kolana i zebrać o życie dziecka.

I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

W każde święto udawała się do kościoła jak zwykle. Całowała

rzeźbione odrzwia, zegnała się wodą święconą, skłaniała nisko przed starym krucyfiksem nad prezbiterium. Zbawiciel patrzył na nią z góry, pełen smutku i wyrozumienia nawet w śmiertelnej męce. Chrystus umarł, aby zbawić swych morderców. A święty Olaf stoi przed jego obliczem i oręduje niestrudzenie za tymi, którzy go wygnali i zabili.

...Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

„Błogosławiona Maryjo, dziecko moje umiera!” – „To ty nie wiesz, Krystyno, wolałabym dźwigać Jego krzyż i ponieść za Niego śmierć aniżeli stać pod krzyżem swego Syna i patrzeć, jak On umiera. Ale iż wiedziałam, że dzieje się to dla odkupienia grzeszników, tedy pogodziłam się z tym w swym sercu – i pogodziłam się też, kiedy mój Syn prosił: «Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią»”.

...Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

„Krzyk twego serca nie pierwej stanie się modlitwą, póki nie odmówisz *Ojcze nasz bez fałszu*”.

„I odpuść nam nasze winy. Pamiętaj, ile razy wybaczano ci twoją winę? Spójrz na swych synów, stoją tam po stronie mężów. Spójrz na tego, który stoi na przedzie niby wódz ich młodocianego zastępu. Owoc twój grzechu, a już prawie dwadzieścia lat patrzysz, jak Bóg przydaje mu piękności, rozumu i męskości. Zmiłowania chcesz, a gdzież twoje zmiłowanie dla najmłodszego syna?

Pomnij na ojca, pomnij na Szymona Darre!”

...Lecz w głębi serca czuła, że nie wybaczyła Erlendowi. Nie mogła mu wybaczyć, bo nie chciała. Trzymała mocno kielich swojej ku niemu miłości i nie chciała za nic wypuścić go z rąk, choć zawierał już tylko ostatnią kroplę goryczy. W chwili, w której wybaczy Erlendowi i będzie mogła myśleć o nim bez tej pożerającej ją goryczy, przeminie wszystko, co kiedykolwiek było między nimi.

Tak stała podczas mszy i wiedziała, że nie odniesie z niej korzyści. Usiłowała modlić się: „Święty Olafie, pomóż mi, spraw cud w mojej duszy, bym mogła mówić pacierz bez fałszu, bym mogła z bogobojną pokorą myśleć o Erlendzie”. Ale wiedziała, iż sama nie życzy sobie, aby ta modlitwa była wysłuchana. I czuła, że daremna jest jej prośba o życie dziecka. Mały Erlend był darem użyczonym przez Boga i tylko pod jednym warunkiem mogła zatrzymać ów dar, a tego warunku spełnić nie chciała. Okłamywać zaś świętego Olafa było daremne.

Siedziała więc i czuwała nad chorym dzieciątkiem. Łzy płynęły bez przerwy po jej licach. Płakała bezgłośnie, bez skurczu twarzy, która zrobiła się całkiem szara i kamienna; jedynie białka oczu oraz powieki czerwieśniały coraz bardziej. Jeśli ktoś wszedł do izby, ocierała prędko twarz i siedziała milcząca i sztywna.

A jednak wystarczyło tak mało, by wskrzесиć ją z tej martwoty. Wchodził któryś ze starszych synów do izby, rzucił okiem na chore dziecko i rzekł parę dobrych, współczujących słów, to matka z trudem tylko powstrzymywała się od głośnego łkania. Czuła, że gdyby mogła mówić z dorosłymi synami o swym straszliwym lęku o maleńkiego, wtedy serce jej na pewno by stajało. Ale chłopcy stali się teraz dziwnie nieśmiali wobec niej. Od dnia, w którym po powrocie do domu dowiedzieli się, jakie imię nadała najmłodszemu bratu, zdawało się, że trzymają się jeszcze bardziej razem, od niej jednak stronili. Lecz pewnego dnia, gdy Naakkve przyszedł zajrzeć do braciszka, powiedział:

– Matko, pozwólcieź mi odszukać ojca i powiedziec mu, co się dzieje z chłopcem.

– Teraz na nic się to już nie zda – odparła beznadziejnie matka.

Jeden tylko Munan nic nie pojmował. Znosił braciszкови zabawki, był uszczęśliwiony, kiedy go trzymał na rękach i mniemał, że udało mu się rozweselić dziecko. Munan mówił o tym, kiedy ojciec wróci, i trapił się, jak też przyjmie tego nowego synka. W milczeniu, z poszarzałą twarzą siedziała Krystyna, a szczebiot malca targał jej serce.

Niemowlę było teraz chude i pomarszczone jak starzec; oczy jego stały się nienaturalne, wielkie i przejrzyste. Mimo to zaczynało się uśmiechać do matki; płakała cicho widząc to. Głaskała chude kończyny dziecka, obejmowała dłonią jego drobne stopki – nigdy nie będzie to dziecię leżeć na plecach i chwytac w radosnym zdziwieniu różowych, dziwacznych stworzonek trzepoczących się przed nim w powietrzu, o których nie wie, że to jego własne nóżki. Nigdy te małe stopy nie dotkną ziemi.

A kiedy potem, po sześciu dniach powszednich przesiedzianych w męce nad umierającym dzieckiem, ubierała się do kościoła, wówczas myślała: tak, teraz jest już dostatecznie pokorna. Wybaczyła Erlendowi, był jej obojętny; byleby tylko dane jej było zatrzymać ów najśłodszy, najdroższy skarb, to chętnie wybaczy mężowi.

Ale potem, kiedy szeptała *Ojcze nasz* przed krzyżem i dochodziła do słów: *sicut et nos dimittimus debitoribus nostris*, czuła, że serce jej staje się twarde jak pięść podniesiona do ciosu. Nie!

W beznadziejnej rozpacz, chora na duszy, płakała, albowiem nie chciała chcieć.

A potem umarł Erlend syn Erlenda w dzień przed świętą Marią Magdaleną, nie przeżywszy całych trzech miesięcy.

7

Tej jesieni przybył do doliny biskup Halvard. Do Sił zawitał w wigilię świętego Mateusza. Minęły już przeszło dwa lata, odkąd biskup bawił tak daleko na północy, toteż przy tej sposobności wiele dzieci miało być bierzmowanych. W ich liczbie znajdował się i Munan syn Erlenda; liczył teraz osiem lat.

Krystyna uprosiła Ulfa syna Haldora, by poprowadził dziecko przed biskupa. Nie miała teraz ani jednego przyjaciela w rodzinnej gminie, którego mogłaby o to prosić. Ulfa ucieszyła jej prośba. Kiedy odezwały się dzwony, wyruszyli we troje – Krystyna, Ulf i chłopczyk – do kościoła. Starsi synowie byli już na rannej mszy, z wyjątkiem leżącego w gorączce Lavransa; nie lubili bowiem bywać na późniejszym nabożeństwie z powodu tłoku w kościele.

Przechodząc obok izby rządcy zauważyła Krystyna kilka obcych koni uwiązanych u płotu. Nieco dalej na drodze dogoniła ich i minęła Jartruda jadąca w licznym towarzystwie. Ulf udał, że nie widzi żony i jej krewnych.

Krystyna wiedziała, że Ulf już od Nowego Roku nie przestąpił progu własnej izby. Zapewne pokłócił się wtenczas z żoną jeszcze gorzej niż zwykle, po czym przeniósł swą skrzynię z odzieżą oraz broń na poddasze i odtąd mieszkał z jej synami. Kiedyś z początkiem

wiosny zwróciła się doń Krystyna z wyrzutem, że nie żyje z żoną w zgodzie, ale kiedy na nią spojrzął i roześmiał się, umilkła.

Słońce świeciło jasno, pogoda była promienna. Bezchmurny błękit rozpinał się nad doliną między wierzchołkami gór. Żółte liście na porośłych brzoźami zboczach zaczynały się przeredzać, zboże w dolinie było przeważnie zżęte, tu i ówdzie jednak w pobliżu dworów kołysał się jeszcze blade łan jęczmienia, trawa zaś na łąkach zieleniła się bujnie i skrzyła od rosy. Mnóstwo ludzi zebrało się przed kościołem, z wszystkich stron rozbrzmiewało rzenie i tupot koni, stajnie kościelne były bowiem przepełnione i wielu ludzi musiało uwiązać swe wierzchowce na dworze.

Wszędzie, gdzie przeszła Krystyna ze swym orszakiem, przytłumiony, niechętny szmer przebiegał ludzką gromadę. Jakiś młody chłopak uderzył się ze śmiechem w udo, ale starsi nakazali mu ostro spokój. Sztywno odmierzając każdy krok, przeszła Krystyna trawnik i weszła na cmentarz. Zatrzymała się na chwilę nad grobem dziecka, potem podeszła do grobu Szymona syna Andrzeja. Leżał tu szary płaski kamień; na nim wyryty był wizerunek męża w hełmie i pancerzu, wspartego na wielkiej trójkątnej tarczy z godłem. Wokoło płyty biegł napis:

In pace. Simon Armiger. Proles Dom. Andreae Filii Gudmundi Militis Pater Noster.

Ulf stał przed wrotami z południowej strony, miecz złożył w krużganku.

W tej chwili weszła na cmentarz Jardtruda w towarzystwie czterech mężów; byli to dwaj jej bracia oraz dwaj starzy chłopci. Jeden z nich, Kolbein syn Jona, był przez wiele lat pacholkiem Lavransa na Jörund. Zmierzali do drzwi zakrystii obok prezbiterium.

Ulf syn Haldora skoczył i zabiegł im drogę. Krystyna posłyszała gniewną i głośną rozmowę. Ulf chciał zabronić żonie i jej towarzyszom iść dalej. Zebrani na cmentarzu zbliżyli się do nich, Krystyna również podeszła. Nagle Ulf skoczył na kamienny stopień podpierający filary krużganku, schylił się i porwał pierwszy z brzegu topór, który mu się pod rękę nawinął; i gdy jeden z braci Jardtrudy usiłował ściągnąć go stamtąd, Ulf skoczył i z rozmachem cisnął w niego topór. Cios ugodził szwagra w plecy; ze wszystkich stron podbiegli teraz

ludzie i rzucili się na Ulfa. Walczył usiłując się wyrwać; przez moment mignęła Krystynie jego twarz: purpurowa, zmieniona i zropaczona.

W tej chwili sira Solmund i jeden z pisarzy biskupa wyszli z zakrytiii i zamienili parę słów z chłopami. Natychmiast trzech ludzi z białymi biskupimi tarczami wzięło Ulfa między siebie i wyprowadziło go z cmentarza; jego małżonka zaś wraz ze swymi towarzyszami weszła z obu księżmi do kościoła.

Krystyna zbliżyła się do gromady chłopów.

– Co to ma znaczyć? – spytała ostro. – Dlaczego pojмалиście Ulfa?

– Widziałaś przecież, że rąbnął toporem człowieka na kościelnym cmentarzu – odparł jeden z nich takim samym tonem. Wszyscy odsunęli się od niej, została sama z synem przed wrotami kościoła.

Krystynie zaczęło świtać w głowie: żona Ulfa chciała go oskarżyć przed biskupem, a ponieważ stracił panowanie nad sobą i naruszył świętość cmentarza, znalazł się w bardzo trudnym położeniu. Kiedy obcy diakon stanął w drzwiach rozglądając się dokoła, Krystyna podeszła doń, wymieniła swe imię i prosiła, by ją zaprowadził przed biskupa.

W kościele rozstawiono już naczynia liturgiczne, ale świece na ołtarzach nie paliły się jeszcze. Przez okrągłe okna u góry spływało nieco słonecznego światła między brunatne kolumny. W głównej nawie zgromadziła się już część ludności i zajęła miejsce na ławach biegnących pod ścianą. W prezbiterium stała przed biskupem mała gromadka: Jartruda córka Herbranda z dwoma braćmi – Geirulf miał przewiązane ramię – dalej Kolbein syn Jona, Sigurd Geitung oraz Tore syn Borghilda. Obok za rzeźbionym karłem biskupa stało dwu młodych księży z Hamaru, kilku mężów z jego świty oraz sira Solmund.

Wszyscy spuścili oczy, gdy wystąpiła pani na Jörund i pokłoniła się nisko przed biskupem.

Pan Halvard był człowiekiem roslým i okazałym, sprawiał niezwykle poważne wrażenie. Spod czerwonej czapki wyglądały na skroniach śnieżnobiałe włosy, okrągła, pełna twarz była wielka i czerwona; nos miał duży i zakrzywiony, podbródek potężny, usta zaś niemal pozbawione warg, wąskie jak szczelina, leżały wśród gęstej, mocno

szpakowatej brody; ale krzaczaste brwi nad iskrzącymi się czarnymi niby węgle oczyma były jeszcze wciąż ciemne.

– Bóg z tobą, Krystyno córko Lavransa – przemówił pan Halvard. Badawczo spoglądał spod krzaczastych brwi na kobietę. Jedną ręką, białą, tęgą, starczą, obejmował złoty krzyż na piersiach, w drugiej, spoczywającej na fioletowej szacie, trzymał woskową tabliczkę. – Dla jakiejże to przyczyny odszukałaś mnie tutaj, pani Krystyno? – pytał dalej biskup. – Nie sądzisz, że przystojniej byłoby czekać aż do południa i przyjść do mnie na dwór Romund, by mi rzec, co ci leży na sercu?

– Jardtruda córka Herbranda również tutaj was odszukała, czcigodny ojcze – odparła Krystyna. – Otóż Ulf syn Haldora przez trzydzieści pięć lat był nieodstępnym towarzyszem mego małżonka i zawsze był nam wiernym przyjacielem, doradcą i krewnym. Sądziałam, że może potrafię mu w czymkolwiek pomóc.

Jardtruda wydała cichy okrzyk, nie wiadomo, szyderczy czy też gniewny; wszyscy inni wpatrzyli się teraz w Krystynę, ludzie z doliny z rozgoryczeniem, świta biskupa z napięciem i ciekawością. Pan Halvard rozejrzał się ostro dokoła, po czym rzekł do Krystyny:

– Czy w istocie tak jest, że ośmielasz się popierać Ulfa? Wiesz chyba – rzekł szybko i podniósł rękę, gdyż chciała odpowiedzieć – że nikt nie ma prawa wymuszać na tobie zeznania w tej sprawie prócz twego małżonka, o ile własne sumienie nie popycha cię do tego. Rozważ to sobie wpieryw dobrze.

– Myślałam przede wszystkim o tym, panie, że Ulf stracił nad sobą władzę i porwał za broń przed kościołem, a także czybym nie mogła mu pomóc przez złożenie zań poręki. Zresztą – wykrztusiła z trudem – mój małżonek uczyni na pewno wszystko, co może, by pomóc swemu przyjacielowi i krewnemu.

Niecierpliwie zwrócił się biskup do otaczających go ludzi, którzy zdawali się ogromnie wzburzeni.

– Ta kobieta – wskazał na Jardtrudę – nie potrzebuje tu zostawać. Jej orędownicy mogą na razie poczekać na dole w głównej nawie; zejdźcie tam wszyscy, ja tymczasem rozmówię się z gospodynią, a zebrani niechaj opuszczą kościół, Jardtruda córka Herbranda również.

Jeden z młodych księży, zajęty do tej pory przygotowaniem biskupiego ornatu, postawił teraz ostrożnie ozdobioną złocistym krzyżem mitrę na rozłożonych łańdach alby, zszedł na dół i zamienił parę słów z siedzącymi ludźmi. Cała gmina wraz z Jardtrudą opuściła kościół i zakrystian zamknął za nimi drzwi.

– Wspomniałaś swego małżonka – zaczęła biskup patrząc wciąż na Krystynę. – Czy prawdą jest, żeś ubiegłego roku starała się z nim pojednać?

– Tak, panie.

– Ale do zgody nie doszło?

– Panie, wybaczcie, iż tak mówię, ale nie wnosiłam skargi przeciwko memu małżonkowi. Przybyłam tu jedynie po to, by mówić z wami w sprawie Ulfa syna Haldora.

– Czy twój mąż wiedział o tym, że byłaś przy nadziei? – spytał biskup; zdawał się rozgniewany jej odpowiedzią.

– Tak, panie – odparła bardzo cicho.

– A jak przyjął Erlend syn Mikołaja tę wiadomość? – zagadnął znowu biskup.

Krystyna stała, miała w palcach róg chustki; oczy spuściła ku ziemi.

– Nie chciał się z tobą pogodzić, kiedy o tym posłyszał?

– Panie, wybaczcie mi – twarz Krystyny oblał rumieniec. – Obojętne jest teraz, czy pan Erlend tak albo inaczej wobec mnie postąpił – jeśli tylko jego przybycie może pomóc Ulfowi, to wiem, że pospieszy natychmiast.

Biskup zmarszczył brwi bacznie spoglądając na nią.

– Sądysz, że Erlend ze względu na przyjaźń dla owego Ulfa albo też dlatego, że rzecz wyszła na jaw, uzna za swoje dziecko, któreś na wiosnę powiła?

Krystyna podniosła głowę. Patrzyła na biskupa zdumionymi oczyma, usta miała na wpół otwarte. Zdawało się, że dopiero z wolna pojmuje, co jego słowa znaczą. Pan Halvard spojrzał na nią poważnie.

– Prawdą, kobieto, że nikt oprócz twego małżonka nie ma prawa oskarżać cię o tę rzecz. Ale rozumiesz chyba, jak ciężki grzech popełnicie oboje, jeśli mąż twój weźmie na siebie ojcostwo nie swojego dziecka, by ratować Ulfa. Lepiej byłoby już dla was wszyst-

kich, oczywiście, o ileście zgrzeszyli, wypowiadać się z tego grzechu i odpokutować go.

Krystyna bladła i płonila się na przemian.

– Czy powiedział ktoś, że nie mój małżonek... że to dziecię nie było jego?

Biskup zapytał z wolna:

– Chcesz naprawdę, Krystyno, bym uwierzył, żeś nawet nie wiedziała, co ludzie mówią o tobie i twoim rządcy?

Wyprostowała się, głowę odrzuciła w tył, twarz jej była śmiertelnie biała aż po chustę.

– Proszę was, czcigodny panie i ojcze, jeśli ktokolwiek za moimi plecami takie na mnie ciskał oszczerstwo, to kaźcie mu powtórzyć mi je w twarz!

– Imienia żadnego nie wymieniono – odparł biskup. – To byłoby wbrew prawu. Lecz Jartruda córka Herbranda wniosła prośbę o pozwolenie opuszczenia swego małżonka i powrócenia do rodzinnego domu ze swymi krewnymi; oskarża go bowiem, że zadawał się z inną kobietą, z kobietą zamężną, i miał z nią dziecko.

Chwilę milczeli oboje. Potem znowu przemówiła Krystyna:

– Panie, błagam was, okażcie mi tyle miłosierdzia, byście zmusili tych ludzi do oświadczenia przede mną, iż ja jestem tą kobietą.

Biskup Halvard spojrział na nią bystro i uważnie. Po czym skinął ręką, ludzie z nawy wyszli i ustawili się obok jego krzesła. Pan Halvard zabrał głos:

– Wy, dobrzy ludzie z Sil, zwróciliście się tu dziś do mnie w niestosownym czasie i wnieśliście skargę, którą właściwie powinniście byli przedtem przedłożyć memu mężowi zaufania. Otóż wysłuchałem was wiedząc, że nieświadomi jesteście prawa. Jednak ta oto kobieta, pani Krystyna córka Lavransa na Jörund, przyszła do mnie z osobliwą prośbą. Życzy sobie, bym zapytał, czy który z was ośmieli się rzec jej w oczy, że tutaj w dolinie obiegały pogłoski, jakoby jej mąż, Erlend syn Mikołaja, nie był ojcem dziecka, które urodziła na wiosnę.

Sira Solmund odpowiedział:

– Opowiadano tu na każdym dworze i w każdej chacie, że dziecko splecione zostało w nierządzie i kazirodztwie między gospodynią

a jej rządcą. I wydaje nam się mało wiarygodne, aby ta niewiasta nie wiedziała, co o niej mówią.

Biskup chciał przemówić, lecz Krystyna rzekła głośno i z mocą:

– Tak mi dopomóż Boże wszechmocny, Najświętsza Maryjo Panno, święty Olafie i święty Tomaszu arcybiskupie – nie wiedziałam nigdy, że takie kłamstwo o nas rozprowadano!

– Nietatwo jest tedy zrozumieć, czemu tak usilnie starałaś się ukryć swoją brzemiennność – zauważył ksiądz. – Chowałaś się wszakże przed ludźmi i całą zimę niemal nie opuszczałaś domu.

– Dużo już wody upłynęło od czasu, kiedy miałam wśród chłopów tu w dolinie przyjaciół, niewiele przebywałam w ostatnich latach z tutejszymi ludźmi. Chociaż po dziś dzień nie wiedziałam, iż wszyscy są mymi wrogami. Ale do kościoła chodziłam w każde święto.

– Tak, i osłaniałaś się grubymi chustami i odziewałaś się w ten sposób, że nie można było widzieć, jak grubiejesz w pasie.

– Nie inaczej, aniżeli kobieta, chcąca wyglądać przyzwoicie między ludźmi – odrzekła Krystyna krótko.

Ksiądz zaczął znowu:

– Gdyby to było dziecko twojego męża, jak powiadasz, wtenczas z pewnością nie doprowadziłabyś do tego, aby przez niedbalstwo spowodować jego śmierć.

Jeden z młodych księży z Hamaru wystąpił i podtrzymał Krystynę. W chwilę potem stała już znowu na nogach, blada i wyprostowana, dziękowała księdzu ukłonem.

Sira Solmund ciągnął gwałtownie:

– Opowiadały to służebne dziewczki z Jörund, a i moja siostra, która tam zachodziła, widziała na własne oczy: mleko tryskało jej z piersi, aż suknie przemakały, ale każda kobieta, która widziała zwłoki niemowlęcia, może zaświadczyć, że umarło z głodu.

Biskup Halvard przerwał mu ruchem ręki.

– Dosyć, siro Solmundzie. Musimy się trzymać rzeczy przedłożonych; idzie o to, czy Jartruda córka Herbranda oskarżając swego męża nie opierała się na niczym innym prócz pogłosek, o których gospodyni powiada, że są potwarzą, i czy Krystyna może odeprzeć te pogłoski? Nikt nie twierdzi chyba, że zabiła własne dziecko.

Ale Krystyna stała blada i nie odzywała się.

Biskup zwrócił się znowu do proboszcza:

– Twoim obowiązkiem, siro Solmundzie, było mówić z tą kobietą i donieść jej, co o niej rozpowiadano. Nie uczyniłeś tego?

Ksiądz spurpurowiał.

– Modliłem się serdecznie za nią, by dobrowolnie poniechała swej zawziętości i zawróciła na drogę skruchy i pokuty. M o i m przyjacielem jej ojciec nie był – ciągnął ksiądz w podnieceniu. – Mimo to wiem, że Lavrans na Jörund był człowiekiem prawym i mocnym w wierze. Zasłużył on zaprawdę na lepszy los, ale ta córka ściągała nań hańbę za hańbą. Zaledwie wyrosła na dziewczynę, stała się przyczyną śmiertelnej zwady dwu znacznych chłopców z doliny. Potem złamała słowo dane znakomitemu młodzianowi, synowi rycerza, którego ojciec wybrał jej na męża; w niegodny sposób przeprowadziła swą wolę i dostała wreszcie za małżonka tego człowieka, który, jak wiecie, panie, został skazany za zdradę państwa i króla. Sądziłem, że w końcu zmięknie jej serce, skoro ujrzy, w jakiej nienawiści i odosobnieniu żyje ze swoimi na Jörund, na dworze, gdzie jej ojciec i Ragnfrida córka Ivara cieszyli się ogólnym szacunkiem i miłością.

Ale miarka przebrała się, kiedy dziś przyszła z synem do bierzmowania i chłopca miał przed was przyprowadzić ten człowiek, o którym cała gmina wie, że żyje z Krystyną w podwójnym nierządzie i kazirodztwie.

Biskup dał mu znak, aby milczał.

– Jak blisko spokrewniony jest Ulf syn Haldora z twoim mężem? – zwrócił się do Krystyny.

– Prawdziwym ojcem Ulfa był pan Baard syna Piotra z Hestnaes. Był on przyrodnim bratem Gautego syna Erlenda ze Skogheim, dziada Erlenda ze strony matki.

Niecierpliwie zwrócił się pan Halvard do siry Solmunda:

– Kazirodztwem to nie jest. Jej świekra i Ulf byli dziećmi dwóch braci; jest to występki przeciw przykazaniom pokrewieństwa i ciężki grzech, jeśli to prawda. Nie masz potrzeby czynić go jeszcze cięższym.

– Ulf jest chrzestnym ojcem najstarszego syna tej niewiasty – dodał sira Solmund.

Biskup spojrział na nią i Krystyna odrzekła:

– Tak jest, panie.

Pań Halvard siedział chwilę w zupełnym milczeniu.

– Bóg z tobą, Krystyno – ozwał się wreszcie strokany. – Znałem twego ojca w dawnych latach, jako młody człowiek bawiłem kiedyś u niego w gościnie na Jörund. Pamiętam cię, byłaś pięknym, niewinnym dziecięciem. Gdyby Lavrans syn Björgulfa był dotychczas przy życiu, nigdy by się to nie zdarzyło. Myśl o swym ojcu, Krystyno, przez wzgląd na niego musisz zmyć z siebie tę hańbę i oczyścić się, jeśli możesz.

Niby błyskawica przeszło ją pewne wspomnienie i w tejże chwili poznała biskupa. Zimowy dzień, zapadający zmierzch, czerwony, stający dęba młody ogier na dziedzińcu i jakiś ksiądz z wieńcem czarnych włosów dokoła rumianej twarzy. Wieszał się na uździe konia, cały zbryzgany pianą, chcąc koniecznie ujarzmić dzikie zwierzę i dosiąść go bez siodła. Gromada pijanych, śmiejących się gości – było to Boże Narodzenie – stała opodal, wśród nich jej ojciec szkarłatny od trunku i mrozu, śmiał się najgłośniej i pokrzykiwał.

Zwróciła się do Kolbeina syna Jona.

– Kolbeinie! Ty znasz mnie od dziecka, znałeś mnie i moje rodzeństwo w domu u ojca. Wiem, jak serdecznie miłowałaś Lavransa. Kolbeinie, dajesz temu wiarę?

Kolbein spojrział na nią, twardo i z troską w głosie powiedział:

– Rzekłaś, żeśmy kochali twego ojca. Tak jest, nam, jego pachotkom, biednym sługom i żebrakom, którzyśmy miłowali Lavransa na Jörund, zdawało się, że jest on takim, jakim być powinien ksiązę z Bożej łaski.

Nie nas pytaj, Krystyno córko Lavransa, którzy wiedzieliśmy, jak bardzo ojciec cię miłował i jak mu tę miłość odpłaciłaś, czy sądzimy, że jesteś zbyt dobra, aby to uczynić.

Krystyna skłoniła głowę na piersi. Biskup nie mógł z niej więcej słowa wydobyć, nie dawała odpowiedzi na pytania.

Pań Halvard podniósł się. Obok głównego ołtarza znajdowały się małe drzwi wiodące do zamkniętej części krużganku za absydą prezbiterium. Część tego krużganku służyła za zakrystię, dalsza zaś miała małe otwory w murze, przez które podawano hostię trędownym, słuchającym mszy z zewnątrz i oddzielonym w ten sposób od

reszty gminy. Ale teraz już od wielu lat nie było w gminie trędowatego.

– Może najlepiej będzie, Krystyno, jeśli zaczekasz tam, aż ludzie wejdą na nabożeństwo. Potem pomówię z tobą. Teraz jednak odejdz.

Krystyna pokłoniła się przed biskupem.

– Najlepiej pójdę od razu do domu, za waszym przyzwoleniem, czcigodny panie.

– Rób, jak chcesz, Krystyno. Pan niechaj ma cię w swej pieczy, niewiasto. Jeśli jesteś niewinna, do udowodnienia twej niewinności przyczyni się sam Bóg i jego męczennicy, patroni tego kościoła, święty Olaf i święty Tomasz, którzy dla sprawiedliwości śmierć ponieśli.

Krystyna powtórnie pochyliła się przed biskupem. Potem przez drzwi zakrystii wyszła na cmentarz.

Na dworze stał mały chłopczyk w nowym czerwonym kitelku; stał całkiem sam, sztywny i wyprostowany. Munan zwrócił ku matce bladą dziecinną twarzyczkę, oczy jego były szeroko rozwarte i przerażone.

Synowie... Nie pomyślała o nich dotąd. Teraz w nagłym olśnieniu ujrzała przed sobą ich gromadkę, tak jak stali w ostatnim roku na skraju jej własnego życia, skupieni niby płochliwe stado koni w czas burzy, z dala od niej, podczas gdy ona zmagająca się w ostatnim, śmiertelnym wirze swej miłości. Co pojmowali, co sądzili, co przecierpieli w ciągu tego czasu? I co się teraz z nimi stanie?

Ujęła małą, szorstką rączkę Munana. Dziecko wpatrywało się nieruchomo przed siebie, usta drżały mu z lekka, ale trzymało się prosto.

Ręka w rękę z synem kroczyła Krystyna córka Lavransa przez cmentarz i przez kościelne wzgórze. Myślała o synach i zdawało jej się, że się załame i runie bez ducha na ziemię. Wśród rozdźwięku dzwonów ludzie tłoczyli się do bramy kościoła. Słyszała niegdyś sagę o zabitym człowieku, który nie mógł upaść na ziemię, bo tyle oszczepów w nim tkwiło, I ona upaść nie mogła z powodu tych wszystkich oczu, które ją bodły na wylot.

Matka z dzieckiem weszła do izby na piętrze. Synowie skupili się tu wszyscy koło Björgulfa siedzącego przy stole. Naakkve wzrostem przewyższał braci, rękę wsparł na ramieniu krótkowidza. Krystyna ujrzała pociągłą, smagłą twarz swego pierworodnego, jego niebieskie oczy, delikatny ciemny puch wokół czerwonych ust.

– Wiecie już? – spytała spokojnie zbliżając się do grona synów.

– Tak – Naakkve odpowiadał za nich wszystkich. – Gunhilda była przed kościołem.

Krystyna stała chwilę w milczeniu. Chłopcy zwrócili się znowu ku najstarszemu z braci. Aż matka ozwała się:

– Czy któryś z was wiedział, że takie plotki krążą w dolinie o mnie i Ulfie?

Ivar zwrócił się do niej porywczo:

– Jak możecie nawet myśleć, matko, że w takim razie nie słyszeliście nic o naszym wystąpieniu? Ja zaiste nie siedziałbym cicho i nie pozwoliłbym, by przezywano moją matkę nierządnicą, nawet i wówczas, gdybym wiedział, że nią naprawdę jest!

Krystyna rzekła zmartwiona:

– Chciałabym tedy wiedzieć, moi chłopcy, coście właściwie myśleli o tym wszystkim, co tu w ostatnim roku się wydarzyło?

Synowie stali w milczeniu. Nagle Björgulf uniósł głowę, spojrzał na nią chorymi oczami.

– Chryste, matko, cóżeśmy myśleć mieli? Tego roku – i przez wszystkie poprzednie lata! Myślicie, iż łatwo nam było wiedzieć, co sądzić mamy!

Naakkve rzekł:

– Pewnie, matko, powinienem był właściwie mówić z wami, ale obejście wasze było takie, żeśmy nie śmieli. A kiedy kazaliście ochrzcić naszego najmłodszego brata tak, jakbyście przez to powiedziec chcieli, że ojciec nasz jest nieżyjącym człowiekiem... – urwał gwałtownie.

Björgulf wybuchnął:

– O niczym innym nie myśleliście, ojciec i ty, tylko o waszej walce. Nie myśleliście o tym, że wyrosliśmy tymczasem na dojrzałych mężów. Nigdy nie baczyliście, kto się między wasz oręż dostaje i bywa raniony do krwi.

Zerwał się. Naakkve położył mu rękę na ramieniu. I Krystyna zobaczyła, że prawdę mówił: obaj byli dorosłymi mężczyznami. I miała uczucie, że stoi nago przed nimi; sama obnażyła się bezwstydnie przed własnymi dziećmi.

Oto co widzieli przede wszystkim ci młodzi chłopcy: że rodzice stali się starymi ludźmi, że nie pasuje do nich ta młodociana namiętność, że nie umieją starzeć się z godnością i pokorą.

Nagle głos dziecka przeszył ciszę. Munan krzyczał w okropnej rozpacz:

– Matko, teraz przyjdą i uwiężą cię, matko! Przyjdą i zabiorą cię!

Przywarł do niej z całych sił i główkę przytulił do jej piersi. Krystyna przygarnęła go do siebie, osunęła się na ławę i wzięwszy płaczące dziecko na kolana usiłowała je uspokoić.

– Mały, maleńki, nie płacz tak!

– Nikt nie może zabrać nam naszej matki – Gaute zbliżył się i dotknął braciszka. – Nie płacz, nie zrobią jej żadnej krzywdy. Uspokój się, Munanie, wiesz przecież, chłopcze, że będziemy bronili naszej matki!

Krystyna siedziała i tuliła dziecko do siebie; miała uczucie, że łyżką małego ją wybawiły.

Teraz Lavrans uniósł się w łóżu i z twarzą rozpaloną od gorączki zapytał:

– A zatem co zamierzacie czynić, bracia?

– Skoro msza się skończy – odparł Naakkve – pójdziemy na probostwo i złożymy okup za naszego opiekuna. To uczynimy przede wszystkim, nieprawdaż, chłopcy?

Björgulf, Gaute, Ivar i Skule przytaknęli. Krystyna rzekła:

– Ulf rzucił się na cmentarzu z bronią w rękę na człowieka. A ja muszę koniecznie zrobić coś, aby oczyścić jego i siebie z krzywdzących nas potwarzy. To są tak poważne sprawy, chłopcy, że byłoby dobrze, byście wy, młodzi, naradzili się z kimś, co czynić należy.

– A kogo, myślisz, mamy pytać o radę? – spytał z lekkim przekąsem Naakkve.

– Pan Sigurd na Sundbu jest wszak moim krewnym – odparła z wahaniem matka.

– Jeśli nie przypominał sobie o tym dotychczas – rzekł młodzieniec

– to nie wydaje mi się słuszne, żebyśmy my, synowie Erlenda, mieli zwracać się do niego teraz, kiedy jesteśmy w potrzebie. Jak uważacie, bracia? Chociaż nie jesteśmy jeszcze pełnoletni, to z bronią umiemy się obchodzić, nas pięciu w każdym razie.

– Dzieci – wtrąciła Krystyna – w tej sprawie bronią niewiele zdziałacie.

– To już nam pozostawcie, matko – odparł ostro Naakkve. – Teraz jednak dajcie nam przede wszystkim coś do jedzenia. I sama zasiądźcie na waszym zwykłym miejscu przez wzgląd na służbę – mówił, jak gdyby rozkazywał.

Z trudem tylko mogła Krystyna przełknąć parę kęsów. Siedziała i zastanawiała się; nie śmiała zapytać synów, czy mają zamiar zawiadomić ojca. I pytała się w duchu, jaki obrót weźmie ta sprawa? Nie bardzo wiedziała, co mówi prawo w podobnych wypadkach, ale pewnie nic innego jej nie pozostanie jak z siedmiu lub jedenastu kobietami przysięgą zadać kłam oszczerstwu. To musiałyby się prawdopodobnie odbyć w kościele parafialnym na Ullinsyn w Vaagaa¹. Tam prawie na każdym wielkim dworze miała krewnych po kądzieli. A jeśli jej przysięga nie będzie ważna? Jeśli będzie musiała stać przed wszystkimi, nie obmywszy się z haniebnego oskarżenia? Miała aż tak zhańbić ojca? On sam nie pochodził z doliny i tylko własną zasługą zyskał sobie poważanie i szacunek ogólny. Ilekroć Lavrans syn Björgulfa zabierał głos na thingu albo zgromadzeniu, zawsze miał wielu zwolenników. Ale wiedziała, że jej pohańbienie padnie na niego. W nagłym rozbłysku ujrzała, jak bardzo samotny był jej ojciec mimo wszystko; samotny i obcy wśród tutejszych ludzi, ilekroć zwałała nań raz za razem pogardę, sromotę, cierpienie.

Nie wiedziała, że potrafi jeszcze tak silnie odczuwać, wciąż i wciąż na nowo zdawało jej się, że serce jej rozedrze się w krwawe strzępy, że pęknie lada chwila.

Gaute wyszedł na ganek, popatrzył na północ.

– Ludzie odjeżdżają już z kościoła. Czy poczekamy, aż oddalą się nieco?

– Nie – odparł Naakkve – niech widzą, że synowie Erlenda są

¹ Poprzednio: Vaage. Tę zmianę pisowni zachowano zgodnie z oryginałem.

w drodze. Musimy się teraz sposobić, chłopcy. Najlepiej włożcie helmy.

Tylko Naakkve posiadał pełne uzbrojenie. Pancierz zostawił, włożył jednak hełm, wziął tarczę, miecz i długą włócznię. Björgulf oraz Gaute wzięli stare żelazne szyszaki, które nosili zwykle bliźniacy ćwicząc się w szermierce, Ivar i Skule zaś musieli się zadowolić małymi stalowymi czapkami, podobnymi do tych, jakich używali chłopci. Matka przyglądała się w milczeniu, dziwne uczucie rozsadało jej pierś.

– Nie wydaje mi się stosowne, moi synowie, byście tak w pełnej zbroi wybierali się na dwór księdza – przemówiła wreszcie nieśmiało.
– Pomnijcie na pokój niedzieli, a także na obecność biskupa.

Naakkve odpowiedział:

– Cześć stała się obecnie kosztownym towarem na Jörund, matko; musimy dać cenę, za jaką ją dostać możemy.

– Nie, ty nie, Björgulfie – prosiła przestraszona matka widząc, że krótkowzroczny chłopak chwytą berdysz. – Pamiętaj, że źle widzisz, mój synu!

– Ech, na zasięg topora widzę jeszcze dobrze – odrzekł Björgulf ważąc w dłoni broń.

Gaute podszedł do łóżka młodego Lavransa i zdjął z haka wielki miecz dziada, wiszący zawsze nad tym łóżem. Wyciągnął go z pochwy i przyglądał mu się.

– Musisz mi pożyczyć twego miecza, krewniaku, sądzę, że dziad nasz widziałby go chętnie w tej potrzebie.

Krystyna siedziała i załamywała ręce. Zdawało jej się, że zacznie krzyczeć z męki i zgrozy straszliwej, ale zarazem z jakiejś siły, potężniejszej niż cały ból i okropność, tak jak krzyczała, kiedy rodziła tych mężów. Życie bez przerwy zadawało jej rany, rany wrzynały się w jej żywe ciało, ale teraz czuła, że wszystkie są zasklepione; a chociaż blizny wrażliwe były niby żywe mięso, to jednak wiedziała że nie krwawią śmiertelnie. Nigdy nie żyła tak jak w tej chwili.

Kwiaty i liście opadły z niej, ale pozostały konary i nienaruszony pień. Po raz pierwszy, odkąd miała dzieci Erlenda syna Mikołaja, zapomniała całkowicie o ojcu, widziała tylko jego synów.

Ale synowie nie patrzyli na matkę, która siedziała blada, z nieru-

chomo rozwartymi oczyma. Munan wciąż jeszcze leżał na jej łonie – przez cały czas nie puścił matki. Pięciu chłopców opuściło poddasze.

Krystyna podniosła się i wyszła na ganek. Teraz wyłonili się zza szopy gęsiego, jeden za drugim, szli drogą wiodącą na Romund wśród falujących, jasnych łąnów jęczmienia. Stalowe szyszaki i hełmy rzucały martwy blask, a we włócznie Naakkvego i w oszczepach bliźniaków odbijało się słońce. Krystyna stała i patrzyła za pięciu młodymi mężczyznami. Była matką ich wszystkich.

W izbie rzuciła się na kolana przed skrzynią, na której stał obraz Najświętszej Panny. Łkanie rozrywało jej piersi. Munan jął zaraz wtórować i przyczołgał się ku matce, Lavrans wyskoczył z łóża i rzucił się na kolana z drugiej strony. Objęła ramionami tych dwóch najmłodszych. Po śmierci małego Erlenda myślała nieraz, o co mogłaby się modlić. Czuła –wówczas, jak stacza się prosto w otchłań piekła, twarda, zimna, kamienna. Teraz modlitwa płynęła z jej warg bez jej przyczynienia się, bez udziału woli, dusza jej unosiła się ku Maryi, Dziewicy i Matce, Królowej niebios i ziemi; był to krzyk trwogi, dziękczynienia i uwielbienia: „Maryjo, mam jeszcze tak wiele, jeszcze wciąż posiadam nieogarnione skarby, które stracić mogę; Matko miłosierdzia, weź je pod Twoją opiekę!”

Na dziedzińcu dworu Romund zebrało się sporo ludzi. Kiedy nadeszli synowie Erlenda, paru chłopów zapytało, czego sobie życzą.

– Od was na razie nie chcemy nic – odparł Naakkve z wyniosłym uśmiechem. – Dzisiaj przychodzimy jedynie z prośbą do biskupa. Możliwe, że później i z wami zechcemy pogadać. Dziś jednak nie macie powodu obawiać się nas.

Te słowa wywołały poruszenie, odezwały się okrzyki. Wyszedł sira Solmund i chciał zmusić chłopców do opuszczenia księzego dworu, ale kilku chłopów zabrało głos oświadczając, że należy braciom zezwolić, by zasięgnęli języka o skardze przeciw ich matce. Studzy biskupa wyszli również i polecili odejść synom Erlenda, teraz bowiem jest pora posiłku i nikt nie ma czasu wysłuchać ich. Ale to znowu nie podobało się chłopom.

– A cóż się tu dzieje, dobrzy ludzie? – zabrzmiał doniosły głos nad

nimi. Nikt nie zauważył, że pan Halvard wyszedł na ganek. Stał teraz okazały i potężny niczym książę, w fioletowej szacie, w czerwonej jedwabnej czapce na białych włosach. – Kto zacz są ci młodzieńcy?

Odpowiedziano, że są to synowie Krystyny z Jörund.

– Czy ty najstarszy? – zwrócił się biskup do Naakkvego. – W takim razie z tobą pomówię. Inni niech zaczekają tymczasem na podwórzu.

Naakkve wszedł po schodach na piętro i podążył za biskupem do izby. Pan Halvard zasiadł na poczesnym miejscu i wpatrywał się bacznie w młodziana stojącego przed nim z wielką włócznią w ręku.

– Jak się zowiesz?

– Mikołaj syn Erlenda, panie.

– Czy wydaje ci się konieczne, Mikołaju synu Erlenda, przychodzić na rozmowę ze swym biskupem w pełnej zbroi? – zapytał z lekkim uśmiechem.

Naakkve pokraśniał. Poszedł w kąt izby, odłożył broń i okrycie, po czym wrócił. Z pochyloną gołą głową, ze splecionymi rękoma stał teraz przed biskupem, a w postawie jego, lekkiej i swobodnej, znać było cześć i poważanie.

Pan Halvard pomyślał, że ten młodzian na pewno uczył się kurtuzji i dwornych manier. Nie mógł też już być małym dzieckiem wówczas, kiedy ojciec postradał majątek i dobre imię; pewnie pamiętał jeszcze te czasy, gdy był spadkobiercą na Husaby. Piękny był także, biskupowi żał się go zrobiło serdecznie.

– Czy to twoi bracia, ci wszyscy, którzy z tobą przyszli? Ilu jest was, synów Erlenda?

– Siedmiu nas żyje, panie.

Tak wiele młodych istnień wmieszanych było w tę sprawę! Mimo woli biskup westchnął ciężko.

– Siadaj, Mikołaju, zapewne chcesz pomówić ze mną o pogłoskach dotyczących twej matki i jej rządu?

– Dzięki, czcigodny panie. Wolę stać przed wami.

Biskup przyglądał mu się w zamyśleniu. Potem rzekł z wolna:

– Sprawa przedstawia się tak, Mikołaju: trudno mi uwierzyć, że prawdą jest to, co opowiadają o Krystynie córce Lavransa, zaś prawo oskarżać ją o nierząd ma jedynie jej małżonek. Tu jednak wikła całą sprawę pokrewieństwo między twym ojcem a Ulfem oraz okoliczność,

że jest on twym ojcem chrzestnym. Jardtroda zaś przedłożyła w taki sposób swą skargę, iż wiele przemawia przeciw twej matce. Czy jest prawdą, co ona powiada, że Ulf bił ją często i już przeszło od roku unika jej łoża?

– Ulf i Jardtroda nie żyli dobrze z sobą; nasz opiekun nie pierwszej był młodości, kiedy się żenił, a toczę popędliwy i gwałtowny jest także. Dla nas, braci, a także dla ojca i matki był zawsze najwierniejszym przyjacielem i krewnym. I to jest właśnie pierwsza moja prośba, którą chciałem zanieść do was, panie: oto abyście, o ile w ogóle taka możliwość zachodzi, wypuścili Ulfa za poręką na wolną stopę.

– Czy jesteś już pełnoletni? – spytał biskup.

– Nie, panie, ale matka złoży chętnie każdą porękę, jakiej zażądacie.

Biskup potrząsnął głową.

– I mój ojciec jest tego samego zdania, wiem o tym na pewno. Zamierzam właśnie prosto stąd jechać do niego i donieść mu o tym, co się tu wydarzyło. Jeślibyście chcieli udzielić mu jutro posłuchania...

Biskup wsparł podbródek na dłoni i tarł kciukiem szczecinki brody, aż szeleściło.

– Siadajże, Mikołaju – powiedział. – Będzie się nam lepiej rozmawiało. – Naakve skłonił się dziękując i usiadł. – Ale prawdą jest przecież, że Ulf wzbraniał się żyć ze swą żoną? – zapytał biskup, jakby sobie nagle tę rzecz przypomniał.

– Tak, panie. O ile wiem... – Biskup uśmiechnął się, wówczas uśmiechnął się również młodzieniec. – Od ostatniego Bożego Narodzenia Ulf sypiał z nami na poddaszu.

Biskup znowu zamyslił się na chwilę. – A jadło? Gdzie jadał?

– Od żony brał żywność, ilekroć udawał się do lasu albo przebywał poza domem – wyraz twarzy Naakvego był trochę niepewny. – W związku z tym wynikło małe nieporozumienie. Matka moja była zdania, że najlepiej byłoby, gdyby Ulf jadał znowu u nas jak przed swym ożenkiem, on jednak nie chciał na to przystać. Mówił, że powstaną plotki, o ile zmieni się teraz umowę, którą zawarł z ojcem, kiedy zakładał własne gospodarstwo; wydawało mu się niesłuszne, by go matka żywiła, a on oprócz tego pobierał z naszego dworu

żywność. Ale było tak, jak matka sobie życzyła; Ulf siedział z nami przy stole, potem zaś miano się rozrachować.

– Hm, twoja matka jest uważana za kobietę dobrze strzegącą swego i bardzo oszczędną.

– Jeśli idzie o jedzenie – przerwał żywo Naakkve – to może poświadczyć każdy pacholek albo dziewczka, którzy u nas służyli; matka zawsze jest jak najhójniejsza. I pod tym względem jest obecnie taka sama jak wówczas, kiedyśmy byli bogaci; nic bardziej jej nie cieszy jak to, gdy może postawić jakieś smakołyki na stole, a wydziela wszystko tak obficie, że każdy ze służby aż do najmizerniejszego pastuchą i biedaka dostaje swoją część.

– Hm – biskup siedział pogrążony w myślach. – Wspomniałeś o tym, że zamysłasz sprowadzić swojego ojca?

– Tak, panie. To chyba będzie najwłaściwsze? – Biskup nie odpowiadał, Naakkve przeto ciągnął dalej: – Mówiliśmy tej zimy z ojcem, mój brat Gaute i ja, mówiliśmy również o tym, że matka spodziewa się dziecka. Ale ani nie okazał w żaden sposób zdziwienia, ani nie powiedział słowa, z którego można by wnosić, że ojciec wąpi w wierność matki. Ojciec nigdy nie czuł się w Sił dobrze, chciał mieszkać na swym własnym dworze w Dovre i zeszłego lata matka była u niego przez pewien czas. Gniewał się, że matka nie chce przy nim zostać i prowadzić mu gospodarstwa. Sądził, że powinna oddać rządy na Jörund Gautemu i mnie, a sama zamieszkać na Haugen.

Biskup tarł i tarł sobie brodę i spoglądał na chłopca.

...Jakimkolwiek człowiekiem był ów Erlend syn Mikołaja, to przecież nie mógł być takim nędznikiem, by oskarżać żonę o cudzołóstwo przed własnymi synami.

Choć wiele przemawiało przeciw Krystynie, on nie wierzył w to. Wydała mu się szczerą w chwili, kiedy zaprzeczała, jakoby wiedziała, że oczerniano ją z powodu Ulfa. Aczkolwiek przypomniał sobie, że ta kobietą już raz okazała się słaba i nieodporna na pokusy cielesnej żądzy, że brzydkimi wykrętami wyludziła przyzwolenie Lavransa.

Kiedy rozmowa zesła na śmierć dziecka, biskup spostrzegł, że sumienie w niej drgnęło. Ale nawet gdyby istotnie zaniedbała niemowlę, to z tej przyczyny nie można było pozywać jej na ludzki sąd. To musiała odpokutować przed Bogiem wedle nakazu swego spo-

wiednika. Było jednak zupełnie możliwe, że dziecko spłodzone zostało przez jej męża, nawet w wypadku, gdyby istotnie złym starunkiem spowodowała jego śmierć. Wielkiej radości zaprawdę nie mogła odczuwać na myśl, że oto znowu w tym wieku ma dźwigać niemowlę, opuszczona przez męża, z siedmiu dorosłymi synami, i na domiar w stokroć gorszych warunkach, niż się im z urodzenia należało. Nierozsądnie byłoby oczekiwać, aby bardzo kochała to dziecko.

Nie wierzył, że była niewierna mężowi. Choć Bóg jeden wiedział, o jakich rzeczach słyszał i o czym dowiedział się przez te dwadzieścia cztery lata, odkąd był księdzem i spowiednikiem. Ale jej wierzył.

Natomiast postępowanie Erlenda dało się wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Nie dowiadywał się zupełnie o żonę, kiedy była przy nadziei ani kiedy się dziecko urodziło i kiedy umarło. Sądził więc zapewne, że nie jest ojcem.

Pozostawało jeszcze zatem pytanie, jak też ów mąż się zachowa. Czy mimo wszystko wystąpi w obronie żony przez wzgląd na siedmiu synów; tak by uczynił człowiek honorowy. Albo też, czy ją oskarży, skoro obmowy stały się tak jawne. Wnosząc z tego, co biskup słyszał o Erlendzie z Husaby, nie był wcale pewien, czy tak właśnie on nie postąpi.

– Jacy są najbliżsi krewni i powinowaci twojej matki? – zagadnął znowu.

– Jammaelt syn Halvarda na Aelinie zaślubiony jest z jej siostrą, wdową po Szymonie Darre z Formo. Ma również dwoje stryjecznych: Ketila syna Aasmunda na Skog oraz siostrę jego Ragnę, która wyszła za Sigurda Kyrninga. Ivar Gjesling na Ringheim oraz jego brat Haavard syn Tronda są synami jej ciotki. Lecz wszyscy oni mieszkają bardzo daleko stąd.

– A pan Sigurd Eldjarn na Sundbu? Twoja matka i on są wszakże rodzeństwem ciotecznym. W takiej sprawie winien przecież rycerz wystąpić i bronić swej krewniaczki, Mikołaju! Musisz jeszcze dziś pojechać do niego i zawiadomić go o tym, co zaszło, przyjacielu!

Z wahaniem odparł Naakkve:

– Czcigodny panie, niewielka panowała przyjaźń między nami a nimi. I nie sądzę również, aby to pomogło coś sprawie matki, jeśli ten człowiek za nią się ujmie. Ród Erlenda Eldjarna nie lubiany jest tu

po dolinach. Nic nie zaszkodziło bardziej memu ojcu w pojęciu ludzi niż to, że Gjeslingowie przystąpili do tego spisku, który nas kosztował Husaby, a ich Sundbu.

– Tak, Erlend Eldjarn – biskup zaśmiał się. – Miał szczególny dar zadzierania z ludźmi, waśnił się wiecznie ze wszystkimi krewnymi tu na północy; nawet i twój dziad, człowiek pobożny i nie wahający się ustąpić, aby tylko zachować zgodę między krewnymi, nawet i on nie lepsze miał szczęście; on i Erlend Eldjarn stali się najzaciętszymi wrogami.

– Tak – Naakkve roześmiał się. – A przecież nie szło o sprawy wielkiej wagi, tylko o dwa prześcieradła z koronkami i ręcznik niebiesko obrzeżony; wszystkie te rzeczy szacowano najwyżej na dwie marki w srebrze. Lecz babka nasza przykazała swemu mężowi, aby podczas podziału spuścizny koniecznie wziął dla niej te rzeczy, zaś Gudruna córka Ivara żądała tego samego od swego małżonka. W końcu Erlend Eldjarn wziął je i schował do swej sakwy, lecz Lavrans wydobyl je stamtąd; uważał, że ma do tych rzeczy większe prawo, gdyż to Ragnfrida właśnie szyla je w domu na Sundbu jako młoda dziewczyna. Kiedy to Erlend Eldjarn zobaczył, wymierzył dziadkowi policzek; wówczas jednak dziad nasz rzucił nim trzy razy o ziemię trzęsąc przy tym niby pustym workiem. Od tej pory nie mówili słowa do siebie, a wszystko o tych kilka łachów – moja matka przechowuje je do dziś w swej skrzyni.

Biskup śmiał się serdecznie. Znał dobrze tę historię, bowiem swego czasu ludzie mieli wielką uciechę z tego, że mężowie córek Ivara tak bardzo starają się dogodzić swym niewiastom. W każdym razie osiągnął biskup to, co zamierzał: rysy chłopca wygładziły się w uśmiechu i na chwilę znikł z jego szarych, pięknych oczu czujny, trwożny wyraz. Wobec tego pan Halvard zaśmiał się jeszcze głośniej.

– Owszem, Mikołaju, mówili raz jeszcze ze sobą, sam byłem przy tym. Było to w Oslo, podczas świąt Bożego Narodzenia, na rok przed śmiercią królowej Eufemii. Mój świętej pamięci pan, król Haakon, rozmawiał z Lavransem; przybył on na południe, aby powitać pana i zapewnić go o swych wiernych służbach. Król rzekł mu wtedy, że owa niezgoda pomiędzy mężami dwu siostr jest niechrześcijańska i małoduszna. Wtenczas Lavrans podszedł do Erlenda, stojącego

opodał z kilku mężami z królewskiej świty, prosił go grzecznie, by mu wybaczył jego uniesienie, i oświadczył gotowość odesłania spornych przedmiotów pani Gudrunie z serdecznymi pozdrowieniami od brata i siostry. Na to Erlend odparł, że pojedna się, o ile Lavrans przed obecnymi ludźmi oświadczy dobrowolnie, że podczas podziału dziedzictwa po teściu zachował się jak złodziej i rabuś. Lavrans odwrócił się na pięcie i odszedł – i to, sądzę, był ostatni raz, kiedy zięciowie Ivara Gjeslinga spotkali się na ziemi – dokończył biskup śmiejąc się w głos. – Ale teraz posłuchaj mnie, Mikołaju synu Erlenda – powiedział składając ręce. – Nie wiem, czy mądrze będzie tak natychmiast wzywać twego ojca albo też wypuścić tego Ulfa na wolną stopę. Sądzę, że twoja matka musi się oczyścić z niesławy, skoro to gadanie o jej rzekomej przewinie tak się rozniosło. Ale czy łatwo będzie znaleźć Krystynie w obecnym stanie rzeczy kobiety, które wraz z nią złożą przysięgę?

Mikołaj podniósł oczy na biskupa; wzrok miał niepewny i przestraszony.

– Poczekaj kilka dni, Mikołaju! Twój ojciec i Ulf są obcymi przybyszami, nie bardzo lubianymi, Krystyna zaś i Jardtruda pochodzą z doliny, jednak Jardtruda pochodzi z dalszych, południowych stron, a twoja matka wywodzi się z tutejszych. I to dostrzegłem: ludzie nie zapomnieli jeszcze Lavransa syna Björgulfa. Wydaje się, że chcieli ukarać Krystynę, ponieważ sądzą, iż była złą córką, ale już teraz wielu z nich widzi, jak źle przysłużyli się ojcu oczerniając dziecko; wstydzą się i żałują, i z całego serca będą pragnęli, aby Krystyna oczyściła się z zarzutów. I może bardzo błahe będą to rzeczy, o które Jardtruda ją oskarżyć potrafi, skoro zajrzemy do jej własnego worka. Jeśliby jednak małżonek jej kręcił się tutaj i jątrzył ludzi...

– Panie – przerwał Naakkve podnosząc oczy – wybaczenie, że to mówię, ale to mi się nie podoba. Jak to, nie mamy nic przedsięwziąć dla naszego opiekuna i nie mamy jechać po ojca, by stanął u boku matki?

– Mimo to proszę cię, synu, byś postąpił za moją radą – rzekł biskup Halvard. – Nie spieszmy się zbyt zbytnio ze sprowadzeniem tutaj Erlenda syna Mikołaja. Natomiast polecę napisać list do pana Sigur-

da na Sundbu, by tu natychmiast przybył. A to co za hałas? – Podniósł się i wyszedł na ganek.

Tuż pod ścianą domu stali Gaute i Björgulf, a kilku pachołków biskupa nacierało na nich z bronią w ręku. W chwili gdy biskup z Naakkvem wyszli na ganek, Björgulf obalił właśnie na ziemię uderzeniem topora jednego z pachołków. Gaute bronił się mieczem. Kilku chłopów trzymało Ivara i Skulego, inni zaś odprowadzali na bok jakiegoś rannego. Sira Solmund stał nieco na uboczu, z ust i nosa ciekła mu krew.

– Wstrzymajcie się! – krzyknął pan Halvard. – Odrzućcie broń, synowie Erlenda! – Zeszedł ze schodów i zbliżył się do młodzieńców, którzy natychmiast posłuchali. – Co to ma znaczyć?

Sira Solmund wysunął się naprzód, skłonił się i rzekł:

– To znaczy, czcigodny ojcze, że Gaute syn Erlenda naruszył spokój niedzieli i mnie, swęgo proboszcza, uderzył w twarz, jak widzicie!

Wówczas wystąpił jakiś chłop w średnim wieku, pokłonił się przed biskupem i zabrał głos:

– Czcigodny panie, chłopak był srodze rozdrażniony. Ksiądz mówił takie rzeczy o jego matce, że trudno było się spodziewać, żeby Gaute słuchał tego spokojnie.

– Milcz, księże, nie mogę wysłuchać was, gdy obydwaj na raz mówicie – rzekł niecierpliwie pan Halvard. – Mów ty, Olafie synu Tronda.

Olaf ciągnął:

– Ksiądz usiłował drażnić synów Erlenda; Björgulf i Gaute odpowiadali mu zrazu umiarkowanie. Gaute nadmienił też, o czym wszyscy wiemy, że zeszłego lata spędziła Krystyna czas pewien u męża na Dovre i że wtedy poczęte zostało owo biedne maleństwo, z powodu którego cały ten hałas wybuchnął. Na to odparł ksiądz, że ludzie na Jörund bywali zawsze mądralami, a więc Krystyna zna na pewno sagę o królu Dawidzie i pani Betsabie, a Erlend syn Mikołaja był może taki chytry jak rycerz Uriasz.

Twarc biskupa stała się równie fioletowa jak szata, jego czarne oczy ciskały błyskawice. Przez chwilę patrzył na sirę Solmunda. Ale nie do niego się zwrócił.

– Wiesz dobrze, Gaute, że przez ten swój postępek napiętnowałeś się sam jako złoczyńca – rzekł. Po czym wydał rozkaz, by odprowadzono synów Erlenda do domu na Jörund. Posłał z nimi dwóch ludzi ze swej służby oraz czterech chłopów, których sam wybrał, spośród najbardziej szanowanych i najroztrośniejszych, aby ich pilnowali.

– I ty musisz teraz również odejść, Mikołaju – zwrócił się do Naakkvego – i zachować się spokojnie. Bracia twoi nie przysłużyli się matce, ale dobrze pojmuję, że byli wzburzeni.

W głębi ducha jednak biskup z Hamaru mniemał, że synowie na pewno nie zaszkodzili sprawie matki. Widział, że wielu chłopów już teraz inaczej myśli o pani na Jörund aniżeli jeszcze tego rana, kiedy przebrała miarę przychodząc z Ulfem do kościoła, aby poprowadził jej syna do bierzmowania. Jednym z tych ludzi był właśnie stary Kolbein syn Jona i jego postawił na czele straży.

Naakkve wszedł pierwszy do izby na piętrze; Krystyna siedziała tu na skraju łoża Lavransa, z Munanem na kolanach. Opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło, jednak wielki nacisk położył na to, że biskup uważa ją za niewinną i jest zdania, iż chłopcy w rozdrażnieniu popełnili ten czyn. Radził natomiast matce, żeby nie szła sama do biskupa.

Wprowadzono czterech braci. Matka spojrzała na nich dziwnym wzrokiem. Czuła, jak mimo ogromnej trwogi i rozpaczony znowu nabrzmiewa i rozwiera się jej serce. Jednakże spokojnie powiedziała do Gautego:

– Niepięknieś się spisał, mój synu. Niewielki to zaszczyt dla miecza Lavransa, że wydobyłeś go przeciw gromadzie plotkujących chłopów.

– Naprzód wyciągnąłem go przeciwko zbrojnym biskupa – odciął się Gaute ze złością. – Ale prawdą jest, niewielka to cześć dla naszego dziada, że konieczne było w takiej sprawie chwycić za broń.

Krystyna spojrzała na syna. Potem odwróciła się. Jakkolwiek zaboląły ją jego słowa, musiała się uśmiechnąć; był zupełnie jak dziecko topiące mleczne ząbki w matczynej piersi.

– Sądzę, że najlepiej będzie, matko – odezwał się Naakkve – jeżeli

zejdziecie na dół i weźmiecie Munana ze sobą. Nie zostawiajcie go teraz ani przez chwilę samego, zanim się nie uspokoi – dodał cicho. – Trzymajcie go w domu, aby nie spostrzegł, że jego bracia są strzeżeni.

Krystyna podniosła się.

– Synowie moi – ucałujcie mnie, zanim stąd pójdę, jeśli sądzicie, że tego godna.

Naakkve, Björgulf, Ivar i Skule podeszli do matki i ucałowali ją. Winowajca Gaute spojrział ze smutkiem na matkę, a kiedy podała mu rękę, chwycił kraj jej rękawa i pocałował. Wszyscy, nawet Gaute, byli teraz wyżsi od niej. Krystyna pokrzątała się przez chwilę przy łożu Lavransa, po czym wraz z Munanem opuściła izbę.

Na Jörund były wówczas cztery domostwa z nadbudówką na piętrze: dom z świetlicą, nowa izba, używana w czasach dzieciństwa Krystyny latem na mieszkanie, zanim Lavrans postawił wielki dom mieszkalny, stara izba oraz szopa na sól, nad którą znajdowało się również poddasze; tam sypiały latem dworskie dziewczki.

Krystyna udała się z Munanem do nowej izby; tutaj sypiała z nim od śmierci niemowlęcia. Niespokojnie chodziła z kąta w kąt, podczas gdy Frida i Gunhilda wносиły kaszę na wieczerzę. Krystyna poleciła Fridzie wynieść chłopom trzymającym straż piwo i jadło. Dziewka odparła, że uczyniła to już na rozkaz Naakkvego, lecz ludzie oświadczyli, że nie chcą nic przyjąć od gospodyni, ponieważ w tak przykrych sprawach przebywają na jej dworze. Postarali się już o żywność i picie gdzie indziej.

– Mimo to postawcie im beczułkę piwa – powiedziała Krystyna.

Młoda Gunhilda była cała zapłakana.

– Nikt z twojej czeladzi nie daje wiary temu, co mówią o tobie, Krystyno. Zawsze mówiliśmy, że uważamy to tylko za potwarz.

– A zatem i was doszły te plotki – rzekła gospodyni. – Lepiej byłoby, gdybyście mi coś o tym wspomnieli.

– Nie śmiałyśmy przez wzgląd na Ulfa – odparła Frida, a Gunhilda dodała z płaczem:

– Zakazał nam i groził, byśmy przed tobą milczały; nieraz sobie

myślałam, że powinnam mówić z tobą i prosić cię, byś się miała bardziej na baczności i nie gadała po nocach z Ulfem.

– Więc on wiedział o tym? – spytała cicho Krystyna.

– Jardtruda oskarżała go już dawno o to. I na pewno z tej przyczyny ją bił. Pewnego wieczora w czasie ostatnich Godów, kiedy zaczęłaś tyć w pasię, siedzieliśmy i piliśmy u nich w izbie rządcy – Solveig i Öivind, i kilku ludzi z południowych okolic gminy. Wtedy Jardtruda powiedziała do męża, że on jest winien temu, że ty grubiejesz. Ulf zbił ją pasem tak, że krwawe pręgi wystąpiły na jej ciele. Lecz od tego czasu ją Jardtruda rozpowiadać, że Ulf nie zaprzeczył temu ani jednym słowem.

– I stąd powstała ta plotka w dolinie? – spytała Krystyna.

– Tak, ale my wszyscy z twego dworu zawsześmy zaprzeczali – zapewniała płaczącą Gunhilda.

Aby uspokoić Munana, musiała Krystyna położyć się obok niego do łóża i wziąć go w ramiona, ale nje zdjęła szat i nie zmrużyła oka tej nocy.

Tymczasem w izbie na poddaszu mały Lavrans wstał i ubrał się. A pod wieczór, kiedy Naakkve zeszedł na dół, by pomóc przy udoju, Lavrans wyszedł i skierował się w stronę stajni. Osiodłał kasztanka Gautego; był to najlepszy koń po ogierze, lecz tego nie odważył się chłopak dosiąść.

Kilku spośród ludzi trzymających straż we dworze podeszło do niego i zapytało, dokąd jedzie.

– Nic mi nie wiadomo o tym, jakobym był więźniem – odparł Lavrans. – Ale nie będę tał przed wami, nie możecie mi wszakże zabronić jechać na Sundbu i sprowadzić tutaj rycerza, by bronił swej krewniaczki.

– Wnet mrok zapadnie, chłopcze – odezwał się stary Kolbein syn Jona. – Nie możemy przecie pozwolić, aby to dziecko jechało nocą samo przez góry. Musimy uprzedzić matkę.

– Nie, nie czyńcie tego – powiedział Lavrans. Usta drżały mu lekko. – Sprawa, dla której jadę, jest tego rodzaju, iż ufam, że Bóg i Maryja Panna strzec mnie będą w drodze, o ile matka moja jest

niewinna. A jeśli nie, to i tak wszystko-jedno – urwał bliski płaczu.

Kolbein zastanowił się. Spojrzał na śliczne jasnowłose dziecko.

– Jedź tedy i niechaj Bóg cię prowadzi, Lavransie synu Erlendą – powiedział i chciał pomóc chłopcu dosiąść wierzchowca.

Lecz Lavrans poprowadził konia tak, że wszyscy musieli zejść na bok, wspiął się na wielki głaz u wrót dziedzińca i stamtąd jednym susem rzucił się na grzbiet kasztanka, po czym pognał na zachód w stronę Vaagaa.

8

Kiedy Lavrans przybył do miejsca, skąd, jak wiedział, prowadziła kamienista ścieżka wśród skał opadających stromo na północną stronę doliny, koń jego okryty był pianą. Wiedział, że jeszcze przed nocą musi stanąć na wyżynie. Nie bardzo znał pasma górskie między Vaagaa, Sil i Dovre, ale wałach past się tu przez jedno lato, a poza tym nieraz nosił Gautego na Haugen, choć innymi drogami. Lavrans pochylił się i poklepał szyję zwierzęcia.

– Musisz znaleźć drogę na Haugen, kasztanku, synu mój. Musisz mnie zawieźć tej nocy do ojca, słyszysz?

Zaledwie wspiął się na szczyt i usiadł z powrotem w siodle, począł szybko zapadać mrok. Jechał teraz przez małą bagnistą dolinkę górską. Towarzyszyły mu niezliczone skałki, wyraźnie odcinające się na tle ciemniejącego nieba. Na zboczach doliny stały brzozowe gaje, pnie drzew połyskiwały biało; co chwila mokre gałęzie smagały pierś konia i uderzały chłopca w twarz. Spod kopyt kasztanka odrywały się kamienie i staczały na samo dno doliny, to znów koń człapał po rozmiękłym gruncie. Kasztanek znajdował po ciemku drogę w górę i w dół, a potok szumiał to bliżej, to dalej. Nagle ciszę górską przeszył głos jakiegoś zwierzęcia – Lavrans nie mógł rozróżnić, jakiego – a wicher śpiewał i świstał to mocniej, to znów słabiej.

Dziecko trzymało oszczep na karku konia tak, że ostrze wyglądało spomiędzy uszu wierzchowca. Podobno w tej dolinie kryły się niedźwiedzie. Lavrans myślał ciągle, kiedy się skończy ta jazda. Cichutko jął zawodzić w ciemności: *Kyrie eleison, Christe eleison, Kyrie eleison, Christe eleison.*

Kasztanek przebrnął potok w jakimś płytkim miejscu. Rozgwieżdżone niebo rozszerzyło się jakby, szczyty odsunęły się dalej w nocny mrok, a wiatr śpiewał w tej otwartej przestrzeni na inną nutę. Chłopak zdał się zupełnie na konia, sam zaś nucił po cichu wszystko, co mógł sobie przypomnieć z hymnu *Jesu Redemptor omnium – Tu humen et splendor Patris*¹ dodając jeszcze od czasu do czasu *Kyrie eleison*. Wnosząc z gwiazd jechał teraz niemal wprost na południe, ale nie śmiał sam kierować, zaufał zupełnie kasztankowi. Jechali przez górskie hale, gdzie jasne mchy rosły wśród kamieni; koń przystanął na chwilę, rozglądał się badawczo i prychnął. Lavrans spostrzegł, że na wschodzie niebo rozjaśnia się, płynęły stamtąd srebrno obrzeżone chmury. Koń począł znowu iść, teraz ściśle w kierunku wschodzącego miesiąca. O ile chłopak dobrze się rozeznawał, pozostawało jeszcze około godziny do północy.

Kiedy wreszcie zza dalekich gór wypłynął księżyc i w jego jasnym świetle zabłysnął świeżo spadły śnieg na szczytach i w rozpadlinach, a błędzące po jarach i wąwozach mgiełki zaślniły biało, poznał Lavrans znowu okolicę; był teraz na płaskowyżu pod Górami Niebieskimi.

Wkrótce odnalazł ścieżkę prowadzącą na dół. Zaś w trzy godziny później kulejący kasztanek przywłókł się na zalany księżycowym blaskiem dziedziniec w Haugen.

Kiedy Erlend otworzył drzwi, chłopak runął bez przytomności na próg.

W jakiś czas potem ocknął się Lavrans w łożu wśród brudnych, cuchnących skór. Smolna szczapa zatknięta w szczelinę belki płonęła tuż obok. Ojciec stał pochylony nad nim i zwilżał mu czymś twarz; był tylko na pół odziany i chłopak ujrzał w migotliwym świetle, że włosy jego zbieleły zupełnie.

– Matka... – przemówił Lavrans i podniósł oczy.

Erlend odwrócił się, tak że syn nie mógł widzieć jego twarzy.

– Tak – rzekł po chwili ledwie dosłyszalnie – czy twoja matka... czy ona... czy matka twoja... jest chora?

¹ O Jezu, Zbawco wszystkich – Ty światło i chwała Ojca (hymn śpiewany podczas pierwszych nieszporów Bożego Narodzenia).

– Musicie natychmiast wracać do domu, ojczcie, i uwolnić ją. Rzuceno na nią najgorsze oskarżenie, trzymając ją pod strażą, ją i Ulfa, i moich braci, ojczcie!

Erlend dotknął rozpalonej twarzy i ręki chłopca – gorączka wzmożła się znowu.

– O czym ty mówisz?

Lavrans usiadł prosto i opowiedział dość dokładnie wszystko, co poprzedniego dnia wydarzyło się w domu. Ojciec wysłuchał go w milczeniu, ale w czasie opowiadania chłopca zaczął się ubierać; naciągnął wysokie buty i przypiął ostrogi. Potem przyniósł chłopcu coś do jedzenia.

– Ale przecież nie możesz tu zostać sam w tej izbie, mój chłopczce. Muszę cię najpierw odprowadzić do Aslaugi do Brekken, nim zjadę na dół.

– Ojczcie – Lavrans uczeplił się jego ramienia – ja chcę jechać z wami do domu.

– Przecież chory, mój synku – rzekł Erlend; chłopiec nie słyszał nigdy tyle czułości w głosie ojca.

– Nie, ojczcie, ja chcę z wami do matki – chcę do domu, do matki – rozplakał się jak małe dziecko.

– Ale twój kasztanek kuleje, chłopczce. – Erlend wziął syna na kolana, ale nie mógł go uspokoić. – I zmęczony też jesteś... Dobrze już, dobrze – rzekł w końcu – Soten poniesie nas obu.

– A nie zapomnij – mówił wyprowadzając ogiera, a na jego miejsce wprowadzając kasztanka i oporządżając go – aby ktoś tu przyjechał i zajął się twoim koniem i moimi rzeczami.

– To zostaniecie teraz w domu, ojczcie? – spytał z radością Lavrans.

Erlend wpatrzył się przed siebie.

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że tutaj już nigdy nie wrócę.

– Nie uzbroicie się lepiej, ojczcie? – zagadnął znowu chłopiec, Erlend bowiem prócz miecza wziął tylko mały, lekki topór i tak chciał wyjść z izby. – Nie weźmiecie nawet tarczy?

Erlend rzucił okiem na tarczę. Wołowa skóra miała tyle rys i zdarć, że czerwony lew na białym polu był prawie niewidoczny. Położył ją z powrotem i nakrył płachtą.

– To uzbrojenie na pewno mi wystarczy, by przepędzić gromadę

chłopów z mego dworu – powiedział. Wyszedł z izby, zawarł drzwi, dosiadł konia i pomógł chłopcu usadowić się z tyłu.

Niebo chmurzyło się coraz to bardziej; kiedy po chwili wjechali w gęsty las, otoczyła ich ciemność nieprzenikniona. Erlend zauważył, że syn jest tak znużony, iż z trudem tylko trzyma się na koniu. Wziął go przeto przed siebie i objął ramieniem. Jasna główka chłopięca opierała się na jego piersi – Lavrans był ze wszystkich synów najbardziej podobny do matki. Erlend ucałował go w głowę i nasunął mu lepiej kapuzę.

– Czy matka smuciła się bardzo, kiedy w lecie umarło dziecko? – zapytał nagle bardzo cicho.

– Nie płakała wcale po jego śmierci. Ale co noc chodziła na cmentarz. Gaute i Naakkve szli za nią. Lecz nie śmieli przemówić do niej, nie śmieli również okazać matce, że jej strzegą.

Po chwili rzekł Erlend:

– Nie płakała... Pamiętam czas, kiedy twoja matka była młoda, wtedy płakała tak łatwo, jak rosa spływa z wierzb nad potokiem. Krystyna była taka tkliwa i łagodna, kiedy znajdowała się pośród ludzi jej przychylnych. Potem nauczyła się być twardą – i ja głównie byłem tego przyczyną.

– Gunhilda i Frida mówiły – opowiadał Lavrans – że nasza matka płakała przez cały czas, jak długo żył najmłodszy braciszek, kiedy myślała, że nikt nie widzi.

– Bóg niech mi będzie miłościw – rzekł cichutko Erlend. – Nierozumnym byłem człowiekiem.

Jechali dnem doliny, wiatr wiał im w plecy. Erlend otulił syna jak najszczelniej swym okryciem. Lavrans bliski zaśnięcia czuł, że od ojca bije taki sam odór jak od biednych ludzi. Dokładnie przypomniał sobie z czasów dzieciństwa, jak to ojciec, kiedy jeszcze byli na Husaby, wychodził w sobotę z łaźni trzymając w ręku parę małych kul. Pachniały one tak silnie, że jeszcze przez całą niedzielę szaty i ręce ojca przesiąknięte były tym słodkim zapachem.

Erlend jechał miarowo i szybko, mimo że tu w dole na wrzosowiskach było zupełnie ciemno, bez zastanowienia się wiedział każdej chwili dokładnie, gdzie się znajduje; znał dobrze zmienny szum rzeki, zależny od tego, czy Laagen płynęła w równym korycie, czy też

spadała po skalnych progach. Droga prowadziła przez głazy, spod kopyt konia sypały się skry. Pewnie i lekko stąpał Soten między wykrotami, gdy droga prowadziła przez gęsty bór; cicho pluskało pod jego kopytami na trawiastych mokradłach, przez które sączyły się cieniutkie strużki. O brzasku staną w domu – i to będzie właśnie odpowiednia pora.

Przez chwilę myślał o owej dalekiej, błękitnej od księżyca, mroźnej nocy, kiedy jechał saniami przez tę samą dolinę; za nim siedział Björn syn Gunnara i trzymał w ramionach martwą kobietę. Ale wspomnienie to było blade i dalekie, dalekie i nierzeczywiste było również wszystko, co opowiadało dziecko, wszystko, co się wydarzyło tam w dolinie razem z tymi niedorzecznymi pogłoskami o Krystynie. Żadną miarą nie mogło mu się to pomieścić w głowie. Skoro przybędzie do domu, będzie miał dość czasu zastanowić się nad tym, co wypada czynić. Nic teraz nie było rzeczywiste prócz napięcia i lęku – wkrótce stanie z Krystyną twarzą w twarz.

Tak bardzo, tak bez końca jej wyczekiwał. I nigdy nie wątpił, że wreszcie przyjdzie do niego. Aż posłyszał, jakie imię nadała dziecku na chrzcie.

O szarym świcie opuszczali kościół ludzie przybyli na jutrznię odprowadzaną przez księdza z Hamaru. Pierwsi, którzy wyszli, ujrzeli Erlenda syna Mikołaja jadącego w kierunku swego dworu i nowinę tę podali innym. Powstał pewien rozruch i gadanina; chłopcy zaczęli schodzić z boczem na dół i skupiać się w gromadach tam, gdzie od głównego gościńca odchodziła droga na Jörund.

Erlend wjechał na dziedziniec w chwili, kiedy sierp miesiąca, blednący w brzasku dnia, zniknął między kłębem chmur a skalnymi szczytami.

Przed izbą rządzący stało kilku ludzi, krewni Jartrudy oraz jej przyjaciele, którzy spędzili u niej tę noc. Kiedy na dziedzińcu zabrzmiał tętent kopyt, wyszli również na dwór mężowie, którzy trzymali straż w izbie na poddaszu.

Erlend osadził konia. Spojrzał na chłopów i zawołał głośno i szczerzo:

– Cóż to, czy jakaś uczta odbywa się na mym dworze, a ja nic o tym nie wiem! Z jakiej przyczyny zebraliście się tutaj o świcie, dobrzy ludzie?

Gniewne i posępne spojrzenia odpowiedziały mu ze wszystkich stron. Erlend siedział wyprostowany i smukły na długonogim, karym, zagranicznym ogierze. Soten miał niegdyś krótko ściętą grzywę, teraz jednak była ona zwichrzona i nie strzyżona, koń był poza tym zaniedbany, miał siwe włosy w grzywie; ale w oczach jego skrzył się ciemny żar, stapał i tańczył niespokojnie wkoło, strzygł uszami i potrząsał małym, kształtnym łbem, tak że bryzgi piany padały nie tylko na jego pierś, ale i na jeźdźca. Uprząż była niegdyś czerwona, a siodło wytłaczane złotem. Teraz wszystko było zużyte, podarte, połatane. Pan odziany był prawie jak żebrak; włosy, opadające spod czarnej wełnianej czapki, były białe, pooraną zmarszczkami twarz o wydatnym nosie pokrywał siwy zarost. Ale siedział wyprostowany i z dumnym uśmiechem spoglądał z góry na gromadę chłopów; mimo wszystko wyglądał młodo i dostojnie. Gorącą falą buchnęła nienawiść ku temu obcemu człowiekowi, który wciąż podnosił hardo i nieugięciem głowę, niepomny na ból, hańbę i zgryzotę, jakie sprowadził na tych, którzy tutaj w dolinie uchodzili za najgodniejszych.

Mimo to chłop, który pierwszy przemówił do Erlenda, rzekł z rozważą:

– Znalazłeś swego syna, jak widzę, Erlendzie, sądzę więc, że wiesz, iż nie zgromadziliśmy się tu na uczcie, i dziwne się zdaje, że z takiej rzeczy żarty sobie stroisz.

Erlend spojrział na wciąż jeszcze śpiące dziecko; głos jego złagodniał:

– Chłopak jest chory, sami to widzicie. Wieści, jakie mi przywiózł z doliny, zdały mi się tak niewiarygodne, że sądziłem, iż bredzi w gorączce. Coś z tego w każdym razie jest brednią – Erlend zmarszczył czoło i popatrzył w stronę stajni. Ulf syn Haldora i jeszcze kilku mężczyzn, wśród nich jeden z jego szwagrów, wyprowadzali właśnie konie.

Ulf zostawił wierzchowca i szybko podszedł do Erlenda.

– Przyjeżdżasz wreszcie, Erlendzie. I chłopiec też jest – dzięki Chrystusowi i Maryi Pannie. Matka nie wie, że chłopak wyjechał. Właśnie mieliśmy ruszać na jego poszukiwanie, biskup zwolnił mnie na słowo, skoro posłyszał, że dziecko samo pojechało do Vaagaa. A jak się ma Lavrans? – spytał niespokojnie.

– Pochwalony niech będzie Bóg, żeście odnaleźli syna – rzekła Jardtruda z płaczem; i ona wyszła teraz na dziedziniec.

– A, toś ty też tutaj, Jardtrudo? – rzekł Erlend. – Pierwsza sprawa, jaka mnie czeka, to przepędzić ciebie i całą twoją hołotę z mojego dworu. Przede wszystkim wygnamy tę plotkarkę, a potem odpokutuje każdy, kto śmiał rzucić potwarz na moją żonę.

– Tak nie można, Erlendzie – obruszył się Ulf. – Jardtruda jest moją żoną. Sądzę wprawdzie, że oboje nie mamy bynajmniej ochoty żyć z sobą nadal, lecz z mojego domu odejdzie nie wcześniej, aż moi szwagrowie otrzymają należne jej bydło, statki i wiano.

– Kto jest tu panem na dworze? – spytał Erlend z wściekłością.

– O to musisz zapytać Krystyny – odparł Ulf. – Właśnie nadchodzi.

Gospodyni stała na ganku nowej izby, teraz ją powoli schodzić na dół. Bezmyślnie nasuwała na czoło chustkę, która zsunęła się jej na tył głowy, i wygładzała odświętną szatę, której jeszcze od wczoraj nie zdjęła. Ale twarz jej była nieruchoma jak głąz.

Erlend podjechał ku niej, krok za krokiem; nieco pochylony wpatrywał się z trwogą i rozpaczą w szare, martwe oblicze żony.

– Krystyno – błagał – moja Krystyno, przyjechałem do domu, do ciebie.

Zdawała się nie słyszeć i nie widzieć. W tej chwili Lavrans, leżący dotąd w ramionach ojca, zaczął powoli przychodzić do siebie i zsunął się z konia. Ale zaledwie stopy jego dotknęły ziemi, załamał się i upadł bezwładnie.

Drżenie przebiegło twarz matki. Pochyliła się i podniósłszy chłopca trzymała go na rękach. Przytuliła jego głowę do swej piersi, jak gdyby był małym dzieckiem, jego długie nogi zwisały bezsilnie.

– Krystyno, przyjaciółko najmiłsza – prosił zrozpaczony Erlend. – Och, Krystyno, wiem, że przybywam za późno.

Twarz kobiety znowu drgnęła.

– Za późno nie jest – rzekła cicho i twardo. Wpatrzyła się w Lavran-

sa, leżącego bezwładnie w jej ramionach. – Nasze najmłodsze dziecko spoczywa już pod ziemią, teraz kolej na Lavransa. Gaute stał się złoczyńcą, a pozostali nasi synowie... o, jeszcze mamy wiele do stracenia, Erlendzie!

Odwróciła się od niego i z dzieckiem na rękach szła przez dziedzi-
niec. Erlend jechał krok w krok za nią.

– Krystyno! Jezu, co mam uczynić dla ciebie? Krystyno, czy nie chcesz, bym przy tobie pozostał?

– Teraz nie potrzebujesz już nic uczynić dla mnie – odparła żona jak przedtem. – Czy tu pozostaniesz, czy też rzucisz się do wody, mnie już pomóc nie możesz.

Synowie Erlenda wyszli tymczasem na ganek. Gaute zbiegł na dół i skoczył ku matce chcąc ją powstrzymać.

– Matko! – rzekł błagalnie. Spojrzała na niego i stanął z opuszczonymi rękami.

Przy wejściu na schody stało kilku chłopów.

– Odejdźcie stąd, ludzie – rzekła Krystyna i chciała przejść ze swym brzemieniem.

Soten rzucił głowę i tańczył niespokojnie. Erlend zawrócił z nagłą tak, że Kolbein syn Jona mógł mocno chwycić uzdę konia. Krystyna nie widziała dokładnie, co się działo. Odwróciła się i rzekła przez ramię:

– Puść konia, Kolbeinie. Jeśli chce odjechać, to puśćcie go!

Kolbein przytrzymał mocniej uździenicę i rzekł:

– Czy nie pojmujesz, Krystyno, że czas wielki, aby chłop pozostał na swym dworze? Przynajmniej ty to pojąć musisz – zwrócił się do Erlenda.

Erlend jednak trzasnął go w rękę i pognął ogiera, że aż stary zatoczył się w tył. Paru ludzi doskoczyło. Erlend krzyknął:

– Precz stąd! Wara wam mieszać się do spraw moich i mojej żony, a chłopem nie jestem! Nie dam się przykuć do roli jak bydło do żłobu. Skoro ten dwór nie jest moją własnością, to i ja nie jestem własnością dworu!

Wówczas Krystyna odwróciła się i zawołała:

– Jedź! Jedź aż do piekła! I tak już wtrąciłeś tam mnie i wszystko, coś posiadał albo coś kiedykolwiek wziął w swoje ręce!

To, co się teraz wydarzyło, odbyło się tak błyskawicznie, że nikt nie mógł zdać sobie z tego sprawy albo zapobiec temu.

Tore syn Borghilda i jeszcze jakiś chłop chwycili kobietę za rękę.

– Krystyno, nie mówże tak teraz do swego męża!

Erlend najechał na nich.

– Jak śmiecie podnosić rękę na moją żonę? – Wywinął toporem i ciał Torego syna Borghilda. Cios ugodził go w plecy i mężczyzna zwałił się na ziemię. Erlend podniósł ponownie topór, ale w chwili kiedy prostował się w strzemionach, jakiś człowiek rzucił oszczepem i trafił go w pachwinę. Był to syn Torego.

Soten wspiął się i zawisł przednimi nogami w powietrzu. Erlend kolanami ścisnął mu boki i pochylił się nieco ściągając lewą ręką mocno wodze, drugą podnosząc do ciosu; ale nicmal w tej samej chwili noga wysunęła mu się ze strzemienia i krew strumieniem buchnęła z lewego uda. Zaświstały w powietrzu strzały i ciskane oszczepy. Ulf i synowie Erlenda rzucili się z podniesionymi toporami i mieczami na gromadę chłopów, gdy nagle jeden z nich przebił konia pod Erlendem. Zwierzę upadło na kolana z przeraźliwym, dzikim rżeniem; odpowiedziały mu konie w stajni.

Erlend podniósł się i stanął rozkraczony nad koniem. Wsparł się na ramieniu Björgulfa i przeszedł nad ciałem rumaka. Gaute przyskoczył i podparł ojca z drugiej strony.

– Dobijcie go! – rzekł wskazując na konia, który osunął się na bok i leżał z wyciągniętą szyją, z krwawą pianą na pysku i bił potężnymi kopytami. Ulf syn Haldora uczynił to.

Chłopi rozstąpili się. Dwóch ludzi zaniósło Torego syna Borghilda do izby rządcy, jeden zaś ze sług biskupa odprowadził rannego towarzysza.

Krystyna puściła Lavransa, który tymczasem przyszedł do siebie, i oboje stali spleceni uściskiem. Zdawała się nie pojmować, co zaszło; w istocie wszystko odbyło się tak szybko.

Synowie chcieli zaprowadzić ojca do nowej izby, ale Erlend rzekł:

– Nie, tam nie pójdę. Nie chcę umierać tam, gdzie zmarł Lavrans.

Krystyna podbiegła i zarzuciła mężowi ramiona na szyję. Martwota jej twarzy prysnęła w gwałtownym szlochu, jak pryska lód strzaskany kamieniem.

– Erlendzie, Erlendzie!

Erlend pochylił głowę tak, że policzek jego musnął twarz żony. Stał tak chwilę.

– Prowadźcie mnie do starej izby, chłopcy – rzekł. – Tam chcę leżeć.

W pośpiechu przygotowała matką łożę na poddaszu, synowie rozebrali Erlenda i Krystyna przewiązała mu ranę. Krew płynęła niepowstrzymanie z rany zadanej oszczepem w pachwinę; w lewej piersi również utkwiała strzała, lecz ta rana ledwo krwawiła.

Erlend pogłaskał głowę Krystyny.

– Mnie już nie potrafisz uleczyć, moja Krystyno.

Podniosła oczy zrozpaczona, głęboki dreszcz przebiegł jej ciało. Przypomniała sobie, że to samo powiedział Szymon, i zdawało jej się najgorszym znakiem, że Erlend wyrzekł teraz te słowa.

Leżał w łożu, wysoko podparty poduszkami, z lewą nogą zgiętą, by zatamować upływ krwi z rany zadanej oszczepem. Krystyna siedziała przy nim. Ujął jej rękę.

– Pamiętasz jeszcze tę pierwszą noc, kiedy spaliśmy razem w tym łożu, moja miła? Nie wiedziałem, żeś już wtedy dźwigała tajemny ból, którego ja byłem przyczyną. I nie było to pierwsze cierpienie, które przeze mnie znosić musiałaś, Krystyno.

Wzięła jego rękę w swoje ręce. Skóra na dłoni była popękana, a koło pozadzieranych, wąskich paznokci i w każdy przegub smukłych palców wrosnięty był brud. Krystyna podniosła tę rękę do swej piersi i ust; łzy jej spływały na nią.

– Jakie gorące są twoje wargi – szeptał Erlend. – Czekałem i czekałem na ciebie, tak strasznie tęskniłem. W końcu myślałem, że muszę się ugiąć i zejść do ciebie, lecz wtedy posłyszałem... A kiedym się dowiedział, że mały umarł, sądziłem, że już za późno wracać do ciebie.

Z łkaniem odparła Krystyna:

– Oczekiwałam cię jeszcze wtedy, Erlendzie. Myślałam, że kiedys przecie przyjdiesz na grób dziecka.

– Wtedy jednak nie przyjęłabyś mnie jak przyjaciela – rzekł Erlend – i, na Boga, miałabyś po temu przyczynę. Jaka słodka i miła byłaś, moja Krystyno – szepnęła i zamknęła oczy.

Płakała cicho i boleśnie.

– Teraz nie pozostaje nam nic innego – rzekł mąż – tylko próbować wybaczyć sobie wzajemnie po chrześcijańsku, jeśli możesz.

– Erlendzie, Erlendzie – pochyliła się ku niemu i całowała jego bladą twarz. – Nie wolno ci tyle mówić, mój Erlendzie.

– Muszę się wszakże pospieszyć i powiedzieć to, co mam do powiedzenia. A gdzie Naakkve? – spytał niespokojnie.

Odpowiedziała, że Naakkve jeszcze wczoraj wieczór posłyszawszy, że brat wybrał się sam na Sundbu, pojechał za nim co koń wyskoczy. Pewnie szaleje teraz, że nie spotkał dziecka. Erlend westchnął, ręce jego błędziły niespokojnie po nakryciu.

Sześciu synów obstało łóżko.

– Tak, nie bardzo o was dbałem, synowie moi – zaczął ojciec. Zakasłał jakoś dziwnie i jakby ostrożnie, przy czym krwawa pianka ukazała mu się na wargach. Krystyna otarła ją swoją chustką. Po chwili Erlend ciągnął dalej:

– Musicie mi wybaczyć, jeśli możecie. Pamiętajcie zawsze, moi chłopcy, że wasza matka przez wszystkie lata przeżyte ze mną o was walczyła. Nigdy nie było między nami żadnej innej waśni, tylko o to jedno, że tak mało troszczyłem się o wasze dobro. Kocha was ona ponad życie.

– Będziemy zawsze pamiętali – odparł Gaute z płaczem – iż wy, ojczy, byliście najdzielniejszym mężem i najznakomitszym przywódcą. Dumni byliśmy z tego, żeśmy się zwali waszymi synami, nie mniej wówczas, kiedy was szczęście opuściło, jak w dniach powożenia.

– Mówisz, jak umiesz – odrzekł Erlend śmiejąc się z trudem i kaszłąc. – A nie zgotujcie matce tego zmartwienia, byście wdali się we mnie. Dostyc się już wycierpiała ze mną.

– Erlendzie, Erlendzie – zawodziła Krystyna.

Synowie ucałowali rękę i twarz ojca, z płaczem odeszli i usiedli na ławie pod ścianą. Gaute objął Munana ramieniem i przygarnął dziecko do siebie; bliźniacy siedzieli wsparci o siebie. Erlend wsunął znowu rękę w dłoń Krystyny. Ręka jego była zimna; podciągnęła mu więc nakrycie aż pod brodę, ale siedziała dalej na brzegu łóżka i ścisnęła mocno jego dłoń pod kocem.

- Erlendzie – odezwała się łkając – Bóg niech nam będzie litościw, musimy posłać po księdza.
- Tak – odparł z trudem. – Niechże ktoś jedzie na Dovre i sprowadzi tu sirę Guttorma, mego proboszcza.
- Erlendzie, on nie przybędzie na czas – rzekła przerażona.
- Przybędzie – odparł Erlend gwałtownie. – Oczywiście, jeśli Bóg zechce być tak miłosierny, gdyż nie chcę przyjąć ostatniej posługi od tego księdza, który na ciebie rzucał takie oszczerstwa.
- Erlendzie, na miłość Boską, tak nie wolno ci mówić.
- Ulf syn Haldora zbliżył się i pochylił nad konającym.
- Ja, Erlendzie, pojedę na Dovre.
- Przypominasz sobie, Ulfie – szeptał Erlend, głos jego stał się słaby i niewyraźny – ów czas, kiedyśmy to wyruszyli z Hestnaes, ty i ja – uśmiechnął się. – Tak, wówczas przyrzekłem, że jako wierny krewny w każdej potrzebie stanę za tobą. Niestety, krewniaku, przeważnie ty mnie okazywałeś wierność, nie ja tobie. Ulfie, przyjacielu... nas obojga. Chcę... podziękować ci za to... krewniaku.
- Ulf nachylił się i ucałował jego krwawe wargi.
- Tobie samemu dzięki, Erlendzie synu Mikołaja.
- Zapalił świecę, postawił ją u wezłowania umierającego i wyszedł.
- Erlendowi znowu opadły powieki. Krystyna siedziała wpatrzona w jego bladą twarz, od czasu do czasu głaskała go. Zdawało jej się, że widzi, jak Erlend coraz szybciej i szybciej idzie ku śmierci.
- Erlendzie – błagała cichutko. – Na rany Chrystusa, pozwól wezwać sirę Solmunda. Bóg jest Bogiem, jakikolwiek ksiądz z nim przychodzi.
- Nie! – Usiadł w łożu, tak że nakrycia zsunęły się z nagiego, złotego ciała. Opaski na piersi i brzuchu zafarbowały się szkarłatnymi plamami z płynącej znowu krwi. – Grzesznym jestem człowiekiem, Bóg niechaj mi będzie miłościwy w swej wielkiej łaskawości, ale czuję... – opadł na poduszki, szeptał ledwie dosłyszalnie – ...nie żyję jeszcze dość długo, by być tak starym... i tak pobożnym... abym mógł znieść spokojnie... w jednej izbie ze mną tego człowieka, który cię spotwarzał.
- Erlendzie! Erlendzie! Myśl o zbawieniu swej duszy! Potrząśnij przecząco głową. Czy miał zamknąć.

– Erlendzie! – załamała ręce, krzyczała głośno w bezgranicznej rozpacz – Erlendzie, czy nie pojmujesz, musi a n o tak mówić, skoroś ty w ten sposób obszedł się ze mną!

Erlend otworzył swoje wielkie oczy. Wargi jego były sine, lecz odbłask dawnego uśmiechu przemknął po zapadłej twarzy.

– Pocałuj mnie, Krystyno – szepnął. Jakby śmiech zadrgał w jego głosie. – Naprawdę, zbyt wiele innych rzeczy było między nami aniżeli tylko chrześcijaństwo i wspólne życie, byśmy z łatwością... mogli się rozstać... jak przystało chrześcijańskim małżonkom.

Wciąż i wciąż wołała go po imieniu, ale on leżał z zamkniętymi oczyma błąd pod siwym włosem niby świeżo rozłupane drzewo. Nieco krwi wysączyło się z kątów ust; Krystyna otarła ją i uspokajała go szeptem. Przy każdym ruchu czuła, że suknia jej przylgnęła do ciała, zimna i mokra od krwi, która ją zalała, kiedy go prowadziła do izby i kładła do łóża. Chwilami rżenie wydobywało się z piersi Erlenda i zdawał się z trudem oddychać, ale nie słyszał już nic i na pewno nic nie czuł, podczas gdy nieubłagane i miarowo szedł śmierci naprzeciw.

Nagle szarpnięto z zewnątrz drzwi. Naakkve wbiegł i rzucił się przed łóżem na kolana; objął ręce ojca i wołał go po imieniu.

Za nim wszedł do izby rosty, okazały pan w podróznym płaszczu. Skłonił się przed Krystyną.

– Gdybym wiedział, krewniaczko, że potrzebujecie pomocy swego rodu... – urwał widząc, że mąż dogorywa, przeżegnał się i cofnął w najbardziej oddalony kąt izby. Cicho ją rycerz ze Sundbu odmawiać modlitwę za konających, lecz Krystyna jakby nie zauważyła nawet jego przybycia.

Naakkve klęczał pochylony nad łóżem.

– Ojczcie! Ojczcie! Nie poznajesz mnie, ojczcie! – Zbliżył twarz do ręki Erlenda, którą Krystyna wciąż jeszcze trzymała w swojej. Pocałunki i lzy młodzieńca spływały na ręce rodziców.

Krystyna odsunęła nieco głowę syna – jakby na wpeł oprzytomniała.

– Przeszkadzasz nam – rzekła niecierpliwie. – Odejdź stąd.

Naakkve wstał z klęczek.

– Odejść? Matko?

– Tak, usiądź tam obok twych braci.

Naakkve podniósł młodą twarz, mokrą od łez, wynędzniałą cierpieniem, ale oczy matki nic nie widziały. Podeszedł tedy do ławy, na której siedziało już sześciu braci. Krystyna nie spostrzegła tego. Dzikie oczy utkwiała nieruchomo w obliczu Erlenda, jaśniejącym w blasku świecy niby śnieg.

W chwilę potem otwarto powtórnie drzwi. Z zapalonymi świecami, przy dźwięku srebrnych dzwonek, diakoni i ksiądz wprowadzili do izby biskupa, pana Halvarda. Ostatni wszedł Ulf syn Haldora. Synowie Erlenda i pan Sigurd powstali i upadli na kolana przed Ciałem Pańskim. Krystyna jednak uniosła tylko nieco głowę, na mgnienie oka zwróciła zapłakane, niewidzące oczy w stronę przybyłych. Potem osunęła się z powrotem na zwłoki Erlenda.

III

Krzyż

1

Wszystkie ognie wypalają się z wolna.

Nadszedł czas, że te słowa Szymona Darre zadźwięczały znowu w sercu Krystyny.

Było to latem czwartego roku po śmierci Erlenda; z całej gromady synów już tylko dwóch, Gaute i Lavrans, przebywało z matką na Jörund.

Dwa lata temu spłonęła doszczętnie stara kuźnia i Gaute postawił nową na północ od dworu, tuż obok gościńca. Stara kuźnia wznosiła się na południe od zabudowań, bliżej rzeki, w kotlinie między wzgórzem Jörund a potężnymi zwałami kamieni, które w dawnych czasach usuwano tutaj z pól. Niemal co roku podczas wiosennych wylewów woda podchodziła aż pod starą kuźnię.

Teraz nie zostało z niej nic więcej prócz olbrzymich, popękanych od żaru, kamiennych płyt, po których można było poznać, gdzie znajdowały się wrota oraz obmurowane palenisko. Delikatna, miękka, jasnozielona ruń wyrastała z pokrytej żużlem ziemi.

Krystyna poleciła tego roku zasiać len w pobliżu starej kuźni, Gaute bowiem przeznaczył grunt koło dworu, gdzie gospodynie z Jörund od niepamiętnych lat siały len i sadziły cebulę, pod uprawę zboża. Tak więc Krystyna często tu zachodziła, nie tylko aby doglądać Inu. W każdy czwartkowy wieczór przynosiła obiad z piwa i jakiejś potrawy prachłopu dworu mieszkającemu we wzgórzu; w jasne letnie

noce samotne palenisko na łące połyskiwało z daleka wśród trawy, białawoszare, z czarnymi plamami sadzy, niby prastary ołtarz pogański. W słoneczne upalne dni letnie wychodziła w południe z koszykiem na kamienisty ugór, by zbierać maliny lub liście wierzbowki, z których przyrządza się skuteczny lek przeciw gorączce.

Ostatnie tony dzwonów, bijących w południe na Anioł Pański, przebrzmiały wśród gór w nasyconym światłem powietrzu. Dolina zdawała się układać na spoczynek pod rozjarzonymi do białości promieniami słońca. Już od rośnego, szarego brzasku śpiew kós na kwiecistych łąkach, zgrzytanie osetek o żelazo, dalekie i bliskie nawoływania żniwiarzy rozbrzmiewały dokoła. Teraz umilkły wszelkie odgłosy krzątania, nadeszła pora południowego wypoczynku. Krystyna siedziała pomiędzy stosami kamieni i nasłuchiwała; tylko szum rzeki dochodził jej uszu i szelest drżących liści w gaju; cichutki szelest i bzykanie much dźwięczały nad łąką, z oddali niósł się dzwonek jakiejś krowy. Ptak przefrunął prędko i cicho skrajem olszyny, inny znów poderwał się z łąki i z głośnym ćwierkaniem opadł na oset.

Ale niebieskie cienie sunące po zboczach, białe obłoki wznoszące się spoza gór i topniejące w błękicie, migotanie rzeki wśród drzew, drżący błysk słońca na liściach – to wszystko zdało się jej raczej głosem ciszy, słyszalnym dla wewnętrznego ucha niż rzeczywistym widzeniem oczu. Nasunąwszy chustkę na czoło dla ochrony przed słońcem siedziała Krystyna i nasłuchiwała gry światła i cieni ponad doliną.

Wszystkie ognie wypalają się z wolna...

W lasku olchowym wzdłuż bagnistego brzegu rzeki połyskiwały w cieniu małe kałuże między gęstą wikliną. Wokoło rosła tu bujnie sztywna, kwaśna trawa oraz kępki mchu, najgęściej jednak barzyna, której pięciorzędne listki i rdzawe kwiatuszki tworzyły jeden wielki dywan. Krystyna nazbierała pełno tego zieleń. Nieraz już przemyślała, czy też jego korzonki nie zawierają jakiejś siły leczniczej; suszyła je i gotowała, i do odwaru dodawała piwa i miodu, ale okazywały się zupełnie bezskuteczne. Mimo to Krystyna nie zaprzęs-

tała nigdy brodzić po bagniskach i moczyć trzewików, aby zbierać tę roślinę.

Oskubała listki z łądyg, z ciemnych kwiatów zaś uwiła wieniec. Barwa kwiatów przypominała czerwone wino i brązowy miód; ku środkowi, pod czerwonymi pręcikami, płatki były wilgotne jakby od miodu. Krystyna często plotła z tego kwiecia wianek przed obraz Matki Boskiej w izbie na piętrze. Taki był zwyczaj w południowych krajach, słyszała o tym nieraz od księży, którzy tam byli.

Poza tym jednak nie miała teraz dla kogo wić wieńców. Tutaj w dolinie nie było zwyczaju, by młodzi chłopcy przystrajali się w wieńce idąc tańczyć na łąkę. W niektórych okolicach Trøndelag wprowadzili ten obyczaj mężowie ze świty królewskiej. Krystyna myślała, że w takim grubym, czarno-czerwonym wieńcu ładnie by wyglądał Gaute ze swą jasną cerą i płowymi włosami lub też Lavrans ze swą złocistą czupryną.

Wieki już chyba minęły, odkąd z niańkami i wszystkimi małymi synami wychodziła w długie dni letnie na polanę powyżej Husaby. Natenczas ona i Frida nie mogły nadażyć z pleceniem wianków dla małych niecierpliwców. Przypominała sobie, że Lavrans był jeszcze przy piersi, lecz Ivar i Skule byli zdania, że i on musi mieć wieniec – oczywiście uwity z całkiem drobnych kwiatuszków.

Teraz miała już tylko dorosłe dzieci.

Mały Lavrans miał piętnaście zim, jego oczywiście nie sposób było jeszcze liczyć do zupełnie dorosłych. Z biegiem lat matka pojęła, że ze wszystkich dzieci ten chłopak jest jej najbardziej daleki. Wprawdzie nie unikał jej rozmyślnie, jak swego czasu Björgulf, nie był też taki zamknięty i nie wydawał się taki milczący jak ślepiec. W rzeczywistości jednak był jeszcze bardziej milczący, tylko nikt nie zwracał na to uwagi, dopóki wszyscy bracia przebywali w domu. Był pogodny i zdrowy, wyglądał na wesołego i spokojnego, wszyscy więc lubili miłe dziecko i wiele o nim nie myśleli; Lavrans chadzał przeto własnymi drogami i milczał.

Uchodził za najpiękniejszego z wszystkich pięknych synów Krystyny z Jörund. Matce wprawdzie wydawało się zawsze, że ten, o którym właśnie myślała, jest najurodziwszy; ale i ona czuła, że od Lavransa syna Erlenda bił jakby blask. Jego jasnobrązowe włosy

i gładkie, świeże jak jabłka policzki były jak pozłacane, przesycone słońcem. Również jego wielkie ciemnoszare oczy zdawały się jak gdyby nakrapiane żółtymi iskierkami. Był najbardziej podobny do niej samej, takiej, jaka była za młodu, kiedy jej różana powabność przeświecała spod opalenizny. Był rośli i silny na swój wiek, zręczny i zaradny w każdej powierzony mu robocie, posłuszny wobec matki i starszych braci, żwawy, uprzejmy i miły w pożyciu. Ale przecież było w nim coś dziwnie obcego.

W zimowe wieczory, kiedy czeladź zbierała się w tkalni i skracała sobie czas żartami oraz gawędą, Lavrans siedział zatopiony w marzeniach. W letnie wieczory, kiedy skończono już dzienne roboty gospodarskie, Krystyna często wychodziła z domu i przysiadła się do chłopca wylegującego się na łące, żującego żywicę lub wysysającego łodygę szczawiu. Patrzyła mu pilnie w oczy, kiedy z nią rozmawiał; zdawało jej się, że chłopiec przywołuje swe myśli z wielkiej dali. Potem uśmiechał się do matki, odpowiadał jej mądrze i roztropnie; nieraz siedzieli całymi godzinami na zboczu i rozmawiali życzliwie i serdecznie. Zaledwie jednak matka się podnosiła, by pójść do domu, zdawało się, że myśli Lavransa znów biegną w niedościgłą dal.

I nie mogła wybać, o czym ten chłopak tak głęboko się zamyśla. Wprawdzie okazywał dużo zręczności we wszelkich ćwiczeniach i w użyciu broni, ale zajmował się tymi rzeczami z mniejszym zapałem niż inni jej synowie. Nigdy też nie chodził sam na łowy, chociaż cieszył się, kiedy Gaute go ze sobą zabierał. Również, przynajmniej do tej pory, zdawał się nie spostrzegać, że kobiety czule nań spoglądają. Nie okazywał zamięłowania do mądrości książkowej, a na rozmowy najstarszych braci, dotyczące ich zamiaru wstąpienia do klasztoru, zdawał się nie zwracać wiele uwagi. Krystyna nie mogła dostrzec, by chłopak kiedykolwiek myślał inaczej o swej przyszłości, niż że pozostanie przez całe życie w domu i będzie pomagał Gautemu w gospodarstwie, jak to i dotąd czynił. Chwilami zdawało się Krystynie, że Lavrans tym dziwacznym, roztargnionym zachowaniem się przypomina nieco swojego ojca; ale u Erlenda miękki, jakby przysgasty sposób bycia występował na przemian z rozpasaną swawolą, Lavrans zaś nie miał w sobie nic z krewkości i popędliwości ojca. Erlend nigdy nie był tak daleki od wszystkiego, co go otaczało.

Lavrans był obecnie najmłodszy. Munan już od dawna spał snem wiecznym pod mogiłnym pagórkiem obok ojca i małego braciszka. Zmarł wczesną wiosną na drugi rok po śmierci Erlenda.

Wdowa po śmierci męża snuła się jak ślepa i głucha. Dotkliwiej jeszcze niż ból i żalobę odczuwała jakiś tępy chłód i martwość, niemoc w całym ciele i duszy, zupełnie jak gdyby ona sama miała wykrwawić się od śmiertelnej rany Erlenda.

Całe życie przeżyła w jego ramionach, od owej skwarnej południowej godziny, kiedy to w szopie na Skog po raz pierwszy oddała się Erlendowi. Była wówczas taka młoda i niedoświadczona, niewiele rozumiała z tego, co czyniła; usiłowała jedynie ukryć, iż się jej na płacz zbiera, gdyż zadawał jej ból, i uśmiechała się, sądziła bowiem, że daje umiłowanemu najcenniejszy dar. I czy dobry był ten dar, czy zły, oddała się mu wówczas całkowicie i na zawsze. Swoje dziewicze ciało, które Bóg w miłosierdziu wielkim wyposażył wdziękiem i zdrowiem pozwalając jej przyjść na świat w zabezpieczonych i godnych warunkach, którego rodzice strzegli przez te wszystkie lata, z pełną miłości surowością wychowując córkę: wszystko to z ochotą oddała Erlendowi i od tej pory żyła w jego uścisku.

Tylekroć później, w ciągu następnych lat, przyjmowała jego pieśczo-ty zimna i zawzięta z gniewu, poddawała się woli małżonka z uczuciem, że zginie ze znużenia i wyczerpania. Kiedy widziała piękną twarz i urodziwe ciało Erlenda, myślała z mściwą radością, że to nie może jej już zaćmić wzroku na jego braki. Tak, zawsze był jednak młody i piękny. Zawsze jeszcze jego pieśczo-ty były tak gwałtowne, pożądanie tak namiętne jak wtedy, gdy i ona była młoda. Ale ona postarzała się – na myśl o tym czuła wprost dreszcz wyniosłości i zwycięskiej dumy. Łatwo zachować młodość temu, kto się nie chce niczego nauczyć, kto nie chce się zastosować do okoliczności ani nie umie walczyć o to, by nagiąć okoliczności do swej woli.

Ale nawet wówczas, kiedy przyjmowała jego pocałunki z zaciśniętymi ustami, kiedy odwracała się od niego i całą siebie poświęcała walce o przyszłość synów, czuła głucho, że i ku temu dziełu zwraca się z tym samym namiętnym ogniem, jaki ten mąż rozpałił niegdyś w jej krwi. Sądziła, że lata wystudziły ów żar, gdyż nie płonęła już cała, kiedy w oczach Erlenda skrzył się znówu dawny błysk, a głos jego

nabrzmiewał owym głębokim tonem, który dawniej, kiedy poznała Erlenda, pozbawiał ją mocy, czynił bezwolną i słabą ze szczęścia. Lecz jak wtenczas tęskniła za tym, by udrękę rozłąki i serdeczną trwożę ukoić w spotkaniach z Erlendem, tak teraz z głuchą zaciętością zdążała do jednego celu; a miał on być osiągnięty wówczas, gdy po latach jako siwa staruszka zobaczy swych synów w pewnych i zabezpieczonych warunkach. I teraz z powodu synów Erlenda przeżywała tę samą obawę przed niepewną przyszłością. Jeszcze wciąż dręczyła ją jedna żądza, równie mocna jak głód lub palące pragnienie: musiała widzieć, że jej synom dobrze się powiodło.

I podobnie jak oddała się najpierw Erlendowi, tak teraz oddawała się temu wszystkiemu, co wyrosło dokoła ich współżycia. Szła naprzeciw każdej potrzebie, która musiała być zaspokojona, brała na siebie każdą pracę, aby tylko zapewnić powodzenie Erlendowi i jego dzieciom. Z wolna uświadamiała sobie, że i to było pożycie z Erlendem, kiedy siedziała na Husaby i razem z kapelanem przeglądała pisma w skrzyni męża, kiedy mówiła z jego dzierżawcami i parobkami, kiedy krzątała się z dziewczkami w spichrzach i kuchni albo w pogodne dni wychodziła na łąkę i wraz z piastunkami czuwała nad dziećmi. I ku niemu zwracał się jej gniew, kiedy w domu coś się nie wiodło lub dzieci były nieposłuszne, i ku niemu płynęła jej radość, kiedy latem sianokosy, jesienią zaś żniwa wypadały pomyślnie, kiedy cielęta wyrastały zdrowo lub kiedy słyszała roześmiane, wesołe głosy synów na dziedzińcu. Że do niego należy – ta myśl płonęła tajemnie w jej sercu, kiedy odkładała szczęśliwie ostatni gotowy świąteczny kaftan dla swych synów i z dumą patrzyła na cały stos pięknej odzieży, plon zimowej pracy. Jego miała dosyć, kiedy znękana i przemęczona wracała o wiosennym zmierzchu znad rzeki, gdzie wraz z dziewczkami prała wełnę z ostatniej strzyży. Gotowały ją najpierw w kotle na brzegu, potem płukały w rzece; gospodynię bolał krzyż po tej robocie, ramiona jej były aż poza łokcie pokryte lepkiem brudem, a odzienie przesiąkło tak silnie wonią skór i tłuszczu, że zdawało jej się, iż nawet po trzech kąpielach jeszcze nie będzie czysta.

Obecnie zaś, kiedy nie stało Erlenda, wdowa miała wrażenie, że cała niez mordowana zapobiegliwość nie ma żadnego sensu. On padł,

więc i ona musiała umrzeć jak drzewo, któremu podcięto korzenie. Młode pędy wyrosłe dokoła musiały odtąd same zapuszczać korzenie w ziemię. Jej synowie byli już na tyle dorośli, by każdy mógł się sam troszczyć o swą przyszłość. Przelotnie uświadomiła sobie Krystyna tę myśl, chociaż przedtem, wtedy gdy Erlend o tym mówił, nie chciało jej się to pomieścić w głowie. Podobne nieuchwytnym cieniom majaczyły przed nią obrazy życia, jakie by wiodła z Erlendem tam w górach, na jego małym dworze: oboje odmłodzeni, z dzieciątkiem pośród nich. Ale nie odczuwała przy tym żalu ani smutku. Ona sama nie potrafiła oddzielić swego życia od życia synów, a teraz śmierć rozłączy ją wnet z nimi, gdyż bez Erlenda nie posiadała żadnej mocy żywotnej. Wszystko, co się wydarzyło i co się wydarzyć miało, było przeznaczeniem. Wszystko dzieje się tak, jak się dzieć musi.

Jej włosy i skóra poszarzały, przestała zupełnie dbać o swój wygląd, nie ubierała się nawet porządnie. Nocami leżała i myślała o życiu z Erlendem, we dnie chodziła jak we śnie, nie pytana nie odzywała się nigdy do nikogo, zdawała się nie słyszeć, gdy synowie mówili do niej. Dzielną, baczącą zawsze na wszystko gospodyni nie przyłożyła odtąd ręki do żadnej roboty. Poza całym jej trudem i staraniem o sprawy doczesne stała miłość. Erlend jednak nie miał dla niej nigdy ni słowa podzięk. Nie w ten sposób chciał on być kochany. Lecz ona musiała tak czynić; w naturze jej to leżało – kochać z taką zapobiegliwością i takim mozołem.

Zdawała się coraz to bardziej pogrążyć w jakimś śmiertelnym śnie. Potem nagle nawiedziła dolinę zaraza, powaliła jej synów na łoża boleści – i matka ocknęła się.

Zaraza niebezpieczniejsza była dla dorosłych niż dla dzieci. Ivar zapadł tak ciężko, że trudno było mieć nadzieję, aby wyzdrowiał. W gorączce potęgowały się ogromnie siły chłopca, wyrwał się, ryczał, chciał wstawać i chwycić za broń – zdawało się, że śmierć ojca pomieszała mu zmysły. Z trudem udawało się Naakkvemmu i Björgulfowi utrzymać go na postaniu. Potem i Björgulf zaniemógł. Lavrans leżał z twarzą obrzmiałą do niepoznaki wskutek wysypki, oczy jego

szkiliły się martwo w wąskiej szczelinie między powiekami, jakby się miały wypalić do cna w płomieniu gorączki.

Matka czuwała sama nad tym trojgiem dzieci. Naakkve i Gaute przeszli już za młodu tę chorobę, Skule zaś był o wiele lżej chory od braci; nad nim i Munanem czuwała Frida w izbie na dole. Zdawało się, że Munanowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo, nie był on jednak nigdy zbyt silny i pewnego wieczora, kiedy wszyscy uważali go niemal za zdrowego, stracił przytomność. Frida zaledwie miała czas wezwać matkę na pomoc, Krystyna zesłała śpiesznie na dół, a w parę chwil potem Munan wydał w jej ramionach ostatnie tchnienie.

Śmierć dziecka wyrwała ją z uśpienia, wtrąciła na nowo w gorejącą rozpacz. Jej dzika żalność z powodu śmierci niemowlęcia była mimo wszystko rozjaśniona wspomnieniem rozsypanych w gruz marzeń o szczęściu. Wtedy szalejąca w sercu Krystyny nawałnica trzymała ją na powierzchni. A potem owo straszliwe napięcie, zakończone tym, że w jej własnych oczach zabito męża, pozostawiło w jej sercu takie przeogromne znużenie, iż była pewna, że wnet umrze z bólu po Erlendzie. I ta pewność osłabiała jej cierpienie. Żyła z dnia na dzień i czuła, jak wokół niej narasta coraz to większy mrok i coraz gęstsze osnuwają ją cienie, i czekała tylko tej chwili, kiedy i przed nią uchylą się wrota.

Nad zwłokami małego Munana stała matka zupełnie przytomna i szara z bóleści. Rozkoszny, słodki chłopaczek był przez tyle lat jej najmniejszym dzieciątkiem – ostatnie maleństwo, które jeszcze mogła pieścić i z którym wolno jej było żartować, zamiast surowo i poważnie karcić go za drobne przewiny i lekkomyślność. I taki był zawsze kochany, i tak bardzo miłował swą matkę. Odczuła jego śmierć jak cios w żywe ciało – więc tak bardzo była jeszcze z życiem związana! Tak łatwo, jak sądziła, nie mogła umrzeć kobieta, która swą krew serdeczną przelała w tyle młodych serc.

W zimnej, dzikiej rozpaczycy kręciła się między dzieckiem na marach a chorymi synami. Munana położono na słomie w starej izbie, gdzie naprzód leżał jego braciszek, a potem ojciec: trzy trupy na jej dworze w ciągu niecałego roku. Z sercem zwarzonym trwożą, ale zmartwiała i niema czekała, rychło umrze następny, czekała na to, jak

na nieodwołalne przeznaczenie. Nie doceniała nigdy w pełni tego, co posiada, kiedy Bóg darzył ją tak wielu dziećmi. A najgorsze było, że jednak w pewien sposób doceniała. Myślała jednak zawsze raczej o utrapieniach i cierpieniu, o swej obawie i walce, chociaż czuła to za każdym razem – po uczuciu braku, ilekroć dziecię wyrastało i wymykało się z jej ramion, po rozkoszy, ilekroć nosiła znowu maleństwo przy piersi – że radość jest nieskończenie większa aniżeli ból i trud. Narzekała, bo ojciec dzieci był tak nieodpowiedzialnym człowiekiem i tak mało myślał o pokoleniu, które miało zostać po nim. Zapominała wciąż, że nigdy nie był on inny, nawet wtedy, kiedy przekroczyła Boże przykazanie i podeptała własny ród, by tylko jego dostać.

Potem wyrwano go od jej boku. A teraz czekała na to, że jej synowie umrą, jeden po drugim. Pewnie będzie musiała w końcu żyć całkiem sama jak bezdzietna kobieta.

Tyle rzeczy widziała już pierwej, niewiele jednak zastanawiała się nad nimi wówczas, gdy patrzyła na świat przez mgłę miłości swojej i Erlenda. Widziała dobrze, że Naakkve bardzo poważnie pojmuje swoje pierworództwo i że uważa za swój obowiązek przewodzić drużynie braci. Widziała również, jak bardzo lubił Munana. A jednak jego gwałtowna bolesć z powodu śmierci młodszego brata wstrząsnęła nią do głębi jak coś zgoła nieoczekiwanego.

Ale pozostali synowie wyzdrowieli, chociaż trwało to jeszcze długo. W niedzielę wielkanocną szła już z czterema z nich do kościoła. Jeden tylko Björgulf leżał jeszcze, a Ivar był za słaby, by wychodzić z domu. Lavrans urósł bardzo podczas choroby, wyglądało na to, że wypadki ostatniego półroczka uczyniły go nad wiek dojrzałym.

Zdawało się wtedy Krystynie, że jest już bardzo stara. Mniemała, że kobieta jest dopóty młoda, dopóki ma małe dzieci, które nocą śpią w jej ramionach, a za dnia igrają u jej stóp i bez przerwy wymagają jej pieczy. Kiedy zaś dzieci wyrastają i nie trzeba im opieki macierzyńskiej, natenczas matka jest starą niewiastą.

Jej nowy szwagier, Jammaelt syn Halvarda, tłumaczył, że synowie Erlenda są jeszcze młodzi, ona zaś przekroczyła zaledwie czterdziestkę i pewnie wnet sama dojdzie do przekonania, że powinna powtór-

nie wyjść za mąż; potrzebuje bowiem męża, który by jej pomagał w zarządzaniu dworem oraz wychowywaniu młodszych synów. Wyliczył nawet kilku zacnych mężów, których uważał za stosownych małżonków dla Krystyny, niechże Krystyna odwiedzi jego i Ramborgę jesienią na Aelinie, wtedy on postara się o to, by się spotkała z tymi ludźmi, po czym będą mogli dokładniej omówić te sprawy.

Krystyna uśmiechała się blado. Tak, tak nie miała więcej niż czterdzieści lat. Gdyby usłyszała o jakiejś innej niewieście owdowiałej w tym wieku, na domiar z gromadą nieletnich dzieci, na pewno byłaby tego samego zdania co Jammaelt, że owa niewiasta powinna wyjść powtórnie za mąż i szukać pomocy u drugiego małżonka, tym bardziej że i jemu mogła jeszcze urodzić dzieci. Ale ona nie chciała.

Wkrótce po Wielkanocy przybył Jammaelt z Aelina na Jörund i wówczas po raz wtóry w swym życiu Krystyna zetknęła się z drugim mężem swej siostry. Zarówno ona, jak i synowie nie byli obecni na zrękowinach w Dyfrinie i na weselu w Aelinie. Obie te uroczystości odbyły się w krótkim odstępie czasu tej wiosny, kiedy Krystyna była w ciąży... Natychmiast skoro tylko wieść o śmierci Erlenda syna Mikołaja dotarła na Aelin, pośpieszył Jammaelt do Sil; radą i czynem pomagał siostrze i siostrzeńcom swej żony, uporządkował wszystkie sprawy, które trzeba było po śmierci Erlenda doprowadzić do ładu, i wystąpił z oskarżeniem przeciwko mordercom Erlenda, ponieważ żaden z jego synów nie był jeszcze pełnoletni. Wtedy jednak nic z tego, co się dokoła działo, nie przeniknęło do świadomości Krystyny. Nawet wyrok na Gudmunda syna Torego, obwinionego o śmierć Erlenda, niezbyt ją poruszył.

Tym razem mówiła więcej ze swym szwagrem i szczerze go polubiła. Jammaelt nie był pierwszej młodości, mniej więcej w wieku Szymona Darre, ale był człowiekiem spokojnym i statecznym, na którym można było polegać; był słusznego wzrostu i tęgi, bardzo smagły, nieco pochylony, o pięknych rysach twarzy. Zaprzyjaźnił się zaraz serdecznie z Gautem. Naakkve i Björgulf od śmierci ojca jeszcze bardziej trzymali się razem i odsunęli się zupełnie od innych. Lecz Ivar i Skule oświadczyli matce, iż lubią bardzo Jammaelta – „mimo to wydaje się nam, że Ramborga lepiej by uczciła pamięć Szymona pozostając nieco dłużej we wdowieństwie; no i ostatecznie

ten jej nowy małżonek żadną miarą nie może się równać z Szymonem". Krystyna zauważyła, że oba dzikusy pamiętają dobrze Szymona; jego słuchali zawsze, kiedy ich karcił, chociaż od własnych rodziców nie mogli ścierpieć najmniejszego upomnienia bez gniewnego błysku w oczach i zaciskania pięści.

Podczas pobytu Jammaelta na Jörund przybył również do Krystyny Munan syn Baarda. Z dawnego „tańczącego” rycerza niewiele obecnie zostało. Niegdyś wyglądał pan Munan statecznie i rośle, poruszał swe ciężkie ciało nie bez godności, tak iż robił wrażenie o wiele wyższego i okazalszego, niż był w rzeczywistości. Teraz dna pokrzywiła mu członki, skóra zwisała na wychudłym ciele; ze swą łysą czaszką, z której zaledwie parę kosmyków białych włosów opadało na kark, wyglądał zupełnie jak gnom. Swego czasu kruczoczarny zarost przyciemniał opasłe, mięsiste oblicze, teraz siwa szczeń krzewiła się bujnie we wszystkich fałdach na brodzie i szyi, gdzie nie mógł dosięgnąć brzytwą. Powieki miał czerwono obrzeżone, ślina ciekła mu ustawicznie z kątów ust, poza tym zaś chory żołądek dawał mu się dotkliwie we znaki.

Wraz z nim przybył jego syn Inge, zwany przez ludzi po matce Fluga; był to mąż w średnim wieku. Ojciec zrobił, co mógł, by pomóc temu synowi, ożenił go bogato i uzyskał dla Ingego poparcie biskupa Halvarda; Munan był żonaty z bratanicą biskupa, dlatego też pan Halvard chętnie poparł jego nieślubnego syna, aby tylko mienie dzieci pani Katarzyny nie doznało uszczerbku. Biskupowi przypadł urząd wójta w okręgu Hedemarken, mianował przeto swym pełnomocnikiem Ingego, który w ten sposób doszedł do znacznego majątku w Skaun oraz Ridabu. Matka jego, Brynhilda, również w tej okolicy kupiła sobie dwór. Zrobiła się na stare lata niezwykle pobożną, miłosierną kobietą i ślubowała resztę życia spędzić w czystości. – Tak, tak, wcale nie postarzała się zbyt ani nie zwiędła – dodał urażony pan Munan widząc uśmiech Krystyny. On sam wolałby, żeby Brynhilda przeniosła się na jego dwór w pobliżu Hamaru i prowadziła mu gospodarstwo, ale ona nie chciała.

Życie tak mało przynosi mu pociechy na stare lata, biadał pan Munan. Dzieci jego są swarliwe, rodzeństwo z jednej matki wiecznie się z sobą kłóci, a nadto żyje w niezgodzie z rodzeństwem przyrodnim.

Najwięcej kłopotu przysparza mu najmłodsza nieślubna córka, którą spłodził z jakąś nałożnicą, gdy już był żonaty; tej nie mógł nic pozostawić w spadku, dlatego też ciągnęła za życia ojca, ile się dało. Po śmierci swego męża osiadła na dworze Skogheim, będącym stałą siedzibą pana Munana, i ani ojciec, ani reszta rodzeństwa nie mogli jej stamtąd wypłoszyć. Munan żywił przed nią paniczny wprost lęk; skoro jednak próbował zamieszkać u innego dziecka, to i tam bez końca musiał słuchać skarg i wyrzekania na zachłanność i niesumienne postępowanie reszty dzieci. Najlepiej jeszcze wiodło mu się u najmłodszej ślubnej córki, która była zakonnica na Gimsöy. Chętnie przebywał przez czas pewien w gospodzie klasztornej i zadawał sobie naprawdę wiele trudu, by w myśl wskazań córki oczyścić swą duszę przez modły i pokutę – ale długo i tam nie mógł wytrzymać. Krystyna nie chciała wierzyć, że synowie Brynhildy są dla ojca lepsi od reszty jego dzieci, ale pan Munan usilnie ją o tym przekonywał. Lubił ich bądź co bądź najbardziej z całego swego potomstwa.

Aczkolwiek bardzo żalotne wrażenie robił ten powinowaty, to jednak właśnie w jego towarzystwie jął z wolna tajać zastygły ból Krystyny. Pan Munan gadał bez przerwy, dniem i nocą, o Erlendzie; o ile tylko nie biadał nad swym własnym losem, opowiadał o zmarłym krewnym i chełpił się czynami Erlenda, najbardziej zaś jego bujną młodością. Wychwalał pod niebo junacką fantazję, z jaką Erlend wyruszył w świat, precz od rodzinnego domu na Husaby, gdzie żyła pani Magnhilda, trapiąca się z powodu jego ojca, oraz ojciec trapiący się z powodu najstarszego syna, i precz od Hestnaes i poczciwego, zbożnego opiekuna, pana Baarda. Można by mniemać, że gadanie pana Munana nieszczególną było pociechą dla zbolącej wdowy. Ale rycerz na swój sposób miłował młodego krewniaka i zawsze uważał, że Erlend przewyższa innych pięknnością, męską odwagą, ba, nawet rozumem, „choć nigdy nie starał się zbytnio o to, by go używać”, dodawał z zapalem Munan. I chociaż Krystyna myślała w duchu, że bynajmniej nie wyszło Erlendowi na dobre, iż ten właśnie krewny był jego mistrzem i przewodnikiem, gdy mając szesnaście lat wszedł do królewskiej świty, to jednak uśmiechała się smutno i z rozrzewnieniem słuchając Munana, który tak niestrudzenie opowiadał, że aż mu ślina ciekła z ust, a łzy ze starczych, czerwonych ślepi; bez końca

wspominał, jak to Erlend promieniał za młodu dziarskością i odwagą, zaniin popadł w owo nieszczęście z Eliną, które mu na całe życie popaliło skrzydła.

Jammaelt, zajęty właśnie poważną rozmową z Naakkvem i Gautem, patrzył zdumiony na Krystynę. Siedziała na ławie z tym wstrętym staruchem i Ulfem synem Haldora, który zawsze robił na nim niesamowite wrażenie, i z uśmiechem nalewała im piwa; nie widział jej jeszcze nigdy uśmiechniętej, ale było jej z tym bardzo do twarzy, a jej cichy śmiech brzmiał jak śmiech całkiem młodego dziewczęcia.

Jammaelt mówił z Krystyną o tym, że jest niemożliwe, by zatrzymała wszystkich sześciu synów na swym dworze. Żaden możny lub równy mu stanem człowiek nie odda Mikołajowi swej krewniaczki za żonę, jeśli wszyscy bracia pozostaną nadal i będą żyć z tego, co dwór przyniesie. A należałoby już się obejrzyć za żoną dla niego, młodzian ma dwadzieścia zim, jest zdrowy i krzepki. Dlatego chciał Jammaelt zabrać ze sobą na południe Ivara i Skulego; tam już znajdzie się dla nich na pewno jakaś korzystna możliwość. Po nieszczęsnej śmierci Erlenda syna Mikołaja przypomnieli sobie naraz możni panowie, że zabity równy był im stanem, pochodzeniem zaś i rodem powołany do tego, by stać na ich czele, jako ze wszech miar dzielny, szlachetny i doświadczony wojownik, któremu jednak szczęście nie dopisało. Z największą też surowością ukarano tych mężów, którzy winni byli śmierci Erlenda na jego własnym dworze. Jammaelt opowiadał, że wielu ludzi dopytywało się o synów Erlenda. Na Boże Narodzenie spotkał się był z mężami ze Sudrheim. Wspominali oni nieraz o tym, że młodzieńcy są ich bliskimi krewnymi; pan Jon przesłał im życzliwe pozdrowienie i gotów był, jeśli któryś z synów Erlenda przybędzie na jego dwór, przyjąć go z otwartymi rękami. Jon syn Haftora miał poślubić wkrótce dziewczicę Elinę, najstarszą córkę pana Erlinga, i młoda oblubienica ciekawa była bardzo, czy synowie Erlenda wdali się w ojca: pamiętała jeszcze dobrze, że gdy była dzieckiem, Erlend przybył do nich w odwiedzin i wydał się jej wtedy najpiękniejszym z mężów. Zaś jej brat, Bjarne syn Erlinga, oświadczył, że wszystko, co tylko może uczynić dla synów Erlenda, z największą chęcią uczyni.

Kiedy Jammaelt mówił, Krystyna siedziała cicho i wpatrywała się w bliźniaków. Stawali się coraz bardziej podobni do ojca: jedwabiste kruczoczarne włosy układały im się gładko na głowie i tylko na czole i na smukłym, ogorzałym karku skręcały się w lekkie pukle. Obydwaj mieli ściągłe twarze, wielkie, proste nosy, małe, delikatne usta, w których kątach wyraźnie zaznaczały się mięśnie. Lecz podbródki mieli szerokie i krótkie, a oczy ciemniejszej barwy. A przecież właśnie to czyniło Erlenda tak zdumiewająco pięknym: kiedy podnosił oczy, to w szczupłym, smagłym obliczu, pod czarnymi włosami, były one tak niespodziewanie błękitne i jasne

Teraz jednak stalowy błysk zadrgał w oczach chłopców, kiedy Skule odpowiadał wujowi; zwykł był on zawsze przemawiać w imieniu swoim i brata.

– Dzięki wam za wasze szlachetne przedłożenie, krewniaku. Ale mówiliśmy już z panem Munanem i z Ingem, i po naradzie ze starszymi braćmi doszliśmy do porozumienia. Ci mężowie najbliżej są z nami po mieczu spokrewnieni, dlatego zamierzamy pociągnąć z Ingem na południe i to lato spędzić na jego dworze.

Wieczorem, kiedy Krystyna ułożyła się już na spoczynek, bliźniacy weszli do jej izby.

– Spodziewamy się po was, matko, iż to pojmiecie – rzekł Ivar.

– Nie błagamy o pomoc i miłość krewniaczą u tych ludzi, którzy bez jednego słowa ścierpieli krzywdę naszego ojca – dodał Skule.

Matka skinęła głową.

Zdawało jej się, że synowie postępują słusznie. Jammaelt był rozumny i prawym człowiekiem i przedłożenie jego było szlachetne, ale podobało jej się, że chłopcy dochowują wiary ojcu. Dawniej jednak nie przyśniłoby się jej nawet, że jej synowie pójdą kiedyś w służbę syna Brynhildy Flugi.

Skoro tylko Ivar powrócił do sił na tyle, że mógł jechać konno, wyruszyli bliźniacy z Ingem Fluga na południe. Cicho uczyniło się teraz na Jörund. Krystyna nieraz powracała myślą do minionego lata, kiedy to leżała w tkalni z niemowlęciem w ramionach – obecnie

wydawało się jej to niemal snem. Tak bliskie jeszcze były lata, kiedy czuła się młoda, kiedy dusza jej dygotała tęsknotą, troską, zmartwie-
niami młodej kobiety, nadzieją, nienawiścią i miłością. Obecnie
gromada dzieci w domu stopniała do czterech, a w sercu jej pozostał
jedynie ogromny niepokój i lęk o dwóch najstarszych synów. W ciszy,
jaka po odjeździe bliźniaków zaległa dwór, trwoga jej o Björgulfa
rozgorzała jasnym płomieniem.

Z przybyciem gości dwaj najstarsi synowie przenieśli się do starej
izby z paleniskiem. Przez dzień Björgulf był na nogach, lecz od czasu
choroby nie przestąpił jeszcze progu izby. Z tajoną obawą widziała
Krystyna, że Björgulf siedzi zawsze na tym samym miejscu, nigdy nie
chodzi po izbie, w ogóle porusza się bardzo mało. Wiedziała, że od
czasu choroby wzrok jego popsuł się jeszcze bardziej. Naakkve był
cichy i małomówny, taki był jednak już od śmierci ojca, matki zaś
unikał, jeśli się tylko dało.

Wreszcie pewnego dnia zdobyła się Krystyna na odwagę i zapytała
wprost najstarszego syna, jak jest właściwie z oczami Björgulfa.
Długo dawał Naakkve wymijające odpowiedzi, w końcu jednak
zażądała, by wyjawił jej całą prawdę.

Wtedy Naakkve rzekł:

– Silne światło może on jeszcze dojrzeć. – Przy tych słowach cała
krew zbiegła młodzieńcowi z lic, odwrócił się raptownie i wybiegł
z izby.

Dopiero później tego samego dnia, kiedy wypłakała już tyle łez, że
mogła nieco spokojniej mówić z synami, weszła do starej izby.

Björgulf leżał już. Natychmiast, zaledwie usiadła obok niego,
poznała po jego twarzy: wiedział, że mówiła o nim z Naakkvem.

– Matko! Nie płaczcież, matko – prosił trwoźnie.

Najchętniej rzuciłaby mu się na szyję, wzięła go w ramiona
i płakała, i zawodziła nad jego twardym łosem. Ale odszukała tylko
rękę syna pod nakryciem.

– Ciężko doświadacza Bóg twój wiek męski, synu – rzekła ochry-
płym głosem.

Wyraz twarzy Björgulfa zmienił się, stał się stanowczy i nieugięty.
Lecz minęła spora chwila, zanim mógł przemówić.

– Od dawna już wiedziałem, matko, że jestem wybrany, by to

dźwigać. Już wówczas, kiedy byliśmy na Tautra – brat Aslak mówił ze mną i rzekł, że gdyby kiedyś do tego doszło...

Jako nasz Pan Jezus w puszczy był kuszony, mówił... Mówił, iż dusza chrześcijanina dopiero wówczas znajduje się naprawdę w puszczy, kiedy pozbawiony jest on czucia i widzenia. Wówczas dopiero kroczy on śladami Króla niebiańskiego, choćby jego ziemską powłoka przebywała wśród braci i krewnych. Czytał mi o tych rzeczach z ksiąg świętego Bernarda. I mówił: jeśli jakaś dusza czuje, że Bóg właśnie ją przeznacza do tak ciężkiego dopustu, to nie ma potrzeby lękać się, by z tej próby nie wyszła zwycięsko. Bóg zna mą duszę lepiej aniżeli ona siebie samą.

Ciągnął dalej w ten sposób i uspokajał matkę z rozważą i mocą, przekraczającymi jego wiek.

Późnym wieczorem przyszedł Naakkve do izby Krystyny, chciał z nią pomówić w cztery oczy. Oświadczył, że jest niezłomnym postanowieniem Björgulfa i jego wstąpić do klasztoru w Tautra i przyjąć święcenia.

Krystyna była zaskoczona i zgnębiona, lecz Naakkve ciągnął spokojnie swoją rzecz. Chcieli czekać tak długo, aż Gaute osiągnie pełnoletność i będzie mógł postanawiać za matkę i młodsze rodzeństwo. Do klasztoru chcieli wnieść tyle mienia, ile przysłało synom Erlenda z Husaby, ale jednocześnie nie tracili z oczu dobra reszty braci. Synowie Erlenda nie odziedziczyli po ojcu żadnych niemal dóbr, trzej najstarsi jednak, urodzeni przed wstąpieniem Gunnulfa syna Mikołaja do klasztoru, posiadali na północy kilka dworskich obszarów; kiedy bowiem Gunnulf rozdzielał swe posiadłości, zapisał również darowizny swym bratankom, chociaż większą część tego, czego nie przeznaczył dla kościoła i na cele służby Bożej, pozostawił bratu. A jeśli teraz oni dwaj, Naakkve i Björgulf, nie domagają się dla siebie pełnych praw do należnego im dziedzictwa, to dla Gautego, który obecnie zostaje głową rodu, będzie wielkim ułatwieniem, jeśli obaj najstarsi umrą dla tego świata.

Wież ta była dla Krystyny jak uderzenie obuchem. Nigdy się jej nie śniło, że Naakkve zamyśla zostać mnichem. Lecz nie sprzeciwiała się, zbyt była oszołomiona. Nie śmiała również odwozować synów od tak pięknego i zbożnego zamiaru.

– Jeszcze kiedyśmy w chłopięcym wieku przebywali u mnichów na północy, przyrzekliśmy sobie wzajemnie nigdy się nie rozłączyć – rzekł Naakkve.

Matka skinęła głową. O tym wiedziała. Ale sądziła, że znaczy to raczej, iż Björgulf będzie zawsze mieszkał razem z Naakkvem, nawet gdyby się brat ożenił.

Wydawało się Krystynie wprost cudem, że Björgulf, chociaż tak młody, znosi swoje nieszczęście prawdziwie po męsku. Ilekroć rozmawiała z nim w ciągu wiosny, zawsze padały z jego ust bogobojne i podniosłe słowa. Było to omal niepojęte, lecz pewnie miało swą przyczynę w tym, że Björgulf od dawna już wiedział, czym się skończy jego krótkowzroczność, i jeszcze przebywając u braci w Tautra przygotowywał się na to.

Ciągle musiała teraz myśleć o tym, jak bardzo cierpiało to jej nieszczęśliwe dziecko, podczas gdy ona sama tak mało się nim przez cały czas zajmowała. I w każdej samotnej chwili klęczała Krystyna w izbie na poddaszu przed wizerunkiem świętej Dziewicy lub przed ołtarzem w północnej nawie kościoła, kiedy tylko był on otwarty. Z głębi zbołałego serca błagała wśród pokornych łez miłosierną Bogurodnicę, aby zastąpiła Björgulfowi matkę i wynagrodziła mu to, czego rodzona matka zaniedbała.

Pewnej letniej nocy Krystyna nie mogła zasnąć. Naakkve z Björgulfem spali teraz znowu w izbie na piętrze, natomiast Gaute leżał na dole obok Lavransa, gdyż starsi bracia chcieli być sami, jak mówił Naakkve, by ćwiczyć się w modlitwach i czuwaniu. Wreszcie, kiedy już prawie zasypiała, obudziła się słysząc, że ktoś stąpa cicho po ganku. Posłyszała, że ktoś po omacku schodzi w dół po schodach, i poznała kroki ślepeca.

Zrazu pomyślała, że pewnie wychodzi tylko na stronę, mimo to wstała i ogarnęła się nieco. Nagle usłyszała, że drzwi na górze szarpnięto gwałtownie; ktoś w dwóch susach zbiegł po schodach.

Matka wybiegła do przedsjonka i na dwór. W gęstej mgle zaledwie można było rozeznąć spichlerze po drugiej stronie dziedzińca. W gó-

rze pod płotem Björgulf bił dokoła i rzucał się jak szalony, całą mocą usiłując wyrwać się z objęć brata.

– Czy stracisz coś – wołał – jeśli się mnie pozbędziesz? Będziesz wolny od wszelkich przysiąg, nie będziesz potrzebował umierać dla świata!

Krystyna nie słyszała, co Naakkve odpowiedział; bosy wybiegła na mokrą od rosy trawę. Björgulf wyrwał się bratu, ale nagle, jakby go coś zbiło z nóg, zwałił się na wielki głaz, tłukł weń zaciśniętymi kufakami.

Naakkve dostrzegł matkę i podszedł ku niej szybko.

– Wejdźcie do domu, matko, ja sam najlepiej to załatwię. Musicie wejść, powiadam – szepnął ostro, odwrócił się i pochylił znowu nad bratem.

Matka stanęła w pewnym oddaleniu. Łąka przesiąknięta była wilgocią, ze wszystkich dachów kapało, z liści sączyły się krople rosy; przez cały dzień deszcz padał, teraz jednak chmury skłębiły się w biały, zwarty opar. Kiedy po chwili synowie wracali do domu – Naakkve ujął Björgulfa pod ramię i prowadził go – Krystyna cofnęła się prędko za drzwi.

Ujrzała, że twarz Björgulfa jest pokrwawiona, widocznie skaleczył się upadając na kamień. Mimowiednie podniosła rękę do ust i ugryzła się w żywe ciało.

Na schodach raz jeszcze usiłował wyrwać się Naakkvememu, runął na ścianę i krzyczał:

– Przeklinam, przeklinam ten dzień, w którym zostałem zrodzony!

Kiedy matka posłyszała nareszcie, że Naakkve zamknął drzwi izby, weszła cichaczem na górę i przystanęła na ganku. Długo jeszcze dolatywał ją głos Björgulfa; szalał, zlorzeczył i przeklinał, od czasu do czasu rozumiała któreś z jego dzikich słów. Chwilami słyszała, że Naakkve go uspokajał, ale głos jego brzmiał jak przytłumiony szep. W końcu Björgulf rozplakał się głośno i boleśnie.

Matka stała na ganku dygocąc z zimna i żalości; na koszulę narzuciła tylko okrycie. Stała tak długo, aż jej rozpuszczone włosy przemokły zupełnie. W końcu uciszyło się w izbie synów.

Zeszła z powrotem na dół, przystąpiła do łoża, w którym spali Gaute i Lavrans; nie zauważyli niczego. I podczas gdy łązy toczyły się po jej

bladych policzkach, wyciągnęła Krystyna w ciemności rękę, dotknęła ich ciepłych twarzy i nasłuchiwała zdrowego, miarowego oddechu śpiących chłopców. Ci dwaj oto byli teraz wszystkim, co z jej bogactwa pozostało.

Zgrabiła z zimna wsunęła się wreszcie do łoża. Jeden z psów, leżących dotąd przed posłaniem Gautego, przebiegł izbę, wskoczył do łoża i zwinął się na jej nogach. Robił tak co noc, a nie miała serca wyganiać go, choć nogi jej cierpły pod ciężkim cielskiem; to stare, czarne, kudłate psisko należało niegdyś do Erlenda i było jego ulubieńcem. Tej nocy odczuła Krystyna z lubością, że pies leżał przy niej i grzał jej zdrętwiałe nogi.

Naakkvego ujrzała dopiero nazajutrz w porze rannego posiłku. Wszedł do izby i zasiadł na poczesnym miejscu: należało się ono jemu od śmierci ojca.

Podczas posiłku nie przemówił słowa, pod oczyma miał czarne kręgi. Kiedy wychodził, matka zatrzymała go.

– Jak się ma teraz Björgulf?

Naakkve unikał dalej jej wzroku, lecz cicho odparł, że Björgulf śpi.

– Czy... czy już dawniej był taki? – szepnęła z lękiem.

Naakkve skinął głową, odwrócił się od niej i poszedł znowu do brata na górę.

Dniem i nocą czuwał nad Björgulfem i, jak tylko mógł, trzymał matkę z dala od niego. Ale Krystyna przeczuwała, że dwaj młodzieńcy niejedną ciężką godzinę przeżyli z sobą.

Mikołaj syn Erlenda powinien był obecnie gospodarzyć na Jörund, lecz nie miał czasu troszczyć się choćby w najmniejszej mierze o dwór. Poza tym podobnie jak ojciec nie okazywał zgoła ochoty ani zamiłowania do gospodarki. Przeto Krystyna oraz Gaute objęli miast niego rządy, bo tego lata Ulf także opuścił Jörund.

Po nieszczęsnych wydarzeniach, które zakończyły się śmiercią Erlenda, żona Ulfa odjechała ze swymi braćmi do rodzinnego domu. Ulf pozostał na Jörund, chciał pokazać ludziom, że nie da się wykużyć oszczerczymi plotkami. Ale można było po nim poznać, iż pobyt jego tutaj ma się ku końcowi; zamyślał prawdopodobnie przenieść się na swój własny dwór w Skaun i czekał tylko, aż tyle wody upłynie, że nikt nie będzie mógł zarzucić mu ucieczki przed obmową.

Kiedy jednak pełnomocnik biskupa jął badać, czy Ulf porzucił żonę w niedozwolony prawem sposób, Ulf począł natychmiast sposobić się do odjazdu i sprowadził Jardtrudę; chciał udać się na północ, zanim jesienne śloty uniemożliwią przejazd przez góry. Gautemu oświadczył, iż chce jechać do męża swej przyrodniej siostry, kowala w Nidaros, i tam zamieszkać, Jardtrudę zaś zawiezie na Skjoldvirkstad, gdzie jego bratanek będzie nadal gospodarzył.

W przedwieczny odjazd piła doń Krystyna z poślacanego kubka, który jej ojciec odziedziczył po swym dziadku, panu Ketilu. Prosiła go, aby przyjął ów kubek od niej w upominku, po czym włożyła mu na palec złoty pierścień Erlenda, aby nosił go na pamiątkę po zmarłym krewniaku.

Ulf pocałował ją na podziękowanie.

– Należy to, wszak teraz do zwyczajów krewniaczych – rzekł ze śmiechem. – Gdyśmy się poznali, Krystyno – byłem wtedy pacholkiem, który cię przyprowadzał do swego pana – na pewno nie myślałaś, że kiedykolwiek w ten sposób będziemy się żegnali.

Krystyna stanęła w ognjach, bo patrzył na nią ze swym starym, drwiącym uśmiechem, ale z oczu jego poznała, jak bardzo jest zmartwiony. Rzekła więc tylko:

– Mimo to, Ulfie, czy ci nie tęskno czasem za Tröndelag, gdzieś się urodził i wyrósł? Ja nawet tęsknię nieraz za fiordem, a przecież niewiele lat żyłam na północy. – Po chwili dodała cicho: – Jeśli kiedykolwiek uraziłam cię za młodu, z dumy albo też... musisz mi teraz wybaczyć, nie wiedziałam przecie, żeś tak blisko spokrewniony z Erlendem.

– Nie, nie, a poza tym to bynajmniej nie Erlend nie chciał uznać tego pokrewieństwa. To ja sam byłem taki hardy w młodości. Skoro ojciec wypchnął mnie ze swego rodu, tom nie chciał zebrać – podniósł się gwałtownie, zbliżył się do siedzącego na ławie Björgulfa: – Pojmujesz, Björgulfie, mój wychowanku? Twój ojciec oraz Gunnulf byli dla mnie jak krewni od samego początku, w przeciwieństwie do moich braci i siostr z Hestnaes. Później nigdy nie występowałem jako krewny Erlenda, chyba że w ten sposób lepiej mogłem mu służyć, jemu, jego żonie i wam, moim wychowankom. Pojmujesz? – pytał wzburzony; położył dłoń na twarzy ślepcy, zakrył jego zgasłe oczy.

- Pojmuję. – Odpowiedź Björgulfa brzmiała na wpół zduszona spod dłoni Ulfa; kiwał tylko głową.

- Pojmujemy to wszyscy, opiekunie. – Naakkve opuścił ciężko prawicę na ramię Ulfa, Gaute także zbliżył się do nich.

Krystynie dziwnie zrobiło się na duszy; miała uczucie, jak gdyby tamci chcieli mówić o rzeczach jej niewiadomych. Potem jednak podeszła do nich i odezwała się:

- Wierźaj mi, Ulfie, krewniaku nasz, wszyscy to wiemy – nikt z nas, ani Erlend, ani my, nie mieliśmy tutaj wierniejszego druha nad ciebie. Bóg z tobą!

Na drugi dzień Ulf syn Haldora pociągnął na północ.

W ciągu zimy, o ile Krystyna mogła wymiarkować, Björgulf uspokoił się trochę. Zasiadał znowu wraz z innymi do stołu, uczęszczał na mszę i chętnie przyjmował drobne posługi, które matka z radością dlań spełniała.

Im więcej czasu mijało, odkąd posłyszała o zamiarze synów, tym boleśniej i ciężiej było jej poświęcić zakonowi najstarszego z nich.

Nie mogła przed sobą taić, iż dla Björgulfa był to schron najpewniejszy, lecz nie wiedziała, jak będzie mogła znieść utratę Naakkwego. A zatem prawdą jest, iż pierworodny w dziwny jakiś sposób ściślej jest zespolony z sercem matki niż pozostali synowie.

Nie mogła również dostrzec, aby Naakkveszczególnie nadawał się na mnicha. Wprawdzie posiadał niezwykle uzdolnienie do wiedzy o sprawach duchowych i z zamiłowaniem oddawał się praktykom religijnym; mimo to jednak nie wydawał się matce zbyt nabożny. Do kościoła w dolinie nie kwapił się zgoła, opuszczał nieraz mszę i wiedziała, że zarówno on jak i Björgulf spowiadają się swemu proboszczowi tylko z najzwyczajniejszych grzechów powszednich. Nowy kapłan, sira Dag, był synem Rolfa na Blakarsarv, który miał za żonę ciotecznią siostrę Ragnfridy; nieraz przebywał na dworze swych krewnych. Sira Dag syn Rolfa był człowiekiem młodym, w wieku około lat trzydziestu, wykształconym i wielce uczonym. Ale obaj najstarsi synowie odnosili się doń z wielką powściągliwością. Z Gautem natomiast zaprzyjaźnił się bardzo.

Gaute, jedyny z synów Erlenda, pozyskał sobie przyjaciół w Sil. Natomiast żaden z braci nie był nigdy tak obcy w dolinie jak właśnie Mikołaj. Nie szukał on zgoła towarzystwa innych młodzieńców, a kiedy szedł z nimi na tańce lub zabawy, to stał zazwyczaj z boku na skraju łąki i przyglądał się tylko – z taką miną, jak gdyby sam czuł się za godny, by się w ten sposób zabawiać. O ile jednak czasami naszała go chętka, to nie proszony brał udział w zabawie i wówczas ludzie powiadali, że czyni to jedynie dlatego, by się odznaczyć; był bowiem zręczny, silny i rzutki, prędki do bitki. A gdy powalił jednego albo dwóch najsłynniejszych zapaśników w okolicy, natenczas musieli ludzie znosić jego zachowanie się. A jeśli zapragnął potańczyć z jakąś dziewczyną, to nie baczył na jej braci, przyjaciół ni krewnych, tylko tańczył z nią, przechadzał się i siedział z nią we dwoje, i nie zdarzyło się nigdy, by któraś dziewczyna powiedziała „nie”, kiedy Mikołaj syn Erlenda ofiarował jej swe towarzystwo. Przez to nie stał się bynajmniej bardziej lubiany.

Odkąd brat oślepił zupełnie, Naakkve rzadko zostawiał go samego, ale kiedy czasem wychodził wieczorami, zachowywał się nie inaczej niż dotychczas. Poniechał również prawie zupełnie swych długich wędrówek myśliwskich, choć właśnie tej jesieni kupił sobie od wójta niezwykle kosztownego białego sokoła; zaś strzelanie z łuku oraz inne cielesne rozrywki uprawiał z tą samą gorliwością. Björgulf nauczył się po niewiedomemu grać w szachy i bracia nieraz całe dni spędzali przy szachownicy; obaj byli zapalonymi graczami.

Potem doszło uszu Krystyny, że ludzie mówią o Naakkvem i pewnej dziewczynie, Tordis córce Gunnara ze Skjenne. To lato spędziła Tordis na hali. I zdarzało się wtedy niejednokrotnie, że Naakkve na całe noce wychodził z domu. Krystyna dowiedziała się potem, że bywał u Tordis.

Serce matki drżało i trzepotało niby liść osikowy. Tordis pochodziła z zacnego, starego rodu, ona sama była niewinnym, dobrym dzieckiem; Naakkve żadną miarą nie chciał chyba sprowadzić na nią niesławy. Jeśli prawdą było, że młodzi się zapomnieli, w takim razie Naakkve musi ją poślubić. Chora niemal z przerażenia i wstydu, czuła jednak Krystyna, że nie byłaby wcale tak bardzo strapiona, gdyby do tego doszło. Przed dwoma jeszcze laty na pewno nie chciałaby słyszeć

o tym, że Tordis córka Gunnara mogłaby po niej zostać panią na Jörund. Dziad dziewczęcia żył z czterema żonatymi synami na swym dworze, a Tordis miała liczne rodzeństwo; byłaby biedną narzeczoną. Nadto każda niewiasta z tej rodziny wydawała na świat przynajmniej jedno dziecko upośledzone na umyśle. Podziemne duchy zamieniały dzieci tych ludzi albo też urzekały je w kołysce; jakkolwiek bowiem strzeżono i pilnowano położnicy, ani chrzest, ani święcenie nic nie pomagały. Obecnie mieszkało na Skjenne dwóch starców, których sira Eirik uważał za odmieńców, i dwoje głuchoniemych dzieci; najstarszego zaś brata Tordis zaczarowała Huldra, gdy miał lat siedemnaście. Poza tym jednak mężowie z rodu na Skjenne byli urodziwi; szczęście sprzyjało im w polu i w lesie, i dobytek ciągle się pomnażał, ale było ich zbyt wielu, by ród mógł kiedykolwiek dojść do bogactwa.

Bogu jednemu było wiadomo, czy Naakkve mógł poniechać swego zamiaru bez obarczenia się ciężkim grzechem, jeśli już jakimś ślubowaniem ofiarował się świętej Dziewicy. Ale ostatecznie każdy człowiek musiał przecież odbyć w klasztorze rok nowicjatu, zanim zostawał wyświęcony, i mógł w tym czasie jeszcze zawsze wystąpić z zakonu, o ile by czuł, że nie jest powołany do służenia Bogu w ten sposób. Krystyna słyszała niegdyś o pewnej włoskiej hrabinie, matce pana Tomasza z Akwinu, dominikanina i słynnego doktora teologii: zamknęła ona ponoć swego syna z piękną swawolnicą, aby go odwieść od zamiaru opuszczenia świata. Zdaniem Krystyny kobieta ta popełniła rzecz szkaradną, mimo to umarła pogodzona z Bogiem. W takim razie nie było znowu takim strasznym grzechem z jej strony myśleć o tym, iż przyjęłaby teraz z otwartymi ramionami Tordis ze Skjenne jako synową.

Jesienią przybył na Formo Jammaelt syn Halvarda i potwierdził znane już w dolinie nowiny o doniosłych wydarzeniach. Po wspólnej naradzie z najwyższymi dostojnikami Kościoła, rycerstwem oraz mężami zasiadającymi w radzie koronnej postanowił pan Magnus syn Eirika podzielić państwo między swych dwóch synów, których spłodził z królową Blanką. Na zgromadzeniu szlachty w Vardbergu

nadał tytuł króla Norwegii swemu młodszemu synowi, kawalerowi Haakonowi. Wszyscy zaś uczeni i nieuczeni panowie przysięgli zgodnie bronić kraju pod jego berłem. Chodziły słuchy, że Haakon jest ślicznym, wiele rokującym trzyletnim dzieckiem i że ma się odąd wychowywać w kraju. Małżonki czterech najznamienitszych rycerzy oraz dwóch panów świeckich i dwóch duchownych wyznaczono mu na opiekunów w czasie, gdy król Magnus z żoną będzie bawił w Szwecji. Powiadano dalej, że myśl ta zrodziła się w głowie Erlinga syna Vidkuna oraz biskupa z Björgvinu i Oslo, i że Bjarne syn Erlinga przeparał ją u króla, albowiem król z całego norweskiego rycerstwa jego lubił najbardziej. I każdy oczekiwał jak największych korzyści dla państwa po własnym królu, który miał żyć i mieszkać w Norwegii, i stać na straży ustaw i dobra kraju miast marnować swój cały czas i siły oraz dobrobyt państwa na jakieś awantury w obcych krajach.

Krystyna słyszała już zarówno o wyborze króla, jak też o sporach z niemieckimi kupcami w Björgvinie i o wojnach króla w Szwecji i Danii. Lecz to wszystko nie wzruszało jej bardziej aniżeli odległe echo grzmotu w górach, kiedy burza przeciąga daleko poza dolinę. Za to jej synowie na pewno mówili nieraz o tych sprawach. Opowiadanie Jammaelta wzburzyło też synów Erlenda. Björgulf wsparł głowę na rękach i zakrył niewidzące oczy, Gaute nasłuchiwał z półotwartymi ustami i chwycił za rękęję sztyletu, Lavrans oddychał głośno, jego niespokojny wzrok błędził od wuja do Naakkvego, siedzącego na poczesnym miejscu. Najstarszy syn był blady, oczy mu gorzały.

– Niejednemu mężowi pisane było – ozwał się w końcu – że ci sami, którzy go za życia najbardziej zwalczali, szli potem właśnie drogą przezeń wytkniętą rzuciwszy go w pierw robakom na żer. Kiedy on sam już ziemię gryzie, wtenczas pośledniejsi i bardziej małoduszni od niego nie lękają się przyznać słuszności jego słowom.

– Tak, tak, krewniaku – rzekł uspokajająco Jammaelt – nieco słuszności jest w twoich słowach. Twój ojciec pierwszy myślał o tym wyjściu z zamętu, myślał o dwóch braciach, którzy by zasiedli na tronach Norwegii i Szwecji. Erlend syn Mikołaja był rozważnym, mądrym i wspaniałomyślnym panem, to prawda. Ale strzeż się głośno rozpowiadać o tym, chyba nie jest twoim zamysłem, Mikołaju, wywołać plotki mogące zaszkodzić Skulemu.

– Skule nie prosił mnie o zezwolenie na to, co uczynił – odparł ostro Mikołaj.

– Nie, po prostu na myśl mu nie przyszło, że jesteś już pełnoletni – odrzekł Jammaelt. – Również i ja nie pomyślałem o tym, stało się więc za moją wiedzą i wolą, iż ślubował wierność Bjarnemu.

Skule wstąpił obecnie w służby Bjarnego syna Erlinga. Spotkał się on z młodym rycerzem na Boże Narodzenie tego roku bawiąc w odwiedzinach u ciotki na Aelinie. Bjarnemu udało się przekonać chłopca, że w pierwszym rzędzie było zasługą przede wszystkim pana Erlinga i jego samego, iż swego czasu uwolniono Erlenda z więzienia; bez ich poparcia nie potrafiliby Szymon Darre uzyskać u króla Magnusa spełnienia swej prośby. Ivar przebywał jeszcze wciąż u Ingego Flugi.

Krystyna wiedziała dobrze, że to, co powiedział Bjarne, było prawdą, zgadzało się to z opowiadaniem Szymona o jego podróży do Tunsbergu. Mimo to zawsze myślała z wielkim rozgoryczeniem o panu Erlingu. Zdawało jej się, że był on w możności, gdyby tylko zechciał, uzyskać lepsze warunki dla jej męża. Bjarne nie miał wtedy jeszcze zapewne znacznego wpływu, był zaledwie młodzienaszkiem; a jednak nie bardzo jej odpowiadało, że Skule wstąpił do jego świty. Przede wszystkim jednak truchlała nieomal słysząc, jak bliźniacy samowolnie, na własną rękę rozporządzili sobą i udali się w świat: byli wszak jeszcze dziećmi.

Po odwiedzinach Jammaelta niepokój jej wzmógł się tak bardzo, że nie mogła wprost skupić myśli. Jeśli istotnie tak było, jak twierdzili ludzie, jeśli dobro i bezpieczeństwo kraju zależało od tego, czy ten chłopaczek na zamku w Tunsbergu będzie nosił tytuł króla Norwegii, w takim razie naród już od dziesięciu lat mógłby zażywać tych korzyści, gdyby nie Erlend. Nie, nie chciała myśleć o tym, kiedy myślała o zmarłym. A jednak mimo woli musiała; właśnie dlatego, ponieważ widziała, że ojciec w oczach synów uchodzi za najdoskońszego bohatera i wodza bez plamy i skazy. Prawda, wszak ona sama przez cały ten czas uważała, iż Erlend został haniebnie opuszczony przez wszystkich bogatych krewnych i równych mu stanem. Wielka zaiste krzywda stała się jej małżonkowi, ale Naakkve szedł stanowczo za daleko twierdząc, że to oni rzucili go robakom na

zer. I ona również nie miała część winy ponosiła, przede wszystkim jednak nierozsądek Erlenda i jego rozpaczliwy upór spowodowały jego nędzną śmierć.

Mimo to było jej przykro, że Skule poszedł w służbę Bjarnego syna Erlinga.

Na Boga, czyż nigdy nie miała dożyć dnia, w którym by się tak okropnie nie dręczyła obawą i niepokojem! „O Jezu, przez pamięć na ból i trwożę, które Twoja matka z powodu Ciebie wycierpiła, ulituj się nade mną, i jam też jest matką, i pociesz mnie!”

Nawet o Gautego nie mało się trapiła. Chłopiec zapowiadał się jako dobry gospodarz, ale znowu zbyt zapalczywie pragnął przywrócić dawną zamożność rodu. Naakkve zostawił mu we wszystkim wolną rękę, a Gaute miał głowę nabitą pomysłami. Obecnie wraz z innymi chłopami z doliny począł na nowo wydobywać żelazo z mokradeł w górach. Poza tym sprzedawał stanowczo zbyt wiele, nie tylko na pokrycie danin, ale nawet z zapasów dworu. Krystyna przyzwyczajona była do pełnych spichlerzy i stodoł na swym dworze i bardzo ją gniewało, że Gaute kręci nosem i drwi z powodu zjełczałego masła lub słoniny dziesięć lat wiszącej w spichrzu. Ona zaś chciała mieć tę pewność, że na jej dworze nie może zabraknąć żywności; w czasie nieurodzaju żaden biedak nie powinien odejść z próżnymi rękami z jej dworu. I nie może również niczego zabraknąć, kiedy znów nadejdzie pora, że na starym dworze odprawiać będą wesela, chrzciny i biesiady.

Jej ambitne plany co do przyszłości synów stawały się coraz skromniejsze. Obecnie byłaby zadowolona, gdyby dzieci osiedliły się na stałe tutaj w dolinie. Droga wymiany mogła w ten sposób skupić swoje włości, że trzech synów mieszkałoby na swych własnych dworach. Jörund wraz z częścią Laugarbru, znajdującą się po tej stronie rzeki, mogło wyżywić trzech dzierżawców. Jeśliby nawet jej synowie nie wiedli życia możnych panów, to w każdym razie nie cierpieliby biedy. W dolinie panował spokój, z rzadka tylko chodziły wieści o zwadach wśród możnych panów. A choć taki stan rzeczy oznaczał upadek potęgi i znaczenia rodu, to przecież w rękę Boga

leżało podźwignąć jej potomków, o ile by w tym widział jakąś korzyść dla nich. Ale Krystyna daremnie się łudziła, że ujrzy kiedyś swych synów w ten sposób bezpiecznie skupionych koło siebie. Tak łatwo nie mogły osiągnąć spokoju dzieci, których ojcem był Erlend syn Mikołaja.

W tym to czasie największa pociecha i ukojenie spływały na jej duszę, kiedy myśli jej biegly ku dwom maleństwom spoczywającym na cmentarzu.

Wprawdzie przez cały czas od ich śmierci co dnia o nich myślała; zawsze ilekroć widziała inne dzieci w tym wieku, pytała się w duchu, jak by też jej własne teraz wyglądały.

Obecnie jednak, podczas gdy spełniała dalej codzienną pracę, zawsze tak samo pilna i skrzętna, tylko zamknięta w sobie i zadumana, dwie zmarłe dzieci były stale przy niej. W jej marzeniach żyły i rosły dalej i pod każdym względem stawały się takie, jakimi je mieć pragnęła. Munan zachowywał się wobec krewnych zupełnie jak Naakkve, ale wobec matki był taki żywy i rozmowny jak Gaute, nigdy nie budził w niej lęku nieopatrznymi pomysłami; był łagodniejszego usposobienia i rozważny jak Lavrans, ale mówił z nią o wszystkim osobliwym, co go zastanawiało. Mądrością przypominał znowuż Björgulfa, tylko żaden ponury cień nie padał na jego życie: tak więc mądrość jego pozbawiona była goryczy. Samodzielnością, odwagą i siłą wdał się w bliźniaków, ale obcy mu był ich upór i krnąbrność.

Wszystkie zaś słodkie, miłe wspomnienia o wdzięku maleńkich dzieciątek stawały jej jak żywe przed oczyma, ilekroć myślą dotknęła małego Erlenda. Stał na jej kolanach, bo ubierała go właśnie; trzymała oburącz jego nogi i prężny tułów, on zaś małymi rączkami i podniesioną główką, i całym nade wszystko droższym ciałkiem pisał się ku jej twarzy, garnął się ku jej pieszczotom. Albo uczyła go chodzić; przewiązywała go złożoną na krzyż chustką, którą przeciągnęła mu pod pachami, w tej uprząży zwiisał niby worek i z tak rozkoszną nieudolnością stawiał nóżki, i tak serdecznie się śmiał, aż skręcał się cały. Wynosiła go na pastwisko do cieląt i jagniąt,

wrzeszczał z uciechy na widok maciory z prosiętami albo przechylał w tył główkę i przypatrywał się gołębiom na dachu. Dreptał obok niej przez wysoką trawę, wykrzykiwał przy każdej jagodzie, którą zoczył, a tak łapczywie jadł je z jej rąk, aż mu ślina ciekła z żarłocznych usteczek.

Przypominała sobie wszystką radość, jaką miała z dzieci, i żyła w jakimś śnionym życiu z dwojgiem najmłodszych. I zapomniała o wszystkich troskach.

Po raz trzeci nastąpiła wiosna, odkąd złożono Erlenda do grobu. Pogłoski o Tordis i Naakkvem zamilkły. Ale i o klasztorze Krystyna nie słyszała. Nadzieja ją w nią wstępować. Trudno, nie mogła tego odmienić: z ciężkim sercem poświęcała klasztorowi najstarszego syna.

Na krótko przed świętym Jonem przybył na Jörund Ivar syn Erlenda. Kiedy bliźniacy opuszczali dwór matczyny, liczyli lat szesnaście. Obecnie Ivar był dorosłym, blisko osiemnastoletnim mężczyzną, i matce wydawał się taki piękny i męski, że oczu od niego oderwać nie mogła.

Pierwszego rana – Ivar leżał jeszcze – przyniosła mu matka ranny posiłek: wyśmienity miodownik, placek oraz piwo utoczone z ostatniej beczki zapasu przygotowanego na Boże Narodzenie. Siedziała na brzegu łoża, patrzyła, jak syn je i pije, śmiała się z tego, co opowiadał, podniosła się i oglądała jego szaty, obracała każdy kawałek z osobna, grzebała w jego podróznym tłumoku, ważyła w wąskiej, opalonej ręce jego klamrę, wyciągnęła sztylet z pochwy i nie mogła się dosyć nadziwić młodzieńcowi oraz wszystkiemu, co posiadał. Potem usiadła znowu i z twarzą rozpromienioną uśmiechem słuchała, jak syn gwarzył.

Nagle Ivar powiedział:

– Najlepiej będzie, matko, jeśli wam od razu powiem, dlaczego wróciłem do domu. Przyjechałem po pozwolenie Naakkvego, chcę się żenić.

Krystyna ze zdumienia aż klasnęła w dłonie.

– Mój Ivarze! Takiś przecie młody, chyba nie popełniłeś głupstwa.

Ivar prosił matkę, by go spokojnie wysłuchała. Szło o młodą wdowę, Signe córkę Gamala, mieszkająca na dworze Rognheim w Fauskar. Większa część dość dużego dworu była jej własnością; jedyne jej dziecko zmarło. Popadła jednak w prawny spór z krewnymi swego męża i Inge Fluga usiłował wyciągnąć z tego rozmaite niedozwolone korzyści dla siebie jako zapłatę za to, iż miał pomóc wdowie w jej sprawie. Wtedy Ivar rozsierdził się bardzo, zajął się wdową i zaprowadził ją aż przed biskupa, albowiem pan Halvard, ilekroć się spotykali, okazywał mu zawsze iście ojcowskie wyrozumienie. Postępowanie Ingego syna Munana w podległym mu okręgu przy dokładniejszym wejrzeniu nie zasługiwało na pochwałę, ale potrafił on zaprzyjaźnić się z wybitnymi rodami po dolinach, zarządy gmin zaś umiał przepłoszyć do mysiej dziury, ba, samemu biskupowi nawet sypał zręcznie piaskiem w oczy. Pewnie także przez wzgląd na Munana nie okazywał pan Halvard zbytnej ochoty do surowości wobec Ingego. Teraz jednak sprawa jego źle wyglądała i kiedy Ivar dosiadł konia i opuścił jego dwór, nie rozstali się bynajmniej w zgodzie. Potem wpadło jednak Ivarowi do głowy, że zanim opuści na zawsze tamtą okolicę, powinien pożegnać się z wdową na Rognheim. Było to w czasie Wielkanocy i od tej pory przebywał u Signe, pomagał jej w dworskiej robocie i wreszcie doszli do przekonania, że najlepiej będzie, jeśli się pobiorą: Ivar nie zdawał się jej bynajmniej za młody. Biskup zaś jest mu wielce przychylny, a chociaż Ivar nie posiadał odpowiedniego wieku ani uczoneści, by pan Halvard mógł mu powierzyć jakiś urząd, to jednak młodzian był przekonany, że dobrze wyjdzie na tym, jeśli osiadzie żonaty na Rognheim.

Krystyna siedziała w milczeniu i bawiła się pękiem swych kluczy. Mowa młodzieńca była rozumna, Inge Fluga nie był naprawdę wart czegoś więcej. Lecz pytanie, co też ten biedny staruszek, Munan syn Baarda, o tym powie?

Co się zaś tyczy samej narzeczonej, dowiedziała się Krystyna, że Signe ma trzydzieści zim, pochodzi z ostatnich, ubogich ludzi, ale ponieważ jej pierwszy mąż dorobił się majątku, żyje teraz w dostatku, jest szanowaną, miłą i dzielną kobietą.

Mikołaj i Gaute towarzyszyli Ivarowi na południe, aby zobaczyć

wdowę, matka jednak pozostała przy Björgulfie. Po powrocie opowiadał jej Naakkve, iż Ivar święcił swe zrękowiny z Signe córką Gamala. Wesele miało się odbyć jesienią na Rognheim.

Pewnego wieczora niedługo po powrocie synów, kiedy Krystyna siedziała sama w tkalni i szyła, wszedł do niej Naakkve. Zasuwał zawory przy drzwiach, po czym oświadczył matce, iż teraz, ponieważ Gaute ma już dwadzieścia zim, a Ivar dzięki swemu ożenkowi stał się pełnoletni, on i Björgulf zamierzają jeszcze tej jesieni udać się na północ i prosić o przyjęcie ich do klasztoru jako nowicjuszy. Krystyna niewiele na to rzecz mogła, tak więc mówili tylko o tym, jak należy wszystko uporządkować i co dwaj najstarsi synowie mają zabrać z sobą.

Lecz w kilka dni potem zawitali druzbowie weselni na Jörund; Aasmund ze Skjenne wyprawiał zrękowiny swej wnuczki Tordis z synem zacnej chłopskiej rodziny z Dovre.

Tego wieczora również przyszedł Naakkve do matki, do tkalni, i znowu zawarł za sobą drzwi. Usiadł na krawędzi paleniska, milczał i rozgarniał gałęzią żar; Krystyna roznieciła tu mały ogień, bo noce tego lata były chłodne.

– Nic, tylko gody i uroczystości, matko – odezwał się w końcu i zaśmiał się cicho. – Zrękowiny na Rognheim i zrękowiny na Skjenne, potem znowu wesele Ivara. Ale kiedy Tordis jako oblubienica pojedzie do kościoła, mnie już nie będzie w drużynie weselnej, w tym czasie będę już może w habicie.

Krystyna milczała zrazu. Potem jednak rzekła nie odrywając oczu od roboty; szyła weselny strój dla Ivara:

– Niejednemu zdawało się, że Tordis córka Gunnara będzie się bardzo martwić, jeśli ty pójdziesz do klasztoru.

– I ja sam też tak niegdyś sądziłem – odparł Naakkve.

Krystyna opuściła robotę na kolana. Przyjrzała się bacznie synowi, oblicze jego było spokojne i zamknięte. Był nader urodziwy, ciemne włosy odrzucone z białego czoła wiły się w miękkich puklach za uszami i na smukłym, ogorzałym karku. Rysy twarzy miał regularniejsze od ojca, twarz jego była szersza i silniejsza, nos nie tak wielki,

a usta nie tak drobne; przejrzyste, niebieskie oczy leżały pięknie w cieniu prostych, kruczych brwi; a jednak nie robił wrażenia tak pięknego mężczyzny jak ojciec. Naakkve nie posiadał owej cudownej, istic zwierzęcej gibkości i niedbałego wdzięku ojca ani też jego niezniszczalnej młodości.

Matka wzięła z powrotem robotę do ręki, ale nie szła. Po chwili nie podnosząc oczu i igłą zaginając obrąbek powiedziała:

– Pamiętaj, Naakkve, zem dotąd nie sprzeciwiała się ni jednemu słowem waszemu zbożnemu zamiarowi. Nie śmiałam tego czynić. Aleś jeszcze taki młody, a wiesz przecie dobrze, jak powiedziane jest w Biblii: Nie przystoi człowiekowi obzierać się za siebie i spoglądać wstecz, skoro już przyłożył rękę do pługą.

Twarz syna ani nie drgnęła.

– Wiem, że już od dawna nosiliście się z tym zamysłem – ciągnęła dalej matka – jeszcze kiedy byliście dziećmi. Ale wtedy nie mogliście wiedzieć, czego macie się wyrzec. Teraz, kiedyś doszedł do lat męskich, czy nie sądzisz, że dobrze by było wypróbować się jeszcze, czy istotnie jesteś powołany? Tyś wszak powinien objąć kiedyś ten dwór i zostać głową rodu.

– I wy ośmielacie się radzić mi? – Naakkve odetchnął parę razy głęboko. Podniósł się i nagle jednym ruchem szarpnął kaftan i koszulę. Matka ujrzała nagą pierś młodzieńca; na niej wśród czarnych krętych włosów występowało wyraźnie pięć małych krwawoognistych znamion.

– Sądziliście pewnie, że jako dziecko zbyt byłem maleńki, by pojąć, coście wśród łez i jęków szeptali całując mnie? Nie rozumiałem też tego, ale słów, któreście wówczas mówili, nigdy zapomnieć nie mogłem.

Matko, matko, czy nie pomnicie, iż ojciec nasz zmarł najnędźniejszą śmiercią, bez spowiedzi i Ciała Pańskiego? I wy śmiecie odradzać nam! Sądzę, że obaj wiemy doskonale, co tracimy, od czego się odwracamy. Nie wydaje mi się zgoła zbyt wielką ofiarą porzucić ten oto dwór i poniechać małżeństwa i tego pokoju, i tego szczęścia, które wyście mieli z moim ojcem w ciągu tych wszystkich lat, jak daleka pamięć moja sięga!

Krystyna opuściła robotę. Wszystko, co ona i Erlend razem przeżyli:

dobro i zło, całe ogromne bogactwo wspomnień zalało ją niby rwącą falą. Tak mało wiedziało to dziecko o tym, czego się wyrzec chciało. Mimo całej kipiącej młodości, walk, junackich przedsięwzięć, sprawek miłosnych, był jeszcze niewinnym dzieckiem.

Naakkve widział, że matce łzy cisną się do oczu. Zawołał:

– *Quid mihi et Tibi est, mulier?*¹ – Krystyna wzdrygnęła się, lecz syn ciągnął w ogromnym wzburzeniu: – Bóg nie wyrzekł tych słów dlatego, że pogardził swą Matką. Ale skarcił Ją tymi słowami. Ją, perłę przeczystą bez skazy i winy, kiedy Mu radziła, jak ma użyć swej mocy pochodzącej od Ojca w niebiesiach, a nie od ziemskiej rodzicielki. Matko, w tej sprawie nie powinniście mi radzić. Nie ważcie się nawet.

Krystyna skłoniła głowę na piersi.

Po chwili Naakkve rzekł cicho:

– Czyście zapomnieli, matko, jakeście mnie od siebie odegnali? – Umilkł nie śmiejąc zaufać swemu głosowi. Po chwili zaczął znowu: – Chciałem klęknąć obok was przy śmiertelnym łożu ojca, lecz kazaliście mi iść precz. Sądzicie, że serce moje nie wyło w piersi za każdym razem, gdy o tym myślałem?

Prawie niedosłyszalnie szepnęła Krystyna:

– Więc to dlatego... byłeś tak... zimny wobec mnie przez cały czas, odkąd jestem wdową?

Syn milczał.

– Zaczynam rozumieć, tego nie wybaczyłeś mi nigdy, Naakkve.

Naakkve wlepił wzrok w ziemię.

– Chwilami wybaczałem ci, matko – odparł słabo.

– Nieczęsto w każdym razie. Naakkve, Naakkve! – wybuchnęła nagle z gorzką skargą. – Sądziś, że miłowała Björgulfa mniej niż ty. Jestem wszak jego matką, jestem matką was obu! Okrutny byłeś zamykając drzwi pomiędzy nim a mną.

Błada twarz Naakkvego zbieleła jeszcze bardziej.

– Tak jest, matko, zamykałem przed tobą drzwi. Powiedziałaś: okrutny... Bóg z tobą, sama nie wiesz... – głos młodzieńca przeszedł w szept, siły jego zdawały się do szczętu wyczerpane: – Sądziłem, żeś nie powinna... że tobie powinniśmy tego oszczędzić.

¹ Co mnie i Tobie, niewiasto? (Ewangelia św. Jana, II, 4).

Odwrócił się gwałtownie, podszedł do drzwi i odsunął zaworę. Potem jednak zatrzymał się, odwrócony plecami do matki. Wreszcie zawołała go cicho po imieniu. Zbliżył się i stanął przed nią z pochyłą głową.

– Matko, pojmuję dobrze, że nie jest wam lekko.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Ukrył wzrok przed jej spojrzeniem, potem opuścił głowę i pocałował ją w rękę. Krystyna przypomniawszy sobie, że tak samo uczynił niegdyś jego ojciec, nie pamiętała jednak kiedy.

Przesunęła dłoń po jego rękawie; syn podniósł rękę i pogłaskał ją po twarzy. Usiedli w milczeniu.

– Matko – odezwał się po chwili Naakkve spokojnie i cicho – czy macie jeszcze ten krzyż, który dostaliście od mego brata Orma?

– Tak – odparła – prosił mnie, bym się z nim nigdy nie rozstawała.

– Zdaje mi się, że gdyby Orm wiedział, dałby swe przyzwolenie na to, abym ja po nim nosił ten krzyż. I ja zostanę teraz bez dziedzictwa i rodziny.

Krystyna wyciągnęła spod koszuli mały srebrny krzyżyk. Naakkve wziął go z jej ręki: ciepły był jeszcze od piersi matki. Ze czcią ucałował miejsce, gdzie ukryta była relikwia, po czym zawiesił łańcuszek na swej szyi i wsunął krzyż pod kaftan.

– Pamiętasz twego brata Orma? – zagadnęła matka.

– Nie wiem. Wydaje mi się czasem, że tak, ale może tylko dlatego, żeście tyle o nim opowiadali, gdy jeszcze byłem mały.

Naakkve jeszcze chwilę pozostał przy matce. Potem podniósł się.

– Dobrej nocy, matko!

– Bóg niech cię błogosławi, Naakkve. Dobranoc!

Odszedł. Krystyna odłożyła ślubny strój Ivara i przybory do szycia, zagasiła żar na palenisku.

– Bóg niech cię błogosławi, Bóg niech cię błogosławi, mój Naakkve! – Zdmuchnęła świecę i opuściła stare domostwo.

W jakiś czas potem spotkała się Krystyna z Tordis na jednym z dworów w dolinie. Mieszkańcy tego dworu byli obłożnie chorzy i nie mogli na czas zwieźć siana z pól, przybyli im tedy na pomoc bracia

i siostry z bractwa świętego Olafa. Wieczorem Krystyna wracała z pola razem z dziewczyną. Szły powoli gwarząc o tym i owym, i z wolna udało się matce Naakkvego tak pokierować rozmową, że Tordis sama opowiedziała o wszystkim, co zaszło między nią a młodzieńcem.

Owszem, spotkała się z nim kilkakrotnie na pastwisku w domu; zeszłego zaś lata, kiedy przebywała na hali, odwiedził ją Naakkve parę razy nocą. Ale nigdy nie był wobec niej natarczywy. Wiedziała doskonale, co ludzie gadają o Naakkvem, jej nie obraził jednak nigdy ani słowem, ani zachowaniem. Leżał tylko czasami obok niej na łożu, oddzielony skórą, i rozmawiali ze sobą. Potem spytała go, czy ma zamiar starać się o jej rękę. Odparł, iż nie może tego zrobić, ślubował bowiem już swe służby Najświętszej Pannie. To samo powtórzył i tej wiosny, kiedy się znowu spotkali. Przeto nie chciała się dłużej sprzeciwiać życzeniu swego ojca i dziada.

– Pewnie, źle byście postąpili oboje, on gdyby złamał swe śluby, a ty, gdybyś się sprzeciwiała swoim krewnym – rzekła Krystyna. Zatrzymała się i wsparta o grabie przyglądała się młodej dziewczynie; miała ładną, miłą twarz i jasny, prześliczny warkocz. – Bóg na pewno ci to odpłaci, moja Tordis. Twój narzeczony wygląda na dzielnego i dobrego chłopca.

– Pewnie, lubię bardzo Haavarda – odparło dziewczę i rozplakało się gorzko.

Krystyna pocieszała ją słowami, jakie przystały rozumnej, statecznej niewieście. Ale serce jej skarżyło się bolesną tęsknotą: jak chętnie nazwałaby swoją córką to dobre, żywe dziecko.

Po weselu Ivara Krystyna pozostała czas pewien na Rognheim. Signe córka Gamala nie była piękna, wydawała się stara i znużona, ale zachowanie jej było uprzejme i miłe. Zdawała się serdecznie kochać swego młodego małżonka, jego matkę i braci zaś przyjęła tak, jak gdyby sądziła, że nie może im dość godnie służyć i dość wiele okazać szacunku, bo tak wysoko stoją ponad nią. Dla Krystyny było czymś zgoła niezwykłym, że jakiś człowiek zbacza ze swej drogi tylko po to, by odgadywać jej życzenia i uprzedzać je. Nawet wówczas, gdy

była bogatą panią na Husaby, rozporządzającą nieprzeliczoną czeladzią, nie usługiwał jej nikt w sposób, który wskazywałby na troskę o wygodę i zdrowie pani. Krystyna nie oszczędzała się nigdy, stawała do każdej roboty i nikomu przez myśl nie przeszło, że powinno się ją oszczędzać. Przeto usłużna troskliwość Signe o zdrowie Krystyny w czasie, gdy przebywała ona na Rognheim, dobrze jej robiła: wnet też pokochała szczerze swoją synową, i równie gorąco modliła się o to, by Signe nigdy nie żałowała, iż siebie samą i całe swoje mienie złożyła w ręce tak młodego męża, jak i o to, by Bóg dał szczęście Ivarowi w małżeństwie.

Wnet po świętym Michale wybrali się Naakkve i Björgulf na północ do Trøndelag. Krystyna od tej pory dowiedziała się o nich tylko tyle, że zdrowo przybyli do Nidaros i wstąpili jako nowicjusze do klasztoru na Tautra.

Obecnie już od roku żyła Krystyna na Jörund z dwoma tylko synami. Dziwiła się sama, że trwa to dopiero tak krótko. Ubiegłej bowiem jesieni, w ów dzień, kiedy wracając z Dovre, dokąd odprowadziła obu najstarszych, rzuciła okiem w stronę swego dworu spowitego tumanem zimnej mgły, wśród której niepodobna było dostrzec zabudowań – pomyślała, że takie uczucie musi mieć ten, kto wraca do swej ojcowizny i wie, że z domu pozostały tylko popioły i zimne zgliszcza.

Teraz, ilekroć szła starą ścieżyną, prowadzącą obok dawnej kuźni – tego roku zarosła ona niemal całkiem i małe kępki dzwonek, wyki i przytulii wciskały się na nią od łąki – zdawało jej się, że widzi obraz własnego życia: zwietrzałe i pokryte sadzą stare palenisko, na którym nigdy już nie miano rozniecić ognia; miejsce wokoło usiane było drobnym żużlem, lecz wszędzie na pogorzeliisku pleniła się delikatna, drobna błyszcząca trawa. A w szczelinach paleniska zakwitła wspaniałymi czerwonymi kitami wierzbówka, rozsypująca na wszystkie strony swe nasiona.

Zdarzało się nieraz, że już po ułożeniu się Krystyny na spoczynek, budzili ją ludzie wjeżdżający z hałasem na dziedziniec. Stukano głośno w drzwi izby na piętrze; potem słyszała, jak głośno i radośnie wita Gaute gości. Budzono czeladź i wywlekano ją z łoża. Na górze rozlegały się krzyki i tupanie, Krystyna poznawała ostry głos Ingridy. Tak, to była porządna dziewczyna, nie pozwalała na żadne poufałości. Grzmiący śmiech młodzieńców nagradzał jej prędkie, zuchwałe słowa. Frida śmiała się najgłośniej – biedactwo nie zmańdrzeje już pewnie nigdy; nie była o wiele młodsza od Krystyny, a przecież pani musiała wciąż jeszcze czuwać nad nią.

Potem obracała się Krystyna na drugą stronę i zasypiała. Gaute nazajutrz był na nogach wcześniej niż zazwyczaj; nie sypiał długo, nawet jeśli podpił sobie poprzedniego wieczora. Goście jednak zjawiali się dopiero w porze rannego posiłku. Potem zostawiali cały dzień na dworze; czasem przybywali w jakiejś sprawie, czasem tylko ot tak sobie, odwiedzić przyjaciela. Gaute był nadzwyczaj gościnny.

Krystyna dbała o to, by przyjaciół syna ugaszczano jak najlepiej. Nie uświadamiając sobie tego nawet, uśmiechała się przecież cicho widząc, że gwarna młodzież i wesele powracają znowu na ojcowski dwór. Ale niewiele mówiła z młodymi ludźmi i rzadko się do nich odzywała. O ile mogła zauważyć, Gaute był towarzyski i wesół.

Lubili go zarówno ludzie pośledniego stanu, jak i bogaci chłopcy. Choć postępowanie prawne przeciw mordercom Erlenda sprowadziło moc nieszczęść na krewnych wielu ludzi, tak że niektóre rody z rozmysłem unikały synów Erlenda, to jednak Gaute nie miał wrogów.

Pan Sigurd z Sundbu polubił serdecznie młodego krewniaka. Ten kuzyn, którego Krystyna poznała dopiero wówczas, kiedy los przywiódł go przed śmiertelne łożo Erlenda, okazał jej wtedy jak największą życzliwość. Pozostał aż do Bożego Narodzenia na Jörund i uczynił wszystko, co było w jego mocy, by pomóc wdowie i młodocianym sierotom. Synowie Erlenda okazywali mu wdzięczność w dworny i piękny sposób, Gaute zaś zżył się z nim bardzo i bywał odtąd często na Sundbu.

Po śmierci tego wnuka Ivara Gjeslinga dwór jego miał przejść w obce ręce; Sigurd nie miał bowiem dzieci, a najbliższymi jego krewnymi byli synowie Haftora. Pan Sigurd był człowiekiem w podeszłym już wieku i przez los ciężko doświadczonym, gdyż jego młoda żona podczas pierwszego porodu dostała pomieszania zmysłów. Obecnie od czterdziestu prawie lat żył z obłąkaną kobietą, ale wciąż jeszcze odwiedzał ją co dnia i dbał, aby jej na niczym nie zbywało. Mieszkała ona w jednym z najlepszych domostw na Sundbu i miała przy sobie stale kilka dziewczek, najętych jedynie do jej pilnowania. „Poznajesz mnie dzisiaj, Girydo?” – pytał mąż. Czasami nie odpowiadała wcale, czasami znowu mówiła: „Znam ciebie, tyś jest prorok Izajasz, który mieszka na Brotveit pod górą Brotveit”. Zawsze siedziała z wrzecionem w ręku; jeśli się czuła dobrze, przędła równą, cienką nić, jeśli jednak miała swój zły dzień, wikłała przędzę i rozrzucała po całej izbie wełnę wyczesaną przez dziewczki. Odkąd Gaute opowiedział o tym matce, przyjmowała zawsze pana Sigurda z serdeczną przychylnością. Ale za nic nie chciała jechać na Sundbu, nie była tam od czasu swego narzeczeństwa.

Gaute był nieco niższy od innych synów Krystyny. Przy wysokiej matce i rosnących braciach wydawał się prawie niski, ale właściwie był więcej niż średniego wzrostu. W ogóle Gaute zmężniał i pod każdym względem rozwijał się coraz bardziej, odkąd obaj starsi bracia oraz bliźniacy opuścili dwór; w ich towarzystwie zachowywał się zwykle bardzo cicho. Mieszkańcy doliny uważali go za niezwykle urodziwego, w istocie twarz miał piękną. Swymi płowymi niby len włosami i szarymi, dużymi oczyma, leżącymi pod sklepionym czołem, pociągłą, niezbyt pełną twarzą, czerstwą cerą i łagodnie wykrojonymi ustami przypominał bardzo swego dziada Lavransa. Głowa była pięknie osadzona na karku, a w rękach, nieco dużych, lecz foremnych, posiadał ogromną wprost siłę. Natomiast dolna część ciała była krępa i przykrótka, nogi pałkowate. Dlatego Gaute jedynie do roboty wdziewał krótką bluzę, najchętniej zaś nosił długie szaty, mimo że tego właśnie roku uchodziło wśród mężczyzn za wytworne i dworne noszenie szat nieco krótszych niż zazwyczaj. Modłę tę przejęli chłopcy od dostojnych panów przejeżdżających przez dolinę. Kiedy jednak Gaute syn Erlenda szedł do kościoła albo na biesiadę

w odświętnej, długiej po kostki szacie, ze srebrnym pasem na szczupłych biodrach, w narzuconym na barki pysznym, podbitym futrem okryciu, wszyscy ślali młodemu gospodarzowi na Jörund radosne, życziwe spojrzenia. W rękę dźwiżył Gaute zawsze wspaniały, wybijany srebrem topór o długim stylisku, należący niegdyś do Lavransa, a odziedziczony przezeń po jego teściu, Ivarze Gjeslingu, i ludziom podobało się nadzwyczaj, że Gaute mimo swej młodości kroczy śladami przodków i zarówno w ubiorze, jak i w sposobie życia trzyma się starych, dobrych, chłopskich zwyczajów.

Na koniu zaś był Gaute najpiękniejszym mężem, jakiego można sobie wyobrazić. Był jeźdźcem niezwykle zuchwałym; ludzie w dolinie chełpili się tym, że w całej Norwegii nie ma rumaka, którego by Gaute nie zdołał okiełznać i ujeździć. Zeszłego roku podczas pobytu w Björgvinie miał pono poskromić młodego ogiera, którego do tej pory nikomu nie udało się dosiąść; pod ręką Gautego zwierzę stało się takie powolne, że mógł jeździć na oklep i kierować nim wstęgą młodej dziewczyny. Kiedy jednak Krystyna wypytywała go o tę historię, zaśmiał się tylko i nie chciał nic powiedzieć.

Krystyna wiedziała, że Gaute jest lekkomyślny w obcowaniu z kobietami. Nie bardzo jej się to podobało, ale uważała, że kobiety nie są tu bez winy, stanowczo zbyt uprzejmie odnosiły się do nadobnego młodziana. Gaute zaś był z natury otwarty i swobodny. Pewnie, przeważnie były to tylko zabawy i błażostki, nie brał on tych rzeczy zbyt poważnie i nie ukrywał niczego przed matką jak Naakkve. Sam przyszedł do niej i przyznał się, że ma dziecko z pewną młodą dziewczyną na Sundbu, było to dwa lata temu. Od pana Sigurda dowiedziała się Krystyna, że Gaute hojnie wyposażył matkę dziecka, odpowiednio do jej rodu; dziecko chciał wziąć do siebie, skoro odwyknie od piersi. Zdawał się serdecznie kochać tę małą córeczkę, odwiedzał ją, ilekroć bawił w Vaagaa; jest prześlicznym dzieckiem, opowiadał z dumą i kazał ją ochrzcić imieniem Magnhildy. Również Krystyna była zdania, że skoro już zawinił, to najlepiej zrobi, jeśli weźmie dziecko do siebie i będzie dlań wiernym ojcem. Cieszyła się nawet, że będzie miała przy sobie małą Magnhildę. Ale dziecko zmarło nagle w wieku dwu lat. Gaute martwił się szczerze dowiedziawszy się o tym, i Krystynę bolało, że nigdy nie ujrzy swej małej wnuczki.

Krystynie zawsze trudno było karać Gautego. W najwcześniejszej młodości był bardzo chorowity i wskutek tego dłużej trzymał się matczynej kiecki niż inni synowie. Poza tym zaś przypominał bardzo jej ojca. W chłopięcym wieku był nadzwyczaj miły i serdeczny; poważnie, niby dorosły człowiek chodził obok niej i wyświadczał jej niejedną przysługę mniemając w swej dziecięcej naiwności, że jest ona niesłychanie ważna dla matki. Nie, nie mogła być nigdy surowa wobec niego, a jeśli z bezmyślności lub pustoty zrobił coś złego, to i wtedy wystarczyło parę łagodnych karcących słów, bo chłopaczek był mądry i rozgarnięty.

Kiedy Gaute miał dwa lata, radził jej ich kapelan na Husaby, znający się znakomicie na chorobach dziecięcych, dawać mu znowu pierś do ssania; wszystkie inne środki bowiem zawiodły. W tym czasie właśnie przyszli na świat bliźniacy; Frida karmiła Skulego, miała dużo więcej mleka niż niemowlę wypić mogło. Ale dziewczyna bała się chorego dziecka. Gaute wyglądał szkaradnie ze swą olbrzymią głową, słabym i zwiędłym ciałkiem; nie umiał mówić ani nie mógł ustać na nogach. Obawiała się, że jest on może podrzucony przez leśne duchy, chociaż dziecko było ładne i zdrowe do czasu swej choroby. Mimo to Frida nie chciała dawać chłopcu piersi, Krystyna więc musiała to robić sama i karmiła Gautego aż do czwartego roku życia.

Od tego czasu Frida nie cierpiała Gautego; zawsze szturchała go, ile razy śmiała to uczynić przez wzgląd na matkę. Frida siedziała zaraz obok gospodyni na ławie niewieściej, a pod nieobecność pani ona miała przy sobie klucze. Mówiła swym chlebowadcom swobodnie wszystko, co jej tylko ślina na język przyniosła. Krystyna odnosiła się jednak do niej z pobłażaniem i śmiała się z niej tylko, choć nieraz musiała się gniewać; zawsze jednak starała się naprawić i załagodzić wszystko, kiedy Frida coś zbroiła lub zachowała się zbyt zuchwale. Ciężko było teraz Fridzie patrzeć, jak Gaute siedzi na poczesnym miejscu i jest panem we dworze. Zachowywała się tak, jak gdyby uważała go jeszcze ciągle za nierozumnego chłopaka; pyszniła się jego braćmi, zwłaszcza Björgulfem i Skulem, których sama wykarmiła, i natrzasała się z Gautego z powodu jego niskiego wzrostu i krzywych nóg. Gaute przyjmował to do brodu.

– A jakże, pomyśl tylko, Frido, gdybym mógł ssać z twojej piersi, pewnie wyrósłbym też na olbrzyma jak moi bracia, ale musiałem zadowolić się piersią matki – uśmiechnął się serdecznie do Krystyny.

Wieczorami często przechadzała się matka z synem po polach. Gdzieniegdzie miedza wśród pól była tak wąska, że Krystyna musiała iść za Gautem. On zaś kroczył na przedzie z przysięgiem w dłoni, taki dorosły – matka mimo woli musiała się uśmiechać za jego plecami. Chwilami czuła swawolną, młodzieńczą ochotę, by podbiec do niego, przygarnąć go do siebie i żartować, i śmiać się z nim, jak to czyniła nieraz, kiedy był małym dzieckiem.

Niekiedy schodzili aż na brzeg, do miejsca, gdzie prano bieliznę, siadali i przysłuchiwali się pluskowi rzeki; płynęła w zmierzchu jasna i bystra. Przeważnie mało mówili do siebie. Ale czasem zdarzało się, że Gaute wypytywał matkę o stare historie z doliny i o jej własny ród. Krystyna opowiadała wszystko, co sama słyszała w młodości. O ojcu i latach przeżytych na Husaby nie wspominali nigdy.

– Czas na was, matko, pewnie zmarzliście już – mówił Gaute. – Chłodny dziś wieczór.

– Ach tak, i ścierpłam cała z tego siedzenia na kamieniu – Krystyna podnosiła się również. – Zaczynam się starzeć, mój Gaute!

Gdy szli pod górę, opierała rękę na jego ramieniu.

Lavrans spał snem kamiennym w swym łożu. Krystyna zapalała małą tranową lampkę; miała zwykle ochotę posiedzieć jeszcze trochę i pograć się w myślach. Nadto czekała ją zawsze jakaś robota. W izbie nad nią hałasował Gaute. Po chwili słyszała, że się kładzie. Matka prostowała się na moment i uśmiechała cichutko do płomyka lampy. Jej wargi poruszały się lekko, dłonią kreśliła znak krzyża. Po czym znowu chyliła się nad robotą.

Björn, stare psisko, wstawał, otrząsał się, wyciągał przednie łapy i ziewał. Potem włókł się przez izbę do swej pani. Zaledwie go pogłaskała, kładł łapy na jej kolanach, a kiedy doń przemówiła, lizał jej ręce i twarz merdając ogonem. Po czym znowu odchodził, odwracał łeb i zerkał z ukosa na Krystynę; złe sumienie wyzierało z maleńkich oczu, z nastroszonych kudłów aż po ostatni włoszek na ogonie. Krystyna uśmiechała się spokojnie i udawała, że nie widzi, wtedy psisko wskakiwało do jej łoża i związało się w kłębek.

Wnet potem gasiła Krystyna lampę, skręcała między palcami żarzący się knot i wrzucała go do tranu. Na dworze poza małymi oknami zmierzchało światło letniej nocy. Krystyna odmawiała ostatni pacierz, rozbierała się cicho i wsuwała do łoża. Układała sobie wygodnie poduszki pod głowę i szyją, a pies tulił się do jej pleców. W chwilę potem zasypiała.

Biskup Halvard ustanowił sirę Daga swym mężem zaufania w dolinie; Gaute odkupił od niego dziesięcinę biskupią na trzy lata z góry, skupował również skóry i żywność w dolinie, posyłał te towary zimą na saniach do Raumdal, z wiosną zaś statkiem do Björgvinu. Krystyna niezbyt była rada z tych poczynań Gautego; ona sama sprzedawała zawsze w Hamarze, bo tak czynił jej ojciec oraz Szymon Darre. Gaute jednak zawarł umowę handlową ze swym szwagrem, Gerlakiem Pausem, ten zaś był obrotnym kupcem, a nadto był blisko spokrewniony z najbogatszymi kupcami niemieckimi w Björgvinie.

Córka Erlenda, Małgorzata, przybyła latem po śmierci ojca z mężem na Jörund. Złożyli wtedy szczodre ofiary na kościół za spokój jego duszy. Swego czasu, kiedy Małgorzata jako młode dziewczę przebywała na Husaby, niezbyt przyjaźnie była usposobiona do macochy, niewiele też troszczyła się wtedy o swych przyrodnych braci. Obecnie liczyła lat trzydzieści, dzieci nie miała. Odnosiła się za to do swych dorosłych urodziwych braci z iście siostrzaną miłością; ona to doprowadziła do skutku zawarcie owej umowy między swym mężem a Gautem.

Małgorzata była wciąż jeszcze piękna, ale roztyła się tak strasznie, że Krystynę aż dziw brał. Nigdy jeszcze nie widziała tak tęgiej niewiasty. Lecz im była tęższa, tym więcej srebrnych płytek mieściło się w jej pasie, a prócz tego ogromna klamra, wielkości małej tarczy, błyszcząca między jej piersiami. Potężne swe ciało stroiła zawsze w najdrogocenniejsze suknie i złotogłowie niczym ołtarz w kościele. Gerlak zdawał się ponad wszelką miarę kochać żonę.

Poprzedniego roku bawił Gaute podczas wiosennego zjazdu u swej przyrodniej siostry i szwagra w Björgvinie, na jesieni zaś wybrał się z wielkim stadem koni przez góry i sprzedał je tam korzystnie. Ta

wyprawa opłaciła się tak sownie, iż Gaute poprzysiął tej jesieni przedsięwziąć ją znowu. Krystyna osądziła, że najlepiej pozostawić mu w tej rzeczy wolną rękę. Prawdopodobnie tkwiło też w nim coś z włóczęgowskiej żyłki ojca – jeszcze się na czas ustatkuje, gdy będzie starszy. Tak więc, skoro matka spostrzegła, że Gaute robi przygotowania do podróży, przynaglała go sama do pośpiechu; w zeszłym bowiem roku musiał wracać przez góry w czasie najcięższej zimy.

Zaraz przeto po świętym Bartłomieju, pewnego słonecznego poranka, Gaute wybrał się w drogę. Była to pora wielkiego uboju kozłów i cały dwór pachniał gotowaną koźliną. Ludzie byli syci i zadowoleni; latem nie dostawali prawie nigdy świeżego mięsa, chyba w największe święta, teraz jednak dzień po dniu podawano im przy każdym posiłku smaczne mięsiwo i tłustą, pożywną zupę. Krystyna wyczerpana, ale w dobrym humorze po tym uboju i robieniu kiełbas, stała na gościńcu i zegnała Gautego powiewając chustką. Piękny to był widok: owe wspaniałe konie, owi dziarscy młodzieńcy, ich błyszcząca broń i brzęcząca uprząż; głośno grzmiał pod kopytami drewniany most. Gaute odwrócił się w siodle i kłaniał się matce kapeluszem, a Krystyna powiewała doń chustką; na jej wargi wybiegł radosny, lekki okrzyk zachwytu i dumy.

W połowie października nastała w dolinie plucha i błoto, w górach zaś spadły śniegi. Krystyna była zaniepokojona o Gautego, bo dotąd nie było go widać. W każdym razie nigdy nie obawiała się o niego tak jak dawniej o inne swe dzieci, wierzyła w szczęście tego syna.

W jakiś tydzień później wyszła Krystyna wieczorem z obory; nagle zobaczyła paru jeźdźców u wrót dziedzińca. Mgła białym dymem kłębiła się przed jej latarnią; mimo deszczu poszła w stronę ciemnej gromady okutanych w futra mężczyzn. Może to Gaute powrócił? Tak późną porą gość chyba żaden nie zawitał na dwór. Niespodziewanie poznała w jadącym na czele mężu pana Sigurda ze Sundbu; nieco ociężałe i sztywno, jak zwykle ludzie starsi, zsiadał z konia.

– Przynoszę ci wieść od Gautego, Krystyno – rzekł po powitaniu. – Przybył on wczoraj na Sundbu.

Było już tak ciemno, że nie widziała wyrazu jego twarzy. Ale głos rycerza był dziwnie zmieniony. A kiedy szli w stronę domu, kazał swym pachołkom udać się wraz ze stajennym Krystyny do izby czeladnej. Przeraziła się, ponieważ nic więcej nie mówił, mimo to, kiedy znaleźli się sami w izbie, zapytała bardzo spokojnie:

– Co to za wieści przynosisz, krewniaku? Czy mój syn chory, że nie przybył z tobą?

– Nie, Gaute jest zdrow jak ryba. Ale jego towarzystwo było zmęczone.

Zdmuchnął pianę z piwa, które mu Krystyna podała, wypił i pochwalił napój.

– Dobry trunek należy się temu, kto dobrą zwiastuje nowinę – powiedziała gospodyni z uśmiechem.

– Owszem, pytanie tylko, co powiesz, kiedy do końca wysłuchasz nowiny – odparł niepewnym tonem. – Twój syn nie przyjechał sam.

Krystyna stała wyczekująco.

– Przybyła z nim... tak... córka Helgego z Hovland. On... tę dziewczynę porwał.

Krystyna wciąż jeszcze milczała. Usiadła tylko na ławie naprzeciw pana Sigurda. Usta jej były wąskie i zaciśnięte.

– Gaute prosił mnie, bym tu jechał. Obawiał się, że to wszystko nie bardzo ci przypadnie do smaku. Prosił mnie, bym ci o tym doniósł... i uczyniłem to – dokończył słabo pan Sigurd.

– Powiedz wszystko, co wiesz o tej sprawie, Sigurdzie – prosiła spokojnie Krystyna.

Tedy pan Sigurd jął mówić; w niejasnych, poplątanych słowach opowiadał, co mu było wiadome. On sam był również przerażony postępkiem Gautego. Lecz z tego, co mówił, wniosła Krystyna, że Gaute spotkał się z dziewczyną już poprzedniego roku w Björgvinie. Zwała się ona Jofrida, nie, nie, nie była zmówiona z innym. Gaute wymiarkował jednak od razu, że daremne byłoby starać się u krewnych dziewczęcia o jej rękę; Helge na Hovland był niezmiernie bogaty, wywodził się z rodu noszącego miano Duk, a większa część jego posiadłości leżała w Voss. Chyba sam czart przywiódł młodych na pokuszenie. Pan Sigurd otrząsał się i drapał po głowie, jakby go wszy gryzły.

Tak, a potem w lecie, kiedy Krystyna sądziła, że Gaute przebywa na Sundbu i wraz z Sigurdem poluje na halach na niedźwiedzie, on udał się przez góry na Sogn; Jofrida bawiła tam wtedy u swej zameżnej siostry. Helge ma trzy córki i ani jednego syna. Sigurd wzdychał w niepomiernym strapieniu – tak jest, obiecał Gautemu przemilczeć to. Wiedział wprawdzie, że młodzieniec odwiedzał tam dziewczynę, ale że Gaute mógł nawet pomyśleć o czymś tak nierozsądnym, to mu się nawet przyśnić nie mogło.

– Tę sprawę mój syn pewnie drogo będzie musiał okupić.

Oblicze Krystyny było spokojne i nieporuszone.

Sigurd tłumaczył, że przecie teraz zima sroży się w całej pełni i drogi są nie do przebycia. A jeśli ludzie z Hovland będą mieli czas do namysłu, to może dojdą do przekonania, że najlepiej będzie, aby Gaute dostał Jofridę za zezwoleniem jej krewnych, ponieważ i tak należała już do niego.

– A jeśli nie będą tego zdania, tylko będą żądali zemsty za porwanie kobiety?

Pan Sigurd kręcił się niespokojnie i drapał coraz gwałtowniej.

– Tak, tu nie może być mowy o zadośćuczynieniu na drodze prawnej – rzekł cicho. – Niezbyt dokładnie znam się na tych rzeczach.

Krystyna milczała. Wtedy pan Sigurd przemówił znów błagalnym głosem:

– Gaute oczekuje, że przyjmiesz ich życzliwie. Powiada, że nie jesteś jeszcze tak starą kobietą, byś mogła zapomnieć... Tak jest, sądzi, żeś i ty również dostała tego męża, któregoś sama chciała, pojmujesz?

Krystyna skinęła głową.

– Jofrida jest najpiękniejszym dziewczęciem, jakie kiedykolwiek widziałem, Krystyno – rzekł ciepło Sigurd; oczy mu zwilgły: – Żle jest, że diabeł skusił Gautego do tej zbrodni, ale ty przyjmiesz chyba życzliwie to biedne dziecko?

Krystyna znowu skinęła.

Dolina leżała rozmokła, posepna i czarna w strugach deszczu, kiedy Gaute w porze niesporów wjechał na dziedziniec.

Krystyna czuła, że lodowaty pot perli się jej na czole, gdy pochyłona wyszła przed drzwi domu; Gaute stał na podwórzu i pomagał zsiąść z konia kobiecie w czarnym okryciu. Była ona niskiego wzrostu, sięgała mu zaledwie do ramienia. Gaute chciał jej podać rękę i poprowadzić ją, ale odsunęła go i poszła sama w stronę Krystyny. Gautemu było nagle bardzo pilno do przywitania się z czeladzią i wydania rozkazów przybyłym z nim pacholkom; dopiero po chwili rzucił okiem w stronę obu kobiet i ujrzał, że Krystyna trzyma obcą dziewczynę za rękę; z radosnym okrzykiem rzucił się ku nim. W przedśionku przystąpił doń pan Sigurd, poklepał go po ojcowsku w plecy i objął ramieniem postępując z wielkiego wzruszenia.

Krystyna była zaskoczona ujrawszy białą, miłą twarz dziewczęcia podnoszącą się ku niej spod ociekającej wodą kapuzy. Takie to było młodziutkie i tak dziecięco małe. Nagle odezwała się obca:

– Nie oczekuję bynajmniej serdecznego powitania od was, matko Gautego, lecz teraz wszystkie drzwi są przede mną zawarte prócz waszych. Jeśli mnie przeto zechcecie ścierpieć na waszym dworze, pani, to nie zapomnę nigdy, że przybyłam tutaj bez czci i bez mienia, ale ze szczerą wolą służenia wam oraz Gautemu, memu panu.

Krystyna ujęła obie ręce dziewczęcia, zanim jeszcze dobrze pojęła, co czyni.

– Niechaj Bóg wybaczy mojemu synowi, że tak zgrzeszył wobec ciebie, moje lube dziecię. Wejdz do izby, Jofrido. Oby wam Bóg tak dopomógł, jak serdecznie ja chcę ci dopomóc!

Potem jednak wydawało jej się, że zbyt czule przyjęła tę obcą kobietę. Jofrida zdjęła oponczę. Jej ciężka, zimowa szata z samodziałowej błękitnej fryzy była u dołu przemoczona, a i na ramionach zwilgła pod okryciem. Unosiła się nad tą dziewczyną jakaś łagodna, zatroskana godność; głowę trzymała wdzięcznie pochyłą, dwa grube, czarne niby smoła warkocze sięgały jej aż do pasa. Z tkliwością wzięła ją Krystyna za rękę i zaprowadziła do najcieplejszego miejsca na ławie koło pieca.

– Pewnie przemarzałaś?

Gaute zbliżył się i mocno uścisnął matkę.

– Matko, niech już będzie, co chce, ale powiedzcie, czyście widzieli kiedy tak piękną dziewczynę jak moja Jofrida? Muszę ją posiadać,

pomyślałem, choćby to miało nie wiem ile kosztować – a wy, droga matko, będziecie dobra dla niej.

W istocie miła była Jofrida córka Helgego i Krystyna musiała raz po raz spoglądać na nią. Była co prawda niskiego wzrostu, szeroka w barkach i biodrach, ale o okrągłych kształtach. Płeć jej była tak delikatna i jasna, aż błyszczała białością, z przyjemnością patrzyło się na nią. Twarz była dość krótka i szeroka, lecz silny, wyrazisty łuk policzków i brody czynił ją ładną; usta miała wielkie i jasnoczerwone, wargi wąskie, a ząbki małeńkie, równiutkie niczym mleczne ząbki dziecka. Kiedy zaś podniosła ciężkie powieki, jej niewielkie, szarzielone oczy w cieniu długich rzęs promieniowały jak gwiazdy. Czarne włosy, jasne oczy: to było zawsze najpiękniejsze dla Krystyny, odkąd ujrzała Erlenda, to mieli również niemal wszyscy jej urodziwi synowie.

Krystyna poprowadziła Jofridę do stołu i usadowiła na niewieściej ławie po swej prawej stronie. Onieśmielona i zmieszana siedziała Jofrida pośród tych obcych ludzi, jadła niewiele, a gorący rumieniec oblewał jej lica, ilekroć Gaute pił do niej.

Gaute płonął wprost z dumy i niespokojnego szczęścia na swym poczesnym miejscu. Dla uczczenia jego powrotu nakryła Krystyna stół białym obrusem i postawiła na nim dwie zapalone świece w mosiężnych, połączanych świecznikach. Gaute i pan Sigurd przepijali wciąż do siebie; stary był coraz bardziej wzruszony, obejmował kuzyna i przyrzekał mu wstawić się za nim u swych możnych krewnych, ba, nawet u samego króla Magnusa – już on to bierze na siebie, że Gaute pojedna się z obrażonym ojcem Jofridy. Sigurd Eldjarn w istocie nie miał wrogów, a jedynie kłótniwa natura jego ojca oraz owo nieszczęście z żoną spowodowały, że żył tak samotnie.

W końcu zerwał się Gaute z miejsca i podniósł róg w górę. „Jakież on piękny – pomyślała Krystyna w duchu – jaki podobny do mojego ojca”. Taki sam był Lavrans, gdy sobie nieco podchmielił, promieniejący uciechą, żywy i serdeczny.

– Tak oto złożyło się dla mnie i tej kobiety, Jofridy córki Helgego, że święcimy dzisiaj nasz powrót do ojczyzstego domu, wesele zaś musimy odprawić później, jeśli Bóg użyczy nam tego szczęścia. Tobie, Sigurdzie, dzięki za twą wierność i miłość krewniaczą, a wam,

matko, za to, żeście nas tak przyjęli, jak spodziewałem się po waszym czułym sercu matczynym. Ileż to razy my, bracia, mówiliśmy między sobą, że jesteście najwspaniałomyślniejszą kobietą i najłaskawszą matką. Przeto proszę was, byście nam wyświadczyli ten zaszczyt i przystroili naszą ślubną łożnicę tak uroczyście i pięknie, bym bez wstydu mógł zaofiarować Jofridzie spanie tam ze mną; proszę was także, byście poprowadzili Jofridę na górę do łoża, aby odbyło się to możliwie godnie; ponieważ matka jej już nie żyje, a innych kobiet z nią spokrewnionych tu nie ma.

Pan Sigurd podpił już sobie dobrze, toteż przy tych słowach wybuchnął grzmiącym śmiechem.

– Wszak i u mnie spaliście już razem i nie wiedziałem na pewno, ale sądziłem, że i pierwaj spaliście w j e d n y m łożu.

Swawolnie potrząsnął Gaute swą złocistą grzywą.

– Owszem, krewniaku, ale ta noc jest pierwsza, którą, jeśli Bóg pozwoli, Jofrida prześpi w moich ramionach na swym własnym dworze. Was jednak, dobrzy ludzie, proszę, byście pili i weselili się dzisiejszego wieczora. Teraz znacie już tę, która będzie moją panią tu na Jörund, ona albo żadna, klnę się na Boga, na moją chrześcijańską wiarę. Mam nadzieję, iż wszyscy, zarówno mężowie, jak kobiety, będziecie ją szanować, a po was, moja drużyno, oczekuję, że mi pomożecie bronić jej i zatrzymać ją, jak na was przystało.

Pośród wrzawy i głośnych okrzyków, które podniosły się po mowie Gautego, Krystyna wstała cicho od stołu i szeptem poprosiła Ingridę, aby poszła z nią na poddasze.

Okazała, odświętna komnata Lavransa syna Björgulfa niszczała była przez te lata, kiedy gospodarzyli w niej synowie Erlenda. Krystyna pozostawiła tu dla nieostrożnych chłopców jedynie najniezbędniejsze sprzęty i pościel, i rzadko tylko kazała czyścić izbę, gdyż szkoda było zachodu. Zaledwie posprzątało, już znowu Gaute i jego przyjaciele wnosili błoto i brud. Unosił się też tutaj uporczywy zaduch ludzi, którzy, nie rozebrani, tak jak stali, rzucali się na posłanie, spoceni i brudni po ciężkiej pracy w lesie lub na pastwisku, zapach stajni, skór i mokrych psów.

Teraz w największym pośpiechu zamiotła Krystyna wraz z dziewczką izbę i oczyściła ją, jak się tylko dało. Przyniosła czyste obleczenia,

nakrycia i poduszki, wykadziła starannie jałowcem, na małym stole zaś obok łoża postawiła w srebrnym kubku resztkę wina, jaką miała w domu, biały chleb i woskową świecę w żelaznym świeczniku. Słowem, oporządziła izbę tak pięknie, jak tylko mogła w krótkim czasie.

Na belkowaniu, oddzielającym komorę od izby, wisiała rozmaita broń: ciężki dwuręczny miecz Erlenda oraz mały miecz, który zwykł był nosić na co dzień, ciesielskie siekiery, również topory Björgulfa i Naakkvego wisiały tu jeszcze. Dalej dwie małe siekierki, których jej synowie rzadko używali twierdząc, iż są za lekkie, ojciec Krystyny ciosał jednak nimi i strugał przeróżne przedmioty z drzewa, i to z taką pewnością i wprawą, że noża i dłuta używał jedynie do ostatecznego wygładzenia nierówności. Krystyna zaniosiła siekiery do przyległej komory i włożyła do skrzyni, gdzie przechowywała już skrwawioną koszulę Erlenda i topór, który dzierżył w dłoni, kiedy go powalił śmiertelny cios.

Ze śmiechem polecił Gaute Lavransowi, aby poświęcił jego oblubienicy na schodach. Chłopak był dumny i zmieszany zarazem. Rozumiał dobrze, że to nieprawe wesele brata jest niebezpieczną grą, ale był swawolny i wesół z powodu tego osobliwego zdarzenia; błyszczącymi oczyma patrzył na Gautego i jego piękną żonę.

Na schodach światło zgasło. Jofrida zwróciła się do Krystyny:

– Gaute nie powinien był was prosić o tę przysługę nawet po pijanemu. Nie idźcież dalej ze mną, pani. Nie bójcie się, nie zapomnę, że jestem tylko uwiedzioną kobietą, usuniętą ze wspólnoty krewnych.

– Nie jestem wcale za dobra na to, by ci służyć – odparła Krystyna – dopóki mój syn nie odpokutuje krzywdy tobie wyrządzonej i dopóki nie będziesz mogła zgodnie z prawem zwać mnie swoją świekrą. Usiądź, to rozczeszę ci włosy. Niebawem piękne są twoje włosy, dziecko.

Ale potem, kiedy czeladź udała się na spoczynek i Krystyna leżała w łożu, poczuła znowu dziwny niepokój: właściwie powiedziała tej Jofridzie więcej, niż powinna była. Ale dziewczyna była taka młoda i tak wyraźnie dawała do poznania, że nie żąda, by ją brano za lepszą, niż jest... Dziecko nieomal, które podeptało cześć i posłuszeństwo.

Tak to więc wygląda, kiedy weselną podróż i powrót do rodziciel-

skiego domu odbywa się przed ślubem. Krystyna westchnęła; niegdyś i ona sama gotowa była nawet i to uczynić dla Erlenda, ale wąpiła, czy odważyłaby się na ten krok, gdyby jego matka żyła na Husaby. Nie, nie chciała temu dziecku jeszcze bardziej utrudniać wszystkiego.

Pan Sigurd zataczał się wciąż jeszcze po izbie, miał on spać razem z Lavransem. Z serdecznym wzruszeniem i życzliwością rozprawiał o dwojgu młodych; nie zaniedba niczego, aby im pomóc w tej ryzykownej grze.

Nazajutrz pokazała Jofrida matce Gautego wszystko, co przywiozła z domu: dwa skórzane toboły z odzieżą tudzież małą szkatułkę wyrzeźbioną z kła morskiego konia, w której miała klejnoty. Jakby odgadując myśli Krystyny oświadczyła natychmiast, że wszystko to jest jej własnością: rzeczy te odziedziczyła lub otrzymała w upominku, przeważnie od matki; ojcu nic nie zabrała.

Krystyna siedziała zadumana z podbródkiem wspartym na ręku. Myśli jej biegły ku owej nocy przed nieskończone dalekimi laty, kiedy to ona sama kładła do szkatułki swoje klejnoty, aby ująć z domu; niemal wszystko były to podarunki jej rodziców, których potajemnie oszukiwała.

Lecz jeśli to była własność Jofridy i jej dziedzictwo po matce w samych tylko klejnotach, w takim razie pochodziła ona z ogromnie bogatego domu, Krystyna oceniała rzeczy pokazane jej przez Jofridę na przeszło trzydzieści marek w wypalonym srebrze; już sama szkarłatna szata z białym futrem i srebrzystymi różami oraz uzupełniająca ten strój podszyta jedwabiem kapuza warte były co najmniej dziesięć do dwunastu marek. Jeśli ojciec dziewczęcia zechce się pogodzić z Gautem, będzie to pięknie i godnie z jego strony, ale w żadnym wypadku nie można uważać Gautego za odpowiedniego małżonka dla tej kobiety! A jeśli Helge zechce przycisnąć Gautego twardo do muru, jak ma po temu moc i prawo, wtedy sprawa będzie się źle przedstawiać.

– Ten pierścień – rzekła Jofrida – nosiła zawsze moja nieboszczka matka; jeśli go przyjmiecie ode mnie, pani, to będę wiedzieć, że nie osądzacie mnie tak surowo, jak by oczekiwać należało po szlachetnej kobiecie z zacnego rodu.

– Teraz muszę się starać zastąpić ci matkę – odparła Krystyna z uśmiechem wsuwając pierścień na palec. Była to mała srebrna obrączka ze ślicznym, białym agatem i Krystyna widziała, że Jofrida uważała ją za bardzo cenną rzecz, ponieważ była to pamiątka po jej matce. – I ja też pragnę odwzajemnić się tobie podarunkiem. – Przyniosła swoją szkatułkę i wydobyła złoty pierścionek z szafirami.

– Ten pierścień ofiarował mi mój mąż, kiedy wydałam na świat Gautego.

Jofrida przyjęła go i ucałowała Krystynę w rękę. – Ale po prawdzie, to zamierzałam prosić was o inny podarunek, matko – uśmiechnęła się wdzięcznie. – Nie obawiajcie się, iż Gaute przywiózł do waszego domu leniwą i niezdarną kobietę. Nie mam jednak żadnej sukni roboczej. Dajcie mi jakąś starą, znoszoną już przez was i pozwólcie mi pomagać **wam**. Może wtedy polubicie mnie bardziej, niż teraz śmiem oczekiwać.

Potem musiała Krystyna pokazać młodej kobiecie swoje własne skrzynie, a że Jofrida wychwalała piękne roboty Krystyny, podarowała jej niejedno: między innymi dwa płócienne prześcieradła z jedwabnymi koronkami, niebiesko obrzeżony ręcznik, kawał ładnej tkaniny i długi dywan ścienny przedstawiający polowanie z sokołami. – Moim życzeniem jest, aby te rzeczy pozostały tutaj we dworze, a z pomocą Boską i Najświętszej Panny dwór ten kiedyś będzie należał do ciebie. – Potem udały się do spichlerzy i spędziły w ten sposób wiele miłych godzin razem.

Krystyna chciała dać Jofridzie swoją fryzową suknię z wyhaftowanymi czarnymi węzełkami, ale Jofrida była zdania, że jest ona zbyt dobra do roboty. „Biedactwo, pewnie chce się przypochlebić świętym” – pomyślała Krystyna skrywając uśmiech. Wreszcie wyszukały stary brązowy kitel i Jofrida osądziła, że ten będzie w sam raz, o ile obetnie się go dołem, a wstawi łąty pod pachami i na łokciach. Zaraz też pożyczyla sobie nożyce i igły i zabrała się do szycia. Przeto i Krystyna wzięła robotę do ręki i tak siedziały, póki Gaute i pan Sigurd nie wrócili do domu na wieczerzę.

Krystyna przyznawała chętnie, że Jofrida nie jest leniuchem i że ma ręce zwinne i zgrabne. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, Gaute miał szczęście, dostanie bowiem żonę równie pilną i chętną do pracy, jak ładną i bogatą. Matka sama nie potrafiłaby znaleźć dlań dzielniejszej gospodyni na swoją następczynię na Jörund, choćby nawet szukała w całej Norwegii. Pewnego razu oświadczyła – w jaki sposób te słowa jej się wymknęły, sama nie pojmowała – że w dniu, w którym Jofrida zostanie prawowitą małżonką Gautego, odda jej klucze domu, a sama z Lavransem przeniesie się do starej izby.

Potem pomyślała wprawdzie, że trzeba sobie było tę sprawę lepiej rozważyć. Już nieraz zbyt była pochopna, kiedy mówiła z Jofridą.

Zaraz jednak po przybyciu Jofridy zauważyła Krystyna, że nie jest ona już sama. I jak żywe stanęło przed nią wspomnienie pierwszej zimy przeżytej na Husaby; była zamężna, jej mąż i ojciec związani byli pokrewieństwem, bez względu na to, jak ukształtuje się ich przyjaźń, skoro grzech wyjdzie na jaw. Mimo to cierpiała ciężko z powodu wstydu i skręchy i czuła w sercu gorycz do Erlenda – a przecież miała wówczas pełnych dziewiętnaście lat, Jofrida zaś skończyła zaledwie siedemnaście. A jednak chodziła tutaj, z dala od domu ojczystego, pośród obcych, uwiedziona i pozbawiona praw, z dziecięciami Gautego pod sercem. Krystyna musiała przyznać w duchu, że Jofrida jest dużo odważniejsza i hartowniejsza, niż była ona.

Ale Jofrida nie pogwałciła klasztorного pokoju, nie złamała umowy i ślubów, nie kłamała i nie zdradzała, i nie odarła rodziców ze czci. Jakkolwiek tych dwoje młodych zuchwale postąpiło wobec obowiązujących w kraju praw, jakkolwiek działali wbrew posłuszeństwu i obyczajności, to jednak ich sumienie nie było obarczone tak jak jej własne. Krystyna modliła się gorąco, by Gautemu jego szaleństwo wyszło na dobre, i pocieszała się Boską sprawiedliwością, dzięki której nie powinien przypaść Gautemu i Jofridzie cięższy los aniżeli jej i Erlendowi. A przecież oni pobrali się w końcu, jej dziecko poczęte w grzechu przyszło na świat jako uprawniony dziedzic wszystkich swych krewnych.

Ponieważ ani Gaute, ani Jofrida nie wspominali o niczym, przeto

Krystyna milczała, choć nieraz pragnęła pomówić z młodą, niedoświadczoną kobietą. Jofrida powinna była teraz szanować się i wypooczywać rano zamiast wstawać najpierwsza z wszystkich we dworze. Krystyna spostrzegła, że dumą Jofridy było wstać jeszcze przed świekłą i ubiec ją w robocie. Lecz natura dziewczyny nie była tego rodzaju, by Krystyna mogła jej ofiarować swą pomoc i okazać współczucie. Tylko potajemnie zatem starała się oszczędzać jej najcięższej roboty, i czy to w cztery oczy, czy między czeladzią, odnosić się do niej w ten sposób, jak gdyby Jofrida była już istotnie młodą gospodynią we dworze.

Frida była wściekła, ponieważ musiała ustąpić swego miejsca obok pani domu tej... Gautego. Pewnego dnia, kiedy znajdowała się sama z Krystyną w kuchni, plugawym tym wyrazem przezwiała Jofridę. Wtedy Krystyną po raz pierwszy trzepnęła dziewczkę w twarz.

– Pięknie wyglądają takie słowa w twej gębie, ty stara, zatracona suko!

Frida ocierała krew płynącą z nosa i ust.

– Wy, córki bogaczy, powinnyście być lepsze aniżeli dzieci chałupników! Wiecie na pewno, że czeka was ślubna łożnica i jedwabne poduchy. Jesteście łase na mężczyzn i bezsromne, jeśli nie czekacie, tylko gziecie się po lasach z rycerzami i wracacie do domu z bękartami w brzuchu. Tfu!

– Milcz teraz, wyjdź i umyj się, bo krew spływa do ciasta – rzekła gospodyni spokojnie.

W drzwiach kuchni natknęła się dziewczka na Jofridę. Krystyna dostrzegła po tej ostatniej, iż słyszała wszystko.

– Głupie to, powiedziało, co wiedziało. Nie mogę jej jednak wypędzić z dworu, nie ma żadnego przytułku, dokąd by się udać mogła. – Jofrida uśmiechnęła się z przekąsem, zatem Krystyna dodała:

– Wykarmiła moich dwóch synów.

– Gautego nie karmiła – odparła Jofrida. – O tym przypomina wciąż, ile razy może, mnie i jemu. Czy nie możecie wydać jej za męż? – spytała ostro.

Krystyna roześmiała się mimo woli.

– Sądysz, że nie zadałam sobie już sporo trudu? Ale zawsze

kończyło się na jednej rozmowie pomiędzy nią i chłopcem, który miał być jej narzeczoną.

Krystyna zastanawiała się, czy teraz nie należy skorzystać ze sposobności i pomówić z Jofridą, dać jej do poznania, że u niej spotka się jedynie z macierzyńską wyrozumiałością; lecz Jofrida wyglądała gniewnie i odpychająco.

Tymczasem widać już było po niej, że jest brzemienna. Pewnego dnia miała drzeć pierze do nowych poduszek. Krystyna poradziła jej, by obwiązała sobie włosy chustką dla ochrony przed puchem. Jofrida uczyniła tak.

– Lepiej mi zresztą z tym do twarzy niż z odkrytymi włosami – rzekła ze śmiechem.

– Być może – odparła Krystyna krótko. Nie rozumiała, że Jofrida może stroić żarty z podobnych rzeczy.

W kilka dni potem weszła Krystyna do kuchni i zobaczyła, że Jofrida patroszy ubite cietrzewie, ramiona jej były splamione krwią. Z przerażeniem wyrwała jej Krystyna ptaki z rąk.

– Ależ, dziecko, t e r a z nie wolno ci dotykać krwi, czyż nawet tego nie wiesz!

– Ach, czy wierzycie, że wszystko, co baby plotą, jest prawdą?

Wówczas opowiedziała jej Krystyna o ognistym znamieniu na piersi Naakkvego. Z rozmysłem dała Jofridzie do poznania, że nie była jeszcze zameżna, kiedy widziała płonącego kościół.

– Pewnie nie spodziewałaś się po mnie czegoś takiego? – spytała cicho.

– Owszem, Gaute wyjawiał mi wszystko. Wasz ojciec przyrzekł was Szymonowi synowi Andrzeja, wy jednak uciekliście z Erlendem z domu do jego ciotki, więc Lavrans musiał wreszcie dać swoje przyzwolenie.

– Nie, niezupełnie tak było. Nie uciekliśmy wcale z domu. Szymon zwolnił mnie natychmiast, skoro posłyszał, że Erlend miłszy mi jest od niego, i mój ojciec dał również zezwolenie, chociaż niechętnie. Rok cały byliśmy zaręczeni. Czy to widzi ci się gorsze? – spytała, gdy Jofrida zarumieniła się silnie i patrzyła na nią przerażona.

Dziewczę zeskrobało nożem nieco zeschniętej krwi z białego ramienia.

– Tak jest – rzekła cicho, lecz z naciskiem. – Dobrej sławy i czci nie narażałabym bez potrzeby. Nie, nie, nie powiem nic Gautemu – dodała szybko. – Sądzi on, że jego ojciec uwiódł was przemocą, ponieważ nie mógł was dostać prośbą ani błaganiem.

Ma słuszność – myślała Krystyna.

Z czasem, im dłużej łamała sobie głowę nad załatwieniem tej sprawy, tym godziwsze wydawało się jej, aby Gaute przesłał wiadomość Helgemu na Hovland, złożył sprawę w jego ręce i prosił go, by mu oddał Jofridę za żonę pod warunkami przez siebie samego ustanowionymi. Ilekroć jednak próbowała o tym mówić z Gautem, twarz jego przybierała zakłopotany wyraz i dawał jej wymijające odpowiedzi. W końcu zapytał matkę ze złością, czy jest możliwe teraz, najgłębszą zimą, posłać list przez góry? – Nie, lecz sira Dag mógłby z pewnością przesłać pismo do Neset, stamtąd zaś wybrzeżem dostaloby się dalej – odparła Krystyna. – Książa mają przecie zawsze sposobność przesyłania swych listów, nawet zimą. – Na to rzekł Gaute, że zbyt drogo by to kosztowało.

– A zatem kobieta, która tego roku urodzi ci dziecko, nie będzie twoją żoną – powiedziała matka z oburzeniem.

– Sprawa i tak nie mogłaby zostać do tego czasu załatwiona – odparł Gaute ze złością.

Im więcej czasu mijało, tym mocniej paląca, głucha trwoga owładnęła Krystyną. Nie mogła się dłużej łudzić: pierwsza płomienna radość Gautego z posiadania Jofridy znikła zupełnie; był teraz zawsze osowiały i w złym humorze. Od pierwszej chwili owo porwanie dziewczicy wyglądało jak najgorzej, lecz matka sądziła, że dużo gorzej będzie, jeśli teraz, po wszystkim, Gaute okaże się bojaźliwy. Pięknie i dobrze było, jeśli oboje żalowali swego grzechu; jednak pozory wskazywały na to, że Gaute raczej odczuwa strach przed człowiekiem, którego czci uwłaczył, aniżeli bogobojną skruchę. Gaute... o tym synu matka zawsze miała jak najlepsze mniemanie; nie mogło być prawdą, co szeptano o nim na ucho, że jest lekkomyślny i zmienny w stosunku do kobiet i że mu się już Jofrida sprykrzyła, ponieważ wyglądała nieładnie i ociężała i zbliżał się czas, kiedy będzie musiał odpowiadać przed jej krewnymi za swój postępek.

Usprawiedliwiała w duchu syna. Wszak ona sama dała się tak łatwo uwieść, mimo że w młodości miała przed oczyma tylko obyczajne zachowanie pobożnych ludzi. Jej synowie natomiast od dziecka wiedzieli, że ich własna matka zesłała na manowce i że ojciec posiadał dzieci spłodzone za młodu w cudzołóstwie, potem zaś, gdy już byli dorosłymi chłopcami, zgrzeszył z zamężną kobietą. Ulf syn Haldora, ich opiekun, rozwiąże gadanie Fridy – o, nie dziwota, że ci młodzieńcy byli tacy słabi. Ale Gaute musi posłubić Jofridę, jeśli tylko otrzyma zezwolenie jej krewnych, i być z tego zadowolony; byłoby ciężkim ciosem dla młodej kobiety, gdyby musiała dożyć tego, że Gaute wzięją ją za żonę tylko pod przymusem, a nie z dobrej woli.

Pewnego dnia w czasie wielkiego postu Krystyna i Jofrida zajęte były przygotowywaniem posiłku dla drwali. Ubijały młotkiem na płask suszone ryby, nakładały masło do garnków, napełniały drewniane naczynia mlekiem i piwem. Krystyna widziała, że ciągnęła krzątania i praca jest męką dla Jofridy, ale ta rozgniewała się, gdy ją Krystyna prosiła, żeby usiadła i odpoczęła. Chcąc jej sprawić przyjemność, jęła Krystyna wypytywać o ową historię z ogierem, którego Gaute miał podobno okiełzać wstążką dziewicy. To pewnie była twoja wstążka? – spytała.

– Nie – odburknęła Jofrida ze złością, rumieniąc się po uszy. Po chwili jednak ciągnęła innym już tonem: – Wstążka należała do mojej siostry, Aazy. To do niej zalecał się najpierw Gaute; ale kiedy ja wróciłam do domu, sam nie wiedział, którą z nas obu woli. Kiedy latem przybył do Sogn, spodziewał się zastać u Dagrundy właśnie Aazę; a potem gniewał się, gdy go nią drażniła, przysięgał na Boga i wszystkich świętych, że nie jest on z tych, co zbliżają się zbyt do córek prawych ludzi, że pomiędzy nim a Aazą nie zaszło nic takiego, iżby nie mógł bez grzechu jeszcze tej nocy spać w moich ramionach. I wzięłam go za słowo – zaśmiała się znowu. Widząc jednak minę Krystyny przekornie skinęła głową.

– Tak jest, Gautego chciałam mieć za męża i, zdajcie się na to, matko, już ja go na męża dostanę. Przeprowadzam zawsze swoją wolę.

Krystyna obudziła się nagle w zupełnej ciemności; dotkliwe zimno szczypało ją w twarz. Kiedy owijała się szczelnie futrzanym okryciem, poczuła, że jest oszroniała od jej oddechu. Wkrótce będzie pewnie brzask; ale na samą myśl, że ma wstać i spojrzeć na gwiazdy, zdjął ją lęk. Zwinęła się całkiem pod skórą chcąc się jeszcze trochę rozgrzać. I nagle przypomniała sobie swój sen.

Śniło jej się, że leży w łożu w małej izbie na Husaby z nowo narodzonego dzieciątkiem. Leżało na jej ramieniu, owinięte w jagnięcą skórę, która zsunęła się odsłaniając małe, czerwone ciało; maleńkie, w kułak zaciśnięte rączyny trzymało przed twarzą, kolanka podciągnęło pod brzuch, a nóżki miało złożone na krzyż; od czasu do czasu poruszało się słabo. Nie przyszło jej na myśl zapytać, czemu dziecko nie jest starannie owinięte i czemu nie ma żadnej kobiety w izbie. Bijące od niej ciepło grzało przywarte do niej maleństwo, w ramieniu czuła jeszcze i teraz aż po korzonki serca każdy jego ruch. Znużenie i przebyte boleści, podobne ustępującej ciemności, rzucały jeszcze na nią cień, i tak leżała, i patrzyła na syna, i czuła, jak jej radość i miłość wzrastają bez ustanku niby bielejący nad górami dzień.

Ale jednocześnie, podczas gdy leżała tam w łożu, stała też na dworze za domem. U jej stóp leżała dolina w blasku porannego słońca. Był dzień wczesnego przedwiośnia. Wdychała ostre, ożywcze powietrze, lodowaty wiatr niósł ku niej woń dalekiego morza i topniejącego śniegu; potężne grzbiety gór w blasku porannego słońca dźwigały się ciężko nad doliną; koło domów czerniła się już ziemia, a srebrna szreń połyskiwała na polankach w ciemnej gęstwie borów. Niebo było przejrzyste, żółtawe i niebieskawe, gdzieniegdzie płynęły tylko po nim ponure, gnane wichrem chmury; było zimno. W miejscu gdzie stała, śnieg był twardy po nocnym przymrozku; między domami słały się cienie, bo słońce stało zupełnie nisko nad górą. Tuż przed nią, w miejscu gdzie kończył się cień, wiatr poruszał wyblakłą, zeszłoroczną trawę; chwiała się ona i lśniła, lecz stalowa powłoka lodu trzymała jeszcze korzonki w uwięzi.

– Och, och – mimowolny jęk skargi wyrwał się z piersi Krystyny. Lavransa miała jeszcze przy sobie, słyszała jego równy oddech w drugim łożu. Zaś Gaute – ten leżał przecie tam na górze ze swą

nałożnicą. Matka westchnęła znowu i poruszyła się niespokojnie; stary pies przygłąnął pod skórą do jej skulonych nóg.

Postyszała, że Jofrida wstała już i krząta się. Prędko wyskoczyła Krystyna z łoża i naciągnęła futrzane ciżmy, bajową suknię i kożuszek. Po ciemku podeszła do pieca, przykucnęła przed nim, grzebała w popiele i dmuchała, lecz nie zdołała rozniecić ani jednej iskry; tej nocy ogień wygasł.

Wydobyła krzesiwo z sakiewki u pasa, ale widocznie hubka przemokła i zamarzła. W końcu nie chciała się trudzić dłużej, wzięła przeto panewkę i poszła na poddasze, by przynieść sobie ognia od Jofridy.

W izbie na piętrze trzaskało już w małym piecu wesołe ognisko rozświetlając ją nieco. W migotliwym blasku siedziała Jofrida i umacniała mosiężną klamrę na reniferowym kaftanie Gautego, a w pomroce ściennego łoża ujrzała Krystyna nagi tułów mężczyzny; Gaute i w najtęższe mrozy sypiał bez koszuli. Siedział na łożu i jadł.

Jofrida podniosła się ociężale i statecznie – może matka napije się z nimi ciepłego piwa? Właśnie zagrzała je dla Gautego. Ten dzban musi Krystyna zabrać dla Lavransa, chłopak ma iść z Gautem do lasu ścinać drzewo, a mróz chwycił nie na żarty.

Krystyna wróciła do swej izby i roznieciła ogień; wargi jej ściągnęły się niechętnie. Gospodarne krzątanie się Jofridy koło Gautego, który leżał i dawał się obsługiwać przez swą kochankę, zapobiegliwość o swego nieprawowitego szwagra – wszystko to wydawało jej się bezwstydne i wstrętne.

Lavrans pozostał w lesie przy drwalach. Gaute jednak wrócił wieczorem na dwór, zmęczony i głodny. Kiedy czeladź wyszła, obie kobiety pozostały jeszcze chwilę przy nim chcąc mu dotrzymać towarzystwa.

Krystyna widziała dobrze, że Jofrida źle się czuje tego wieczora. Co chwila wypuszczała robotę z rąk, a przez jej twarz przebiegały bolesne skurcze.

– Czy masz bóle, Jofrido? – spytała cicho Krystyna.

– Ech, bolą mnie trochę nogi i stopy – odparła dziewczyna. Prac-

wała dzielnie cały dzień jak zazwyczaj i nie oszczędzała się bynajmniej. Teraz dostała bólów, nogi miała spuchnięte.

Nagle drobne łzy trysnęły jej spod powiek. Krystyna nigdy dotąd nie widziała kobiety tak dziwnie płaczącej. Nie wydając głosu, z zaciśniętymi mocno zębami, siedziała Jofrida, a okrągłe, przejrzyste łzy – Krystynie wydały się one twarde jak perły – toczyły się po jej wynędzniałej, pokrytej plamami twarzy. Zdawała się być zła, że sobie pofolgowała, i niechętnie tylko pozwoliła Krystynie zaprowadzić się do łóża.

Gaute przyszedł za nimi.

– Czy masz bóle, moja Jofrido? – spytał nieporadnie. Twarz jego była szkarłatna od mrozu; głęboko nieszczęśliwy przyglądał się matce, która ostrożnie ułożyła Jofridę, zdjęła jej trzewiki i pończochy i zajęła się obrzmiałymi nogami. – Czy masz bóle, moja Jofrido? – zagadnął powtórnie.

– Pewnie – odparła Jofrida cicho, z tajoną wściekłością. – Sądziysz, że inaczej poddawałabym się tak?

– Czy masz bóle, moja Jofrido? – zaczął znów.

– Widzisz przecie, że cierpi. Nie stójże tu i nie rób głupich min – Krystyna zwróciła się ku synowi cała w ogniach. Głuche uczucie trwogi o ostateczny wynik tej sprawy, niechęć, że musi znosić na swym dworze nieprawę pożycie młodych, bolesne zwątpienie o męskości i odwadze syna, to wszystko wyładowało się teraz w dzikiej pasji.

– Czyś tak do cna zgłupiał, iż sądziysz, że jej się d o b r z e wiedzie? Wszak widzi, żeś nawet do tego niezdatny, by się odważyć jechać przez góry, chociażby w śnieżycy i mrozie. Wiesz dobrze, że wnet wybiję jej ciężka godzina, że wić się będzie w najsroźszej męczarni i że jej dziecko przezwane będzie bękartem, dlatego że ty boisz się stanąć przed jej ojcem, tylko siedzisz tu w ciepłe i wylegujesz się na ławie, i ani palcem nie kiwniesz, aby bronić swej żony i dziecka, które ma przyjść na świat. T w ó j ojciec nie obawiał się tak bardzo mojego ojca, by nie śmiał z nim mówić, i nie lękał się tak mrozu, by zimą nie przejść na nartach przez góry. Pfuj, Gaute! Biada mi, że dożyłam dnia, w którym muszę nazwać tchórzem jednego z synów, których miałam z Erlendem!

Gaute porwał oburącz zydela i trzasnął nim o podłogę, podbiegł do stołu i ściągnął z wściekłością wszystko, co na nim leżało, po czym wybiegł pędem z izby, po drodze raz jeszcze kopnąwszy zydela; posłyszała, jak biegł po schodach na piętro.

– Nie, matko, teraz byliście stanowczo za surowa dla Gautego – Jofrida uniosła się na łokciu. – Nie możecie chyba żądać od niego, by przy zdrowych zmysłach narażał zimą życie w górach po to tylko, aby dowiedzieć się od mego ojca, że albo musi poślubić dziewczynę w jednej koszuli, tak jak ją uwiódł z domu, albo też opuścić kraj.

Fale gniewu huczały i przewalały się jeszcze w sercu Krystyny. Odpowiedziała dumnie:

– Mimo to nie sądziłam, że mój syn może tak myśleć!

– Gdybym ja nie myślała za niego – rzekła Jofrida – wtenczas... – Ujrawszy wyraz twarzy Krystyny uśmiechnęła się lekko. – Droga matko, zadałam sobie nie lada trud, by uspokoić Gautego; nie chcę, by narobił przeze mnie jeszcze więcej głupstw i narażał nasze dzieci na utratę majątku, który dostaną na pewno od mych krewnych, jeśli Gaute pogodzi się z nimi na warunkach, które dla nas wszystkich byłyby najlepsze i najgodziwsze.

– Co masz przez to na myśli? – spytała Krystyna.

– Myślę, że skoro moi krewni przybędą do Gautego, natenczas pan Sigurd przyjmie ich tak, iż poznają, że Gaute nie jest sam na świecie. Będzie musiał zapłacić pełny okup, ale za to mój ojciec zaręczy mnie z nim i odzyskam prawo do podziału spuścizny wraz z siostrami po jego śmierci.

– A więc ty sama nie jesteś bez winy, że nie zostałam zaślubiona, zanim twoje dziecko przyjdzie na świat? – spytała Krystyna.

– Jeśli mogłam uciec z Gautem z domu, w takim razie... Chyba nikt nie sądzi, że nocą kładł nagi miecz między nas do łoża.

– Więc w ogóle nie starał się o ciebie u twoich krewnych?

– Nie. Wiedzieliśmy doskonale, że byłoby to daremne, nawet gdyby Gaute był o wiele zamożniejszy, niż jest. – Jofrida znowu się roześmiała. – Widzicie, matko, mój ojciec wierzy, iż zna się najlepiej ze wszystkich ludzi na kupnie koni. Kto jednak chce górować przy kupnie koni nad Gautem synem Erlenda, ten musi być o wiele chytrzejszy od mego ojca.

Krystyna musiała się uśmiechnąć, choć ciężko jej było na duszy.

– Nie znam się zbyt dobrze na prawie – rzekła poważnie – ale widzi mi się, Jofrido, że niełatwo będzie Gautemu o taką ugodę, którą można by nazwać dobrą. Być może, Gaute będzie wygnany z kraju, ciebie zaś ojciec weźmie z sobą do domu albo zażąda, byś wstąpiła do klasztoru odpokutować swój grzech.

– Do klasztoru nie może mnie posłać nie wyposażywszy w tak szczodne dary, iż taniej już i godniej będzie dla niego pojednać się z Gautem i żądać od niego okupu: pojmujecie, jeśli ojciec wyda mnie za mąż, nie będzie miał żadnych kosztów. A że dziedzictwo podzielę z siostrami, to mu na pewno będzie na rękę, bo nie znosi Olafa, mego szwagra. Poza tym nasi krewni musieliby się też zająć moim dzieckiem. I wiem, że mój ojciec dwa razy by się wpierw namyślił, zanim by mnie wziął z bękartem do siebie na Hovland, by wyładować na mnie swój gniew. Zna mnie dobrze.

I ja także nie jestem biegła w prawie. Za to znam swego ojca i znam Gautego. A teraz już tyle wody upłynęło od tego czasu, że sprawa nie wcześniej będzie rozstrzygnięta, aż będę znowu żwawa i w pełni sił; a wtedy, matko, na pewno nie zobaczycie mnie płaczącej! O nie, Gaute osiągnie pojednanie na takich warunkach, że...

Nie, matko, Gaute, który wywodzi się od królów i książąt Kościoła, i wy, spokrewniona z najdostojniejszymi rodami w kraju, jeśliście musieli widzieć, jak waszych synów zepchnięto z tego miejsca, które się im z urodzenia należało, to niechaj wam również dane będzie ujrzeć, jak wasi potomkowie w moich i Gautego dzieciach znowu wydzwigną się w górę...

Krystyna siedziała w milczeniu. Było wszak w zupełności możliwe, że wszystko pójdzie po myśli Jofridy; pojęła, że nie ma zgoła potrzeby tak strasznie frasować się o nią. Twarz Jofridy schudła w ostatnich czasach, pulchna krągłość policzków znikła, a przez to dobitniej wystąpiła dolna szczęka.

Jofrida ziewnęła, usiadła prosto i szukała swych trzewików. Krystyna pomogła jej wdziać je. Jofrida podziękowała.

– Nie drażnijcie więcej Gautego, matko. Nie bierze on sam bynajmniej tego lekko. Ale ja nie chcę zubożyć mego dziecka, zanim jeszcze ujrze światło dzienne.

W czternaście dni później powiła Jofrida dużego, urodziwego syna i Gaute tego samego jeszcze dnia pchnął gońca z wieścią na Sundbu. Pan Sigurd przybył też natychmiast na Jörund i trzymał Erlenda syna Gautego do chrztu. Ale chociaż Krystyna radowała się bardzo małym wnukiem, to jednak martwiło ją, iż imię Erlenda ma ożyć w bękarcie.

– Twój ojciec na więcej się ważył, by zdobyć dla swego syna należne mu prawa – rzekła pewnego wieczora do Gautego; stał obok niej w tkalni i patrzył, jak przewija dziecko na noc. Jofrida spała już w swym łożu. – Jego miłość do starego pana Mikołaja nie była wprawdzie zbyt wielka, ale mimo to nie mógł on nigdy wyrządzić ojcu tej krzywdy, by nadać jego imię nieślubnemu dziecku!

– A Orm? Dostał imię po ojcu swej matki? – spytał Gaute. – Tak, tak, matko, wiem, że synowi nie przystoi mówić w ten sposób. Ale pojmujecie, my, bracia, wszyscyśmy to zauważyli: dopóki żył nasz ojciec, nie uważaliście nigdy, że powinniśmy brać z niego wzór, teraz jednak mówicie o nim ciągle, jakby był prawdziwym świętym. Dumni zaiste bylibyśmy wszyscy, gdybyśmy ojcu dorównać mogli, gdybyśmy przynajmniej do ramienia mu dosięgli; wiem, iż był on szlachetnym i mężnym człowiekiem, górującym nad wszystkimi tymi cnotami, które najwięcej zdołają męża, lecz nie przekonujcie nas o tym, jakoby w izbie niewieściej sprawował się on najjobyczajniej i najgodniej lub jakoby był dzielnym gospodarzem. Mimo to życzę ci, mój Erlendzie, byś się wdał w niego! – Podniósł niemowlę, przycisnął podbródek do małego czerwonego liczka, wyglądającego z jasnej wełnianki. – Ty zdolny i obiecujący chłopcze, Erlendzie synu Gautego na Jörund, powiedz twej babce, że bynajmniej się nie obawiasz, by twój ojciec kiedykolwiek cię opuścił. – Przeżegnał dziecię i położył je z powrotem na łonie Krystyny, po czym podszedł do łoża i przyglądał się śpiącej matce.

– Powiadacie więc, że Jofrida ma się zupełnie dobrze? Błada jest trochę... No, ale wy rozumiecie się najlepiej na tych rzeczach. Śpijcie spokojnie, pokój Boży niech będzie z wami w tej izbie!

W miesiąc po urodzeniu chłopca wyprawili Gaute huczne chrzciny, na które zjechali się wszyscy krewni z najdalszych stron. Krystyna

domyślała się, że zwołał ich przede wszystkim na naradę, co ma czynić dalej. Była już wiosna i trzeba było liczyć się z tym, że lada dzień krewni Jofridy dadzą o sobie znać.

Krystyna przeżyła wielką radość, Ivar i Skule przybyli bowiem również do domu. Przyjechało także jej cioteczne rodzeństwo: Sigurd Kyrning, ożeniony z jej cioteczną siostrą ze Skog, Ivar Gjesling z Ringheim i Haavard syn Tronda. Synów Tronda nie widziała od czasu, kiedy Erlend wciągnął ich w owo nieszczęście. Teraz byli ludźmi w starszym już wieku; zawsze beztroscy i niefrasobliwi, byli odważni i weseli, i nie bardzo się przez ten czas zmienili. Zarówno do synów Erlenda, jak też do ich kuzyna i następcy na Sundbu, rycerza Sigurda Eldjarna, odnosili się otwarcie, ze szczerą, krewniaczą życzliwością. Na cześć małego Erlenda płynęło strugami piwo i miód, a Gaute i Jofrida przyjmowali gości tak swobodnie, jak gdyby byli poślubieni i sam król wyprawił im wesele. Wszyscy radowali się serdecznie i nikt nie zdawał się trapić tym, że cześć i powodzenie obojga młodych jeszcze ciągle się ważą. Jedna Jofrida nie zapomniała o tym...

– W im lepszych humorach i im zuchwalej przyjmą mojego ojca, tym łatwiej on ustąpi – rzekła do Krystyny. – Mój szwagier zaś, Olaf Piper, nigdy nie mógł ukryć, że chętnie kuma się z mężami z poczesnych rodów.

Jedynym, który nie czuł się zupełnie dobrze na tym zebraniu krewnych, był Jammaelt. Król Magnus nadał mu na Boże Narodzenie tytuł rycerza. Ramborga córka Lavransa zwała się teraz panią. Tym razem przyjechał w towarzystwie swego najstarszego pasierba, Andrzeja syna Szymona. Krystyna prosiła szwagra za ostatnim jego pobytom na Jörund, by przywiózł chłopca z sobą, doszło bowiem jej uszu, że Andrzej jest nieco dziwaczny. Przeraziła się okropnie: być może, ucierpiał na ciele lub duszy przez te czary, którymi go w maleńkości uratowała od śmierci. Lecz ojczym opowiadała, że chłopiec jest zdrow i silny, szczerzy jak złoto i może nawet rozsądniejszy od innych, a tylko miewa dziwny dar jasnowidzenia; chwilami jest jakby nieobecny, a potem czyni osobliwe rzeczy. Tak na przykład pewnego dnia zeszłego roku wziął srebrną łyżkę, tę samą, którą Krystyna podarowała mu na urodziny, oraz cenną klamrę, dar swego ojca, po czym

opuścił dwór i poszedł na most w pobliżu Aelina przy gościńcu. Siedział tam wiele godzin i czekał, aż troje żebraków przejdzie przez most – starzec i młoda kobieta z niemowlęciem. Andrzej podszedł do nich, dał im owe rzeczy i prosił kobietę, by mu pozwoliła nieść dziecko. W domu tymczasem odchodzili od zmysłów z trwogi, gdy Andrzej w porze południowego posiłku nie wrócił na dwór. A skoro i wieczorem nie było go widać, wyszli wszyscy na poszukiwanie. W końcu dowiedział się Jammaelt, że widziano Andrzeja daleko w sąsiedniej gminie w towarzystwie dwojga ludzi przezywanych Krepp i Kraaka; niósł ich dziecko. Kiedy wreszcie nazajutrz dogonił chłopca, ten powiedział mu, iż ostatniej niedzieli podczas mszy, gdy stał i oglądał obraz na ołtarzu, posłyszał jakiś głos. Obraz przedstawiał Matkę Boską i świętego Józefa uciekających z Dzieciątkiem do Egiptu i wówczas w chłopcu obudziło się gorące pragnienie, by żyć w tamtych czasach; zaczął wtedy modlić się o to, żeby mógł iść z nimi i nieść Dziecię Najświętszej Panny. Nagle posłyszał głos, niezwykle słodki i łagodny, który mu przyrzekł dać znak, jeśli w określony dzień uda się na Bjerkheimski most.

Poza tym niechętnie opowiadał Andrzej o swych widzeniach; ich proboszcz bowiem orzekł, że częściowo są one zmyślane, częściowo zaś pochodzą z oszołomienia i omamu zmysłów, matkę zaś przerażał swym cudackim zachowaniem. Natomiast mówił nieraz z pewną starą nabożną kobietą oraz bratem z zakonu dominikanów, wędrującym zwykle doliną w czasie postu i adwentu. Pewnie więc chłopak zostanie duchownym, a na Formo osiadzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Szymon syn Szymona. Było to dziecko zdrowe i miłe, wykapany ojciec i ulubieniec Ramborgi.

Ramborga i Jammaelt nie mieli dotąd dzieci. Krystyna słyszała od ludzi, którzy bywali ostatnio w Raumarike i widzieli jej siostrę, że roztyła się bardzo i rozleniwiła. Żyła pośród najmoźniejszych i najpocześniejszych ludzi, ale nie chciała nigdy wybrać się na północ, do swej ojczystej doliny. Krystyna nie widziała jej od dnia, w którym rozstały się na Formo, ale miała wrażenie, że Ramborga wciąż jeszcze żywi do niej urazę. Żyła dobrze z Jammaeltem, który z iście ojcowską miłością troszczył się o swych pasierbów. Postanowił, że na wypadek jego bezdzietności, najstarszy syn tego męża, który zostanie głównym

spadkobiercą, ma poślubić jego pasierbicę Ulvhildę; w ten sposób przynajmniej córka Szymona Darre będzie korzystała z jego wielkiej spuścizny. Arngjerda w rok po śmierci ojca wyszła za Grundego na Eiken. Gyrd Darre i Jammaelt wyposażyli ją tak hojnie, jak wedle ich mniemania uczyniłby sam Szymon. Grunde we wszystkim słuchał żony; mieli już troje ładnych dzieci.

Krystyna była do głębi wzruszona ujrawszy znowu po tylu latach najstarszego syna Szymona i Ramborgi. On był naprawdę żywym obrazem jej ojca, Lavransa syna Björgulfa, o wiele bardziej niż Gaute. W ostatnich zresztą latach straciła Krystyna zupełnie wiarę, jakoby Gaute i duchem podobny był do jej ojca.

Andrzej Darre liczył dwanaście lat, był wysoki i smukły, jasny i piękny, nieco cichy z natury, ale silny i krzepki. Jadł chętnie, jedynie mięsa za nic jeść nie chciał. Różnił się czymś jednak od innych chłopców, lecz Krystyna nie mogła dociec, co to takiego było, choć przyglądała mu się bacznie. Andrzej zaprzyjaźnił się serdecznie z ciotką, ale nie mówił nigdy o swych widzeniach i podczas pobytu w Sil ani razu nie popadł w stan zachwycenia.

Czterej synowie Erlenda cieszyli się wielce ze wspólnego pobytu na matczynym dworze, lecz Krystyna nie miała zbyt wiele sposobności do mówienia z nimi. Kiedy rozmawiali ze sobą, czuła, że ich życie i powodzenie wymyka się teraz z pola jej widzenia; dwaj żyjący na obczyźnie oderwali się zupełnie od domu, ci dwaj zaś, którzy z nią żyli, zamysłali odebrać jej teraz rządy z rąk. Biesiada przypadła na wiosnę, kiedy skąpo było z zapasami, i Krystyna spostrzegła, że Gaute już wprawdzie się na to przygotował oszczędzając w zimie paszy bardziej niż zwykle, a nawet pożyczając jej sobie od pana Sigurda; to wszystko jednak zarządził zupełnie sam. Podobnie wszystkie narady w sprawie Gautego toczyły się jakby ponad jej głową, mimo że siedziała wraz z mężami w izbie.

Nie zdziwiła się przeto zbyt, kiedy pewnego dnia przyszedł do niej Ivar i prosił, aby Lavrans towarzyszył mu, gdy będzie wracał na Rognheim.

Ivar powiedział matce, że wedle jego osądu powinna po ślubie

Gautego przeprowadzić się na Rognheim: – Ze Signe jako synową lepiej się żyje na jednym dworze, a oprócz tego niełatwo wam będzie oddać z rąk rządu tutaj, gdzieście przywykli rozkazywać. – Poza tym jednak zdawał się lubić Jofridę, podobnie jak wszyscy mężczyźni. Jeden Jammaelt zachowywał się wobec niej nieco chłodno.

Krystyna siedziała z małym wnuczkiem na kolanach i myślała w duchu: pewnie, łatwo jej żyć nie będzie ani tu, ani gdziekolwiek. Ciężko jest starzeć się. Niedawno jeszcze, tak jej się przynajmniej zdawało, sama była młodą kobietą; o jej losy wybuchały spory i toczyły się narady mężów. Teraz zepchnięta została na bok. A przecie niedawno jej własni synowie byli tacy mali jak ten oto wnuk. Przypomniła sobie sen o nowo narodzonym dzieciątku. W tym czasie coraz częściej biegły jej myśli ku zmarłej matce. W jej wspomnieniu żyła dotąd zawsze jako starzejąca się, smutna niewiasta. Ale i ona była kiedyś młoda, i ona leżała i tuliła Krystynę, i grzała ją własnym ciepłem; jej matka również znaczona była w młodości na duszy i ciele piętnem rodzenia i ona również, leżąc z małą słodką istotką przy piersi, nie wiedziała, że każdy dzień oddalać będzie od niej dziecko coraz to bardziej i bardziej.

„Sądziłam, że kiedy sama będziesz rodziła dzieci, lepiej to zrozumiesz” – powiedziała kiedyś do niej matka. I teraz pojmowała Krystyna, że serce matki pełne było wspomnień o córce, wspomnień i myśli o nie narodzonym jeszcze dziecięciu oraz o tych latach, których dziecko nie pamięta, wspomnień o trwodze i nadziejach, i marzeniach z powodu dzieci, które nie wcześniej coś z tego pojmują, aż i na nie czas przyjdzie, że potajemnie drżą i marzą, i żywią nadzieję.

W końcu goście podzielili się tak, że niektórzy pozostali u Jammaelta na Formo, inni pociągnęli z panem Sigurdem do Vaagaa. Wreszcie pewnego dnia dwóch dzierżawców Gautego z południowej części doliny przycwałowało na dwór: wójt jedzie już na Jörund, aby spotkać się z Gautem, ojciec zaś i krewni dziewczyny znajdują się w jego świecie. Młody Lavrans posłyszawszy to pobiegł pędem do stajni. Następnego wieczora dwór wyglądał jak obóz wojenny: zebrali się wszyscy krewni Gautego z uzbrojonymi orszakami, stawili się również jego przyjaciele z doliny.

Potem przybył Helge z Hovland z wielką świtą, aby domagać się

zadośćuczynienia od uwodziciela córki. Krystynie udało się przelotnie ujrzeć Helgego Duka w chwili, kiedy w towarzystwie wójta okręgu, pana Paala syna Sörkvesa, wjeżdżał na dziedziniec. Ojciec Jofridy był starszym człowiekiem, wysokim i pochylonym, wyglądał chorowicie; utykał nieco, kiedy zsiadł z konia. Mąż jej siostry, Olaf Piper, był niskiego wzrostu, krępy i barczysty, miał rude włosy i czerwoną twarz.

Gaute poszedł im naprzeciw z podniesioną głową i postawą pełną godności; za sobą miał całą drużynę krewnych i przyjaciół. Stali w półkolu przed schodami wiodącymi na piętro – w środku dwaj mężowie piastujący godność rycerzy, pan Sigurd i pan Jammaelt. Krystyna i Jofrida przyglądały się temu spotkaniu z przedsiönka tkalni, nie mogły jednak stamtąd słyszeć słów, które zamieniono.

Mężowie udali się na piętro, obie zaś kobiety wróciły do tkalni, nie mogły jednak przemówić do siebie ani słowa. Krystyna usiadła przy palenisku; Jofrida kręciła się niespokojnie z dzieckiem w ramionach. Tak przeszła spora chwila; potem Jofrida owinęła chłopca w derkę i wyszła z nim. Po pewnym czasie przyszedł do Krystyny Jammaelt i opowiedział jej o przebiegu sprawy.

Gaute ofiarował Helgemu za cześć Jofridy i popełniony gwałt szesnaście marek w złocie; taki sam okup otrzymał brat Helgego za życie swego syna. Oświadczył również gotowość starania się u ojca Jofridy o nią i nadania jej odpowiedniego wiana, Helge jednak miał się za to całkowicie pojednać z nim i córką, tak aby dostała ten sam posag co siostry i była wraz z nimi uprawniona do dziedziczenia. Pan Sigurd w imieniu krewnych Gautego poręczył, iż Gaute dotrzyma zobowiązania. W istocie Helge Duk gotów był natychmiast przyjąć owo przedłożenie, lecz jego zięciowie, Olaf Piper i Nerid syn Kaarego, narzeczony Aazy, podnieśli sprzeciw, oświadczyli, że Gaute jest najczelniejszy z ludzi, skoro ośmiela się sam stawiać warunki dotyczące poślubienia znieślawnionej dziewczyny i jeszcze żąda, by była na równi z siostrami uprawniona do dziedziczenia.

Widać było, opowiadał Jammaelt, że Gautemu nie bardzo jest w smak targować się o cenę, aby dostać dziewczynę z zacnego rodu, którą uwiódł i która mu już powiła syna. Ale nauczył się tej lekcji na pamięć, tak że nie miał potrzeby dopiero głowić się, co rzec.

Podczas tej rozmowy – kiedy przyjaciele z obu stron próbowali pośredniczyć – weszła do izby Jofrida z niemowlęciem w ramionach. Na ten widok ojciec jej załamał się zupełnie i nie mógł powstrzymać łez. Wszystko zatem zostało ułożone wedle jej woli.

Gaute nie byłby nigdy w stanie wypłacić grzywny, lecz posag Jofridy został tak ustalony, że się to wyrównało. Właściwie więc targ wypadł w ten sposób, iż Gaute niewiele więcej miał otrzymać nad to, co Jofrida zabrała w swych tobołach z domu, on natomiast miał przekazać jej na piśmie znaczną część swych posiadłości jako wiano, na co otrzymał przyzwolenie braci. Oczywiście, kiedyś miał się stać bardzo majątnym dzięki niej, o ile małżeństwo nie pozostanie bezdzietne – śmiał się w głos Ivar Gjesling, a z nim wszyscy mężowie. Lecz Krystyna pokraśniała ze wstydu przez wzgląd na Jammaelta, który siedział i słuchał rubasznych żartów.

Na drugi dzień starał się Gaute syn Erlenda o rękę Jofridy córki Helgego; po czym święciła ona swój wywód z takimi honorami, jak gdyby była małżonką pana dworu: sira Dag oświadczył, że ma teraz prawo po temu. Potem jednak przeniosła się z dzieckiem na Sundbu i tam przebywała pod opieką pana Sigurda aż do ślubu.

Wesele odbyło się w miesiąc później, zaraz po świętym Jonie, z wielką okazałością i wspaniałością. A na drugi dzień rano Krystyna wręczyła uroczyście klucze domu synowi, Gaute zaś przymocował wielki pęk do pasa żony.

Pan Sigurd wyprawił huczną biesiadę na Sundbu, przy czym została zaprzysiężona i przypieczętowana przyjaźń pomiędzy nim a jego krewniakami, dawnymi panami na Sundbu. Pan Sigurd pełnymi rękami rozdawał kosztowności znajdujące się na jego dworze, i to zarówno Gjeslingom, jak też wszystkim gościom według stopnia pokrewieństwa lub przyjaźni, rozdawał rogi do picia, bogatą zastawę stołową, klejnoty, broń, futra i konie. Tak więc osądzili ludzie, iż Gaute doprowadził ów spór z powodu porwania dziewicy do najzaszczyniejszego zakończenia.

Rok minął. W pewien letni ranek stała Krystyna w przed-sionku starej izby i robiła porządki w swych skrzyniach. Posłyszawszy, że wyprowadzono konie, wyrzała na dziedziniec. Jeden z pa-chołków prowadził dwa konie, we wrotach ukazał się Gaute; mały Erlend siedział okrakiem na barkach ojca. Drobna jasna twarzyczka wyglądała spod złotej czupryny męża, rączki dziecka trzymał Gaute w swej wielkiej ogorzałej dłoni pod brodą. Oddał dziecko słudze przechodzącej właśnie dziedzińcem i dosiadł wierzchowca. Ale gdy Erlend począł się drzeć i wyciągać ramiona, Gaute wziął go znowu i usadowił przed sobą w siodle. W tej chwili wyszła z domu Jofrida.

– Zabierasz z sobą Erlenda? Dokądże to jedziesz?

Gaute odparł, że ma zamiar jechać w górę doliny do młyna, ponoć grozi mu niebezpieczeństwo porwania przez wezbraną rzekę, a Erlend doprasza się, by jechać z ojcem.

– Chybaś niespełna rozumu? – Prędko porwała Jofrida chłopca, Gaute zaś roześmiał się głośno.

– Więc naprawdę sądziłaś, że chcę wziąć chłopca?

– Pewnie – żona również się śmiała. – Ty przecież cały dzień włóczęsz to niebożę ze sobą, zdaje mi się, iż najchętniej zrobiłbyś jak ten ryś. Pożarłbyś własne młode, żeby go tylko nie oddać nikomu.

Kiedy Gaute odjechał, posadziła chłopczyka na trawniku, pochyliła się i rozmawiała z nim chwilę, po czym pobiegła do nowej izby i weszła na poddasze.

Krystyna przystanąła i spojrzała na wnuka: ubrany w czerwoną sukienkę wyglądał tak ładnie w blasku porannego słońca. Mały Erlend dreptał wkoło wpatrując się uważnie w trawę. Nagle zauważył stos wiórów i zaraz począł rozrzucać je na wszystkie strony. Krystyna roześmiała się.

Miał rok i trzy miesiące, ale był – jak uważali rodzice – nad wiek rozwinięty, chodził i biegał, a nawet wymawiał parę słów. Teraz z niewzruszonym spokojem skierował się ku małej strudze biegnącej w kącie dziedzińca, a podczas gwałtownych opadów wzbierającej w pokaźny strumień. Krystyna pobiegła za nim i podniosła go.

– Tutaj nie wolno ci się bawić. Matka będzie się gniewać, jeśli się zamoczysz.

Chłopaczek odął wargi; pewnie rozważał, czy ma krzyczeć, że mu zabroniono pluskać się w potoku, czy też ustąpić. Jego największym grzechem było zmożenie sukienki, Jofrida w takich wypadkach była aż nazbyt surowa. Ale tak rozważnie przy tym wyglądał. Ze śmiechem ucałowała Krystyna dziecko, posadziła je z powrotem na murawie i poszła do domu. Ale robota już jej nie szła, Krystyna co chwila wstawiała i wyglądała na dziedziniec.

Słońce wyłączało przepięknie trzy domostwa naprzeciw. Krystynie zdawało się, że już od długiego czasu nie widziała ich dobrze. Jakież były okazałe ze swymi wspartymi na filarach gankami i z bogatymi rzeźbami. Pozłacane końce śparogów na nowym spichrzu lśniły jaskrawo na tle niebieskich dymów nad górami. Tego roku wiosna była bardzo wilgotna, toteż trawa na dachach rosła bujnie.

Krystyna westchnęła cicho, raz jeszcze rzuciła okiem na wnuka, po czym wróciła do swych skrzyń.

Nagle żaloszny krzyk dziecka rozdarł ciszę. Krystyna rzuciła wszystko, co trzymała w rękach, i wybiegła co tchu na dwór. Erlend stał i wrzeszczał wniebogłosy patrząc to na swój palec, to na półmartwą osę leżącą na ziemi. Kiedy babka podniosła go i jęła się nad nim użalać, począł się drzeć jeszcze bardziej, a gdy litując się nad nim i narzekając przyłożyła mu mokrą ziemię i jakiś chłodny liść na ukąszenie, krzyk jego stał się wprost przeraźliwy.

Uspokajając dziecko przymilnymi słowy zaniósł ją do swojej izby i nagle Erlend przestał krzyczeć. Znał dobrze naczynie i łyżkę rogową; które babka zdjęła z belki nad drzwiami. Krystyna maczała małe kawałtka chleba w miodzie i karmiła wnuka pieścąc go i biadając nad nim dalej; tarła policzek o jego jasny karczek, gdzie włosy były krótkie i kędzierzawe jeszcze od czasu, gdy leżał w kołysce i wytarły się o poduszki... Erlend zapomniał zupełnie o bólu, zwracał twarz ku babce, głaskał ją i całował lepkimi od miodu ustami.

Siedziała tak i pieściła wnuka, gdy wtem Jofrida stanęła w drzwiach:

– A, to wyście go wzięli do siebie, matko; naprawdę, nie było potrzeby, byłam tylko na gorze w komorze.

Krystyna opowiedziała o nieszczęściu, jakie się przytrafiło małemu.

– Nie słyszałaś jego krzyków?

Jofrida podziękowała świekrze.

– Ale teraz nie chcemy wam dłużej przeszkadzać. – Wzięła dziecko rwące się do niej i wyszła.

Krystyna uprzątnęła miód. Potem stanęła bezczynnie. Skrzynie w przedsionku mogą śmiało zaczekać na Ingridę.

Po przeniesieniu się Krystyny do starej izby, zamierzano jej zrazu dać do posługi Fridę córkę Styrkaara. Tymczasem jednak wydano ją za mąż za jednego z pachołków Helgego Duka, młodego chłopca, który mógłby-być jej synem.

– W naszych stronach jest zwyczaj, że podwładni słuchają rad swoich państwa troszczących się o ich dobro – rzekła Jofrida, gdy Krystyna dziwiła się, że małżeństwo to zostało zawarte.

– Tutaj w dolinie zaś – odparła Krystyna – prostacy nie nawykli słuchać nas wówczas, gdy żądamy od nich czegoś nierozsądnego, ani przyjmować naszych rad, kiedy te mają na względzie nie ich dobro, ale nasze własne. I radzę ci, Jofrido, byś o tym nie zapomniała.

– Rzeczywiście jest tak, jak mówi matka – dodał Gaute niepewnie.

Krystyna spostrzegła już, zanim Gaute się ożenił, że nie potrafi on sprzeciwić się Jofridzie. Obecnie zaś stał się najpotulniejszym w świecie małżonkiem. Nie mogła zaprzeczyć: w wielu wypadkach Gaute dobrze wychodził na tym, że słuchał żony. Jofrida była nadzwyczaj rozumna, dzielna i skrzętna. I nie była ostatecznie bardziej lekkomyślna od niej samej. I ona również podeptała obowiązki córki i postradała cześć, gdy nie mogła dostać człowieka, którego wolałaby zdobyć w bardziej godziwy sposób. Dopiero wówczas, gdy przeprowadziła swoją wolę, stała się najzacniejszą, najwierniejszą żoną. Krystyna zmiarkowała, iż Jofrida kocha męża nade wszystko, dumna jest z jego piękności, ze znakomitego pochodzenia; jej siostry były co prawda bogato wydane, ale małżoków ich należało oglądać jedynie w nocy, naturalnie o ile księżyc nie świecił, a ich przodków lepiej wcale nie wspominać, mawiała drwiąco Jofrida. Zabiegała też usilnie

o dobro i cześć męża w swoim oczywiście pojęciu, a w domu dogadzała mu, jak się tylko dało. Gdy jednak Gaute w najbliższej choćby sprawie miał inne zdanie aniżeli żona, to Jofrida przytakiwała mu naprzód z taką miną, że zaraz poczynał się wahać, potem zaś zaczynała swoje i gadała, póki nie przeciągnęła go na swoją stronę.

Gaute jednakże czuł się doskonale; niepodobna było wątpić, że młodzi żyją dobrze ze sobą. Gaute był zadowolony z żony, oboje zaś ogromnie dumni byli z syna i kochali go bezgranicznie.

Wszystko więc mogłoby być dobrze i pięknie, gdyby Jofrida córka Helgego nie była – tak jest, nie była skąpa, Krystyna nie mogła tego inaczej nazwać. Gdyby nie to, Krystyna nie martwiłaby się, że synowa jest tak żądna władzy.

Pierwszej zaraz jesieni po ślubie Jofridy zauważyła Krystyna podczas żniw, że ludzie są niezadowoleni, choć prawie nic nie mówili. Ale dawna gospodyni wyczuła to od razu.

I za rządów Krystyny zdarzało się niejednokrotnie, że ludzie musieli jeść skisłe śledzie albo zjełczałą słoninę, żółtą i twardą niczym wiór, albo nadpsute mięso. Ale wówczas wiedzieli wszyscy, że kiedy indziej za to uczęstuje ich gospodyni czymś szczególnie smakowitym, zacierką na mleku lub świeżym serem, albo postawi im piwo podczas pracy. Jeśli jedli coś, co smakowało już trochę nieświeżo, a musiało być zjedzone, to wszyscy wiedzieli, że winę ponoszą tu przeładowane spichrze Krystyny. A kiedy ludzie byli w biedzie, to wiedzieli również, że z zasobów dworu Jörund może korzystać cała dolina. Obecnie zaś nie byli zgoła pewni, czy Jofrida okaże się równie szczodrobliva, kiedy nastanie nieurodzaj w gminie.

I to właśnie napawało Krystynę największą troską: bo to pomniejszało powagę i chwałę dworu i dziedzica.

To, że ona sama już w tym roku musiała odczuć, iż synowa dba tylko o swoich najbliższych, jeszcze od biedy mogło ująć. Już na świętego Bartłomieja dostała tylko dwa ubite kozły zamiast przypadających jej czterech. To prawda, że ubiegłego lata rosomaki grasowały okropnie wśród bydła na hali, mimo to uważała Krystyna za haniebnę, aby na tak wielkim dworze chodziło o dwa kozły. Ale milczała. Podobnie było ze wszystkim, co pobierała ze dworu: z mięsem z uboju jesiennego, z ziarnem i mąką, z paszą dla jej czterech krów i dwóch wierz-

chowców; dostawała wszystkiego albo za mało, albo w złym gatunku. Gaute gniewał się i wstydził, ale nie śmiał wystąpić jawnie przeciw żonie, udawał więc, że nie widzi.

Gaute był równie hojny jak wszyscy synowie Erlenda. U jego braci zwała to matka marnotrawstwem. Ale Gaute był roztropny i miał skromne potrzeby. Jeśli tylko mógł trzymać najpiękniejsze konie, rącze psy i kilka dobrych sokołów, to poza tym nie pragnął zgoła żyć inaczej niż drobni chłopci w dolinie. Ilekroć jednak na dwór zawitali goście, był najuprzejmiejszym w świecie gospodarzem, również i wobec żebraków okazywał się szczodry – pod tym względem był panem na modłę matczynego serca. Tak właśnie jej zdaniem powinni żyć zamożni ludzie siedzący na swych dziedzicznych dworach: skupiać włości, nie trwonić niczego, ale i niczego nie oszczędzać, kiedy miłość Boga i Jego biednych lub dbałość o dobre imię rodu żądały ofiarności.

Teraz jednak widziała, że Jofridzie najmilsi są bogaci przyjaciele i poważani krewni Gautego. W tej jednak sprawie Gaute najmniej ulegał żonie; usiłował obcować nadal ze swymi przyjaciółmi z lat młodzieńczych. Jofrida zwała ich opojami i Krystyna dowiedziała się, że Gaute był za młodu nieco bardziej nieopanowany, niż sądziła. Lecz odkąd był żonaty, przyjaciele ci nie przybywali nie proszeni na dwór. Pewnie, że do tej pory nie odszedł żaden biedny nie obdarowany ze dworu, lecz kiedy Jofrida była przy tym, dawał Gaute o wiele skromniejszą jałmużnę. Poza jej plecami był szczodrobliwszy. Jednak niewiele rzeczy działo się poza jej plecami.

Poza tym nie uszło uwagi Krystyny, iż Jofrida jest o nią zazdrosna. Zawsze, od czasu gdy Gaute był biednym, chorowitym dzieckiem posiadała matka jego zupełne zaufanie i przyjaźń. Teraz spostrzegła, że Jofrida wprost ścierpieć nie może, kiedy Gaute przysiąda się do matki, prosi o radę lub chce, by mu opowiadała jak dawniej. Ilekroć się zdarzało, że małżonek zatrzymywał się dłużej u matki w starej izbie, zawsze znalazła Jofrida jakąś wymówkę, aby tam zająć.

Tak samo zazdrosna była o małego Erlenda, jeśli babka za wiele się nim zajmowała.

Na dziedzińcu, w krótkiej, wydeptanej trawie rosły jakieś rośliny o ciemnych niby skóra liściach. W słoneczne dni lata z każdego

małego wianka liści wyrastał nowy pęd z błękitnym, delikatnym kwiatem. Krystyna miała uczucie, że owe stare, pełne blizn liście, zdeptane nogami ludzi i zwierząt, muszą równie gorąco miłować jasną łądzkę, jak ona swojego wnuka.

Bo mały Erlend był życiem jej życia i krwią jej krwi, tak samo serdecznie, tylko bardziej słodko, jak własne dzieci. Kiedy trzymała go na łonie i widziała, jak matka chłopca drapieźnie czuwa nad nimi obojgiem i zabiera go tak prędko, jak tylko może ze względu na przyzwoitość, przykłada z dumą posiadania do piersi i tuli chciwie do siebie, wtenczas na nowo rozumiała Krystyna, iż prawdę głośzą kaznodzieje. Życie doczesne jest bez ratunku зараżone niepokojem: na tym świecie, gdzie ludzie parzą się ze sobą, gdzie gnani cielesną żądzą płodzą coraz to nowe pokolenia i ubóstwiają swoje własne ciała, na tym świecie muszą istnieć zgryzoty i zawiedzione nadzieje – jest to tak pewne jak to, że jesienią spada szron. Życie porównano ze śmiercią rozdziela w końcu przyjaciół, tak jak zima oddziela liście od drzew.

Pewnego wieczora, czternaście dni przed świętym Olafem, gromada żebraków ciągnąca doliną przybyła na Jörund i prosiła o nocleg. Krystyna stała na ganku starej izby, swego obecnego państwa, i słyszała, jak Jofrida odpowiada żebrakom, że wieczerzę dostaną, lecz przenocować ich nie będzie mogła.

– Nas samych wielu tu we dworze, a mamy też świekrę, do niej należą połowa zabudowań.

Gorący gniew zawrzał w dawnej gospodyni. Jeszcze się dotąd nigdy nie zdarzyło, by odmówiono na Jörund wędrowcom noclegu, a słońce dotykało już szczytów gór. Zbiegła szybko na dół i przystąpiła do Jofridy i żebraków.

– Przespać się mogą w mojej izbie, najlepiej więc będzie, jeśli dam im także wieczerzę. Tutaj na dworze jeszcześmy dotychczas nigdy nie odmówili schronu chrześcijaninowi, jeśli prosił on w imię Boże.

– Czyńcie, jak się wam widzi słuszne, matko – rzekła Jofrida pąsowa ze złości.

Gdy Krystyna przyjrzała się bacznie żebrakom, pożałowała natych-

miast swego zaproszenia; wydawało się słuszne, że młoda niewiasta nie chciała zatrzymać tych ludzi przez noc we dworze. Gaute wraz z czeladzią znajdował się tego dnia na odległych polach nad jeziorem Sil i nie miał wrócić na noc do domu; we dworze znajdowało się więc tylko paru biedaków, przebywających kolejno na dworach¹, dwóch starców oraz dwoje dzieci, Krystyna zaś była sama z dziewczką w starej izbie. A chociaż Krystyna widziała już przeróżnych ludzi pośród wędrownych żebraków, to jednak ci nie podobali jej się wcale. Czterej z nich byli roslymi, pleczystymi chłopami; trzech miało rude włosy i maleńkie, dzikie oczka. Ci wyglądali na braci, lecz czwarty, który miał rozdarte nozdrza i obcięte uszy, mówił łamaną norweszczyzną, jakby pochodził z obcego kraju. Prócz nich było jeszcze dwoje starców: jakiś mały, krzywy, o kulach, mający twarz, brodę i włosy aż zielone od brudu i starości, a brzuch wzdęty jakąś chorobą; i staruszka, której chustka sztywna była od krwi i ropy, a ręce i szyja pełne wrzodów. Krystyna wzdrygnęła się na samą myśl, że ta kobieta mogłaby się zbliżyć do małego Erlenda. Mimo to właśnie przez wzgląd na tych dwoje pożałowania godnych starców żebracy nie powinni nocą wlec się przez góry.

Biedni zachowywali się jednak całkiem spokojnie; raz gdy bezuchy próbował objąć Ingridę, kudłaty Björn nastroszył się i warknął. Poza tym czynili wrażenie znużonych i zmęczonych. Wiele światła przewędrowali, a mało zebrali, odrzekli na pytanie gospodyni; w Nidaros powiedzie się im może lepiej. Starucha ucieszyła się bardzo, gdy Krystyna dała jej kozi róg z łagodzącą maścią, sporządzoną z czystego sadła jagnięcego, lecz kiedy ofiarowała się namoczyć w ciepłej wodzie i wyprać jej chustkę, nie chciała na to przystać; owszem, nową chustkę weźmie.

Mimo to Krystyna kazała się położyć młodej Ingridzie po wewnętrznej stronie łoża. Björn warknął parokroć w nocy, poza tym była cisza. Krótco po północy podbiegł pies do drzwi i parę razy krótko zaszczekał. Krystyna posłyszała, że ktoś wjeżdża na dziedziniec, i domyśliła się, że to Gaute; Jofrida pewnie posłała po niego.

¹ Chodzi o biedaków pozostających na utrzymaniu gminy i spędzających kolejno pewien czas na poszczególnych dworach, nazywanych w powieści również „biednymi gminy”.

Nazajutrz rano obdarowała Krystyna hojnie odchodzących biedaków. Nie uszli jeszcze dalej jak poza ogrodzenie, kiedy spostrzegła, że Gaute i Jofrida wychodzą ze swego domostwa i zmierzają ku jej izbie.

Usiadła i wzięła wrzciono do ręki, powitała uprzejmie dzieci i pytała Gautego o siano. Jofrida z grymasem wciągnęła powietrze: goście zostawili po sobie ostry zaduch. Lecz świekra udała, że nie dostrzega niczego. Gaute kręcił się i wił, trudno mu było ogromnie powiedzieć, z czym przyszli. Wreszcie Jofrida zabrała głos:

– Idzie o pewną sprawę, matko, o której – jak mi się zdaje – winniśmy pomówić. Pojmuję dobrze, iż wam się widzi, że jestem wedle waszego mniemania zbyt skąpa jak na panią z Jörund. Wiem, myślicie tak i myślicie również, że przez to szkodzę dobrej sławie Gautego. Nie mówię zgoła o tym, że wczoraj bałam się przyjąć tych włóczęgów będąc sama z dzieckiem oraz paru biednymi gminy w domu; widziałam bowiem, żeście to pojęli, skoro tylko przyjrzeliscie się bliżej tym ludziom. Ale już i pierwiej zauważyłam, że według was skąpię z jedzeniem i jestem niezyczliwa dla biednych.

– Nie jestem taka, matko, atoli dwór Jörund nie jest obecnie pańską siedzibą męża z królewskiej świty i bogacza, jak był za waszego ojca i matki. Wy byliście dzieckiem zamożnych rodziców, wyrosliście pośród majątnych i potężnych krewnych, wyszliście bogato za męża, i wasz małżonek powiódł was ku potędze i zaszczytom większym niż te, do jakich przywykliście od młodości. Trudno oczekiwać po was, że w waszym wieku pojmiecie, w jak zupełnie innym położeniu jest Gaute, który stracił ojcowskie dziedzictwo i połowę mienia waszego ojca musi dzielić z wielu braćmi. Ja jednak nie powinnam zapomnieć, że niewiele więcej wniosłam w dom męża niż dziecię, które dźwigałam pod sercem, a nadto obarczyłam Gautego ciężkim okupem zgadzając się, żeby popełnił on przestępstwo wobec mych krewnych. Kiedyś to się oczywiście odmieni, ale jest przecie moim obowiązkiem prosić Boga o długie życie dla mego ojca. Gaute i ja jesteśmy młodzi i nie wiadomo, ilu dziećmi Bóg nas obdarzy. Powinniście mi wierzyć, świekro, że nic innego nie mam na oku prócz dobra mojego małżonka i naszych dzieci.

– Wierzę ci, Jofrido. – Krystyna spojrzała poważnie w rozpaloną

twarz synowej. – Nigdy nie mieszałam się do twoich spraw i nigdy nie przeczyłam, że jesteś dla mego syna najdzielniejszą gospodynią i najwierniejszą żoną. Ale w moich sprawach musisz mi zostawić swobodę, do jakiej jestem przyzwyczajona. Masz słuszość powiadając, że jestem starą kobietą, niezdatną do tego, by się czegoś nowego nauczyć.

Młodzi zrozumieli, że matka nie ma nic więcej do powiedzenia, wkrótce więc pożegnali ją i odeszli.

Jak zwykle musiała Krystyna w pierwszej chwili przyznać Jofridzie słuszość. Ale gdy ją się nad tym zastanawiać, wydały jej się słowa Jofridy nie tak zupełnie słuszne. Błędem było porównywać jałmużny rozdawane przez Gautego z tymi, które dawał jej ojciec: msze żałobne za dusze biednych i obcych zmarłych w dolinie, wsparcie dla osierconych przez ojców dziewcząt, które chciały wyjść za mąż, biesiady w dni świętych szczególnie umiłowanych przez ojca, datki pieniężne na żywność dla chorych i grzeszników pielgrzymujących do świętego Olafa; nawet gdyby Gaute był bogatszy, nikt nie wymagałby od niego, by obciążał się takimi wydatkami. Gaute nie więcej myślał o Stwórcy, aniżeli musiał. I on był wprawdzie hojny i dobrego serca, ale Krystyna wiedziała, że ojciec jej odczuwał wobec biedaków, którym pomagał, osobliwy szacunek, ponieważ Chrystus wybrał życie biednego, kiedy się stał człowiekiem. Ojciec jej miłował twardą pracę i wszelakie rzemiosło uważał za uświęcone przez to, iż Matka Boska żywiła siebie i swoich pracą rąk własnych, mimo iż była córką bogaczy i pochodziła od królów i najwyższych kapłanów żydowskich.

W dwa dni później, wczesnym ranem, gdy Jofrida na pół ubrana kręciła się po izbie, a Gaute leżał jeszcze w łóżku, weszła do nich Krystyna. Miała na sobie szatę i okrycie z czarnej fryzy, na głowie czarny filcowy kapelusz o szerokim rondzie, na nogach mocne trzewiki. Gaute spłonął krwawo ujrawszy matkę w tym stroju. Krystyna oświadczyła, że chce iść do Nidaros na odpust świętego Olafa i prosi syna, aby przez ten czas zaopiekował się jej domem.

Gaute począł jej gwałtownie odradzać. Chciał, żeby przynajmniej pożyczyla sobie konia i pachołka, żeby wzięła z sobą dziewczkę; ale mowa jego była taka, jakiej należało oczekiwać od człowieka, który leży nago w łożu na oczach matki: niepewna i zakłopotana. Dla Krystyny było jego zmieszanie tak przykre, że zmyśliła wymówkę, jakoby miała we śnie widzenie.

– A nadto stęskniłam się bardzo za twymi braćmi. – Musiała się odwrócić, sama przed sobą bowiem nie śmiała dotąd przyznać, jak bardzo tęskni za najstarszymi synami, a zarazem obawia się spotkania z nimi.

Gaute pragnął koniecznie odprowadzić matkę. Podczas gdy się ubierał i posilał, Krystyna żartowała i bawiła się z małym Erlendem. Dziecko paplało, wyspane i zadowolone. Na pożegnanie ucałowała Jofridę, czego dotychczas nigdy nie czyniła. Na dziedzińcu zebrała się cała czeladź, Ingrida rozpowiedziała bowiem, że gospodyni zamierza odbyć pielgrzymkę do Nidaros.

Krystyna ujęła ciężki, okuty żelazem kostur, a ponieważ w żaden sposób nie chciała jechać, przeto Gaute włożył na konia jej sakwę i pognął go przed sobą.

Na wzgórkach kościelnych raz jeszcze Krystyna odwróciła się i spojrzała na swój dwór: jakże pięknie wyglądał w rosistym rozświeconym poranku. Rzeka skrzyła się srebrzyście. Ludzie stali jeszcze w gromadzie przed domami; mogła rozróżnić jasną szatę i chustkę Jofridy i dziecko niby czerwoną plamę w jej ramionach. Gaute ujrzał, że oblicze matki blade jest ze wzruszenia.

Droga biegła w cieniu góry Hammer ku lasowi. Krystyna stąpała lekko jak młode dziewczę. Niewiele rozmawiała z synem. A kiedy po dwóch godzinach przyszedli do miejsca, gdzie droga w pobliżu skał Rostu skręcała na północ i skąd roztaczał się już widok na gminę Dovre, Krystyna rzekła, że dalej chce iść sama, ale wprawdzie usiądzie i chwilę wypocznie.

U ich stóp rozpościerała się dolina z wijącą się białozieloną wstęgą rzeki, na lesistych zboczach leżały dwory niby małe zielone plamy. Nad nimi piętrzyły się brunatne, żółcące się od porostów wyże aż pod nagie, szare urwiska i skalne, śniegiem pokryte wierchy. Sunące po niebie chmury rzucały cienie na dolinę i górskie dale, w północnej

natomiast stronie widok był jasny i przestronny. Jeden szczyt po drugim wynurzał się z mgły i wznosił w błękit. I tęsknota Krystyny wraz z chmurami płynęła na północ, ku dalekiej drodze, która ją czekała; wybiegła poza dolinę, zamkniętą górkami grzbietami, biegła przez strome ścieżyny wśród szczytów. Jeszcze kilka dni, a będzie schodzić w cudne, zielone doliny trondhjemskie, będzie iść za biegiem rzeki aż do wielkiego fiordu; zadrżała na wspomnienie znanych sobie tak dobrze gmin nad fiordem, nad którym zbiegła jej młodość. Smukła postać Erlenda zamajaczyła na chwilę przed jej okiem, jego zmienne zachowanie i wyraz twarzy – prędko, chybotliwie, jakby ujrzała jego odbicie w płynącej wodzie. Potem przybędzie na Feginsbrekka, pod marmurowy krzyż. Miasto leżeć będzie w oparach pomiędzy błękitem fiordu i zielenią pól; na wzniesieniu potężna, jasna świątynia z zawrotnie wysokimi wieżami i złotymi chorągiewkami na dachu, z gorejącą łuną zachodu w ogromnej róży na frontonie. Daleko zaś na fiordzie, pod granatowymi górami leży Tautra, głębokie i ciemne niby grzbiet wieloryba, z kościelną wieżą podobną do płetwy. O mój Björgulfie, o Naakkve!

Ale gdy obejrzała się poza siebie, widziała jeszcze wielką połać gór ojczystych. Leżały w cieniu, jej wprawne oko jednak rozróżniało drogę wiodącą przez las na halę. Znała dobrze urwiste krzesanice wznoszące się nad lasami; zamykały one stare pastwiska chłopów z Sil.

Z gór zabrzmiał róg – kilka cichych, wysokich tonów, które z wolna zamarły i znów ożyły w echu; zdawało się nieomal, że to ćwiczą się dzieci. Daleki dźwięk dzwonek i senny szum rzeki na dole, i głębokie, jęklive westchnienie boru w ciszy ciepłego dnia. Serce Krystyny drżało jak liść wśród tej ciszy.

Tęsknota ciągnęła ją naprzód – i tęsknota ciągnęła ją z powrotem do dworu i doliny. Obrazy przesuwają się szybko i bez związku przed okiem jej duszy: drobne, codzienne wydarzenia. Widziała siebie samą, biegnącą co tchu z pastuszkami przez rzadki las poniżej hali. Krowa ugrzęzła im w bagnie. Słońce świeciło mocno; gdy przystanęła na chwilę i nasłuchiwała, czuła, jak pot piecze jej skórę. I widziała znowu dziedziniec dworski z wielkimi śnieżnymi zaspami, szary, burzliwy dzień zmierzający w dziką zimową noc, o mało co nie

zawiało jej na powrót do przedsionka, kiedy otworzyła drzwi, wicher zapierał jej dech. Nagle wyłonili się z mroku dwaj ludzie w futrzanych kubrakach, do niepoznanego ośnieżenia: Ivar i Skule wracali do domu. Czubki ich nart tonęły głęboko w śniegu nawianym przez wicher dmący od północy; w dwu miejscach na dziedzińcu tworzyły się wtedy zawsze wielkie śnieżne zaspasy. Niespodziewanie pomyślała z lubą tęsknotą o tych zaspach, które ona i cała czeladź co dnia przeklinała: czuła się tak, jak gdyby ich nigdy więcej nie miała ujrzeć.

Miała uczucie, iż tęsknota rozsadza jej serce; niby strumienie krwi płynęły jej myśli tu i tam żłobiąc sobie drogi ku wszystkim miejscom w tym rozległym kraju, gdzie zbiegło jej życie, ku wszystkim synom, błakającym się po szerokim świecie, i ku wszystkim zmarłym, spoczywającym snem wiecznym pod ziemią. Zastanowiła się: a może jest chora? Tak nie czuła się jeszcze nigdy.

Nagle spostrzegła, że Gaute siedzi bez ruchu i wpatruje się w nią. Uśmiechnęła się prędko jakby się usprawiedliwiając; już czas, by się pożegnali.

Gaute zawołał konia pasącego się opodal. Pobiegł za nim, potem wrócił i pożegnał się z matką. Krystyna zarzuciła już sakwę na plecy, syn wsunął już nogę w strzemień, gdy nagle obrócił się i zbliżył o krok do niej.

– Matko! – Przez mgnienie oka mogła zajrzeć na samo dno jego bezradnej, zawstydzonej duszy. – Pewnie byliście nie bardzo zadowoleni w ostatnim roku... Matko, Jofrida ma jak najlepsze chęci, żywi ona dla was ogromny szacunek, mimo to powinienem był opowiadać jej więcej o tym, jaką kobietą jesteście i zawsze byliście.

– Co za myśli nawiedzają cię, mój Gaute? – Mówiła łagodnie i ze zdziwieniem. – Pewnie, wiem, że mój Gaute to nie młoda kobieta, wygodzić zaś starym ludziom trudno, ale przecie znowu nie taka wiekowa, bym nie mogła zrozumieć ciebie i twojej żony. I martwiłoby mnie bardzo, gdyby Jofrida sądziła, że niewdzięczny trud wzięła na siebie chcąc mi ulżyć w najcięższej pracy. Nie myśl, synu, że nie potrafię dostatecznie ocenić cnót twojej żony oraz twojej synowskiej miłości; a jeśli nie okazałam wam tego tak, jak słusznie mogliście się spodziewać, to musicie mieć wyrozumienie dla mnie i pomyśleć, że starzy ludzie tacy już są.

Gaute zapatrzył się na matkę z otwartymi ustami:

– Matko!

Wybuchnął płaczem, oparł się o wierzchowca i stał, wstrząsany łkaniem.

Lecz Krystyna pozostała silna; w jej głosie brzmiały jedynie zdumienie i macierzyńska dobroć.

– Mój Gaute, młody jesteś jeszcze i tak już jakoś się złożyło, żeś ty właśnie był zawsze moim ulubieńcem, jak mawiał twój ojciec. Lecz mimo to nie wolno ci się tak zachowywać, mój synu, teraz, kiedyś jest gospodarzem na dworze i dojrzałym mężem. Jeszcze gdybym szła do Rzymu lub Jerozolimy, lecz chyba na tej drodze nie grożą mi żadne wielkie niebezpieczeństwa. Towarzystwo na pewno znaję, wiesz przecie, że od Tqftar o tym czasie każdego ranka wyruszają pielgrzymki.

– Matko, matko, przebacz nam! Jakże mogliśmy w ten sposób wydrzeć całą władzę z waszych rąk, zepchnąć was w kąt!

Krystyna potrząsnęła z lekkim śmiechem głową:

– Obawiam się, iż wy, dzieci, uważacie mnie za żadną władzy niewiastę.

Gaute zwrócił się ku niej. Wzięła jego rękę w swoją, drugą zaś położyła mu na ramieniu i raz jeszcze prosiła, by nie sądził, że jest niewdzięczna względem niego lub Jofridy. Potem poleciła go Bogu, popchnęła w stronę konia i uderzyła ze śmiechem między łopatki. To miało rzekomo przynosić szczęście.

Długo stała i patrzyła za nim, aż zniknął poniżej na zboczu. Jak okazało i pięknie wyglądał na swym wielkim, karym rumaku! Tak jej było dziwnie i cudownie. Wszystko dokoła odczuwała z nieprawdopodobną wyrazistością: drgające w słońcu powietrze, gorącą woń sosnowego lasu, szelest maleńkich żyłatek w trawie. Ale jednocześnie w niej samej wyłaniały się obrazy podobne gorączkowym majakom, jej wewnątrz było pustym domem, głuchym, ciemnym i odludnym. Zjawia ta ustępowała innej – jakieś wybrzeże morskie, z którego woda odpłynęła daleko, jasne, wygładzone kamienie, kłęby martwych, ciemnych morskich, wszelakie szczątki.

Potem poprawiła worek na plecach, wzięła kij w rękę i poczęła schodzić w dolinę. Jeśli nie było jej przeznaczone wrócić w te strony,

była to wola Boża, nie miało sensu bać się. Ale rzeczywista przyczyna lęku leżała raczej w tym, że Krystyna się starzała. Przeżegnała się i kroczyła rażniej; mimo wszystko pragnęła bardzo zejść niżej, gdzie droga biegła między dworami.

Przez moment tylko widać było z gościńca wysoko na skraju góry domostwa na Haugen. Serce jej poczęło bić mocno.

Jak oczekiwała, spotkała wielu pątników na Toftar, kiedy przybyła tam pod wieczór. Nazajutrz rano całą gromadą ruszyli w góry.

Ksiądz jakiś z pachołkiem oraz dwiema kobietami, matką i siostrą, jechali konno, toteż zaraz wyprzedzili znacznie pieszych pielgrzymów. Widok tej kobiety jadącej z dwojgiem dzieci boleśnie wstrząsnął Krystyną.

W jej gromadce znaleźli się dwaj starsi chłopcy z małego dworu na Dovre. Poza tym dwaj młodzi rzemieślnicy z Oslo tudzież pewien chłop z córką i jej mężem; ci ostatni byli zupełnie młodzi. Mieli z sobą córeczkę, półtoraroczne dziecko, oraz konia, na którym na przemian jechali. Owych dwoje ludzi pochodziło z leżącej na południu kraju doliny Andabu, Krystyna nie miała pojęcia, gdzie leży ta dolina. Pierwszego zaraz wieczora poprosiła Krystyna, by jej pozwolono obejrzyć dziecko, bo ustawicznie płakało i jęczało. Wyglądało istotnie żałośnie ze swą wielką, łysą głową i małym wiotkim ciałkiem; nie umiało mówić ani siedzieć prosto. Matka widocznie wstydziła się dziecka i gdy Krystyna na drugi dzień ofiarowała się nieść dziewczynkę, pozostawiła jej małą zupełnie, a sama wyprzedziła ją znacznie. Zdawała się być wyrodną matką. Ale zarówno ona, jak i mąż byli bardzo młodzi, mieli zaledwie po osiemnaście lat; mogła więc być zmęczona ciągłym noszeniem płaczącego dziecka. Dziadek był szkaradnym, osowiałym mrukiem, lecz to on właśnie pragnął zawieźć wnuczkę do Nidaros, lubił ją widać zatem. Krystyna z nim oraz dwoma franciszkanami szła na końcu gromady i gniewało ją, że młodzian z Andabu nigdy nie pożyczył swego konia mnichom; każdy przecie widział, że młodszy z nich jest ciężko chory.

Starszy, brat Arngrim, był otyłym, niskim człowieczkiem, z okrągłym, piegawatym obliczem, z żywymi piwnymi oczyma i wieńcem

rudych włosów na łysej czaszce. Prawił bez ustanku o ubóstwie, w jakim żyli. Pochodzili z zakonu braci bosych w Skidanie, dostali wprawdzie niedawno dwór w mieście, lecz byli tak niesłychanie biedni, że mieli trudności z odprawianiem nabożeństw, kościół zaś, który zamierzali budować, na pewno nigdy nie stanie. Arngrim przypisywał winę za to ubóstwo bogatym zakonnicom w Gimsöy, które prześladowały biednych braci niechęcią i zawiścią i wszczęły nawet prawny spór z nimi; z lubością opowiadał o nich najgorsze rzeczy. Krystyna nie bardzo była zachwycona mowami mnicha; jego gadanie, że ksieni nie została wybrana w sposób zgodny z prawem kanonicznym, że siostry przesypiają pory modlitwy, że plotkują i w refektarzu prowadzą nieobyczajne rozmowy, nie wydawało się jej wiarogodne, ba, o jednej z siostr opowiadał wprost, że ludzie nie wierzą, jakoby żyła w cnocie i czystości. Ale mimo to Krystyna widziała, że brat Arngrim jest dobroduszny i życzliwy. Kiedy jej ścierpły ramiona, długi czas niósł chore dziecko, a gdy zaczęło wrzeszczeć, pobiegł z nim pędem przez pola, podkasawszy wysoko habit, tak że jałowiec smagał go po czarnych, kudłatych tydkach, a woda tryskała z kałuż, gnał spory kawał za matką dziecka i krzyczał, aby czekała, bo dziecko jest głodne. Za czym znowu wrócił do chorego brata Torgilsa; do niego odnosił się jak najdelikatniejszy i najczulszy ojciec.

Niepodobna było nawet myśleć o tym, by orszak wędrowców z chorym mnichem zaszedł przed nocą do Hjerdkinn; lecz dwaj chłopcy z Dovre znali kamienną chatę nad jeziorem, nieco w bok od drogi, wszyscy przeto skierowali się w tę stronę. Tymczasem wieczór zrobił się chłodny. Brzegi jeziora były bagniste, z moczarów wznosiły się białe opary, niskopienny brzozy las ociekał rosą. Mały sierp księżycy stał na zachodzie między szczytami, prawie tak samo błądy i żółty jak niebo. Coraz częściej musiał brat Torgils przystawać; kaszlał tak strasznie, że serce się wprost krajało. Brat Arngrim wspierał go, obcierał mu twarz i ręce i pokazywał potem swe dłonie Krystynie; były całe skrwawione.

Wreszcie odnaleźli chatę, lecz była zawalona. Wyszukali więc zaciszne miejsce na nocleg i rozniecili ognisko. Biedacy z południa kraju nie mieli pojęcia, że noc w górach może być tak lodowato zimna.

Krystyna wydobyła z sakwy okrycie, do zabrania którego zmusił ją Gaute; było ono lekkie i ciepłe, z zagranicznego sukna, obramowane bobrowym futrem. Kiedy otuliła w nie brata Torgilsa, szepnął cichutko, iż chętnie weźmie dziecko do siebie. Dano mu je więc; dziecko płakało, a mnich kaszłał, ale chwilami spali przecież oboje.

Przez pierwszą część nocy czuwała przy ognisku Krystyna z chłopem z Dovre oraz bratem Arngrimem. Bładawa żółtość na niebie przesuwała się z wolna ku północy. Jezioro rozpościerało się białe i ciche, ryby wynurzały się tu i ówdzie na powierzchnię, na wodzie tworzyły się wtedy koła; lecz po przeciwległej stronie pod skalnym szczytem woda była czarna i ponura. Nagle doszedł ich uszu okropny, przeraźliwy krzyk z tamtej strony; mnich wzдрыgnął się i chwycił mocno towarzysza za ramiona. Krystyna oraz chłop mniemali, że to jakieś zwierzę, gdy wtem posłyszeli toczące się kamienie, jak gdyby ktoś tam schodził w dół po usypisku, przy czym znowu doleciał ich krzyk, jakby zachrypnięty głos mężczyzny. Mnich jął się głośno modlić: – *Jesus Christus, Soter* – zrozumiała – i: *Vincit leo de tribu Juda*¹ – po czym usłyszeli, że na dole pod skałą zatrzęsnięto jakieś drzwi.

O brzasku, kiedy piarg po drugiej stronie i brzozowy las koło nich były już widoczne, drugi chłop z Dovre i rzemieślnik z Oslo złuzowali Krystynę. Ostatnią myślą, jaka przebiegła jej przez głowę, nim zasnęła przy ogniu, było, iż przy tak powolnej podróży będzie musiała wypraszać sobie jadło po dworach w dolinie Gaul, żebrzącym mnichom musi przecie też dać coś na pożeganie.

Słońce stało już dość wysoko i jezioro lekko wzburzone porannym wiatrem pociemniało nieco, kiedy przemarznięci do szpiku kości skupili się koło brata Arngrima odmawiającego ranny pacierz. Skulony, dygocący z zimna brat Torgils usiłował wstrzymać się od kaszlu, gdy pomrukując szeptał pacierz razem z nimi. Kiedy Krystyna ujrzała dwa szare niby popiół habity, rozświetlone słońcem, przypomniała sobie, iż śnił się jej brat Edwin; nie pamiętała już dokładnie snu, ale na klęczkach ucałowała ręce obu mnichów prosząc ich, by pobłogosławili gromadzie.

¹ Jezus Chrystus, Zbawiciel. – Zwyciężył lew z pokolenia Judy.

Po obramowanym bobrami okryciu Krystyny poznali pielgrzymi, że nie pochodzi ona z prostaków. A gdy przypadkiem wyrwało jej się, że dwukrotnie już wędrowała królewską drogą przez Dovre, została jakby przywódczynią całej drużyny. Chłopi z Dovrè nie zaszli jeszcze nigdy dalej niż do Hjerdkinn, ludzie zaś z południa nie znali zgoła tych stron.

Do Hjerdkinn przybyli przed nieszporama; po nabożeństwie w kaplicy Krystyna oddała się od zabudowań. Pragnęła odszukać ścieżkę, którą szła ongi z ojcem, i miejsce nad potokiem, gdzie siedzieli. Nie znalazła go wprawdzie, ale zdawało jej się, że poznaje wzgórze, na które się wówczas wspięła, aby go raz jeszcze ujrzeć, chociaż te wszystkie niewielkie pagórki były do siebie ludzaco podobne.

Przykłęka w borówkowych krzewinach na szczycie wzgórza. Zapadał już letni zmierzch; brzoźowe gaje, szare piarżyska i brunatne pasy porostów zlewały się z sobą, ponad rozległym górzystym krajem sklepiło się wieczorne niebo nieskończenie głęboką i przejrzystą czarą. Przeglądało się białe w każdej kałuży, niespokojnie łamało się jego odbicie w małym strumyku, spieszącym wartko po kamykach i gubiącym się w jasnych ławicach żwiru wokół małego jeziora na moczarach.

I znowu spłynęło na nią owo wewnętrzne, dziwne, do gorączkowych zjaw podobne widzenie: ujrzała odbicie własnego życia w obrazie płynącej rzeki. I ona gnała tak samo bez wytchnienia przez odmęty doczesności miotając się i szamocąc przy każdym głazie, który trzeba było przekroczyć – i tylko słabo, blade i załamane, odbijało się wiekuiste światło w jej życiu. Ale zamajaczyło w niej niejasne uczucie, że dopiero w śmiertelnej trwodze i trosce, i miłości – za każdym razem, kiedy dojrzywał w niej owoc grzechu – jej oporna, skuta z ziemią dusza była w stanie pochwycić odblask niebiańskiej światłości. „Bądź pozdrowiona, Maryjo, łaski pełna, błogosławiona między niewiastami, i błogosławiony owoc żywota Twego, Jezus, który za nas poccił się krwawym potem”.

I podczas gdy odmawiała pięć Ave na pamiątkę bolesnych misteriów odkupienia, czuła, iż ze swymi troskami ucieka się teraz pod płaszczy Bogarodzicy – ze swą żalobą z powodu straconych dzieci i z jeszcze cięższym cierpieniem z powodu każdego ciosu, który

godził w jej synów, a którego odwrócić nie mogła. Maryja, doskonała w czystości i pokorze, posłuszna woli Ojca i najbardziej ze wszystkich matek utrapiona, dojrzy w swym przeogromnym miłosierdziu błady, słaby błysk w sercu grzesznicy, które przepalone żarem namiętności i wszystkimi grzechami tkwiącymi w naturze miłości – uporem i nieposłuszeństwem, twardością i zawziętością, pychą i przekorą – pozostała przecież sercem matki.

Krystyna ukryła twarz w dłoniach. Przez mgnienie oka zdawało jej się, że to jest więcej, niżeli znieść mogła, że będzie teraz żyła z dala od wszystkich swych synów.

Potem odmówiła ostatnie *Ojcze nasz*. Przyszło jej na myśl pożegnanie z ojcem w tym samym miejscu przed tyłu, tyłu laty i pożegnanie z Gautem przed dwoma dniami. W dziecięcej bezmyślności skrzywdzili ją synowie; ale wiedziała, że gdyby nawet skrzywdzili ją tak jak ona niegdyś swego ojca, w grzesznym zamiarze, nie zmieniłoby to w niczym jej uczucia do nich. Własnym dzieciom łatwo jest wybaczyć.

Gloria Patri, et Filio, et Spiritui Sancto, modliła się i całowała krzyż otrzymany w dzieciństwie od ojca, w pokornej wdzięczności za to, że czuła, jak mimo wszystko jej niespokojne serce zdolne jest przyjąć w siebie błady odblask owej miłości, którą widziała w duszy ojca, miłości tak przejrzystej i spokojnej jak odbicie pogodnych niebios w dalekim jeziorze.

Nazajutrz dzień był tak słotny, wietrzny i mglisty, że Krystyna bała się iść dalej z chorym dzieckiem i bratem Torgilsem. Ale on sam najbardziej rwał się naprzód i Krystyna pojęła, że obawiał się umrzeć, zanim jeszcze staną w Nidaros. Ruszyli przeto w drogę przez góry, lecz wkrótce otoczyła ich mgła tak gęsta, że Krystyna bała się iść dalej po spadzistych ścieżkach biegnących wzdłuż stromo opadających zboczy, pamiętała jeszcze dobrze niebezpieczną drogę do gospody w dolinie Driv. Rozniecili tedy na przetęczy wielki ogień i sposobili się na noc. Po wieczornym pacierzu brat Arngrim opowiedział im piękną legendę o statku, któremu groziło rozbicie, a który na prośbę pewnej ksieni wyratowała Najświętsza Panna rozkazując gwieździe porannej wzejść nad morzem.

Mnich podczas drogi bardzo polubił Krystynę. Kiedy siedziała przy ogniu i uspokajała dziecko, żeby inni mogli spać, przysunął się do niej i ją szeptem opowiadać historię własnego życia. Był synem ubogiego rybaka i gdy miał czternaście lat, stracił pewnej zimowej nocy na morzu ojca i brata, sam jednak został wyratowany przez inną łódź. Uważał to za cud, nadto żywił od tej pory okropny strach przed morzem; tak więc dojrzało w nim postanowienie, by zostać mnichem. Ale jeszcze przez trzy lata musiał pozostać przy matce. Głodowali przez ten czas nieraz i źle im się wiodło, on zaś stale ze strachem wchodził do łodzi; potem jego siostra wyszła za mąż i szwagier przejął chałupę i udział w łodzi¹, a on mógł się udać do franciszkanów w Tunsbergu. Musiał się zrazu nasłuchać sporo drwiących uwag z powodu swego pośledniego stanu, gwardian jednak był mu przychylny i wziął go w opiekę. A odkąd brat Torgils syn Olafa wstąpił do zakonu, wszyscy mnisi stali się pobożniejsi i cichsi biorąc przykład z niego, który był taki pobożny i łagodny, chociaż pochodził z najzaczniejszego rodu. Był potomkiem majątnej chłopskiej rodziny ze Słagn, a jego matka i siostry sownie wspierały klasztor. Lecz wszystko pogorszyło się znowu, odkąd przybyli do Skidanu i Torgils zachorował. Brat Arngrim dziwił się bardzo, że Chrystus i Maryja taką kamienistą drogą każą kroczyć biednym braciom.

– Oni również wybrali ubóstwo, gdy żyli na ziemi – powiedziała Krystyna.

– Pewnie, tobie łatwo mówić, takiej bogaczce – rzekł ze złością mnich. – Nigdy chyba nie zaznałaś głodu. – I Krystyna musiała przyznać, że tak w istocie było.

Kiedy zeszli już w okolice zamieszkałe i wędrowali przez doliny Up i Sokna, brat Torgils miał od czasu do czasu sposobność jechać konno lub na wozie, lecz siły opuszczały go coraz bardziej; grupa Krystyny zmieniała się też ustawicznie, gdyż starzy towarzysze odchodzili, nowi natomiast przyłączali się po drodze. Kiedy przybyła do Staurin,

¹ Łódź ojca Arngrima, jak wiemy, zatoneła, chłopiec musiał więc zostać członkiem spółki rybackiej, która posiadała własną łódź do połowów morskich; każdy z członków takiej spółki był współwłaścicielem owej łodzi.

z całej gromady, z którą przechodziła przez góry, pozostali jedynie obaj mnisi. Rankiem zaś przyszedł do niej z płaczem Arngrim i oświadczył, że Torgils miał w nocy ciężki krwotok i dalej iść nie może; teraz pewnie nie zdążą już na odpust do Nidaros.

Krystyna podziękowała braciom za towarzystwo oraz duchową pomoc i opiekę podczas drogi. Brat Arngrim był snadź zaskoczony bogatym darem, jaki im dała na pożegnanie, bo całe jego oblicze rozpromieniło się. Chciał jej również dać coś w zamian; wyciągnął ze swej sakwy szkatułę z kilkoma listami. Na każdym wypisana była piękna modlitwa, a na końcu wszystkie imiona Boga, u dołu na pergaminie było wolne miejsce dla wpisania imienia modlącego się.

Krystynie nie wydawało się prawdopodobne, by mnich cokolwiek o niej wiedział, choćby to, czyją była żoną i jaki los spotkał jej męża, nawet jeżeli wymieni imię ojca. Mimo to prosiła go, aby wpisał tylko: wdowa Krystyna.

W dolinie Gaul wybierała rozmyślnie drogi idące skrajem osiedli; obawiała się, że ludzie z wielkich dworów mogliby w niej poznać byłą dziedziczkę z Husaby, a tego, sama nie wiedząc czemu, chciała koniecznie uniknąć. Na drugi dzień leśnymi ścieżynami pośród wzgórz weszła na Vatskfeldet, gdzie stał mały kościółek pod wezwaniem Jana Chrzyciela. Lud jednak nazywał go kościołem świętego Edwina.

Kaplica stała na polance wśród gęstego boru; ona i wzgórze poza nią odbijały się w stawie, z którego wypływał uzdrawiający potok. Nad nim stał drewniany krzyż, wokół leżały porzucone kule i laski ozdowieńców, na gałęziach wisiały strzępy starych bandaży.

Kościółek otaczał niewysoki płot, furtka jednak była zamknięta. Krystyna uklekła przed nią i przypomniała sobie, jak to siedziała niegdyś w tym kościele z chorym Gautem na kolanach. Była wtedy odziana w jedwabie, siedziała pośród najzacieńszych gospodyń, sira Eilif stał obok niej i trzymał za rękę Naakkvego i Björgulfa, wśród ludu zebranego przed wrotami znajdowali się jej pachołcy i dziewczki. Zanosila wtedy gorące modły do Boga: jeśli to dziecię odzyska rozum i zdrowie, nie będzie pragnęła niczego więcej, nie chce nawet wypowiedzieć życzenia, by Bóg odjął jej ten uprzykrzony ból w krzyżach, który ją gnębił od urodzenia bliźniąt.

Pomyślała o Gautem, siedzącym dumnie i wspaniale na swym mocnym rumaku. A ona sama... zaprawdę niewiele kobiet w jej wieku – bliska wszak była pięćdziesiątki – cieszyło się takim zdrowiem; przekonała się o tym podczas uciążliwej wędrówki przez góry. Panie, daj mi jeszcze tylko to i to, i tamto, to będę ci dziękować i już o nic więcej nie będę prosiła, tylko jeszcze o to i o to, i o to.

Pewnie, nie prosiła Boga nigdy o nic więcej, tylko o to, aby zawsze zostawił jej własną wolę. I zawsze niemal działało się tak, jak sobie życzyła. A teraz siedziała tu oto ze skruszonym sercem, nie dlatego że przeciw Bogu zgrzeszyła, lecz że aż po koniec ziemskiej wędrówki dane jej było iść za własną wolą.

Nie przysłała do Boga ze swym wiankiem i nie przysłała do Niego ze swym grzechem i cierpieniem, nie przysłała do Niego dopóty, dopóki świat miał dla niej choć kroplę słodyczy, aby wsaczyć ją do jej pucharu. Teraz dopiero przysłała, ponieważ pojęła, że świat jest niczym oberża: ten, kto nie ma na opłacenie, zostaje wypędzony za drzwi.

Nie czuła radości przy tym postanowieniu, lecz zdawało jej się, że nie sama postanowiła. Owi biedacy, którzy weszli do jej izby, przybyli, aby ją stamtąd wypędzić. Obca, nie własna wola postawiła ją pośród gromady biednych i chorych i kazała jej iść wraz z nimi, opuścić dom, gdzie tyle lat sprawowała rządy i gdzie władała jako matka mężów. A jeśli bez wielkiego oporu zgadzała się na to, czyniła to jedynie w przekonaniu, że Gautemu lepiej będzie się wiodło, gdy jej nie będzie na dworze. Ukształtowała los według swej woli, otrzymała od życia wszystko, co chciała, synów jednak nie mogła stworzyć wedle swej woli; byli tacy, jakimi Bóg ich stworzył, i kierowali się własną wolą, wobec nich była zawsze upośledzona. Gaute był dobrym gospodarzem, zacnym małżonkiem i wiernym ojcem, prawym i godnym mężem, ale na przywódcę nie był stworzony, nie okazywał też zgoła gorliwości ni ochoty do tego, czego ona tak gorąco dla niego pragnęła. Lecz kochał matkę serdecznie, dręczyło go więc poczucie, iż ona czegoś innego po nim oczekuje. Dlatego chciała teraz prosić o dach nad głową i przytułek, mimo że duma jej cierpiała boleśnie z powodu tego zubożenia: nie posiadała nic, co by mogła w zamian ofiarować.

Ale zarazem pojęła, że musiała tu przybyć. Szpilkowy las na wzgórzu poił się błękitnym blaskiem i szumiał ożywczo; mały kościółek był zamknięty i cichy, pachnący smołą. Tęsknie myślała Krystyna o zmarłym mnichu, który ją, niewinną dziecinę, wziął za rękę i poprowadził pod prześwietlony płaszcz Chrystusowej miłości; który wyciągał ku niej rękę chcąc ją sprowadzić z manowców, wciąż i wciąż na nowo, zarówno za swego ziemskiego żywota, jak też po śmierci. I nagle zupełnie wyraźnie przypomniała sobie sen o bracie Edwinie, śniony onegdaj.

Śniło jej się, że stoi na zalanym słońcem dziedzińcu jakiegoś wielkiego dworu i że brat Edwin wychodzi z drzwi domu. W ręce trzymał chleb, a kiedy zbliżył się do niej, odłamał duży kawał i podał jej – i pojęła, że stało się tak, jak przewidziała: gdy zeszała w doliny, do gmin, prosiła o jałmużnę, potem jednak w jakiś niepojęty sposób spotkała się z bratem Edwinem; oboje szli razem i żebrali. Ale jednocześnie widziała, iż sen ma podwójne znaczenie: ów dwór był nie tylko wielkim dworem, ale zarazem świętym miejscem, brat Edwin zaś należał do czeladzi. A chleb, który łamał, był nie tylko zwykłym chlebem, ale zarazem oznaczał hostię, panis Angelorum, i z jego rąk przyjęła ów chleb anielski. Tak więc teraz złożyła swoje ślubowanie w ręce brata Edwina.

5

Krystyna córka Lavransa siedziała i wypoczywała po trudach drogi na stogu siana przy drodze poniżej twierdzy Syjonu¹. Słońce świeciło, dał lekki wiatr, nie skoszona część łąki falowała czerwono kwitnącymi, jedwabistymi kłoskami; takie szkarłatne były łąki jedynie tu, w Trøndelag. Poniżej lesistego zbocza widziała stąd wąski, granatowy pas fiordu z falami zwieńczonymi bielą pian. Wzbierający przypływ bił o nadbrzeżne skały wzdłuż całej drogi, jak daleko mogła ją widzieć z zieleniejącego lasami przylądka.

Krystyna zaczerpnęła głęboko tchu. Bądź co bądź dobrze było przebywać tu znowu, chociaż osobliwe było to uczucie, że już nigdy

¹ Nazwana tak przez króla Sverrego.

nie miała stąd odejść. Szare siostry w Rein żyły według tej samej reguły świętego Bernarda, co bracia na Tautra. Wiedziała, że gdy o brzasku wstanie i pójdzie na jutrznię do kościoła, to w tej samej chwili Naakkve i Björgulf udawać się będą na swe miejsce w chórze mnichów. Zatem na starość będzie przecie żyła razem z dwoma swymi synami, chociaż nie tak, jak kiedyś myślała.

Zdjęła trzewiki i pończochy, obmyła nogi w potoku. Do Nidaros chciała iść boso.

Za nią na drodze prowadzącej w górę do zamku dokazywało kilku chłopaków; wspięli się w górę pod bramę kasztelu i próbowali znaleźć wejście do opuszczonej twierdzy. Dostrzegłszy Krystynę jęli rzucać w jej stronę zuchwałe wyzwiska śmiejąc się i hałasując. Udawała, że nie słyszy, aż jeden z malców – najwyżej ośmioletni – stoczył się po stromym zboczu w dół wprost na nią, wykrzykując przy tym coś paskudnego, co w swawoli powtarzał po starszych. Krystyna zwróciła się do niego z uśmiechem:

– Nie potrzebujesz aż tak głośno wrzeszczeć, bym poznała, żeś jest dzieckiem trollów; widzę to po tym, że masz portki trolla na sobie.

Chłopcy posłyszawszy, że Krystyna odpowiada, całą hurmą skoczyli ku niej. Ale umilkli zawstydzeni ujrawszy starszą niewiastę w pątniczej szacie, która ich wcale nie łajała za urwisowskie zachowanie, tylko patrzyła na nich wielkimi, spokojnymi oczyma, z lekkim cichym uśmiechem na wargach. Twarz miała wychudłą, czoło szerokie, podbródek mały i foremny; była mocno opalona i miała pełno zmarszczek pod oczami, ale mimo to wyglądała niezbyt staro.

Najśmielsi chłopcy jęli śpiesznie mówić i rzucać pytania chcąc ukryć zmieszanie. Krystynie na śmiech się zbierało, chłopcy przypominali żywo jej bliźniaków za młodu, chociaż wierzyła, że jej dzieci nie używały nigdy tak nieprzyzwoitych słów. Ci chłopcy byli widać dziećmi prostych ludzi z miasta.

A kiedy wreszcie nadeszła chwila, za którą Krystyna podczas całej wędrówki tęskniła, kiedy stanęła pod krzyżem na Feginsbrekka i patrzyła w dół na Nidaros, nie mogła osiągnąć skupienia potrzebnego do modlitwy i rozmyślań. Wszystkie dzwony miasta zabrzmiały w tej chwili i jęły dzwonić na nieszpory; lecz chłopcy gadali zapalczywie i chcieli jej objaśnić wszystko, co widziała.

Tautra nie mogła teraz dostrzec, poniżej Frosta bowiem przechodziła właśnie nad fiordem burza niosąc ze sobą tumany mgły i strugi deszczu.

W otoczeniu hałaśliwej gromady kroczyła ścieżką pośród skał w dół ku miastu. Naokoło dzwoniły dzwonki bydła i pokrzykiwali pasterze; krowy wracały z pastwisk do obór. Przy wrotach twierdzy nad Nidareid musiała Krystyna wraz z młodymi towarzyszami počekać, aż przepędzą bydło. Pastuchy nawoływali i wrzeszczeli co siłą, woły walczyły ze sobą, krowy cisnęły się naprzód, a chłopcy objaśniali ją, do kogo należy ten lub ów byk. A kiedy w końcu minęli bramę i weszli w ulice grodu, musiała Krystyna uważać na to, gdzie stawiać bosc stopy wśród krowiego gnoju w rozmokłych ulicach.

Kilku chłopców odprowadziło Krystynę z własnej woli aż do katedry. A gdy stanęła w mrocznym lesie kolumn i zwróciła wzrok ku światłom i złoceniom prezbiterium, dzieci szarpały obcą za spódnice i chciały jej koniecznie wszystko pokazać, począwszy od barwnych plam na sklepieniu, jakie rzucało słońce przez witraże rozety, i od grobowych płyt na podłodze aż do baldachimów z drogocennych materii nad ołtarzami – oczywiście same rzeczy wpadające dzieciom w oko. Krystyna nie miała chwili spokoju na skupienie myśli; lecz każde słowo wymówione przez chłopców budziło w jej duszy głuchą tęsknotę nie tylko za rodzonymi, własnymi synami, ale także za dworem, zabudowaniami, stodołami, bydłem, za znojem matki i za władzą matki!

Jeszcze wciąż lękała się, że mogą ją poznać ci, którzy byli ongi przyjaciółmi jej i Erlenda. Wtedy w czasie uroczystości i świąt przebywali na swych własnych dworach w mieście goszcząc u siebie znajomków; wzdrygnęła się na samą myśl o spotkaniu teraz kogokolwiek z nich. Chciała odwiedzić Ulfa syna Haldora, on to bowiem zarządzał do tej pory udziałami dworskimi, które tu na północy jeszcze posiadała i które miała zamiar zapisać jako prebendę klasztorowi w Rein. Pewnie jego kręwniacy ze Skaun bawili u niego w gościnie, wołała więc zaczekać. Wiedziała jednak, że pewien człowiek ze świty Erlenda osiadł na małym dworze poza miastem na Bratören. Żył tu z rybołówstwa, a nadto utrzymywał nad morzem zajazd dla chłopów.

Wszystkie budynki są już przepelnione, odpowiedziano jej, gdy pytała o nocleg. Potem wyszedł sam Aamunde i poznał ją natychmiast; dziwne miała uczucie, gdy powitał ją dawnym imieniem.

– Nie, chyba mnie oczy nie mylą, ale to przecie... czyście wy nie małżonką Erlenda z Husaby? Bądź pozdrowiona, Krystyno, co za traf, żeś przybyła na mój dwór!

Był ogromnie rozradowany, że Krystyna chciała się zadowolić noclegiem, jaki mógł jej ofiarować; przyrzekł też zaraz po święcie popłynąć z nią na Tautra.

Do późnej nocy siedziała z Aamundem na dziedzińcu i gwarzyła z nim; wzruszyła się serdecznie widząc, jak były podwładny Erlenda miłuje go i czci wspomnienie swego młodego dowódcy. Aamunde użył kilkakrotnie określenia „młody” mówiąc o Erlendzie. Od Ulfa wiedziano tutaj o jego strasznej śmierci i rybak opowiadał, że zawsze, ilekroć spotyka się z którymś ze starych towarzyszy z Husaby, piją za pamięć pana; dwakroć zaś złożyli się i ufundowali mszę w rocznicę jego śmierci. Aamunde dopytywał się pilnie o synów Erlenda, Krystyna znowu ciekawa była, co się stało ze starymi znajomymi. Północ już minęła, kiedy wreszcie położyła się obok żony rybaka; chciał on zrazu koniecznie, by oboje ustąpili jej łoża, w końcu musiała przyjąć z podzięką przynajmniej jego miejsce.

Nazajutrz, w dzień świętego Olafa, Krystyna od wczesnego ranka kręciła się po porcie i przypatrywała się ożywionemu ruchowi na przystani. Serce jej poczęło głośno walić na widok opata z Tautra; lecz towarzyszący mu zakonnicy byli wszyscy starzy.

Na długo przed nieszporami płynęły masy ludzi do kościoła Chrystusa; wszyscy niesli albo prowadzili chorych i kaleki, by zdobyć dla nich dogodne miejsce w pobliżu relikwiarza, który miał być nazajutrz po nabożeństwie obnoszony w procesji.

Krystyna podeszła do straganów rozłożonych na placu kościelnym: sprzedawano tu przeważnie żywność, napoje i gromnice oraz poduszki wyplatane z trzciny i brzoźowych gałązek, które podkładano w kościele pod kolana. Tutaj spotkała znowu ludzi z Andabu i potrzymała dziecko kobiecie, która tymczasem poszła napić się piwa. W tej

chwili nadciągnął pochód angielskich pielgrzymów ze śpiewem, chorągwiami i płonącymi świecami. W zamęcie, który teraz powstał, ponieważ przybysze chcieli przedostać się przez tłumy skupione koło straganów, Krystyna straciła chłopów z oczu i nie mogła ich później odnaleźć.

Długo błąkała się wśród tłumów uspokajając krzyczące dziecko. Kiedy w końcu nachyliła jego główkę do swej szyi i głaskała je, dziecko jęło szukać ustami piersi. Pojęła, że jest głodne, i nie wiedziała, co począć. Daremnym trudem byłoby szukanie matki, raczej trzeba było iść do miasta i rozejrzeć się za mlekiem. Kiedy jednak dostała się w ulicę wyżej położoną i zamierzała iść dalej, powstał znowu ogromny tłok, z przeciwnej bowiem strony nadjeżdżała gromada jezdnych i równocześnie orszak pachołków z dworca królewskiego, a wszyscy zmierzali na plac między kościołem a dworem kapituły. Krystynę zepchnięto w jakąś boczną uliczkę, ale i tutaj moc jezdnych i panów tłoczyła się w kierunku kościoła i ciżba była tak wielka, że wreszcie musiała wspiąć się na jakiś mur.

Powietrze rozbrzmiewało głośnym dudnieniem dzwonów, w katedrze dzwoniło właśnie na *nona hora*. Słyszac ten dźwięk niemowlę przestało płakać, spojrzało ku niebu i jego tępe oczy rozjaśnił przelotnie rozumny błysk; uśmiechnęło się. Wzruszona pochyliła się stara kobieta i ucałowała nędzne stworzenie. Nagle spostrzegła, że siedzi na murze otaczającym ogród dworu Mikołaja, jej dawnego dworu w mieście.

Jakże mogła nie poznać murowanego komina sterczącego nad darniowym dachem – tyłów swego domostwa! W sąsiedztwie leżały budynki szpitalne, które zawsze złościły Erlęnda, ponieważ chorzy mieli prawo korzystać z jego ogrodu.

Przytuliła dziecko obcej kobiety do piersi, całowała je gorąco. Nagle ktoś dotknął jej kolana.

Mnich jakiś w białym habicie dominikanów, w czarnym kapturze. Spojrzała w żółte, stare, pomarszczone oblicze o zapadłych, wąskich ustach i bursztynowych oczach leżących głęboko w oczodołach.

– Czy to możliwe, czy to naprawdę ty, Krystyno córko Lavransa? – Mnich oparł ręce na murze, skłonił na nie głowę. – Ty tutaj?

– Gunnulf!

Mnich poruszył głową i dotknął jej kolan.

– Tak dziwne wydaje ci się, że tu jestem? – Ale i jej samej przyszło teraz na myśl, że siedzi przecież na murze dworu, który był naprzód jego, potem jej własnością, i zdała sobie sprawę, że jest to doprawdy bardzo dziwne.

– A co to za dziecko trzymasz na kolanach? Chyba to nie syn Gautego?

– Nie, nie. – Na myśl o zdrowej twarzyczce małego Erlenda i jego silnym, kształtnym ciele przygarnęła obce dziecko do siebie, pełna litości. – Jest to dziecię jakiejś kobiety, z którą szłam przez góry.

I niespodzianie ujrzała to, co widział Andrzej syn Szymona w swej dziecięcej mądrości. Ze czią popatrzyła na żalną istotkę.

Dziecko płakało znowu, spytała więc mnicha, gdzie by mogła dostać trochę mleka. Gunnulf zaprowadził ją do klasztoru i wystarał się dla niej o miskę mleka. I podczas gdy Krystyna karmiła dziecko, rozmawiali z sobą, lecz rozmowa wlokła się dziwnie ciężko.

– Dużo wody upłynęło, odkąd po raz ostatni się widzieliśmy, i tak wiele się wydarzyło – rzekła z smutkiem. – Pewnie i tobie ciężko było znieść nowiny, które cię o twoim bracie doszły?

– Panie, świeć nad jego duszą i bądź jej miłościw – szepnęła Gunnulf wstrząśnięty.

Dopiero gdy ją pytać o synów na Tautra, mnich ożywił się nieco. Ze szczerą radością przyjął zakon nowicjuszy, pochodzących z najpocześniejszych rodów kraju. Mikołaj posiadał tak wspaniałe uzdolnienia i takie niebywałe czynił postępy w wiedzy i bogobojności, że przypominał opatowi swego dostojnego przodka, znakomitego bojownika Kościoła, biskupa Mikołaja syna Arnego. Tak było z początku. Lecz w jakiś czas potem Mikołaj począł się źle sprawować i wywoływał niepokój w klasztorze. Gunnulf nie znał dokładnie przyczyn, pewne było tylko jedno: opat Johannes nie chciał się żadną miarą zgodzić, by bracia zostali wyświęceni przed trzydziestym rokiem życia; co do Mikołaja stanowczo przy tym obstawał. A kiedy czcigodny ojciec ujrzał, że Mikołaj więcej czyta i rozmyśla, aniżeli w jego wieku jest dopuszczalne, oraz że przez religijne praktyki ponosi uszczerbek na zdrowiu, chciał go wysłać na jeden z dworów

klasztoru, by tam pod kierunkiem starszych mnichów zajął się pracą w sadzie. Wówczas to pono Mikołaj okazał się nieposłuszny wobec opata; zarzucał braciom, że przez swoje dostatnie życie trwonią dobrą klasztorne, że są opieszali w służbie Bożej i nieprzystojni w mowie. Większość tych spraw nie wyszła, oczywiście, za mury klasztoru, Mikołaj jednak opierał się również bratu, któremu przeor polecił go ukarać. Przez pewien czas trzymano go w karczerze, lecz kiedy przeor zagroził mu, że go rozłączy z Björgulfem i jednego z nich pošle na Munkabu – prawdopodobnie bowiem ślepiec podburza go w ten sposób – Mikołaj ugiął się i zmiękł; stał się zupełnie potulny i przyjął nałożoną na niego pokutę.

– To natura ojca w nim tkwi – rzekł Gunnulf z goryczą. – Spodziewałem się, iż moim bratankom ciężko będzie okazać posłuch i wytrwałość w zbożnym przedsięwzięciu.

– Równie dobrze może to być dziedzictwo matczyne – odparła zmartwiona Krystyna. – Nieposłuszeństwo było moim głównym grzechem, Gunnulfie, a niestała byłam również. Całe życie tęskniłam za tym, aby iść prawą drogą, a jednocześnie nie dbając o to kroczyć po własnych manowcach.

– Po manowcach Erlenda chyba – rzekł mnich posepnie. – Nie jeden raz uwiódł cię mój brat, Krystyno, ale uwodził cię każdego dnia, który z nim przeżyłaś. Nauczył cię zapominać, dlatego nie zdawałaś sobie sprawy, że żywisz myśli, z powodu których musiałabyś się rumienić, gdyż przed Bogiem wszechwiedzącym nie mogłaś ich ukryć.

Krystyna wpatrzyła się nieruchomo przed siebie.

– Nie wiem, Gunnulfie, czy masz słuszość, nie wiem również, czym kiedykolwiek zapomniała, że Bóg patrzy w moje serce. Mój grzech jest zaprawdę większy. Mimo to nie jest tak, jak ty sądzisz; najbardziej muszę się wstydzić nie z powodu mej bezwstydnej żądy i słabości, ale dlatego że moje myśli o mym małżonku były niejednokrotnie gorsze aniżeli jad węża. To ostatnie musiało jednak przyjść po pierwszym; ty sam wszak raz powiedziałeś, że ci, którzy miłowali się najgorętszym pożądaniem, kończą jak żmije kęsające się wzajem.

A jednak ilekroć pomyślałam, iż Erlend bez pomocy i bez spowiedzi musiał stanąć przed tronem Boga, śmiertelnie ugodzony, z gniewem w sercu i dłońmi splamionymi krwią, było mi pociechą, że nie

był taki jak ja: nie przechowywał w swym sercu długo złości i urazy. Gunnulfie, był tak piękny i takie spokojne miał oblicze, kiedy ubierałam jego zwłoki. Czuję, że Sędzia Najwyższy wie, iż Erlend nigdy nie żywił żalu do żadnego człowieka o żadną krzywdę.

Brat patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. Po czym skinął głową.

Po długiej chwili zapytał:

– Czy wiesz, że Eilif syn Serka jest kapelanem i zarządcą u siostr w Rein?

– Nie, doprawdy? – zawołała Krystyna, do głębi uszczęśliwiona.

– Sądziłem, iż z tego właśnie powodu postanowiłaś wstąpić do ich klasztoru – rzekł Gunnulf. Potem oświadczył, że musi już wracać.

Kiedy Krystyna weszła do kościoła, pierwsza nokturna już się rozpoczęła. W podłużnej nawie i przed wszystkimi ołtarzami panował ogromny tłok, ale zakrystian widząc starszą niewiastę z chorym dzieckiem na rękach pchał ją naprzód i torował jej drogę pośród ciżby, tak więc udało jej się dotrzeć do gromady ułomnych i najciężej chorych, zalegających pokotem środek kościoła pod sklepieniem kopuły; stąd mogli bez przeszkód patrzeć na prezbiterium.

W kościele płonęły setki świec; słudzy kościelni odbierali je od pątników i wtykali na zaopatrzone w żelazne kolce małe piramidy ustawione w całym kościele. W miarę jak zapadał mrok i za kolorowymi szybami gasło światło dnia, coraz to bardziej przenikał świątynię swoisty zapach palącego się wosku mieszając się z wolną z kwasowatym i mdłym wyziewem bijącym od łachmanów chorych i biedaków.

Kiedy potężny chór przy wtórze organów, piszczałek, bębnów i harf uderzył o sklepienie, Krystyna pojęła po raz pierwszy, czemu nieraz nazywano kościół nawą: w tej ogromnej kamiennej budowli bytowali ludzie niby na pokładzie statku, a śpiew podobny był do łoskotu morza niosącego ów statek. Od czasu do czasu, kiedy pojedynczy męski głos wzbijał się ponad zwarty tłum, spokój i cisza spływały na okręt, który jak gdyby ślizgał się po ławicy.

Twarz obok twarzy, a wszystkie coraz bledsze i bardziej umęczone,

im dalej noc posuwała się naprzód. Nikt nie wychodził w przerwach między nabożeństwami, w każdym razie nikt z tych, którzy z trudem zdobyli sobie miejsce w środku katedry. Drzemali albo modlili się między poszczególnymi nokturnami. Dziecko przespało prawie całą noc, parę razy musiała mu Krystyna dać trochę mleka z drewnianej flaszki, w którą zaopatrzył ją Gunnulf.

Spotkanie z bratem Erlenda wstrząsnęło nią do głębi; już przedtem każdy krok wiodący na północ zbliżał ją coraz bardziej do wspomnień o zmarłym. W ostatnich latach, kiedy troska o dorosłych synów przesłaniała jej nawet pamięć o własnym losie, niewiele myślała o Erlendzie; a jednak myśl o nim stała tuż za nią, wciąż obecna, tylko nie miała czasu oddać się jej całkowicie. Teraz wydało jej się, że widzi swą duszę w okresie tych łat; żyła ona podobnie, jak żyją ludzie na dworach w drugiej połowie lata, kiedy wyprowadzili się już z wielkiej izby i mieszkają na poddaszu. Cały dzień człowiek kręci się i przebiega koło wielkiej izby, a jednak nie wchodzi do wnętrza, chociaż wystarczyłoby nacisnąć klamkę i otworzyć drzwi. A gdy to uczyni, wtedy izba robi wrażenie niemal uroczyste i obce przez swoją ciszę i dziwną woń samotności.

Lecz w rozmowie z tym człowiekiem, który był ostatnim żyjącym świadkiem zmiennych kolei pomiędzy siejbą a zniwem w jej pożyciu ze zmarłym, miała uczucie, iż doszła do tego, by w inny sposób patrzeć na swoje życie: oto tak, jak się patrzy na rodzimą dolinę z wyniosłości, na której dotąd nigdy się nie było. Znajomy jest każdy dwór i każdy płot, każdy krzak i każdy zakręt rzeki, ale wydaje się człowiekowi, iż po raz pierwszy widzi, w jaki sposób leży to wszystko na tej połaci ziemi. I z tego nowego widzenia przyszły Krystynie niespodziewanie słowa rozwiewające nie tylko jej rozgoryczenie na Erlenda, ale i jej śmiertelny lęk o jego nie przygotowaną na zgon duszę. Nie znał on urazy: widziała to teraz, a Bóg widział zawsze.

Tak więc doszła wreszcie tam, gdzie niby z najwyższej przełęczy widziała pod sobą swoje własne życie. Teraz droga jej wiodła w dół, w ciemną dolinę; ale przedtem dana jej była łaska poznania, że w samotności klasztoru, u wrót śmierci czeka na nią ktoś, kto zawsze widział ludzkie życie tak, jak się widzi ludzkie siedziby z wysokiego wierchu. On widział grzech i cierpienie, i miłość, i nienawiść w ser-

cach, podobnie jak się widzi zasobne dwory i biedne chaty, falujące pola i jałowe ugory dźwigane przez tę samą ziemię. I zeszedł na nasz padół, stopy Jego wędrowały przez ludzkie krainy, pukał do zamków i chat, zbierał troski i grzechy bogaczy i biedaków, i podniósł je wszystkie wysoko na krzyż. „Nie szczęście moje i moją pychę, ale moje przewiny i moje umartwienia, o mój ty słodki Panie!” – Spojrzała w górę, gdzie na zawrotnej wysokości pod łukiem sklepienia rozpiął się krucyfiks.

Kiedy rumiany świt rozniecił ogień na witrażach, wśród lasu kolumn w prezbiterium, i blask niby szkarłatnych, zielonych, niebieskich szlachetnych kamieni przyciemnił światła ołtarza i złotej trumny, do uszu Krystyny doszła ostatnia wigilia: jutrznia. Wiedziała, że podczas tego nabożeństwa odczytuje się ustępy opiewające cuda, jakie Bóg zdziałał na ułomnych i chorych przez swego rycerza, króla Olafa. Podniosła tedy obce dziecko i błagała o jego uzdrowienie.

Ale wyczerpana do cna z zimna i długiego postu szczekała zębami. Zapach bijący od ludzkiej masy, duszące wyziewy chorych i żebraków mieszały się ze swędem gasnących gromnic i opadały ciężką, tłustą, zimną wilgocią na klęczący tłum. Jakaś gruba, uprzejma i nabożna chłopka, drzemiąca u stóp kolumny tuż obok Krystyny – siedziała ona na skórze niedźwiedziej, a drugą skórą okryła swoją sparaliżowaną nogę – obudziła się teraz i pociągnęła głowę Krystyny na swe okazałe łono. – Wypocznij nieco, siostró, przyda ci się to.

Krystyna zasnęła na kolanach obcej i miała we śnie widzenie.

Przestąpiła właśnie próg starej izby z paleniskiem w domu rodzinnym. Była młoda i niezamężna, bo dwa grube brązowe warkoczki spływały jej na barki. Erlend wszedł wraz z nią, przechodząc przez odrzwia musiał się nieco pochylić.

Przy palenisku siedział jej ojciec i opraciał strzały; na kolanach jego leżały wiązki cienkich cięciw, z obu zaś stron na ławie ułożone były bełty i przycięte już brzechwy. Kiedy weszła z Erlendem do izby, ojciec nachylił się nad ogniem i chciał wyjąć mały trójnożny żelazny kociołek, jakiego używał zazwyczaj do topienia żywicy. Ale błyskawicznie cofnął rękę, potrząsnął nią w powietrzu, po czym przyłożył poparzone palce do ust i ssał je zwracając ku nim głowę i patrząc na nich ze zmarszczonym czołem i uśmiechem na ustach.

Krystyna obudziła się z twarzą mokrą od łez.

Podczas sumy, celebrowanej przez samego arcybiskupa przy głównym ołtarzu, Krystyna klęczała. Opary kadzidła falowały w dudniącym kościele, światło słońca stapało się z blaskiem świec, świeży, korzenny aromat kadzideł rozpostarł się i przyćmił zaduch nędzy i chorób. Z sercem nabrzmiałym uczuciem dla tych ubogich i chorych, w gromadzie których postawił ją Bóg, modliła się Krystyna w upojeniu siostrzanej miłości za wszystkich, którzy wraz z nią byli biedni i cierpieli, jak ona sama cierpiała.

– Chcę powstać i wrócić do domu Ojca mego.

6

Klasztor leżał na niewysokim pagórku w pobliżu fiordu, tak że huk morza zagłuszał zupełnie, nawet przy silnym wietrze, szum sosnowego lasu pokrywającego stoki wzgórza i zasłaniającego widok na morze.

Krystyna widziała nieraz płynąc tędy z Erlendem wieżę kościelną górującą nad lasem, lecz pomimo kilkakrotnie ponawianych przez Erlenda przyrzeczeń pielgrzymka do tego klasztoru, ufundowanego przez jego przodka¹, nie doszła nigdy do skutku. Nigdy dotąd Krystyna nie była w klasztorze w Rein, aż oto teraz przybyła, by w nim już pozostać.

Sądziła zrazu, że życie tutaj będzie podobne do tego, jakie znała z klasztorów w Oslo i na Bakke, ale tutaj biegło ono inaczej i ciszej. Tutaj naprawdę siostry umierały dla tego świata. Ksieni, pani Ragnhilda, dumna była z tego, że już od lat pięciu noga jej nie postąpiła w mieście, i tak samo dawno żadna z siostr nie przestąpiła granic klasztornego obszaru.

Nie przyjmowano tu młodych dziewcząt na wychowanie. Kiedy Krystyna przybyła do Rein, nie było także żadnej nowicjuszki; tyle już lat minęło, odkąd jakaś dziewczica wstąpiła w mury klasztorne, że obecnie najmłodsza z konwentu, siostra Borghilda Marcelina, od

¹ Klasztor w Rein ufundowany został przez króla Skulego.

sześciu lat była już mniszką. Wiekiem najmłodsza była siostra Turida, ta jednak została tu już oddana w szóstym roku życia przez swego dziada, proboszcza z kościoła Św. Klemensa, człowieka ogromnie surowego i nabożnego. Dziewczynka od urodzenia miała kalekie ręce i w ogóle była zniekształcona, skoro więc tylko osiągnęła przepisany wiek, przywdziała habit. Obecnie liczyła lat trzydzieści, była chorowita, twarz jednak miała nad wyraz miłą; Krystyna zaraz od pierwszego dnia pobytu w klasztorze postawiła sobie za zadanie służyć szczególnie tej siostrze, ponieważ Turida przypominała jej własną siostrzyczkę Ulvhildę, zmarłą tak młodo.

Sira Eilif był wprawdzie zdania, że stan pośledni nie może być przeszkodą w przyjmowaniu dziewczyc, które tu przybywają, aby służyć Bogu. Mimo to tak się jakoś złożyło, że od czasu założenia klasztoru w Rein wstępowały do niego jedynie córki lub wdowy potężnych i znamienitych panów z Trøndelag. Lecz w dobie niepokoju i zamieszek, gnębiących państwo od śmierci króla Haakona Haalegga, pobożny duch opuścił widać możnych; teraz głównie córki mieszczan oraz bogatych chłopów pragnęły zostać mniszkami. Te zaś szły przeważnie na Bakke, gdzie wiele z nich kształciło się w bogobojności i domowych robotach i gdzie zakonnice pochodziły raczej z mniej znakomitych rodów. Tam i reguła nie była taka surowa, i klasztor nie leżał tak całkiem na uboczu.

Zresztą nieczęsto miała Krystyna sposobność mówienia z sirą Eilifem; zauważyła wkrótce, że stanowisko jego w klasztorze jest trudne i kłopotliwe. Choć klasztor był bardzo zasobny, a z fundacji mogło żyć jeszcze drugie tyle sióstr, niż było w konwencie, to jednak sprawy majątkowe nie były uporządkowane i z trudem tylko można było zaspokoić wszystkie należności. Ostatnie trzy ksienie były nader pobożnymi niewiastami, lecz nie posiadały zgoła mądrości świeckiej. Mimo to, podobnie jak cały zakon, rękami i nogami broniły się przed poddaniem się władzy arcybiskupa; zakonnice nie chciały nawet zasięgać u niego rad mimo jego ojcowskiej życzliwości. Zakonnicy zaś z Tautra i Munkabu, kapelani kościoła sióstr, byli gwooli uniknięcia obmowy sędziwymi ludźmi, toteż nie najlepiej włodarzyli doczesnymi dobrami klasztoru. Gdy król Skule wybudował piękny kamienny kościół i zapisał swój dziedziczny dwór klasztorowi, pierwsze

domy postawiono z drzewa; spłonęły one przed trzydziestu laty. Pani Audhilda, ówczesna ksieni, jeła odbudowywać wszystko z kamienia; z jej to czasów pochodziły liczne ulepszenia w kościele oraz w pięknym domostwie sióstr. Podjęła również daleką podróż do Tart w Burgundii, do głównej kapituły przy klasztorze macierzystym zakonu, i z tej podróży przywiozła wspaniałą wieżyczkę z kości słoniowej, stojącą w prezbiterium obok głównego ołtarza: godna powłoka Ciała Pańskiego, duma i najulubieńszy skarb zakonnic. Pani Audhilda zasnęła w Panu w rozgłosie cnoty i nabożności; lecz jej rozrzutna gospodarka przy budowie, jak również nierozsądne kupna i sprzedaże posiadłości uszczupliły majątek klasztoru, późniejsze zaś ksienie nie były w stanie naprawić tej szkody.

W jaki sposób sira Eilif został kapelanem i rządcą na Rein, nie dowiedziała się Krystyna nigdy; domyśliła się jednak, iż ksieni i siostry bardzo niechętnie odnośliły się od pierwszej chwili do świeckiego księdza. Obowiązki siry Eilifa na Rein polegały na tym, że miał on być kapelanem i duszpasterzem mniszek, poza tym miał się starać o przywrócenie dochodowości dóbr klasztornych i doprowadzić do ładu sprawy pieniężne, a to wszystko miał czynić uznając równocześnie władzę ksieni, prawo do samorządu sióstr, nadzór opata z Tautra i żyjąc w przyjaźni z drugim księdzem, zakonnikiem z Tautra. Pewnie jego wiek i zawołanie niepokalanego, obyczajnego trybu życia, jak też pokorna bogobożność i znajomość prawa kanonicznego tudzież ustaw kraju przychodziły mu bardzo z pomocą; ale mimo to musiał działać niezmiernie ostrożnie. Mieszkał wraz z drugim księdzem i służbą kościelną w małym dworze leżącym na północny wschód od klasztoru. Tam również goszczono mnichów przybywających od czasu do czasu w przeróżnych sprawach z Tautra. Krystyna wiedziała, że o ile dożyje wyświęcenia Mikołaja, to dane jej będzie słuchać mszy odprawianej przez swego najstarszego syna w kościele klasztornym.

Krystyna została przyjęta zrazu w charakterze jałmużnicy. Ale kiedy przed panią Ragnhildą i siostrami, w przytomności siry Eilifa oraz dwóch mnichów z Tautra ślubowała czysty tryb życia, posłuszeń-

stwo wobec ksieni i sióstr, a na znak wyrzeczenia się wszelkich ziemskich dóbr wręczyła swoją pieczęć sirze Eilifowi, który ją połamiał w kawałki, pozwolono jej wdziać strój podobny temu, jaki nosiły mniszki: szarobiałą wełnianą szatę, lecz bez szkaplerza, białą chustkę na głowę i czarny welon. Po upływie pewnego czasu miała prosić o przyjęcie do zakonu w charakterze mniszki.

Lecz wciąż jeszcze ciężko jej było nie wracać myślą w przeszłość. Do odczytywania podczas posiłków w refektarzu przełożył sira Eilif na język norweski księgę o życiu Chrystusa, którą ułożył wierszem po łacinie generał franciszkanów, niezmiernie uczony i pobożny doktor Bonawentura. Krystyna słuchała z oczyma pełnymi łez i myślała, jak niebiańsko jest miłować krzyż i mękę Zbawiciela, i jego Matkę, Ich ubóstwo i pokorę taką ogromną miłością, jak tu było napisane; a jednocześnie stawał jej przed oczyma pewien dzień na Husaby, kiedy to Gunnulf i sira Eilif pokazywali jej łacińską księgę, będącą pierwowzorem dwej w klasztorze. Była to mała, gruba książka spisana na śnieżnobiałym, cieniutkim pergaminie; Krystyna nie chciała oczom wierzyć, że można tak delikatnie obrobić cielejącą skórę. Zawierała ona prześliczne obrazki i inicjały, farby błyszcząły niczym drogim kamieniem w złotej oprawie. I Gunnulf roześmiany opowiadał jej wówczas, a sira Eilif przytakiwał z uśmiechem, jak to na skutek kupna owej książki zubożeli tak bardzo, że musieli posprzedawać swe szaty i wraz z biednymi wypraszać sobie jadło w klasztorze, póki od kilku duchownych norweskich przebywających w Paryżu nie pożyczyci sobie pieniędzy.

Kiedy siostry po jutrzni wracały do dormitorium, Krystyna pozostawała sama w kościele. Latem było tu o tej porze miło i zacisznie, zimą jednak panował dotkliwy ziąb, a nadto czuła Krystyna lęk pośród licznych płyt grobowych w mrocznej nawie, chociaż nie odwracała oczu od małej lampki, płonącej stale przed kościaną wieżyczką z hostią. Ale zimą czy latem myślała zawsze w swym ciemnym kącie wśród chóru mniszek, że teraz także Naakkve i Björgulf czuwają i modlą się za duszę ojca i że to właśnie Mikołaj ją prosił, aby po jutrzni odmawiała jednocześnie z nimi psalmy pokutne i pacierze.

I zawsze, zawsze widziała wtedy ich obu, tak jak w ów dżdżysty, ponury dzień, kiedy udała się do ich klasztoru. Kiedy to Mikołaj

stanął przed nią nagle w rozmównicy, wielki i obcy w szarobiałym mnisim habicie, z dłońmi ukrytymi pod szkaplerzem: jej syn, a taki odmieniony. Przede wszystkim wstrząsnęło ją podobieństwo do ojca, miała nieomal wrażenie, jak gdyby ujrzała Erlenda w habicie.

I kiedy siedzieli i rozmawiali ze sobą, i musiała opowiadać o wszystkim, co wydarzyło się we dworze od chwili jego wyjazdu, czekała Krystyna i wpatrywała się z napięciem w drzwi, aż wreszcie spytała trwożliwie, czy Björgulf wnet przyjdzie.

– Nie wiem, matko – odparł Naakkve. Po chwili dodał: – Björgulf musiał stoczyć ciężką walkę, by się ugiąć pod krzyż i służyć Bogu. I wydawał się strwożony posłyszawszy, żeś tu przybyła – lęka się widać, że zbyt wiele wspomnień mogłoby się zbudzić.

Od tej chwili siedziała śmiertelnie strapiona i przypatrywała się Mikołajowi. Twarz jego była zupełnie ogorzała, a ręce zniszczone od ciężkiej pracy; ze słabym uśmiechem opowiadał, że teraz przecież musiał się nauczyć kierowania pługiem i obchodzenia z kosą i sierpem. Nocą nie mogła zasnąć w gospodzie i pośpieszyła na jutrznię do kościoła, lecz mnisi stali tak, że dostrzec mogła tylko twarze niektórych, jej synów nie było pośród nich.

Nazajutrz zwiedzała ogród z pewnym świeckim braciszkiem; pokazywał jej osobliwe, rzadkie zioła i drzewa, z których sad sływał. Nagle rozstąpiły się chmury, zajaśniało słońce, rozkoszna woń selera, cebuli i macierzanki przesycała powietrze, a ciężkie krzewy złocistych lilii i modrych orlików stojące na skraju grządy roziskrzyły się wielkimi kroplami. W tej chwili z małych, sklepionych odrzwi kamiennego domu wyszli jej dwaj synowie. I gdy Krystyna ujrzała smukłych, jasno odzianych braci, zbliżających się ku niej dróżką pośród jabłoni, zdało się jej, że czuje przedsmak raj.

Niewiele mówili ze sobą, Björgulf milczał prawie cały czas. Odkąd dorósł zupełnie, był niemal olbrzymem. Długa rozłąka zaostrzyła dziwnie wzrok matki. Teraz dopiero pojęła w pełni, jak bardzo zmagać się musiał ten jej syn i prawdopodobnie wciąż jeszcze się zmagał, gdy ciało jego rosło i rozwijało się tak wspaniale i jednocześnie z doskonaleniem się wewnętrznego wzroku czuł, jak gaśnie światło jego oczu.

Zapytał o swą mamkę, Fridę córkę Styrkaara. Krystyna odpowiedziała, że wyszła za męża.

– Bóg niech ją ma w swej pieczy – rzekł. – Dobra to była kobieta, dla mnie zawsze była zacną i wierną opiekunką.

– Tak, sądzę niemal, że była dla ciebie czymś więcej ode mnie – odparła Krystyna ze smutkiem. – Niewiele ci okazywałam macierzyńskiego serca w czasie ciężkiego dopustu twej młodości.

Cicho odparł Björgulf:

– Dziękuję Bogu za to, że wróg piekielny mimo wszystko nie mógł mnie skusić do niemęskiego czynu i że nie wystawiłem waszego serca na jeszcze gorszą próbę, choć bliski byłem tego. Ale widziałem, że już i tak ciężkie dźwigacie brzemię; i prócz Boga Mikołaj ratował mnie za każdym razem, iłkroć chciałem ulec pokusie.

Więcej nie mówili o tym; nie mówili także i o tym, jak się im wiedzie w klasztorze, ani też o tym, że wskutek złego zachowania się popadli w niełaskę. Lecz byli szczerze uradowani posłyszawszy o zamiarze matki wstąpienia do klasztoru w Rein.

Kiedy Krystyna po tej godzinie modlitwy wracała do dormitorium i widziała siostry śpiące po dwie w łóżach, na worach wypchanych słomą, w szatach, których nigdy nie zdejmowały, wtedy pojmowała, jak mało jest podobieństwa między nią a tymi kobietami, które od młodości służyły swemu Stwórcy. Świat jest panem, od którego niełatwo uciec, kiedy raz poddało się jego władczej przemocy. Toć przecie i ona nie uciekła własnowolnie przed światem, tylko została wypchnięta niby wysłużona dziewczka, którą surowy gospodarz wyrzucił za drzwi. A teraz przyjęto ją tutaj: tak miłosierny pan przyjmuje z litości starego sługę wyznaczając mu pracę, żywiąc i dając schronienie smutnemu, steranemu człowiekowi.

Z sypialni mniszek prowadził kryty krużganek do tkalni. Tutaj siedziała Krystyna i tkala; siostry z Rein słyszeły ze swego płótna. Dni lata i jesieni, kiedy wszystkie mniszki razem z siostrami świeckimi wychodziły na pola lnu, były prawdziwą uroczystością w jednostajnym życiu klasztornym. Osobliwie jednak święcono dzień międlenia lnu. Jego obróbka, przedzenie i tkanie płótna tudzież szycie szat

kościelnych stanowiły główne zajęcie sióstr w godzinach roboczych. Nie było tu nikogo, kto by odpisywał i zdobił książki, jak to czyniły z wielką biegłością siostry w Oslo pod kierownictwem pani Groi córki Guttorma, nie sporządzano tu również misternych haftów z jedwabiu i złotych nici.

Po pewnym czasie dochodziły ją głosy codziennej porannej krzątaniny; to siostry świeckie szły do kuchni przygotować jadło dla czeladzi. Mniszki nie brały nic do ust przed ranną mszą, chyba że któraś niedomagała. O ile w klasztorze byli jacyś chorzy, udawała się Krystyna zaraz po prymarii do izby szpitalnej i luzowała siostrę Agatę lub inną zajętą tam mniszkę. Siostra Turida, nieboga, często tu leżała.

Potem wnet już nadchodził dla Krystyny czas oczekiwania na posiłek, odbywający się po trzeciej modlitwie i mszy dla służby. Co dnia wyczekiwała z jednaką radością na ten uroczysty, piękny posiłek. Refektarz zbudowany z belek był ładną salą. Gromadziły się tu wszystkie kobiety z klasztoru: mniszki w górze stołu, przy którym na poczesnym miejscu zasiadała ksieni; obok nich siadały trzy starsze kobiety, będące podobnie jak Krystyna jałmużnicami, siostry zaś świeckie poniżej. Po odmówieniu modlitwy wnoszono potrawy i napoje i wszystkie posilały się milcząco, cicho i godnie, jedna zaś z sióstr czytała na głos. Krystyna myślała w duchu, że gdyby w świecie ludzie z równą obyczajnością zachowywali się przy stole, wówczas lepiej by rozumieli, iż jadło i picie są darem Boga, i użyczaliby więcej swym bliźnim miast zgarniać łapczywie wszystko dla siebie i swych najbliższych. Ale wszak i ona sama myślała inaczej wtedy, gdy nakrywała stół dla gromady hałaśliwych, głodnych chłopaków, którzy krzyczeli i śmieli się rzucając napraszającym się psom smaczne kąski albo bijąc je i odganiając precz, zależnie od humoru.

Bardzo rzadko przybywali do klasztoru podróżni. Zdarzało się czasem, że statek jakiś płynący przez fiord zawinął do brzegu; mężowie i kobiety wędrowali w górę do Rein, by odwiedzić którąś z sióstr, swą krewniaczkę. Poza tym przybywali pełnomocnicy z dworów i wysp klasztornych, a od czasu do czasu posłaniec z Tautra. W święta najbardziej uroczyste, Matki Boskiej, Bożego Ciała i aposto-

ła Andrzeja, zjeżdżali się mieszkańcy sąsiednich gmin z obu stron fiordu na nabożeństwo do kościoła sióstr, w zwykłe dni jednak uczęszczali na msze jedynie mieszkający niedaleko dzierżawcy i pracownicy klasztoru. Nie mogli oni zapełnić ogromnego kościoła.

Natomiast przychodzili biedacy, którzy w myśl testamentu bogaczy w rocznicę ich śmierci otrzymywali jadło i piwo. Ci co dnia zresztą odwiedzali klasztor, siadywali pod ścianą kuchni, jedli i zatrzymywali śpieszące przez dziedziniec zakonnice, by pomówić z nimi o swych utrapieniach. Ustawicznie kręcili się też chorzy, ułomni i trędowaci; trędowatych było w tej okolicy bardzo wielu, jak zwykle na wybrzeżu. Dzierżawcy znowu prosili o ulgi w splątach i odroczenia i zawsze skarżyli się na prześladowające ich niepowodzenia i trudności. Im nędzniejsi i nieszczęśliwsi byli ci ludzie, tym otwarciej i bezwstydniej mówili z siostrami o swym życiu, przy czym winę za niepowodzenia spychali zwykle na drugich, a sami mieli w pogotowiu nabożne słówka. Nie dziwota zatem, że i rozmowy sióstr podczas rekreacji oraz w tkalni dotyczyły po największej części tych ludzi, ba, siostra Turida zdradziła nawet Krystynie, że podczas narad mniszek w konwencie nad sprawami gospodarskimi rozmowa zmienia się nieraz w plotkowanie o tych ludziach. Krystyna wymiarkowała z opowiadania sióstr, że niewiele więcej pojmują one ze spraw świeckich niż to, co słyszą od przychodzących do klasztoru lub świeckich sług. Były niezwykle łatwowierne i używały każdemu ucha bez względu na to, czy podwładni wychwalali siebie, czy też obgadywali swych bliźnich. Krystyna myślała nieraz ze złością, jak to różni bezbożnicy, a nawet człowiek taki jak ów żebrzący mnich, brat Arngrim, wymyślali mniszkom od plotkarek i oczerniali je, że z namiętnością łykają nieprzystojne mowy i nowiny. Nawet ci sami ludzie, którzy wiecznie utyskiwali przed panią Ragnhildą lub którąkolwiek z sióstr, czynili im potem zarzut z tego, że zajmują się sprawami światowymi, choć wyrzekły się świata. Podobnie miała się rzecz z gadaniem o dostatnim życiu mniszek; wychodziło ono od ludzi, którym nieraz oberwał się smaczny kąsek w klasztorze, gdy tymczasem służki Pana pościły, czuwały i modliły się, zanim zebrały się w refektarzu na pierwszy posiłek.

Tak więc służyła Krystyna siostronom tkliwie i ze czcią w czasie

poprzedzającym złożenie przez nią ślubów zakonnych. Dobrą mniszką nie będzie nigdy, myślała, zbyt wiele roztrwoniła zdolności wewnętrzznego skupienia i pobożności; lecz chciała być tak wierna i pobożna, jak tylko Bóg jej pozwoli w swym miłosierdziu.

Było to pod koniec lata roku 1349; Krystyna przebywała już od dwóch lat w klasztorze i tego roku miała zostać przyjęta do zakonu jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Zwiastowano jej radosną nowinę, że obaj synowie przybędą wraz z opatem Johannesem na jej oblóczyny. Brat Björgulf posłyszawszy o zamiarze matki powiedział:

– Teraz ziści się przeto mój sen; dwa razy tego roku śniłem, że będziemy ją widzieli jeszcze przed Bożym Narodzeniem, choć zupełnie tak jak we śnie to nie będzie, bo we śnie widziałem ją.

Również i brat Mikołaj wyraził wielką radość. Zarazem jednak dowiedziała się o nim Krystyna rzeczy bynajmniej nie pocieszających. Pono użył przemocy wobec paru chłopów ze Steinker prowadzących z klasztorem zatarg o prawa do rybołówstwa. Kiedy mnisi pewnej nocy zdybali ich na niszczeniu klasztornej sieci na łososie, brat Mikołaj obił jednego z chłopów, drugiego zaś wrzucił do wody, a nadto obarczył się wielkim grzechem kłnąc grubiańsko.

7

W parę dni potem udała się Krystyna z kilkoma mniszkami i siostrami świeckimi do lasu sosnowego po porosty, służące do sporządzania zielonego barwnika. Porosty te są dość rzadkie, rosną przeważnie na powalonych pniach i suchych gałęziach. Kobiety rozproszyły się wkrótce po lesie, każda poszła w inną stronę i po chwili straciły się we mgłę z oczu.

Dziwna, parna pogoda trwała już od dni kilku; w nieruchomej, bezwietrznej ciszy połyskiwała blade gęsta mgła nad morzem i górami. Potem znów zagęszczała się w drobny, siąpiący deszczem tuman albo lśniła tak mocno, że słońce jedynie białą plamą wyzierało z jej kłębow. Powietrze przesycone było ciężką wilgocią, zupełnie jak w łaźni, co tu, nad fiordem, w dodatku o tej porze roku – na dwa dni przed narodzeniem Maryi Panny – było tak zdumiewające, że wszy-

scy mówili o osobliwym zjawisku pytając, co ta pogoda przyniesie.

Krystyna pociła się okropnie w dusznej, martwej parnoci, a nowiny posłyszane ostatnio o Naakkvem uciskały boleśnie jej serce. Doszła na skraj lasu aż do ogrodzenia przy drodze nad morze; tutaj przystanęła i zeszkrobywała mech z płotu. W tej chwili nadjechał konno wracający do domu wśród mgły sira Eilif, zatrzymał konia i zamienił z nią parę słów o niezwykłym powietrzu; tak wszczęli rozmowę. Nagle zagadnęła księdza, czy są mu wiadome wieści o Naakkvem, chociaż natychmiast pomyślała, że to daremne pytanie: sira Eilif bowiem udawał zawsze, że nie wie nic o wewnętrznych sprawach klasztoru w Tautra.

– Sądzę, Krystyno, że płonna jest twoja obawa, aby Naakkve dlatego nie mógł tu w zimie przybyć – rzekł ksiądz. – Bo o to się przecie głównie lękasz, nieprawdaż?

– O więcej, siro Eilifie. Boję się, że Naakkve nigdy nie nadawał się na mnicha.

– Nie tobie oszczędzać taką rzecz – odparł ksiądz marszcząc brwi. Zsiadł z konia, uwiązał go u płotu, po czym badawczo i mocno wpatrzył się w kobietę. Krystyna rzekła:

– Boję się, że Naakkvem u zbyt ciężko będzie poddać się klasztornej regule; taki był młody, kiedy wstępował do klasztoru, nie wiedział zupełnie, czego się wyrzeka, i nie znał własnej duszy. Lecz wszystko, na co patrzył w czasie lat chłopięcych – utrata dziedzicznego majątku, niesnaski między ojcem i matką zakończone śmiercią Erlenda – było przyczyną, że stracił ochotę do życia w świecie. Ale nigdy dostrzec nie mogłam, by się przez to stał bardziej pobożny.

– Posłuchaj, Krystyno. Poddać się regule jest Mikołajowi na pewno równie trudno jak niejednemu dobremu mnichowi porywczego ducha i w jego wieku; zbyt on może młody, by pojąć, zanim się jeszcze od świata odwrócił, iż świat jest tak samo twardym mistrzem jak każdy inny pan i w końcu zawsze panem bez miłosierdzia. Lecz myślę, żeś ty powinna to zrozumieć, siostró.

A jeśli sprawa ma się tak, iż Naakkve raczej przez wzgląd na brata aniżeli z miłości do Stwórcy wstąpił do klasztoru, to wierzę mocno, iż Bóg mu to wynagrodzi, że z miłości dla brata wziął krzyż na swe barki. Matka Boża, Maryja, którą Naakkve czcił i miłował jeszcze w dzieciń-

stwie, okaże mu kiedyś na pewno, iż syn Jej zeszedł na ten świat po to, aby być mu bratem i nosić za niego krzyż.

Koń obwąchiwał pierś pana, a ksiądz głaskał go mówiąc jakby do siebie samego.

– Już od młodości posiadał Mikołaj szczególny dar kochania i cierpienia, i mimo wszystko sędzę, że nadaje się na mnicha.

Ale ty – zwrócił się do niewiasty – przeżyłaś chyba już dosyć, tak mi się przynajmniej zdaje, byś z nieco większą otuchą mogła zaufać Bogu wszechmogącemu. Czyś nie zauważyła, jak On prostuje drogi każdej duszy, dopóki ona Ignie do Niego? Czy myślisz, kobieto, w twym dziecinnym mimo dojrzałych lat rozumie, że Bóg karze twój grzech zsyłając na ciebie troski i upokorzenia, ponieważ idąc za namiętnością i pychą wstąpiłaś na drogi zakazane przez Niego swym dzieciom? Chcesz rzec, żeś ty karała swoje dzieci, kiedy parzyły ręce wkładając je do kotła z wrzątkiem, do którego zabroniłaś im się zbliżać, lub kiedy pryskał pod nimi cienki lód, przed którym ich ostrzegałaś? Czyś dotąd nie pojęła, ilekroć pod tobą łamał się słaby lód, że kiedy puszczalaś dłoń Boga, poczyniałaś tonąć, a za każdym razem, gdyś Go wzywała, ratował cię z otchłani? Czy miłość, która łączyła ciebie z twym ziemskim ojcem nawet i wtedy, gdy mu przeciwstawiałaś swój upór i własną wolę, nie była ci jednak pociechą i ukojeniem, mimo żeś musiała zebrać owoc twego nieposłuszeństwa wobec niego?

Czyż doprawdy dotąd nie pojęłaś, siostrzo: Bóg pomógł ci zawsze, ilekroć o to prosiłaś, choć prosiłaś Go nieszczerze i nie całym sercem, i dał ci dużo więcej, aniżeli oczekiwałaś. Kochałaś Boga tak jak swego ojca, nie tak bardzo jak własną wolę, ale przecież tak, że ci smutno było, gdy się z Nim rozłączałaś. I dana ci była łaska, że pośród zła, jakie wyrosło z nasienia twej przekornej woli, dojrzało i dobro.

Twoi synowie... Dwóch z nich wziął Pan do siebie jeszcze niewinnymi dziećmi, o tych, zaiste, nie masz potrzeby nigdy się trwożyć. Reszta zaś dojrzała i wyrosła, choć może nie wedle t w e g o życzenia. To samo myślał Lavrans o tobie.

A twój małżonek, Krystyno – Panie, świeć nad jego duszą – wiem, że we dnie i w nocy czyniłaś mu w sercu wyrzuty z powodu jego nierozwagi. Zdaje mi się jednak, iż dla tak dumnej kobiety jak ty dużo

cięższe musiałyby być poznanie, że Erlend wiódł cię z sobą przez hańbę i zdradę, i krew, gdybyś choć raz jeden się przekonała, że człowiek ten czyni coś z zimnym rozmysłem. I sędzę, że przede wszystkim twoją wiernością, zarówno w gniewie i złości, jak w miłowaniu, trzymałaś przy sobie Erlenda. Bo o ile nie chodziło o ciebie, zawsze kierował się zasadą: co z oczu, to z pamięci. Bóg niech mu będzie miłościw, obawiam się, że Erlend nigdy nie był na tyle rozumny, by się kajać z powodu swych grzechów; lecz przewinień względem ciebie żałował i gorzko się nimi smucił. I ta nauka, miejmy nadzieję, wyjdzie mu jeszcze po śmierci na pożytek.

Krystyna stała cicha i milcząca, sira Eilif również nic więcej nie powiedział. Odwiązał cugle, pozdrowił Krystynę słowami: „Pokój z tobą”, dosiadł konia i odjechał.

Kiedy niedługo potem Krystyna wróciła do klasztoru, wyszła jej na spotkanie siostra Ingrida z wiadomością, że jeden z jej synów przybył do niej w odwiedzin; nazywa się Skule, czeka w rozmównicy.

Skule siedział i rozmawiał ze swymi wioślarzami; ujrawszy matkę w drzwiach zerwał się. Poznała zaraz jednego ze swoich synów po gibkich, zwinnych ruchach, po małej głowie na szerokich barach i długich, smukłych kończynach. Rozradowana zbliżała się ku niemu, ale zaledwie spojrzała mu w twarz, stanęła jak wryta, z zapartym tchem. Na Boga, kto tak brutalnie obszedł się z jej urodzonym synem?

Górna warga wyglądała jak zmiażdżona, widać zdruzgotał ją jakiś straszliwy cios, a potem zrosła się płasko, szeroko, szkaradnie i miała pełno białych, błyszczących blizn. Usta zostały przez to pociągnięte na bok, tak że zdawały się ciągle drwiąco uśmiechać, kość nosowa była strzaskana i krzywa. Gdy mówił, jękał się nieco, brakowało mu jednego przedniego zęba, drugi zaś był sinoczarny i martwy.

Skule pokraśniał pod spojrzeniem Krystyny:

– Zdaje mi się, że nie poznajecie mnie, matko? – Roześmiał się i przesunął ręką po wądze.

– Tak długo chyba nie żyjemy w rozłące, mój synu, aby cię rodzona matka miała nie poznać – odparła Krystyna spokojnie i uśmiechnęła się.

Skule przybył przed dwoma dniami statkiem z Björgvinu do Nidaros, przywiózł arcybiskupowi oraz skarbnikowi listy od Bjarnego syna Erlinga. Potem w ciągu dnia wyszła matka z synem do sadu i tutaj pod jabłoniami mogli wreszcie pogadać swobodnie. Skule opowiadał o braciach.

Lavrans bawił wciąż jeszcze w Islandii; matka zdumiała się, nie wiedziała nawet, że tam pojechał. Owszem, mówił Skule, spotkał się z najmłodszym bratem zeszłej zimy na zebraniu szlachty w Oslo, Lavrans bawił tam wówczas w towarzystwie Jammaelta. Ale chłopak rwał się zawsze w świat, przyjął zatem służby u biskupa ze Skaalholt i odjechał z nim.

On zaś pociągnął z panem Bjarnem do Szwecji, a stamtąd odbył wojenną wyprawę przeciw Rusinom. Matka kiwała w milczeniu głową; i tego nie wiedziała. Podoobało mu się tam bardzo, ciągnął Skule ze śmiechem, mógł wreszcie powitać starych przyjaciół, o których ojciec tyle rozpowiadał: Karelów, Ingrów i Rusinów. Nie, nie, owej zaszczytnej rany nie zdobył na wojnie – uśmiechnął się lekko – odniósł ją podczas pewnej kłótni. Ale ten młokos, który mu ją zadał, z pewnością już nigdy więcej nie będzie potrzebował troszczyć się o chleb. Zresztą Skule nie miał zbytnej ochoty opowiadać więcej ani o tej zwadzie, ani o wyprawie wojennej. Obecnie został dowódcą jezdnych u pana Bjarnego w Björgvinie i rycerz obiecał odzyskać dla niego kilka dworów w Orkedal, należących niegdyś do Erlenda, obecnie zaś stanowiących własność korony; lecz Krystyna spostrzegła, że stalowe oczy Skulego dziwnie sposepniały, kiedy to mówił.

– Sądysz, że nie bardzo można ufać temu przyrzeczeniu?

– Nie, nie – Skule potrząsnął głową. – Dokumenty będą w tych dniach sporządzone. Pan Bjarne dotrzymał wszystkiego, co przyrzekł swego czasu, kiedy wstępowałem w jego służbę; nazywa mnie swym krewniakiem i przyjacielem. Piastuję na jego dworze takie mniej więcej stanowisko, jakie miał Ulf u nas.

Roześmiał się; jego zniekształcona twarz nieładnie z tym wyglądała.

Za to teraz, kiedy wyrósł zupełnie, miał najpiękniejsze w świecie ciało. Nosił strój uszyty wedle najnowszej modły: opięte spodnie i krótki, obcisły kaftan, sięgający do połowy ud, z przodu zapinany aż

do dołu na małe mosiężne guziczki; ta szata uwydatniała wprost nieprzystojnie gibką sprężystość jego ciała. Wygląda, jakby chodził w gaciach, pomyślała matka w duchu. Ale czoło i ładne oczy miał nie zmienione.

– Mam wrażenie, że ci coś dolega, Skule – odważyła się wreszcie rzec matka.

– Nie, nie, nie. To tylko ta przekłeta pogoda – odparł otrząsając się. Mgła prześwietlona była teraz krwawo blaskiem zachodzącego słońca, niewidocznego poza jej zasłoną. Kościół sterczał nad koronami drzew dziwnie ciemny i zamazany w rudej mgle. Wskutek bezwietrznej ciszy musieli wiosłować przez cały fiord, dodał Skule, po czym znowu wzdrygnął się i jął rozpowiadać o braciach.

Tej wiosny miał coś do załatwienia dla pana Bjarnego na południu kraju, przynosi więc zupełnie świeże nowiny o Gautem i Ivarze. Ivarowi dobrze się powodzi; mają dwóch ładnych, małych synków na Rognheim, Erlenda i Gamala. – A na Jörund zjechałem w sam raz na chrzciny; Jofrida i Gaute byli zdania, że ponieważ pożegnaliście się z tym światem, mogą śmiało dać swej córeczce wasze imię. Jofrida taka jest dumna, żeście wy jej świekrą. Pewnie, śmiejecie się z tego, ale teraz, odkąd nie mieszkaćcie razem, widzi ona, jak to pięknie brzmi, kiedy mówi o swej świekrze, Krystynie córce Lavransa. Ofiarowałem małej Krystynie córce Gautego mój najlepszy pierścień, bo takie ma śliczne oczy. Sądzę, iż będzie podobna do was.

Krystyna uśmiechnęła się smutno.

– Gotowyś jeszcze, Skule, wmówić we mnie, że moi synowie uważają mnie za taką dzielną i doskonałą, za jakich uważa się zwykle starych ludzi dopiero wówczas, gdy już leżą pod ziemią.

– Nie mów tak, matko – rzekł dziwnie porywczo. Potem zaśmiał się: – Wszak dobrze wiecie, że my, bracia, od najwcześniejszej młodości uważaliśmy was zawsze za najlepszą i najwspaniałomyślniejszą z kobiet, chociaż zbyt twardo trzymaliście nas nieraz pod waszymi skrzydłami; dlatego tłukliśmy dokoła, nim wyfrunęliśmy z gniazda. W tym jednak słuszność była po waszej stronie, że Gaute najbardziej z nas wszystkich nadaje się na wodza – dodał z głośnym śmiechem.

– Nie powinienes wyśmiewać mnie z tej przyczyny – odparła Kry-

styna, i syn ujrzał, że młodzieńczy rumieniec wykwitł na jej licach.

– To prawda, matko. Gaute syn Erlenda na Jörund stał się potężnym człowiekiem w północnych dolinach. Zdobył sobie bajeczną sławę przez uwiedzenie oblubienicy – Skule zaśmiał się na całe gardło. – Ludzie śpiewają piosenkę o tym, jak to zdobył dziewę stałą i żelazem i jak całe trzy dni walczył o nią z jej krewnymi na górze, i opiewają uctwę wydaną przez pana Sigurda na Sundbu, i wyrównanie, jakie złotem i srebrem doprowadził do skutku pomiędzy krewnymi; również i za to przypada w tej piosence chwała Gautemu. Ale nic nie szkodzi, że to wszystko kłamstwo; Gaute panuje i tak nad całą gminą i jeszcze dalej, a Jofrida panuje nad Gautem.

Krystyna potrząsnęła ze smutnym uśmiechem głową. Ale oblicze jej odmłodziło, kiedy patrzyła na Skulego. Teraz zdawał się o n najbardziej podobny do ojca; ów młody wojownik z zeszpeconą okrutnie twarzą posiadał jednak najwięcej z junackiej zamaszystości Erlenda. A że w tak wczesnym wieku musiał wziąć w garść swój własny los, to dodawało mu chłodnej stanowczości, napawającej dziwnie pewnym uczuciem serce matki. Wspomniała słowa siry Eilifa i nagle pojęła: mimo trwogi, jaką wycierpiała przez swoich zuchwałych synów, mimo że ostro musiała ich nieraz karać, dużo mniej pociechy miałyby z dzieci, gdyby okazały się potulne i bojaźliwe.

Pytała i pytała bez końca o swego wnuczka Erlenda, ale Skule nie zwrócił na niego zbytniej uwagi. Aha, tak, przypomina sobie, jest zdrowy, piękny i przywykły przeprowadzać zawsze swą wolę.

Niesamowity, krwawy połysk mgły bladł z wolna, robiło się coraz ciemniej. Dzwony kościoła poczęły dzwonić, Skule i matka podnieśli się. Nagle syn chwycił jej rękę.

– Matko – przemówił cicho. – Pomnicie jeszcze, jak kiedyś podniosłem na was rękę? Cisnąłem w złości kijem od piłki i trafiłem was w czoło, przypominacie sobie? Matko, dopóki jesteśmy sami, powiedzcie mi, żeście mi to całkiem wybaczyli!

Krystyna zaczerpnęła głęboko tchu. Owszem, przypominała sobie. Rozkazała bliźniakom iść z jakimś zleceniem na halę; lecz gdy wyszła na dziedziniec, objuczony koń pasł się najspokojniej w świecie na trawniku, chłopcy zaś skakali i podbijali piłkę. Kiedy ich ostro złażała, rozgniewany Skule rzucił w nią kijem. Ale najlepiej pamiętała, jak jej

spuchła powieka i zakryła całe oko; bracia popatrzyli na nią i odsunęli się od chłopca, jakby był trędowaty. Naakkve jednak przedtem zbił go na kwaśne jabłko. Skule kręcił się sam, aż wreszcie usiadł pniąc się ze wstydu i przekory mimo nieustępliwej, szyderczej miny. Kiedy jednak wieczorem rozdziewała się w ciemności, podkraść się do niej; nie mówił nic, tylko chwycił i ucałował jej rękę. A gdy dotknęła jego ramienia, objął ją za szyję i przycisnął policzek do jej twarzy, chłodny, miękki, okrągławy policzek dziecka; przecież ten gwałtowny, krewki chłopak był jeszcze dzieckiem.

– To uczyniłam, Skule, tak całkowicie, że Bóg jeden tylko wiedzieć może, bo ja ci nawet powiedzieć nie mogę, jak zupełnie, jak z serca całego przebaczyłam ci, mój synu!

Położyła ręce na jego barkach i stała tak przez chwilę. Niespodzianie ujął jej dłoń, uścisnął tak mocno, że jęknęła głośno; w następnej chwili rzucił się jej na piersi, tak samo trwożnie, czule i nieśmiało jak wówczas.

– Mój synu, co ci jest? – spytała przestraszona.

Poczuła w ciemności, że młodzieniec potrząsnął głową. Potem puścił ją i poszli w górę do kościoła.

Podczas mszy przyszło Krystynie na myśl, że zapomniała okrycia ślepej pani Aazy na ławie przed plebanią, gdzie rano siedziały razem. Zaraz więc po nabożeństwie poszła po nie.

Pod sklepionymi drzwiami probostwa stał sira Eilif ze światłem w rękę, obok niego zaś Skule. – Zmarł, gdy przybyliśmy do przystani – postyszała głos syna, dziwnie zrozpaczony i dziki.

– Kto taki?

Obaj mężowie wzdrygnęli się spostrzegłszy Krystynę.

– Jeden z moich żeglarzy – powiedział cicho Skule.

Krystyna powiodła wzrokiem od jednego do drugiego. W świetle latarni ujrzała ich twarze wyrażające najwyższe napięcie; mimo woli wyrwał się z jej ust cichy okrzyk trwogi. Ksiądz zagryzł dolną wargę; ujrzała, że podbródek jego drży gwałtownie.

– Najśluszniej zrobisz, mój synu, wyjawiając wszystko matce. Lepiej, byśmy się zawczasu przygotowali dźwigać i to, jeśli taka jest

wola Boska, by i ten naród został obudzony i tak twardo... – Skule westchnął i nic nie powiedział. Przeto ksiądz ciągnął: – Wielka zaraza wybuchła w Björgvinie, Krystyno. Owa straszna, śmiertelna zaraza, o której doszły nas już słuchy i która ma wytepić wszystkie ludy świata.

– Czarny mór? – szepnęła.

– Nie będziecie mieli pojęcia, choćbym wam nawet chciał opisać, jak wyglądało w Björgvinie, gdy stamtąd odjeżdżałem – ozwał się Skule. – Nie można sobie tego zgoła wyobrazić, o ile się samemu nie widziało. Pan Bjarne miał się naprzód gwałtownych środków, by stłumić w zarodku zarazę, tam, gdzie wybuchła. Cały Nordneset chciał zamknąć pacholkami, chociaż zakonnicy z klasztoru świętego Michała grozili mu klątwą. Przybył statek angielski mający dzumę na pokładzie, pan Bjarne przeto zakazał ludziom wyładowywać go lub opuszczać pokład; wszyscy na statku pomarli, po czym kazał statek zatopić. Lecz i tak część towarów była już na lądzie, a kilku ludzi z miasta przemyciło nocą jeszcze więcej na brzeg, bracia zaś z klasztoru świętego Jona szli z ostatnią posługą do konających.

A gdy potem ludzie w całym mieście zaczęli umierać, tak że wszelkie środki okazały się bezskuteczne, wówczas pojęliśmy... Teraz nie ma żywej duszy w mieście prócz ludzi wynoszących zwłoki, wszyscy, którzy jeszcze uciec mogli, opuścili miasto, lecz zagłada idzie w ich tropy.

– O Chryste Panie!

– Matko, pamiętacie jeszcze ostatnie najście lemingów na Sil? Ową lawinę toczącą się po wszystkich drogach i drózkach? Pamiętacie, jak leżały i gniły w każdym krzaku i każdym rowie, jak zatruiwały studnie okropnym fetorem? – Zacisnął pięści; matkę dreszcz przeszył.

– Panie, zmiłuj się nad nami wszystkimi! Chwała Bogu na wysokościach, że cię nam tutaj przysłał, mój Skule.

Młodzieniec zgrzytnął zębami.

– Tak i my powiadaliśmy zrazu, ja i moi ludzie, kiedyśmy rozwinęli żagle i płynęli przez zatokę. Kiedy płynąc na północ znaleźliśmy się w Moldösund, zachorzał pierwszy. Gdy umarł, przywiązaliśmy mu kamień do nóg i krzyż do piersi, ślubowaliśmy mszę za jego duszę i wrzuciliśmy trupa w morze, niechaj nam Róg to wybaczy. Z dwoma

następnymi wysiedliśmy już na ląd i staraliśmy się o pokój dla ich dusz i chrześcijański pogrzeb; swemu losowi człowiek przecie nijak ująć nie może. Czwarty zmarł, kiedy wjechaliśmy na rzekę, piąty zaś dzisiaj z rana.

– Czy to konieczne, byś wracał do miasta? – spytała po chwili matka. – Nie możesz tutaj pozostać?

Skule potrzęsnał głową, zaśmiał się niewesoło.

– Myślę, że wkrótce obojętne będzie, gdzie człowiek przebywa. Nie trzeba się bać: kto się boi, ten jest już na pół martwy. Ale dałby Bóg, bym był taki stary jak wy, matko!

– Nikt nie wie, co oszczędzone jest temu, kto w kwiecie wieku umiera – szepnęła cicho Krystyna.

– Zamilczcie, matko! Pomnijcie ów czas, kiedyście liczyli dwadzieścia trzy lata. Czy nie żal byłoby wam chociaż jednego roku, któryście odtąd przeżyli?

W czternaście dni później Krystyna zobaczyła po raz pierwszy zapowietrzonego. Wieści o śmiertelnym pomorze w Björgwinie i okolicznych dolinach przeniknęły tymczasem aż do Rissa, nie wiadomo, w jaki sposób; ludzie bowiem kryli się po domach, a gdy spotykali obcego na gościńcu, uciekali w leśną gęstwinę. Obcym nie otwierano zgoła drzwi.

Lecz pewnego rana dwaj rybacy przyszli do klasztoru, w żaglowym płótnie nieśli jakiegoś człowieka. Gdy o świcie zeszli do swej łodzi, znaleźli w przystani obcą łódź, w niej leżał ów człowiek bez przytomności; miał jeszcze tyle sił, by uwiązać swą łódź, ale opuścić jej już nie zdołał. Człowiek ten urodził się na dworze należącym do klasztoru, żył zupełnie samotnie, jego rodzina wywędrowała już dawno.

Chory leżał na mokrym żaglu na murawie dziedzińca; rybacy odsunęli się daleko od niego i rozmawiali z sirą Eilifem. Siostry świeckie i posługaczki uciekły zaraz, lecz wszystkie zakonnice skupiły się koło drzwi konwentu: gromada drżących, wylękłych, zrozpaczonych kobiet.

Nagle wysunęła się pani Ragnhilda; była to niewiasta niskiego wzrostu, o szerokiej, płaskiej twarzy i niewielkim, okrągłym, do guzka podobnym nosie; piwne oczy były czerwono obrzeżone i zawsze ciekło z nich trochę.

– *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti* – przemówiła dobitnie, po czym przełknęła parę razy ślinę. – Zanieście go do izby gościnnej.

I siostra Agata, najstarsza wiekiem, utorowała sobie łokciami drogę przez zwartą gromadę, i nie wołana poszła za ksienią i ludźmi, niosącymi chorego.

W ciągu nocy, gdy Krystyna przyszła z lekiem przez siebie sporządzonym do izby chorego, spytała ją siostra Agata, czy się nie boi pozostać i pilnować ognia.

Krystynie zdawało się, że powinna być zahartowana; wszak nawiąła do widoku śmierci i narodzin, widziała już naprawdę rzeczy gorsze niż to; usiłowała myśleć o wszystkim najgorszym, co kiedykolwiek jej się na oczy nasunęło. Zadzumiony siedział zupełnie prosto, gdyż dusił się krwawym śluzem zalewającym mu usta przy każdym nawrocie kaszlu. Siostra Agata przewiązała pasami jego chudą, żółtą, rudym włosom zarośniętą pierś i pasy te przymocowała do łoża; głowa jego zwisała nisko, twarz miała barwę ołowiu, od czasu do czasu wstrząsały nim dreszcze. Ale siostra Agata siedziała spokojnie i odmawiała pacierze, a ilekroć przychodził atak kaszlu, podnosiła się, obejmowała głowę chorego i podstawiała mu miskę pod usta. Chory ryczał w męczarni, wywracał przerażająco oczy, z ust jego wysuwał się czarny język i z wolna krzyki zamierały w rozdzierającym jęku. Mniszka wylewała zawartość miseczki do ognia. Krystyna zaś dokładała jeszcze więcej jałowca; mokre gałęzie napełniały izbę zrazu gryzącym dymem, potem buchały jasnym płomieniem. Widziała, jak siostra Agata przetrząsa trąskliwie poduszki i nakrycia chorego, obmywa mu octem twarz i spękane, brązowe wargi i przykrywa go znowu zanieczyszczoną derką. – Długo już nie pociągnie – rzekła do Krystyny. – Jest prawie zimny, wpierw gorzał niczym żar; lecz sira Eilif przysposobił go już na ostatnią drogę. – Po czym siadała znowu cicho na swym miejscu, językiem przesuwając korzeń tataraku w ustach i modliła się dalej.

Krystyna usiłowała przezwyciężyć straszliwą grozę i lęk, widziała przecież ludzi umierających twardszą śmiercią. Ale nic nie pomogło. To oto była dzuma, bicz Boży na ukrytą nieczułość i obojętność ludzką, Bogu wszechwiedzącemu jedynie wiadomą. Miała uczucie zawrotu głowy, jak gdyby kołysała się na morzu; wszystkie gniewne,

gorzkie myśli, które kiedykolwiek w tym życiu ją trapiły, spiętrzyły się w jedną olbrzymią falę wśród tysiąca innych i łamały w bezsilnym bólu i skardze: Panie, wesprzyj nas, ginimy.

W ciągu nocy przyszedł sira Eilif. Ostrymi słowami skarcił siostrę Agatę, ponieważ nie zasłoniła sobie za jego radą ust i nosa szmatką umaczaną w occie. Mruknęła, że to i tak nic nie pomoże, musiała teraz jednak posłuchać księdza, tak samo Krystyna.

Spokój i siła księdza dodały Krystynie odwagi lub może zawstydziły ją, dość, że teraz odważyła się wyjść z kręgu dymu jałowcowego i pomóc siostrze Agacie. Od chorego bił straszny trupi zaduch, którego nawet dym nie mógł stłumić: zaduch odchodów, krwi, kwaśnego potu i zgniłe wyziewy z gardła. Przyszły jej na myśl słowa Skulego o pochodzie lemingów; raz jeszcze opanowała ją przemożna żądza ucieczki, chociaż wiedziała, że nie ma miejsca, gdzie by się przed tym schronić mogła. Kiedy wreszcie przewyciężyła się na tyle, że mogła dotknąć dogorywającego, najokropniejsze było poza nią, i pomagała mu w miarę sił, póki nie wydał ostatniego tchnienia. Wówczas oblicze jego było już zupełnie czarne.

Zakonnice obeszły w procesji kościół i wzgórze klasztorne niosąc relikwie, krzyż i płonące gromnice; i każdy z gminy, kto jeszcze mógł ustać na nogach, przyłączył się do pochodu. Już po kilku dniach jednak zmarła pewna kobieta koło Strömmen, a potem wybuchł mór na każdym dworze jak dolina długa i szeroka.

Zdawało się, że śmierć i zatracenie przeniosły ludzi w jakiś inny, beczasowy świat. Jeśliby chciano policzyć dni, to upłynęło zaledwie kilka tygodni od wybuchu zarazy, a jednak ów świat istniejący poprzednio, zanim dżuma i śmierć poczęły wędrować nago przez kraj, został doszczętnie wymazany z pamięci ludzkiej i zniknął, jak znika łódź na widnokręgu, gdy okręt wypłynie na pełne morze. Zdawało się, jakoby nikt nie pamiętał, iż kiedyś życie i kolejność dni roboczych były czymś bliskim i pewnym, a śmierć czymś dalekim, i jakoby nikomu ani przez myśl nie przeszło, iż kiedyś może tak być znowu – o ile wszyscy nie wymrą. Ale „musimy umrzeć wszyscy”, mówili ludzie przychodzący do klasztoru z osieroconymi dziećmi; jedni

mówili to tępo i twardo, inni wśród skarg i wyrzekań. Powtarzali te słowa, gdy przychodzili po księdza do konających, i powtarzali je, gdy niesli zwłoki do kościoła na zboczu lub w górę na cmentarz klasztorny. Nieraz musieli sami kopać grób; sira Eilif bowiem rozkazał pozostałym jeszcze w klasztorze sługom zbierać zboże z pól. I gdziekolwiek się znalazł, nawoływał ludzi, by się zajęli żniwami i pomagali sobie wzajemnie oporządzać bydło, aby nie padli ofiarą głodu, gdy minie zaraza.

Mniszki przyjęły zrazu ten straszliwy dopust z bezradną biernością i poddaniem. Przesiadywały obecnie ciągle w wielkiej izbie konwentu, dniem i nocą podsycaly ogień w murowanym kominie, tutaj też spały i jadły. Sira Eilif radził na wszystkich dworach i we wszystkich chatach, gdzie się znajdowały paleniska, podtrzymywać ustawicznie ogień. Jednak siostry obawiały się pożaru; najstarsze spośród nich pamiętały jeszcze pożar sprzed lat trzydziestu. Nie przestrzegano już godzin posiłków i pracy ani też poruczonych sobie zajęć, w miarę jak zgłaszały się coraz liczniej obce dzieci prosząc o jedło i pomoc. Wnoszono wciąż nowych chorych; przeważnie byli to ludzie zamożni, mogący sobie zakupić w klasztorze grób i msze żałobne, ale niektórzy byli także całkiem biedni i opuszczeni, nie mający w ogóle żadnej opieki. Reszta chorowała i umierała we własnych domach. Na niektórych dworach ani jeden człowiek nie został przy życiu. Lecz godzin modlitwy przestrzegaly mniszki do tej pory.

Pierwsza z zakonnic zachorowała siostra Inga, niewiasta w wieku Krystyny, blisko pięćdziesięcioletnia; mimo to bała się tak przeraźliwie śmierci, że zgroza brała patrzeć. Dreszcze poczęły nią miotać podczas mszy w kościele, i chora na czworakach czołgała się dygocąc i szcękając zębami, żebrząc u Boga i Maryi Panny o swe życie. Wnet potem leżała rozpalona wijąc się z boleści, ze skóry niby pot sączyła się krew. Serce Krystyny martwiało ze zgrozy. I ona na pewno poczuje ten sam śmiertelny lęk, gdy jej godzina wybije. Nie tylko owa pewność śmierci była okropna, ale przede wszystkim to, że śmierci wskutek zarazy towarzyszyła zawsze straszliwa trwoga.

Potem zachorowała sama pani Ragnhilda. Krystyna zawsze dziwiła się nieco, że tej właśnie kobiecie powierzono godność ksieni; była to niewiasta stara, cicha i zgryźliwa, nieuczona, na oko bez wielkich

darów duchowych. Teraz jednak, gdy śmierć położyła na niej swą kościstą łapę, okazała dowodnie, że jest prawdziwą oblubienicą Chrystusa. U niej ujawniła się choroba wrzodami na ciele, lecz za nic nie chciała pozwolić, by siostry obnażyły jej starcze ciało. Potem guz pod jedną pachą nabrzmiał do wielkości jabłka, również i pod brodą potworzyły się wielkie obrzęki, zrazu krwawe, potem czerniejące. Ksieni cierpiała męczarnie nie do wytrzymania, płomienna gorączka trawiła ją bez przerwy; ilekroć jednak była przytomna, dawała przykład świętej cierpliwości, modliła się z westchnieniem do Boga o wybaczenie swych grzechów, błagała Go, by wziął w swą pieczę klasztor i pozostałe córki, modliła się za wszystkich chorych i znękanych i za zbawienie wszystkich dusz, które właśnie są w drodze. Nawet sira Eilif płakał udzielając jej Ostatniego Namaszczenia, choć jego wytrwałość i niezłomny hart były dotąd wprost niewyczerpane pośród tej całej nędzy. Pani Ragnhilda po wielekroć poruciła już duszę Bogu i błagała Go o wzięcie zakonnic w opiekę, gdy nagle wrzody na jej ciele poczęły pękać. I to był zwrot ku życiu, jak potem ludzie poznali; ci, u których dżuma objawiała się owrzodzeniami, mogli niekiedy wyzdrowieć, natomiast ci, którzy odpluwali krwawy śluz, pomarli wszyscy.

Wzniosły przykład ksieni oraz widok chorego, który pozostał przy życiu, natchnął otuchą zwątpiałe siostry. Musiały teraz same doić krowy i oporządzać bydło, gotować jedzenie i zbierać jałowiec, i znosić świeże gałęzie do wykadzania; każdy musiał czynić to, co było niezbędne. Pielęgnowały chorych i rozdawały leki; tatarak i teriak wyczerpały się już, rozdawały zatem imbir, pieprz, szafran i ocet przeciw zakażeniu tudzież mleko i jadło głodnym; chleb kończył się, piekły więc świeży po nocach; zioła wyczerpały się i ludzie musieli żuć jałowiec i szpilki świerkowe przeciw zakażeniu. Jedną siostrę po drugiej zwałała zaraza z nóg, dzwony pośmiertne obu kościołów dzwoniły bez przerwy dniem i nocą w ciężkim powietrzu; nienaturalny opar bowiem unosił się nadal, zachodził widocznie jakiś tajemny związek między mgłą a morem. Czasami mgła ścinała się w lód, na ziemię padały lodowe igły i na wpół zamarznęty, siąpiący deszcz, potem znowu wracało ciepło i mgła. Ludzie poczytywali za szczególnie zły znak, że nie widać było tego roku wcale

ptaków morskich. Zazwyczaj tysiącami oblegały one wąski, podobny do rzeki pas fiordu między niskimi nadbrzeżnymi łąkami, na północ od klasztoru rozszerzający się w słone jezioro. Miast nich zleciały się nieprzejrzone chmury ponurych, czarnych kruków, obsiadły każdy kamień przybrzeżny i krakały złowrogo we mgle, a wrony w masach dotąd tu nie widzianych opuszczały się całymi rojami na drzewa i płoty lub z obrzydliwym wrzaskiem ciągnęły przez kraj.

Chwilami myślała Krystyna o swych bliskich: o synach rozproszonych daleko po świecie, o wnukach, których nigdy już ujrzeć nie miała; złoty karczek małego Erlenda mignął jej przed oczyma. Ale wyłaniali się jakby z wielkiej dali. Zdawało się niemal, że w tej powszechnej nędzy i zagładzie wszyscy ludzie są sobie jednak bliscy i jednak dalecy. Nadto zaś przez cały dzień miała ręce pełne roboty. Teraz wyszło jej na pożytek, że mogła sprostać każdemu zajęciu. Kiedy siedziała i doila krowy, obstępowały ją z nagłą małe dzieci, których nigdy dotąd na oczy nie widziała, i nawet na myśl jej nie przyszło pytać je, skąd się tu wzięły i co są za jedne; dawała im po prostu jeść, potem prowadziła je do którejś z komnat, gdzie płonął ogień, lub kładła do łóżka w dormitorium.

Ze zdumieniem zauważyła, że w tym zatraceniu ogólnym, kiedy bardziej niż kiedykolwiek zachodziła potrzeba gorliwych modłów, zaledwie znajdowała czas na modlitewne skupienie. Rzucała się wprawdzie w każdej wolnej chwili na kolana przed Przenajświętszym Sakramentem w kościele, lecz wzdychała tylko bez słów lub machinalnie odmawiała *Pater noster* i *Ave*. Sama nie uświadamiała sobie nawet, że owo mniszce zachowanie i ruchy, które przyswoiła sobie podczas dwuletniego pobytu w klasztorze, z wolna odpadły od niej. Im bardziej topniał orszak sióstr, im dłużej chorowała ksieni, jeszcze wciąż słaba i z językiem na pół sparaliżowanym, im większa robota czekała nieliczne pozostałe przy życiu mniszki, tym bardziej z dniem każdym upodobniała się Krystyna do dawnej gospodyni.

Pewnego dnia dowiedziała się przypadkiem, że Skule wciąż jeszcze przebywa w Nidaros; cała załoga jego statku wymarła lub zbiegła, a nowych ludzi znaleźć nie mógł. Był zdrow, lecz rzucił się w wir dzikiego życia, podobnie jak wielu młodych zrozpaczonych ludzi. „Kto się boi, tego śmierć nie minie” – mówili, głośzyli przeto

trwożę pić i ucztowaniem, grali i tańczyli, włości się z kobietami. Nawet żony godnych mężów i młode córki najszlachetniejszych rodów uciekały w tym czasie z domu; w towarzystwie ulicznych ladacznic hałasowały i dokazywały po gospodach i w hałach bractw wraz ze zdziczałymi mężczyznami. „Bóg niechaj im wybaczy” – myślała matka w duchu, ale serce jej zbyt było umęczone, by boleć nad tym bardzo.

Lecz i pośród chłopstwa panoszyły się grzechy i wyuzdanie. Do klasztoru z rzadka dochodziły jakieś wieści, zresztą nie było czasu na zajmowanie się nimi. Sira Eilif jednak, który bez wytchnienia, niezmordowanie odwiedzał chorych i konających, powiedział pewnego dnia do Krystyny, iż nędza dusz większa jest niż nędza ciał.

Tak nadszedł pewien wieczór; siedzieli wszyscy razem w izbie konwentu koło komina: mała gomadka ludzi żyjąca jeszcze w klasztorze. Cztery zakonnice oraz dwie siostry świeckie, stary parobek i półdorosłe chłopię, dwie jałmużnice oraz kilkoro dzieci; wszyscy obsiedli trzaskający ogień. Na ławie z poczesnym miejscem, nad którym błyszczał na ścianie w zapadającym mroku krucyfiks, leżała ksieni; siostra Krystyna siedziała u wezgiłowia jej postłania, siostra Turida u stóp.

Dziewięć dni minęło już od ostatniego śmiertelnego wypadku pośród sióstr, pięć zaś, odkąd umarł ktoś w klasztorze lub sąsiednich domach. Sira Eilif mówił, że w całej gminie dzuma zdaje się cofać, toteż po raz pierwszy od trzech miesięcy przecucie ukojenia, spokoju i ciszy ogarnęło gromadę znękanych ludzi. Stara, siwa siostra Torunna Marta opuściła różaniec na kolana i ujęła rączkę dziewczynki wspartej o jej kolana.

– Tak, tak, dziecino! Teraz wszyscy widzimy, iż Maryja, Boża Rodzicielka, nigdy na długo nie opuszcza swych dzieci.

– Nie, to wcale nie Dziewica Maryja, siostrze Torunno, to Hel. Opuści ona tę gminę na widłach i miotle, jeśli ofiarują jej na cmentarzu niewinne dziecko – jutro będzie już pewnie daleko.

– A to co znowu znaczy? – spytała zaniepokojona mniszka. – Pfuj,

Magnhildo, cóż to za pogańskie historie opowiadasz; zasługujesz naprawdę na różgi.

– Powiedz nam, co to takiego, Magnhildo, bez obawy. – Siostra Krystyna stała za nimi, pytała bez tchu. Przypomniała sobie o czymś, co posłyszała za młodu od pani Aashildy o potwornych, grzesznych radach, którymi szatan kusi zrozwalonego człowieka.

Dzieci znajdowały się o zmierzchu w gaju opodal kościoła i paru chłopców zajrzało do sąsiedniej chaty. Tam podsłuchali kilku naradzających się mężczyzn. Ludzie ci złapali małego chłopczyka, Torego syna Steinunny znad fiordu, i teź jeszcze nocy zamierzali poświęcić go na cmentarzu bogini moru, Hel. Dzieci opowiadały teraz na wyścigi, dumne, że zwróciły na siebie uwagę dorosłych. Nawet na myśl im nie przyszło litować się nad nieborakiem; co prawda był on wyrzutkiem, żebrał stale w gmīnie, do klasztoru jednak nigdy nie zachodził, a kiedy sira Eilif lub wysłannicy ksieni udawali się do jego matki, czmychała im zawsze sprzed nosa nie słuchając zgoła tego, co do niej mówią. Łajdaczyła się przez dziesięć lat w porcie Nidaros, potem nabawiła się choroby i nie mogąc nadal uprawiać swego zawodu przybyła do tej gmīny i zamieszkała w opuszczonej chacie na wybrzeżu. Mimo to zdarzało się jeszcze i teraz, że ten lub ów żebrak albo inny człowiek pośledni mieszkał z nią przez pewien czas. Kto był ojcem chłopca, nie wiedziała.

– Musimy tam iść – przemówiła drżąca Krystyna. – Nie możemy przecie siedzieć tu z założonymi rękoma, gdy tuż przed naszymi wrotami ochrzczone dusze zaprzędają się diabłu.

Mniszki poczęły wyrzekać i biadać. Mężczyźni ci byli osławieni w całej okolicy jako zuchwali bezboźnicy i zabijacy, panosząca się zaś nędza i śmierć przemieniły ich w istne biesy. Gdybyż przynajmniej sira Eilif był w domu, zawodziły. Podczas zarazy stanowisko proboszcza uległo o tyle zmianie, że siostry oczekiwały od niego rady na każdą rzecz.

Krystyna załamywała ręce.

– A choćbym nawet sama iść miała... Matko, dajcie mi zezwolenie!

Ksieni ścisnęła tak mocno jej ramię, że Krystyna wydała głośny krzyk. Stara kobieta ze sparaliżowanym językiem podniosła się, stanęła na nogach i ruchami dała do poznania, żeby ją ubrać do

wyjścia. Zażądała, by jej podano złoty krzyż, oznakę jej godności, oraz łaskę. Po czym wsparła się na ramieniu Krystyny; była ona najmłodszą i najsilniejszą z sióstr. Wszystkie zakonnice wstały i poszły za nimi.

Przez wąskie drzwi przedsionka między salą kapituły a prezbiterium kościoła wyszły w mokrą, zimną noc. Pani Ragnhilda drżała na całym ciele i zęby jej szczykały; od czasu choroby pociła się strasznie z osłabienia i wrzody nie były jeszcze całkowicie zagojone, tak że chodzenie sprawiało jej mękę. Ale gdy tylko siostry zaczęły mówić o tym, by zawróciła, mruczała gniewnie i potrząsała głową, jeszcze mocniej ujęła rękę Krystyny i szła przez ogród trzęsąc się z zimna. Skoro oczy przywykły trochę do ciemności, kobiety dostrzegły słabe lśnienie opadłych na ziemię liści i nieco światła na zachmurzonym niebie ponad nagimi czubami drzew. Zimne krople spadały z gałęzi, wiatr szumiał cicho. Sennie, ciężko uderzało morze o brzeg poza wzgórzem.

W dole ogrodu znajdowała się niewielka furtka; siostry wzdrygnęły się, gdy zardzewiałe wrzeciędzie, które Krystyna z trudem odsunęła, głośno zgrzytnęły. Potem w zupełnej ciszy, dygocąc z przerażenia, szły dalej przez gaj w stronę kościoła. Teraz rozpoznawały już wyraźnie jego smołowane ściany, ponurą masą wrzynające się w ciemność, a w świetle sączącym się między chmurami ujrzały szczyt stromego dachu, sygnaturkę ze zwierzęcymi główkami oraz krzyż na wierzchołku.

W istocie na cmentarzu znajdowali się ludzie – mniszki czuły to raczej, niż widziały. Maleńki, słaby błysk zdradził stojącą na ziemi latarnię. Ciemność dokoła zdawała się poruszać i żyć.

Siostry skupiły się w zwartą trwożną gromadę; wśród modlitw i bezgłośnych westchnień posuwały się parę kroków naprzód, przystawały, nasłuchiwały, znowu szły dalej. Doszły już prawie do cmentarnych wrót, gdy wtem posłyszały w ciemności piskliwy, dziecięcy głosik:

– Nie, nie, nie chcę, zawałaliście mi przecież chleb z masłem.

Krystyna puściła ramię ksieni, pobiegła naprzód i wpadła na cmentarz. Roztrąciła kilka ciemnych postaci, potknęła się o zwal świeżo wykopanej ziemi i znalazła się nad owartym grobem. Uklękła,

pochyliła się nad nim i wydobyła małego chłopczyka, stojącego na dnie grobu i płaczącego żałośnie, ponieważ ziemia stoczyła się na jego smaczną kromkę; dano mu ją, żeby był cicho.

Popłoch owładnął mężczyznami; stanęli przerażeni, gotowi do uciezki. Niektórzy kręcili się w kółko na tym samym miejscu. Krystyna widziała ich nogi w kręgu światła latarni. „Teraz rzucą się na mnie” – przemknęło jej przez myśl; lecz w tej chwili wynurzyły się z mroku szarobiałe habity zakonnice i mężczyźni stanęli jak wryci.

Krystyna wciąż jeszcze trzymała na rękach chłopca, płaczącego i wołającego o swój chleb. Teraz postawiła go na ziemi, wzięła chleb i podała mu go.

– Masz, jedz, już jest czysty.

– Wy zaś ludzie rozejdźcie się – głos jej drżał, musiała chwilę poczekać. – Idźcie do domów i dziękujcie Bogu, żeście zostali uratowani, zanim popełniliście czyn, który by ciężko było wam odpokutować. – Przemawiała jak pani do swej czeladzi, łagodnie, ale w taki sposób, jak gdyby przez myśl jej nawet nie przeszło, że mogą jej nie postuchać. Kilku mężów mimowiednie postąpiło w kierunku wrót.

Nagle jeden z nich krzyknął:

– Stójcie, głupcy, nie rozumiecie, że chodzi tu o nasze życie, o wszystko, co posiadamy! Teraz, kiedy te utuczony księżę kurwy wetknęły swój nos w tę sprawę, nie mogą stąd ująć żywcem i rozpowiadać o tym dalej!

Ani jeden człowiek się nie poruszył; lecz siostra Agnes wydała przeraźliwy okrzyk i zawołała ze łzami w głosie:

– O Jezu, mój Oblubieńcze najśłodszy, dzięki Ci, że pozwalasz twym służebnicom ponieść śmierć dla chwały Twego imienia!

Pani Ragnhilda pchnęła ją mocno poza siebie, z trudem pokuśtykała naprzód i wzięła latarnię stojącą na ziemi; nikt nie wyciągnął ręki, by jej w tym przeszkodzić. Podniosła światło w górę, na jej piersi rozbłysnął złoty krzyż. Stała wsparta na lasce i oświetlała po kolei mężów kiwając głową przy każdym, na którego padł jej wzrok. Po czym dała Krystynie znak, by mówiła dalej. Krystyna rzekła:

– Rozejdźcie się w spokoju do domów, dobrzy bracia. Zaufajcie temu, że ta oto czcigodna matka i siostry okażą wam tyle miłosierdzia, ile tylko będą mogły przez wzgląd na Boga i Jego Kościół. Ale teraz

zróbcie tu miejsce, byśmy mogli przejść z dzieckiem, i udajcie się każdy do swego domu.

Mężczyźni stali niezdecydowani. Jeden z nich zawołał jakby w męce ostatniej:

– Czyż nie lepiej poświęcić jednego, niż żebyśmy wszyscy szczeńąć musieli? Tego oto chłopczyka, który do nikogo nie należy?

– Należy do Chrystusa. Lepiej po stokroć, by każdy z nas zginął, niż żebyśmy użyli przemocy wobec któregoś z Jego dzieci.

Lecz ten, który pierwszy przemówił, krzyknął znowu:

– Stul pysk i nie gadaj takich słów albo też wpakuję ci je z powrotem do gęby tym tutaj – wywinął nożem w powietrzu. – Wy same idźcie do domu, kładźcie się spać i proście księdza, iżby was pocieszył, i milczcie o tym, coście tu widziały, inaczej przekonacie się, klnę się na szatana, że nie mogliście zrobić nic gorszego niż wtrącać się w nasze sprawy.

– Nie potrzebujesz tak głośno wrzeszczeć, by cię usłyszał ten, którego wzywasz, Arntorze. Bądź pewien, że nie jest on zbyt daleko stąd – odparła Krystyna spokojnie. Niektórzy spośród mężów przysunęli się z przestraczem do ksieni, trzymającej wciąż jeszcze światło. – Dla nas, zarówno jak dla was, najgorszą rzeczą byłoby chyba, gdybyśmy pozostały w domu, podczas gdy zamierzaliście zapewnić sobie miejsce w najgorętszym piekle.

Lecz Arntor przeklinał i ryczał na cały głos. Krystyna wiedziała, iż nienawidzi on mniszek, ponieważ ojciec jego musiał im zastawić dwór, kiedy nałożono na niego grzywnę za zabójstwo i kazirodztwo z siostrzenicą żony. Teraz lżył je dalej najbardziej nienawistnymi oszczerstwami i oskarżał o tak czarne i plugawe zbrodnie, że chyba tylko diabeł mógł mu takie myśli podszeptać.

Nieszczęsne zakonnice ślaniały się ze zgrozy i płaczu słuchając jego obelżywego urągania, ale stały dzielnie koło starej matki. Ksieni podniosła światło i przypatrywała się spokojnie szalejącemu mężczyźnie.

Ale w Krystynie gniew zawrzał czerwonym płomieniem.

– Milcz! Czyż rozum postradał, czy też Bóg cię poraził ślepotą! Jak śmiemy buntować się pod jego karzącym biczem, my, którzy widzi-
my, jak poświęcone Mu oblubienice z uśmiechem na ustach idą pod

miecz wyciągnięty z powodu grzechów świata. Czuwały one i modliły się, podczas gdy my co dnia grzeszyliśmy, niepomni naszego Stwórcy. Zamknęły się w twierdzy modlitwy, podczas gdy my błakaliśmy się po świecie, gnani żądzą małych i dużych bogactw, gnani naszą własną rozkoszą i naszą własną złością. A jednak zstąpiły ku nam, kiedy pokazał się wśród nas anioł śmierci, zbierały chorych, bezdomnych i głodnych. Dwanaście naszych sióstr pomarło od zarazy, to wiecie równie dobrze jak ja. Ani jedna nie cofnęła się, nie przestała się modlić w siostrzanej miłości za nas wszystkich, dopóki język w ich ustach nie zastygł i nie ścięła się krew serdeczna w żyłach.

– Pięknie mówisz o sobie samej i tobie równych.

– Jam tobie równa! – krzyknęła nieprzytomna. – Jam nie jest wcale jedną z pobożnych sióstr, jam jedną z was!

– Ho, ho, aleś zmiękła, niewiasto – szydził Arntor. – Strach cię snadź obleciał. Kiedy kostucha zajrzy ci w ślepie, gotowaś jeszcze matkę tego chłopca nazwać równą sobie!

– To niechaj Bóg rozsądzi. On poniósł śmierć zarówno dla mnie, jak i dla niej i On zna nas obie. Gdzie Steinunna?

– Idź do jej budy, to ją zobaczysz – odparł Arntor.

– Trzeba zaraz powiadomić biedaczkę, że chłopak jest u nas – zwróciła się do otaczających ją ludzi. – Jutro musimy do niej zajrzeć.

Arntor wyszczerzył zęby, lecz inny człowiek ozwał się niechętnie:

– Steinunna nie żyje. Już czternaście dni minęło, jak Bjarne wyszedł od niej i zamknął drzwi na zasuwę. Wtedy leżała i zmagala się ze śmiercią.

– Leżała i... – Krystyna powiodła po nich wzrokiem w obłądnej zgrozie. – Jak to? I nikt jej nawet księdza nie sprowadził? To zwłoki leżą tam i nikt nie miał na tyle zmiłowania, aby ją pogrzebać w poświęconej ziemi? A jej dziecko chcieliście... teraz?...

Widząc jej śmiertelne przerażenie mężczyźni sami ze strachu zdawali się nieprzytomni. Wszyscy razem poczęli krzyczeć, ale ponad wszystkimi głosami zagórował jeden:

– Idź po nią sama, sestro!

– Idę! Kto z was idzie ze mną?

Nikt nie odpowiedział; Arntor warknął:

– Musisz iść sama!

– Jutro do dnia, skoro się tylko rozjaśni, pójdziemy po nią, Arntorze. Ja sama kupię grób i mszę za jej duszę.

– Idź zaraz, z miejsca, idź jeszcze tej nocy, wtedy uwierzę, że ociekacie świętością i cnotą.

Arntor przysunął twarz do jej twarzy. Krystyna trzasnęła go pięścią między oczy, załkała głośno z wściekłości i trwogi.

Pani Ragnhilda przystąpiła do nich i stanęła obok Krystyny, daremnie usiłując choć słowo z siebie wydobyć. Mniszki wołały głośno, że jutro złoży się zmarłą do grobu. Lecz w Arntora sam diabeł chyba wstąpił, gdyż nie przestawał wyć dziko:

– Idź teraz, zaraz, wtedy uwierzemy w miłosierdzie Boskie!

Krystyna wyprostowała się, blada i sztywna.

– Ide!

Podniosła dziecko i podała je siostrze Torunnie, rozepchnęła ludzi i pobiegła prędko, potykając się na grudach ziemi, ku wrotom. Mniszki biegły za nią, siostra Agnes wołała, że ona idzie także. Ksieni wywijiała zaciśniętą pięścią – na Boga, niechże Krystyna się opamięta – ale ta zdawała się odchodzić od zmysłów.

W tej chwili jakieś zamieszanie powstało przy furcie cmentarnej. Wkrótce potem posłyszano głos siry Eilifa; pytał, kto tu odbywa zgromadzenie nocną porą. Po chwili on sam stanął w kręgu światła, z toporem w ręku. Zakonnice skupiły się koło niego, mężczyźni zaś rozproszyli się i usiłowali zbiec w ciemności, przy wrotach wyłapał wszystkich jakiś człowiek z wyciągniętym mieczem w dłoni. Powstał tumult i szcęk broni, sira Eilif wołał głośno, że biada temu, kto zakłóci pokój cmentarza. Krystyna posłyszała, że przybył kowal z ulicy Credo. Wkrótce potem wysoki pleczysty, siwy człowiek wynurzył się z ciemności i stanął u jej boku; był to Ulf syn Haldora.

Kapłan podał Ulfowi topór od niego pożyczony, wziął z rąk zakonnicy chłopca i rzekł:

– Północ już minęła. Mimo to najlepiej będzie, jeśli wszyscy pójdziecie ze mną do kościoła; tę sprawę jeszcze tej nocy chcę rozpatrzeć.

Nikomuni ani przez myśl nie przeszło sprzeciwić się mu. Kiedy jednak wyszli na drogę, z szarej gromady kobiet oderwała się jedna i zmierzała w stronę lasu. Ksiądz zawołał na nią głośno nakazując

pójść z innymi. Głos Krystyny zabrzmiał z ciemności, oddaliła się już nieco:

– Nie mogę, siro Eilifie, zanim nie wypełnię danego przyrzeczenia.

Ksiądz i jeszcze paru ludzi pobiegło za nią. Kiedy ją dogonili, stała wsparta o płot. Sira Eilif podniósł latarnię. Twarz Krystyny była śmiertelnie blada, ale gdy poświecił jej w oczy, poznał, że nie oszalała, jak się zrazu obawiał.

– Chodź do domu, Krystyno – przemówił. – Jutro pójdziemy razem z tobą. Ja też pójdę.

– Dałam słowo, księżu. Nie mogę wrócić do klasztoru, dopóki nie wykonam tego, co obiecałam.

Proboszcz stał długo w milczeniu, potem powiedział:

– Może masz słuszość. Tedy idź, siostró, i niech Bóg cię prowadzi!

Niby cień wpęzła szara postać Krystyny w mrok, który pochłonął ją zupełnie.

Kiedy Ulf syn Haldora zjawił się obok niej, rzekła – głos jej był urwany, mówiła w ogromnym podnieceniu:

– Wracaj, nie prosiłam cię zgoła, byś mi towarzyszył.

Ulf zaśmiał się cicho.

– Krystyno, pani moja, gdyż jeszcze wciąż nie pojmujesz, że różne rzeczy dziać się mogą, chociaż nie z twego rozkazu ani na twoją prośbę? I tego również jeszcze nie wiesz, że sama nie możesz podolać wszystkiemu, co na się bierzesz. Dlatego chcę pomóc ci dźwignąć to brzemie.

Nad ich głowami szumiały sosny, fale fiordu huczały to słabiej, to mocniej, zależnie od podmuchów wiatru. Nieprzejrzana czerń stała tam, dokąd zmierzali. Po chwili ozwał się Ulf:

– Już i dawniej towarzyszyłem ci, Krystyno, kiedyś nocą wybierała się w drogę, i dlatego sądziłem, że godzi mi się i tym razem iść z tobą.

Urywany, charczący oddech dobył się z jej piersi. Raz potknęła się na kamieniu, Ulf podparł ją. Odtąd trzymał ją za rękę i prowadził. Po chwili zauważył, że płacze, spytał więc, dlaczego.

– Płacę, Ulfie, gdyż myślę o tym, jaki dobry i wierny byłeś zawsze

wobec nas. Wiem dobrze, krewniaku, żeś był taki przede wszystkim przez wzgląd na Erlenda, ale widzi mi się niemal, żeś zawsze wyrozumiałej mnie osądzał, aniżeli miałeś po temu prawo poznawszy moje postęпки.

– Miłowałem cię, Krystyno, nie mniej niż jego. – Umilkł. Krystyna wyczuła, że jest do głębi wzruszony. Po czym rzekł: – Dlatego wydaje mi się okrutne, że przybyć musiałem z tak smutnymi wieściami, iż nie śmiem omal ich wypowiedzieć. Bóg niechaj cię pocieszy, Krystyno.

– Skule? – spytała po pewnym czasie cichutko. – Skule nie żyje?

– Nie, kiedy wczoraj rozmawiałem ze Skulem, był zdrow, a teraz zaraza nie sroży się już tak w mieście. Ale dziś rano otrzymałem wiadomość z Tautra. – Posłyszał w ciemności, że westchnęła głęboko, lecz nic nie powiedziała. Po chwili dodał: – Już dziesięć dni minęło, odkąd zmarli. W klasztorze pozostało przy życiu zaledwie czterech braci, cała wyspa jest jakby wymieciona z ludzi.

Tymczasem doszli na skraj lasu. Nad rozciągającą się przed nimi płaszczyną hulał wicher i grzmiał donośniej szum morza. Gdzieś w ciemności błysnęła jasna plama: pieniste fale w małej zatoczce i strome piaszczyste zbocze.

– Oto jej chata – wskazała Krystyna. Ulf poczuł, że dygoce cała w długim, kurczowym dreszczu. Ujął mocniej jej rękę.

– Wzięłaś to sama na siebie. Pamiętaj o tym i nie trać zmysłów.

Dziwnie złamanym, cienkim głosem, który wiatr pochwycił i uniósł, odparła:

– Teraz ziści się sen Björgulfa. Ufam łasce Boga i Najświętszej Panienci.

Ulf chciał spojrzeć jej w twarz, ale było zbyt ciemno. Zeszli w dół na wybrzeże; gdzieniegdzie tylko wąski pas łądu biegł pod zboczem, tak że fale podbiegały im aż pod stopy. Kroczyli przez zwały morskich głazów i wielkie głazy. Po dłuższej chwili ujrzała ciemną masę pod piaszczystym zboczem.

– Zaczekaj tutaj – rzekł Ulf krótko. Poszedł ku domowi, szarpnął drzwiami, potem Krystyna słyszała, że rozcina toporem wierzbowe łyko i znów szarpie drzwiami. Ujrzała, że drzwi otworzyły się do środka i że Ulf wchodzi w czarny otwór.

Noc nie bardzo była wietrzna. Ale ciemności panowały takie, że

Krystyna widziała tylko morze, szumiące połyskliwymi bryzgami piany, które zbliżały się i znów znikwały, oraz migotanie fal łamiących się na brzegach zatoki i czarny zrąb domostwa pod zboczem. Miała uczucie, że stoi w jaskini nocy i że to jest jak gdyby przedśmiatek śmierci. Głuchy łoskot uderzających fal i szmer wody spływającej po kamykach stapał się w jedno z tętnem jej krwi; zarazem miała uczucie, że ciało jej zaczyna się rozpadać, podobnie jak rozpada się w kawałki drewniana kadź. Coś kołatało i waliło w jej piersi, jakby od wnętrza rozsadzić ją chciało, głowa jej była pusta i podziurawiona, a wichur otulał ją całą i przenikał na wskroś. Z dziwną obojętnością poczuła, że teraz prawdopodobnie sama jest zarazona. Ale czekała tylko na to, rychło światło rozedrże ciemności, olbrzymie, głuźące huk morza światło, ją samą uśmiercając ze zgrozy. Nasunęła na głowę kaptur, który opadł na plecy, otuliła się szczelnie czarnym okryciem i stała tak z rękami skrzyżowanymi pod chustką, ale, o dziwo, przez myśl jej nawet nie przeszło modlić się. Było tak, jak gdyby jej dusza dość już natrudzić się musiała, nim się wyzwoli z zapadającego się domu, i jak gdyby ta właśnie męka i trud duszy targały i rwały jej piers przy każdym oddechu.

Zobaczyła, że w chacie rozblęsnął ogień. Wkrótce potem Ulf zawołał:

– Musisz tu przyjść i poświecić mi, Krystyno. – Stał w drzwiach z płonąca szczapą w ręku.

Duszający trupi zaduch uderzył w nią, mimo że ściany domu były nieszczelne, a drzwi wyłamane. Oślepiałymi oczyma, z na pół rozchylonymi ustami – czuła, że szczęki i wargi jej drętwieją – spojrzała w stronę śmierci. Ale jedynie długie zawiniątko leżało tam w kącie izby, na glinianej polepie. Ulf owinął trupa własnym okryciem.

Ulf wyrwał skądś parę długich desek i na nich położył drzwi. Teraz przeklinając brak narzędzi usiłował za pomocą topora i sztyletu wywiercić kilka dziur na haki i zbić deski z drzwiami. Kilkakrotnie rzucał okiem w stronę Krystyny i za każdym razem jego ciemna, okolona siwymi włosami twarz ściągała się w twardszy grymas.

– Ciekaw jestem, jak też sama uporałabyś się z tym? – rzekł pochylając się nad noszami; potem spojrzął z ukosa na Krystynę. Lecz sztywne, martwe oblicze w świetle czerwonego łuczywa pozostało

dalej zupełnie nieruchome, oblicze martwej lub obłąkanej kobiety. – Może mi na to odpowiesz, Krystyno? – Roześmiał się szorstko, lecz i to nie pomogło. – Zdaje mi się, że już czas, byś odmówiła pacierz.

Tak samo sztywno i martwo zaczęła:

– *Pater noster, qui es in coelis... Adveniat regnum tuum. Fiat voluntas tua, sicut in coelo et in terra...* – po czym urwała.

Ulf spojrział na nią. Sam ciągnął dalej:

– *Panem nostrum quotidianum da nobis hodie...* – szybko, mocnym głosem odmówił *Pater noster* do końca, poszedł w kąt izby i uczynił znak krzyża nad zewłokiem, po czym podniósł go prędko i złożył na sporządzonych noszach.

– Ty idź przodem – rzekł. – Ciężej ci wprawdzie będzie, ale za to smród nie będzie bił kę tobie. Odrzuć pochodnię, i bez niej będzie widno. A nie potknij się znowu, Krystyno, gdyż nie chciałbym za nic podnosić drugi raz tego trupa.

Kiedy poczuła końce noszy na barkach, zdawało jej się, że ból szalejący w piersi broni się przeciw nim całą mocą. Klatka piersiowa nie chciała nieść tego brzemienia. Ale Krystyna zagryzła zęby. Dopóki szli wzdłuż wybrzeża, gdzie wiał wiatr, trupi odór nie bardzo jej dokuczał.

– Tutaj będę musiał wnieść najpierw zwłoki, a potem nosze – powiedział Ulf, kiedy dotarli do zbocza.

– Możemy dojść nieco dalej – odparła Krystyna – aż do miejsca, gdzie przewożą morskocyny na płozach; tam nie jest tak stromo.

Ulf słyszał, że głos jej brzmi spokojnie i rozważnie. Zimny pot wystąpił mu na czoło i począł dygotać, teraz kiedy było po wszystkim. Bał się, że Krystyna straci rozum tej nocy.

Z trudem posuwali się naprzód dróżką wiodącą przez polanę ku lasowi. I tutaj wiatr hasał swobodnie, ale nie było tak strasznie jak na wybrzeżu; im bardziej cichnął za nimi huk morza, tym wyraźniej czuła Krystyna, że przebrnęła już przez ostatnią groźę i ciemność. Koło ścieżki błyszczał łąn żyta, na którego zżęcie nie było czasu. Zapach zboża i widok leżących źdźbeł dały jej poczucie powrotu do domu, i oczy jej zapełniły się łzami siostrzanego współczucia: z samotnej męczarni i z własnej nędzy wracała oto znowu w społeczność żywych i umarłych.

Chwilami, kiedy wiatr mieli z tyłu, okropny fetor ścierwa bił ku niej, ale tu nie było to takie straszne jak tam, w tej chacie, tu wszystko było przesycone świeżym, chłodnym, wilgotnym powiewem.

I silniej niż przerażenie przed okropnym ciężarem oświałę ją bezpieczne uczucie, że Ulf osłania ją przed czarną, złowrogą grozą, od której się oddalali, która huczała coraz to słabiej i słabiej.

Gdy dotarli do lasu, dostrzegli migocące światelka. – Idą nam naprzeciw – rzekł Ulf.

Wnet potem natknęli się na wielką gromadę ludzi niosących pochodnie i latarnie oraz mary pokryte całunem. Sira Eilif był wśród nich i ze zdziwieniem poznała Krystyna kilku spośród mężczyzn, którzy przedtem znajdowali się na cmentarzu; niektórzy płakali. Kiedy zdjęto nosze z jej ramion, Krystyna bliska była omdlenia. Lecz gdy ksiądz chciał ją wesprzeć, powiedziała prędko:

– Nie tykajcie mnie, nie zbliżajcie się do mnie. Czuję, że jestem zarażona.

Lecz ksiądz mimo to wsparł ją.

– Tedy niechaj ci będzie pociechą, niewiasto, iż Pan nasz rzekł: coś uczyniła dla Jego najnudniejszego brata lub siostry, toś dla Niego samego uczyniła.

Krystyna wlepiła oczy w księdza. Potem spojrzała w bok, gdzie paru ludzi przekładało zwłoki z noszy na mary. Okrycie Ulfa obsunęło się nieco, wyrżał spod niego wydeptany trzewik, ciemny i wilgotny w świetle smolnych pochodni.

Krystyna zbliżyła się, uklękła przy noszach i ucałowała trzewik. – Bóg niech ci będzie miłościwy, siostró, Bóg niechaj skąpie twą duszę w wiekuistym świetle, Bóg niechaj zmiłuje się nad nami wszystkimi, którzy żyjemy w ciemności.

Potem miała uczucie, że życie wrywa się z jej ciała – kłujący, niewypowiedziany ból, jak gdyby oderwało się coś tkwiącego na samym dnie, spojonego z jej ciałem aż po najtajniejsze korzonki. Wszystko, co miała w piersi, buchnęło na zewnątrz, gardło i usta jej napełniła krew o posmaku soli i nędznej miedzi, w następnej chwili cała jej szata przemokła i nasiąkała owym ciemnym płynem. „Jezu, to stara kobieta ma w sobie jeszcze tyle krwi” – pomyślała.

Ulf syn Haldora wziął ją w ramiona i poniósł.

U klasztornej furty wyszły na spotkanie pochodu mniszki z płonącymi świecami. I teraz także nie była Krystyna zupełnie przytomna, lecz czuła, że na pół ją niosą, na pół wspierają. Sklepienie, wybielona komnata rozświetliła się chybottliwym blaskiem żółtych świec i czerwonych pochodni, a kroki ludzi brzmiały jak morze. Dla konającej jednak był to odbłask gasnącego ognia jej własnego życia, a dźwięk kroków na kamiennych płytach wydał się jej szumem nadpływającej ku niej rzeki śmierci.

Potem światło rozszerzyło się obejmując większą przestrzeń; znajdowała się znowu pod gołym niebem na dziedzińcu, blask igrał na szarym, kamiennym murze, na potężnych skarpach i wysokich oknach: kościół. Jakieś ramiona ją niosły – znowu Ulf – ale teraz zespolił on się w jej duszy z tymi wszystkimi, którzy ją w życiu nosili. Kiedy objęła rękoma jego bary i skłoniła głowę na jego szeroką pierś, wydawało jej się, że jest na powrót małym dziecikiem w ramionach ojca, ale zarazem, że to ona przyciska dziecko do piersi. Z tyłu, poza jego ciemną głowę majaczyły czerwone światła niby odbłask tego żaru, który podsyca wszelką miłość.

Nieco później otworzyła oczy, w pełni świadoma. Siedziała podparta na łożu w dormitorium, jakaś zakonnica pochylała się nad nią; dolną część twarzy miała zasłoniętą płótnem, Krystyna poczuła zapach octu. Była to siostra Agnes, poznała ją po oczach i małej, czerwonej brodawce na czole. Dzień był jasny: szarawe, przejrzyste światło przenikało przez małe szybki.

Krystyna nie cierpiała teraz, była tylko mokra od potu, zmęczona i wyczerpana, a kiedy oddychała, czuła klucie i dotkliwy ból w piersi. Łapczywie wypita orzeźwiający napój podany jej przez siostrę Agnes. Tylko wciąż marzła...

Oparła się na poduszkach i teraz jedno za drugim przesuwaly się przed nią wydarzenia tej nocy. Ale wrażenie okropności potwornego snu zniknęło całkowicie: musiała być nieco nieprzytomna, pojmowała to. Jak dobrze jednak, że dokonała tego przed śmiercią, że udało jej się uratować chłopczyka i przeszkodzić tym biednym ludziom w obarczeniu się ponurą zbrodnią. Wiedziała, jak bardzo powinna być wdzięczna i szczęśliwa, że dane jej było zdziałać to tuż przed śmiercią, lecz nie mogła się tak cieszyć, jakby chciała. Czuła raczej

osobliwe zadowolenie, podobne do tego, jakie odczuwała nieraz na Jörund, kiedy po całodziennym znoju kładła się wyczerpana do łoża. A prócz tego musiała podziękować Ulfowi.

Wymówiła jego imię; pewnie siedział gdzieś ukryty i słyszał, gdyż natychmiast zbliżył się i stanął przed jej łożem. Wyciągnęła do niego rękę, chwycił ją i objął uściskiem.

Nagle niepokój ogarnął umierającą, ręka jej szukała czegoś gorąckowo w fałdach koszuli.

– Chcesz czego, Krystyno? – spytał.

– Krzyż – szepnęła i z trudem wyciągnęła złożony krzyż swego ojca. Przyszło jej na myśl, że obiecała wczoraj tej biednej Steinunnie mszę. Nie pomyślała o tym, że nie posiada już nic na świecie. Rozporządzała jedynie owym krzyżem, który otrzymała w dzieciństwie od ojca, oraz pierścieniem zrzękwiniowym. Nosiła go jeszcze na ręce.

Ściągnęła go z palca i spojrzała na niego. Ciężko spoczywał na jej dłoni; był z litego złota, ozdobiony wielkimi, czerwonymi rubinami. Erlend – przemknęło przez jej huczącą głowę. Poczuła, że raczej ten pierścień winna darować, nie zdawała sobie dokładnie sprawy czemu, ale czuła, że tak uczynić musi. Z udręką zamknęła oczy i podała pierścień Ulfowi.

– Komu chcesz go ofiarować? – spytał cicho, a kiedy nie odpowiadała: – Chcesz może, bym go wręczył Skulemu?

Krystyna potrząsnęła głową, oczy miała mocno zamknięte.

– Steinunna... ślubowałam mszę... za jej duszę.

Otworzyła oczy, raz jeszcze popatrzyła na pierścień leżący w ciemnej dłoni kowala. I nagle lzy trysnęły z jej oczu niepohamowaną strugą, jak gdyby dopiero teraz, w ostatniej chwili, pojęła jasno, co ten pierścień oznacza. Życie, któremu tym oto pierścieniem się oddała, na które się skarżyła, biadała, wyrzekała, przeciw któremu buntowała się i szalała, kochała je przecież mimo wszystko tak mocno, tak bardzo radowała się każdym złem i dobrem, jakie jej ono przynosiło, że ani jednego dnia nie oddałaby z lekkim sercem Bogu, ani jednego bólu nie poświęciłaby bez wyrzeczenia.

Ulf i mniszka zamienili z sobą parę słów, których chora nie rozumiała, po czym Ulf opuścił izbę. Krystyna usiłowała podnieść rękę i wytrzeć mokre oczy, ale nie miała sił, ręka opadła na pierś. Tu

we wnętrzu bolało ją okrutnie, ręka ciążyła straszliwie, a nadto miała wrażenie, że ów pierścień wciąż jeszcze ma na palcu. Myśli jej znowu mącić się poczęły, m u s i a ł a koniecznie zobaczyć, czy go naprawdę nie ma, czy też śniło się jej tylko, iż go darowała. Teraz nie miała również pewności, czy to wszystko, co się w nocy wydarzyło: dziecko w grobie, czarne morze z małymi, lśniczymi falami, zwłoki, które niosła, byli to sen czy jawa. Ale nie miała siły otworzyć oczu.

– Siostró – ozwała się zakonnica – nie wolno ci teraz spać. Ulf poszedł po księdza.

Krystyna oprzytomniała zupełnie, oczy wlepiła w rękę. Złotego pierścienia nie było, więc to wszystko prawda; ale na środkowym palcu, tam gdzie go stale nosiła, widniało białe, wytarte znamię. Zupełnie wyraźnie odbijało na tle ogorzałej, szorstkiej ręki niby blizna pokryta białą, delikatną skórą. Krystynie zdawało się nawet, że dostrzega dwie okrągłe plamki od rubinów po każdej stronie i mały, ciemny znak M, początkową literę imienia Maryi, w miejscu gdzie litera ta była wycięta w płytce pierścienia.

I ostatnia jasna myśl, która się w jej mózgu ukształtowała, była, że umrze, zanim ów znak się zatrze, i radowała się tym bardzo. Był to cud niepojęty dla niej, lecz teraz wiedziała na pewno: Bóg zawarł z nią pakt miłości i tym paktem związał ją z sobą na wieki. I pomimo jej własnej woli, mimo doczesnych, przyziemnych myśli, coś z tej miłości trwało w niej ciągle, oddziaływało niby słońce na ziemię i w końcu wydało żniwo, którego ani żar cielesnej żądzy, ani szalejący gniew miłości nie mogły do cna zniszczyć. Służką Boga była, oporną, niechętną służką, przeważnie niewierną w swym sercu i modlącą się tylko wargami, leniwą i niedbałą, buntującą się pod każdym dopustem, nie bardzo wytrwałą w czynach. A jednak zatrzymał ją Bóg w swej służbie, i pod złotym, połyskliwym pierścieniem naznaczył ją potajemnie stygmatem, że jest Jego służebnicą, należy do Pana i Króla, który przebywa teraz oto w uświęconych dłoniach kapłana, aby jej przynieść wolność i wybawienie.

Wnet po podaniu jej przez księdza wiatyku i namaszczeniu świętymi olejami Krystyna córka Lavransa straciła powtórnie przytomność.

Leżała trawiona palącą gorączką, dręczona ciężkimi krwotokami. Ksiądz, który przy niej pozostał, oświadczył siostrze, że zbliża się koniec.

Parokrotnie odzyskiwała na tyle przytomność, że poznawała niektóre twarze, siry Eilifa, sióstr; sama pani Ragnhilda była chwilę w izbie, widziała także Ulfa. Starła się okazać, że ich poznaje i jak jej dobrze z tym, iż są przy niej i czuwają nad nią. Lecz tym, którzy stali nad jej łóżem, zdawało się, że tylko wyciąga ręce w śmiertelnej walce.

W pewnej chwili mignęło jej oblicze Munana: maleńki synek zasiał do wnętrza przez szparę w drzwiach. Potem główka jego zniknęła, a matka leżała i wpatrywała się w drzwi, czy się powtórnie nie zjawi. Miał go jednak zbliżyła się do niej pani Ragnhilda i wytarła jej twarz mokrą chustką; to również sprawiło jej ulgę. A potem rozplynęło się wszystko i znikło w czerwonej mgłę i głuchym huku, który zrazu przerażająco potężny z wolna cichnął i zamierał; a czerwona mgła przecierała się i stawała coraz to bardziej przejrzysta i jasna, i w końcu była już tylko niby delikatny, ranny opar nad wschodzącym słońcem. Cisza uczyniła się zupełna, i Krystyna wiedziała, że teraz umiera.

Sira Eilif oraz Ulf opuścili zmarłą. W drzwiach prowadzących na dziedziniec klasztorny zatrzymali się nagle.

Spadł śnieg. Nikt z ludzi, którzy siedzieli przy chorej zmagającej się w śmiertelnej walce, nie zauważył tego. Biały blask bijący ze stromego dachu kościoła oślepił wprost, wieża błyszczała na tle ciemnych chmur. Delikatną, puszystą bielą leżał śnieg na futrynach okien i w każdej wnęce odbijając jasno od ciosanych murów. I obaj mężowie jakby się zawahali, nim zaczęli znaczyć swymi śladami cienką powłokę śniegu. Pełną piersią wdychali świeże powietrze. Po duszącym wyziewie, który otacza zawsze zadżumionego, wydało im się ono dziwnie słodkie i orzeźwiające; miało się wrażenie, że ten pierwszy śnieg oczyścił powietrze z pomoru i zakażenia; miało ono posmak wody źródlanej.

Dzwony na wieży jeły dzwonić; obydwoj podnieśli głowy i spojrzeli w górę, gdzie kołysały się w czarnych otworach. Małe ziarenka

śniegu poruszone wstrząsem stoczyły się na dół w kulistych grudkach, odsłaniając nieco czerni gontów.

– Ten śnieg na pewno długo nie poleży – rzekł Ulf.

– Nie, staje chyba jeszcze przed wieczorem – odparł ksiądz. Ze złocistych szczelin między chmurami wyzierał jakby badawczo blade promyk słońca.

Mężowie przystanęli, Ulf syn Haldora powiedział cicho:

– Chciałbym, siro Eilifie, darować temu kościołowi kawał gruntu oraz kubek, który mi niegdyś dała w spuściznie po Lavransie synu Björgulfa. Chciałbym też ufundować mszę za jej duszę... i za mych wychowanków... i za Erlenda, mego krewniaka.

Ksiądz odpowiedział równie cicho, nie patrząc na niego:

– I mnie się zdaje, że musisz czuć potrzebę okazania podziękowań Temu, który cię zęślał tu wczorajszej nocy. Powinieneś się radować, że dane ci było pomóc jej przeżyć tę noc.

– Tak, to właśnie miałem na myśli – rzekł Ulf, po czym roześmiał się: – Choć teraz żałujęomal, księże, że byłem zawsze takim pobożnym człowiekiem wobec niej!

– Bezcelowe jest marnować czas na takie próżne żale.

– Co masz na myśli?

– Myślę, że jedynie żałowanie naszych grzechów może nam wyjść na użytek.

– Jakże to?

– Ponieważ nikt nie jest dobry prócz Boga. I nic nie możemy dobrego uczynić, chyba tylko przez Niego. Więc bezcelowe jest żałować dobrego czynu, Ulfie, gdyż nic nie zdoła pomniejszyć dobra, które uczyniłeś, i choćby nawet góry się waliły, ono zawsze przetrwa.

– Tak, tak. Czegoś takiego nie pojmuję ja, mój siro. Zmęczony jestem.

– Pewnie, a głodny też musisz być porządnie. Chodź ze mną do kuchni, Ulfie.

– Dziękuję, nie mam ochoty na jadlo.

– Mimo to musisz teraz iść ze mną posilić się – namawiał go siro Eilif kładąc dłoń na jego ramieniu i ciągnąc go za sobą. Weszli na dziedziniec i skierowali się w stronę kuchni. Mimowiednie stąpali lekko i ostrożnie po białym, świeżo spadłym śniegu.